



WINSTON GRAHAM

POLDARK

Czarny księżyc

WINSTON GRAHAM

POLDARK

Czarny księżyc

POWIEŚĆ O KORNWALII W LATACH 1794-1795

Przełożył Tomasz Wyżyński

Wydawnictwo Czarna Owca
Warszawa 2017

Tytuł oryginału: *THE BLACK MOON*

Redakcja:

Beata Kołodziejska Projekt okładki:

Magdalena Zawadzka / Aureusart Zdjęcia na okładce: © Joana Kruse / Arcangel Images © HYPERLINK ian
woolcock / Shutterstock Korekta:

Igor Mazur Redaktor prowadzący:

Anna Brzezińska Copyright © Winston Graham 1973. All rights reserved.

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Czarna Owca, 2017

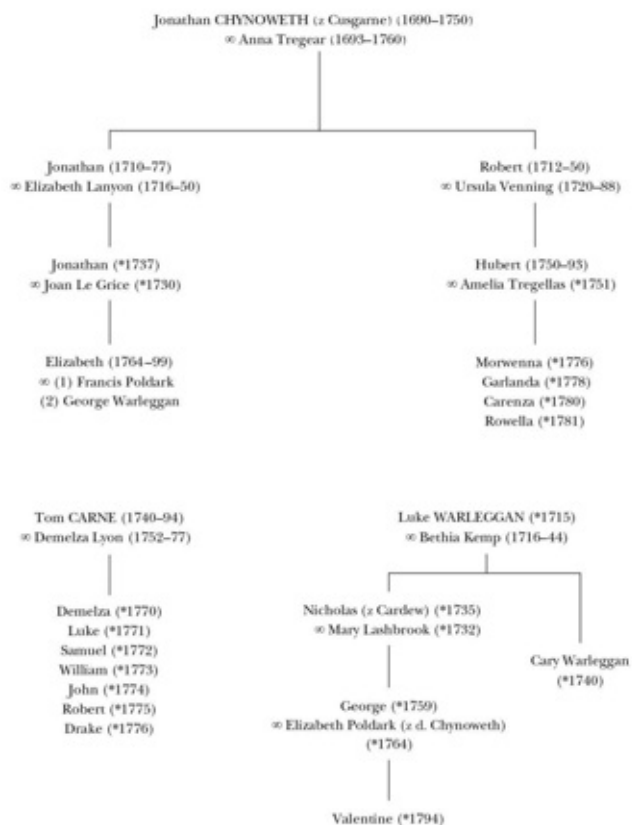
Wydanie I ISBN 978-83-8015-463-6

Nota autora

Wiele lat temu napisałem cztery powieści o rodzie Poldarków, osadzone w osiemnastowiecznej Kornwalii. Po ich ukończeniu moje zainteresowania skupiły się na współczesności, zwłaszcza na literaturze kryminalnej z jej specyficznymi metodami utrzymywania napięcia. Chociaż czasem przychodziło mi do głowy, że kiedyś, w przyszłości, byłoby miło wrócić do Poldarków, stopniowo coraz bardziej się od nich oddalałem pod względem nastroju i stylu. Z wiekiem człowiek zmienia się, rozwija. W końcu przestałem poważnie myśleć o napisaniu kolejnej części cyklu.

Niekiedy jednak zdarza się coś nieoczekiwanego. Pewnego dnia, bez zrozumiałej przyczyny, poczułem, że muszę się dowiedzieć, co się stało z moimi bohaterami po Bożym Narodzeniu tysiąc siedemset dziewięćdziesiątego trzeciego roku. Bardzo mnie to zaabsorbowało i doszedłem do wniosku – słusznie albo nie – że powrót do dawnego nastroju to równie wielkie wyzwanie jak stworzenie nowego. Rezultatem jest *Czarny księżyc*.

Czytelnicy nie powinni się spodziewać, że ta książka wszystko wyjaśni, połączy przerwane wątki i nie pozostawi znaków zapytania. W życiu nic nie jest proste.



KSIĘGA PIERWSZA

Rozdział pierwszy

W połowie lutego tysiąc siedemset dziewięćdziesiątego czwartego roku Elizabeth Warleggan urodziła we dworze w Trenwith pierwsze dziecko z drugiego małżeństwa. Nie obyło się przy tym bez napięcia i lęku.

Elizabeth i jej nowy mąż uzgodnili, że poród powinien się odbyć w domu Warlegganów w Truro, gdzie można było zaangażować najlepszych lekarzy, lecz w mieście od miesięcy szalały zarazy, najpierw, między latem a Bożym Narodzeniem, cholera, a ostatnio influenza i odra. Wydawało się, że nie ma powodu do pośpiechu. Doktor Behenna, który co tydzień przyjeżdżał konno do pacjentki, wciąż o tym zapewniał.

Niewykluczone, że wszystko potoczyłoby się normalnie, ale wieczorem trzynastego lutego, w czwartek, Elizabeth poślizgnęła się i upadła, idąc do swojego pokoju. Piękne kamienne schody w wielkiej sieni prowadziły do ciemnego korytarza z epoki Tudorów, skąd po przejściu pięciu kolejnych stopni docierało się do dwóch głównych sypialni dworu. Elizabeth potknęła się o nierówną krawędź najwyższego stopnia i spadła na sam dół. Nikt nie widział wypadku, lecz dwóch służących usłyszało okrzyk i łoskot. Jeden z nich, śpieszący korytarzem z ogrzewaczem do łóżka, zobaczył panią leżącą na najniższym stopniu. Przypominała złamany kwiat.

We dworze natychmiast wybuchła panika. George, wezwany z salonu zimowego, przybiegł z sercem podchodzącym do gardła, podniósł omdlałą żonę i zaniósł do łóżka. Ponieważ doktor Dwight Enys w dalszym ciągu przebywał na morzu, jedynym lekarzem w okolicy był doktor Thomas Choake; wezwano go z braku lepszego kandydata, a tymczasem inny służący pogalopował po doktora Behennę.

Oprócz siniaka na łokciu i skrzywanej kostki z początku wydawało się, że Elizabeth nic nie dolega. Upuszczono jej dużo krwi, podano ciepły kordiał i położono ją spać. George wyjątkowo nie znosił Choake'a: denerwowały go jego pompatyczność, zadufanie, przechwałki wyczynami łowieckimi, skłonność do prymitywnych operacji chirurgicznych, afektowana żona i sympatia do wigów. Jednak nie pokazał po sobie niechęci, zaprosił starego doktora na kolację i zaproponował, by przenocował w Trenwith. Choake, który ostatni raz odwiedził dwór po śmierci Francisa Poldarka, z ociąganiem wyraził zgodę.

Był to nudny posiłek. Pani Chynoweth, matka Elizabeth, niewidoma na jedno oko, utykająca i mająca skłonność do jąkania się, zrezygnowała z kolacji i postanowiła czuwać w pokoju córki na wypadek, gdyby ta się obudziła, więc George'owi i Choake'owi dotrzymywał towarzystwa tylko stary Jonathan Chynoweth. Rozmawiano o wojnie we Francji, której Choake był przeciwny wzorem swojego idola Focha, o wyczynach Edwarda Pellewa na morzu, o nieudolnej kampanii Fryderyka Augusta Hanowerskiego, księcia Yorku, we Flandrii, o terrorze w Lyonie, braku zboża oraz rosnących cenach cyny i miedzi. George gardził oboma mężczyznami, z którymi siedział przy stole, i w milczeniu słuchał ich sporów – Choake'a przemawiającego ochryłym basem i gardłowego tenora Chynowetha. Na pewien czas opuścił go lęk. Elizabeth się potłukła, to wszystko. Nie powinna być tak niewiarygodnie nieostrożna. Ostatnio często robiła rzeczy, które George uważał za wyjątkowo lekkomyślne i ryzykowne, choć nosiła w sobie ich pierwsze dziecko, bezcenny owoc nowego związku. Trudno się dziwić, że bywa przygnębiona, miewa humory, płacze bez powodu, ale należy się dziwić, że naraża własne życie, próbując jeździć na koniu, który stał długo w stajni i zawsze był dość narowisty. Należy się dziwić, że wkłada ciężkie księgi na wysokie półki. Należy się dziwić...

Była to nowa cecha jej osobowości. George stale odkrywał nowe cechy Elizabeth, niekiedy fascynujące, a niekiedy niepokojące. Zawsze jej pragnął, od chwili, gdy wiele lat wcześniej po raz pierwszy na nią spojrział, lecz

było to pożądanie kolekcjonera, konesera pragnącego zdobyć najpiękniejsze dzieło sztuki, jakie kiedykolwiek widział. Po ślubie stała się kimś znajomym, ale nie spowszedniała. Przeciwnie, George zaczął ją rozumieć. Jeśli był zdolny do prawdziwej miłości, kochał Elizabeth.

Leniwie rozmyślał o żonie, kiedy nagle do salonu wszedł służący, przerywając bezsensowną paplaninę dwóch głupich starych ludzi. Jego pojawienie się zburzyło spokój George'a, jak kamień wrzucony do stawu mąci powierzchnię wody. Oświadczył, że pani się obudziła i że czuje silny ból.

O północy przybył doktor Behenna, który pozostawił swoich pacjentów z Truro na łasce i niełasce nieudolnego pomocnika. Choake nie zadeklarował, że wyjedzie, i George pozwolił mu zostać. Jego honorarium nie miało znaczenia.

Daniel Behenna był dość młodym człowiekiem, tęgim, niskim i zdecydowanym. Nie skończył jeszcze czterdziestu lat, a do Truro przyjechał zaledwie kilka lat wcześniej. George Warleggan potrafił inteligentnie oceniać ludzi i zauważył, że w mieście i jego okolicach jest duże zapotrzebowanie na usługi Behenny. Częściowo tłumaczyła to jego osobowość i umiejętność przekonywania, odniósł jednak kilka zaskakujących sukcesów dzięki zastosowaniu nowych metod leczniczych, a przede wszystkim studiował położnictwo pod kierunkiem jednego z najsłynniejszych londyńskich lekarzy. Wydawał się najlepszym medykiem, który mógł przyjechać konno do Trenwith w ciągu jednego dnia.

Po krótkim badaniu pacjentki Behenna wyszedł z sypialni i poinformował George'a, że pani Warleggan z pewnością odczuwa bóle porodowe. Opisał je jako „wędrujące”, lecz zupełnie normalne. Dziecko urodzi się przedwcześnie, ale wciąż żyje. Pani Warleggan dobrze znosi ból i chociaż ryzyko jest nieco większe niż zwykle, można się spodziewać szczęśliwego rozwiązania.

Nazajutrz w południe, gdy George szalał z niepokoju, przyjechali jego rodzice, o mało nie rozbiwszy karety na drogach pokrytych śniegiem. Przebywali w Truro, kiedy dotarli do nich nowiny o wypadku Elizabeth. Nicholas Warleggan oświadczył, że uznali za swój obowiązek być z synem w takiej chwili. Dwór w Trenwith miał kilka wspaniałych sal recepcyjnych, lecz nie był wielką rezydencją jak na standardy epoki elżbietańskiej, a pokoje gościnne były niewielkie i ciemne. George powitał rodziców ze zdawkową grzecznością i odesłał ich wraz ze służącym, by zajęli przeznaczoną dla nich zimną sypialnię.

Elizabeth w dalszym ciągu miała bolesne skurcze, ale pojawiały się w długich odstępach i doktor Behenna orzekł, że poród przebiega zbyt wolno. O piątej zjadł podwieczorek z członkami rodziny i cytował Galena, Hipokratesa oraz Simona z Aten. Oświadczył, że to już trzeci trymestr ciąży, więc będzie mógł użyć kleszczy, jeśli dziecko wkrótce nie urodzi się naturalnie. Podejmuje taką decyzję, gdyż ma nadzieję, że zastosowanie kleszczy spowoduje silniejsze skurcze i przyspieszy poród.

Jednak Opatrzność była po stronie matki i o szóstej skurcze stały się częstsze, bez użycia narzędzi. Kwadrans po ósmej Elizabeth urodziła żywego, zdrowego chłopca. Nastąpiło to w chwili całkowitego zaćmienia księżyca.

Trochę później George'owi pozwolono zobaczyć żonę i syna. Elizabeth leżała w łóżku niczym anioł z podciętymi skrzydłami. Jej jasne włosy rozsypały się na poduszce, twarz była skurczona i blada jak płótno, ale w oczach – po raz pierwszy od tygodni – pojawił się uśmiech. George nagle uświadomił sobie, że poród trwał bardzo długo. Pochylił się i pocałował wilgotne czoło żony, po czym przeszedł przez pokój i spojrzał na malutką istotkę o czerwonej twarzączce leżącą w kołysce i owiniętą niczym mumia. Jego syn. Dziedzic fortuny, której podwaliny stworzył trzydzieści pięć lat wcześniej Nicholas Warleggan, założyciel odlewni cyny w dolinie Idless. Fortuny wielokrotnie pomnożonej, która w tej chwili składała się z udziałów w przedsiębiorstwach handlowych, kopalniach i bankach działających nawet w odległych Plymouth i Barnstaple. Przez ostatnie dziesięć lat rozwojem interesów rodziny kierował George. Chłopiec urodzony tego dnia, jeśli przeżyje niebezpieczny okres dzieciństwa, odziedziczy cały majątek Warlegganów.

George doskonale zdawał sobie sprawę, że jego małżeństwo z Elizabeth Poldark głęboko rozczarowało rodziców. Nicholas poślubił Mary Lashbrook, córkę młynarza, ze sporym posagiem, lecz bez wykształcenia –

rzucało się to w oczy nawet teraz – ale z synem wiązał wielkie nadzieje. George otrzymał edukację, dysponował pieniędzmi, obracał się w towarzystwie, do którego Nicholas nie miał wstępu jako młody człowiek i w którym również dziś nie zawsze bywał mile widzianym gościem. Warlegganowie zapraszali bogate panny na wydaniu do swojej wiejskiej rezydencji w Cardew i narażali się na afronty, urządzając w swoim domu w Truro przyjęcia dla arystokratów i ustosunkowanych osobistości. Rodzice wypytywali George'a i nie mogli się doczekać, aż z jego ust padnie właściwe nazwisko – byli pewni, że w końcu tak się stanie. Bardzo zależało mu na awansie społecznym. Ideałem byłby tytuł, nawet niezbyt imponujący. „Pan George Warleggan i lady Mary Warleggan”. Jak ładnie by to brzmiało... Lecz George pozostał kawalerem do trzydziestego roku życia, wieku, gdy wyboru musi dokonać nawet ktoś, kto od najmłodszych lat jest wyjątkowo wybredny. George był sprytnym, wyrachowanym, inteligentnym mężczyzną, który myślał tylko o władzy i awansie, a mimo to postanowił poślubić delikatną, zubożałą wdowę po Francisie Poldarku.

Oczywiście nienaganny rodowód Elizabeth sięgał zamierzchłej przeszłości, rodzina cieszyła się prestiżem w okolicy. W dziewiątym wieku niejaki John Trevelizek przekazał jedną trzecią swojej posiadłości młodszemu synowi, który przybrał nazwisko Chynoweth, co oznacza „nowy dom”. Starszy syn zmarł bezpotomnie, toteż młodszy odziedziczył ziemię należącą do brata. Pierwszy znany Chynoweth zmarł w osiemset osiemdziesiątym dziewiątym roku. Nawet król Anglii nie mógł się pochwalić tak imponującym rodowodem. Ale George rozumiał, co czuje Nicholas. Siły żywotne Chynowethów się wyczerpały: wystarczyło spojrzeć na ojca Elizabeth. Mimo znakomitej genealogii nie zdołali niczego dokonać – po prostu przetrwali. Nigdy nie stali się wybitnymi osobistościami, nie zdołali nawet bogato się wżenić, co przynajmniej pozwoliłoby im żyć na przyzwoitym poziomie. Najwybitniejszy przodek był giermkim Piersa Gavestona, co raczej nie przynosiło mu chwały. Zawsze utrzymywali stosunki z wielkimi rodami Kornwalii, lecz nigdy nie mieli z nimi żadnych koligacji rodzinnych ani związków osobistych.

Za to Elizabeth była piękna, nigdy nie wydawała się piękniejsza niż teraz. Od czasu do czasu odwiedzali ją krewni i przyjaciele: wyglądała wtedy tak ślicznie, krucho i niewinnie, jakby miała dwadzieścia, a nie trzydzieści lat. Można by pomyśleć, że to jej pierwsze małżeństwo i pierwsze dziecko, nie drugie.

Jednym z pierwszych gości Elizabeth był oczywiście jej teść. Pocałował synową i spytał, jak się czuje. Z zachwytem obejrzał wnuka, po czym zamknął za sobą ciężkie dębowe drzwi sypialni, ostrożnie zszedł po pięciu stopniach, które omal nie stały się przyczyną tragedii, i ruszył po skrzypiącej podłodze ku głównym schodom prowadzącym do wielkiej sieni oświetlonej przez witrażowe okna. Przyszło mu do głowy, że może nie powinien być niezadowolony. Nareszcie pojawił się upragniony dziedzic. Synowa spełniła swój obowiązek. Warlegganowie nie potrzebują utytułowanych krewnych, mogą się bez nich obejść. Nie muszą się umizgać do kornwalijskiej arystokracji: wkrótce ona sama chętnie ich zaakceptuje. Są wystarczająco potężni. Małżeństwo George'a już w tej chwili ujawnia swoje zalety – Elizabeth niewątpliwie należy do wyższych sfer – a tytuł można uzyskać innymi sposobami: miejsce w parlamencie, hojna darowizna na rzecz jednego z handlarzy mandatami do Izby Gmin... Wojna na pewno pomoże. Handel musi przynosić coraz wyższe zyski. W zeszłym tygodniu tona cyny podrożała o pięć funtów.

Dotarłszy do ostatniego stopnia schodów, Nicholas Warleggan pomyślał, że patrycjuszowski rodowód nie jest jedyną zaletą Elizabeth. Dzięki niej Warlegganowie przejęli ten dwór, odwieczną siedzibę rodu Poldarków, której budowę rozpoczęto w tysiąc pięćset dziewiątym roku, a zakończono w tysiąc pięćset trzydziestym pierwszym. Od tamtej pory we dworze prawie niczego nie zmieniono, dopóki latem zeszłego roku George nie zaczął go remontować i upiększać.

Doprawdy, kaprysy fortuny bywają czasem trudne do przewidzenia... Nicholas po raz pierwszy odwiedził Trenwith jedenaście lat wcześniej, uczestnicząc w przyjęciu weselnym Elizabeth Chynoweth i syna właściciela majątku. Wydawało się, że Poldarkowie, chociaż zubożali, na zawsze pozostaną panami tego dworu: należał do nich od stu lat, a wcześniej przez półtora wieku był własnością rodu Trenwithów. Stary Charles William drzemał, puszczał wiatry, sapał, lecz w dalszym ciągu prowadził dość aktywne życie, był właścicielem posiadłości, głową

rodu, najważniejszą osobistością w okręgu. W przyszłości miał go zastąpić syn Francis, w owym czasie energiczny dwudziestodwuletni młodzieniec – kto mógłby się spodziewać jego przedwczesnej śmierci? Charles miał również córkę Verity, szarą myszkę, która później kiepsko wyszła za mąż i teraz mieszkała w Falmouth. Poza tym byli też krewni: William-Alfred, chudy, świętoszkowaty duchowny, pastor w hrabstwie Devon. I Ross Poldark. Niestety, w dalszym ciągu mieszkał on w sąsiednim majątku i dobrze mu się powodziło – na razie nie wpadł jeszcze do szybu kopalni, nie trafił do więzienia za długi ani nie został skazany na deportację za podburzanie górników do rozruchów, na co niewątpliwie zasługiwał. Aroganccy szubrawcy czasem odnoszą sukcesy, choć z pozoru wydaje się to nieprawdopodobne.

Nicholas Warleggan ruszył w stronę wspaniałego okna witrażowego, a tymczasem do sali wszedł jeden z nowych służących George'a, by zgasić świece, które niedawno zapalono. Na zewnątrz niebo było ciągle jasne, a jego śnieżna biel kontrastowała z żółtym światłem świec. Ostatni miesiąc był dość ciepły, zima okazała się łagodna – na szczęście dla licznych nędzarzy, choć nie sprzyja to zdrowiu. Mówiono, że ciężkie chmury i wilgoć roznoszą influencję, która zniknęłaby po nadejściu mrozów.

W kominku płonęło grube wiązowe polano przyniesione poprzedniego dnia, a wokół syczało świeże drewno, którym je obłożono. Służący zakończył pracę i wyszedł w milczeniu z sali, zostawiając Nicholasa Warleggana samego. Kiedy jedenaście lat temu Nicholas był w tej wielkiej sieni pierwszy raz, panował w niej gwar. Pamiętał, jak zazdrościł Poldarkom tego dworu. Wkrótce potem kupił dwa razy większą, nowocześnie urządzonej rezydencję w stylu palladiańskim – Cardew, w innej części wybrzeża, z parkiem, w którym hodowano stado jeleni. W porównaniu z Cardew dwór w Trenwith wydawał się staroświecki i prowincjonalny. Ściany z ciosanego kamienia wyglądały surowo; sypialnie wyłożone czarną dębową boazerią robiły przygnębiające wrażenie; deski pokrywające podłogi, w wielu miejscach toczone przez komiki, skrzypiały; skrzynie służące jako toalety cuchnęły i były staroświeckie w przeciwieństwie do nowoczesnych *chaises-percées* z Cardew; przez źle dopasowane okna sypialni wiało zimne powietrze. Lecz Trenwith miało styl. A to, że zawsze należało do Poldarków, dawało szczególną satysfakcję.

Nicholas pamiętał również, że na pierwszym weselu Elizabeth Ross Poldark miał szarą, zmęczoną twarz. George znał go wcześniej, ale Nicholas widział go wtedy po raz pierwszy. Przyglądał się oczom przysłoniętym ciężkimi powiekami, wysokim kościom policzkowym i szpetnej bliźnie, zastanawiając się, skąd ta kwaśna mina – aż wreszcie George wyjaśnił przyczynę. Wydawało się, że wszyscy trzej pragnęli Elizabeth: Ross, Francis Poldark i George. Ross uważał, że ma jej słowo, lecz ubiegł go Francis, gdy Ross wyjechał do Ameryki. Trzej młodzi głupcy toczyli ze sobą wojnę o ładną buzię. Co właściwie w niej widzieli? Nicholas wzruszył ramionami i wziął pogrzebacz, by poprawić ogień. Chyba delikatność, kruchość, eteryczne piękno: każdy mężczyzna pragnie otaczać troską bezbronną, prześliczną kobietę, odgrywać rolę Lancelota opiekującego się słabą Ginewrą. Jakie to dziwne, że taki sam okazał się również jego własny syn, tak rozsądny, tak logiczny, często wręcz przesadnie wyrachowany!

Nicholas wsunął pogrzebacz do kominka i strącił na ziemię niewielkie polano. Jeden z jego końców płonął jasnym płomieniem i dymił. Nicholas pochylił się, by wziąć szczypce, i w tej samej chwili coś poruszyło się w fotelu przy kominku. Zachnął się i upuścił pogrzebacz. Fotel znajdował się w półmroku, lecz teraz Nicholas zauważył, że ktoś w nim siedzi.

– Kto tam? – spytał cienki, starczy głos, ni kobiecy, ni męski. – To ty, George? Ci przekłęci słudzy...

Agatha Poldark. Poza młodym Geoffreyem Charlesem, synem Elizabeth z pierwszego małżeństwa, który jeszcze się nie liczył, Agatha była jedynym członkiem rodziny Poldarków pozostałym w Trenwith. Wszyscy Warlegganowie uznawali jej obecność za afront i sądzili, że koścista, żyłasta, podobna do wiedźmy starucha powinna już dawno umrzeć. Nawet w tej chwili otaczał ją zapach śmierci, mimo to w dalszym ciągu tliła się w niej isierka życia. Żona Nicholasa, Mary, która ku irytacji całej rodziny była niezwykle przesadna, straszliwie bała się Agathy, jakby w ciele starej damy mieszkały duchy dawno zmarłych Poldarków sprzeciwiających się obecności intruzów i życzących im wszystkiego najgorszego.

Agatha była w Trenwith cierniem, zadną, łyżką dziegiu, kamieniem, o który każdy prędzej czy później się potyka. Mówiono, że w sierpniu skończy dziewięćdziesiąt dziewięć lat. Mniej więcej przed rokiem wydawało się, że na stałe położy się do łóżka, więc w najgorszym razie będzie można ją taktownie ignorować, i pozostanie pod opieką przydzielonej jej pokojówki. Jednak po ślubie Elizabeth, a zwłaszcza na wieść o jej błogosławionym stanie, w Agacie odezwała się wojownicza natura i w najbardziej niedogodnych porach można ją było spotkać drepcącą po dworze.

– Och, ojciec George’a... – Z oka wypłynęła jej łza, dotarła do najbliższej zmarszczki i zaczęła powoli podążać w stronę podbródka pokrytego drobnymi włoskami. Nie była to oznaka smutku. – Oglądałeś małego grubaska, prawda? Wygląda jak kartofelek, co? Wykapany Chynoweth...

Na kolanach Agathy poruszyło się czarne kociątko. Był to Smollett, którego znalazła gdzieś kilka miesięcy wcześniej i przygarnęła. Byli nierozłączni. Agatha wszędzie z nim chodziła, a Smollett, z czerwonym językiem i żółtymi ślepiami, nie odstępował jej ani na krok. Geoffrey Charles nazywał go żartobliwie Śmierdziuszkim.

Chociaż Nicholas zdawał sobie sprawę, że Agatha wypowiedziała ostatnie słowa tylko po to, by go zirytować, i tak się rozżłościł. Dodatkowo drażniło go to, że nie może odpowiedzieć pięknym za nadobne. Z głuchą jak pień Agathą można się było porozumieć, jedynie wrzeszcząc jej prosto do ucha, a tak bliski kontakt wiązał się z koniecznością obcowania z jej zapachem. Dlatego mogła robić skandaliczne uwagi bez obawy, że ktoś jej przerwie. George twierdził, że staruszka irytuje się tylko wtedy, gdy ktoś odwraca się plecami i wychodzi w trakcie jej tyrad, lecz Nicholas nie zamierzał pozwolić, by ta odrażająca kreatura zmusiła go do odejścia od kominka.

Wsunął polano z powrotem do ognia, ale dość niezręcznie, więc teraz z jednego z końców unosiła się cienka smużka dymu. Normalnie zadzwoniłby na służącego, by je poprawił, lecz nie zrobił tego, w nadziei, że dym podrażni gardło staruszki.

– Ten wasz medyk to kompletny dureń – rzekła Agatha. – Związał tego biednego malca strasznie ciasno, by zapobiec konwulsjom. Są lepsze sposoby na konwulsje. Gdybym mogła decydować, kazałabym go rozwiązać już dziś wieczorem.

– Nie masz w tej sprawie nic do gadania – warknął Nicholas.

– Co takiego? Co tam mamrociesz? Mów głośniej!

Nicholas już zamierzał krzyknąć coś w odpowiedzi, kiedy otworzyły się drzwi i do sali wszedł George. Czasami Nicholas i George wydawali się bardzo podobni, zwłaszcza gdy byli sami i czuli się swobodnie. George, nieco niższy od wysokiego Nicholasa, miał taką samą masywną budowę ciała, grubą szyję i chodził identycznym sprężystym krokiem, ze stopami zwróconymi do wewnątrz. Obaj byli przystojni, budzili respekt. Twarz George’a była szersza, na środku wysuniętej do przodu dolnej wargi miał niewielki dołek. Między brwiami znajdowało się kilka niewielkich bruzd. Gdyby ściął włosy i ufryzował je na antyczny sposób, wyglądałby jak cesarz Wespazjan.

– Piękny widok – rzekł, podszedłszy do kominka. – Mój rodzony ojciec rozmawiający z czarownicą z Endor. Jak to brzmi? „Widziałam bogi wychodzące z ziemi... Mąż stary występuje, a ten w płaszcz ubrany”¹.

Nicholas Warleggan wreszcie odłożył pogrzebacz.

– Nie powinieneś mówić takich rzeczy przy swojej matce. Nie lubi żartów na temat świata nadprzyrodzonego.

– To wcale nie żarty – odparł George. – W dawnych dobrych czasach ta stara, gnijąca, śmierząca ropucha została by zakuta w dyby, podtopiona, a potem spalona na stosie jako czarownica. Nie powinniśmy znosić obecności tego żywego trupa w cywilizowanym domu.

Kociak, ku zadowoleniu Agathy, wyprężył grzbiet i prychnął na przybysza.

– Cóż, George, teraz, gdy zostałeś ojcem urodzonego miesiąc za wcześniej smarkacza, na pewno czujesz się ważny – powiedziała. – Jakie imię mu nadasz, co? George’ów jest już za dużo, ci wszyscy królowie... Pamiętam czasy... – Zakasłała. – Kominek kopci... Twój ojciec rozgrzebał polana.

– Na twoim miejscu kazałabym zamknąć tę kreaturę w jej pokoju – rzekł Nicholas. – Powinna być trzymana pod strażą.

– Gdybym miał wolną rękę, jutro znalazłaby się na śmietniku – odparł George. – I nie ona jedna.

– Co zamierzasz? – spytał Nicholas, doskonale wiedząc, jaka padnie odpowiedź.

George obrzucił ojca zamyślonym wzrokiem.

– Postąpię jak zdobywca, który podbił piękne miasto. Cytadela padła, a reszta może poczekać.

– Mógłbyś mu nadać imię Robert – dobiegł cieniutki głos z fotela. – Na pamiątkę garbatego Roberta de Beaumonta, hrabiego Leicester. Albo Ross. Co sądzisz o Rossie? – Rzęzenie, które rozległo się po chwili, mogło oznaczać, że staruszka zakrztusiła się dymem, lecz prawdopodobnie był to złośliwy chichot wstrząsający jej chudym ciałem.

George się odwrócił, podszedł do okna i wyjrzał na dwór. W pobliżu kominka było ciepło, ale gdy się od niego oddalił, natychmiast poczuł chłód.

– Mam nadzieję, że ta starucha wkrótce pęknie jak nadęta purchawka.

– Amen... Skoro mowa o imionach, George, domyślam się, że rozmawiałeś o tym z Elizabeth. W naszej rodzinie jest kilka ładnych imion...

– Już podjąłem decyzję. Przed urodzeniem chłopca.

– Przed urodzeniem? Jak mogłeś? Gdyby to była dziewczynka...

– Wypadek Elizabeth mógł być śmiertelny dla matki i dziecka, ale skoro wszystko dobrze się skończyło, widzę w tym palec boży – odpowiedział George. – To Opatrzność zdecydowała, kiedy dziecko się urodzi. Zrozumiawszy to, wybrałem imię. Takie samo dla chłopca i dla dziewczynki.

Nicholas Warleggan czekał.

– Jakie?

– Valentine.

– A może Joshua? – wtrąciła ciotka Agatha. – Jeśli dobrze pamiętam, w rodzie Poldarków było ich trzech, chociaż ostatni okazał się wyjątkowo niegrzeczny...

Nicholas z nadzieją spoglądał na smużkę dymu z kominka wijącą się wokół fotela staruszki.

– Valentine. Valentine Warleggan. Brzmi dobrze, pasuje. Ale w obu rodzinach nie ma nikogo o tym imieniu.

– Mój syn nie będzie podobny do żadnego z Warlegganów ani Chynowethów. Historia nie musi się powtarzać.

– Tak, tak. Spytam twoją matkę, jak jej się podoba imię Valentine. Elizabeth nie ma nic przeciwko temu?

– Elizabeth na razie nic nie wie.

Nicholas uniósł brwi.

– Jesteś pewien, że to imię jej się spodoba?

– Jestem pewien, że się zgodzi. Mamy podobne zdanie w wielu kwestiach, znacznie częściej, niż się spodziewałem. Ona zgadza się, że nasze małżeństwo jest niezwykle: najstarszy ród właścicieli ziemskich łączy się z najmłodszym rodem bankierów i przemysłowców. Owoc takiego związku powinien patrzeć w przyszłość, a nie w przeszłość. Musimy wybrać zupełnie nowe imię.

Nicholas zakasłał i odsunął się od dymu.

– Nie pozbędziesz się nazwiska Warleggan, George.

– Nie mam najmniejszej ochoty się go pozbywać, ojcze. Już w tej chwili jest szanowane – i budzi lęk.

– Skoro tak mówisz... Powinniśmy dbać, by nas szanowano. To fundament, na którym należy budować przyszłość rodziny. Lęk trzeba rozpraszać.

– Stryj Cary nie zgodziłby się z tobą.

– Za często widzisz się z Carym. Po co jeździłeś do niego w zeszłym tygodniu?

– Załatwialiśmy rutynowe sprawy. Moim zdaniem twoje rozróżnienie między szacunkiem a lękiem jest zbyt subtelne, ojcze. Szacunek i lęk to uczucia, których nie da się oddzielić.

– Źródłem szacunku jest uczciwość.

– A źródłem lęku nieuczciwość? Och, dajże...

– Może nie nieuczciwość, ale nadużywanie władzy. Za chwilę powiesz, że moralizuję. Cary i ja zawsze się różniliśmy w tej kwestii. Zadaję ci pytanie: czyje nazwisko powinien nosić twój syn?

– Twoje i moje – odparł spokojnie George. – Będzie się nazywał Warleggan. Otworzę mu drzwi do sukcesu, jak ty otworzyłeś mnie.

Nicholas podszedł do paleniska i przesunął dymiące polano, by dym trafiał do kominka.

– Dobrze, synu – powiedziała Agatha, która obudziła się z drzemki. – Kominek nie powinien dymić...

– Na Boga żywego, smród tej staruchy dotarł aż tutaj! – Zirytowany George podszedł do ściany i pociągnął za sznur dzwonka zakończony ozdobnym chwostem. Nicholas Warleggan kasłał. Nalykał się dymu, poprawiając ogień. Czekali w milczeniu na przybycie służącego.

– Przyrowadź braci Harry – rozkazał George.

– Tak, panie.

– Wypij kieliszek madery – rzekł George do ojca.

– Dziękuję, nie mam ochoty. – Nicholas splunął w ogień.

– Żywokost i lukrecja – powiedziała ciotka Agatha. – Moja siostra zmarła na płuca. Pomagały jej tylko żywokost i lukrecja...

W drzwiach pojawiła się barczysta postać Harry'ego Harry'ego, za którego plecami stał jego młodszy brat Tom.

– Sir?

– Zanieście pannę Poldark do jej pokoju, a potem wezwijcie pannę Pipe i powiedzcie, że panna Poldark dziś już nie zejdzie na dół.

Dwaj potężni mężczyźni wzięli mniejszy fotel i posadzili na nim protestującą ciotkę Agathę, która przycisnęła do piersi miauczącego kociaka i wykrakała:

– Twojego syna czeka zły los, George! Dziecko urodzone pod czarnym księżycem rzadko ma szczęście! Znałam tylko dwoje takich dzieci i źle skończyły!

Nicholas spurpurowiał. Jego syn podszedł do stołu, nalał kieliszek wina i nerwowym ruchem podał go ojcu.

– Nie... to jest... Och, dobrze, łyk może mi pomóc.

– Dowie się o tym Elizabeth! – zawołała ciotka Agatha. – Wynoszą mnie z mojego własnego domu jak kawał drewna! Mieszkam w tym domu od dziewięćdziesięciu lat! Dziewięćdziesiąt lat... – Skargi staruszki ucichły za szerokimi plecami Toma Harry'ego, gdy dwaj gajowi wnosili ją po schodach.

– Powinniśmy byli zawieźć Elizabeth do Cardew na rozwiązanie – rzekł Nicholas Warleggan, kaszłając i popijając wino. – Wtedy oszczędzilibyśmy sobie przykrości.

– Uważam, że nasze pierwsze dziecko mogło się urodzić w Trenwith. Nie jest to niestosowne.

– Zamierzasz tu zamieszkać na stałe? Uczynić ten dwór swoim domem?

Na twarzy George'a pojawiła się czujność.

– Nie jestem pewien. Jeszcze nie zdecydowaliśmy. To dom Elizabeth, rozumiesz. Nie mam ochoty go sprzedawać. Nie mam też ochoty utrzymywać go tylko dla wygody Chynowethów i odpadków po Poldarkach. Jak widzisz, wydałem już na niego sporo pieniędzy.

– Rzeczywiście. – Nicholas otarł oczy i schował chusteczkę. Spojrzył na syna. – Trzeba brać pod uwagę jeszcze jednego Poldarka, George.

– Geoffreya Charlesa? Tak. Nie mam nic przeciwko niemu. Obiecałem Elizabeth, że wydam na jego edukację tyle, ile będzie sobie życzyła.

– Nie o to chodzi. Geoffreya Charles jest bardzo przywiązany do matki. Mam nadzieję, że twój syn – to nowo narodzone dziecko – odciągnie uwagę Elizabeth od Geoffreya Charlesa, ale wydaje się konieczne...

– Bardzo dobrze wiem, co wydaje się konieczne, ojczu. Pozwól mi rządzić w moim własnym domu.

– Przepraszam. Chciałem po prostu zasugerować...

George popatrzył ze zmarszczonymi brwiami na płamę na swoim mankiecie. W ciągu ostatnich miesięcy

kwestia przyszłości Geoffreya Charlesa była jednym z nielicznych punktów spornych między nim a Elizabeth.

– Geoffrey Charles musi mieć guwernantkę.

– Ach... Dobrze... Ale w wieku dziesięciu lat...

– Lepszy byłby guwerner albo wyjazd do szkoły, zgadzam się. Jakiejś dobrej szkoły blisko Londynu albo Bath.

Jeszcze... jeszcze nic nie ustaliliśmy.

– Ach...

Po chwili, gdy Nicholas starał się czytać między wierszami, George dodał:

– Zostanie tu jeszcze około roku, przynajmniej do czasu, gdy skończy jedenaście lat. Znaleźliśmy odpowiednią

osobę, która zajmie się jego edukacją.

– Miejscową?

– Z Bodmin. Pamiętasz wielebnego Huberta Chynowetha, tamtejszego dziekana? Brata stryjcznego Jonathana?

– Umarł?

– W zeszłym roku. Jak wszyscy Chynowethowie nie miał majątku i rodzina jest dość uboga. Najstarsza córka

skończyła siedemnaście lat. Ma dobre maniere – jak wszyscy Chynowethowie – i jako takie wykształcenie. Jej

obecność sprawi przyjemność Elizabeth.

Nicholas Warleggan prychnął.

– Myślałem, że w Trenwith jest już dość Chynowethów. Ale jeśli uważasz to za słuszne... Widziałeś ją?

– Elizabeth знаła ją w dzieciństwie. Córka dziekana w roli guwernantki to korzyść pod względem towarzyskim.

– Tak, rozumiem. I będzie wiedzieć, jak się zachować. Problem polega na tym, czy potrafi utrzymać w ryzach

panicza Geoffreya Charlesa. Jest rozpuszczony i potrzebuje silnej ręki.

– W swoim czasie pojawi się silna ręka – odparł George. – To środek przejściowy. Eksperyment. Zobaczymy,

co z niego wyniknie.

Nicholas Warleggan otarł czoło chusteczką.

– Jak tylko ta starucha się wyniosła, mój kaszel minął. Moim zdaniem kaslałem, bo rzuciła na mnie urok.

– Och, nonsens...

– O co jej właściwie chodziło z tym czarnym księżycem?

– W piątek, w chwili narodzin Valentine'a, było zaćmienie, całkowite zaćmienie Księżyca. Nie zauważyłeś?

– Nie, byłem zbyt zajęty.

– Ja również. Ale pisano o tym w „Sherborne Mercury”. Spostrzegłem, że zwierzęta i niektórzy służący byli

bardzo zdenerwowani.

– Matka zejdzie na kolację?

– Tak myślę. Pójdziemy do jadalni za dziesięć minut.

– A zatem... – Nicholas z zażenowaną miną wzruszył ramionami. – Na twoim miejscu nie wspominałbym

matce o głupim gadaniu tej staruchy o czarnym księżycu.

– Nie mam takiego zamiaru.

– Wiesz, jaka jest matka: trochę zbyt przesadna. Zawsze przywiązywała za dużą wagę do znaków i wróżb.

Lepiej jej nie martwić takimi głupstwami.

Rozdział drugi

Późnym rankiem wietrznego marcowego dnia ścieżką dla mułów biegnącą obok maszynowni i zrujnowanych zabudowań kopalni Grambler podążało dwóch młodych mężczyzn. Niebo zasnuwały niskie chmury, od czasu do czasu padał deszcz i wiał porywisty zachodni wiatr szumiący w koronach drzew. Widoczne w dali morze pokrywały spienione fale. W miejscach, gdzie uderzały w skały, tryskały fontanny białego pyłu wodnego.

W pobliżu kopalni stało kilkanaście chat. Nadal mieszkali w nich ludzie, lecz wiele domów było zrujnowanych. Drewniane zabudowania kopalni zdążyły się już rozpaść, ale trzy kamienne maszynownie i pozostałe budynki oparły się żywiołom. Kopalnia Grambler – główne źródło dochodów dawnych członków rodu Poldarków, nie wspominając o trzystu górnikach, robotnikach kruszących rudę i dziewczętach pomagających w kopalni – została zamknięta przed sześciu laty, z nikłym prawdopodobieństwem, że kiedykolwiek wznowi pracę. Był to przynębiający widok.

– Wszędzie to samo – powiedział starszy z wędrowców. – Między Grambler a Illuggan dymi tylko jeden komin. Żal patrzeć. Ale nie powinniśmy się skarżyć, bo to grzech. Miłosierny Bóg postanowił udzielić nam lekcji pokory.

– Idziemy w dobrym kierunku? – spytał Drake. – Nigdy tu wcześniej nie byłem. A może po prostu nie pamiętam? Poszedłem wtedy razem z wami?

– Byłeś za mały i zostałeś w domu.

– Jak daleko jeszcze?

– Pięć, sześć kilometrów. Ja też niezbyt dobrze pamiętam.

Skręcili i ruszyli w dalszą drogę. Obaj byli wysokimi młodymi mężczyznami i na pierwszy rzut oka nie wyglądali na braci. Dwudziestodwuletni Sam, starszy od Drake'a o cztery lata, zachowywał się bardzo poważnie jak na swój wiek. Chodził niezgrabnie i miał szerokie ramiona, a jego szczupłą, głęboko pobrużdżoną twarz wydawała się pełna smutku, jakby dźwigał wszystkie troski świata. Jednak kiedy się uśmiechał, smutne linie zmieniały się w dobroduszne, sympatyczne zmarszczki. Drake był równie wysoki, lecz szczuplejszy i wyjątkowo przystojny, z ładną cerą bez śladów po ospie. Psotny wyraz twarzy sugerował, że lubi żarty: musiał ukrywać tę cechę w obecności ojca. Byli ubogo, lecz przyzwoicie ubrani w granatowe spodnie z barchanu, niskie kamaszki, proste koszule, kamizelki i marynarki. Sam nosił stary kapelusz, a Drake różową pasiastą chustę obwiązaną wokół szyi. Obaj trzymali w rękach niewielkie węzłki i kije.

Przeszli przez strumień Mellingey po kładce, która o mało się pod nimi nie załamała, i podążyli pod górę w stronę sosnowego zagajnika, za którym znajdowała się kolejna zrujnowana kopalnia, Wheal Maiden, nieczynna od pół wieku, o czym świadczył jej wygląd. Wszędzie walały się kamienie. Wszystkie przedmioty mające jakąkolwiek wartość dawno rozkradziono. Sam i Drake spłoszyli stado gawronów.

Znaleźli się w płytkiej dolinie i zauważyli dym. W bezwietrznym dniu dostrzegliby go wcześniej. Zbliżając się do celu wędrówki, zwolnili nieco kroku, jakby zaczęli się wahać, czy naprawdę chcą tam dotrzeć. Schodząc drogą między wysokimi żywopłotami, spoglądali w bok przez paprocie, jeżyny, głogi i dzikie leszczyny i zauważyli maszynownię. Nie wyglądała na nową, raczej odbudowaną, lecz wyposażenie było nowe, podobnie jak stojące wokół drewniane szopy, najwyraźniej znajdujące się w użyciu. Strumień Mellingey, płynący w dolinie, przegrodzono tamą i słychać było huk i grzechot napędzanych wodą maszyn do kruszenia urobku. Hałasy tłumił wiatr, kilkanaście kobiet przemywało rudę cyny, trochę dalej woda poruszała nieckę, która kręciła się w kółko, oddzielając rudę od płonnej skały. Po przeciwległej stronie doliny na stok wzgórza wspinała się karawana objuczonych mułów. Na dnie doliny, oddzielony od kopalni niewielką murawą i rzędem krzaków, stał niski budynek z granitowego ciosu, kryty częściowo dachówkami z łupku, częściowo strzechą, przestronniejszy i okazalszy od domu bogatego farmera. Miał

kilka przybudówek, niskie kominy, nieforemne skrzydło i wielodzielne okna, jednak zupełnie nie wyglądał na rezydencję właściciela ziemskiego. Za budynkiem zaczynał się stok: rozciągało się tam zaorane pole sięgające do przylądka, a po prawej stronie, za ugorem porośniętym krzakami, widać było plażę i szarą powierzchnię morza.

– Nie kłamali – powiedział Drake.

– Chyba masz rację. Kiedy wcześniej tu byłem, wszystko wyglądało inaczej.

– Kopalnia jest nowa?

– Tak myślę. Nanfan mówił, że roboty zaczęto dwa lata temu.

Drake przeciągnął dłonią po gęstej czarnej czuprynie.

– Ładny dwór, ale nie tak wielki jak Tehidy.

– Poldarkowie to drobni ziemianie, a nie wielcy panowie.

– Dla nas i tak wielcy panowie – odparł Drake i zaśmiał się nerwowo.

– Wszyscy ludzie są tacy sami w oczach Przedwiecznego Jehowy – rzekł Sam.

– Może tak, ale nie z Jehową mamy do czynienia.

– Nie, bracie. Ale krew Pana Naszego Jezusa Chrystusa zbawia wszystkich ludzi niezależnie od stanu.

Ruszyli naprzód, przeszli z powrotem przez strumień i zbliżyli się do dworu. Z trawnika zerwało się kilka spłoszonych mew; ich białe skrzydła zatrzepotały na wietrze.

Dwaj młodzi ludzie nie musieli pukać, gdyż otworzyły się frontowe drzwi i wyszła z nich niska, pulchna kobieta w średnim wieku. Miała kasztanowe włosy i trzymała w ręce koszyk. Kiedy zobaczyła gości, zatrzymała się i potarła wolną ręką fartuch.

– Tak?

– Bardzo przepraszamy, ale chcielibyśmy się zobaczyć z panią – odezwał się Sam.

– Proszę jej powiedzieć, że przyszło dwóch przyjaciół.

– Przyjaciół? – Jane Gimlett spojrzała na braci i zawahała się, lecz nie była dostatecznie wyćwiczoną służącą, by zbić ich z tropu. – Zaczekajcie tutaj – powiedziała, po czym weszła z powrotem do dworu. Znalazła Demelzę w kuchni, przemywającą kolano Jeremy'ego, które podrapał, przechodząc przez murek. U jej stóp leżał duży włochaty pies nieokreślonej rasy. – Przed drzwiami stoi dwóch młodych ludzi, mówią, że chcieliby z panią porozmawiać. Moim zdaniem wyglądają jak górnicy.

– Górnicy? Z naszej kopalni?

– Nie, obcy. Chyba z daleka.

Demelza poprawiła kosmyk włosów i wstała.

– Zostań tu, przystojniaku – odezwała się do syna i ruszyła korytarzem do frontowych drzwi. Zmrużyła oczy w jasnym świetle i na początku nie poznała żadnego z braci.

– Przyszliśmy się z tobą zobaczyć, siostró – rzekł Sam. – Ostatnio widzieliśmy się sześć lat temu. Pamiętasz mnie? Jestem Sam, twój młodszy brat, drugi w kolejności. Dobrze cię pamiętam. A to Drake, twój najmłodszy brat. Kiedy opuściłaś dom, miał siedem lat.

– Boże, ależ urosliście! – zawołała Demelza.

Ross poszedł do Wheal Grace z nadsztygarem Henshawe'em i dwoma inżynierami, konstruktorami maszyny parowej. Sprawdzili pęknięcie, które pojawiło się w tłoku pompy. Przed ich przybyciem maszynę zatrzymano na pół dnia i przy okazji oczyszczono kocioł, co należało robić raz w miesiącu.

Kiedy Ross ruszył w drogę powrotną do domu, był zamyślony, lecz pogodny. Doszedł do wniosku, że kopalnia osiągnęła maksymalną wydajność. Zatrudniała trzydziestu sztygarów zmianowych, dwudziestu pięciu górników pracujących na akord, sześciu cieśli i stemplarzy oraz około czterdziestu robotników i robotnic pracujących na powierzchni. W tej chwili wykorzystywano pełną moc maszyny parowej, a woda wypompowywana z poziomu sześćdziesięciu sążni sphywała drewnianym korytem i obracała niewielkie koło wodne, które napędzało drugą, znacznie mniejszą pompę. Później woda sphywała kolejnym kanałem i po przebyciu dziesięciu sążni poruszała

kolejne koło wodne znajdujące się osiemnaście metrów poniżej poziomu pierwszego koła i około dziewięciu metrów poniżej łagodnego stoku. Następnie kierowano ją do płuczkarni zbudowanej tuż nad ogrodem Demelzy. Dużą część wydobytej rudy w dalszym ciągu wysyłano do warsztatu w dolinie Sawle, gdzie ją kruszono i przemywano, ponieważ w dolinie Nampary nie było miejsca na nowe budynki – gdyby je wzniesiono, Ross i Demelza nie mogliby już mieszkać we dworze.

Dalsza rozbudowa kopalni wydawała się nieopłacalna. Instalacja drugiej maszyny parowej albo próba zwiększenia wydajności pierwszej musiały się zakończyć klęską. Węgiel kosztował osiemnaście szylingów za tonę (była to stawka franco statek) i jak dotychczas nawet wojna nie spowodowała wzrostu ceny cyny do poziomu, który zapewniałby godziwy zysk. Ważnym czynnikiem była nowa moda na porcelanę i fajans, których używano zamiast naczyń z cyny. Ta zmiana obyczajów zachodząca w całej Anglii pojawiła się w niesprzyjającym momencie.

Pokłady rudy okazały się jednak bardzo bogate i łatwe do eksploatacji mimo położenia na dużej głębokości, toteż kopalnia przynosiła zyski, gdy wiele innych zbankrutowało lub znajdowało się na granicy bankructwa. Wielkie koncerny w rodzaju United Mines przynosiły przed zamknięciem straty w wysokości jedenastu tysięcy funtów rocznie. Wheal Grace, chociaż niewielka, okazała się bardziej dochodowa, niż Ross się spodziewał, i w ciągu pół roku pochłonęła jego liczne długi niczym dobroduszny Lukullus. Zyski z dwóch miesięcy pozwoliły spłacić tysiąc czterysta funtów długu wobec Caroline Penvenen; po kolejnych dwóch miesiącach Ross uregulował zobowiązania wobec banku Pascoe i mniejsze wierzycelności; do maja powinien spłacić pożyczkę pod zastaw hipoteki zaciągniętą przed dwudziestu laty u Harrisa Pascoe. Wkrótce na jego koncie w banku pojawią się pieniądze: może je zainwestować w pięcioprocentowe obligacje państwowe, trzymać w workach pod łóżkiem albo wydać na najpotrzebniejsze rzeczy.

Myśli o tym wywoływały zawrót głowy. Ross i Demelza jeszcze się nie przyzwyczaili do bogactwa i zachowywali się tak, jakby każdego popołudnia miano wydobyć ostatnią tonę rudy. Tydzień wcześniej Ross zabrał Demelzę do kopalni i pokazał jej dwa stale powiększające się wyrobiska. Rzekomo chciał ją przekonać, ale w istocie pragnął przekonać sam siebie, choć widywał je codziennie. Czuł, że jeśli przekona żonę, sam będzie spokojniejszy.

Kopalnia znajdowała się bardzo blisko dworu, więc Ross prawie codziennie wracał do domu na obiad, który najczęściej podawano około drugiej. W tej chwili była zaledwie pierwsza, ale powinien przejrzeć w bibliotece rachunki kopalni. Odkąd w święta Bożego Narodzenia pogodził się z żoną, spędzał jak najwięcej czasu w domu: to również go uspokajało. O mało się nie rozstali – Demelza postanowiła odejść, siodłała już konia. To, że byli tak bliscy zerwania, wydawało się teraz niewiarygodne. Kiedy się pogodzili, ich miłość się odrodziła. W pewien sposób stali się sobie bliżsi niż kiedykolwiek przedtem, znikły wszelkie mechanizmy obronne. Jednak nowa namiętność miała w sobie coś gorączkowego – wciąż tak było – jakby wyzdrowieli z niemal śmiertelnej choroby i stale musieli się przekonywać, że wszystko naprawdę dobrze się skończyło. Jeszcze nie ufali sobie tak jak kiedyś, całkowicie.

Szczęście i ulgę z powodu sukcesu kopalni mąciła świadomość, że we dworze w Trenwith, położonym w odległości zaledwie sześciu kilometrów, mieszka śmiertelny wróg Rossa. Często o tym zapominali, lecz później myśl wracała niczym ból, który na krótko zelżał, po czym znów staje się dokuczliwy. W takich chwilach odsuwali się od siebie na pewien czas. Ostatnią przykrością były narodziny i chrzest Valentine'a Warleggana. Ross i Demelza nie wypowiadali swoich myśli: było to wykluczone. Ale Caroline Penvenen napisała do Demelzy:

Byłam ogromnie rozczarowana, że Cię tam nie spotkałam, choć, szczerze mówiąc, w ogóle się tego nie spodziewałam, gdyż wiem, jaką głęboką, dozgonną miłość czują do siebie Ross i George. Nigdy wcześniej nie byłam we dworze w Trenwith: to piękna rezydencja. Chłopiec ma ciemne włosy i chyba jest bardziej podobny do Elizabeth. To zdrowe, dość ładne dziecko. (Nigdy szczeg ólnie nie interesowałam się dziećmi, które mają mniej niż trzy lata, ale na pewno Dwight postara się to zmienić!). Na chrzciny zaproszono bardzo wielu gości – nie miałam pojęcia, że rodzina Warlegganów jest tak liczna – a jeden czy dwóch starszych krewnych okazało się nieciekawymi postaciami. Na przyjęciu pojawili się wszyscy sąsiedzi z okolicy, którzy zdecydowali się opuścić domy w taki zimny

dzień.

Później następował szczegółowy opis gości, a następnie Caroline napisała:

Stryj Ray nie mógł ze mną pojechać, był niestety zbyt słaby. Brakuje mu opieki Dwigtha. Ostatni list Dwigtha przyszedł dwa tygodnie temu. Służy na fregacie Travail, lecz wysłał list przed miesiącem, toteż nie wiem, co się z nim teraz dzieje. Zamartwiam się jak usychająca z miłości dziewczyna uwięziona w wieży, a dodatkową przykrość sprawia mi świadomość, że wstąpił do marynarki przeze mnie. Jakże pragnęłabym, by ktoś zakończył tę wojnę...

Chociaż Caroline pisała z przyjaznymi intencjami, Ross wolałby w ogóle nie dostać tego listu. Wywołał on w pamięci żywe wspomnienia dworu i ludzi, których tak dobrze znał. Caroline nie pisała o jednej osobie – Elizabeth. Naturalnie nie znała nawet połowy prawdy, lecz wyraźnie wiedziała wystarczająco dużo, by okazać takt w liście do Demelzy. Ross nie pojechałby na chrzciny, nawet gdyby ich zaproszono, ale w tej chwili wyjątkowo denerwowało go to, że nie ma wstępu do swojego rodzinnego domu, że nie może odwiedzać starej ciotki Agathy, spotkać się z synem stryjecznego brata, zobaczyć, jakie prace remontowe przeprowadzono w Trenwith. W czasie ostatniej niezapowiedzianej wizyty widział dostatecznie dużo, by rozumieć, że dwór zmienia charakter, że staje się obcy.

Kiedy mijał okno salonu, zerknął do środka i zobaczył siedzącą na fotelu żonę pogrążoną w rozmowie z dwoma nieznanymi młodymi mężczyznami.

Natychmiast się odwrócił i wszedł do domu.

Jeremy ześlizgnął się z kolan matki i pobiegł w jego stronę, wołając: „Tata! Tata!”.

Ross wziął go na ręce, uściskał i postawił na podłodze, a tymczasem dwóch młodych ludzi wstało niezgrabnie, nie bardzo wiedząc, co zrobić z rękami. Demelza nosiła gorset z pięknej białej popeliny uszyty z dwóch koszul Rossa i ozdobiony koronką ze starej mantylki, kremową płócienną spódnicę i zielony fartuch; na pasku wisiał pęk kluczy. Jeszcze nie znaleźli okazji, by uzupełnić jej garderobę.

– Pamiętasz moich młodszych braci, Ross? – spytała. – To Samuel, drugi w kolejności, a to Drake, najmłodszy. Przyszli z Illuggan, by nas odwiedzić.

Wahanie.

– Cóż, minęło dużo czasu – rzekł Ross. Uścisnęli sobie ręce, ale z rezerwą, bez ciepła.

– Sześć lat lub coś koło tego – powiedział Sam. – Ojciec przyprowadził nas na chrzciny. Drake nigdy nie był w Namparze. Wtedy był jeszcze za mały.

– Nawet teraz to długa droga – wtrącił Drake.

– Wydaje mi się, że masz dłuższe nogi od Sama – zauważyła Demelza.

– Wszyscy mamy długie nogi, siostrze – odparł trzeźwo Sam. – To po naszej matce. I ty na pewno też masz długie nogi, choć nie można ich zobaczyć.

– Czy zaproponowano wam coś do picia? – spytał Ross. – Macie ochotę na holenderski gin albo kordiał?

– Dziękujemy. Siostra pytała. Może później wypijemy szklanek mleka. Nie bierzemy do ust mocnych trunków.

– No tak... – mruknął Ross. – Cóż, usiądźcie. – Popatrzył na Demelzę, nie wiedząc, czy ich zostawić. Uniosła brew, zapraszając go, by został. Zatem również usiadł.

– Nie przeszkadza nam, gdy inni piją – odezwał się Drake, łagodząc słowa brata. – Ale sami wolimy nie pić.

– Jak się miewa wasz ojciec? – spytał Ross, podążając za oczywistymi skojarzeniami.

– W zeszłym miesiącu Pan Niebios raczył wezwać go do siebie – odpowiedział Sam. – Ojciec zmarł dobrze przygotowany na spotkanie z Odkupicielem. Przyszliśmy powiedzieć siostrze. O tym i o innych rzeczach.

– Och, przykro mi – rzekł Ross. Znów spojrzął na Demelzę, by zobaczyć, jak przyjęła wiadomość o śmierci ojca, lecz nie mógł się zorientować. – Jak to się stało?

– Zmarł na ospę. Nigdy jej nie miał i nagle zachorował. Pochowaliśmy go po tygodniu.

Ross doszedł do wniosku, że głos starszego brata, choć żarliwy, nie jest pełen emocji. Miłość synowska była obowiązkiem, nie wyborem.

– Wszyscy chorowaliśmy na ospę, gdy byliśmy mali – odezwał się Drake. – Zostało nam niewiele śladów.

Miałaś ją, siostró?

– Nie, ale pielęgnowałam was, gdy chorowaliście – odpowiedziała Demelza. – Trzech jednocześnie. Każdego wieczoru ojciec był pijany jak bela.

Zapadło milczenie. Sam westchnął.

– Trzeba mu oddać sprawiedliwość: te czasy dawno minęły. Kiedy się znowu ożenił, nigdy już nie wziął trunku do ust.

– A macocha Nellie? – spytała Demelza. – Zdrowa?

– Jak rydz. Luke się ożenił i wyprowadził. William, John i Bobby poszli w ślady ojca i zostali górnikami, ale zamknięto kopalnię. W Illuggan panuje straszna nędza.

– Nie tylko w Illuggan – wtrącił Ross.

– To prawda, bracie – zgodził się Sam. – Kiedy byłem dzieckiem, wokół Illuggan i Camborne pracowało przeszło czterdzieści pięć maszyn parowych. Dzień i noc, dzień i noc. Teraz są cztery. Zamknięto Dolcoath, North Downs, Wheal Towan, Poldice, Wheal Damsel, Wheal Unity. Lista jest bardzo długa!

– I co robicie?

– Jestem sztygarem zmianowym – odpowiedział Sam. – Gdy mogę dostać robotę. Ale Miłociwy Pan postanowił dotknąć nieszczęściem i mnie. Drake przez siedem lat terminował u kołodzieja. Czasem miał pracę, czasem nie, ale ostatnio dla niego też nic nie ma.

Ross zaczął podejrzewać, jaki jest cel wizyty braci Demelzy, ale powstrzymał się przed wypowiedaniem swoich przypuszczeń.

– Obaj jesteście metodystami? – spytał.

Sam skinął głową.

– Obaj się nawróciliśmy i krocymy drogą Chrystusa, przestrzegając Jego przykazań.

– Myślałam, że nie otrzymałeś łaski – powiedziała Demelza. – Wiele lat temu, kiedy ojciec przyszedł, by namówić mnie do powrotu do domu, mówił, że wszyscy się nawrócili oprócz ciebie, Samuelu.

Sam wydawał się zawstydzony. Dotknął dłonią pobrużdżonej twarzy.

– To prawda, siostró. Masz dobrą pamięć. Ponad dwadzieścia lat żyłem bez Boga w żółci gorzkości i związaniu nieprawości². Ale w końcu Bóg wybaczył mi moje grzechy i uwolnił moją duszę.

– Teraz Sam jest bliżej zbawienia niż pozostali bracia – rzekł Drake.

Ross zerknął na młodszego mężczyznę, w którego głosie zabrzmiał cień ironii, ale blada, spokojna twarz jej nie wyrażała. Drake był podobny do Demelzy: ten sam kolor włosów, oczy, czysta cera. Może również poczucie humoru?

– Nie jesteś pewny samego siebie? – spytał.

Drake się uśmiechnął.

– Czasem błędzę.

– Wszyscy błędzimy, prawda? – odparł Ross.

– Ty też jesteś metodystą, bracie? – zapytał Sam z nadzieją w oczach.

– Nie, nie – odpowiedział Ross. – To była tylko ogólna uwaga o życiu, nic więcej.

Nadbiegł Jeremy i pociągnął Demelzę za spódnicę.

– Mogę wyjść na dwór, mamo? – poprosił. – Mogę się pobawić z Garrickiem?

– Tak, ale uważaj na siebie. Nie wchodź na murki, dopóki rana się nie zagoi.

Kiedy Jeremy odszedł, Sam zwrócił się do Demelzy:

– Masz więcej dzieci, siostró?

– Nie, tylko to jedno. Nasza córeczka umarła. – Demelza wygładziła spódnicę. – A ojciec i wdowa? Pamiętam, że mieli dzieci?

– Dziewczynkę, teraz pięcioletnią, nazywa się Flotina. Troje innych wezwał do siebie Pan.

– Bóg ma dużo na sumieniu – zauważył Ross.

Zapadło niezręczne milczenie. Żaden z młodych mężczyzn nie chwycił przynęty, choć ich ojciec niewątpliwie by to zrobił.

– O której wyszłście dziś z domu? – spytała Demelza.

– Z domu? Tuż po brzasku. Raz źle skręciliśmy i zawrócili nas gajowi. Pomyliłem się, bo myślałem, że szliśmy tamtędy poprzednim razem.

– Możliwe – odparł Ross. – W Trenwith są nowi właściciele, którzy zamykają ścieżki używane od pokoleń.

– Jest za późno, by wracać pieszo do Illuggan – powiedziała Demelza. – Musicie przenocować.

– Dziękujemy, siostrze. – Samuel odchrząknął. – Tak naprawdę, siostrze – i bracie – przyszliśmy prosić o przysługę. W Illuggan wielu ludzi od trzech miesięcy nie miało w ustach kawałka mięsa. Żywimy się chlebem jęczmiennym, cieką herbatą i sardynkami, gdy możemy je zdobyć. Ale się nie skarżymy. Miłosierny Jezus uwalnia nas od głodu duszy. Pijemy z czystej krynicy Jego wiecznej miłości. Jednak wielu ludzi umiera z nędzy i chorób, odchodzi w grzechu.

Umilkł i skrzywił się.

– Mów dalej – rzekł cicho Ross.

– A więc, bracie, słyszeliśmy, że jest tu praca. Doszły nas słuchy, że kopalnia dobrze sobie radzi. Podobno w zeszłym miesiącu przyjęliście do pracy dwudziestu nowych ludzi, a miesiąc wcześniej także dwudziestu. Nie ma lepszego górnik ode mnie, bracie, choć mówię to sam o sobie. Drake jest dobrym rzemieślnikiem, zna się na wielu rzeczach oprócz kołodziejstwa. Przyszliśmy zobaczyć, czy jest tu dla nas praca.

Jeremy przed chwilą wyprowadził Garricka do ogrodu, pies skakał wokół niego i szczekał. Ross przygryzł palec i spojrzał na Demelzę. Trzymała dłonie na kolanach i skromnie spuściła oczy, nie zdołała jednak ukryć przed Rossem, że intensywnie myśli i że wyrobiła już sobie zdanie na temat prośby braci, ale nie uczyniła żadnego znaku, chcąc prawdopodobnie, by sam podjął decyzję.

Bardzo dobrze, lecz sprawa bezpośrednio jej dotyczy. Trudno mu odmówić: to bracia Demelzy znajdują się w potrzebie, a jemu dobrze się powodzi. Jednak Demelza musiała uciekać przed swoją rodziną – głównie przed ojcem. Nie ulegało wątpliwości, że pamiętano ją jako córkę górnik, ale gdy przed czterema laty została żoną Rossa, zaczęto ją przyjmować w towarzystwie. Teraz, mając pieniądze, mogą żyć na jeszcze wyższej stopie. Eleganckie ubrania, trochę biżuterii, odnowiony dwór. Mogą przyjmować gości i obracać się w wyższych sferach. Demelza nie byłaby normalną kobietą, gdyby po latach ubóstwa nie miała takich ambicji. Czy chciałaby, by pokrzyżowali jej szyki dwaj bracia mieszkający w pobliżu Nampary, pracujący fizycznie, mówiący językiem ludu, przyznający się do pokrewieństwa z nią i domagający się specjalnego traktowania, co tylko by ją wprawilo w zakłopotanie? Musieliby utrzymywać kontakty ze wszystkimi pracującymi w kopalni Rossa: górnikami, ludźmi obsługującymi maszyny, płukaczami, robotnikami zajmującymi się wentylacją wyrobisk, chłopcami i dziewczętami pomagającymi w kopalni, parobkami, dzierżawcami, służącymi. W tej chwili, chociaż wszyscy wiedzą, że Demelza pochodzi z górniczej rodziny, uznają ją za panią Poldark. Relacje Demelzy z otoczeniem są wyjątkowo dobre: ludzie szczerze ją lubią, szanują, poważają. Jak może się to zmienić po przybyciu dwóch braci Carne? A jeśli później pojawi się trzech lub czterech następnych? Jeśli się ożenią z dziewczętami z okolicy? Czy Demelza chciałaby mieć wokół siebie gromadę krewnych, ubogich, niezadowolonych, roszczących sobie pretensje do lepszego traktowania niż reszta mieszkańców? Szczególnie dotyczy to kobiet, bo nie mają takiej umiejętności oceny sytuacji jak mężczyźni.

– Wheal Leisure to niewielka kopalnia – rzekł Ross. – Łącznie zatrudniamy niespełna stu ludzi, którzy pracują pod ziemią i na powierzchni. Dopiero od niedawna nam się polepszyło. Dziewięć miesięcy temu pojechałem do Truro, by sprzedać maszynę parową i wyposażenie naziemne właścicielom Wheal Radiant. Jednak nagle znaleźliśmy tak wielkie złoża cyny, że nawet przy obecnej niskiej cenie rudy osiągamy duże zyski. Wszystkie znaki na ziemi i niebie mówią, że dwie żyły będą coraz szersze i grubsze. Przed nami co najmniej dwa lata pracy. Nie

jestem w stanie powiedzieć, co będzie później. Ale cena cyny jest tak niska, a marża zysku tak niewielka, że rozsądek nakazuje nie powiększać skali robót. Po pierwsze dlatego, że zwiększona podaż cyny spowoduje spadek ceny. Po drugie – im dłużej trwa wojna, tym większe szanse na wzrost zapotrzebowania na metale, co wywoła wzrost cen. Dlatego musimy odmawiać wielu ludziom, którzy przychodzą do nas w poszukiwaniu pracy.

Ross urwał i spojrzał na dwóch młodych ludzi. Nie był pewien, czy rozumieją, co mówi, lecz wydawali się podążać za tokiem jego myśli.

– Nie chcemy zabierać pracy innym – powiedział Sam.

– Muszę się porozumieć w tej sprawie z nadsztygarem Henshawe’em – rzekł Ross. – Najlepiej zrobić to rano. Dlatego proponuję, byście spędzili noc w Namparze. Myślę, że możemy was ulokować w domu albo w stodole.

– Dziękujemy, bracie.

Demelza odgarnęła włosy z czoła.

– Przyjmowaniem do pracy robotników zajmuje się nadsztygar Henshawe i gdy z nim rozmawiam, będę wiedział coś więcej. A tymczasem poczęstujemy was obiadem.

– Dziękujemy, bracie.

– Myślę, Samuelu i Drake’u, że możecie nazywać mnie siostrą – odezwała się. – Ale mojego męża powinniście nazywać kapitanem Poldarkiem.

Na twarzy Sama pojawił się uśmiech.

– Chętnie, sostro. Prosimy o wybaczenie. Metodyści mają zwyczaj nazywać wszystkich braćmi. To tylko sposób wyrażania się.

Ross zacisnął usta.

– Niechaj tak będzie – powiedział w końcu. – Rano rozmawiam z nadsztygarem Henshawe’em. Powinniście jednak rozumieć, że nie obiecuję wam pracy. Przrzekam tylko, że to z nim przedyskutuję.

– Dziękujemy – odparł Sam.

– Dziękujemy, kapitanie – dodał Drake.

Demelza wstała.

– Powiem Jane, że na obiedzie będą dwie dodatkowe osoby.

– Dziękujemy, sostro – rzekł Sam. – Ale pamiętaj, że nie przyszliśmy po to, by się najeść.

– Rozumiem.

Ross poprosił dwóch młodych ludzi, by znów usiedli, po czym wyszedł za Demelzą. Kiedy dogonił ją w korytarzu, uszczypnął ją w pupę, a ona wydała z siebie przytłumiony pisk.

– Nie przekazałaś mi żadnego znaku, czy chcesz, żebym dał im pracę, czy nie – rzekł.

– To twoja kopalnia, Ross.

– Ale twoja decyzja.

– Wobec tego odpowiedź brzmi: tak. Naturalnie, że chcę.

Tego wieczoru, leżąc w łóżku, Ross powiedział:

– Rozmawiałem z Henshawe’em i możemy ich przyjąć. Oczywiście jeśli zgodzą się na warunki, które zaproponujemy. Nie chcę zatrudniać więcej sztygarów zmianowych i nie chcę nikogo zwalniać, ale jest miejsce dla jednego dodatkowego robotnika akordowego. Drake mógłby pracować w maszynowni, jeśli mu to odpowiada.

– Dziękuję, Ross.

– Zdajesz sobie sprawę, że obecność tych młodych mężczyzn może być dla ciebie krępująca?

– Dlaczego?

Ross opisał kilka ewentualności.

– Tak, to możliwe – odrzekła. – Będę musiała to znieść, prawda? I ty także.

– Nie w tym samym stopniu. Tak czy inaczej, decyzja należy do ciebie. Muszę powiedzieć, że dziś po południu byłaś równie nieprzenikniona jak wtedy, gdy graliśmy w wista i zapomniałaś, jaki jest kolor atutowy.

– Ile razy mi się to przytrafiło? Tylko raz! – Usiadła, oparła się łokciem o poduszkę i spojrzała na Rossa. – Mówiąc poważnie, Ross, chociaż jestem twoją żoną i wszystko z tobą dzielę, to ciągle twoja posiadłość, twoja kopalnia, twoi robotnicy. Jeśli zatem nie chcesz zatrudnić tych młodych mężczyzn, odeślij ich i nie myśl o tym, że to moi bracia! Masz prawo to zrobić, a ja nie będę się skarżyć.

– Ale chcesz, żeby zostali?

– Tak, chcę, żeby zostali.

– To wystarczy. Nie ma potrzeby mówić nic więcej.

– Trzeba powiedzieć coś jeszcze, Ross. Nie możesz się spodziewać, że będę się godnie zachowywać w domu, jeśli szczypiasz mnie w tyłek niemal na ich oczach!

– Wszystkie damy z wyższych sfer nauczyły się to znosić – odparł Ross. – Na tym polega ich wyższość, że znoszą to w milczeniu.

Demelza już miała rubaszenie odpowiedzieć, lecz się powstrzymała. W trakcie żartobliwej szermierki słownej w dalszym ciągu pojawiały się między nimi rozdzwęki. Ross prawdopodobnie to wyczuwał, zdawał sobie sprawę, że chyba nie ma szans na pokonanie żony w pojedynku słownym. Położył rękę na kolanie Demelzy pod jej koszulą nocną i trzymał nieruchomo.

– Gdzie ich ulokujesz? – spytała.

– Myślałem o Mellin. Teraz, po śmierci starego Joego Triggsa, ciotka Betsy ma wolny pokój. Jej też by to pomogło.

– Chyba poznałabym Sama, ale nigdy bym się nie domyśliła, że ten drugi to Drake, wiesz? – rzekła zamyślonym głosem Demelza.

– Jest do ciebie trochę podobny, prawda? – rzekł Ross.

– Co masz na myśli?

– Hm, cera, kształt twarzy. I wyraz oczu.

– Jaki?

– Powinnaś wiedzieć... Buntowniczy, przekorny.

Demelza cofnęła kolano.

– Wiedziałaś, że powiesz coś niemiłego.

Ross położył rękę na jej drugim kolanie.

– Wolę tę nogę. Masz na niej bliznę po tym, jak spadłaś z wiązu, gdy miałaś piętnaście lat.

– Nie. Wtedy tylko się podrapałam. Blizna powstała, kiedy przewróciłam na siebie szafę.

– Widzisz? Dokładnie o to mi chodzi. Buntownicza, przekorna...

– I coraz bardziej poobijana, zmęczona...

– Prawie tego nie widać. Skazy urody ukochanej osoby są jak ozdobniki wzbogacające utwór muzyczny.

– Boże, jak ładnie o tym opowiadasz... – westchnęła Demelza. – Lepiej idź spać, bo zacznę myśleć, że mówisz poważnie.

– Piękne opowieści zawsze należy brać poważnie.

– Będę je brała poważnie, Ross. Dziękuję. I przyrzekam ci o nich nie przypominać w jaskrawym świetle dnia.

Przez pewien czas leżeli w milczeniu. Rossa ogarnęła senność. Snuł leniwe rozmyślenia o miłych, dających satysfakcję aspektach swojego życia – nie o irytujących Warlegganach mieszkających w sąsiedniej posiadłości, nie o Elizabeth i jej synu, nie o niepewnym wyniku wojny, tylko o zyskach z kopalni, uwolnieniu się od ciężaru długów, własnej miłości do żony i syna. Jak dotąd nie zaangażowali dodatkowej służby i zaniedbali gospodarstwo, podekscytowani sukcesami górniczymi. Ross myślał o sianokosach i zaoraniu długiego pola, o spacerze po twardym piasku plaży Hendrawna, o planach remontu biblioteki, zakupach w Truro, wprowadzaniu żony w eleganckie towarzystwo.

– Jest jeszcze sprawa dzieci, Ross... – odezwała się nagle Demelza.

– Jakich dzieci?

– Naszych. Uważam za prawdopodobne, że przed końcem roku nasz przychówek się powiększy.

– Co takiego?! – Wrócił na ziemię z przyjemnych marzeń. – Naprawdę?! Jesteś pewna?!

– Niecałkowicie. Ale w tym miesiącu nie miałam niewieściej przypadłości, a jak wiesz, pojawia się u mnie regularnie jak w zegarku. Ostatnio się na mnie gniewałeś, że nie powiedziałam ci dostatecznie szybko, więc teraz postanowiłam cię uprzedzić.

– Wielki Boże! – zawołał Ross. – Zupełnie się tego nie spodziewałem!

– Byłoby trochę dziwne, gdybyśmy nie mieli dziecka – odparła Demelza. –

Od Bożego Narodzenia nic innego nie robimy, prawda?

– Chcesz przestać?

– O nie, skądże. Ale to żadna niespodzianka.

– Tak, chyba masz rację.

Zapadło milczenie.

– Zdenerwowałeś się? – spytała Demelza.

– Nie zdenerwowałem, ale nie jestem też w siódmym niebie. Nie z tych samych powodów co poprzednio: będę szczęśliwy, mając drugie dziecko. Chodzi o niebezpieczeństwa, na które cię to naraża. Przez długi czas stałe coś nam groziło i teraz, gdy już uwolniliśmy się od ciężaru długów i groźby nędzy, wolałbym przez rok lub dwa nie dawać nowych zakładników fortunie.

– Jesteśmy zakładnikami fortuny po prostu dlatego, że żyjemy.

– Naturalnie. Mówię jak tchórz. Przemawia przeze mnie lęk, nie lęk o siebie, tylko o ludzi, na których mi zależy.

Demelza poruszyła się lekko.

– Może to tylko fałszywy alarm? Nie martw się o mnie. Już dwa razy wszystko było w porządku.

– Kiedy miałyby to nastąpić?

– Chyba w listopadzie.

– Pamiętasz burzę, która rozpętała się w chwili narodzin Julii? Nigdy nie widziałem takiej gwałtownej burzy. Kiedy gnałem po starego Choake'a, wiatr zwał z nóg.

– A Choake w ogóle się nie przydał. Wszystkim zajęła się żona Zacky'ego Martina. Znacznie bardziej jej ufam.

– Słyszałem, że przy porodzie Elizabeth asystował nowy lekarz z Truro, Behenna. Zdaje się, że niedawno przyjechał z Londynu i zna się na swoim fachu.

Nastąpiła chwila ciszy, co zwykle zdarzało się, gdy padało imię Elizabeth. Ani Ross, ani Demelza nie robili tego celowo: rozmowa zamierała samoistnie.

– Gdyby przy porodzie miał mi asystować mężczyzna, wolałabym Dwighta. Powinien wrócić do listopada.

– Nie liczyłbym na to. Na razie nie widać końca wojny.

– Wkrótce muszę pojechać do Caroline. Jeszcze się jej nie odwdzięczyliśmy jak należy.

– Właśnie o tym myślałem, gdy wracałem dziś z kopalni. Ale nie chcę, żebyś tam jechała w tym stanie, trzęsła się w siodle. To daleka droga...

– O Boże, jeszcze przez wiele miesięcy mogę biegać, Ross, i nic mi nie będzie! Skoro Caroline nie chce odejść od łóżka stryja, jedno z nas powinno ją odwiedzić. Na pewno bardzo się męczy, nie mogąc z nim porozmawiać o swoim niepokoju o Dwighta.

– Dziesięć minut temu leżałem pogrążony w przyjemnych marzeniach

– rzekł Ross. – Teraz jestem całkowicie rozbudzony, a miły kokon, jaki wokół siebie utkałem, został rozdarty przez jedną krótką nowinę. To, co powiedziałaś, wywołuje we mnie radość, ale jestem zbyt przejęty, by spać.

– Chcesz spać? – spytała Demelza.

– Nie... jeszcze nie.

Poruszył głową, przytulił policzek do jej policzka i leżeli przez chwilę, cicho oddychając.

– Mam nadzieję, że to dziewczynka, ale nie taka jak ty – powiedział. – Wystarczy mi jedna Demelza.

Rozdział trzeci

Do drzwi dworu w Killewarren podjechał wysoki, około czterdziestoletni mężczyzna o pociągłej, pełnej godności twarzy, następnie zsiadł z konia i ujął sznur dzwonka. Nosił brązowy strój jeździecki z nankinu uszyty przez drogiego krawca, wyglansowane wysokie buty o tak ciemnym odcieniu brązu, że wydawały się prawie czarne, i czarny jedwabny halsztuk. Po obu stronach na wysokości twarzy sterczały rogi kołnierzyka. Mężczyzna był gładko ogolony i miał ciemne włosy, nieco posiwiałe na skroniach. Nie nosił peruki.

Kiedy pojawił się służący, gość spytał o pana Raya Penvenena.

– Pan dziedzic źle się czuje, sir. Proszę łaskawie iść za mną. Kogo mam zaanonsować?

– Unwina Trevaunance’a.

Przybysza wprowadzono do dużego salonu na pierwszym piętrze. Popatrzył na splecione aksamitne kotary, eleganckie, lecz podniszczone meble i wytarte tureckie dywany. Odkąd mniej więcej przed czterema laty po raz ostatni odwiedził Killewarren, dwór jeszcze podupadł. W jednym z rogów lustro wiszącego nad kominkiem pojawiła się pleśń. Od ściany odklejał się kawałek grubej tapety. Unwin zmarszczył z niesmakiem nos, przesunął palcem po gzymsie kominka i spojrzał na opuszkę, szukając śladów kurzu. Postanowił nie siadać.

Po mniej więcej pięciu minutach do salonu weszła Caroline Penvenen. Ku irytacji Unwina niosła swojego mopsika, który warknął, a później zaszczekał na widok gościa.

– Unwin! Cóż za niespodzianka! – powiedziała Caroline. – Horacy też cię pamięta! Nie bój się, kochanie, nie pozwolę temu wielkiemu dżentelmenowi cię zjeść. Widziałam cię na chrzcinach u Warlegganów, ale nie zamieniliśmy ani słowa.

– To prawda. – Trevaunance pochylił wielką głowę nad dłonią Caroline, trzymając się jak najdalej od psa. – Zauważyłem, że twój stryj jest nieobecny, i wtedy powiedziano mi o jego chorobie. Pomyślałem, że mógłbym go odwiedzić. Ufam, że czuje się lepiej?

– Niestety, nie czuje się lepiej. Ale dziękuję za uprzejmość, powiem mu, że nas odwiedziłeś.

– Nie mogę go zobaczyć?

Caroline pokręciła głową.

– Lekarz zabronił mu przyjmować gości. Szczerze mówiąc, obawiam się, że zanadto by go to zmęczyło.

– Kto go leczy?

– Doktor Sylvane z Blackwater.

– Nie znam go. Lecz rzadko bywam w Kornwalii. Czy jest... skuteczny?

– Dziwnie to nazywasz... Nie znam odpowiedzi na twoje pytanie, Unwinie. Stryj Ray czuje się coraz gorzej. Mogą to być postępy choroby, której nie powstrzyma żaden lekarz, nawet najbardziej skuteczny.

Unwin zerknął przez okno. Uderzały w nie strugi deszczu.

– Okropna ulewa. Kwietniowy deszcz... Muszę prosić, byś pozwoliła mi ją przeczekać w waszym dworze.

– Będzie mi bardzo miło. Napijesz się czegoś? Mamy trochę dobrej francuskiej brandy, którą niedawno przemycono. A może piwo albo kieliszek madery?

– Dziękuję. Brandy, jeśli to nie nazbyt wielki kłopot.

Caroline pociągnęła za sznur dzwonka i wydała polecenia służącemu. Unwin obserwował ją z nieskrywanym zainteresowaniem. Doszedł do wniosku, że nie wypiękniała od czasu, gdy poznał ją w domu jej stryja w Oxfordshire. Miała wtedy osiemnaście lat i była wysoką, kapryśną, rudowłosą dziewczyną o wybitnej urodzie. A także spadkobierczynią majątku dwóch bogatych starych kawalerów znanych ze skapstwa. Czy można sobie wyobrazić lepszą kandydatkę na żonę? Pojechał za nią do Kornwalii i po osiemnastu miesiącach sporadycznych

załotów uznał, że ją złowił, gdy nagle zerwała się z haczyka i oświadczyła, że nie chce mieć z nim nic wspólnego. Później pojawiły się plotki o jej zaręczynach z lordem Conistonem, lecz w końcu za niego nie wyszła. Unwin sądził, że zna przyczynę tego stanu rzeczy. Był to jeden z powodów jego dzisiejszej wizyty. Okazało się, że Caroline nie jest już tak ponętna jak dawniej. Jej wysoka, szczupła sylwetka stała się kanciasta, cera straciła świeżość. W wieku dwudziestu dwóch lat w dalszym ciągu była piękną i zwracała na siebie uwagę wzrostem i postawą, lecz zauważało się pewien regres, co sprawiło Unwinowi przyjemność. Może w końcu stanie się mniej kapryśna i uparta.

Kiedy przyniesiono brandy, Unwin wypił łyk i ugryzł ciasteczko.

– Mm, bardzo dobra brandy. A zatem wojna nie wpłynęła na handel z drugim brzegiem kanału La Manche?

– Nie. Wszyscy mówią, że nawet się zwiększył.

– Mniej ludzi do pilnowania wybrzeża, co? Ale handel z wrogiem to poważna sprawa. Okazja do szpiegostwa, sprzedaż informacji, osłabianie blokady. Powinien się o tym dowiedzieć Pitt.

Caroline pozwoliła Horacemu ześlizgnąć się z kolan. Mops potoczył się po podłodze, a następnie się położył. Oddychał ze świstem i posapywał, podejrzliwie spoglądając na Unwina przekrwionymi ślepiami.

– Mam nadzieję, że twoja kariera rozwija się pomyślnie?

– Owszem. W tym roku w końcu zatwierdzono mój wybór na posła do Izby Gmin i usunięto mojego rywala. Obiecano mi stanowisko podsekretarza stanu, mam je wkrótce otrzymać i cieszę się z tego. Prawdopodobnie będę się zajmować finansami. Zdobycie pieniędzy na prowadzenie wojny to jeden z najważniejszych tematów, którymi musimy się zająć.

– Sądziłam, że równie ważna jest walka – zauważyła Caroline.

– To także. Bardzo brakuje nam żołnierzy i oficerów. Zastanawiam się, czy Ross Poldark nie myśli o powrocie do sześćdziesiątego drugiego regimentu piechoty.

– Powinieneś go spytać.

Unwin znów spojrzął przez okno.

– Powiedz mi, Caroline. Twój stryj... Mam nadzieję, że wkrótce nie nastąpi... Lekarz nie przewiduje tragicznego końca?

– Doktor Sylvane nigdy nie powie, że spodziewa się śmierci pacjenta, dopóki ten jeszcze oddycha albo reaguje na dotknięcie palca u nogi, ale muszę przyznać, że nie mam wielkich nadziei.

– Jeśli to się stanie, co wtedy zrobisz? Wrócisz do Londynu? Nie możesz zostać sama w Killewarren.

– Dlaczego nie? Jeszcze nie podjęłam decyzji. Wolę żyć z dnia na dzień.

– Oczywiście... Często się zastanawiam, co by się stało, gdybyś nie pokłóciła się ze mną tamtego wieczoru w maju.

Caroline się uśmiechnęła.

– Cóż, wtedy zostałabym twoją żoną, Unwinie. Nietrudno to zgadnąć. Ale nie byłabym dla ciebie dobrą żoną.

– Pozwól mi mieć własne zdanie na ten temat. Sądzę, ośmielam się sądzić, że byłabyś szczęśliwsza. Nie jestem potworem. Większość ludzi uważa mnie za dość miłego człowieka. Coś znaczę w świecie. Żyłabyś pełnią życia, poznałabyś ciekawych ludzi. Nawet gdybyś mnie nie kochała, byłibyśmy wspaniałą parą. Czułabyś się znacznie lepiej niż teraz, żyjąc samotnie z dala od Londynu i przyjaciół z Oxfordshire...

– I opiekując się chorym starcem – dokończyła Caroline. – O tak, moje życie wyglądałoby inaczej. I twoje również. Wszystkie decyzje, jakie podejmujemy, wpływają na nasze życie. Jeśli wybiorę się jutro na przejażdżkę konną, nie będę siedziała przy kominku. Gdybyś dziś rano nie odwiedził stryja Raya, nie naraziłbyś się na to, że przemokniesz w drodze powrotnej do domu. Stale dokonujemy wyborów. Czy to nie o tym mówią duchowni wygłaszający kazania o wolnej woli?

Unwin wysunął do przodu dolną wargę. Nie lubił takich żartów.

– To prawda, moja droga. Ale decyzje nie muszą być nieodwołalne. Gdybyś chciała, wszystko jest jeszcze

możliwe.

Horacy, dotknięty stopą pani, przewrócił się na bok i wydał z siebie krótkie szczeknięcie. Później zapadła cisza i słyhać było tylko plusk deszczu, a czasem kapanie wody sączącej się przez dach.

– Ślub z tobą, Unwinie? Dlaczego myślisz, że mogłabym zmienić zdanie?

– Nie zakładam, że je zmieniłaś. Ale oboje jesteśmy starsi. To, co powiedzieliśmy dwa lata temu, gdy byliśmy rozgorączkowani, nie musi być ostateczne. Tymczasem ty nie wyszłaś za mąż, a ja się nie ożeniłem. Wszystko jest jeszcze możliwe.

Caroline wygładziła koronki z Mechelen na swoich nadgarstkach. Jej piękne oczy zamglily się na chwilę i Unwin pomyślał, że przyjmie oświadczyzny. Później gwałtownie pokręciła głową.

– Dziękuję, ale nie, Unwinie, to niemożliwe. Nie dla mnie. Kiedy zerwaliśmy ze sobą tamtego wieczoru w maju po przyjęciu u twojego brata, może wyrażałam się nieco niegrzecznie, mało pochlebnie. Zechciej mi to wybaczyć, złóż to na karb mojego temperamentu i młodości. Ale nie zmieniłam zdania. Nie mogłabym wyjść za ciebie. Przykro mi. Dziękuję jednak, że prosisz mnie jeszcze raz o rękę: uważam to za komplement.

Unwin wypił łyk brandy. Wyciągnął długie nogi i spojrzał na plamę błota na lśniących butach do jazdy konnej. Zjadł resztę ciasteczka.

– Cóż, wybór należy do ciebie. Nie chcę go kwestionować. Ale może zawrzyjmy umowę, że dopóki jedno z nas nie poślubi kogoś innego, drzwi nie są całkowicie zamknięte. Gdybyś kiedykolwiek zmieniła zdanie, a mnie nie będzie w Kornwalii, John zna mój adres.

– Dziękuję, Unwinie. – Już zamierzała powiedzieć, że nic nie skłoni jej do napisania listu, ale była teraz dojrzalsza i nie zrobiła tego przez wzgląd na jego uczucia. – Powiem stryjowi, że nas odwiedziłeś.

Przestało padać i między chmurami pojawiło się błękitne niebo, lecz framugę okna w dalszym ciągu pokrywały krople wody.

– Zdaje się, że twoim stryjem opiekował się młody lekarz. Jak się nazywał? Enys, Dwight Enys.

Caroline zastanawiała się, czy pytanie ma ukryty podtekst. Trudno było zgadnąć, jak daleko docierają plotki i czy ktoś poza najbliższymi znajomymi wie o jej romansie z Dwightem.

– Doktor Enys postanowił wziąć udział w wojnie. W okresie Bożego Narodzenia wstąpił do marynarki wojennej, oczywiście jako chirurg, i teraz służy na fregacie patrolowej należącej do Eskadry Zachodniej. Stryjowi bardzo brakuje jego opieki.

– Ciekawe. Mam nadzieję, że nie brał udziału w bitwie w zeszłym tygodniu.

– Jakiej bitwie? Nic o niej nie słyszałam.

– Byłem wczoraj w Falmouth i wszyscy o tym mówili. Eskadra Neda Pellewa. Podobno walka trwała jedenaście godzin i toczyła się w czasie wścieklej wichury. Sir Edward to wielki człowiek. Potrzebujemy więcej takich dowódców.

Horacy mruzczał i pochrapywał, jakby nagle zapadł w sen.

– Wiadomości ze świata docierają do nas z wielkim opóźnieniem – rzekła po chwili Caroline. – Proszę, podaj mi więcej szczegółów, jeśli je znasz.

– Szczegółów? Ach, o bitwie... Cóż, są dość skąpe. Zdaje się, że Pellew dowodził Arethusą i dwoma innymi okrętami. Jego eskadra zauważyła i zaatakowała francuski okręt liniowy i fregatę. Nie znam się na rozmiarach okrętów wojennych, ale wyobrażam sobie, że francuski okręt liniowy był największą jednostką biorącą udział w walce. Doszło do wścieklej bitwy; w rezultacie oba okręty francuskie zniosło na brzeg i skończyły jako kompletne wraki. My straciliśmy jeden okręt.

– Jeden? Chcesz powiedzieć, że zatonał?

– Wichura wyrzuciła go na brzeg, podobnie jak okręt Francuzów. Arethusa i druga fregata bezpiecznie odplynęły. Wczoraj mówiło o tym całe miasto. We wszystkich piwiarniach tłumy ludzi z gminu piły za zdrowie Neda Pellewa.

– Mam kilku przyjaciół w Eskadrze Zachodniej – powiedziała Caroline. – Zdaje się, że służą na Arethusie i towarzyszących jej okrętach. Znasz ich nazwy?

Unwin dopił brandy.

– Coś słyszałem. Wymieniano je kilka razy, ale trudno je zapamiętać. Są do siebie bardzo podobne.

Zza chmur wyszło słońce, którego promienie oświetliły drzewa, mokre dachy z łupku i kamienne płyty dziedzińca. Na parterze, w stajni znajdującej się bezpośrednio pod salonem, rżały i parskały konie.

– Zaczekaj... – rzekł Unwin. – Już mam. Jeden to Travail, dowodzony przez kapitana Harringtona, a drugi nazywał się Mermaid, ale nie pamiętam nazwiska dowódcy. Może Banks? Nie jestem pewien.

– Który zniosło na brzeg?

– Chyba Travail. Tak, na pewno, bo Harrington poległ w walce, a Mermaid niebezpiecznie zbliżył się do brzegu, usiłując ratować rozbitków... Moja droga Caroline, czy na pokładzie był jakiś twój dobry znajomy? Mam nadzieję, że nie wytrąciłem cię z równowagi?

– Nie, nie – odpowiedziała w zamyśleniu, po dłuższej chwili. – Po prostu nagle przebiegł mnie dreszcz.

W niewielkim domu z portykiem na końcu głównej ulicy Falmouth, skąd rozciągał się widok na wejście do portu, Verity Blamey z domu Poldark kładła spać synka, gdy nagle rozległo się pukanie do drzwi. Słońce niedawno skryło się za wzgórzami i nad St Mawes zebrały się strzępiaste chmury. Woda poszarzała i przybrała kolor pokrytej patyną cyny. W oknach i na masztach zaczęły błyskać światła.

Pani Stevens wyszła z wizytą do przyjaciółki, toteż Verity była sama w domu. Przed zejściem na dół wyjrzała przez okno salonu i zobaczyła, że gościem jest wysoka młoda kobieta trzymająca za uzdę konia. Verity zeszła i otworzyła drzwi.

– Jest pani żoną kapitana Andrew Blameya?

– Panna Penvenen, prawda? Co się stało? Żle się pani czuje?

– Mogę wejść? Czy mój koń będzie tu bezpieczny?

– Tak, tak. Proszę.

Wysoka dziewczyna wspięła się schodami za Verity. Miała zaróżowione policzki i Verity w pierwszej chwili pomyślała, że to objaw gorączki. Weszły do salonu.

– Nigdy się nie poznałyśmy – rzuciła obcesowo, bez żadnych wstępów Caroline. – Przez tyle lat. Chociaż mamy wielu wspólnych przyjaciół. Potrzebuję pomocy, więc postanowiłam przyjechać do pani. Czy to nie dziwne?

– Naturalnie, że nie. Jest pani wielką przyjaciółką Rossa. Z przyjemnością udzielię pani pomocy. Najpierw proszę usiąść i czegoś się napić.

– Nie. – Caroline stanęła przy oknie, trzymając w dłoni szpicrutę. – Chcę wiedzieć... Nie jestem pewna, czy może mi pani pomóc. Przed chwilą przyjechałam z Killewarren.

– Z Killewarren? Bez asysty?

– Och, nieważne. – Caroline lekceważąco machnęła ręką. – A może jednak gdzieś się spotkałyśmy? Na przykład na jakiejś oficjalnej uroczystości? Od razu mnie pani poznała.

– Widziałam panią dwa razy. Po raz pierwszy w Bodmin cztery lata temu.

– Na pewno słyszała pani o mnie, tak jak ja słyszałam o pani. Ross musiał mówić o mnie i mojej przyjaźni z Dwightem Enysem.

– Tak. O tak.

– Czy wspomniał, że w czasie Bożego Narodzenia zaręczyłam się z Dwightem?

Verity zapięła pod szyją guzik skromnej płóciennej sukienki. Nie wiedziała, co tak wytrąciło Caroline z równowagi, ale nagle przybycie ubranej w jasne kolory, eleganckiej młodej kobiety sprawiło, że poczuła się szara i zaniedbana, jak brzydka ćma przy pięknym motyłu. Słyszała o skłonności Caroline do niekonwencjonalnych zachowań i dramatycznych gestów i zastanawiała się, czemu zwraca się właśnie do niej.

– Nie widziałam Rossa ani innych krewnych od Bożego Narodzenia. Demelza napisała dwa listy, ale o tym nie

wspomniała.

– Mieliśmy to zachować w tajemnicy przed moim stryjem, który nie aprobeje naszych zaręczyn... i jest śmiertelnie chory. Chcieliśmy utrzymać wszystko w sekrecie, dopóki Dwight nie wróci do Anglii, a później razem porozmawiać ze stryjem. Z mojego powodu, z powodu... kłopotów, jakie się pojawiły, Dwight wstąpił do marynarki wojennej. – Caroline wydawała się zdyszana.

Verity podeszła do stolika pod ścianą i wzięła karafkę. Napełniła kieliszek, który Caroline przyjęła ze skinieniem głowy, lecz nie wypła ani kropli trunku.

– Wiem, że doktor Enys wstąpił do marynarki – powiedziała Verity. – Nie znałam przyczyny.

– Odplynął tuż po świętach, dostałam od niego dwa listy. Jego okręt patroluje kanał La Manche, wchodzi w skład Eskadry Zachodniej sir Edwarda Pellewa. Dwight służy jako chirurg na fregacie.

Verity popatrzyła na Caroline.

– Tak? Ach... Czy to znaczy, że brał udział w ostatniej bitwie?

– Nie jestem pewna. Ale dziś rano ktoś mnie odwiedził i wspomniał o bitwie. Podobno jeden angielski okręt zatonał. Zna pani jego nazwę?

– Muszę się zastanowić... Proszę chwileczkę poczekać: mam gazetę. – Verity przeszła przez pokój i zaczęła szperać między welnianymi ubrankami. – Już mam. Tak, Travail, stracony u wybrzeży Francji. Panno Penvenen, nie chce pani powiedzieć, że...

Caroline usiadła na najbliższym fotelu i trochę brandy wylało się na dywan. Verity podbiegła do niej i otoczyła ją ramieniem.

– Cóż, moja droga, to dla mnie bardzo krępujące, zapewniam panią, bo znamy się zaledwie od pięciu minut, ale chyba zaraz zwymiotuję – rzekła słabym głosem Caroline.

– Nie mogę uwierzyć, że mam zostać żoną żeglarsza, że to moje przeznaczenie. Na pewno wiesz lepiej ode mnie, Verity, jak należy się zachowywać.

– Wypij to. Tylko łyczek. To na pewno pomoże.

– Nigdy nie mdlałam nawet jako słodka panienka. Moja dawna guwernantka tego nie aprobowała. „Młode damy powinny być silne, a nie delikatne jak lilie”, powtarzała. Więc rzadko mdleję nawet dla rozrywki.

– Odchyl głowę. Zaraz poczujesz się lepiej.

– Och, już mi lepiej. Dlaczego miałabym się skarżyć? Innych spotkał podobny los.

– Francuzi nie zatopili statku, tylko go uszkodzili. Stało się to w czasie sztormu. Na pewno wielu członków załogi ocalało.

Caroline siedziała przez chwilę nieruchomo, oddychając powoli.

– Kiedy tu jechałam, przez całą drogę myślałam, że ten idiota Unwin Trevaunance się pomylił! Powtarzałam sobie, że admiralicja ma irytujący zwyczaj nazywania wielu okrętów podobnie i że okaże się, że to na pewno nie Travail, tylko Turmoil, Terror albo Trident. Przez całą drogę wierzyłam...

– Nie powinnaś się denerwować, moja droga. Może nic mu się nie stało? Może jest cały i zdrowy?

– Pomyślałam, że muszę pojechać do kuzynki Rossa. Złożyć jej kurtuazyjną wizytę. Tak naprawdę nie mam do kogo się zwrócić. Oczywiście mogłabym pojechać do Susan Pellew, raz się spotkałyśmy. Albo do Mary Trefusis czy innych osób, które znam, ale wydawało mi się... Uważałam, że lepiej przyjechać do siostry stryjecznej Rossa, której nigdy wcześniej nie spotkałam!

– Miałaś rację. Jaka szkoda, że nie ma Andrew... James, syn Andrew, też jest na morzu. Muszę się zastanowić...

– W gazecie nie ma żadnych szczegółów?

– Nie. Po prostu przytaczają meldunek kapitana Pellewa, który ciągle patroluje kanał La Manche. Donosi, że Travail wpadł na mieliznę w zatoce Audierno i że Mermaid próbował przyjść mu z pomocą, po czym sam ledwo uniknął katastrofy.

– Gdzie możemy zapytać... Czy jest ktoś, kto będzie wiedział więcej?

– Właśnie się zastanawiam. Moim zdaniem meldunek kapitana Pellewa został dostarczony przez słup marynarki wojennej. Dzięki Andrew jestem dobrze znana w biurze statków pocztowych. Zwykle jest tam Ben Pender, wychodzi dopiero o ósmej. Jeśli ktoś coś wie, to właśnie on. Chyba słyszę, że pani Stevens wróciła, więc mogę z nią zostawić małego Andrew. Jesteś w stanie chodzić?

– O tak. O tak. Moje kolana są z każdą chwilą mocniejsze.

– Biuro znajduje się czterysta metrów stąd, na tej samej ulicy. Wezmę pelerynę. Oczywiście przenocujecie u nas.

– Chyba nie mogę. Mój stryj jest chory. Kiedy dotarły do mnie wiadomości o bitwie, poszłam do niego i powiedziałam, co zamierzam zrobić. Boję się, że go to zdenerwowało, bo moja dość oczywista chęć poznania prawdy o losach Dwighta musiała zdradzić moje uczucia. Kiedy się czegoś dowiem, wrócę do domu.

– Trzy godziny jazdy po ciemku? W okolicy jest zbyt wielu głodujących ludzi. Musisz przenocować. Każę pani Stevens przygotować pokój.

Po dziesięciu minutach wyszły z domu na wąską uliczkę pokrytą kocimi łbami i błotem, po czym zaczęły się przeciskać między tłumami przechodniów. Sklepy były ciągle otwarte, szynki pełne gości. Na rogach leżeli pijacy, wokół rozlegały się wrzaski bawiących się dzieci. Verity i Caroline mijaly ślepych lub chromych żebraków, plotkujących starych żołnierzy, marynarzy idących trójkami i śpiewających sprośne piosenki. W otwartych drzwiach stali właściciele domów, psy szczekały i walczyły ze sobą, w górze piszczaly mewy. Był pogodny wieczór, ciepły jak na kwiecień tuż po ulewie. Ale Caroline nie dostrzegala nastroju, ciepła, światła. Nie otaczały jej istoty ludzkie, tylko szare lub białe cienie utrudniające dotarcie do celu.

W biurze statków pocztowych zastały Bena Pendera, znużonego niskiego urzędnika w staroświeckiej peruce i tabaczkowym surducie. Rozmawiał z kapitanem odzianym w granatowy mundur ze złotymi galonami. Oficer natchmiał wstał i pochylił się nad dłonią Verity, która przedstawiła Caroline i wytłumaczyła powód wizyty.

– Niestety, pani, mamy tylko meldunek przekazany przez słup, który zawiął do portu i natchmiał odpłynął – rzekł kapitan. – Pellew i jego okręty są ciągle na morzu. Oto pełna treść meldunku, to wszystko, co wiemy. Sir Edward Pellew napisał, że po raz pierwszy dostrzegł dwa francuskie okręty, Hérosa, dwupokładowiec uzbrojony w siedemdziesiąt cztery działa, oraz Palmiera, o trzeciej po południu w czwartek w odległości około pięćdziesięciu mil na południowy zachód od Ouessant. Panowała sztormowa pogoda, wiał silny wiatr z zachodu, eskadra brytyjska postawiła żagle i rozpoczęła pościg. Za kwadrans szósta do francuskich okrętów zbliżyły się Nymphe i Travail. – Kapitan spojrział na papier, który położył przed nim Ben Pender, i poprawił okulary. – Według meldunku później doszło do dziesięciogodzinnej bitwy w coraz silniejszej nawałnicy. Najpierw niebo zasnuły niskie chmury, z których lunął deszcz, potem nadeszły wściekle szkwały deszczowe; chwilami na niebie pojawiał się księżyc w pierwszej kwadrze. Mermaid również włączył się do bitwy i pięć okrętów dryfowało w stronę wybrzeża Francji. Kiedy w półmroku dostrzeżono Półwysep Bretoński, Héros był niezdolny do walki, a Palmier, Nymphe i Travail odniosły poważne uszkodzenia. Dwa okręty francuskie próbowały popłynąć w stronę zatoki Rade de Brest, ale nie zdołały tego dokonać wskutek uszkodzeń. Palmier wpadł na skały koło wyspy Sein i zatonął, a Héros zdryfował do zatoki Audieme i osiadł na mieliźnie. Travail również nie wytrzymał naporu nawałnicy i rozbił się w pobliżu Hérosa. Nymphe, choć znalazł się na płyciźnie, zdołał minąć Pointe de Penmarch i wypłynąć na otwarte morze. Mermaid, najmniej uszkodzony spośród pięciu okrętów biorących udział w bitwie, próbował podpłynąć do wraków, by ratować załogi, lecz musiał zawrócić ze względu na niebezpieczeństwo. Straty Nymphe: szesnastu zabitych i pięćdziesięciu siedmiu rannych. Mermaid: pięciu zabitych i trzydziestu pięciu rannych. Na początku bitwy poległ kapitan Harrington, dowódca Travaila. – Kapitan zdjął okulary. – To koniec meldunku, pani.

Do biura wszedł urzędnik z zapaloną latarnią i postawił ją obok innych stojących na biurku. W kręgu światła widać było mapy, plany statków, konosamenty sporządzone na żółtym papierze, wagę, kałamarz, gęsie pióro, mahoniowe meble, mosiężną balustradę, posadzkę wyłożoną kamiennymi płytami.

– Rozmawiał pan z kimś z załogi slupa? – spytała Caroline. – Spotkał się pan z jednym z tych ludzi?

– Zamieniłem kilka słów z kapitanem. Ale powinna pani pamiętać, że nie brał udziału w bitwie. Przywiózł po prostu meldunek.

– Czy w ogóle... wspominaliście o Travailu?

Kapitan się zawahał.

– W kilku słowach, pani. Ale na podstawie własnego doświadczenia mogę powiedzieć, że przeżycie katastrofy morskiej zależy od szczęścia. Jeśli fregata osiadła na plaży, jest duża szansa, że wielu członków załogi ocalało. Obawiam się, że przez pewien czas się tego nie dowiemy, bo rozbitkowie staną się jeńcami wojennymi.

Rozdział czwarty

Początek maja był wietrzny i deszczowy, podobnie jak cały miesiąc. Demelza miała wrażenie, że minęło wiele lat od ostatniego pogodnego maja, gdy świeciło jasne słońce i wiały łagodne wiatry. Tęskniła za widokiem gładkiego, błękitnego morza, za kwitnącymi kwiatami i ciepłem, którym można się cieszyć przez cały dzień. W zeszłym roku pogoda była taka sama jak obecnie: prawie bez przerwy deszcz i wiatr, a poza tym kilka bezwietrznych, lodowatych dni – pojechała wtedy na bal w Werry House. (Okropne wspomnienie, nie mogła znieść myśli o tym, co się tam stało). Dwa lata temu w maju odbyło się przyjęcie u Trevaunance'ów, kiedy wszyscy oczekiwali, że Unwin ogłosi swoje zaręczyny z Caroline Penvenen, on zaś tego nie zrobił. Wówczas również świat był szary i zimny.

Przed trzema laty Ross i Francis podjęli decyzję o ponownym otwarciu Wheal Grace, Ross spotkał George'a Warleggana w gospodzie Pod Czerwonym Lwem, pokłócili się i Ross zrzucił George'a ze schodów. A ona nosiła pod sercem Jeremy'ego. Pamiętała niekończące się wichury.

Znowu była brzemienna, choć jak dotąd bez trudu utrzymywała to w sekrecie przed wszystkimi z wyjątkiem Rossa. Stali się względnie zamożni i mogli do woli palić węglem. Postanowili odremontować starą, zniszczoną bibliotekę, gdzie niegdyś Demelza nauczyła się kilku melodii na szpincie. Przy remoncie miał pomagać jej młodszy brat Drake, znający się na ciesielstwie. Samuel pracował w kopalni – nie jako sztygar zmianowy, ale robotnik akordowy, co oznaczało, że codziennie rozbijał sążeń skały, a jakość rudy nie wpływała na jego płacę. Nie dostawał tak dużo jak sztygar, lecz nic nie ryzykował: zarabiał na życie, miał stałą, dobrą pracę. Mógł zaspokajać potrzeby ciała i myśleć o duszy.

Samowi i Drake'owi zaproponowano pokój w domu starej ciotki Betsy Triggs, lecz oni poprosili o zgodę na remont chaty w Reath po drugiej stronie wzgórza. Był to niewielki dom z gliny zmieszanej ze słomą, zbudowany przez Marka Daniela dla jego ładnej młodej żony, którą po kilku miesiącach zabił. Dach dawno już się zapadł, a ściany, wzniesione w wielkim pośpiechu, zaczęły się kruszyć wskutek działania słońca, wiatru i deszczu. Mieszkańcy Mellin i Marasanvose nie zbliżali się do zrujnowanej chaty po zmroku: mówili, że czasem w oknie widać małą okrągłą twarz Keren z wysuniętym językiem i otwartymi oczami nabiegłymi krwią. Ale bracia Came nie bali się duchów. Jak określił to Sam, duszom ludzi ocalonych przed zakusami Szatana dzięki cudownej miłości Jezusa Chrystusa nie grozi żadne niebezpieczeństwo.

W wolnych chwilach naprawiali chatę – piłowali, heblowali, łatali, zbijali deski i belki. Drake często zabierał do Reath odpady pozyskane ze starej biblioteki.

Demelza początkowo nie podejrzewała, że wolą zamieszkać w zrujnowanej chacie zamiast u ciotki Betsy z jakichś szczególnych powodów. Domyśliła się tego dopiero w maju, gdy usłyszała, że Sam zamierza powiększyć dolną izbę i że urządził tam spotkanie modlitewne dla kilku ludzi.

Rzeczywiście, Samuel uważał, że nie ma czasu do stracenia. W większości hrabstw, po początkowym okresie entuzjazmu, popularność ruchu metodystycznego zmniejszała się z upływem lat. Szczególnie odnosiło się to do Kornwalii, której mieszkańcy odznaczałi się zmiennym temperamentem i która była oddalona od siedzib założycieli ruchu, mogących udzielać wskazówek i sprawować kontrolę nad wiernymi. Kiedy żył wielki pastor Wesley, rzadko opuszczał kornwalijskich zwolenników na dłużej niż rok. W niektórych miasteczkach i wioskach istniały silne, pełne zapału grupy metodystów, którzy nigdy nie zaniebdywali wiary i modlitwy, jednak w innych miejscach ludzie często zapominali o religii i tracili dar łaski. Wioski Sawle i Gambler już dawno straciły dar łaski, podobnie jak mieszkańcy całego sąsiedniego regionu od St Michael w jednym kierunku do St Ann's w przeciwnym.

Sam ze smutkiem stwierdził, że okolice Nampary to ziemia jałowa. W wiosce Gambler znajdował się niewielki

dom modlitwy wzniesiony ze składek górników w okresie dobrobytu lat sześćdziesiątych, ale kiedy kopalnię zamknięto i wielu ludzi wyjechało, opuszczony dom zaczął niszczyć. Niektórzy mieszkańcy w dalszym ciągu przestrzegali dawnych zasad, lecz nie urządzali spotkań ani nie umacniali swojej wiary wspólną modlitwą.

Sam czasem spotykał się z niechęcią, bo przybysz z dalekiego Illuggan nie był lepszy od cudzoziemca. Powszechnie uważano, że takiego intruza można tolerować tylko wtedy, gdy nie zwraca na siebie uwagi. Sam nie chciał siedzieć cicho i krzywo na niego patrzono, ale pokrewieństwo z Poldarkami oszczędziło mu większych kłopotów. W końcu w niedzielne wieczory w chacie w Reath zaczęła się spotykać grupka wiernych, którzy w latach zaniedbania nie stracili daru łaski. W niedzielę rano lub w niedzielę wieczorem Sam prowadził ich do kościoła.

W okolicy były cztery kościoły, do których dało się dojść pieszo. Najbliżej, w Sawle, znajdował się kościół pod wezwaniem Świętego Sawle – do parafii tej należała również wioska Gambler – a trochę dalej kościół pod wezwaniem Świętego Minvera w Marasanvose. Jeszcze dalej kościół Świętej Anny w St Ann's i kościół Świętego Pawła w połowie drogi do St Michael. Dach kościoła Świętego Pawła zawalił się w czasie straszliwej burzy w maju tysiąc siedemset osiemdziesiątego ósmego roku i nikt nie miał pieniędzy na jego odbudowę, toteż nabożeństwa bezterminowo zawieszono. Proboszcz kościoła w St Ann's mieszkał w Londynie i jeszcze nigdy nie odwiedził swojej parafii, tak więc nabożeństwa odprawiano tam sporadycznie, gdy znalazł się zastępca. Parafianie, którzy chcieli wziąć ślub, rzadko mieli okazję dać na zapowiedzi, dlatego byli zmuszeni płacić za zezwolenie na zawarcie małżeństwa w innej miejscowości lub – jeśli nie było ich na to stać – obejść się bez błogosławieństwa Kościoła. Rodzice chrzcili swoje dzieci w Sawle.

Kościółem pod wezwaniem Świętego Sawle, z dwoma prezbiteriami, dziurawym dachem, przekrzywioną wieżą i przepelnionym cmentarzem, opiekował się wielebny Clarence Odgers – otrzymywał za to czterdzieści funtów rocznie od tytułarnego posiadacza beneficjum mieszkającego w Penzance. Odgers, który miał na utrzymaniu żonę i gromadkę dzieci, z trudem wiązał koniec z końcem, uprawiając warzywa i owoce. Kościół był zaniedbany, lecz miał licznych parafian oraz chór, który bardziej hałasował, niż śpiewał. Patronat nad świątynią sprawowali właściciele dworu w Trenwith.

Najbliżej kościoła pod wezwaniem Świętego Minvera w Marasanvose znajdował się Werry House, lecz Bodruganowie przyjeżdżali do świątyni zaledwie dwa razy w roku. Proboszcz, wielebny Faber, zajmował się również drugim kościołem w pobliżu Ladock i był miłośnikiem polowań na lisy. Kościół Świętego Minvera był niewielki i gdy Sam i Drake po raz pierwszy wybrali się tam na nabożeństwo, w ławkach siedziało zaledwie pięć osób. Dwaj mężczyźni bez przerwy rozmawiali o cenach zboża, dwie kobiety cerowały koszule, a trzeci mężczyzna, zakrystian, drzemał. Po nabożeństwie miał się odbyć chrzest, ale zakrystian zapomniał nalać wody do chrzcielnicy, więc proboszcz napluł sobie na rękę i namaścił dziecko własną śliną w imię Jezusa Chrystusa. Sam i Drake widzieli później, jak wsiada na wielką, starą kobyłę i odjeżdża z turkotem kamienistą drogą.

Kiedy niewielka grupa metodystów uznała Sama za swojego przywódcę, prowadził ich do kościoła w Sawle jako najlepszej z okolicznych świątyni. Poza tym zdawało się, że lubi tam chodzić Drake.

Przez dwa tygodnie bracia szukali solidnej belki, która podtrzymałaby dach i udźwignęła ciężar dachówek z łupku zastępujących dotychczasową strzechę. Na razie funkcję tę pełnił dosyć cienki stempel z kopalni, lecz niebezpiecznie się wygiął i od czasu do czasu groźnie trzeszczał.

W ostatnim tygodniu maja Pally Rogers powiedział Samowi, że w St Ann's morze wyrzuciło na brzeg doskonałą belkę ze statku, którą wzięła w posiadanie załoga jednego z kutrów rybackich. Kiedy więc następnym razem Drake mógł się zwolnić z pracy na kilka godzin, a Sam skończył szychtę, poszli do St Ann's ją obejrzeć. Nie był to maszt, tylko część rei. Belka mierząca pięć i pół metra długości i blisko trzydzieści centymetrów grubości była o metr dwadzieścia za długa na dźwigar, lecz po skróceniu nadawałaby się idealnie. Rybacy chcieli za nią siedem szylingów. Po krótkich targach zgodzili się na pięć.

Zaproponowali, że za dwa szylingi przyholują belkę do plaży Hendrawna. Bracia grzecznie odmówili. Zostawili zaliczkę w wysokości trzech szylingów i powiedzieli, że przyjdą po belkę nazajutrz. Był to ostatni dzień miesiąca,

sobota. Sam miał nocną szychtę, a Drake kończył pracę o trzeciej po południu, więc dotarli do St Ann's na długo przed piątą. Szybko zapłacili rybakom brakujące dwa szylingi i ruszyli w drogę powrotną.

W owym tygodniu pogoda wreszcie się poprawiła. Kiedy wspinali się na wysokie wzgórze leżące za wioską, świeciło gorące słońce. Wielka belka jeszcze nie całkiem wyschła i wkrótce wydawała się ciężka jak ołów. Czekali ich długi, męczący marsz. Po przejściu trzech kilometrów Drake, nie tak silny jak brat, zaczął żałować, że nie zapłacili dwóch szylingów za przyholowanie belki do plaży. Mieli całą noc na dotarcie do Reath, ale problem polegał na tym, że po przerwie na odpoczynek trudno było ją ponownie dźwignąć na barki. Mogli się zatrzymywać tylko w miejscach, gdzie znajdował się murek lub inny obiekt, o który można by oprzeć belkę.

Szli teraz tą samą ścieżką, którą w marcu przybyli z Illuggan, potem dotarli do rozwidlenia, gdzie wówczas próbowali przejść przez pola i zostali brutalnie zawróceni przez gajowych rodziny Warlegganów. Później nigdy tędy nie chodzili, lecz zdawali sobie sprawę, że wybierając drogę przez pola i znajdujące się za nimi dwa małe zagajniki, oszczędziliby przynajmniej półtora kilometra. Zatrzymali się na chwilę. Wokół nie było nikogo. Nie widzieli dworu w Trenwith ani żadnych zabudowań. Na sąsiednim polu stała szopa przypominająca stodołę.

– Zaryzykujmy – powiedział Drake. – Nie mogą być wszędzie jednocześnie.

Przeszli przez pole, które okazało się pastwiskiem, choć tego wieczoru nie było na nim bydła.

Drugie pole obsiano jęczmieniem: środkiem biegła stara droga publiczna prowadząca do zagajnika po przeciwnej stronie. Jęczmień zasiano również na drodze, lecz nie obrodził jak w innych miejscach i nawet orka nie zatarła śladów ścieżki. Ruszyli, cały czas spodziewając się gniewnego okrzyku lub nawet strzału.

Nic się nie stało. Przeszli po krzywych stopniach przez kamienny murek i znaleźli się wśród drzew.

Teraz powinno być łatwiej. Nie byli pewni, gdzie się kończy teren posiadłości Warlegganów, ale wiedzieli, że dawna ścieżka dociera do pierwszych chat wioski Grambler, które nie mogły znajdować się zbyt daleko. W zagajniku mającym mniej więcej ćwierć hektara powierzchni rosły niebieskie dzwonki. Ziemię pokrywały nieregularne plamy słońca, a w górze lśniły jasnozielone liście młodych wiązów i jaworów oświetlone przez padające ukośnie promienie. W połowie zagajnika znajdowała się niewielka polana, na której leżał niedawno przewrócony jawor. Wśród dzwonek sterczały podobne do gąsienic młode pędy paproci, gdzieś rosy młode drzewka. Mogli położyć belkę na zwałonym jaworze i starym kamiennym murku.

– Zatrzymajmy się na chwilę – powiedział Drake. – Czuję, że bark mi pęka.

– Ale nie na długo – odparł Sam. – Lepiej szybko wyjdźmy z tego lasu. – Opuścił belkę, zdjął z ramienia kawałek worka i zaczął je masować.

Przykucnęli na kilka minut, spoceni i zadowoleni. W pobliżu usiadł drozd, poruszył ogonem, po czym zaświergotał trwożnie i odleciał. W poszyciu zaszeleściło niewielkie zwierzę, prawdopodobnie wiewiórka, ale się nie pokazało. Niebo było ciągle jasne, jakby wcale nie zbliżał się zachód słońca.

– Och, nie mam siły się ruszyć! – powiedział Drake. – Myślę, że zasłużyliśmy na ten kawał drewna, o ile doniesiemy go do domu.

– Cicho! – szepnął Sam. – Ktoś się zbliża!

Nasłuchiwali. Na początku panowała cisza, później niedaleko rozległy się czyjeś głosy. Młodzi mężczyźni schowali się za krzakami. Nagle usłyszeli śpiew kosa, czyste, wyraźne dźwięki, pieśń na chwałę letniego wieczoru. Później zatrzepotały skrzydła – ptak odleciał, a w pobliżu rozległ się szelest i dźwięk obcasów uderzających w kamienie.

Na polanie pojawiły się dwie osoby. Pierwszą był jasnowłosy chłopiec w wieku dziesięciu lub jedenastu lat, drugą zaś ciemnowłosa dziewczyna w prostej niebieskiej sukience i narzuconym na ramiona muślinowym *fichu*. W lewej ręce trzymała słomkowy kapelusz, a w prawej bukiet dzwonek.

– Och, ktoś ściął drzewo! – zawołał chłopiec. – Nie, samo się przewróciło! Ciekawe, czy gajowi wiedzą... Ale co to za dziwna belka?

Dziewczyna włożyła rękę do kieszeni sukienki, wyjęła okulary w stalowej oprawce i przyjrzała się belce.

– Wygląda jak część stodoły. Albo statku. Ktoś musiał ją tu przynieść. I to niedawno, bo podeptał dzwonki.

Odwróciła się i rozejrzała. Drake chciał wstać, lecz Sam chwycił go za rękę. Ale było już za późno: bystre oczy chłopca dostrzegły żółtą chustę Sama.

– Kto tam? Kim jesteście? Wyjdźcie! Pokażcie się! – Chociaż chłopiec mówił rozkazującym tonem, wydawał się zaniepokojony i zrobił krok do tyłu.

Drake i Sam powoli wyszli z za krzaków, otrzepali ubrania z połamanych gałązek i liści paproci, otarli dłonie o nogawki spodni.

– Dzień dobry! – rzekł uprzejmie Drake, jak zwykle spokojny w chwili kryzysu. – Przepraszamy, że państwa przestraszyliśmy. Postanowiliśmy chwilę odpocząć, nie mieliśmy zamiaru nikogo niepokoić.

– Kim jesteście? – spytał chłopiec. – To teren prywatny! Pracujecie dla mojego wuja?

– Nie, paniczu – odpowiedział Drake. – Nie pracujemy dla pana Warleggana, nie, sir. Niesiemy tę belkę z St Ann's do Mellin. To dziesięć kilometrów i postanowiliśmy ją położyć na kilka minut, bo jest ciężka. Mam nadzieję, że nie zrobiliśmy nic złego.

– Naruszacie cudzą własność. To nasza ziemia! Wiecie, jakie są kary za wtargnięcie na cudzą ziemię? – mówił chłopiec. Dziewczyna położyła dłoń na jego ramieniu, ale ją strząsnął.

– Przepraszamy, sir, ale myśleliśmy, że to droga publiczna. Zauważyliśmy przejście w kamiennym murku, a przed wielu laty szliśmy tędy i nikt nam tego nie zabraniał. – Drake uśmiechnął się ujmująco do dziewczyny. – Nie chcieliśmy zrobić nic złego, pani. Może łaskawie wytłumaczy pani młodemu panu Warlegganowi, że nie mieliśmy zamiaru naruszać cudzej własności...

– Nie nazywam się Warleggan – przerwał chłopiec.

– Bardzo przepraszam. Ponieważ to posiadłość państwa Warlegganów, myśleliśmy...

– To posiadłość Poldarków, i ja nazywam się Poldark – rzekł chłopiec. – To prawda, że jeszcze rok temu wieśniakom pozwalano tędy chodzić, choć nie mieli do tego prawa. Moja rodzina długo to tolerowała.

– Pan Poldark... – odezwał się Drake. – Skoro nazywa się pan Poldark, paniczu, może zechce pan nam wybaczyć nasz błąd, bo jesteśmy spokrewnieni z kapitanem Rossem Poldarkiem, który, jak można się domyślać, jest członkiem pana rodziny.

Chłopiec spojrzał na robocze ubrania braci. Miał młodzieńczą, świeżą twarz i zachowywał się z wrodzoną arogancją odziedziczoną po ojcu. Był wysoki jak na swój wiek i dość pulchny: przystojny młodzian mający w sobie coś narowistego.

– Spokrewnieni z moim stryjem, kapitanem Rossem Poldarkiem? W jaki sposób spokrewnieni?

– Żona kapitana Poldarka, Demelza Poldark, to nasza siostra.

Geoffrey Charles nie był w stanie temu zaprzeczyć, lecz miał sceptyczną minę.

– Skąd pochodzicie?

– Z Illuggan.

– To daleko stąd, prawda?

– Jakieś dwadzieścia kilometrów. Ale już tam nie mieszkamy. Teraz mieszkamy w Namparze. To znaczy w Reath niedaleko Nampary, za wzgórzem. Ja pracuję we dworze kapitana Poldarka, jestem cieślą. Mój brat Sam jest górnikiem.

Chłopiec wzruszył ramionami.

– *Mon Dieu. C'est incroyable.*

– Przepraszam?

– Więc może to mój stryj wysłał was po belkę?

Drake się zawahał, ale Sam, który jak dotychczas pozwalał mówić młodszemu, milszemu bratu, nie dał mu ulec łatwej pokusie.

– Przykro mi, nie – rzekł. – Pana stryj nic o tym nie wie. Z pomocą Bożą i ku Jego chwale odbudowujemy starą

chatę. Pracujemy od dwóch miesięcy albo i dłużej. Potrzebujemy belki długiej na ponad cztery metry, która podtrzymałaby dach. Morze wyrzuciło taką belkę na brzeg w St Ann's, kupiliśmy ją i teraz niesiemy do domu.

– Bardzo przepraszam, pani – odezwał się Drake. – Chyba widuję panią w niedziele na nabożeństwach w Sawle, prawda?

Morwenna zdjęła okulary i chłodno spojrzała na Drake'a krótkowzrocznymi, pięknymi oczyma.

– Możliwe.

Drake, mimo swojej uniżoności, nie dał się zbić z tropu.

– Proszę wybaczyć, że pytam – powiedział. – Nie mam nic złego na myśli.

Morwenna skinęła.

– Ma pani wyjątkowo piękną książeczkę do nabożeństwa ze złotym krzyżem i złotymi brzegami.

Dziewczyna położyła na ziemi bukiet dzwonek.

– Geoffreyu Charlesie, skoro w dawnych czasach istniał zwyczaj, że można chodzić przez las...

Geoffrey Charles spoglądał na belkę.

– To ze statku, prawda? Widzicie? Tu jest dziura, w której musiał tkwić metalowy bolec. A róg zestrugano. Ta dziura na pewno osłabi wiązanie dachu.

– Zamierzamy odpiłować ten koniec – wyjaśnił Drake. – Potrzeba nam dźwigara o długości czterech metrów trzydziestu centymetrów, a belka ma pięć i pół metra.

– Dlaczego nie odpiłowaliście końca przed opuszczeniem St Ann's? Byłaby lżejsza i łatwiejsza do niesienia. – Chłopiec zaśmiał się, zadowolony ze swojej bystrości.

– Tak, ale odpiłowana część może nam się przydać. Trudno o dobrą dębinę. Zapłaciliśmy za całą belkę, więc nie chcieliśmy zabierać tylko części.

– Jest bardzo ciężka? – Geoffrey Charles podłożył ramię pod koniec spoczywający na zwałonym jaworze i dźwignął belkę. Poczzerwieniał. – *Mon Dieu, vous avez raison...*

– Geoffreyu! – zawołała dziewczyna i ruszyła do przodu. – Zrobisz sobie krzywdę!

– Nic mi nie będzie – odparł chłopiec, kładąc belkę na miejsce. – Ale jest ciężka jak ołów! Niesiecie ją już przeszło trzy kilometry? Spróbuj, Morwenna, po prostu spróbuj!

– Za tym lasem są dwa pola, później zaczyna się droga publiczna – rzekła wolno dziewczyna. – Zobaczycie, że stara ścieżka jest ciągle oznakowana. Ale nie zatrzymujcie się w lesie.

– Dziękujemy, pani – powiedział Sam. – Będziemy pani dłużnikami.

Morwenna spojrzała na dwóch młodych mężczyzn. Miała ciemne, poważne oczy.

– Myślę, że na drugim polu jest teraz dwóch parobków dojących krowy. Zaczekajcie pół godziny, powinni sobie pójść. Wtedy nikt was nie zatrzyma.

– Dziękujemy, pani. To bardzo miło z pani strony. Jesteśmy pani podwójnie wdzięczni.

– Zanim odejdziemy, pokażcie, jak podnosicie belkę! – zawołał Geoffrey Charles. – Nie wyobrażam sobie, że będziecie ją nieść jeszcze pięć kilometrów!

Dwaj bracia wymienili spojrzenia.

– Dobrze – rzekł Sam.

Obserwowani przez młodą kobietę i chłopca, zarzucili belkę na barki. Geoffrey Charles skinął z aprobatą. Potem bracia znów oparli belkę o zwałone drzewo.

Geoffrey Charles, początkowo pełen niechęci do nieznajomych, teraz chciał zostać, lecz Morwenna wzięła go za rękę.

– Chodźmy! Twoja matka będzie się zastanawiać, co się z nami dzieje. Spóźnimy się na kolację.

Drake z uśmiechem podniósł bukiet dzwonek Morwenny i podał go dziewczynie.

– Już dawno nie widziałem stryja Rossa – rzekł Geoffrey Charles. – Przekażcie mu ode mnie wyrazy uszanowania.

Dwaj bracia skłonili się; stali obok siebie, patrząc, jak Geoffrey Charles i jego guwernantka wracają między drzewami ścieżką, którą przyszedli.

– Myślę, Geoffrey, że... że lepiej nie wspominać nikomu o spotkaniu z tymi młodymi mężczyznami – powiedziała Morwenna Chynoweth.

– Dlaczego? Nie robili nic złego.

– Twój wuj George bardzo surowo traktuje ludzi, którzy bez pozwolenia wkraczają na teren posiadłości. Nie chcemy, żeby mieli kłopoty.

– Zgoda. – Geoffrey Charles się zaśmiał. – Są bardzo silni! Mam nadzieję, że kiedy dorosnę, też będę taki silny.

– Na pewno. Jeśli będziesz wszystko zjadał i chodził wcześniej spać.

– Och, znowu to samo... Wiesz, Wenno, zastanawiam się, czy to prawda, że są spokrewnieni ze stryjem Rossem. Mama mówiła, że ciotka Demelza pochodzi z prostej rodziny, ale nie zdawałem sobie sprawy, że tak prostej. A może opowiedzieli bajeczkę, by zdobyć naszą sympatię?

– Widziałam ich w kościele – odpowiedziała Morwenna. – Pamiętam, że tam byli, ale kapitan Poldark tak rzadko przychodzi na nabożeństwo, że nie wiem, czy siedzieli w jego ławce. Zdaje się, że siedzieli z tyłu.

– Młodszy jest zabawny, prawda? Śmiesznie się uśmiecha. Ciekawe, jak się nazywają. Muszę kiedyś spytać mamę o ciotkę Demelzę.

– Jeśli spytasz o nich matkę, na pewno odkryje nasz sekret.

– Tak... Tak, nie jestem dobry w ukrywaniu sekretów, prawda? Może odłożę to na kilka dni? Dlaczego ty nie spytasz? Jesteś o wiele sprytniejsza ode mnie!

Dotarli do krańca następnego pola i furtki prowadzącej do ogrodu Trenwith. Między otaczającymi drzewami widać było kominy i dachy dworu. Kiedy Morwenna uniosła skobel furtki, usłyszała za sobą tupot. Drake biegł przez pole, przeskakiwał kępy trawy i kamienie, by ich dogonić.

Zbliżył się do Morwenny i Geoffreya Charlesa, uśmiechnięty i zdyszany. W rękach trzymał duży bukiet dzwonek, znacznie większy od niesionego przez Morwennę. Wręczył go dziewczynie.

– Zmarnowała pani dużo czasu, gadając z nami. Mogła pani zerwać o wiele więcej kwiatów, dlatego ja to zrobiłem. Dziękuję i życzę miłego wieczoru!

Stali i patrzyli, jak biegnie z powrotem. Morwenna rozejrzała się, by sprawdzić, czy w pobliżu jest ktoś, kto mógł zauważyć Drake'a. Wśród dzwonek znajdowała się różowa firletka poszarpana i biała rzeżucha kalifornijska. Wziąwszy pod uwagę tempo, w jakim zostały zerwane, był to ładny bukiet. Morwenna zorientowała się po oczach młodzieńca, że to prezent dla niej. Oburzała ją jego zuchwałość: człowiek niskiego stanu nie powinien dawać jej podarunków. Ale młody człowiek już popędził z powrotem do lasu.

Rozdział piąty

Ross odwiedził Caroline Penvenen w drugi dzień po Zielonych Świątkach, we wtorek dziesiątego czerwca. Musiał zrobić sprawunki i załatwić parę interesów w Truro, więc zaproponował, by Demelza pojechała z nim do Killewarren, spędziła kilka godzin z Caroline, a później spokojnie wróciła do domu. Demelza odmówiła.

– Trochę mnie mdli. O ile pamiętam, to zwykle nie trwa długo, ale w tej chwili źle się czuję i jazda za twoimi plecami na pewno by mi nie pomogła. Musiałabym pożyczyć kuca z kopalni.

Kiedy Ross dotarł do Killewarren, wprowadzono go do salonu, gdzie czekała na niego Caroline. Wytłumaczył nieobecność żony, choć nie podał przyczyny jej niedyspozycji. (Doszedł do wniosku, że skłonność do ukrywania ciąży do ostatniej chwili to jedno z nielicznych dziwactw Demelzy).

– Nie było potrzeby, żebyś... – zaczęła Caroline.

– Chciałem przyjechać. Rozumiem, że nie masz nowych wiadomości?

– Pisałam dwa razy do admiralicji, ale odpowiedzieli, że jeszcze nie mają żadnych wiadomości.

– O Dwighcie czy o Travailu?

– Domyślam się, że o fregacie. Oto ostatni list. Najbardziej upokarzające jest to, że nie mam oficjalnego statusu. Nie jestem żoną, siostrą, kuzynką Dwighta, nawet jego wołem ani osłem. W dalszym ciągu nie wspominam nikomu o naszych zaręczynach, bo łatwo mogłoby to dojść do uszu stryja.

Ross pomyślał, że Caroline wydaje się chuda w długiej ciemnej sukience: wysoki, jasny słońce nagle zgasł.

– Jesz coś, Caroline?

Uniosła wzrok.

– Nie mogę mieć już żadnych sekretów?

– Czy teraz, gdy skończył się okres polowań, zmieniłaś towarzystwo? Wychodzisz z domu?

– Najlepszym towarzyszem na świecie jest mój koń.

– Nie przyjeżdżasz do nas.

– Nie chcę opuszczać Killewarren na więcej niż dwie, trzy godziny.

– Moja droga, wiem, że łatwo udzielać rad, ale nawet gdyby się okazało, że wydarzyło się najgorsze, musisz myśleć o swoim życiu.

– Dlaczego?

Ross wstał z fotela, na którym przed chwilą usiadł, i położył na biurku list.

– Och, jestem ostatnią osobą, która ma prawo robić ci wyrzuty, sam będąc trochę melancholikiem. Najlepszych rad potrafi udzielać Demelza: niezależnie od tego, co by ją spotkało, znalazłaby dziesięć dobrych powodów, by żyć i cieszyć się życiem. Ale nawet ja jestem zmuszony cię namawiać... – Urwał.

– Tak, Ross? – odparła, uśmiechając się słodko. – Nawet ty jesteś zmuszony mnie namawiać... do czego?

– Żebyś nie rozpacziała.

Wzruszyła ramionami.

– Oczywiście, trochę dramatyzuję. To moja odwieczna wada. Ale musisz rozumieć, że dla osoby z moim temperamentem oczekiwanie i bezczynność są bardzo męczące. Lekarz stryja to głupiec, ale jeśli dobrze oceniam sytuację, stryj nie przeżyje wielu tygodni. Jestem jego krewną i nie pozwolę, by umarł, nie mając obok siebie choćby jednej życzliwej osoby. Z tego powodu nie mogę pojechać do Plymouth, Londynu czy gdziekolwiek powinnam się udać, by zdobyć wiadomości o Dwighcie.

– Czy miałyby to jakiś sens? Skoro admiralicja nic nie wie, kto będzie wiedział? Tylko Francuzi. Oficerów zwykle szybko się wymienia – przynajmniej tak było dotychczas. Z pewnością wkrótce otrzymamy nazwiska jeńców. Ale

rewolucja do tego stopnia wymknęła się spod kontroli...

– „Sherborne Mercury” pisze, że Danton nie żyje.

– Tak, od miesiąca lub dłużej. Był wielkim człowiekiem. Teraz zostały tylko szczury.

– Podobno Saint-Just i Robespierre są wspaniali.

– Nikt nie jest wspaniały dłużej niż dzień. Wadą każdej rewolucji jest to, że błyskawicznie się wynaturza. W końcu zwyciężają ekstremiści. Zawsze pojawia się ktoś, kto mówi, że aktualna władza nie jest wystarczająco gorliwa.

– To się musi kiedyś skończyć.

– Skończy się na jakiejś formie oligarchii, ale ludzie mający w tej chwili władzę we Francji nie są dostatecznie silni. W efekcie kontrolę nad Francją zdobędzie ten, kto panuje nad armią.

Ross stał i spoglądał przez okno na jasny dzień, lecz jego wzrok nie skupiał się na tym, co widzialne. Obecna fryzura prawie całkowicie zasłaniała starą bliznę. Caroline w milczeniu obserwowała Rossa. Czasem myślała, że rozumie go lepiej niż Dwighta, że jest jej bliższy, choć bardzo kochała młodego lekarza. Ross odznaczał się uporem, podobnie jak Caroline, był nonkonformistą, buntownikiem, wierzył we własny osąd nawet wtedy, gdy przeczyły temu fakty. Nieustannie walczył z kaprysami losu.

– A tymczasem?

– Tymczasem dzień i noc pracuje gilotyna. W zeszłym tygodniu ścięto księcia i dwóch marszałków, wszyscy byli po osiemdziesiątce. Poza tym adwokata Malesherbes’a wraz z żoną, bratem, dziećmi i wnukami, zakonnice związane sznurami i wrzucone na wozy, siostrę króla Elżbietę, dziewczęta za śpiewanie nieprzystojnej piosenki, chłopców za to, że są synami swoich ojców. Mordują coraz więcej kobiet i dzieci, bo zaczyna brakować mężczyzn.

Caroline wstała, podeszła do kredensu, naląła sobie kieliszek brandy.

– I każesz mi mieć nadzieję, że Dwight przeżył. Co czeka go wśród tego motłochu, nawet jeśli dotarł do brzegu?

– Och, jest duża różnica. Nieprzyjaciel – nawet Anglik – nie byłby tak straszliwie znienawidzony jak francuski arystokrata albo przeciwnik polityczny. Ekscesy zdarzają się przede wszystkim w rewolucyjnym Paryżu albo w większych miastach. Moim zdaniem oficer angielskiej marynarki wojennej wzięty do niewoli na wybrzeżu Francji powinien być traktowany mniej więcej tak jak francuski oficer wzięty do niewoli w Kornwalii.

Caroline wypila łyk trunku i spojrzała na Rossa znad krawędzi kieliszka.

– Ach, nie myśl, że za dużo piję. Jeśli postanowię uśmierzyć swoje lęki, nie utopię ich w alkoholu.

– Nigdy tak nie sądziłem.

– W dalszym ciągu uważasz, że wojna będzie długotrwała?

– Cóż... Francuscy generałowie wiedzą, że jeśli się wycofają, czeka ich gilotyna. Należy to brać pod uwagę.

– Wiesz więcej, niż mogę wyczytać w gazetach, Ross.

Przymknął powieki, po czym spojrzał na Caroline i się uśmiechnął.

– Jak wiesz, bo sama się o tym przekonałaś, znam wielu przemysłowców. Teraz, gdy dobrze zarabiam, już z nimi nie współpracuję – zadziwiająco, jak praworządny staje się człowiek mający pełny trzos – ale spotykam się z dawnymi kompanami. Czasem z nimi rozmawiam. Przynoszą nowiny...

– Mogliby wiedzieć wcześniej od innych o losach załogi Travailla?

Pytanie zaskoczyło Rossa. Zupełnie nie przyszło mu do głowy, dokąd zmierzają jej myśli.

– Roscoff i inne porty w Bretanii są daleko od miejsca, gdzie zatonała fregata. Nie mam pojęcia o odległości, ale zapytam. Dwóch lub trzech moich znajomych przyzwyczaję mówić po francusku. Jeśli pojawi się nadzieja zdobycia cennych informacji, sam tam popłynę.

Caroline odstawiła kieliszek, oblizwała wargi. Brandy przywróciła jej kolory.

– Nie ma potrzeby, byś narażał się na ryzyko, lecz sądziłam...

– Dość małe ryzyko. Najpierw się dowiem, kiedy ma się odbyć następny przerzut towarów, i poproszę kogoś,

by zasięgnął języka. Nie ma potrzeby czekać na rejs kutra z St Ann's, jeśli miałyby to długo trwać. Mam przyjaciół również w Looe.

– Spróbuj i tu, i tam – powiedziała Caroline.

Ross miał przenoćować w domu Harrisa Pascoe i zjeść obiad z gospodarzem o trzeciej. Okazało się, że stary przyjaciel jest w bardzo dobrym nastroju. Przeszli przez bank wraz z dwoma dependentami załatwiający sprawy klientów, po czym już sami udali się do jadalni na tyłach.

– Na pewno ucieszą pana wiadomości o wojnie, Ross – powiedział Pascoe. – Może już je pan słyszał w mieście?

– Nie. Spotkałem tylko Barbary'ego, który bardzo się niepokoi opóźnieniem statku wiozącego drewno. Może był zbyt zmartwiony, by interesować się wiadomościami ze świata.

– Nie powinien się martwić, bo te nowiny bezpośrednio go dotyczą. Howe odniósł wspaniałe zwycięstwo pod Ouessant. Zaskoczył flotę francuską dowodzoną przez admirała... Nie przypominam sobie jego nazwiska. Flota francuska była większa i po całodziennej bitwie Howe całkowicie ją rozgromił! Zniszczył lub wziął do niewoli siedem francuskich okrętów liniowych i poważnie uszkodził resztę jednostek, które ratowały się ucieczką! To jedno z największych zwycięstw w historii i powinno rzucić na kolana ten odrażający reżim! Blokada będzie teraz całkowita!

Wzniesli toast za zwycięstwo, po czym zjedli gulasz barani i pieczoną gęś, a na deser truskawki, popijając dobrym francuskim winem i starym kupażowanym portem. Ross spytał, czy córka Harrisa wyjechała.

– Nie wyjechała. Przeniosła się na kilka dni do ciotki. Słyszał pan radosne nowiny?

– Nie.

– Jest zaręczona z pańskim kuzynem St Johnem Peterem. Dziwię się, że pan o tym nie słyszał; choć faktem jest, że zaręczyny ogłoszono dopiero na początku tego miesiąca. Planujemy urządzić wesele w październiku. Joan jest bardzo szczęśliwa – i ja także, choć będzie mi jej bardzo brakowało. Pora jednak, bym miał wnuki. Co prawda moi synowie to jeszcze chłopcy, ale Joan ma już dwadzieścia dziewięć lat. – Harris w zamyśleniu przeżuł kęs mięsa i wyjął z ust niewielką kostkę. – Myślałem, obawiałem się... Pamięta pan jej sympatię do młodego doktora Enysa? Nic z tego nie wyszło. Zdaje się, że doktor Enys pływa teraz po morzu. Bałem się, że to zauroczenie sprawi, że Joan zostanie starą panną. Niełatwo zmienia obiekty uczuć. Oczywiście od wielu lat zna St Johna – tak go nazywam – ale nigdy nie przyszło mi do głowy, zresztą chyba podobnie jak Joan, że coś z tego wyniknie. Jestem szczęśliwy również dlatego, że dzięki temu małżeństwu rodzina Pascoe i rodzina Poldarków trochę się do siebie zbliżą. To bardzo szczęśliwe zrzęczenie losu.

Ross złożył gratulacje. Być może Harris Pascoe wyczuł pewną rezerwę w życzeniach gościa, ponieważ powiedział:

– Och, wiem, że St John Peter nie jest najbardziej przedsiębiorczym i najpilniejszym młodym człowiekiem. Zdarza się to dość często, gdy ktoś za młodu dziedziczy niewielki majątek... – Bankier umilkł, bo spostrzegł, że wkracza na niebezpieczny grunt.

– To bardzo częste – odparł Ross. – Człowiek dziedziczy zachowania dżentelmena, dumę ziemianina, niechęć do pracy i pogardę dla normalnych zawodów. Wszystko to dałoby się znieść, gdyby posiadłość nie była zbyt mała, żeby wygodnie żyć, i zadłużona przez ojca.

– Nie próbowałem czynić porównań, Ross. Tak czy inaczej, bez wahania porzucił pan tę tradycję i na szczęście dobrze pan na tym wyszedł. Mam nadzieję, że St John usatkuje się pod wpływem Joan i jako ojciec rodziny poczuje ambicję, by coś w życiu osiągnąć. Ma zaledwie dwadzieścia siedem lat.

To oznaczało, że jest co najmniej dwa lata młodszy od narzeczonej, nawet jeśli Joan odjęła sobie rok lub dwa.

– Och, myślę, że St John ma wiele zalet. To radosny, wesoły kompan, miły towarzysz. Nigdy nie byliśmy bliskimi przyjaciółmi, nasze pokrewieństwo jest dość odległe, sam nie potrafiłbym go dokładnie opisać. Myślę, że choć jego majątek znacznie się zmniejszył, ma kilka synekur, które pomagają mu zachować wypłacalność i pozostać dżentelmenem. – Ross pochwylił wzrok Harrisa Pascoe i się roześmiał. – Och, przepraszam, Harris. Nie

chciałem, by moje słowa zabrzmiały kwaśno. Jestem bardzo szczęśliwy z powodu zaręczyn Joan. Poza tym to małżeństwo rzeczywiście może wzmocnić związki naszych rodzin. Jestem szczęśliwy również z tego powodu.

Zaczęli rozmawiać o innych sprawach. Banki przeżywały okres prosperity, ponieważ wojna skłaniała do inwestycji, czasem o charakterze spekulacyjnym. Chociaż kopalnie i przemysł kornwalijski w dalszym ciągu przechodziły kryzys, w Anglii łatwo było uzyskać tani kredyt, co prowadziło do powstawania mnóstwa nowych przedsiębiorstw mających nadzieję skorzystać na zamówieniach wojennych.

– W którym banku St John trzyma pieniądze? – spytał Ross, choć znał odpowiedź.

– U Warlegganów. Przyjaźni się z nimi. George pomógł mu w wielu przypadkach i oczywiście nie mam nic przeciwko temu. Społeczeństwo nie powinno się dzielić na wrogie obozy. To najgorsza rzecz, jaka się może wydarzyć.

– Zgadzam się. Ale tak czy inaczej, Harris, podejrzewam, że ma pan kłopot.

– Tak. Nie podziwiam Warlegganów ani ich metod prowadzenia interesów. Uczciwość to nie zbiór reguł, tylko standardy etyczne. Zgodnie z pierwszym kryterium są uczciwi, zgodnie z drugim – nie. Podejrzewam, obawiam się, że skoro ludzie tacy jak oni mogą prosperować, coraz więcej im podobnych osiągnie sukces. Cóż, nie możemy zmienić świata, więc musimy się do niego przystosować. Jeśli chodzi o mojego przyszłego zięcia, nie jest istotne, że trzyma pieniądze w innym banku, choć mam nadzieję, że po ślubie je przeniesie. Joan otrzyma duży posag.

– Naturalnie.

– Oczywiście powinno to pozostać między nami. Gdyby informacja o tym przedostała się do wiadomości publicznej, byłoby to... niekorzystne.

– Tak?

– Musi pan wiedzieć, że stabilność banku zależy od reputacji wspólników. Ponieważ nie jest to spółka akcyjna, nikt tak naprawdę nie wie, jakimi środkami dysponujemy. Po śmierci mojego ojca nasze interesy znacząco się zwiększyły, ponieważ ludzie uznali, że syn człowieka, który pozostawił wielką fortunę, musi być tak bogaty, że bank jest bezpieczny!

– Nie miałem o tym pojęcia.

– Gdyby wyszło na jaw, że przepisałem dużą część majątku na Joan, klienci czuliby się mniej bezpieczni, gdyż mieliby świadomość, że kwota przeznaczona na nieprzewidziane wypadki się zmniejszyła.

Ross pokręcił głową.

– Harris, może nie powinienem tego sugerować, ale zastanawiam się, czy nie należałoby zaproponować St Johnowi Peterowi niewielkiego udziału w pańskim banku: uczynić go mniejszościowym wspólnikiem? Zabezpieczyłoby to przyszłość jego i Joan.

Harris napelnił dwa kieliszki.

– Przyszło mi to do głowy. Rzeczywiście, rozmawiałem o tym z St Johnem w zeszłym tygodniu, gdy przyszedł do nas na obiad. Z tego, co mówił, wynikało, że chętnie przyjąłby taki udział, gdyby nie musiał aktywnie się angażować. Na przykład jak Spry. Zasugerował, że nie chciałby się zajmować bieżącym zarządzaniem bankiem ani być kojarzony z bankowością i lichwą.

Ross poruszył się niespokojnie na krześle. Zastanawiał się, czy przy takiej rozbieżności poglądów można zbudować szczęśliwe małżeństwo.

– Zawsze się okazuje, że im uboższy ziemianin, tym większe ma pretensje – powiedział. – Niewątpliwie z wiekiem nabierze rozsądku.

– To nasze pierwsze truskawki. Wolno dojrzewały, bo wiosna była chłodna. A jak pańskie interesy? Kopania w dalszym ciągu przynosi zyski?

– Na następnej aukcji wystawimy znakomitą rudę cyny. Zastanawiam się, jak wykorzystać napływ pieniędzy. Człowiek, który ma tylko jedno źródło dochodów, jest bardziej narażony na kaprysy fortuny od kogoś, kto rozkłada ryzyko.

– Z pewnością nie doradzałbym inwestycji w inną kopalnię. Tym razem zatriumfował pan wbrew wszelkim przeciwnościom. Oczywiście słyszał pan plotki o drugiej kopalni, którą pan zbudował?

– Co takiego? O Wheal Leisure? Nie.

– Mówi się, że grubość głównej żyły dostarczającej czerwoną miedź się zmniejsza, że jest coraz cieńsza i może zaniknąć.

– Nie słyszałem o tym. Dziwne, bo ta żyła biegnie prawie pod moim domem. – Ross popatrzył na przyjaciela. – Harris, zawsze mnie pan zdumiewa: zna pan wszystkie plotki z hrabstwa.

– Mam nadzieję, że to plotki, ze względu na udziałowców – odpowiedział dość sztywno Pascoe.

– Plotki to niewłaściwe słowo. Ale trudno mi uwierzyć w te wiadomości, ponieważ nadsztygarem i jednym z udziałowców Wheal Leisure jest Will Henshawe. Jak pan wie, to również nadsztygar Wheal Grace i jeden z moich najstarszych przyjaciół. Spodziewam się, że wspomnieliby mi o zanikaniu żyły.

– Niewątpliwie. – Pascoe zdjął okulary i przetarł je serwetką.

Na ulicy wrzeszczeli pijacy. Doszło do bójkki, rozległy się odgłosy uderzeń, ktoś uciekał z krzykiem.

– Nie, nie myślałem o następnych przedsięwzięciach górniczych – powiedział Ross. – Są inne sposoby inwestowania pieniędzy. Odlewnie, szkutnictwo, drogi...

– Będę się rozglądał, Ross. Ale w tej chwili, gdy od niedawna jest pan zamożnym człowiekiem, może rozsądnie byłoby trzymać pieniądze bezpiecznie w banku, tak jak teraz. Łatwo je wycofać, natychmiast wykorzystać w razie potrzeby. Za rok mógłby pan dysponować jeszcze większym kapitałem.

– Będę dysponował większym kapitałem już za sześć miesięcy – odparł Ross. – Niech pan nie zapomina, że jestem wyłącznym właścicielem kopalni, nie licząc niewielkiego udziału Henshawe'a.

– Zawsze miałem skłonność do pesymizmu, ale może jest to jedna z niezbędnych cech bankiera – powiedział Pascoe, z powrotem wkładając okulary. – Nie podoba mi się ta wojna i jej skutki dla Anglii, choć może przynieść chwilową koniunkturę. Aby zniszczyć system, którego tak bardzo nienawidzimy, łamiemy swoje najważniejsze zasady. Nowe posunięcie Pitta, zawieszenie Habeas Corpus Act, uderza w podstawy wolności. Więzienie bez sądu: cofamy się o dwieście lat! Ogromna armia, którą stale powiększamy; to nie *levée en masse* jak we Francji, ale metody są skandaliczne. Porwania, pijaństwo, przekupstwo, byle tylko werbować żołnierzy. Pitt pożycza pieniądze, pożycza na ogromny procent, by finansować wojnę. Wiem, że podatki i tak są wysokie, ale moim zdaniem lepsze byłyby nowe podatki. W tej chwili zaciąga długi pod zastaw przyszłości. Nie podoba mi się polityka, która mocno uderza w ubogich, niezależnie od intencji.

– Wie pan, że mówi do nawróconego, w przeciwnym razie by pan milczał – odparł Ross. – Niemniej w ciągu ostatnich dwóch lat zmieniłem poglądy w kilku drobnych kwestiach. Na początku nie robiły na mnie wrażenia filipiki Burke'a, lecz później byłem świadkiem, jak po kolei sprawdza się to, co mówił. Stoimy w obliczu zła. Kiedy walczyłem w Ameryce, nie sądziłem, że walczę w słusznej sprawie. Teraz walczyłbym znacznie chętniej.

– Mam nadzieję, że nie zamierza pan wstąpić do wojska.

Ross milczał.

– Mam trzydzieści cztery lata i muszę myśleć o żonie oraz... dziecku. – O mało nie powiedział: „dzieciach”. – Jednak formujemy lokalny oddział ochotników. Moje doświadczenia wojskowe mogą się przydać, ale oczywiście wszystko zależy od rozwoju sytuacji. Anglia może wkrótce walczyć samotnie.

– Modłę się do Boga, by tak się nie stało.

– Cóż, sam nie wiem. Czasem Anglia osiąga największe sukcesy, kiedy jest osamotniona. Historia naszych nieudanych wojen to historia koalicji.

Wstali. Pojawiła się pokojówka, by sprzątnąć ze stołu. W kominku płonął niewielki ogień. Harris ogrzał sobie przy nim ręce. Kiedy pokojówka wyszła, Ross powiedział:

– Byłby to dziwaczny kaprys losu, gdyby Wheal Leisure zaczęła teraz przynosić mniejsze zyski. George Warleggan robił wszystko, by ją zdobyć. Gdyby nie inni udziałowcy, bardzo by mnie to bawiło.

Nazajutrz rano, zrobiwszy zakupy, Ross poszedł na spacer na brzeg rzeki za starym ratuszem, gdzie w Zielone Świątki odbywał się jarmark. Potrzebował wielu rzeczy niezbędnych w gospodarstwie, zwłaszcza żywego inwentarza, który sprzedał dwa i pół roku wcześniej za kilka nędznych funtów. Oczywiście braki da się z czasem uzupełnić, ale naprawdę dobrych zwierząt nie można kupić hurtem i w pośpiechu. Gospodarstwo należy tworzyć z miłością, jak to robił do zimy tysiąc siedemset dziewięćdziesiątego roku. Nie zamierzał dziś kupować bydła ani świń, gdyż nie wziął ze sobą Cobbledicka, który popędziłby je do Nampary; pilnie potrzebował konia dla Demelzy, by zastąpić Caerhaysa. Gdyby trafił na naprawdę odpowiedniego wierzchowca, może by się na niego zdecydował.

Naprawdę dobra okazja nadarzyła się dosyć szybko. Jarmark w Truro, odbywający się w Zielone Świątki, zajmował pola dochodzące aż do rzeki, ale nie był tak ogromny jak jarmark wielkanocny w Redruth, urządzany co roku w Wielki Wtorek, gdzie przed laty Ross zdobył coś, co odegrało ważną rolę w jego życiu. Stragany i namioty pokrywały kilka hektarów błotnistych łąk. Przed namiotami, w których sprzedawano piwo, leżeli pijani mężczyźni, a na ziemi tarzały się półnagie dzieci, walcząc o rzucane im czasem odpadki. Farmerzy w skórzanych portkach handryczyli się o cenę owiec lub jakość zboża; chude krowy o zabłoconych bokach flegmatycznie żuły trawę, nieświadome czekającego je losu. Przygotowywano arenę, na której po południu mieli walczyć zapaśnicy. Byk przywiązany grubą liną do pała potrząsał łbem i tupał kopytami, protestując przeciw niewoli. Żebracy bez nóg, żebracy bez nosów, żebracy wyciągający uschnięte dłonie – prawdopodobnie wszyscy zostaną wygnani z miasta przed zapadnięciem nocy. Poza tym zwykle rozrywki: polykacze ognia, świnia o sześciu nogach, wróżki i najgrubsza kobieta na świecie. Na szczęście dzień był pogodny, ale nie zmieniało to faktu, że krążący po łąkach ludzie coraz głębiej grzęźli w błocie.

Ross szedł między straganami, gdzie sprzedawano stare ubrania, używane buty i peruki, gdy nagle usłyszał za plecami ochrypy męski głos:

– Cóż, na ducha mojego dziadka, czy to nie młody kapitan?! To pan, synu, nikt inny, jak mi Bóg miły!

Ross się odwrócił.

– Tholly?! – Nie wierzył własnym oczom. – Myślałem, że nie żyjesz!

Stał przed nim tęgi mężczyzna o silnych, ale lekko zgarbionych barkach astmatyka, czterdzieści sześć lat, ubrany w długi barchanowy kaftan, spodnie z ciemnozielonego sztruksu, zielony jedwabny halsztuk. Miał płaski nos, ciemne, siwiejące włosy, szare, lodowate oczy. W pobliżu jednego oka znajdowała się blizna pomarszczona niczym ścieg nieudolnej szwaczki: szrama Rossa wyglądała przy niej jak zadrapanie kota. Lewą dłoń zastępował żelazny hak, który bardziej nadawał się na stragan rzeźnika.

– Często byłem martwy – albo prawie martwy – ale jakoś się wykaraskałem. Minęło dużo czasu. Trzynaście, czternaście lat?

– Osiemdziesiąty pierwszy rok – odparł Ross. – Trzynaście. Wydaje się, że minął wiek. Wiedziałem tylko, że pływasz po morzach. Przez cały czas byłeś poza Anglią?

– Do zeszłego roku. Potem straciłem rękę. – Tholly uniósł hak. – Później mnie zwolnili. Stary Tholly był do niczego, na Boga. Spędziłem rok w Anglii, choć nie w tych stronach. Chce pan ode mnie kupić szczeniaka buldoga? Hoduję je do walk. I wszystko inne, jak się trafi. Młody kapitan, na Boga... Pański ojciec nie żyje, prawda?

– Od jedenastu lat.

Rozmawiali kilka minut, po czym Ross poszedł z Thollym do pobliskiego namiotu, gdzie usiedli na ławie i pili holenderski gin. Ross miał mieszane uczucia. Bartholomew Tregirls pochodził ze świata, o którym Ross zapomniał albo rzadko go sobie przypominał. Miał wrażenie, że jego młodość należała do kogoś innego. Przełomem okazał się pobyt w Ameryce. Wtedy się ukształtował. Wyjechał jako nieokielznany młodzieniec, a wrócił jako dojrzały mężczyzna. Chociaż po powrocie był takim samym buntownikiem jak przed wyjazdem, młodzieńcze awantury wydawały się śmieszne, niemądre, dziecinne, wywołane kapryсами rozpuszczonego chłopca. W owych odległych czasach Bartholomew Tregirls, starszy od Rossa, lecz młodszy od jego ojca, był arcykapłanem zgorszenia.

Wyjeżdżał ze starym Joshua na szalone wyprawy, w których Ross nie mógł uczestniczyć, a po powrocie do Nampary odgrywał rolę mentora syna dziedzica. Po śmierci żony Joshua przez dwa lata nie potrafił się otrząsnąć z żaloby, po czym zaczął się uganiać za kobietami i żadna nie mogła się czuć bezpieczna. Tregirls, wysoki, przystojny młody człowiek, chory na astmę i odznaczający się niespokojnym charakterem, stał się jego kompanem. W St Michael rozwścieczony ojciec zaatakował go nożem rzeźnickim i omal nie wydlubał mu oka. Ale szpetna blizna nie sprawiła, że przestał się podobać kobietom. Żył jak dotychczas, dopóki nie wziął udziału w napadzie rabunkowym, za który groziła mu kara śmierci, i pewnej nocy wymknął się z domu, pozostawiając bez grosza żonę i dwoje dzieci.

Minęły lata. Ross miał pewien sentyment do potężnego mężczyzny siedzącego obok, ale na jego widok ogarnęły go mieszane uczucia, w tym również lekki niesmak. Upływ lat zmienił zarówno zachowanie Tholly'ego, jak i jego wygląd. Wydawał się zniszczony, zmęczony życiem, słabszy.

– Jest pan żonaty, prawda, młody kapitanie? Na pewno od kilku lat. I ma pan dzieci... Jak tam Nampara? Ciągłe chodzi pan łowić ryby na linkę? Uprawia pan zapasy? Pływa na Guernsey po kapkę trunku? Co z resztą? Jud ciągle żyje? Jud i ta wielka krowa Prudie?

– Tak, ciągle żyją, choć ode mnie odeszli, teraz mieszkają w Grambler. Tak, jestem żonaty, mam syna. Nie, nie uprawiam zapasów od dziesięciu lat, chyba że od czasu do czasu w gniewie.

Tholly roześmiał się głośno, po chwili złapał oddech.

– Niech diabli porwą moje płuca, dziś rano znowu mi dokuczają. Och, regularnie uprawiałem zapasy aż do zeszłego roku, gdy straciłem rękę... Ciągłe mam swoje kości. – Zagrzechotał płóciennym woreczkiem wiszącym u pasa i popatrzył z uśmiechem na Rossa. – Podobno Agnes nie żyje. Słyszał pan coś o Lobbie albo Emmie?

Dzieci Tholly'ego.

– Oboje mieszkają niedaleko. Lobb jest płukaczem cyny w dolinie Sawle. Emma pracuje jako podkuchenna u Choake'a. Agnes zmarła trzy lata po twoim odejściu.

– Biedna duszyczka. Zawsze była cierpliwa i chorowita, drobna jak ptaszek. Na Boga, młody kapitanie, musiała mieć do mnie dużo cierpliwości!

Nawet język Tholly'ego pochodził z dawno zaginionego świata. Nieliczni wybrańcy nazywali Rossa „młodym kapitanem” na długo przed tym, nim wstąpił do sześćdziesiątego drugiego regimentu piechoty, by odróżnić go od „starego kapitana”, czyli ojca. Joshua zdobył tę rangę nie w wojsku, lecz jako założyciel kopalni Wheal Grace. W Kornwalii właściciele kopalni tradycyjnie nazywano kapitanami, a tytuł ten budził większy respekt niż ranga oficerska.

– Któregoś dnia pojedę ich odwiedzić – rzekł Tholly. – Są podobni do mnie czy do Agnes, jak pan sądzi?

– Lobb przypomina matkę. Emma jest bardziej podobna do ciebie. Wysoka, urodziwa dziewczyna. Ma teraz dwadzieścia lat? Czy dwadzieścia jeden?

– Dziewiętnaście. Lobb ma dwadzieścia pięć. Ożenił się? Emma ma męża?

– Lobb jest żonaty. Nie znam jego żony, ale mają pięcioro dzieci. O ile wiem, Emma jeszcze nie wyszła za mąż.

Znów umilkli. Rozległo się bicie dwóch dzwonów kościoła pod wezwaniem Matki Boskiej. Ich dźwięki płynęły nad miasteczkiem, nad gwarnymi polami jarmarku. Wydawało się, że pochodzą ze spokojniejszego, łagodniejszego, melodyjniejszego świata. Zagłuszyły piskliwe wrzaski łobuziaków, muczenie krów, dalekie krzyki przekupnia.

– Któregoś dnia pana odwiedzę, synu – rzekł Tregirls. Uśmiechnął się, ukazując resztki spróchniałych zębów. – Mam nadzieję, że dobrze mnie pan przyjmie. Kiedy przestałem pływać po morzach, zupełnie opuściło mnie szczęście. Kupuję, sprzedaję i jakoś żyję. Może mógłbym panu coś sprzedać? Coś, co zawiózłby pan żoneczce do domu?

– To twój stragan? Co masz?

– Czego dusza zapragnie. Sprzedam panu wszystko, co pan chce, może z wyjątkiem tego. – Uniósł hak. – Przydaje się, gdy mam do czynienia z kobietami. Przytrzymuję je za szyję, żeby nie mogły uciec.

– W ogóle się nie zmienileś, Tholly. Niestety, nie potrzebuję szczeniaków buldogów. Nie lubię walk psów. Szukam dobrego konia, ale to nic pilnego...

Tholly Tregirls odstawił z trzaskiem kubek na ławę.

– Mam coś dla pana, młody kapitanie! – Podniósł hak, by poklepać Rossa po ramieniu, lecz się rozmyślił. – Za straganem stoją dwie wspaniałe klacze. Jedna może być pańska za godziwą cenę. Lepsza z nich to piękny młody srokacz, zaledwie trzylatka, dopiero co ujeżdżona. Nazywa się Judyta. Pokażę panu, młody kapitanie. Zaraz pokażę. Ale niech pan wybaczy, musimy rozmawiać po cichu, bo nie mam patentu na handel końmi.

Judyta była chuda i źle utrzymana, choć ktoś próbował nadać jej sierści połysk jakimś oszukańczym specyfikiem. Nazywanie jej srokaczem wydawało się przesadą; była kasztankiem z kilkoma niewielkimi białymi łatami. Miała stłuczone kolana i niespokojne ślepia. Mimo to bez protestu pozwoliła Rossowi obejrzeć sobie zęby.

– To nie koń, tylko kuc – powiedział.

– Ach, jeszcze urośnie. To rasowa klacz, może mi pan wierzyć, młody kapitanie.

Miała łagodny pysk. Niespokojne oczy mogły być oznaką zdenerwowania, a nie złośliwego charakteru.

Ross puścił pysk zwierzęcia.

– Możesz mnie oszukać co do kobiet, Tholly, ale nie koni. Ma co najmniej sześć lub siedem lat. Popatrz na środkowe siekacze. Nie powinieneś oszukiwać starego przyjaciela.

Tregirls zgarbił plecy i głośno zakasłał.

– Zawsze miał pan dobre oko, czy do kobiet, czy do koni, młody kapitanie. Chętnie wziąłbym pana na współnika... Może ją pan kupić za trzydzieści pięć gwinei. Nic na tym nie zarobię – a nawet stracę – ale brakuje mi gotówki i poświęcę się ze względu na dawne czasy.

– Poświęć się trochę bardziej. Wtedy może bym się zainteresował.

Zaczęli się targować i Ross pomyślał, że zakup konia od Tholly'ego to prawdopodobnie kiepski interes. Zwierzę mogło mieć różne wady, mogło paść ofiarą sztuczek. Ale ważniejsze od rozsądku było przyjemne poczucie, że kwota, która wchodzi w grę, nie ma już dla niego znaczenia. Pomagał staremu przyjacielowi. W najgorszym wypadku Judytę będzie można wykorzystać w kopalni, więc pieniądze nie pójdą na marne.

Dlatego targował się bez przekonania i wkrótce wręczył staremu znajomemu dwadzieścia sześć gwinei. Bartholomew Tregirls zdawał się nie zauważać, że w ciągu trzynastu lat Ross bardzo się zmienił. Miał ochotę traktować młodszego mężczyznę tak samo jak dawniej, dobrotliwie, ale dominując nad nim. Ross nie próbował sprowadzać go na ziemię. Tregirls nie był głupcem i jeśli nadarzy się okazja, sam się nauczy albo otrzyma lekcję. Było to przypadkowe spotkanie, które może się nigdy nie powtórzyć, zetknięcie się dwu ludzi, którzy dawno poszli własnymi drogami. Ross nie przypuszczał, że Tregirls wróci tam, gdzie kiedyś mieszkał, w okolice Nampary. Wieśniacy go nie lubili, zwłaszcza żonaci.

Rozdział szósty

Chociaż Morwenna Chynoweth nigdy nie mieszkała dalej niż dwadzieścia kilometrów od morza, rzadko odwiedzała wybrzeże i w czasie pobytu w Trenwith z początku nie zdawała sobie sprawy z bliskości oceanu. Jej ojciec, poważny, głęboko religijny duchowny o purytańskich skłonnościach, zwolennik konserwatywnego nurtu Kościoła anglikańskiego, nie uważał wycieczek nad morze za odpowiednią rozrywkę nawet dla swoich najmłodszych córek. Morwenna, najstarsza z dziewcząt, była zbyt zajęta pomaganiem matce w prowadzeniu domu, opieką nad siostrami i uczestnictwem w akcjach społecznych i charytatywnych, by mieć czas na jazdę konną lub odwiedzanie przyjaciółek. Odkąd skończyła dziesięć lat, czterokrotnie jeździła z ojcem do nadmorskich parafii, gdzie wygłaszał kazania, lecz w czasie tych podróży miała niewiele okazji, by podziwiać morze i cieszyć się jego urokiem.

W Trenwith wszystko wyglądało inaczej. Morwenna, równie poważna jak ojciec, głęboko religijna i mająca silne poczucie obowiązku, przyjęła pracę w posiadłości Elizabeth, zasmucona z powodu rozstania z rodziną, lecz zdeterminowana, by dobrze pełnić funkcję guwernantki. Chociaż status społeczny Morwenny się obniżył, czuła się w Trenwith znacznie lepiej niż w domu rodzinnym. Geoffrey Charles był przekorny i inteligentny, ale uczenie go i trzymanie w ryzach nie było wcale trudniejsze niż w przypadku jej sióstr. Pan Warleggan, choć budził w niej lęk, traktował ją łaskawie, na swój bezosobowy sposób. Elizabeth, siostra stryjeczna, okazała się aniołem i bardzo starała się łagodzić dyskomfort lub wstyd, jakie Morwenna mogła odczuwać w nowej roli, a naprawdę poniżające prace domowe wykonywali służący. Poza tym, nie dla przyjemności, lecz w ramach swoich obowiązków, pozwolono jej zabierać Geoffreya Charlesa na fascynujące wycieczki – po okolicy, wzdłuż klifów, na plażę. I zawsze miała do dyspozycji kuca.

Dwór w Trenwith znajdował się zaledwie półtora kilometra od morza, ale w tym miejscu były wysokie, skaliste klify i kilka niewielkich, pełnych wodorostów zatoczek, do których można było dotrzeć jedynie wąskimi, niebezpiecznymi ścieżkami. Półtora kilometra w lewo (patrząc w stronę morza) brzeg opadał ku zatoce Trevaunance, za którą znajdowała się wioska St Ann's. Półtora kilometra w prawo nad zatoką Sawle leżała wieś o tej samej nazwie, a za kamienistą plażą znów zaczynały się strome klify dochodzące do posiadłości kapitana Rossa Poldarka. W Trevaunance i Sawle morze odsłaniało w czasie odpływu połacie pięknego, złocistego piasku, który zwykle znajdował się pod wodą, lecz najlepszą plażą w okolicy była plaża Hendrawna. Zaczynała się tuż za majątkiem kapitana Poldarka i ciągnęła prawie do granicy posiadłości pana Treneglosa. Leżała około sześciu kilometrów od Trenwith, ośmiu lub dziewięciu, jeśli jechało się okrężną drogą.

Morwenna nie знаła jeszcze przyczyn konfliktu między właścicielami dwóch sąsiadujących majątków, lecz wiedziała o jego istnieniu. Zauważyła, że w Trenwith rzadko wspomniano o Rossie Poldarku, a kiedy pewnego razu Geoffrey Charles wymienił jego nazwisko w towarzystwie, szybko zmieniono temat. Nie miała pojęcia, jaka jest przyczyna wzajemnej wrogości, kto ma do kogo pretensje o rzeczywiste lub wymaginowane krzywdy. Gdy poruszano ten temat, George nagle się najeżał, stawał się nieprzyjemny, sarkastyczny, ale jego złość nie kierowała się przeciw Elizabeth. Kuzynka była tak samo rozdrażniona, chłodna: oboje jednakowo nie znosili Rossa Poldarka. Morwenna uważała to za nieco dziwne, bo choć jej życie w domu rodzinnym miało swoje wady, zawsze nawiązywała serdeczną przyjaźń z każdym poznanym krewnym. Niewątpliwie Ross Poldark zrobił coś niewybaczalnego. Trudno było zgadnąć, o co chodzi. Naturalnie czuła ciekawość, nie chciała jednak pytać jedynej osoby, która mogłaby udzielić odpowiedzi. Nie czuła odrazy do ciotki Agathy, często przebywała w towarzystwie starych, stojących nad grobem ludzi, lecz nie potrafiła się zdobyć, by wykrzykiwać pytania do ucha porośniętego siwymi włoskami. O tej sprawie należało rozmawiać szeptem, w tajemnicy, a nie wrzeszczeć jak na pokładzie

okrętu w czasie sztormu.

Elizabeth nie zabroniła Morwennie chodzić z Geoffreyem Charlesem w okolice Nampary, ale dziewczyna czuła, że postąpiłaby wbrew jej woli, gdyby go tam zabrała. Z tego powodu w czasie wycieczek na plażę Hendrawna zawsze wybierała okrężną drogę i zostawiała kuce przywiązane do granitowego słupka na wydmach. W pobliżu zaczynały się niskie klify, na których znajdowała się kopalnia Wheal Leisure. Z tego miejsca widać było kominy dworu w Namparze, położonego w odległości przeszło dwóch kilometrów.

Pod koniec czerwca panowała ładna pogoda i wiały słabe, ledwo wyczuwalne wiatry ze wschodu. Morwenna i Geoffrey Charles często jeździli na plażę Hendrawna, naturalnie w towarzystwie masztalerza, którego zostawiali z kucami. Geoffrey Charles polubił brodzenie w morzu, toteż oboje szli brzegiem w czasie przyływu, a ich stopy obmywały fale. Czasem spotykali ludzi, którzy grzecznie ich pozdrawiali: wieśniaków szukających na brzegu przedmiotów mających jakąkolwiek wartość, przedwcześnie postarzałe, zgarbione kobiety, obszarpanych byłych górników dręczonych przez złowieszczy kaszel, zagłodzone, bezdomne sieroty, matki z gromadkami dzieci, a od czasu do czasu górnika wracającego z kopalni lub wysypującego odpadki do morza, by zabrał je odpływ. W pogodne dni plaża pustoszała, bo morze było zbyt spokojne, by wyrzucić coś wartościowego. Masztalerz nie lubił, gdy się oddalali, jednak, jak trafnie zauważył Geoffrey Charles, konie są znacznie cenniejsze od ludzi i mogą paść łupem złodziei, poza tym Keigwin mógł ich widzieć ze swojego miejsca. W czasie jednej z pierwszych wycieczek galopowali po plaży, lecz wspięcie się na wydmy okazało się ryzykowne, gdyż należało pokonać krótki, stromy stok.

W środę na początku lipca zauważyli człowieka idącego w ich stronę i Geoffrey Charles rozpoznał w nim jednego z młodych mężczyzn z belką ze statku. Kiedy się zbliżyli, on również ich rozpoznał, podbiegł do nich po wilgotnym piasku i pozdrowił, unosząc dłoń do czoła.

– Panicz Geoffrey i panna Morwenna! To wielka niespodzianka! Dzień dobry! Ładna pogoda, prawda? – Zamienili kilka słów, po czym młody człowiek spytał: – Idą państwo na spacer? Mógłbym przejść z państwem kilka kroków?

Dołączył do nich, nie czekając na pozwolenie. Miał gołą głowę i bose stopy, nosił drelichowe spodnie podwinięte powyżej kolan i związane konopnym sznurkiem. Morwenna wiedziała, że nie powinna tolerować jego swobodnego, beztroskiego zachowania, ale odnosił się do nich z szacunkiem, a Geoffrey Charles powitał go z taką radością, że trudno było się sprzeciwiać.

– Często tu spaceruję, gdy mam wolną godzinę. Nigdy nie widziałem piękniejszej plaży. Nie zauważyłem państwa wcześniej. Przyjechali państwo konno czy przyszli pieszo? Może znają państwo tę plażę znacznie lepiej ode mnie...

Geoffrey Charles spytał o budowę chaty, czy udało się umieścić belkę na właściwym miejscu i jak ją zamocowano. Fascynowały go wszelkiego rodzaju konstrukcje. Drake starał się wyjaśnić problemy, które musieli rozwiązać. Panicz Geoffrey powinien któregoś dnia przyjść i zobaczyć chatę. To tylko półtora kilometra, za wzgórzem. Oczywiście pod warunkiem, że panna Chynoweth nie miałaby nic przeciwko temu. Geoffrey Charles odpowiedział, że oczywiście przyjdzie i że panna Chynoweth oczywiście nie będzie miała nic przeciwko temu.

– Widzieli państwo święte źródło? – spytał Drake. – Na pewno tak. Ja mieszkam w tych stronach od niedawna...

Geoffrey Charles słyszał o świętym źródle, lecz nigdy go nie widział.

– To jakieś osiemset metrów stąd w stronę Czarnego Klifu. Można tam dotrzeć w dziesięć minut. Widzą państwo tamtą wystającą skałę? – Drake zbliżył się do Morwenny i wyciągnął rękę.

– Tak, widzę. Ale to za daleko, by tam dziś iść.

– O nie! – zaprotestował Geoffrey Charles. – Jesteśmy na plaży dopiero od dziesięciu minut, Wenno! Nawet nie brodziliśmy w morzu. Łatwo tam dojdziemy. Keigwin nie będzie miał nic przeciwko temu. Pobiegnę i powiem mu, co zamierzamy.

– Moim zdaniem twoja matka nie chciałaby, żebyśmy tak bardzo się od niego oddalali...

– Zadbam, by nic się państwu nie stało, panno Chynoweth – rzekł Drake, spoglądając z szacunkiem i podziwem na Morwennę. – Jeśli panicz Geoffrey ma ochotę tam iść, nie zajmie to dużo czasu, a źródło trudno znaleźć bez przewodnika.

Geoffrey Charles popędził do masztalerza, by mu powiedzieć, dokąd idą, a Morwenna i Drake ruszyli powoli w stronę klifów.

– Słyszałem, że jest tu pani od niedawna, podobnie jak mój brat i ja, panno Chynoweth.

– Jakież cztery miesiące.

– My prawie tyle samo. Nazywam się Drake Carne, panno Chynoweth. Zaproponowałem, że pójde z państwem, i mam nadzieję, że wybaczy mi pani śmiałość.

Morwenna skinęła głową.

– Chyba nie zna pani jeszcze mojej siostry, żony kapitana Rossa Poldarka?

– Nie...

– Nie wierzy pani, że to moja siostra?

– Och, wierzę...

– Dobra z niej dziewczyna. Odważna i bystra. Chciałbym, żeby ją pani poznała.

– Rzadko tu bywam, chyba że w czasie przejażdżek z Geoffreyem Charlesem.

– To jakby jej kuzyn. Dzięki małżeństwu z kapitanem Poldarkiem. Siostra nie widziała Geoffreya Charlesa od przeszło trzech lat.

– Obie rodziny chyba niezbyt się lubią – odpowiedziała Morwenna. – Mieszkam tu krótko i nie chcę pytać o powód. Ale dopóki stosunki się nie poprawią, nie mogę zabrać Geoffreya Charlesa do Nampary. Tak naprawdę nie jestem pewna, czy jego matka byłaby zadowolona, że spaceruje po plaży Hendrawna.

– Niech jej pani nie mówi, proszę.

– Dlaczego?

– Wtedy nigdy więcej... Nie powinniśmy... To najlepsza plaża w okolicy.

Morwenna spojrzała na Drake'a ciemnymi, poważnymi oczyma. Gdyby należał do jej sfery, wszystko, co mówił, brzmiałoby miło i uprzejmie, lecz w przypadku prostego cieśli należało to uznać za impertynencję. Czuliła żal z tego powodu. Był najprzystojniejszym młodym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek widziała.

– To miło z pańskiej strony, że pokaże nam pan to źródło, panie Carne.

Dobiegł do nich zdyszany Geoffrey Charles i popędził naprzód. Po chwili przystanął i czekał wsparty pod boki, aż się z nim zrównają.

– Szkoda, że nie jestem ubrany tak jak ty, Drake. Tak masz na imię, prawda? Szkoda, że nie jestem ubrany tak jak ty. Zawsze się boję, że pobrudzę ten strój. Nadaje się na bal, a nie wędrowkę po plaży.

– To strój odpowiedni dla młodego dżentelmena, paniczu – odparł Drake. –

Jeśli będzie pan uważał, nic się nie stanie. To tylko krótka wspinaczka.

– Wspinaczka? – spytała Morwenna. – Nie wspominał pan o wspinaczce.

– Cóż, zaledwie dziesięć metrów. Łatwo tam wejść.

Na końcu plaży Hendrawna klify przeplatały się z wydymami. Minęli dwie strome skały i Drake się zatrzymał.

– Ja poprowadzę – powiedział. – Panna Chynoweth może iść za mną, a panicz Geoffrey z tyłu. W razie potrzeby będziemy mogli jej pomóc.

Ruszyli. Wspinaczka, tak jak powiedział Drake, okazała się łatwa. Morwenna mogłaby się wdrapać na górę zręcznie jak kotka, gdyby nie przeszkadzała jej suknia i to, że za żadne skarby nie chciała jej podkasać. Dlatego dwa razy musiała wziąć Drake'a za rękę i po namyśle uznała, że popełniła błąd. Jego dłoń była ciepła, a jej zimna. Przebiegł między nimi zatrważający prąd.

Kiedy znaleźli się na szczycie, poprowadził ich przez niewielką trawiastą łączkę do skały na skraju klifu.

Znajdowało się pod nią oczko wodne o średnicy około metra, otoczone przez głązy wystające z ziemi.

– Jesteśmy na miejscu – powiedział Drake. – To źródło słodkiej wody, niech państwo spróbują, choć znajduje się tak blisko morza. Podobno przeszło tysiąc lat temu poświęcił je święty Sawle i czerpali z niego wszyscy pielgrzymi wędrujący wzdłuż brzegu z klasztoru do klasztoru. Niech państwo spróbują, to czysta woda.

– Szybko się pan dowiedział tylu rzeczy... – zauważyła Morwenna.

– Mówił mi stary Jope Ishbel, pracuje w Wheal Leisure. Dobrze zna te strony. Ale musiałem sam odszukać źródło.

– Pyszna woda – odezwał się Geoffrey Charles. – Spróbuj, Wenno.

Morwenna wypila łyk.

– Mm, smaczna.

– Podobno to źródło ma moc spełniania życzeń. Jope Ishbel mówi, że należy zanurzyć prawą rękę głęboko w wodzie, trzy razy uczynić znak krzyża palcem wskazującym i powiedzieć: „W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego”, a potem życzenie się spełni.

– To bluźnierstwo! – oburzyła się Morwenna.

– O nie! Nie bluźnierstwo, za przeproszeniem, panno Chynoweth. To takie samo święte miejsce jak kościół. Czy w kościele nie prosimy Pana Boga o różne rzeczy? Ja to robię. I pan także, paniczu, na pewno.

– Tak, tak, oczywiście – odrzekł Geoffrey. – Wypowiem życzenie. Pokaż, jak to się robi. Czy życzenie trzeba wypowiedzieć na głos?

– Tylko słowa modlitwy, nie życzenie. Trzeba zrobić coś takiego. – Drake podwinął rękaw i zanurzył dłoń w źródle, zerkając na Morwennę. Wykonał trzy znaki krzyża i powiedział: – W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego. – Następnie szybko cofnął rękę, lecz nie strząsnął z niej kropelek wody. – Powinna sama wyschnąć – wyjaśnił.

Geoffrey Charles, bardzo zaintrygowany, wkrótce poszedł za przykładem Drake'a, po czym zaczął namawiać Morwennę, by zrobiła to samo. Na początku odmawiała, lecz po chwili ustąpiła. Geoffrey Charles i Drake patrzyli, jak zdejmuje niewielki pierścionek z granatem, kładzie go na kamieniu, a później podwija do łokcia rękaw kurtki jeździeckiej. Włożyła do wody rękę z wyprostowanymi palcami, wykonała trzy razy znak krzyża i wypowiedziała półgłosem modlitwę. Kiedy pochylila się nad źródłem, na twarz opadły jej włosy: przeświecał przez nie policzek i zarys ucha.

– Nie, jeszcze nie! – rzekł Geoffrey Charles, gdy Morwenna wyprostowała się i chciała obciągnąć rękaw. – Musisz poczekać, aż ręka sama wyschnie!

Stali w milczeniu. Morze również było ciche: dochodził tylko szum łagodnego wiatru poruszającego trawę na skraju klifu i śpiew słowika wysoko na niebie.

– Jak głupio musimy wyglądać – odezwała się półgłosem Morwenna, z powrotem wsuwając pierścionek na palec. – Dawni mnisi na pewno byliby oburzeni, że wypowiadamy niemądre życzenia przy tym źródle.

– Moje życzenie nie było niemądre – rzekł Drake.

– Moje też! – dodał Geoffrey Charles. – Nie jest niemądrze prosić o... – Urwał w samą porę i wszyscy się roześmieli.

Kiedy schodzili, Drake powiedział:

– Osiemset metrów stąd, koło Czarnego Klifu, są ogromne, ładne jaskinie. Jedna jest nazywana Katedrą. W środku wygląda jak wielki kościół: z łukami, kolumnami, nawami. Pewnego dnia bardzo chciałbym je państwu pokazać, gdyby to państwa ciekawiło.

– O tak! – zawołał Geoffrey Charles. – Chcemy zobaczyć jaskinie, prawda, Morwenno? Kiedy tam pójdziemy? Kiedy?

– Nie możesz oglądać jaskiń bez pozwolenia matki.

– To znacznie łatwiejsze niż dojście do źródła – powiedział Drake. – Nie trzeba się wspinać. Wchodzi się prosto z plaży. Gdybyśmy się umówili, przyniosłbym świece, bo wtedy więcej widać.

– Och, Wenno, musimy obejrzeć jaskinie! – zawołał Geoffrey Charles.

– Może mógłbyś przekonać matkę – odpowiedziała wymijająco Morwenna. – Wiesz, że niczego ci nie odmawia.

Schodzili na plażę, co okazało się dość trudne dla kobiety w butach do jazdy konnej.

– Wiedzą państwo, dlaczego te skały są nazywane Czarnym Klifem? – spytał Drake, zatrzymując się w połowie drogi. – Odpowiedź jest prosta: ponieważ są zawsze czarne. Nawet teraz, gdy świeci słońce. Był pan kiedyś tak daleko, paniczu?

– Nie, jeszcze nigdy nie doszliśmy tak daleko.

– Ja też nigdy tam nie byłem. Na razie. Proszę mi pozwolić sobie pomoc, panno Chynoweth.

– Nie, dziękuję.

– Proszę się zgodzić. Nie jest tu bezpiecznie.

– Dam sobie radę.

– Bardzo proszę... – Ujął jej dłoń i przedramię jak najcenniejszy skarb, który udało mu się zdobyć.

Demelza zawsze miała szczególny sentyment do biblioteki w Namparze. Kiedy w wieku kilkunastu lat zaczęła pracować w majątku Rossa jako służąca, spędzała w niej długie godziny, oglądając dziwne przedmioty zgromadzone w zagraconym pomieszczeniu. Od tamtego czasu większość rupieci zebranych w ciągu dwudziestu pięciu lat wyrzucono lub rozdano, a lepsze rzeczy naprawiono i przeniesiono do dworu. Na końcu biblioteki znajdowała się kłapa w podłodze i zejście do dużej podziemnej skrytki, o której przeznaczeniu Demelza wolała nie pamiętać. W tej chwili jedyną częścią biblioteki wartą zachowania były kamienne ściany; dach, drewniane framugi okienne i podłoga zbutwiały, toteż należało je wymienić na nowe.

Na początku, gdy kopalnia przyniosła pierwsze zyski, Ross wpadł na pomysł, by połączyć bibliotekę z częścią mieszkalną dworu. (Nigdy nie zakończono jej budowy i zawsze była co najwyżej graciarnią). Ale kiedy sytuacja finansowa się ustabilizowała, zaczął snuć ambitniejsze plany. Apartament widziany w Londynie w czasie wizyty u Caroline Penvenen, prace remontowe w Trenwith, eleganckie salony, które czasem odwiedzał w Truro, poddały mu myśl, by stworzyć w Namparze przynajmniej jedno eleganckie pomieszczenie, największe w całym dworze, funkcjonujące jako reprezentacyjny salon. Dębowa wyfroterowana podłoga, ładna gipsowa sztukateria na suficie i ściany pokryte jasną sosnową boazerią – tak wyglądały początkowe plany. Ale perspektywa narodzin kolejnego dziecka sprawiła, że wpadł na inny pomysł. W tej chwili we dworze było sześć sypialni, zbyt mało przy czworogu służących. Jeremy wkrótce będzie potrzebował własnego pokoju. Do biblioteki można wejść z zewnątrz albo przez dawną sypialnię Joshui, w której stoi wielkie łóże skrzyniowe. Dlaczego nie zmienić sypialni Joshui na parterze w jadalnię i nie dobudować do biblioteki pierwszego piętra, by ta część domu miała taką samą wysokość jak reszta dworu? Nad biblioteką mogłyby się znajdować dwie nowe sypialnie; wchodziłoby się do nich przez graciarnię i skład jabłek znajdujące się teraz nad sypialnią Joshui.

Przeszkodą w realizacji takiego przedsięwzięcia był brak wykwalifikowanych lub choćby w miarę zręcznych rzemieślników. Kiedy Joshua budował dwór w Namparze, nie myślał o elegancji, a zatrudnieni przez niego niewykwalifikowani robotnicy wzniesli dość toporny budynek. W ciągu trzydziestu pięciu lat Nampara nieco się ucywilizowała, lecz okoliczni mieszkańcy nie zdobyli nowych umiejętności. Sztukatorów prawdopodobnie należałoby sprowadzić z Bath albo Exeter. Łatwo dałoby się znaleźć majstrów ciesielskich, którzy zbudowaliby nowy dach, ale nie stolarzy meblowych potrafiących wykonać ładne drzwi lub półkę nad kominkiem. Kamieniarze mogli wzniesić mur, który przetrwałby do końca świata, lecz tylko nieliczni umieli obrabiać twardy granit lub zdołać płytki z łupku.

W pierwszych tygodniach Drake pracował w kopalni, ale szybko przeniesiono go do prac rozbiórkowych w bibliotece. Wkrótce okazało się, że jest najlepszym stolarzem w okolicy, choć nie był to jego właściwy fach.

Pewnego dnia, gdy Ross wyjechał, a Demelza przyszła do biblioteki po ścierkę do kurzu, Drake spytał:

– Siostrzyczko, nigdy nie spotykacie się z mieszkańcami Trenwith?

– Nie, nigdy – odpowiedziała. To wszystko, ani słowa więcej.

– Pan Francis, który zginął, był bratem stryjecznym kapitana Rossa, czy tak?

– Tak.

– Nie lubili się?

– Czasem się sprzeczali, ale w ostatnich latach życia Francisza byli dobrymi przyjaciółmi.

– Pytałem cię już o Geoffreya Charlesa. Nie chciałabyś go zobaczyć?

– Chętnie bym go zobaczyła, ale jego matka i ojczym nie chcą, żeby się z nami spotykał.

Drake wyjął dwa gwoździe spomiędzy mocnych zębów i położył na ławie.

– Nie sądzisz, że na świecie jest za dużo złości, siostrze?

– Sądzę. Ale możesz mi wierzyć, Drake, że tej złości nie rozproszy żadna modlitwa. Nie chcę ci tego dokładnie tłumaczyć, ale tak jest.

– Czy to złość po waszej stronie, czy po ich stronie? Wybacz, że pytam.

– Po obu stronach.

Demelza znalazła ściereczkę i teraz przeglądała kilka starych ksiąg rachunkowych. Miała zaciśnięte wargi.

– Sam chce, żebyś zwróciła się w stronę Chrystusa, siostrze – powiedział Drake.

Demelza spojrzała na księgę, marszcząc brwi, i odgarnęła z czoła kosmyk włosów.

– Sam dużo chce.

– Nigdy nie czujesz tęsknoty za Odkupicielem?

– Nie jestem uczona w tych sprawach.

– Cóż, nie bardziej od nas...

– Ale myślicie, że wszystko wiecie, tak?

– To nie sprawa nauki. Trzeba czuć, że tkwi się w grzechu i pętach nieprawości, i szukać Bożego przebaczenia.

Demelza uniosła wzrok i popatrzyła Drake'owi w oczy. Jeszcze nie słyszała, by mówił w ten sposób.

– Uważasz, że Bóg ci przebaczył?

– Tak myślę. A Samowi jeszcze bardziej.

– Sam jest we wszystkim bardziej – odpowiedziała. – Przypomina mi ojca.

– Ale nie jest taki jak ojciec. Ojciec... ojciec miał w sobie coś z byka. Walczyłby za Chrystusa w taki sam sposób, jak bił się po pijanemu. Sam jest łagodny. To urodzony chrześcijanin, Demelzo.

Rzadko zwracał się do niej po imieniu. Uśmiechnęła się.

– Może nie jestem urodzoną chrześcijanką? Może właśnie na tym polega problem? Chodzę do kościoła raz w roku z kapitanem Poldarkiem. Idziemy na Boże Narodzenie i przyjmujemy komunię. Poza tym staram się postępować jak chrześcijanka. Jest jeden sąsiad, którego nie możemy kochać jak siebie samego, ale z pozostałymi staramy się żyć w przyjaźni i pokoju. Myślę, że kłopot ze mną... a może to kłopot z tobą?

– Słucham?

– Nie wierzę, że jestem grzeszna, bracie. Och, wiem, że mogłabym postępować lepiej, i oczywiście nie kocham Boga dostatecznie mocno. Jestem... przywiązana do świata. Nie patrzę na figurę na krzyżu, tylko na rzeczy, które mnie otaczają. Kocham swojego męża, dziecko, psa, ogród, szpinet, sypialnię, dom. Przywiązana do świata, rozumiesz? Ale darzę to wszystko wielką miłością. Te rzeczy są dla mnie ważniejsze od króla siedzącego na tronie w niebie. Mam nadzieję, że jeśli go spotkam i będę mogła mu wszystko wytłumaczyć, zrozumie mój punkt widzenia...

– Nie rozumiesz, że Chrystus jest cały czas z nami? Najpierw go pokochaj, a wszystko się zmieni.

Demelza milczała.

– Chyba nie chcę, by wszystko się zmieniało, Drake. Chcę, żeby zostało takie, jakie jest.

Drake westchnął.

– Och, po prostu obiecałem Samowi, że spróbuję...

– Obiecałeś Samowi... – Roześmiała się. – To wszystko wyjaśnia! To wcale nie twoje słowa, tylko Sama.

Powinam się była domyślić!

Drake ujął młotek i spojrział na niego z rozgoryczeniem.

– Nie. Nie, siostrzo, to nieprawda. Jestem zbawiony i uzyskałem łaskę podobnie jak Sam. Ale on bardziej pragnie nawracać innych. I pomyślał... pomyśleliśmy... – Wziął gwóźdź i wbił go w deskę.

– Sądziłicie, że wasza siostra pozostaje w całkowitym mroku, z dala od Boga? Czy nie tak to nazywacie?

– Naturalnie myślimy o członkach swojej rodziny, a Sam wie, że widuję się z tobą częściej od niego. Uważa, że bardziej mnie lubisz...

– Jeśli zaczniesz wbijać gwoździe w ten sposób, będziesz je musiał znowu wyciągać. Popęka od tego drewno... – Przewróciła stronicę księgi rachunkowej. – Przykro mi, bracie. Najpierw musisz spróbować nawrócić kapitana Poldarka.

– Nie mam śmiałości – odpowiedział Drake.

– Ja też nie miałabym śmiałości – rzekła Demelza. – Tylko nie mów, że nie jest dobrym człowiekiem!

Drake zrozumiał, że nic więcej nie wskóra.

– Szkoda, wielka szkoda. Ta biblioteka...

– Co takiego?

– Sam się zastanawiał, tylko zastanawiał. Nasze zgromadzenie rośnie i byłoby to dobre miejsce na spotkania.

Do biblioteki wszedł Joe Nanfan, niósł sosnową deskę. Po tym, jak w zeszłym roku został ranny podczas zawału w kopalni, zajął się ciesielstwem i szybko się uczył.

Demelza, która wcześniej wstrzymała oddech, westchnęła głęboko.

– Myślę, że obaj wrodziliście się w ojca, ty też.

Drake uśmiechnął się niepewnie, a Demelza wstała i wyszła.

Wieczorem, gdy Ross ciągle przebywał poza domem, Drake podszedł w ogrodzie do Demelzy.

– Przepraszam, siostrzo, jeśli dziś rano pozwoliłem sobie na zbyt wiele. Mam nadzieję, że się na mnie nie gniewasz.

– Jak mogłabym się gniewać na człowieka, który chce urządzać w naszym nowym salonie spotkania modlitewne?

Oboje się roześmieli.

– A poważnie? – spytał.

– Poważnie? Masz dar czarowania ludzi słowami. Drzę z lęku o młode kobiety z okolicy.

Drake się zarumienił.

– Cóż, może mam, może nie mam. Boję się, że to nie takie proste... Siostrzo, muszę cię prosić o jeszcze jedną przysługę. Tym razem to moja własna prośba i może nie powinienem tego mówić...

– Jestem pewna, że nie powinieneś – przerwała Demelza. – I jestem pewna, że to zrobisz.

– Potrafię... potrafię czytać, choć powoli i z trudem, ale Sam i ja mamy tylko jedną Biblię i Sam się z nią nie rozstaje. Czyta mi na głos, ale to nie pomaga w nauce czytania. I nie potrafię pisać. To znaczy potrafię napisać swoje nazwisko, ale nic więcej. Potrzebuję ćwiczeń.

– Chcesz dostać książkę? Dam ci ją z przyjemnością, choć wybór jest niewielki. Jeszcze jedną Biblię?

– Chyba wolałbym inną książkę. Mądrą, żebym przy okazji mógł się czegoś nauczyć. A poza tym – dodał, gdy Demelza zamierzała coś powiedzieć – bardzo chciałbym, żebyś mi pomogła ćwiczyć się w pisaniu. Patrzyła, jak piszę, mówiła, co robię źle, rozumiesz. Może dziesięć minut dziennie, nie więcej.

Demelza spojrzała na prawoślaz, który wymagał już podparcia, bo inaczej przewróci go następna wichura. Prawdę mówiąc, prawoślazy nie nadawały się do uprawy na wybrzeżu i już dawno przestałyby je hodować, gdyby tak bardzo ich nie kochała. Lepsze byłyby niższe, silniejsze rośliny. Cóż, zaczęła się niechętnie godzić z tym, że ogród jest ładny tylko wiosną. Żonkile, pierwiosnki i tulipany zawsze wyglądały wspaniale, ale gleba była tak

piaszczysta, że letni upał natychmiast ją wysuszał i roślinom brakowało składników do wzrostu.

– Nie może ci pomagać Sam?

– Sam pisze niewiele lepiej ode mnie. Widziałem tablicę, którą napisałaś, by robotnicy nie deptali twojego ogrodu, i wygląda ładnie. Musisz dużo pisać, siostrze. Na pewno dużo ćwiczyłaś.

– Zaczęłam pisać w twoim wieku, Drake. Nie, rok wcześniej. Siedem lat temu. Potrzebny jest czas.

– Mam czas.

– Moje pismo... – westchnęła. – Powinieneś zobaczyć dokumenty prawnicze napisane przez kancelistów. To jest prawdziwe pismo. Moje pismo wygląda jak pająk z połamanymi nogami.

– Po prostu chcę umieć wyrazić swoje myśli.

– Chyba już to potrafisz – odrzekła i pochyliła się, by wyrwać chwast. Pociągnęła za łodygę, lecz pękła i w ziemi został korzeń.

– Poczekaj – powiedział Drake. Pochylił się, rozgrzebał długimi palcami piaszczystą ziemię i wyciągnął korzeń. – Co mam z nim zrobić?

– Rzuć na tamtą kupę. Dziękuję, bracie. – Wyprostowała się. Wiatr zwał jej włosy z czoła. – Bardzo dobrze, Drake, pomogę ci. Pod warunkiem że nie będziesz za bardzo starał się mnie nawracać.

Poklepał ją po dłoni.

– Dziękuję, siostrze. To szlachetnie z twojej strony. Jesteś prawdziwą chrześcijanką.

Rozdział siódmy

Ross spędził dwie noce w Looe, zatrzymując się u swojego starego przyjaciela Harry'ego Blewetta. W czasie późnej kolacji powiedział Demelzie, że zakład szkutniczy znakomicie prosperuje i że Blewett w dalszym ciągu proponuje mu udział w przedsiębiorstwie. Pieniądze, które mógłby zainwestować Ross, przeznaczono by na rozbudowę zakładu, obecnie z trudem nadążającego z zamówieniami.

– A jeśli wojna szybko się skończy? – spytała Demelza.

– Dobry zakład szkutniczy, dobrze prowadzony, właściwie nie może zbankrutować. Po zakończeniu wojny zapotrzebowanie na łodzie nie będzie tak wielkie, ale nie zniknie zupełnie, jak to bywa w przypadku żyły cyny lub miedzi.

Nałożyła mu kolejną porcję baraniej karkówki.

– A... ta druga sprawa?

– Od początku czerwca popłynęli do Francji tylko raz, lecz dwóch ludzi rozpytywało w moim imieniu. Jak dotąd nic. Podobno rybacy z Bretanii pływają z portu do portu, ale rzadko podróżują w głąb łądu i nic nie wiedzą o więzieniach, obozach ani jeńcach wojennych. Zaproponowałem pięćdziesiąt gwinei za konkretne, dające się potwierdzić informacje o angielskiej fregacie Travail i ocalałych członkach załogi. Popłyną w przyszłym tygodniu, jeśli pogoda będzie sprzyjająca.

– A twoi przyjaciele z St Ann's?

– Will Nanfan nie zdobył żadnych informacji o Dwighcie, ale słyszał, że angielscy więźniowie w Breście byli atakowani na ulicach przez motłoch, który obrzucał ich kamieniami, a później trafili do koszmarnych więzień. Uważa, że chodzi o schwytanych marynarzy statków handlowych. Oczywiście oficerowie marynarki wojennej powinni być lepiej traktowani.

– Nie powiesz tego Caroline?

– Naturalnie, że nie.

Demelza wzięła talerz Rossa.

– Pudding? Czy galaretka? A może ciasto agrestowe?

– Ciasto, jeśli upiekłaś je ty, a nie Jane. Dziękuję. – Patrzył, jak Demelza wstaje i kroci placek. Cięża jeszcze nie wpłynęła na jej figurę ani młodzieńczą urodę, w dalszym ciągu była smukła i poruszała się z gracją. – W Looe poznałem dwóch emigrantów z Francji, niejakiego monsieur du Corbina i hrabiego de Maresiego. Spytałem du Corbina, co mogło spotkać Dwighta, jeśli przeżył katastrofę. Wygląda na to, że du Corbin ciągle żyje w epoce, gdy obowiązywały zasady honoru. Twierdzi, że wszyscy oficerowie wzięci do niewoli są, zgodnie z procedurami, wymieniani lub zwalniani na parol, a ponieważ nie otrzymaliśmy żadnych informacji, wynika z tego, że Dwight nie żyje. Moim zdaniem du Corbin nie zdaje sobie sprawy, że w ciągu półtora roku, które minęły od jego wyjazdu z Francji, sytuacja znacznie się pogorszyła: łączność między prowincjami uległa zerwaniu. Dopóki nie zostanie przywrócony porządek, nikt nie pilnuje stosowania procedur, które dawniej były uważane za rutynowe.

Demelza usiadła i patrzyła na jedzącego Rossa. Trzymała jeden łokieć na stole, drugą ręką wygładzała obrus.

– Obawiam się, że jeśli wkrótce nie otrzymasz wiadomości o Dwighcie, sam popłyniesz do Francji i zaczniesz pytać.

– Ryzyko byłoby niewielkie. Żaden rząd nie podjął jak dotąd jakiegokolwiek próby walki z przemysłem.

– Nie chodzi o rządy, tylko o zwykłych ludzi. Anglia i Francja są w stanie wojny. Niektórzy mogą o tym zapominać, jeśli nabijają sobie kabzę dzięki wojnie, ale inni pamiętają. Nienawiść narasta z każdym tygodniem. Zastanów się nad tym, co Will opowiadał o tłumach w Breście. Mógłbyś zostać zaatakowany na morzu, dostać się

do niewoli, otrzymać cios nożem w plecy. To pierwsza groźba. Druga to możliwość aresztowania podczas lądowania w Anglii. Już raz ledwo nam się udało uniknąć katastrofy. Trudno się spodziewać, że znowu dopisze nam szczęście.

Uśmiechnął się.

– Wszędzie widzisz tyle niebezpieczeństw! Chyba zapomniałaś, co mówiłem, gdy powiedziałaś, że spodziewasz się dziecka. Pamiętasz, co wtedy odrzekłaś? „Jesteśmy zakładnikami fortuny po prostu dlatego, że żyjemy”.

– To nie to samo, Ross. Kobiety muszą rodzić dzieci, to naturalna kolej rzeczy, przeznaczenie, niezależnie od stanu. Urodziłam dwoje dzieci. Dlaczego przy trzecim miałyby mi się coś stać? Ale żaden mężczyzna nie musi płynąć za morze i narażać życia we wrogim kraju. Nie jest to jego przeznaczenie.

– Nawet, by ratować przyjaciela?

– Wiem, wiem... – Demelza zmarszczyła brwi. – Sugerujesz, że jestem podła. Dobrze, tylko dlaczego masz się narażać osobiście, Ross? Mogą to za ciebie zrobić inni. Wynajmij ludzi. Mamy dość pieniędzy: właśnie tak należy je wykorzystywać.

W pierwszą i третią niedzielę miesiąca nabożeństwa w kościele w Sawle odbywały się o jedenastej rano, a w pozostałe niedziele o drugiej po południu. W czasie tych ceremonii wielebny Clarence Odgers odmawiał modlitwy i wygłaszał kazania, a chór odśpiewywał kilka psalmów i hymnów przy akompaniamencie nieskładnej muzyki, wspomagany przez nielicznych wiernych. Stary Charles Poldark chciał, by wieczorne nabożeństwo rozpoczynało się około piątej lub szóstej, więc oczywiście dostosowano się do jego życzeń, lecz dwa lata po jego śmierci nabożeństwa znów zaczęto odprawiać o wygodniejszych porach, ponieważ inni Poldarkowie niezbyt interesowali się sprawami kościoła. Później, gdy zginął Francis, pozostała tylko Elizabeth z małym synem i spadło na nią tyle czasochłonnych i wyczerpujących obowiązków, że przestano przestrzegać wszystkich dawnych zwyczajów, a zwłaszcza, ku wielkiemu żalowi wielebnego Odgersa, przestano gościć proboszcza w wielkim dworze. Próby wielebnego Odgersa, by skłonić Rossa Poldarka do przejęcia tych i innych obowiązków, zakończyły się fiaskiem.

Ale teraz dwór należał do Warlegganów i zapanowały nowe zwyczaje. Wielebny Odgers z zadowoleniem zauważył, że nowy dziedzic Trenwith pojawia się w kościele w każdą niedzielę wraz z tymi domownikami, których uważa za stosowne przyprowadzić. Nie było jak dotąd żadnych oznak, że zamierza powrócić do dawnego zwyczaju dokarmiania ubogiego duchownego, lecz ten otrzymywał niekiedy cenniejszą pomoc – pieniądze! Było to tak bezprecedensowe wydarzenie, że mały człowieczek bez wahania spełniłby wszelkie życzenia pana Warleggana co do formy, pory lub oprawy nabożeństwa.

W głębi serca, a nawet w obliczu Boga, wielebny Odgers musiał przyznać, że pan Warleggan zachowuje się zupełnie inaczej niż Charles lub Francis Poldarkowie. Żaden członek rodu Poldarków nie uczęszczał do kościoła tak regularnie jak pan Warleggan. Stary Charles sprawiał kłopoty, ponieważ zachowywał się kapryśnie i nieustannie puszczał wiatry, a Francis bywał niekiedy zgorzkniały i sardoniczny. Jednak traktowali Odgersa jak równego sobie. Albo prawie równego. Charles mówił: „Pomylił się pan dziś rano w trakcie czytania Biblii, prawda, Odgers? Myślał pan, że drzemię, ale to dowód, że wcale nie spałem. Prrrt! Zresztą nie obwiniam pana. Te przekłete hebrajskie imiona...”. Innym razem odzywał się Francis: „Niech mnie diabli, Odgers, nie mogę słuchać tego Permewana rzępolącego na wioli da gambie. Nigdy nie słyszałem gorszych pisków, nawet gdy rodziła nasza maciora. Nie moglibyśmy go poprosić, żeby rozcieńczał gin wodą?”. Pan Warleggan zachowywał się inaczej. Odwiedzał Odgersa na plebanii i mówił: „Jeśli nie ma pan dzwonników, Odgers, przyślę panu dwóch moich ludzi. Niech pan dopilnuje, by w przyszłą niedzielę dzwony było dobrze słychać”. Albo: „Zauważyłem, że część uczestników nabożeństwa nie wstaje, gdy wchodzimy do kościoła. Czy mógłby pan łaskawie dopilnować, by to robili w przyszłości?”. Nie chodziło o to, co mówił, ale jak mówił – nigdy nie przemawiał poufałym tonem, który nie mógł zlikwidować przepaści społecznej, lecz pozwalał ją ukryć. Mówił w sposób chłodny, przesadnie uprzejmy, jak pan do sługi.

Odgers nie skomentował drugiego życzenia Warleggana. Dawniej, kiedy Odgers objął stanowisko wikariusza w Sawle, większość uczestników nabożeństwa nie tyle wstawała po wejściu Poldarków, ile wręcz czekała przed kościołem na ich przybycie i wchodziła do środka za nimi. Wszystko odbywało się w miłej, swobodnej atmosferze jako coś naturalnego. „Dzień dobry, pani Kimber – mówił Charles, mijając jedną z kobiet. – Mam nadzieję, że czuje się pani lepiej”. „Dzień dobry, sir, o tak, lepiej, bardzo dziękuję” – odpowiadała pani Kimber, składała ukłon lub, jeśli uznała to za stosowne, dygała, po czym Charles i towarzyszące mu osoby wchodzili do kościoła. Ale w krótkim okresie, gdy właścicielem Trenwith był Francis, zwyczaj ten szybko zaniknął, zwłaszcza po ucieczce Verity. Nie było sensu czekać przed kościołem, skoro żaden z Poldarków nigdy się nie pojawiał. Po śmierci Francisca sytuacja jeszcze się pogorszyła: część wieśniaków w ogóle przestała przychodzić na nabożeństwa, a reszta stała się knąbna. Nikt już nie troszczył się o kościół.

Teraz ktoś się troszczył, lecz w inny sposób. Zgromadzenie należało zdyscyplinować, by przyjęło nowe, uświęcone zwyczaje zgodne z życzeniami obecnego dziedzica. Służący z Trenwith, ludzie zależni od Trenwith w sprawach handlowych lub potrzebujący patronatu właścicieli majątku nie stanowili problemu. Ale istniała również grupa niezależnych parafian, na których Odgers musiał odpowiednio wpłynąć.

Zaczął od tego, że na kilka minut przed każdym nabożeństwem stawał przy drzwiach świątyni wraz z najstarszym synem, pełniącym obowiązki kościelnego. Kiedy Warlegganowie się zbliżali, syn pastora pośpiesznie wchodził do kościoła i prosił zgromadzonych o ciszę oraz wstanie z miejsc. Tymczasem Odgers szedł do bramy w murze otaczającym teren kościoła, by powitać dziedzica i towarzyszące mu osoby.

Ale George znacznie to utrudniał, bo często pojawiał się z opóźnieniem. Poldarkowie, trzeba im to przyznać, nigdy nie spóźniali się dłużej niż trzy lub cztery minuty. Jeśli nie byli w stanie dotrzeć na czas lub w ogóle nie mogli przyjechać, Charles wysyłał Tabbę lub Barge'a, którzy informowali Odgersa, by zaczynał bez nich. W końcu weszło w zwyczaj, że w normalnych okolicznościach nabożeństwo rozpoczyna się dopiero po przybyciu Poldarków. Odgers starał się przywrócić ten zwyczaj, lecz George i towarzyszące mu osoby spóźniali się niekiedy dziesięć minut, co sprawiało, że wierni się niecierpliwili.

Zwykle w nabożeństwach uczestniczyło dwudziestu lub trzydziestu wieśniaków, kilku innych śpiewało w chórze. (Doktor Choake, przewodniczący rady parafialnej, regularnie pojawiał się z żoną w pierwszą niedzielę miesiąca, nadsztygar Henshawe, członek rady parafialnej, nieco rzadziej, a Poldarkowie z Nampary raz do roku). Jednak ostatnio liczba uczestników znacznie się zwiększyła, gdyż do kościoła przybywały zwarte grupy kobiet i mężczyzn liczące od dwunastu do osiemnastu osób, prowadzone przez młodego człowieka nazwiskiem Samuel Carne. Siadali w tylnych ławkach obok chrzcielnicy. Odgers wiedział, że to członkowie znenawidzonej sekty metodystów, ale nie mógł nic zrobić. Przychodzili na nabożeństwa, lecz nie szanowali autorytetu Kościoła anglikańskiego ani prawowitych duchownych; w Sawle zachowywali się jednak przykładowo i Odgers nie miał pretekstu, by ich wyrzucić.

Nawet zbyt przykładowo. Ich powściągliwość kontrastowała ze swobodą innych parafian, którzy lubili gawędzić i plotkować w czasie nabożeństw, dopóki pan Warleggan nie zrobił z tym porządku.

W drugą niedzielę sierpnia nabożeństwo miało się rozpocząć o drugiej; Sam Carne wprowadził swoją trzódkę do kościoła pięć minut przed wyznaczoną godziną, po czym po krótkiej modlitwie wszyscy jak zwykle zajęli w ciszy miejsca w ławkach i czekali na rozpoczęcie liturgii. Reszta wiernych zachowywała się wyjątkowo hałaśliwie i obrzucała metodystów nieprzyjaznymi spojrzeniami, uważając, że ludzie siedzący z nabożnymi minami w tylnych rzędach zachowują się przesadnie świętoszkowato. Wielebny Odgers nie wiedział, że George przyjmuje tego dnia gości. Mieli zjeść obiad dopiero po nabożeństwie, ale wcześniej pili herbatę, uprawiali łucznictwo i korzystali ze słonecznej pogody, toteż ósmioosobowa grupa pojawiła się w kościele dopiero kwadrans po drugiej. W jej skład wchodzili George, Elizabeth, Geoffrey Charles, Morwenna, St John Peter, Joan Pascoe, Unwin Trevaunance i panna Barbary, córka Alfreda Barbary'ego. Wielebny Odgers pośpieszył powitać ich przy bramie. Niektórzy skinęli mu głowami lub uśmiechnęli się, przechodząc obok pastora.

– Nabożeństwo już się zaczęło? – spytał George. Zatrzymał się.

– Nie, panie Warleggan, jesteśmy gotowi do rozpoczęcia.

– Ten śpiew...

Wielebny Odgers niespokojnie dotknął peruki z końskiego włosia.

– To nie z mojej inicjatywy. Część wiernych umiła sobie czas, śpiewając hymn, który sami wymyślili. Wysłałem Johna, by kazał im się uciszyć. Za chwilę przestaną śpiewać.

Czekali i słuchali.

– Na Boga, to brzmi jak hymn metodystów! – zauważył St John Peter.

– Za chwilę się uciszą – powtórzył wielebny Odgers. – Zaraz przestaną śpiewać.

– Dlaczego czekamy? – spytała dobrodusznie Elizabeth. – Czy w kościołach nie należy śpiewać? Jeśli się pośpieszymy, możemy się do nich przyłączyć. – Dotknęła ramienia George'a. – Chodź, mój drogi.

Warleggan wydawał się zirytowany, że śpiew natychmiast nie ustał, lecz słowa Elizabeth nieco go uspokoiły. Skinął niedbale dłonią w stronę gości i ruszył naprzód.

Kiedy wkroczył do kościoła, metodystom została do odśpiewania ostatnia zwrotka. Na widok George'a część zapomniała słów i prawie zapadła cisza. Jednak nieliczni, zwłaszcza Pally Rogers, Will Nanfan i Beth Daniell, którym nie podobało się, że w ostatnich miesiącach przegrodzono kilka ścieżek, i którzy nie mieli się czego obawiać ze strony George'a Warleggana ani jego rodziny, zaczęli śpiewać głośniejszym głosem, by zastąpić tych, którzy umilkli. George i towarzyszące mu osoby dotarli do swojej ławki, gdy śpiewano ostatnią zwrotkę hymnu:

Chrystusa zakon święty Jednak o wszystkim dan.

Płyniemy przez odmęty, A troski koi Pan!

Wierni umilkli. Po przybyciu gości z Trenwith większość posłusznie wstała z miejsc. Metodyści tego nie zrobili.

Wielebny Odgers stanął za pulpitem, zakasłał i odchrząknął.

– Módlmy się – zaczął.

Sam Carne miał w tym tygodniu nocne szychty. Kiedy wychodził z kopalni, padał deszcz, toteż zgarbił się odruchowo i ruszył przez wzgórze w stronę chaty w Reath. Zbliżywszy się do niej, zauważył niskiego przemoczonego człowieka stojącego wraz z koniem tuż przy łożysku wyschniętego potoku za domem. Był to wielebny Clarence Odgers.

– Dzień dobry, sir. Szuka nas pan? Brat chyba poszedł do pracy. Proszę wejść do domu, w środku jest sucho.

Sam wszedł do małej, ciemnej chaty, nie mając wątpliwości, w jakiej sprawie przyjechał Odgers. Pastor wahał się przez chwilę, po czym podążył za nim. Rozejrzał się po podłużnej izbie, w której stały prymitywne krzesła, w wielu przypadkach zbite z desek wyrzuconych na brzeg przez morze lub z odpadów drewna z kopalni. Na stole na końcu pomieszczenia leżała otwarta Biblia. Odgers spostrzegł z niesmakiem, że przed stołem ustawiono trzy rzędy krzeseł. Na ścianie wisiała deska z napisem: „Bądźcie zbawieni w Chrystusie”.

Sam był znacznie wyższy od niskiego pastora.

– Proszę usiąść, sir. Cieszę się, że mogę gościć w naszym domu jeszcze jednego człowieka Bożego.

Zwrot nie spodobał się duchownemu i nie stał się początkiem miłej konwersacji.

– Nie przybyłem z wizytą parafialną, Carne – powiedział Odgers. – Zdaje się, że tak się nazywasz. Przebywałeś w tej okolicy od niedawna.

– Sześć miesięcy temu Pan Bóg skierował nasze kroki do tej parafii. Przybyłem tu z bratem. W każdą niedzielę regularnie czcimy Jezusa Chrystusa w miejscowym kościele. – Na poważnej, pobrużdżonej twarzy Sama pojawił się młodzieńczy uśmiech.

– Tak – odparł Odgers. – Rzeczywiście, przychodźcie do kościoła. – Nie był z natury wojowniczy, gdyż nie miał majątku ani pochodzenia, które mogłyby uczynić go aroganckim, lecz otrzymał jasne instrukcje. – Widziałem tam ciebie i twoich przyjaciół i przyjechałem o tym porozmawiać. Wczoraj przed nabożeństwem śpiewaliście... śpiewaliście przez dziesięć minut pieśni. Robiliście to w sposób, który nie przystoi powadze domu Bożego i

mojemu stanowisku. Ty i twoja grupa przychodźcie co tydzień do kościoła, siadacie razem i zachowujecie się tak, jakbyście odprawiali swoje prywatne nabożeństwo!

– A? Nie mieliśmy takiego zamiaru, sir. Przychodzimy razem – tak jak pan mówi – siadamy razem i śpiewamy razem, by dać świadectwo swojemu nawróceniu, wierze w Ewangelię Pana Naszego Jezusa Chrystusa. Chcemy pokazać, że zostaliśmy zbawieni przez krew Baranka. My wszyscy...

– Mówisz o nawróceniu, wierze w Ewangelię Jezusa, a jednak ty i twoja sekta wielokrotnie próbowaliście osłabić Kościół Chrystusowy, podkopać jego uświęconą doktrynę i wprowadzić wrogie, rewolucyjne praktyki. Nie ma żadnych wątpliwości, że ludzie twojego pokroju usiłują obalić prawowitą władzę i udaremnić głoszenie słowa Bożego w konsekrowanych świątyniach!

Odgers zaczął niemrawo, lecz stopniowo się rozgrzewać. George podsycił jego uprzedzenia. Wielebny włożył dłoń za kamizelkę i wziął głęboki oddech, by kontynuować, lecz Sam przerwał:

– Przepraszam, sir, bardzo zaciekle nas pan krytykuje, ale to, co pan powiedział, nie jest prawdą – nie taką prawdą, jaką przyniósł ludziom Jezus. Nie próbujemy podważać świętych prawd wiary ani myśla, ani słowem, ani uczynkiem, nie robi tego nikt z nas! Pragniemy je krzewić, choć zostały prawie zapomniane! Szczera skrucha i pokuta za grzechy sprawiają, że doświadczamy miłosierdzia Boga, którego ucieleśnieniem jest Jezus Chrystus. Wszyscy mają do tego prawo – każdy z nas może paść na kolana i wyznać swoje grzechy! I otrzymać błogosławieństwo! Może pan to zrobić tak samo jak każdy z nas!

– Ośmielasz się mówić coś takiego do mnie?! Do mnie, wyświęconego kapłana, który otrzymał łaskę jako następcę apostołów?!

– Może. Nic o tym nie wiem. Ale nie podważamy świętych prawd wiary. Chcemy tylko, by grzesznicy myśleli o swoich grzechach i uniknęli gniewu, który nadejdzie. Regularnie chodzimy do kościoła, poszukując przebaczenia i zbawienia w Chrystusie. Niech pan nam powie, sir, co w tym złego? Przestrzegamy nauk swojego czcigodnego ojca, wielbnego Wesleya, oraz...

– Ach! – wykrzyknął Odgers, podskakując. – Ach! Czycie tego kaznodzieję renegata i twierdzicie, że ma większy autorytet niż Kościół anglikański! Jest tak, jak mówię: uważacie, że jesteście niezależni od prawowitej władzy! Kiedy przychodzicie do kościoła...

– Chwileczkę! – przerwał Sam, który również zaczął się rozgrzewać. –

Chwileczkę, sir! – dodał po chwili namysłu. – Co widzimy, gdy przychodzimy do kościoła? Co widzimy? Raczej targowisko niż dom Boży. Ludzie rozmawiają o cenie cyny, mówią, że tej zimy trudno będzie o jajka. Dzieciaki bawią się, szaleją. Kobiety plotkują, mężczyźni wrzeszczą do siebie przez nawę. W kościele nie przystoi tak się zachowywać. To tak, jakby do kościoła wkraść się Szatan i uczynił go swoją świątynią!

– Szatan naprawdę próbuje się wkraść do świątyni! – oznajmił wielebny Odgers. – Ale nie ma on przystępu do wiernych, którzy pobożnie przestrzegają nauk Kościoła anglikańskiego. Ludzie tacy jak wy próbują podkopać uświęcony autorytet zarówno Kościoła, jak i państwa! Buntownicze sekty takie jak wasza, które urządzają własne modlitwy i uroczystości, które bezczelnie utrzymują, że... że... posiadły światło łaski, prawie niczym się nie różnią od klubów jakobińskich! Wy również uczycie ignorancki motłoch, że wszyscy są równi, krzewicie nieposłuszeństwo i brak szacunku dla zwierzchników, co prowadzi do rewolucji, wyparcia się Chrystusa i sprowadza ludzkość do poziomu rynsztoka!

Dyskusja trwała przez jakiś czas, coraz gorętsza i coraz bardziej bezładna, aż wreszcie Odgers wyszedł z chaty, zatraskując za sobą drzwi. Trudno orzec, czy Sam postąpił słusznie, ponownie otwierając drzwi i proponując duchownemu, że pomoże mu wsiąść na pożyczonego konia. Wielebny Odgers początkowo gniewnie odrzucił propozycję, a później gniewnie ją przyjął. W końcu ruszył w stronę domu, ledwo panując nad zwierzęciem, a Sam zawołał:

– Przez całe życie będę się codziennie modlił za pastora!

Później stał w deszczu, wsparty pod boki, aż niski duchowny zniknął za grzbietem wzgórza. Twarz miał

zaczzerwienioną, malowała się na niej złość, ale stopniowo się uspokoił i zmarszczki się wygładziły. Spojrzał z uśmiechem na swoje zaciśnięte ręce i rozluźnił je. Człowiek, który odnalazł zbawienie, nie powinien się zachowywać w ten sposób.

Skończyło się na tym, że Odgers zabronił metodystom przychodzić do kościoła. Sam nie znał się na prawie, ale wątpił, czy ktokolwiek może tego zakazywać. W Illuggan doszło kiedyś do podobnego konfliktu. Trudno jednak byłoby oddawać cześć Bogu w obecności rozgniewanego duchownego. Naturalnie można by tak postąpić. Znoszenie prześladowań to jeden z przywilejów człowieka idącego za przykładem Jezusa. Ale wielu członków trzódki Sama w dalszym ciągu uznawało autorytet pastora i nie chciałoby mu się sprzeciwić. Oznaczało to konieczność chodzenia na nabożeństwa do kościoła pod wezwaniem Świętego Ermina w Marasanvose. Nie można w ogóle nie chodzić do kościoła.

Sam wiedział, że Drake się zdenewuje. Z jakiegoś powodu nigdy nie mógł się doczekać nabożeństw w Sawle i nie lubił kościoła w Marasanvose. Sam wzruszył ramionami. Cóż, jutro wieczorem odbędzie się spotkanie modlitewne. Starsi członkowie zgromadzenia na pewno powiedzą, co o tym wszystkim myślą.

Rozdział ósmy

Ross widywał Henshawe'a prawie codziennie, ale dopiero po dwóch miesiącach nadsztygar przyniósł plotkę o Wheal Leisure, o której Harris Pascoe wspominał w czerwcu. W okolicy krążyły pogłoski na ten temat, lecz wcześniej Henshawe nie powiedział ani słowa.

W połowie sierpnia mijały trzy miesiące od ostatniego dnia rozdziału pracy w Wheal Grace. Sztymarzy zmianowi zawierali wówczas umowy z Rossem w sprawie wyrobisk kopalni: zgadzali się wydobywać rudę na powierzchnię na własny koszt w zamian za uzgodniony procent jej wartości po odliczeniu ogólnych kosztów utrzymania kopalni, na przykład wypompowywania wody. W niektórych kopalniach urządzano specjalne aukcje wyrobisk odbywające się co kwartał lub co dwa miesiące, a górnicy rywalizowali ze sobą, jednak Ross nie lubił tego systemu – często dochodziło wtedy do niesnasek, ponieważ składano konkurencyjne oferty na wyjątkowo zyskowne wyrobiska. W Wheal Grace rozdział pracy na następne trzy miesiące odbywał się spokojnie: przy stole siedzieli Ross, Henshawe i zainteresowani górnicy, a innych wzywano tylko wtedy, gdy obecni dzierżawcy wyrobisk nie mogli dojść do porozumienia z właścicielem i nadsztygarem. Tym razem nie było żadnych sporów. Przed Bożym Narodzeniem większość sztygarów zmianowych dostawała dwanaście szylingów i sześć pensów za rudę o wartości jednego funta; kiedy w październiku odkryto bogate złożę cyny, zarobili mnóstwo pieniędzy. Od tamtej pory były trzy dni rozdziału pracy i zgodnie ze zwyczajem dwukrotnie obniżano procent pobierany przez sztygarów, toteż teraz otrzymywali od czterech szylingów i sześciu pensów do sześciu szylingów i sześciu pensów za rudę o wartości jednego funta. Henshawe namawiał do dalszych obniżek, lecz Ross się nie zgodził – niech się bogacą. Sam osiągał duże zyski i nie widział powodu, by sztygarom również nie powodziło się lepiej. Poza tym w Kornwalii panowała straszliwa nędza, a ludzie mający pieniądze sprawiali, że w okolicy Nampary powstawała oaza dobrobytu.

Kiedy ostatni sztygarzy zmianowi wyszli, dwaj mężczyźni przeglądali razem rachunki, aż wreszcie Ross spytał Henshawe'a o Wheal Leisure. Nadsztygar uniósł wzrok znad zapalanej fajki, popatrzył na płomyk świecy i zdmuchnął go.

– Och, to prawda. Główna żyła robi się coraz cieńsza. Próbujemy znaleźć nowe złożę, ale jak dotąd bez rezultatu.

– A inne żyły?

– Znośne, tylko małe, jak pan wie. I niezbyt dobrej jakości. Największe zyski przynosiła czerwona miedz. Kopalnia ciągle działa. Ludzie mają pracę. Ostatnie rozliczenia wykazały niewielki zysk.

– Słyszałem plotki na ten temat – rzekł Ross.

– Byłem pewien, że pan wie. Wszyscy o tym mówią, przynajmniej w tym okręgu. Nie ma sensu trzymać tego w tajemnicy.

– Ale proszono pana o to?

– Tak. – Henshawe wyciągnął nogi i jednym buciorem starł z drugiego grudkę zaschniętej gliny. – Zastanawiałem się, czy panu o tym powiedzieć, ale doszedłem do wniosku, że gdy w kopalni coś zostanie postanowione, należy tego przestrzegać. Wszystko wyjdzie na jaw podczas najbliższej aukcji rudy.

– Które udziały zmieniły właścicieli?

– Pan George Warleggan kupił dziewięćdziesiąt akcji pana Coke'a. Oczywiście pan Coke był tylko figurantem. Pan Cary Warleggan kupił trzydzieści akcji pana Pearce'a. Reszta udziałów pozostała w tych samych rękach.

– Więc w tej chwili mają połowę. Ciekawa sytuacja, Henshawe. Gdyby nie to, że druga połowa należy do moich przyjaciół, bardzo by mnie to rozbawiło.

– I ciągle pracuje tam większość pana przyjaciół – dodał Henshawe.

– Tak. Cieszę się, że Wheal Leisure wciąż przynosi zyski.

Następnego dnia Rossowi przekazano list z zaproszeniem na obiad we dworze znajdującym się kilka kilometrów od Truro. Wystosował je mężczyzna o nazwisku Ralph-Allen Daniell, którego Ross spotkał zaledwie kilka razy. Kiedy z trudem podtrzymywał istnienie Cammore Copper Company, a Daniell bezinteresownie zaoferował mu pomoc w zdobyciu części do maszyn działających w odlewni. A nieco ponad miesiąc temu, w czasie ostatniej aukcji rudy cyny, Daniell i Ross wyszli razem z gospody Pod Czerwonym Lwem, po czym rozmawiali, idąc ulicami.

Daniell był bardzo bogatym kupcem, mężczyzną w sile wieku, mającym dobrą opinię i prowadzącym wygodne życie. Nie musiał poszukiwać sojuszników, ponieważ jego interesy były dostatecznie rozległe, by gwarantować mu niezależność; poza tym wrodzona ostrożność sprawiała, że nie lubił się opowiadać po czyjejs stronie. Był krewnym Ralphi Allena, pomocnika oberżysty z St Blazey, który wyjechał do środkowej części Anglii i zbił fortunę, po czym osiadł w Bath i zajął się filantropią. Daniell miał ambicję naśladować swojego imiennika: przekazał już kilka darowizn kornwalijskim organizacjom dobroczynnym, a niedawno zakupił przeszło dwieście hektarów gruntu na brzegu rzeki Fal i budował tam rezydencję. Ross podejrzewał, że zaproszono go na jedno z wielu przyjęć wydawanych przez Daniella, który chciał się pochwalić domem przed znajomymi.

Pokazał list Demelzie.

– Pierwsze zaproszenie od miesiący! – zawołała. – Jaka szkoda! Chętnie bym pojechała.

– Dlaczego miałabyś nie jechać?

– Nie mogę się pojawić w towarzystwie z wielkim brzuchem.

– Twój brzuch jest niewiele większy niż zwykle. Pod ubraniem nawet najbardziej wścibska starucha niczego nie zauważy.

– Ale codziennie rośnie, Ross. Obiad u Daniella jest dopiero dwudziestego ósmego. Wtedy będę wyglądać jak doktor Choake.

Stłumił śmiech.

– Poza tym, jakie to ma znaczenie, czy ktoś wie? Nie wstydzę się tego, że moja żona jest brzemienna.

Demelza wzięła zaproszenie.

– Gdzie jest Trelissick?

– Zdaje się, że jakieś siedem kilometrów od Truro.

– Daleko jak na jazdę na koniu.

– Ach, wreszcie rozumiem. W takim razie napiszę, że oboje nie możemy przybyć.

– Dlaczego oboje? Ty możesz jechać.

– Nie bywam w towarzystwie bez żony.

– Dobrze by ci zrobiło, gdybyś spędzał więcej czasu z ludźmi ze swojej sfery.

– Moja sfera jest tutaj, wokół mnie.

– Wiesz, co mam na myśli.

– Albo pojedziemy oboje, albo wcale.

– Jazda konna nie jest przeszkodą – powiedziała po chwili. – Jeździłam na oklep przed narodzinami Julii, gdy nie widziałeś. Ale nie mam ochoty się pojawiać w... w takim towarzystwie z opuchniętą twarzą i grubym brzuchem.

– Popatrzmy na mapę – rzekł Ross. – Myślę, że możemy pojechać przez wrzosowiska do Killewarren, wypić filiżankę czekolady z Caroline, a później ruszyć nad rzekę Fal. Zdaje się, że dwór stoi w pobliżu przystani promowej króla Henryka. W drodze powrotnej moglibyśmy przenocować w Truro, zrobić sprawunki i wygodnie wrócilibyśmy do domu nazajutrz.

Demelza podeszła do lustra i spojrzała na siebie z boku.

- Nie wyjeżdżaliśmy z Nampary od chrzcina małego Andrew Blameya. Ekursja dobrze nam zrobi.
- Ekskursja – delikatnie poprawił ją Ross.
- Wolę to nazywać ekursją – odparła Demelza.

Wyjechali z Nampary dwudziestego ósmego sierpnia przed ósmą rano. Panowała idealna pogoda: dzień był ciepły, lecz nie skwamy, a na niebie płynęły białe obłoki, zza których czasem wychodziło słońce. Chmury rzucały na okolicę długie cienie i wiał łagodny wiatr. Nawet jałowe wybrzeże północnej Kornwalii wydawało się dziś pełne bujnej roślinności. W miarę posuwania się na południe zieleń drzew i krzewów stawała się coraz bardziej soczysta.

Demelza przekonała się z ulgą, że ciągle mieści się w niebieski strój do jazdy konnej uszyty przed siedmioma laty przez panią Trelask. Miała na głowie niebieski trójrożny kapelusz z białym piórkiem zamówiony dla niej w tym samym czasie przez Verity. Jechała na szesnastoletniej Czarnulce: można było mieć pewność, że klacz nie zrzuci Demelzy, nawet gdyby drogę przebiegł jej borsuk. Ross podążał na Judycie, która okazała się niezłym nabytkiem, choć wciąż była zbyt niespokojna, żeby powierzyć jej damę w błogosławionym stanie.

Dotarli do Killewarren około dziesiątej trzydzięci i kiedy wprowadzono ich do salonu, ze zdumieniem zauważyli w nim nie tylko Caroline, lecz również Raya Penvenena, który siedział skulony przy kominku w aksamitnym surducie z kocem narzuconym na ramiona. Penvenen nie był przystojny nawet w kwiecie wieku: miał jasne włosy, pozbawione rzęs powieki, oczy z czerwonymi obwódkami, cienki nos, cofniętą szczękę i niespokojne ręce pokryte kurzajkami. Poza tym był niski. Teraz wyglądał jak zmumifikowana karykatura samego siebie. Skóra jego twarzy stała się tak brązowa, że przypominał Mulata, policzki wychudły, a oczy były zapadnięte i przygaszone. Odnosiło się wrażenie, że po śmierci będzie wyglądał dokładnie tak samo.

Poznał Rossa i pozdrowił Demelzę. Mógł prowadzić rozmowę tylko szeptem. Ross i Demelza spodziewali się miłego spotkania z Caroline przy filiżance czekolady, a zamiast tego prowadzili wymuszoną konwersację w przegrzonym, dusznym pomieszczeniu.

Spędzili w salonie zaledwie dwadzieścia minut, po czym się pożegnali. Ale kiedy zeszli na dół, Caroline wciągnęła ich do niewielkiego saloniku obok drzwi frontowych.

– W zeszłym tygodniu zrobiłam sobie wolny dzień i pojechałam odwiedzić Susan Pellew w Trevery – rzekła. – Powiedziałam jej prawdę o sobie i doktorze Enysie i spytałam, jakie wiadomości o bitwie przekazał jej mąż. Była tak dobra, że pożyczyła mi jego list, a ja obiecałam go zwrócić za jakiś tydzień. Jestem pewna, że nie miałyby nic przeciwko temu, byście go przeczytali, jeśli macie chwilę.

Ross i Demelza przeczytali list, stojąc przy oknie.

Najukochańszy Skarbie!

Do tej chwili z pewnością otrzymałaś już wiadomości o zwycięskiej bitwie, którą stoczyliśmy z Francuzami dwudziestego pierwszego i dwudziestego drugiego zeszłego miesiąca. Admiralicja otrzymała pełny meldunek i możesz znać wiele szczegółów, ale uważam, że powinienem osobiście przekazać Ci podstawowe informacje.

W poniedziałek po południu nasz okręt Nymphe znajdował się około pięćdziesięciu mil morskich od Quessant. Walczyliśmy z południowo-zachodnim wiatrem, gdy na północnym zachodzie dostrzeżono żagiel i rozpoczęliśmy pościg. Z początku przypuszczaliśmy, że nieznany okręt to fregata, ponieważ z powodu złej pogody przez ponad godzinę nie widzieliśmy go dobrze. Później spostrzegliśmy, że nie ma nadbudówki rufowej, i zorientowaliśmy się, że to francuski dwupokładowiec. Towarzyszyła mu fregata, jak dotychczas ledwo widoczna, lecz płynąca w naszą stronę. Francuzi wyraźnie nie mieli ochoty wydać nam bitwy, lecz postawiliśmy wszystkie żagle i rozpoczęliśmy pościg. Miałem ze sobą Travaila oraz Mermaida, choć ten ostatni został z tyłu i prawie skrył się za horyzontem. Wiatr zmienił się w huragan i zaczął się sztorm. O wpół do piątej francuski dwupokładowiec stracił w szkwale stengi fokmasztu i grotmasztu, więc zdołaliśmy się do niego zbliżyć i okazało się, że to Héros, dowodzony, jak się później dowiedziałem, przez przedrewolucyjnego barona Lacrosse'a w randze komodora. Fregata zaś nosiła nazwę Palmier, lecz jeszcze nie wiem, kto nią dowodził. Za kwadrans szósta zrefowaliśmy marsle i oddaliśmy pierwszą salwę burtową, przechodząc za rufą dwupokładowca. Nieprzyjaciel odpowiedział ogniem kilku dział na

górnym pokładzie i salwami muszkietów kompanii żołnierzy, których, jak sądzę, było na pokładzie około dwustu. Przeszliśmy tak blisko nieprzyjacielskiego okrętu, że kilku marynarzy z naszej załogi zerwało francuską banderę, która zaplątała się w olinowanie *Nymphe*. Później próbowaliśmy zmienić kurs i ustawić się przed dziobem nieprzyjaciela, lecz *Héros* wykonał zwrot i bez powodzenia usiłował podejść do abordażu, potracając przy tym bom bezana *Nymphe*.

Rozpoczął się długi, zaciekły bój między naszą fregatą a francuskim okrętem liniowym. W odległości pół mili toczyły ze sobą podobną walkę *Travail* i *Palmier*. Muszę Cię z żalem zawiadomić, że na początku starcia mój drogi przyjaciel i towarzysz kapitan Ernest Harrington został trafiony kulami z muszkietów w pierś i udo i wkrótce wyzionął ducha. Będzie go nam bardzo brakowało, bo był wspaniałym człowiekiem. Dowództwo *Travails* przejął porucznik Williams, który w trakcie całej bitwy prowadził okręt z wielką zręcznością i odwagą.

Walka trwała całą noc. Wichura i wysokie fale zmuszały załogi do wyjątkowego wysiłku. Na *Nymphe* marynarze stali niekiedy po pas w wodzie, a niektóre działa czterokrotnie wypadły z łóż. Ale wszyscy godnie spełnili swój obowiązek. *Mermaid*, który włączył się później do bitwy, odniósł mniejsze szkody niż my. *Travail*, walczący z mniejszym okrętem przeciwnika, został najbardziej uszkodzony. Olinowanie i maszty *Travails* bardzo ucierpiały w czasie bitwy: odstrzelono stengę stermasztu, a także gafel, bom bezana i grotreję. Zauważyliśmy to, gdy wiatr zniósł walczące okręty bliżej *Nymphe*. Widzieliśmy również, że działa *Travails* powoli odpowiadają na ogień przeciwnika i że fregata nurza się głęboko w dolinach fal, jakby miała w ładowniach przeszło metr wody.

O czwartej nad ranem jeden z naszych marynarzy zauważył wybrzeże Francji, po czym natychmiast zmieniliśmy hals i wzięliśmy kurs na północ. Uprzedziliśmy *Mermaid* i *Travails* o niebezpieczeństwie za pomocą nocnych sygnałów. Kiedy odplywaliśmy, *Héros* oddał w naszą stronę ostatnią, najbardziej niszczycielską salwę burtową, która uszkodziła kolumny trzech masztów i zerwała stenwanty grotmasztu. Uratowanie stengi wymagało wielkiego wysiłku i zręczności, a jej utrata z pewnością oznaczałaby zagładę okrętu.

W tym momencie wszystkie okręty, łącznie pięć, szybko dryfowały w stronę wybrzeża Francji, niesione przez silną wichurę i ogromne fale. Mieliśmy w ładowni przeszło metr wody i nawet sprawny okręt z trudem odpłynąłby od lądu. Widzieliśmy, jak *Palmier* wpada na skały i tonie, a *Héros* bezradnie dryfuje w stronę brzegu. *Travail* stracił wszystkie główne żagle i zachowywał się podobnie, a *Mermaid* ryzykownie się do niego zbliżył, próbując rzucić linę na pokład. My znajdowaliśmy się w tak wielkim niebezpieczeństwie, że musieliśmy płynąć na południe, aż zobaczyliśmy przed dziobem na zawietrznej fale przyboju, po czym zmieniliśmy hals i ruszyliśmy z wiatrem na północ, aż znowu zobaczyliśmy przed dziobem ląd, tym razem na nawietrznej.

W tamtej chwili sądziliśmy, że jesteśmy zgubieni. Dużo myślałem o Tobie i naszych ukochanych dzieciach, polecając ciało i duszę Bogu, ale jakimś cudem maszty i takielunek, mimo uszkodzeń, wytrzymały wściekłą wichurę. Halsowaliśmy jeszcze pięć godzin, po czym minęliśmy *Penmarch* półtora kilometra od nawietrznej i wypłynęliśmy na pełne morze.

Widzieliśmy *Hérosa* leżącego na burcie na płyciźnie i *Travails* niespełna kilometr dalej w podobnym stanie, ale nie mogliśmy nic zrobić, by im pomóc. Nie znam liczby zabitych i rannych na *Travailu*, nie wiem, ilu dzielnych marynarzy przedostało się na brzeg. Ale rybacy z *komwalijskiego kutra*, z którym nawiązaliśmy kontakt, twierdzili, że trzy dni później na pokładzie *Hérosa* w dalszym ciągu znajdowali się ludzie i że nie można było ich ewakuować z powodu sztormu.

Moja kochana, dużo napisałem na temat bitwy, ale musisz wiedzieć, że tęsknię za nowinami z domu, i mam nadzieję, że wkrótce znowu napiszesz. Twój ostatni list...

Kiedy odjechali, Demelza powiedziała:

– Ten dom, ten okropny starzec... To straszne, Ross. Caroline też się postarzała.

– Wiem, że to straszne.

Gdy opuścili już lasy otaczające *Killewarren*, znów wspięli się na wrzosowiska. Kamienistą drogę porastały krzaki kolcolistu i kępy wrzosów, niekiedy tak wysokie, że trudno było przejechać. Wokół ciągnęło się pustkowie,

gorsze niż północne wybrzeże Kornwalii, wietrzne i pozbawione drzew. Tu i tam widzieli niskie chaty, muły obracające wyciągarki, uwiązane kozły. Spłoszyli zająca, lisa i dwoje wychudzonych, półnagich dzieci: ludzie i zwierzęta uciekali przed nimi z tą samą prędkością i lękiem. Później, minawszy grzbiet wzgórza, znów znaleźli się wśród drzew. Gdźieniedzie droga biegła między tak wysokimi żywopłotami, że czuli się, jakby jechali w tunelu.

– Dla odmiany przesiądę się na Judytę – powiedziała Demelza. – Jestem pewna, że sobie z nią poradzę. Jest naprawdę bardzo grzeczna.

– Zostań tam, gdzie ci dobrze.

– Owszem, jest mi dobrze. I dość wygodnie. Ale ty nie wyglądasz dobrze na Judycie. Masz za długie nogi.

– Jeśli będziesz patrzeć na drogę, nie będziesz się interesować moimi nogami.

Przejechali przez gościniec i zatrzymali się na chwilę. Ross zastanawiał się, w którą stronę skręcić.

– Tamten list... – odezwała się Demelza. – Gdybym była na miejscu Caroline, wcale by mnie nie uspokoił. W tak długiej walce musiało zginąć wielu ludzi. A potem okręt zatonął podczas sztormu...

– W trakcie walki chirurg jest mniej narażony na niebezpieczeństwo, bo przebywa pod pokładem i opatruje rannych. Ale Dwight mógł opuścić swoje stanowisko, bo jest – lub był – taki, jaki jest. Moim zdaniem najgorsze ze wszystkiego jest to, że okręt zatonął... Tędy. Tamtą drogą pojechalibyśmy zbyt daleko na południe.

Ruszyli. Ross wybrał właściwy kierunek. Po kilku kilometrach zaczęli zjeżdżać w wąską dolinę. W dali od czasu do czasu pojawiała się błękitna rzeka. Minęli nową, okazałą bramę i zobaczyli dwór zbudowany z cegły i kamienia, z wysokimi oknami wychodzącymi na pochyłe, zalane słońcem łąki rozciągające się aż do rzeki Fal.

– Wiesz, że po raz pierwszy nie jestem zdenerwowana, choć mam się znaleźć w towarzystwie, Ross? – powiedziała Demelza.

– Dorastasz.

– Nie, moim zdaniem różnica polega na tym, że noszę twoje dziecko. Czuję, że daję mi więcej pewności siebie.

– W takim razie podejrzewam, że to dziewczynka – odparł Ross.

– Oczywiście tego nie dożyję, ale drzewa, które posadziliśmy na łące, poprawią widok z tarasu i dodadzą mu elegancji. W tej chwili otoczenie dworu jest nieco puste, brak mu dojrzałości. Przed domem planujemy urządzić ogród, a w zagajniku po pana prawej stronie zbudować ozdobny pawilon – powiedział Ralph-Allen Daniell.

– Chociaż uważa pan widok za niedoskonały, jest wyjątkowo piękny – odpowiedział Ross. – A ta ścieżka?

– Prowadzi do domku na łódzie. Mieszkanie nad rzeką pozwala nie korzystać z gościńców. W czasie ładnej pogody pływam do Falmouth lub Truro, a do niektórych okolicznych rezydencji można dotrzeć łodzią wiosłową w kilka minut.

– Kiedy patrzę na pański dwór, moje pomysły ulepszeń wydają się żałosne.

– Ulepszeń w Namparze? Nigdy tam nie byłem. To w pobliżu Werry House?

– Kilka kilometrów. Namparę zbudował mój ojciec za życia matki. Później, gdy zmarła, stracił zainteresowanie i nigdy nie dokończył budowy. Od tamtego czasu brakowało pieniędzy na utrzymanie, a cóż dopiero na ulepszenia.

– Rozumiem, że teraz to się zmieniło.

– Tak, całkowicie. Ale oczywiście dwór jest mały w porównaniu z innymi. Aby nadać mu elegancję pana rezydencji, należałoby go zburzyć i zbudować od nowa.

– Jest pan zbyt uprzejmy. Za kilka lat, kto wie, może pan się na to zdecydować. Bassetowie zbudowali Tehidy z zysków ze swoich kopalni. Podobnie Pendarvesowie i wielu innych.

Stali na tarasie z widokiem na rzekę; oznajmiono, że podano obiad. Był wyjątkowo wystawny: Ross nie spodziewał się, że Ralph-Allen Daniell wyda taką wspaniałą ucztę. Demelza jeszcze nigdy nie uczestniczyła w tak eleganckim obiedzie. Była bardzo zadowolona, że zabrała swoją najlepszą suknię. Honorowymi gośćmi okazali się wicehrabia i wicehrabina Valletortowie, którzy mimo swojego nazwiska byli Anglikami. Towarzyszyło im czworo emigrantów z Francji: wicehrabia de Sombreuil, hrabia de Maresi (którego Ross spotkał przelotnie w Looe), mademoiselle de la Blache i madame Guise. W przyjęciu uczestniczył także kuzyn Rossa, St John Peter, a

ponadto porucznik Carruthers, panna Robartes, stara przyjaciółka Verity, oraz sir John Trevaunance – Unwin wrócił do Londynu. Zarówno St John Peter, jak i porucznik Carruthers nadskakiwali Demelzie podczas jednego z wcześniejszych balów i dzięki temu czuła się swobodniej w arystokratycznym towarzystwie.

Uczestnicy przyjęcia byli względnie młodzi, gdyż z wyjątkiem gospodarza, gospodyni i sir Johna Trevaunance'a nikt nie przekroczył czterdziestki. Lord Valletort był mniej więcej w wieku Rossa, a jego żona wydawała się kilka lat młodsza. Odznaczała się wyjątkową urodą. Demelza jeszcze nigdy nie widziała tak szczupłej kobiety. Mimo to wyglądała na chorowitą. Odnosiło się wrażenie, że tę wysoką, drobnokościstą istotę wyhodowano specjalnie na matkę arystokratów. Czworo emigrantów z Francji miało na sobie zbyt eleganckie stroje jak na obiad w wiejskiej rezydencji – Demelza uznała, że madame Guise ubrana jest wręcz nieprzyzwoicie. Miała uderzająco czarne włosy i nosiła białą koronkową suknię i gorset ze zdumiewająco głębokim dekoltem. Mężczyźni z wielkim trudem powstrzymywali się od spoglądania przez koronki. Około dwudziestoletnia mademoiselle de la Blache była ubrana znacznie bardziej dystyngowanie.

Demelza doszła do wniosku, że dwaj Francuzi to prawdopodobnie najprzystojniejsi mężczyźni, jakich kiedykolwiek spotkała. De Sombreuil, mniej więcej dwudziestopięcioletni, był wysoki, szczupły, ołsniewająco urodziwy, miał nienaganne maniere i zachowywał się w godny, pozbawiony afektacji sposób. De Maresi, obok którego ku swojemu utrapieniu siedziała w trakcie długiego obiadu, był dziesięć lat starszy, niski, szczupły, elegancki, jeszcze przystojniejszy i wyraźnie świadomy własnej urody. Utrapienie Demelzy polegało na tym, że de Maresi w błyskawicznym tempie wyrzucał z siebie angielskie zdania, lecz tak koślawe i okraszone tyloma francuskimi słowami, że często wydawało się, iż mówi w rodzimym języku. Pachniał mocnymi perfumami, które tłumiły woń potraw, i zachowywał się tak arogancko, że Demelza zaczęła się powoli domyślać przyczyn wybuchu rewolucji francuskiej.

W czasie posiłku po drugiej stronie obok Demelzy siedział sir John Trevaunance, stary przyjaciel, od kąd wyleczyła jego krowę; czerwony na twarzy i dobroduszny, dopóki nie rozmawiano o pieniądzach.

Jedli, pili, znowu jedli. Gotowany dorsz, smażone sole z sosem ostrygowym, pieczeń wołowa, pudding pomarańczowy; dzika kaczka ze szparagami i grzybami; frykando cielęce z nadzieniem z szałwii i smacznym sosem. Później syllabuby, galaretki, tarta z morelami, babeczki. Madera, bordo, białe reńskie, porto i brandy. Na początku francuski hrabia rozmawiał głównie ze swoją drugą sąsiadką, panią Daniell, toteż Demelza mogła swobodnie dyskutować z sir Johnem o jego bydle. Miła, przyziemna, niewymagająca rozmowa, która bardzo jej odpowiadała. Ale po jakimś czasie de Maresi spojrzał na nią lśnącymi oczami i wygłosił całkowicie niezrozumiałą przemowę.

– Słucham? – spytała.

Mówił przez pewien czas, po czym zakończył:

– ...i dlatego wielka som piękność.

– Tak – odpowiedziała niepewnie Demelza i oblizała wargi czubkiem języka.

Zgoda sprawiła przyjemność de Maresiemu, który mówił dalej. W następnych zdaniach Demelza usłyszała słowa brzmiące: „Anglią fas, Kornwalią fas, deszczą, cerą”.

Nie odpowiedziała, lecz przyjęła, że Francuz powiedział jakiś komplement, i uśmiechnęła się ołsniewająco.

– Zo do opinia, że kobiety z Anglia som chłodna, moja doświadczenia som zupełnie inna. Muszę mówić pani, madame – nazwiskam pani nie słyszeć – że dwunastu miesiąc moja doświadczenia som przeciwna. Mężczyzna *français* ser kobieta *anglaise* trudno zaczął po łatwo. Nie kłamać ze mną, madame, prosić, bo złe to.

– Mówiłam sir Johnowi – odpowiedziała Demelza, że używamy wody smołowej, bo dobrze działa w przypadku anemii i kaszlu u ludzi i zwierząt. Tam, gdzie mieszkałam jako mała dziewczynka, żył pewien mężczyzna. Kiedy czuł, że zbliża się przeziębienie, wskakiwał do zimnej wody w stawie aż po szyję, a potem wypijał pół kwarty ginu, spał przez trzy godziny i czuł się znacznie lepiej.

– Madame – rzekł de Maresi – ja prosić, nie mówić nic więcej. Kobieta wielki czar ukazać się tak jasno,

rozumieć, wiedzieć, więc ja prosić, nie mówić nic więcej. Niestety, ja wyjeżdżać do Valletorta, jutro. Więc *rendez-vous* dziś. Ale później dwa dni wolne, służba, móc nauczyć wiele jej *délicieuse* zwyczajów.

– Skoro już mówimy o sprawach, o które panu chodzi – odparła Demelza – czy to prawda, że księżę Walii znudził się panią Fitzherbert i jest namawiany do małżeństwa z księżniczką brunszwicką? Słyszał pan coś o tym, sir?

– Ręce te popatrz, madame – rzekł hrabia, obracając w stronę Demelzy dłonie okolone koronkowymi mankietami. – Praca ich nie plamić. Ale damy, tak, damy, karesu gładkość ich ręce mieć. Myśleć, że pani ma gładka skóra, madame. Widzieć, że skóra pani piersi jak aksamit. Mieć pani szczupłe nogi, zauważył to, gdy pani wchodzić po schody. Piękna być chwila, gdy móc panią odkryć.

– Myślę, sir – powiedziała Demelza – że pana tarta z morelami być polane śmietaną i rumem. Musieć pan spróbować, czy panu smakować. Ja już się najeść i nie mieć ochoty na ciasto. Nie móc też więcej mówić tak jak pan, bo wierzyć, że pan nie mówić poważnie.

– Ho, ho! Ja pani pokazać! My się spotkać w piątek, to ja pani pokazać!

Obiad i konwersacja trwały do wpół do piątej. Kiedy posiłek wreszcie się skończył, damy pozostawiły dżentelmenów z ich brandy i porto.

Rozmowy prowadzone przy stole zastawionym pozostałościami potraw były chaotyczne i senne, bo wszyscy zjedli i wypili za dużo. Lecz po pewnym czasie obecni znów się ożywili, gdyż nieuchronnie zaczęto mówić o wojnie. Dwa miesiące wcześniej zgilotynowano ojca i starszego brata Charles'a de Sombreuila i wicehrabia został teraz głową rodu. Charles od dwóch lat przebywał poza Francją, walcząc z rewolucjonistami w Niemczech i Holandii, a teraz znalazł się w Anglii i zabiegał, by z pomocą Brytyjczyków dokonać w Bretanii desantu francuskich rojalistów mających wywołać powstanie. Do Anglii przybył również Bretończyk, hrabia de Puisaye, który opowiadał o cierpieniach mieszkańców regionu i o powszechnym poparciu dla rojalistów, co zainteresowało rząd brytyjski. Na desant czekały tysiące Bretończyków (albo szuanów, jak nazywano powstańców chłopskich). Cała Francja miała dość mordów i ekscesów: gdyby istniała jakakolwiek szansa obalenia jakobinów, już jutro wybuchłaby rewolta.

De Maresi, chociaż zafascynowany kobiecą skórą, żarliwie popierał plany walki z rewolucjonistami. Mówił, że rojaliści nie potrzebują brytyjskich żołnierzy, tylko brytyjskiej broni, brytyjskiego złota i brytyjskiej marynarki wojennej, która przewiozłaby przez kanał La Manche oddziały francuskie, po czym na tron powróciłby ostatni żyjący członek dynastii Burbonów. Utrzymywał, że byłoby to opłacalne dla Wielkiej Brytanii. Udana kontrrewolucja w chwili, gdy siły jakobinów znajdują się w rozsypce, na dłuższą metę oszczędziłaby życie niezliczonych Brytyjczyków i setki milionów funtów. Wojna zakończyłaby się nie wskutek opanowania terytorium Francji, co może trwać nawet dziesięć lat, lecz dzięki powstaniu, po którym w ciągu roku zapanowałby pokój.

Lord Valletort całkowicie zgadzał się z de Maresim, podobnie jak większość gości, i dyskutowano nie o potrzebie restauracji monarchii we Francji, lecz o tym, jak to osiągnąć: jakie siły, jaka ilość broni i pieniędzy zapewniłyby przedsięwzięciu szanse powodzenia. W pewnym momencie Ross zaczął się nawet zastanawiać, czy goście nie zostaną poproszeni o zadeklarowanie pomocy finansowej dla rojalistów, lecz jego domysły się nie sprawdziły. Zgadzał się z większością wyrażanych opinii, choć przychodziło mu do głowy, że obecni mogą bagatelizować trudności związane z wywołaniem kontrrewolucji.

Kiedy dżentelmeni wstali i dołączyli do dam, Ross miał wreszcie okazję porozmawiać ze swoim dandysowatym, przystojnym kuzynem, który w czasie niedawnej dyskusji najczęściej milczał. Ross był pewien, że nie jest to onieśmienie: St John Peter po prostu za dużo wypił i ogarnęła go senność.

– Nie widzieliśmy się od roku albo dłużej. Jak się miewają twoi rodzice, St John?

– Och, Ross! Ha, Ross! Coż, Ross! Matka nie czuje się najlepiej, ale trzyma się dzielnie. Nieustannie czeka, aż powali ją jakaś straszna choroba, wiesz. Jak stary baran potulnie czekający na cios topora. Ojciec... Jeśli chodzi o mojego świątobliwego ojca, kuleje z powodu wrzodu na kostce wywołanego podagrą. Rana nie chce się zagoić i ojciec jest diabelnie drażliwy, możesz to sobie wyobrazić... – St John ziewnął jak hipopotam. – A ty, kuzynie?

Słyszałem, że twoja kopalnia wreszcie przynosi zyski. Niech mnie lichy!

– Wszyscy o tym mówią. Na szczęście to prawda.

– Na początku tego miesiąca odwiedziłem Trenwith, spędziłem tam noc. Ogromne zmiany, naprawdę ogromne. Trzeba oddać sprawiedliwość George'owi Odlewnikowi, Ross. Nie jest skąpy i wie, jak wydawać pieniądze. Elizabeth wygląda nieźle po tej przykrej historii w lutym.

– Przykrej historii?

– Spadła ze schodów, będąc w błosławionym stanie. Niezbyt miłe... – St John znów ziewnął. – Co powiedziałaś?

– Nic nie mówiłem.

– Niech mnie diabli porwą, myślałem, że mówiłeś. Kiedy człowiek ziewa, zatykają mu się uszy. Niezbyt miłe w ósmym miesiącu. Na szczęście dziecko urodziło się zdrowe: żadnego zezania ani koślawych nóżek. Widzieliśmy chłopca i wyglądał nieźle jak na przygody, które przeżył przed urodzeniem. W ogóle nic mu się nie stało. Hej, kuzynie, myślę, że ten przeklęty Francuzik ma oko na Demelzę, więc lepiej na nią uważaj. Przystąpi do abordażu, nim się zorientujesz. Uważaj!

– Tak? – odparł Ross. – Myślę, że Demelza wie, jak sobie radzić z kotwicznymi abordażowymi... Ale chyba powinienem ci pogratulować z okazji zaręczyn. Nie ma tu dziś Joan?

St John czknął.

– Do licha, nie! Nie zaprosili jej. – Wzruszył ramionami. – Będą ją zapraszać, jak za mnie wyjdzie, przekonasz się! – Odszedł.

Ross patrzył na przystojnego krewnego, na bujne jasne włosy, przygarbioną sylwetkę. Miły młody człowiek, lecz Ross nigdy za nim nie przepadał. Dziś zirytowała go obcesowość ostatniego zdania. Jeśli ktoś zamierza poślubić córkę bankiera, może sobie zdawać sprawę z jej niższego statusu, lecz należy zakładać, że kocha dziewczynę lub przynajmniej jej pieniądze. W obu przypadkach nie powinien przyjmować zaproszeń bez niej ani odpowiadać na pytania w ten sposób. Może nie należy przywiązywać zbyt wielkiej wagi do słów wypowiedzianych po pijanemu. Ale *in vino veritas*.

Po podwieczorku odbył się koncert. Wydawało się, że lord Valletort jest miłośnikiem opery – aby sprawić mu przyjemność, Ralph-Allen Daniell sprowadził trzech śpiewaków, którzy wykonywali arie z oper Mozarta i Monteverdiego. Demelza, przejeżdżona i świadoma, że de Maresi kilkakrotnie rozebrał ją wzrokiem, wcześniej prowadziła w miarę inteligentną konwersację z damami, a teraz siedziała z niepewną miną wśród publiczności. Muzyka sprawiała jej przyjemność, lecz tęskniła za spacerem po ogrodzie i modliła się, by nikt nie poprosił jej o występ.

Nikt tego nie zrobił. Był to popis zawodowych śpiewaków, nawet jeśli nie światowej sławy, i zakończył się punktualnie o siódmej, gdy Valletortowie i czworo francuskich arystokratów wstali, by się pożegnać. Demelza sądziła, że ona i Ross wyjdą razem z Francuzami, lecz większość gości została, a pani Daniell zaprosiła ją i panią Robartes na spacer nad rzekę. Ross zniknął we dworze, porucznik Carruthers i St John Peter strzelali z łuków, sir John Trevaunance jeszcze nie ocknął się z drzemki, do której ukołysała go muzyka, toteż Demelza wzięła mantylkę, narzuciła ją na głowę i podążyła za panią Daniell.

Ross przebywał w gabinecie Ralphi-Allena Daniella, zaproszony przez gospodarza, który chciał mu pokazać plany rezydencji oraz zestawienia kosztów poniesionych na prace budowlane i dekoratorskie, co mogło być pomocne przy renowacji Nampary.

Przez dziesięć minut studiowali plany i kosztorysy, po czym Daniell powiedział:

– Jest pewna drobna kwestia, o której chciałbym z panem porozmawiać, kapitanie Poldark, skoro mamy chwilę. Ja i kilku moich znajomych zastanawialiśmy się nad tym w ciągu ostatnich miesięcy. Chcielibyśmy, żeby objął pan stanowisko sędziego pokoju.

Ross domyślał się, że zaproszenie do obejrzenia planów było tylko pretekstem, lecz nie przypuszczał, że o to

chodzi.

– Och, doprawdy?

Popatrzeli na siebie nad stołem. Ralph-Allen Daniell był wysokim, tęgim mężczyzną, ubranym, mimo przyjęcia, skromnie jak kwakier. Zachowywał się poważnie. Jego uśmiech – uśmiechał się w tej chwili do Rossa – wyrażał sympatię, nie wesołość.

– Od śmierci pańskiego kuzyna Francisa stanowisko sędziego w okręgu pozostaje nieobsadzone. Kiedy zmarł pana stryj, Francis Poldark początkowo odmawiał przyjęcia urzędu. Mówił, że dysponuje zbyt skromnym majątkiem, ale przekonaliśmy go, że to jego obowiązek. Członkowie rodu Poldarków sprawują tę funkcję od przeszło stu lat. Szkoda byłoby zrywać z tą tradycją.

Ross usiadł i skrzyżował nogi. Wino i jedzenie zawsze sprawiały, że jego twarz bladła zamiast się czerwienić.

– Faktem jest, że w naszym okręgu brak pierwszorzędnych kandydatów na to stanowisko. Stary Horace Treneglos jest zbyt chory i głuchy, by je objąć, lecz wiemy, że nie chce, by jego syna powołano na urząd sędziego, dopóki on sam żyje. Hugh Bodrugan jest kapryśny i zachowuje się niekonwencjonalnie. Ray Penvenen, jak rozumiem, stoi nad grobem. Dobrym kandydatem byłby naturalnie Trevaunance.

– Zgadzam się, że wybór nie jest najlepszy – zauważył Ross.

– Obecnie jest pan dowódcą miejscowego oddziału ochotników, ma pan więcej wolnego czasu i mniej obowiązków związanych z prowadzeniem kopalni, a wojna z Francją wkracza w decydującą fazę. W takiej chwili bardzo potrzebujemy kogoś z pańskim nazwiskiem, statusem i charakterem, by objął odpowiedzialną funkcję i wykonywał obowiązki sędziego.

Ross milczał. Po śmierci Francisa pojawiały się już takie sugestie, ale nie brał ich poważnie, nie odpowiadał na nie i wkrótce znikły, podobnie jak oczekiwania wielbnego Odgersa co do niedzielnych posiłków.

– W Anglii również panuje dziś niepokój. Szerzą się idee rewolucyjne.

– Cóż, tak. Istotnie. W takiej chwili potrzebujemy silnych przywódców.

– Panie Daniell, zastanawiam się, czy pan nie zapomniał, że... – kiedy to właściwie było? – że zaledwie przed czterema laty stanąłem w Bodmin przed sędzią Listerem i dwunastoosobową ławą przysięgłych oskarżony o podżeganie spokojnych obywateli do rozruchów i uczestnictwa w zamieszkach sprzecznych z prawem. Zdaje się, że był to dopiero początek aktu oskarżenia i postawiono mi również inne zarzuty.

Daniell poczerwieniał.

– Całkowicie pana uniewinniono.

– To prawda. Ale jeśli dobrze pamiętam, przed zwolnieniem mnie z aresztu sędzia oznajmił, że werdykt ławy przysięgłych nie opiera się na logice, tylko na miłosierdziu.

– Nic o tym nie wiem, kapitanie Poldark. Fakt pozostaje faktem: opuścił pan salę sądową jako człowiek bez skazy.

– Tak, chyba można tak powiedzieć.

– Zatem nie można panu stawiać żadnych zarzutów w tej sprawie.

– Owszem, ale chciałbym również przypomnieć, że dwa lata wcześniej wdarłem się do więzienia w Launceston i uwolniłem swojego dzierżawcę, który odbywał tam karę.

– Coś o tym słyszałem. Czy ten człowiek nie był bliski śmierci?

– Tak się złożyło. Lecz z pewnością nie jest to najlepsza rekomendacja, by pełnić funkcję sędziego i egzekwować prawo.

Daniell wyjął szylkretową tabakierkę i wyciągnął ją w stronę Rossa, który uśmiechnął się i pokręcił głową.

– Jeśli się pan rozejrzy, kapitanie Poldark, nie znajdzie pan prawie nikogo, kto nie popełnił w młodości jakichś błędów. Nie dotyczy to tylko pana. Niech pan pomyśli o swoich sąsiadach: większość ma na sumieniu młodzieńcze grzeszki.

– Och, to prawda. I nie tylko młodzieńcze. Czy chciałby pan, bym objął tę funkcję zgodnie z zasadą, że

nawrócony grzesznik będzie najlepszym duchownym?

– Nie nazwałbym tego w ten sposób.

Ross dotknął kolana i popatrzył na błękitne niebo.

– Jak się nazywają te okna? Serliana, prawda?

– Tak.

– Pana rezydencja jest bardzo jasna. Jedna z najjaśniejszych, jakie kiedykolwiek odwiedziłem.

– Ma pan stare nazwisko, bardzo szanowane w hrabstwie. Dopóki pana syn i syn pańskiego brata stryjecznego nie dorosną, nie ma nikogo oprócz pana, kto mógłby nas reprezentować.

– Mój ojciec nigdy nie był sędzią.

– Nie, ale wtedy żył jego starszy brat Charles.

Nie tylko z tego powodu nie został sędzią, pomyślał Ross.

– W zarządzaniu hrabstwem szczególną wartość mają również edukacja i doświadczenie – ciągnął Daniell. – Stary Horace Treneglos był przydatny jako znawca literatury greckiej, a John Trevaunance w młodości przez pewien czas studiował prawo w Cambridge, co sprawia, że ma wyjątkowe umiejętności. Pana szerokie doświadczenie sprawi, że sąd będzie skuteczniejszy i bardziej kompetentny.

– Czy to pana pomysł, panie Daniell?

– Nie, nie, kilku z nas. Wszystko jest uzgodnione. Nie ma żadnych przeszkód, zapewniam pana. Ludzie doszli do wniosku, że nadszedł czas, by został pan sędzią pokoju.

Poldark rozprostował nogi i wstał.

– Zazdroszczę panu wspaniałej biblioteki – powiedział. – Widzę, że ma pan *Prawa człowieka* Toma Paine'a. To książka zakazana, prawda?

– Nie była zakazana, kiedy ją kupiłem. Gdybym ją dziś sprzedał, mógłbym ponieść karę. Czytał ją pan?

– Tak. Nie wydaje mi się tak rewolucyjna, jak niektórzy sądzą.

– Cóż... Zależy, jak na to spojrzeć. Emerytury w wieku pięćdziesięciu lat? Edukacja ubogich? Podatek dochodowy sprowadzający się do konfiskaty wszystkiego, co przekracza dwadzieścia trzy tysiące funtów? Niektórzy uznaliby to za bardzo rewolucyjne poglądy.

– Zgadzam się z panem, że zależy, jak na to spojrzeć. Oczywiście Paine jest szokująco radykalny. Ale dla mnie to wizjoner, który stawia sobie zbyt ambitne cele, a nie rewolucjonista w najbardziej agresywnym znaczeniu tego słowa. Nie podziwia szczerze rewolucji francuskiej, choć stara się robić takie wrażenie. Nie potępia własności prywatnej, lecz jej nieograniczone wykorzystywanie do egoistycznych celów. Słyszałem, że Pitt w sekrecie sympatyzuje z wieloma teoriami Paine'a.

– Co sprowadza się do tego, że w dzisiejszych czasach trzeba utrzymywać swoje sympatie w sekrecie – odparł sucho Daniell. – Wie pan, czy ciągle żyje?

– Kto, Paine? Bóg jeden wie. Nikt nie potrafi powiedzieć, kto jest dziś we Francji żywy albo martwy.

Zapadło milczenie.

– Obawiam się, że muszę odmówić – rzekł Ross.

Daniell zamknął tabakierkę i dotknął nosa delikatną chusteczką z batystu. Na dworze gruchały gołębie. Było ciepłe sierpniowe popołudnie i miłe dźwięki wpadające przez otwarte okno działały kojąco.

– Doceniam to, że pan i pańscy przyjaciele złożyliście mi tę propozycję. Mam nadzieję, że moja odmowa nie zostanie uznana za niewdzięczność ani hipokryzję, ale nie jestem w stanie osądzać innych ludzi.

– Sędzia po prostu stosuje prawo.

– Owszem, lecz wymaga to osądzania ludzkich czynów. I chociaż w tej chwili staram się przestrzegać prawa i mam nadzieję wytrwać w tym postanowieniu, w przeszłości niekiedy rzucałem mu wyzwanie i może się zdarzyć, że zrobię to znów w przyszłości. Może nie ze względu na siebie. Nie spodziewam się, że nie będę miał dachu nad głową albo że będę pracował w morderczych warunkach. Nie przypuszczam, że w wieku trzydziestu lat zapadnę

na suchoty, że moja żona będzie głodować, a dzieci pełzać nago na klepisku chaty. Nie spodziewam się, że ulegnę pokusie kradzieży drewna, by się ogrzać, albo zająca, by nakarmić rodzinę. Ale w przypadku takich przestępstw prawo często nie przewiduje okoliczności łagodzących. Mojego dzierżawcę potraktowano bardzo surowo: trafił na dwa lata do więzienia i umarł. Nie jestem rewolucjonistą ani jakobinem. Wierzę w prawo własności. Nie lubię złodziei. Jednak wyroki są zbyt surowe. Gdybym miał osądzić człowieka oskarżonego o bezprawne wtargnięcie na teren cudzej posiadłości i zastawianie wnyków na króliki, nie potrafiłbym nie zadać sobie pytania, czy na jego miejscu nie zrobiłbym tego samego. A gdybym zrobił to samo, jak mógłbym go potępić?

– Sprawiedliwość nie zawsze jest ślepa i brutalna.

– Z pewnością.

– Domyślam się, że nie miałby pan takich odczuć w przypadku mordercy, gwałciciela albo podpalacza stogów...

– Oczywiście, że nie, ale takimi sprawami częściej zajmują się sądy wyższej instancji.

– A zatem w sprawach mniejszej wagi mógłby pan łączyć sprawiedliwość z wyrozumiałością.

– I sprzeczać się z innymi sędziami? Czy mógłbym się porozumieć z Hugh Bodruganem w sprawie wyroku na kłusownika? Byłby to początek nowej wojny domowej!

Daniell przygryzł wargę i spojrzał na wysokiego, chudego mężczyznę stojącego w pobliżu szafy z książkami.

– Sędzia pokoju, powinien pan to rozumieć, nie tylko wydaje wyroki w sprawach karnych. Ma władzę w okręgu, którą może wykorzystywać dobrze lub źle. Ma wpływ na wysokość podatków i sposób ich wykorzystania. Budowa dróg, naprawa mostów, bagrowanie kanałów. Duża część spraw administracyjnych okręgu. Energiczny mężczyzna, taki jak pan, miałby wiele okazji, by służyć ogółowi. Szkoda byłoby odrzucić sposobność zrobienia wielu pożytecznych rzeczy z powodu obawy, że wyrządzi się trochę szkód.

Ross pokręcił głową i się uśmiechnął.

– Próbuje mnie pan zarazić optymizmem, Daniell. Szkoda, że nie podzielam tego optymizmu. Gdybym uważał, że moi koledzy sędziowie myślą podobnie czy choćby są otwarci na argumenty, mógłbym zmienić zdanie. Gdyby przepisy prawa stawały się bardziej liberalne lub łagodniejsze, z radością próbowałbym je stosować. Ale w tej chwili, pod groźbą tego, co wydarzyło się we Francji, zaczęliśmy się cofać. Samo mówienie o łagodności, liberalizmie, reformach, poprawie bytu ubogich równa się zdradzie. Głosiciel takich poglądów jest uważany za zdrajcę i jakobina. W zeszłym tygodniu w Londynie powieszono człowieka, który ukradł ze sklepu funta i piętnaście szylingów. Można więzić ludzi bez sądu. Nikt nie jest bezpieczny, jeśli wypowiada się zbyt otwarcie na forum publicznym. Och, wiem – dodał, widząc, że Daniell zamierza mu przerwać. – Doskonale znam powody, w jakiejś mierze je rozumiem i usprawiedliwiam. Zaszło to jednak za daleko, przekroczyło granice dyktowane dobrem publicznym i bezpieczeństwem kraju. Chcemy pokonać tyranie we Francji, a grozi nam, że stworzymy tyranie u siebie. Czy nie rozumie pan, że człowiek mający takie poglądy jak ja popełniłby poważny błąd, przyjmując stanowisko sędziego?

Daniell westchnął i wstał.

– Rozumiem pana motywy. W dalszym ciągu nie uważam ich za wystarczające. Ludzie o liberalnych poglądach powinni stosować prawo i uczestniczyć w zarządzaniu hrabstwem, a nie wycofywać się i pozostawiać to osobom skłonny do większej surowości. Zagrożenia zewnętrzne miną. Trzeba mądrze kierować krajem. Ale cóż, skoro podjął pan taką decyzję... Dołączymy do dam? Widzę, że wracają znad rzeki.

Przeszli przez przedsionek i znaleźli się na tarasie. Nie było tam jeszcze nikogo oprócz służącego przygotowującego do podwieczorku jeden ze stołów. Rezydencja, położona w dolinie rzeki, była osłonięta przed wiatrem i wokół panował wielki spokój. Trzy damy w sukniach o barwie heliotropu, ochry i różu wydawały się kolorowymi plamami na zielonym tle. Demelza zdjęła żakiet i jej jedwabna bluzka lśniła w słońcu.

– Oczywiście wie pan... – zaczął Ralph-Allen Daniell. – A może nie... Może powinienem powiedzieć panu o tym... już teraz. Obsadzenie stanowiska sędziego pokoju to dość pilna sprawa i musimy znaleźć innego

kandydata. Z pewnością ktoś zaproponuje inną osobę. Pod warunkiem że upiera się pan przy swojej decyzji... – Czekał, lecz Ross się nie odezwał. – Musimy zaproponować stanowisko sędziego komuś innemu i najoczywistszym kandydatem o odpowiednim statusie jest George Warleggan. W istocie nie ma innej osoby.

Demelza pomachała chustką. Ross nie odwzajemnił jej gestu.

– Znakomity wybór – odparł. Jego głos prawie nie zdradzał targających nim emocji. – Warleggan ma wszystkie cechy, których mi brakuje.

– I brakuje mu wielu cech posiadanych przez pana. Wielka szkoda, że pan odmawia, kapitanie Poldark... Cóż, moje drogie, podobał wam się spacer?

Zostali u Daniella do dziewiątej. Pili herbatę, jedli herbatniki i ciastka, rozmawiali przyjaźnie na różne tematy. Daniell zaproponował im nocleg, przepraszając, że nie wspomniał o tym w zaproszeniu, lecz grzecznie odmówili i po miłym pożegnaniu pojechali w górę doliny, po czym ruszyli gościńcem prowadzącym do Truro. Przed jedenastą znaleźli się w gospodzie Pod Czerwonym Lwem, gdzie czekał już Gimlett z czystą pościelą. Przygotował i posprzątał pokój, a później zajął się końmi. Ross po raz pierwszy zatrzymał się w tej gospodzie od czasu awantury z George'em trzy lata wcześniej, gdy w przyływie gniewu przewrócił oberżystę. Lecz mały człowieczek był wyraźnie zadowolony z pojawienia się zamożnego klienta i nie żywił urazy. Poldark starał się miło zachowywać w czasie lekkiej kolacji, ale nie potrafił się rozluźnić. Demelza, której przyjęcie u Daniella bardzo się podobało, nie rozumiała, o co chodzi. Powiedział jej o propozycji gospodarza i swojej odpowiedzi, dopiero gdy znaleźli się w sypialni.

– Och, Ross... – westchnęła.

– Co masz na myśli? Och, Ross!

– Wiem, co czujesz, i cieszę się z tego, ale to naprawdę wielka szkoda.

– Szkoda, że mam takie poglądy?

– Nie. Szkoda, że musiałeś odmówić z powodu swoich poglądów. Uważam... Szkoda, że nie będziesz się obracał wśród ludzi ze swojej sfery i nie staniesz się kimś wpływowym. Miałeś na to szansę. Chciałabym, żeby cię szanowano, jak na to zasługujesz.

– Czyli twoim zdaniem w tej chwili nie jestem szanowany. Dziękuję.

– Ross, nie drażnij się ze mną. Przykro mi, że to, co mówię, nie sprawia ci przyjemności. Oczywiście akceptuję twoje zdanie, skoro uważasz, że tak jest dla ciebie najlepiej. Ale każdy ma właściwe miejsce na świecie, a ty powinieneś sprawować funkcję sędziego pokoju. Urodziłeś się ziemianinem, a ziemianie zostają sędziami. Przykro mi, że musiałeś odmówić.

– Miałabyś o mnie lepsze mniemanie, gdybym był opasłym, cuchnącym starym rozpustnikiem jak twój kochanek Hugh Bodrugan, który upija się do nieprzytomności sześć razy w tygodniu i jest gotów obmacywać każdą napotkaną kobietę? Wtedy podziwiałabyś moje stanowisko w świecie? Uważałabyś, że jestem dzięki temu kimś ważnym?

– Nie, Ross. Wiesz, że nie to miałam na myśli. I wiesz również, że Hugh Bodrugan nigdy nie był moim kochankiem, a moja bluzka i spódnica nie znajdowały się w zasięgu jego ręki.

– Chciałabyś, żebym stał się hipokrytą i schlebiał ludziom mającym władzę, by samemu ją zdobyć? Aby móc się puszyć jak kogut na kupie gnoju? Chciałabyś, żebym był pompatyczny, arogancki, zarozumiały, uważający siebie za bożka wymierzającego sprawiedliwość niższym istotom? Chciałabyś, żebym...

– Proszę, Ross, rozepnij ten guzik. Przez cały dzień ciśnie mnie bluzka. Chyba będę ją mogła znowu nosić dopiero po urodzeniu dziecka.

Spojrzał na szyję Demelzy, na kosmyki włosów wijące się na bladej skórze.

Rozpiął trzy guziki i odwrócił się zirytowany i wściekły. Nie rozmawiali aż do chwili, gdy oboje się rozebrali i weszli do łóżka. Ross zgasił dwie świece, tak że paliła się tylko jedna. Kociła, a płynące do góry spirale dymu przypominały włosy Demelzy. Starał się zapanować nad irracjonalną złością.

– Więc uważasz, że popełniłem błąd? – spytał.

– Skąd mam wiedzieć? Jak możesz popełniać błąd, skoro wierzysz, że postąpiłeś słusznie?

Nie wspomniał, kto prawdopodobnie zostanie mianowany sędzią zamiast niego.

– Wspaniałe przyjęcie, ale ten Francuz... – powiedziała Demelza.

– W przyszłym roku Ralph-Allen Daniell obejmie stanowisko szeryfa Kornwalii. Nie słyszałaś, jak mówili o tym w czasie obiadu?

– Nie. Co to takiego? Nazwa brzmi imponująco.

– Może chcieli nas sprawdzić: przekonać się, jak się zachowujesz w towarzystwie i czy ja nie noszę na halsztuku trójkolorowej flagi. Valletort to syn lorda namiestnika, pamiętaj. Podobał ci się stary Mount Edgcumbe?

– Prawie z nim nie rozmawiałam. Jego żona wydawała się sympatyczna. Jeśli tak wygląda eleganckie towarzystwo, chyba je lubię, Ross. Ci ludzie są miłsi od tych, których spotykaliśmy wcześniej.

– Tak. Nieco wyższy poziom niż bal w Assembly Rooms. Na pewnym etapie posiadanie pieniędzy zaczyna być korzystne, bo właściciel nabiera dzięki nim ogłady, kultury, wyrafinowania i elegancji. Kiedy tak się dzieje, chyba nie ma na świecie lepszego towarzystwa.

– Mam nadzieję...

– Na co?

– Że kiedyś znowu pójdziemy na takie przyjęcie.

– Wyobrażam sobie, że odmowa przyjęcia urzędu nie przysporzy mi ich sympatii. Ludzie, których dziś spotkaliśmy, to liberałowie. W lepszych czasach byłiby reformatorami. Szczycą się tym, że mają otwarte umysły. Ale podejrzewam, że w tej chwili nawet oni zdają się wierzyć w zasadę: kto nie z nami, ten przeciwko nam. Tak się zwykle dzieje w czasach zamętu i wojny. Angielscy ziemianie widzą rewolucję za każdym drzewem.

– Och, cóż... – Demelza z filozoficznym spokojem wruszyła ramionami. – Powinniśmy być zadowoleni z tego, co mamy. Nieważne, że nie zostaniesz sędzią. Wzięłeś listę rzeczy, które powinniśmy jutro kupić?

– Tak. Ma pół metra długości.

– Dobrze. Powinniśmy się nad tym zastanowić. Dobranoc, Ross.

– Dobranoc.

Zgasił ostatnią świecę. Jedynym źródłem światła pozostała latarnia w korytarzu za źle dopasowanymi drzwiami. Z sali na dole dobiegały ludzkie głosy, niekiedy krzyki.

Leżeli w milczeniu, pogrążeni we własnych myślach. Oboje zdawali sobie sprawę, że niezależnie od tego, co kupią jutro – choćby były to najbardziej ekstrawaganckie zakupy – dzisiejsze wydarzenia odbiorą im cały smak.

Rozdział dziewiąty

We wrześniu George otrzymał list z propozycją objęcia stanowiska sędziego pokoju i po stosownej zwłoce odpowiedział, że z przyjemnością przyjmie nominację lorda kanclerza.

Miał nadzieję na tego typu ofertę, lecz uważał, że prawdopodobnie będzie musiał poczekać, aż umrze Horace Treneglos lub Ray Penvenen. Mieszkał w Trenwith zaledwie od roku i nie rezydował stale w dawnym dworze Poldarków, choć celowo przebywał w nim dłużej, niż dyktowała konieczność. Chciał być akceptowany na terenie okręgu, lecz często miał wrażenie, że arystokraci pokroju Bodruganów lub Trevaunance'ów okazują mu wyższość. Nominacja na sędziego była ważną oznaką akceptacji. Najważniejsze są pieniądze. Wkrótce staną się znacznie ważniejsze od genealogii.

Było to tym przyjemniejsze, że trzy lata wcześniej ojciec próbował uzyskać dla George'a stanowisko członka rady miejskiej Truro i poniósł klęskę. Nicholas pełnił funkcję radnego i sędziego, przynosząc miastu wielkie korzyści; był również stałym, wiernym i aktywnym stronnikiem wicehrabiego Falmouth, wspierał wszystkie jego plany, ale kiedy George'a wymieniano jako kandydata na wakujące stanowiska, jego lordowska mość zawsze zgłaszał inne osoby. Warlegganowie starali się być mili wobec Boscawenów, lecz ci nie odwzajemniali przyjaznych gestów. Przyczyna była oczywista, choć Warlegganowie rozumieli ją tylko częściowo. Lord Falmouth kontrolował okręg wyborczy i radę miejską. Jako arystokrata posiadający ogromny majątek ziemski był przyzwyczajony do uniżoności ludzi pokroju Hicka, Cardewa i innych członków rady miejskiej. Nie ośmielali się oni aspirować do roli przyjaciół. Jednak trudno było równie protekcjonalnie traktować człowieka, który posiadał blisko dwieście pięćdziesiąt hektarów ziemi, dwór prawie tak wielki jak Tregothnan, a także największy dom w Truro, nie wspominając o dużych udziałach w bankach, odlewniach i kopalniach, co czyniło go jednym z najbogatszych ludzi w hrabstwie. Dlatego lord Falmouth uznał, że na razie wystarczy jeden Warleggan w radzie miejskiej.

Sukces odniesiony w okręgu wiejskim, gdzie stare rody ziemiańskie tworzyły silną, niechętną obcym klikę, był ważnym krokiem naprzód. Poza tym George nie zawdzięczał nominacji swojej potędze finansowej w Truro. Sprawilo mu to wielką przyjemność.

Naturalnie ukrywał zadowolenie przed Elizabeth i wspominał o sukcesie mimochodem w czasie jednej z kolacji, udając, że wcześniej o tym zapomniał.

– Och, bardzo się cieszę – odpowiedziała. – Francis uważał to za utrapienie, ale moim zdaniem udział w sprawach sądowych pozwalał mu zapomnieć o własnych kłopotach.

Elizabeth mówiła równie niedbałym tonem jak George, lecz nie udawała, co go zirytowało. Dla ludzi z jej sfery nominacja na sędziego pokoju była czymś oczywistym. Jonathan Chynoweth został sędzią po śmierci swojego ojca: nie było to żadne osiągnięcie, tylko nudny obowiązek dżentelmena.

– Tak. Będę mógł uczestniczyć w rozprawach w czasie pobytu w Trenwith. Muszą wiedzieć, że spędzimy dużą część zimy w Truro.

– A co z datą wyjazdu do miasta? Ustaliłeś ją?

– Nie mam żadnych zobowiązań towarzyskich do piątego października. Myślę o końcu miesiąca, jeśli to dla ciebie dogodny termin.

– Odmiana sprawi mi przyjemność.

– Dlaczego?

– Dlaczego? – Popatrzyła na George'a. – Ale dlaczego nie? Pogoda się popsowała i nie wygląda na to, by miała się poprawić. W zeszłym roku, gdy spodziewałam się dziecka, nie mogłam normalnie korzystać z życia. Teraz cieszę się na myśl, że spotkam przyjaciół – swoich i twoich – że będziemy chodzić na koncerty, bale, grać w karty.

Zmiana otoczenia dobrze nam zrobi.

George pochylił się nad talerzem, zadowolony z wyjaśnień żony. Od chwili zawarcia małżeństwa wyczuwał w niej niechęć do przebywania w Trenwith i często się zastanawiał, czy nie kryje się w tym coś, o czym nie wie. Oczywiście przed ślubem obiecał Elizabeth przeprowadzkę do Cardew, lecz kiedy zwrócił się z tym do ojca, ten nie chciał opuścić rezydencji. Usiłując przekonać Elizabeth, że małżeństwo z nim zaspokoi wszystkie jej potrzeby, George kilkakrotnie nieco koloryzował – przenosiny do Cardew były największą niespełnioną obietnicą. Elizabeth próbowała ukrywać rozczarowanie, ale teraz, po przyjściu na świat Valentine'a, stało się ono bardziej widoczne. George zawsze podejrzewał, że jej pragnienie opuszczenia Trenwith jest motywowane chęcią przebywania z dala od Rossa Poldarka.

Kolacja była jedynym posiłkiem, który jedli sami. Dwa lata małżeństwa subtelnie zmieniły ich wzajemne relacje; narodziny Valentine'a dodatkowo to podkreśliły. George przez całe życie głęboko pragnął tylko tej kobiety i osiągnięcie sukcesu dało mu ogromne zadowolenie. Posiadł Elizabeth z całą namiętnością, do jakiej był zdolny, i z radością spostrzegł, że ona reaguje podobnie. Nie zdawał sobie sprawy, że jej reakcja to raczej zamaskowany gniew, a nie autentyczna namiętność. Bezpośredni skutek był taki, że oboje okazywali więcej emocji, niż to mieli w naturze, i zespolenie dostarczało im wyjątkowych przeżyć. Ale szybka ciąża Elizabeth stała się pretekstem, by namiętność nieco osłabła, nigdy potem nie osiągnęła zresztą dawnej siły. George miał chłodne usposobienie, a Elizabeth już nie musiała niczego sobie udowadniać. Po narodzinach Valentine'a nigdy nie odmawiała mężowi. On proponował, ona wyrażała zgodę, lecz nie była to wspólnie odczuwana potrzeba.

Oboje mieli tego świadomość. George wiedział, jak niektóre kobiety zachowują się przez pewien czas po wydaniu na świat dziecka. Wiedział, jakie były relacje między Elizabeth a Francisem po narodzinach Geoffreya Charlesa. Odczuwał satysfakcję, że to samo nie nastąpiło po urodzinach Valentine'a. Tak czy inaczej, na razie był zadowolony. Posiadanie Elizabeth wydawało się wystarczającą nagrodą. Dawał z siebie mniej pod względem emocjonalnym. Elizabeth z aprobatą przyjęła ochłodzenie ich relacji – nie była pewna, czy kiedykolwiek chciała, by osiągnęły wyższą temperaturę.

Lecz mimo ochłodzenia w kontaktach fizycznych – ich codzienne relacje układały się znakomicie. Od samego początku małżeństwa George z zadowoleniem dostrzegał, że żona identyfikuje swoje interesy z jego interesami – do tego stopnia, że czuje wrogość wobec Poldarków z Nampary. Kiedy ją poślubił, uważał ją za piękną, kruchą istotę podobną do motyla. Małżeństwo zaspokoiło jego instynkty opiekuńcze, dawało poczucie, że poniekąd stał się właścicielem żony. Teraz, choć w dalszym ciągu uważał ją za delikatną, atrakcyjną kobietę, odkrył, że jest inteligentna, że ma w sobie dużo zdrowego rozsądku, podobnie jak on, że potrafi samodzielnie prowadzić dom, a poza tym bardzo dba o jego karierę, co zawsze go zdumiewało. To, że przez blisko dwa lata wdowieństwa, nie mając męża ani pieniędzy, z powodzeniem zarządzała dużym dworem, nie było kwestią przypadku.

Ostatnio jedynym punktem spornym między małżonkami był jak zwykle Geoffrey Charles. Elizabeth oczekiwała, że spędzi z nimi jesień w Truro, lecz George argumentował, że jeśli chłopiec ma za rok wyjechać do szkoły, byłoby lepiej, gdyby od czasu do czasu przebywał z dala od matki. Pozostawienie go w Trenwith pod opieką guwernantki, wuja i ciotki byłoby łagodnym sposobem na rozluźnienie bliskiego związku z matką. Sama Elizabeth na razie nie widziała powodu, by rozluźniać więzi z synem – w rzeczywistości uważała, że w ogóle nie powinien wyjeżdżać do szkoły – ale po długich, choć raczej powściągliwych rozmowach w końcu ustąpiła.

A zatem Geoffrey Charles miał zostać w Trenwith. Tego wieczoru po kolacji Elizabeth przyszła do Morweny, która haftowała w salonie zimowym.

– Ach, Morwenno, jest coś, o czym chciałabym z tobą porozmawiać. Czy to prawda, że jeździecie na plażę Hendrawna?

Dziewczyna odłożyła robótkę. Nie potrzebowała okularów, by dobrze widzieć z tak bliska.

– Tak. Powiedział ci o tym Geoffrey Charles?

– Nie sam z siebie. Znalazłam piasek w jego kieszeni i go spytałam.

– Tak, byliśmy tam kilka razy – odpowiedziała Morwenna. – Czy zrobiliśmy coś złego?

– Nie. Ale jeździliście dalej od domu, niż sobie wyobrażałam.

– Przepraszam. Tak naprawdę to niedaleko, robimy jeszcze dłuższe wypady w przeciwnym kierunku. Ale jeśli nie chcesz, więcej tam nie pojedziemy.

– Jak tam dojeżdżacie? Przez Namparę?

– Nie. Domyśliłam się, że nie byłoby to zgodne z twoimi życzeniami, więc przejeżdżamy koło Marasanvose i jedziemy przez wydmy, które, jak sądzę, należą do pana Treneglosa.

– Towarzyszy wam Keigwin?

– O tak. Choć czasem Geoffrey Charles ma ochotę na spacer, a wtedy idziemy sami.

– To chłopiec o silnym charakterze. Nie możesz pozwolić, by tobą rządził.

Morwenna się uśmiechnęła.

– Uważam, że mną nie rządzi, Elizabeth. Nie jest uparty, tylko potrafi przekonywać.

Elizabeth również się uśmiechnęła, wyciągnęła rękę i zakręciła swoim starym kołowrotkiem. Nie używała go od przeszło roku.

– W połowie plaży, między niskimi klifami, znajduje się święte źródło. Jeśli go nie widziałaś...

– Nie widziałam.

– Wiem, że Geoffrey Charles chętnie by ci je pokazał. A dalej są przepiękne jaskinie. Człowiek czuje się, jakby wszedł do ogromnej katedry. Ze sklepień kapie woda. Bardzo dziwne, niesamowite miejsce. Może pojechałabyś z nami któregoś dnia?

Elizabeth pomyślała, że oczy Morwenny mają niezwykły blask. Może odbijała się w nich świeca.

– Może któregoś dnia – powiedziała. – W lecie. Teraz dni są coraz krótsze i czasem zdarzają się wielkie fale. Byłabym rada, gdybyście w tym roku nie jeździli już na plażę.

– Jesteśmy bardzo ostrożni.

– Wolalabym, żebyście nie musieli podejmować środków ostrożności.

– Oczywiście, Elizabeth. Geoffrey Charles będzie głęboko zawiedziony, ale oczywiście zrobimy, co każesz.

W głosie Morwenny zabrzmiała lekka zadziorność, która kontrastowała z jej zazwyczaj spokojnym tonem. Elizabeth natychmiast to zauważyła, lecz nie chciała zadawać dalszych pytań. Pomyślała, że Geoffrey Charles również zachowuje się tajemniczo. W razie potrzeby może go zmusić do ujawnienia sekretu.

Morwenna zajęła się haftem. Spędziła niezwykły, wręcz fantastyczny dzień. Spotkanie z Drakiem o dziesiątej – udało mu się jakoś zwolnić z pracy – jasny, słoneczny ranek z deszczowymi chmurami zbierającymi się na widnokręgu i zapowiadającymi ulewę po południu; półtorakilometrowy spacer po lśniącem, żółtym piasku – piasek był miękki po odpływie, więc pozostawiali za sobą głębokie ślady stóp. Geoffrey Charles biegał na skraju wody, śmiejąc się radośnie, gdy fale obmywały jego nagie stopy. Morwenna i Drake zachowywali się poważniej: szli obok siebie, rozmawiali, a czasem śmiali się z Geoffreya Charlesa, jakby szukali pretekstu, by okazać zadowolenie, że są razem. Zbliżyli się do wielkich jaskiń, z których niedawno wycofała się woda i które w dalszym ciągu były mokre. Przed wejściem znajdowało się szerokie rozlewisko. Geoffrey Charles podwinął nogawki spodni powyżej kolan i przeszedł na drugą stronę, a Drake zaproponował, że przeniesie Morwennę. Nie zgodziła się, schowała się za skałą, zdjęła trzewiki i pończochy, a następnie przeszła przez lodowato zimną wodę, podtrzymując suknię rękami. Skrzesał ogień, zapalili kopące łójówki na starych kaskach górniczych zabranych przez Drake'a i ruszyli w głąb ogromnych jaskiń wśród oślizgłych wodorostów i kawałków drewna przyniesionych przez morze. Morwenna zawsze czuła lęk w zamkniętych pomieszczeniach i tym razem również ogarnął ją strach – bała się ryku spienionych fal przyboju rozbijających się niedaleko brzegu, bała się, że jaskinie nagle zaleje woda i że znajdą się w pułapce. Ale strach potęgował podniecenie i łagodziła go obecność towarzyszy, zwłaszcza Drake'a. W chwilach, gdy myślała racjonalnie, zdawała sobie sprawę, że sytuacja jest niewłaściwa i że nie powinna czuć sympatii do młodego, niewykształconego cieśli, ale żadne zakazy, żadne normy społeczne ani religijne nie mogły sprawić, by

przestała się cieszyć pięknem poranka.

Elizabeth coś powiedziała.

– Przepraszam, zamyśliłam się. Wybacz mi.

– Kiedy nadejdzie jesień, nie radzę wam się zapuszczać tak daleko, nawet w towarzystwie Keigwina. Wieśniacy to spokojni ludzie, znają was i szanują, ale zbiory były kiepskie, co prowadzi do nędzy i cierpień. Im bardziej się oddalacie, tym większe prawdopodobieństwo, że może was spotkać coś złego. Szczerze mówiąc, w czasie złej pogody lepiej nie wychodzić z Geoffreyem Charlesem poza granice posiadłości. Pamiętaj, to pierwszy rok, gdy ma względną swobodę, i nie należy przesadzać.

Tego ranka z pewnością nie przesadzili, choć nie skończyło się na zwiedzaniu jaskiń. Kiedy wyszli z powrotem na plażę, świeciło palące słońce, a niebo było lazurowe. Daleko na północy powoli płynęła lawica czarnych chmur przypominających owcze runo. Drake zdjął koszulę i został tylko w spodniach, po czym wbiegł do wody i baraszkował w wysokich falach uderzających w piaszczysty brzeg. Geoffrey Charles nie chciał być gorszy. Ignorując protesty Morweny, rozebrał się do naga i popędził za nim. Morwenna patrzyła na nich, stojąc na brzegu po kostki w wodzie, która pieniała się wokół jej stóp. Później położyli się za kamieniem, by wyschnąć w gorącym słońcu, a Geoffrey Charles dla przyzwoitości przykrył się koszulą. Czy przesadzili? Czy takie nieziemskie przyjemności to coś zakazanego i złego?

– Morwenno! – rzekła ostro Elizabeth.

– Bardzo, bardzo przepraszam. Zamyśliłam się. Proszę, żebyś mi wybaczyła.

– Powtórzę to, co powiedziałam. Mam nadzieję, że pod moją nieobecność dopilnujesz, by Geoffrey Charles poświęcał więcej czasu na naukę. Za rok pan Warleggan zamierza wysłać go do szkoły, może do Bristolu, a nawet Londynu. To bardzo ważne, by przykładał się do nauki, zwłaszcza do łaciny.

– Zrobię wszystko, co w mojej mocy, by poświęcał więcej czasu na naukę – odpowiedziała Morwenna.

Will Nanfan był potężnym mężczyzną o jasnych, nieco posiwiałych i przerzedzonych włosach. Miał niewielkie gospodarstwo, w którym hodował kilka owiec, i miał się różnych zajęć, by zarobić na życie. Był wujem Jinny Carter i mężem wysokiej blondynki Char Nanfan, której pożądał niegdyś Jud Paynter. Nanfan odwiedził pewnego wieczoru Rossa, by przekazać mu nowiny o człowieku z Roscoff, z którym nawiązał kontakt. Nazywał się Jacques Clisson i podróżował po Bretanii jako kupiec: kupował koronki i jedwabne rękawiczki, a następnie sprzedawał je w porcie angielskim przemytnikom. Nanfan twierdził, że Francuz ma wiele wiadomości i że łatwo go przekupić. Według Clissona w więzieniu w Breście znajdowało się sześciuset lub siedmiuset Anglików, nieliczni w Pontivy i La Force, lecz największą liczbę przetrzymywano w miejscowości o nazwie Camp-air, choć w języku francuskim pisano to w dziwny sposób jako Q-u-i-m-p-e-r. Przebywało tam trzy lub cztery tysiące Brytyjczyków: kobiet, dzieci, członków załóg statków handlowych, prostych marynarzy, oficerów, chorych i zdrowych. Zgromadzono ich wszystkich w ogromnym klasztorze żeńskim przekształconym w więzienie. Według mapy Trencroma przywieziona przez Nanfana Quimper znajdowało się zaledwie kilka kilometrów od zatoki Audierne, gdzie rozbił się Travail, toteż istniała szansa, że ocaleni członkowie załogi trafili do miejscowego więzienia.

Nanfan spytał Clissona, czy mógłby zdobyć nazwy okrętów i nazwiska więźniów, zwłaszcza oficerów, i zaproponował pięćdziesiąt gwinei za pełną listę oficerów uratowanych z Travaila – jeśli jacyś przeżyli. Clisson obiecał zrobić wszystko, co w jego mocy, ale powiedział, że to niebezpieczne zadanie, które może zająć trochę czasu.

Ross wyprostował się nad mapą.

– Czy ten człowiek wspominał coś o sposobie traktowania więźniów?

– Podobno są źle traktowani. Jacques twierdzi, że wszystkim rządzi motłoch, który nie zachował nawet resztek przyzwoitości.

– Jak spotkasz się z Clissonem, skoro nie wiesz, kiedy następnym razem popłyniecie po towary?

– W połowie każdego tygodnia zawsze pojawia się w Roscoff. Między czwartkiem a poniedziałkiem podróżuje

po kraju. Wraca do domu w poniedziałek wieczorem z jucznym koniem obładowanym towarami mającymi trafić do Anglii.

– Mówi po angielsku?

– O tak. Inaczej bym go nie zrozumiał.

– Jako chłopiec, gdy pływałem do Francji z ojcem, nauczyłem się trochę francuskiego, ale teraz chyba nie potrafiłbym się dogadać. Pamiętasz mojego ojca?

Nanfan się uśmiechnął.

– Tak, sir, dobrze pamiętam. Raz widziałem też pańską matkę, chociaż było to dawno, kiedy byłem jeszcze szkrabem. Jechała konno obok pańskiego ojca. Była wysoka. I szczupła... wtedy była szczupła... Miała długie ciemne włosy.

– Tak – odpowiedział Ross. – Tak, miała długie ciemne włosy... – Przez chwilę znów był dziewięcioletnim chłopcem, świadkiem choroby i bólu matki. Straszliwy mrok, płaczące kobiety, maści, balsamy i tupot stóp. Choroba, przykre zapachy, stara opiekunka i pergaminowy kolor twarzy ojca. Dym rzucał cień, a cieniem były choroba i śmierć. Ross zamrugał i odpędził wspomnienia. Minęło dwadzieścia pięć lat, żona i dziecko Rossa byli zdrowi, niszczący czerw opuścił dom. – W dawnych czasach, gdy pływałem z ojcem do Francji, nie było to jeszcze tak dobrze zorganizowane – powiedział. – Płynęliśmy na Guernsey tylko po to, by zrobić zapasy rumu, brandy i herbaty na własny użytek. Rząd brytyjski już wtedy próbował zlikwidować przemysł z Guernsey. Roscoff wygląda podobnie, prawda?

– Nie ma żadnej różnicy. Ale Roscoff jest bardzo zamożne. Budują tam dwa nowe zajazdy, w mieście przebywają angielscy, holenderscy i francuscy kupcy, wszystkim świetnie się powodzi.

– Nie interweniują nawet rewolucjoniści?

– Nawet rewolucjoniści. Można bez przeszkód chodzić po mieście, ale przypuszczam, że gdyby ktoś wyszedł poza jego granice, szybko zostałby aresztowany.

Will zaczął związać mapę. W cichym pokoju słychać było szelest.

– Niech pan pamięta, sir, że w Roscoff ludzie są nerwowi. Wszyscy zajmują się przemysłem, każdy każdego obserwuje. Panuje strach przed szpiegami, donosicielami. Mężczyźni oglądają się za siebie, czy nie są śledzeni. Nawet kobiety się boją. Musimy postępować ostrożnie z Clissonem, bo gdyby ktoś się zorientował, że się zadaje z dobrze urodzonymi Anglikami, łatwo mógłby zostać zadenuncjowany – tak to nazywają – zadenuncjowany, a potem zabraliby go do Brestu i skazali na śmierć.

Ross skinął głową.

– Więc gdybym pojechał, powinienem się zachowywać, jakbym załatwiał interesy, udawać, że zajmuję się przemysłem, i spotkać Clissona niby przypadkiem?

– To byłoby rozsądne. I powinien pan być ubrany jak jeden z nas. Wtedy by się pan nie wyróżniał.

– Porozmawiam z Trencromem – powiedział Ross.

Rozdział dziesiąty

W tysiąc siedemset sześćdziesiątym roku, gdy w okolicy odbyło się jedno z wielkich spotkań metodystów w celu odnowy życia religijnego, powstał plan budowy domu modlitwy w wiosce Grambler i zwrócono się w tej sprawie do Charlesa Poldarka, zażywnego, energicznego i dość zamożnego ziemianina w wieku czterdziestu jeden lat. Poproszono go, by ofiarował zgromadzeniu kawałek ziemi, na którym można by zbudować niewielki budynek. Charles nie lubił ruchu metodystycznego, podobnie jak wszystkiego, co odstawało od normy, i nie darzył go zaufaniem, gdyż sądził, że w pewnym sensie podważa on autorytet właścicieli ziemskich, jednak zgodził się przekazać skrawek ziemi przylegający do rozległej wioski Sawle. Zrobił to pod wpływem swojej nowej, zaledwie dwudziestoletniej żony, będącej już matką dwojga dzieci. Chociaż nigdy nie przyznała się do tego mężowi, jako dziewczynka słuchała kazań metodystów i sama była bliska nawrócenia.

Charles, jak zawsze ostrożny, nie podarował zgromadzeniu gruntu, tylko go wydzierżawił. Dzierżawa miała wygasnąć w chwili, gdy umrą ostatni trzej sygnatariusze umowy. Na dole dokumentu Charles napisał: „Decyzję o przedłużeniu dzierżawy na kolejne lata podejmą moi spadkobiercy według swojego uznania”. Do tego czasu, czyli do tysiąc siedemset dziewięćdziesiątego roku, ruch metodystyczny prawie zanikł w wiosce Grambler. Ale żył jeszcze ojciec Willa Nanfana, jeden z pierwszych założycieli zgromadzenia, który zgłosił się do Francisca wraz z dwoma innymi starszymi zboru i poprosił o przedłużenie dzierżawy. Francis, zajęty i niemający głowy do interesów, machnął ręką i powiedział: „Zapomnijcie o tej sprawie: grunt należy do was”. Kiedy stary Nanfan grzecznie podziękował i bąknął coś o akcie darowizny, Francis odrzekł: „Zajmę się tym, naturalnie”. Nigdy tego nie zrobił, a ponieważ był jeszcze młody, poruszanie tej kwestii nie wydawało się pilne.

Odkąd w Trenwith zamieszkał George Warleggan, jego adwokat, Tankard, co tydzień jeździł do Truro, by sprawdzać, gdzie dokładnie przebiegają granice posiadłości Poldarków. Przeglądał stare umowy dzierżawy terenów górniczych i porządkował sprawy zaniebawiane od wielu lat. George wydał instrukcję, że jeśli pojawią się wątpliwości dotyczące zakresu należnych komuś praw, trzeba je ostatecznie rozstrzygać, okazując wyrozumiałość wobec dotychczasowych dzierżawców. Nie chciał mieć w okolicy opinii surowego właściciela ziemskiego i nie było takiej potrzeby. Zawsze dobrze płacił służącym i zatrudnianym przez siebie ludziom. Otrzymywane przez nich dniówki były znacznie wyższe od przeciętnych – kosztowało go to niewiele, a dzięki temu mógł wymagać dobrej pracy, pracownicy się starali i byli zadowoleni. Jednak bardzo nie lubił niejasnych sformułowań, nierozstrzygniętych kwestii i umów zawartych ustnie, a nie na piśmie. Odznaczał się inteligencją, zamiłowaniem do porządku i skutecznością; nie znosił bałaganiarstwa.

Wiele spraw było dość prostych i nie wymagało jego decyzji, lecz któregoś popołudnia przed wyjazdem do Truro Tankard powiedział:

– Trzeba rozstrzygnąć kwestię domu modlitwy na skraju wioski, panie Warleggan. W zeszłym tygodniu zauważyłem, że naprawiają dach, i zajrzałem do dokumentów, po czym okazało się, że dzierżawa wygasła. Odwiedziłem to miejsce dziś rano, aby porozmawiać w tej sprawie. Spotkałem trzech mężczyzn. Poinformowałem ich, jak wygląda kwestia dzierżawy, a wtedy najstarszy, niejaki Nanfan, powiedział, że po wygaśnięciu dzierżawy Francis Poldark podarował im tę ziemię. Poprosiłem o przedstawienie aktu darowizny, ale Nanfan oznajmił, że dokonano tego ustnie. Pan Poldark miał po prostu powiedzieć: „Grunt należy do was”, i na tym stanęło. Nastąpiło to w obecności trzech osób, lecz dwie z nich, w tym ojciec Nanfana, już nie żyją, więc jest tylko jeden świadek. Powiedziałem, że przedstawię panu tę sprawę.

George spojrział na mapę wiszącą na ścianie gabinetu: zaznaczono na niej granice i poszczególne części posiadłości.

– Tutaj, tak? Nazywają to nawet drogą do domu modlitwy, rozumiem. Cóż, to już tradycja. Przygotuj oficjalny akt darowizny. Znajdź wśród nich kogoś poważnego, by go podpisał. Załatwmy to formalnie.

– Tak jest. Zajmę się tym w przyszłym tygodniu.

– Chwileczkę... To ci sekciarze, którzy prowokowali nas w kościele, prawda? Odgers, ta nędzna gnida, nasz proboszcz, wydał im wojnę. Zabronił im wstępu do kościoła, a teraz mówi, że uczestniczą w nabożeństwach w Marasanvose i spotykają się w wiosce Gambler podczas nabożeństw w Sawle. W ostatnią niedzielę nasz kościół był prawie pusty.

Tankard posłusznie czekał w połowie drogi do drzwi.

George puknął palcem w mapę.

– Zostaw to na razie. Odłóżmy tę sprawę do przyszłego tygodnia. W tym czasie spotkam się z Odgersem i spytam, co o tym sądzi.

Dwa tygodnie później George pojechał do Truro, częściowo w interesach, a częściowo chcąc sprawdzić, czy dom w mieście jest gotowy na ich przyjęcie. Elizabeth została w Trenwith i załatwiała drobne sprawy, którymi należało się zająć przed kilkumiesięcznym wyjazdem. Około szóstej wieczorem przybyła do niej delegacja złożona z trzech mężczyzn.

Pora nie była odpowiednia. Elizabeth przez cały dzień była zajęta i pokłóciła się z matką, która tego dnia zachowywała się wyjątkowo męcząco. Starsze kulturalne małżeństwo zaangażowane do opieki nad Chynowethami odeszło w lipcu i jeszcze nie znaleziono nikogo na ich miejsce. Pani Chynoweth była tak wymagająca, że tylko najbardziej zdeterminowani zdecydowaliby się pozostać w Trenwith; jak dotychczas odrzuciła trzy pary kandydatów. Oznaczało to, że służący mają więcej pracy i że na Elizabeth ciąży większa odpowiedzialność. Na domiar złego Valentine był tego dnia niespokojny i płaczący. Elizabeth martwiła się, że może to być początek choroby. Jednak nie mogła się zdobyć, by odprawić przybyłych mężczyzn, nie wysłuchawszy ich prośby. Mieszkała w Trenwith od dziesięciu lat i знаła wszystkich okolicznych wieśniaków.

Do salonu weszło w końcu dwóch. Tom Harry, który ich wprowadził, uznał, że trzy osoby to zbyt liczna grupa, i kazał poczekać w kuchni najmłodszemu, Drake'owi Carne'owi. Elizabeth znała tylko jednego z dwóch mężczyzn – barczystego, przeszło czterdziestoletniego powszechnie szanowanego Willa Nanfana. Jego niewielkie gospodarstwo przylegało do narożnika posiadłości. Drugi, młodszy, był wysokim mężczyzną o zmierzwionych włosach i chudej, pobrużdżonej twarzy, dziwnej u człowieka w młodym wieku.

Stali niezgrabnie przed Elizabeth – rozmowa z kobietą wprawiała ich w zakłopotanie, lecz nie mieli wyboru. Przeszli z nogi na nogę i nie wiedzieli, co zrobić z rękami, aż wreszcie Elizabeth się uśmiechnęła i powiedziała, by usiedli. Nieśmiało wyjaśnili, o co chodzi, zacierając ręce i pochrząkując. Kiedy skończyli, a ona miała już wszystkie potrzebne informacje, oświadczyła:

– Musicie zrozumieć, że bardzo trudno jest mi zajmować się tą sprawą. Powinniście się zwrócić do mojego męża, pana Warleggana, któremu pozostawiłam wszystkie kwestie związane z zarządzaniem posiadłością. Tak byłoby znacznie lepiej, bo mógłby wam udzielić miarodajnej odpowiedzi.

– Byliśmy w zeszłym tygodniu, ale pan Tankard powiedział, że pan Warleggan jest zbyt zajęty, by nas przyjąć.

– Cóż, mój mąż ma dużo obowiązków. Powiem mu, że byliście, ale jeśli sam zdecydował, że nie chce z wami rozmawiać, nie obiecuję, że go przekonam.

– Myśleliśmy, że pan Francis darował nam tę ziemię – rzekł Nanfan. – Może mogłaby pani powiedzieć panu Warlegganowi, że byłoby sprawiedliwie, gdybyśmy ją zachowali. Gdyby pan Francis Poldark nie powiedział, że należy do nas...

– Jesteście pewni, że to powiedział? Mogliście go źle zrozumieć...

– O nie, pani, mój ojciec był zupełnie pewien. I stary Jope Ishbel mówi to samo. Poza tym w pierwszym akcie dzierżawy pan Charles Poldark napisał, że ma zostać przedłużona.

– Według uznania jego spadkobierców, czy tak?

– Cóż, tak.

– Tak, pani – wtrącił cicho Sam Carne. – Spadkobierca dziedzica Charlesa to panicz Geoffrey Charles Poldark.

W tej chwili jest niepełnoletni...

Elizabeth spojrzała na nieznanego.

– Jesteś prawnikiem? – Doskonale wiedziała, że to prosty górnik.

– Och nie, pani. Jestem tylko grzesznikiem szukającym Bożej łaski.

– Masz rację. Mój syn ma zaledwie dziesięć lat. Ja i mąż jesteśmy jego opiekunami prawnymi. Podejmujemy decyzje w jego imieniu.

– Tak, pani. Prosimy o pani łaskawą pomoc. Pozwalając nam zachować dom modlitwy, spełni pani dobry uczynek i ocali to, co wzniesiono dla chwały Chrystusa.

Elizabeth lekko się uśmiechnęła.

– Chyba są ludzie, którzy mogliby zakwestionować ten pogląd.

– Niektórzy ludzie zawsze nas oczerniają, pani. Codziennie pokornie prosimy Boga, by im wybaczył.

– Ufam, że nie będziecie musieli prosić Boga, by nam również wybaczył – odrzekła.

– Mam nadzieję, że nie, pani, bo gdybyśmy stracili ten dom, byłby to dotkliwy cios dla naszej wspólnoty. Nie wyrządziliśmy nikomu krzywdy ani szkody. Trzydzieści pięć lat temu Jehowa natchnął swoje wiernie, skruszone sługi, by zbudowały ten dom, i członkowie naszego zgromadzenia wzniesli go własnymi rękami. Później korzystali z niego tylko po to, żeby oczyszczać swe dusze i pobożnie oddawać cześć Jezusowi.

– Czy właściwym miejscem do oddawania czci Bogu nie jest kościół?

– To prawda, pani, ale wszyscy musimy dawać Bogu świadectwo w codziennym życiu, a miejsce spotkań, gdzie ludzie, którzy odnaleźli zbawienie, mogą rozmawiać z innymi, którzy go dopiero szukają, jest również, proszę nam wybaczyć, właściwym miejscem do oddawania czci Bogu. Regularnie chodzimy do kościoła – wszyscy członkowie naszego zgromadzenia regularnie chodzą do kościoła. Wielu, bardzo wielu pojawia się tylko w kościele. Wszyscy jesteśmy pokornymi sługami Pana.

Elizabeth zamknęła książkę i miała koniec tasiemki służącej jako zakładka. Była zmęczona i chciała zakończyć rozmowę. Lubiała i szanowała Willa Nanfana, choć wiedziała, że kilka razy posprzeczał się ze służącymi George'a w sprawach dotyczących parafii. Miała jednak wątpliwości co do młodszego mężczyzny. Mówił tonem pełnym szacunku, lecz nie potrafił ukryć wrodzonej wojowniczości. Czowała, że w razie potrzeby dyskutowałby do rana i że jest tak pewny swoich racji, iż mógłby zapomnieć o różnicy ich statusu. Na tym właśnie polegał największy problem z metodystami: członkowie sekty, uważający się za nawróconych, sądzili, że stoją ponad ziemskimi podziałami klasowymi. Ich jedynym panem był Chrystus. Wszyscy ludzie byli równi wobec tronu niebiańskiej łaski. Również kobiety: Elizabeth nie różniła się niczym od Char Nanfan czy innej córki zwykłego górnika poślubionej przez tego chudego jasnowłosego mężczyznę. W teorii niewątpliwie zgadzało się to z zasadami wiary chrześcijańskiej, lecz w praktyce było nie do przyjęcia.

Elizabeth nie była jednak złośliwa i rozumiała zasadność prośby metodystów.

– Jak wam wspominałam, takie decyzje podejmuje mój mąż – rzekła. – Porozmawiam z nim po jego powrocie w przyszłym tygodniu i przedstawię waszą prośbę. Wytłumaczę mu, że uważacie obietnicę złożoną przez mego zmarłego męża, pana Francisa Poldarka, za wiążącą, i poproszę, by rozważył swoją decyzję, uwzględniając ten punkt widzenia. Nie mogę zrobić nic więcej, ale zajmę się tym natychmiast po powrocie pana Warleggana do domu.

– Dziękujemy pani – powiedział Will Nanfan.

– Dziękujemy pani – powtórzył Sam Carne. – Niechaj czuwa nad panią Jezus Chrystus, nasz Zbawiciel.

Odzywa się do mnie jak duchowny do parafianki, pomyślała Elizabeth.

Drake czekał w kuchni pod bacznym, nieprzyjaznym spojrzeniem Harry'ego Harry'ego, starszego z braci.

Kuchnia była przestronnym pomieszczeniem położonym nieco niżej niż reszta dworu: schodziło się do niej po

trzech schodkach. Podłogę pokrywała nierówna posadzka z kamiennych płyt, a na grubych belkach na suficie wisiały na hakach apetyczne wędzone szynki, na których widok Drake'owi ciekła ślinka. W dużej kuchni panował półmrok, było w niej tylko jedno wysoko usytuowane okno, ale nad drzwiami prowadzącymi na dziedziniec znajdował się świetlik, przez który wpadało trochę światła. Prawie całą ścianę zajmował kominek, a nad paleniskiem wisiał na żelaznym haku ogromny poczerniały kocioł. W kącie koło drzwi znajdowała się ręczna pompa; stało pod nią drewniane wiadro.

W końcu Harry doszedł do wniosku, że można pozostawić młodego człowieka bez nadzoru, i wyszedł. Drake zbliżył się do drzwi i patrzył, jak na dziedzińcu jeden ze służących napełnia kubek miałem węglowym. Za plecami Drake'a rozległ się młodzieńczy głos:

– To ty, Drake?! To naprawdę ty?! Co tu robisz?

Geoffrey Charles szeroko się uśmiechał, jego twarz lśniła czystością, jakby przed chwilą ją umył.

– Panicz Geoffrey... – Drake przyłożył palec do ust i rzekł cicho: – Jestem tu z bratem i Willem Nanfanem. Mam prośbę do pańskiej dobrej matki, pani Warleggan.

Geoffrey Charles się roześmiał, jednak ściszył głos.

– Czy to jakiś sekret? Nie powinienes tu być?

– Nie, skądże. Ale nasze pozostałe spotkania są sekretem. Lepiej udawać, że się nie znamy, bo inaczej mogliby panu zabronić spotykania się ze mną.

– Spotykam się, z kim chcę – odparł Geoffrey Charles, lecz dalej mówił półgłosem. – Nie widzieliśmy cię od dnia, gdy oglądaliśmy jaskinie. Pogoda była tak zła, że prawie nie jeździliśmy konno. A poza tym większość dni pracujesz.

– To prawda. Jak się miewa panna Morwenna?

– Znakomicie. W tej chwili pierze, więc mnie wyrzucili. Posłuchaj: moja matka i wujek George spędzą jesień w Truro. Kiedy wyjadą, będzie nam łatwiej się spotykać. Mogę ci wysłać wiadomość? Przepraszam, potrafisz czytać?

– Jakoś sobie radzę – odparł Drake. – Ale może rodzice nie chcą, żeby panicz się ze mną spotykał?

– Jeśli się nie dowiedzą, nie mogą mi zabronić, prawda? – Geoffrey Charles wziął Drake'a za rękę. – Chodź, pokażę ci dwór. O tej porze nikogo nie spotkamy.

– Nie, dziękuję. Nie trzeba. Może innym razem.

– Obiecałeś, że kiedyś pójdziemy łapać kijanki, Drake. Pamiętasz? Wspomniałeś o tym, gdy wracaliśmy plażą. Kiedy moglibyśmy pójść?

– To niewłaściwa pora roku. Panicz powinien o tym wiedzieć.

Geoffrey Charles stanął na prawej nodze, potem na lewej.

– Tak, chyba tak. Na tym właśnie polega kłopot: przed laty, gdy żył papa, w dużym stawie po drugiej stronie dworu mieszkały piękne ropuchy. Ciotka Agatha mówi, że nie były to zwykłe ropuchy. Podobno mój pradziadek sprowadził je specjalnie z Hampshire, dawno, dawno temu, i potem zawsze tam były. Miały żółte paski na grzbiecie, nie skakały, tylko biegały! Wieczorami strasznie głośno kumkały. Kum-kum-kum! Właśnie tak. Ciotka Agatha jest bardzo niezadowolona, że zniknęły. Wiosną w stawie były kijanki, ryby i chrząszcze, a krowy wchodziły do wody. Ale po ślubie mamy z wujem George'em wszystko oczyszczono, kijanki zdechły, krowy nie mogą już wchodzić do stawu. Mówią, że teraz to staw krajobrazowy. Obsadzili go kwiatami, na końcu rosną lilie wodne i wysypali dno kamieniami, żeby przykryć szlam.

– Co by pan zrobił, paniczu, gdyby miał pan trochę kijanek? Gdzie by panicz je trzymał?

– Och, w słojach w stajni. Jest tam mnóstwo pustych słoików. A potem, gdy wyrosłyby z nich ropuchy – Geoffrey zachichotał – może wpuściłbym je do stawu, by słyszeć ich kumkanie!

– Proszę posłuchać, paniczu – rzekł cicho Drake. – Moim zdaniem lepiej, żeby nikt nie widział, jak ze sobą rozmawiamy. Niech panicz nikomu nie mówi, żeśmy się spotykali. Może za jakiś tydzień uda mi się zwolnić z

pracy. Dam paniczowi znać, a jeśli panna Morwenna pozwoli, pójdziemy razem nad stawy za Marasanvose i pokażę paniczowi, gdzie żyją żaby i ropuchy.

– Drake, przyjdiesz do dworu, kiedy matka i wuj wyjadą, jeśli cię o to poproszę?

– Chyba nie powinienem tego robić. Kto będzie tu mieszkał?

– Wenna, oczywiście. Poza tym babka i dziadek. A także ciotka Agatha, która jest moją daleką krewną i ma prawie sto lat. Nikt więcej. Przyjdiesz?

– Zastanowię się, chłopcze. Dobry z ciebie przyjaciel, ale nie wolno narażać nikogo na niebezpieczeństwo. Teraz już idź, bo możemy mieć kłopoty.

Kiedy George wrócił do domu, Valentine w dalszym ciągu był nieswój i wydawało się, że trzeba będzie odłożyć wyjazd o kilka dni. Elizabeth przypomniała sobie o prośbie metodystów dopiero w środę, gdy po deszczowym miesiącu pogoda wreszcie się poprawiła i mogli pójść na spacer do ogrodu w ciepłych promieniach słońca. George rzadko chodził na spacer. Dla podtrzymania kondycji najczęściej jeździł konno, zwykle w towarzystwie Gartha, Tankarda lub Blencowe'a. Prawie nie interesował się ogrodem, choć czasem zaskakiwał Elizabeth uwagami, które świadczyły, że zauważa więcej, niż podejrzewała. Najbardziej fascynowało go planowanie ogólnego wyglądu posiadłości. Chciał poszerzyć podjazd i zbudować nową kamienną bramę ze skrzydłami z kutego żelaza. Zamierzał również zburzyć dwa stare, typowo kornwalijskie murki z kamienia, by poprawić widok z tylnych okien dworu. Ogólnie rzecz biorąc, miał dobry gust, choć był zbyt dużym formalistą: nie podobały mu się romantyczne ogrody, malownicze kępy roślin, wiejskie płoty porośnięte pnączami. Wolał kwiaty, nad których wzrostem można zapanować, i kazał je sadzić w rzędach lub w kwadratach.

Elizabeth opowiedziała mu o delegacji metodystów. Wysłuchał w milczeniu jej relacji i ze świstem uderzył laską w kilka rosnących wysoko liści.

– Wyjątkowa bezczelność! – oznajmił, gdy skończyła. – Nie lubię, gdy ktoś zakrada się do dworu za moimi plecami.

– Chyba próbowali się z tobą zobaczyć, ale Tankard ich odprawił. Zapewne pomyśleli, że mam bardziej miękkie serce.

– A masz?

– Cóż, chyba tak, choć raczej nie ufam metodystom. Są w pewnym sensie wywrotowcami. Ale nie piętnujmy ich, zabierając im ziemię. Skoro Francis ją obiecał...

– Mamy tylko ich słowo.

– Nie podejrzewam Willa Nanfana o kłamstwo. Tego drugiego też. Osobliwa mania tych ludzi zmusza ich do surowego przestrzegania zasad moralnych, trzeba im to przyznać.

Dotarli do skraju ogrodu zielnego.

– Tak, to wywrotowcy, sama użyłaś tego słowa. Takie grupy mają wywrotowy charakter, nawet jeśli działają pod płaszczykiem religii. To źródło radykalizmu, a nawet jakobinizmu, który, doskonale to wiemy, dąży do zniszczenia państwa i zastąpienia go krwawymi tyranami jak we Francji. W głębi duszy te grupy mają taki sam cel niezależnie od tego, jak się nazywają: Towarzystwo Weslejan, Towarzystwo Korespondencyjne, zwolennicy Focha. A jeśli zamierzają rozpętać rewolucję, są zdrajcami i powinni być tak traktowani. Uważam, że gdybyśmy pozwolili im zatrzymać tę ziemię, sprzeniewierzylibyśmy się swoim obowiązkom.

– Moim zdaniem po odejściu Verity ta część ogrodu już nigdy nie była taka sama. Siostra Francisa spędzała tu wiele godzin: troskliwie pielęgnowała rośliny – zawsze były dobrze utrzymane i pachnące. I przydawały się w gospodarstwie. Teraz kucharze zrywają zioła, zdeptując inne rośliny, a wszystko zarosło chwastami.

– To następna rzecz, którą należy się zająć.

– Skoro tak, chciałabym nadzorować te prace, bo inaczej możemy stracić wiele cennych sadzonek.

Zawrócili i ruszyli z powrotem do dworu. George zgarbił plecy w charakterystyczny sposób, który zawsze przywołał na myśl sylwetkę byka.

– Kim był ten drugi, który przyszedł z Nanfanem? Znasz go?

– Nieznajomy, młody, barczysty, mówił jak górnik. Miał jasne włosy i pobrużdżoną twarz.

– To na pewno jeden z braci Demelzy Poldark.

Elizabeth zeszywniała. George z chłodnym zaciekawieniem zauważył jej mimowolny ruch.

– Nie wiedziałam, że ma braci.

– Nie pamiętasz? W czasie chrzcina córki, która później umarła, niespodziewanie pojawił się ojciec Demelzy z kilkoma synami i zepsuł przyjęcie zorganizowane przez dumną matkę.

– Tak, teraz sobie przypominam. Prawie zapomniałam.

– Ojciec Demelzy pokłócił się z Johnem Treneglosem. Uznał, że Ruth Treneglos za bardzo obnażyła biust!

Elizabeth zmarszczyła brwi.

– Skąd wiesz, że w okolicy są teraz jej bracia?

– Od Tankarda. Dwóch przybyło z Illuggan. Pod skrzydłami szwagra mają na pewno łatwiejsze życie.

– Ten mężczyzna... w ogóle nie przypominał siostry.

– Może tylko bezczelnością.

Minęli staw. Chociaż przepływał przez niego niewielki strumyk, woda była nieprzejrzysta, ponieważ prąd mącił szlam pokrywający dno. Mimo to w piękny jesienny dzień staw obojgu wydał się ładny. Woda skrzyła się i migotała, a na brzegach, gdzie wcześniej grzęzło się w błocie, można było wygodnie spacerować po wielkich płytach łupku sprowadzonych ze wsi Delabole.

– Słyszałem również, że dwaj bracia Carne to jedni z przywódców ruchu metodystycznego, który zdobywa wielu zwolenników w okolicy. Przed ich przybyciem sekta prawie nie działała, lecz teraz znów się uaktywniła. Ci wszyscy Carne'owie są tacy sami. Chociaż, szczerze mówiąc, nie sądzę, by Demelza miała jakikolwiek zapał religijny. Prawdopodobnie zaraziła się ateizmem od Rossa.

Bardzo rzadko wypowiadali to imię. Elizabeth nie przechodziło ono przez gardło, a George w dalszym ciągu obawiał się reakcji żony. Bał się, że Elizabeth, która w większości przypadków odznaczała się silnym, ugruntowanym poczuciem lojalności, prędzej czy później zacznie bronić Rossa. Po ślubie nigdy tego nie zrobiła. Ani razu. Zaskakiwało go to, ponieważ w czasie całej długiej znajomości z Elizabeth przed zawarciem małżeństwa, zwłaszcza gdy próbował zjednać ją sobie po kłótni z Francisem, musiał bardzo ostrożnie wyrażać się o Poldarku. Nie mógł okazać goryczy, niechęci. Jednak w chwili małżeństwa Elizabeth jakby zmieniła front. Musiał przyjąć, że po ślubie jej lojalność, przyjaźń i zaufanie skupiły się na nim. Przestrzegała zasady: „Lud twój, lud mój; a Bóg twój, Bóg mój”³. Ale nawet teraz, piętnaście miesięcy po ślubie, w dalszym ciągu czuł obawę, że nieostrożne słowo wywoła podobną reakcję jak dwa lata wcześniej.

Tym razem tak się nie stało. Powiedziała tylko:

– Tak, pamiętam tę rodzinę. A ich matka nie przybyła?

Rozdział jedenasty

W połowie września Demelza zrezygnowała z ukrywania ciąży przed oczami świata i pogodziła się z dwoma miesiącami niewygód i brzydoty. Rossowi, ku jej zdziwieniu, nigdy to nie przeszkadzało, ale jej tak. Cieszyła się, że zostanie matką, i nie mogła się doczekać widoku narodzonego dziecka, ale nie lubiła wyglądać jak matrona i nie znosiła bezczynności.

Niechęć między Rossem a Tomem Choake'em ostatnio zmalala i znów zaczęli ze sobą rozmawiać. Nie była to sielanka, lecz odnosili się do siebie uprzejmie, toteż Choake'a poproszono, by przyjął poród, gdyż było oczywiste, że ma większe umiejętności od szarlatanów, którzy oferowali swoje usługi w okolicznych wioskach. Na prośbę Demelzy jako położną zaangażowano żonę Zacky'ego Martina, która miała pomagać Choake'owi – Demelza bardziej jej ufała.

Na początku października Drake przekazał jej nowiny o domu modlitwy, a ona powtórzyła je Rossowi. Był wieczór, Jeremy leżał w łóżeczku, a Ross i Demelza siedzieli przy kominku, w którym napalono drewnem czereśniowym. Ogień rozpalony przed godziną początkowo płonął jasnym płomieniem, lecz teraz przygasał i wydzielał przyjemny aromat.

– Problem z George'em polega na tym, że nigdy nie potrafi mnie zaskoczyć – powiedział Ross. – W końcu zawsze spełnia moje najgorsze oczekiwania. Skoro stara się zdobyć sympatię w okręgu, nie przypuszczałem, że zacznie podejmować niepopularne decyzje.

– Straci popularność wśród jednych, a wśród innych zyska.

– Tak, chyba masz rację. Im bardziej kreuje się na obrońcę Kościoła, zwolennika ortodoksji, wroga sekt, tym bardziej podoba się większości naszych przyjaciół i sąsiadów.

– I oczywiście wraca na zimę do Truro.

– Tak. Jeśli z jakichś szczególnych powodów chciał wyrzucić metodystów ze swojego majątku, należało to zrobić właśnie teraz. Na wiosnę sprawa będzie już częściowo zapomniana.

Demelza przewróciła na drugą stronę spodenki Jeremy'ego, by obejrzeć zacerowane miejsce. Były bardzo małe, lecz już niedługo będzie mieć do czynienia z jeszcze mniejszymi rzeczami. Zerknęła na Rossa, który wyjął z kominka tłącą się gałązkę i zapalił fajkę z długim ustnikiem. Później rozejrzała się po salonie, z satysfakcją oglądając nowe meble i ozdoby kupione w ciągu ostatniego roku. Zegar, bogate kremowe kotary z jedwabiu, stół na kwadratowym postumencie, tureckie dywany, sekretarzyk i fotel kupione po wizycie u Daniellów.

Potrzebowali jeszcze wielu rzeczy, lecz w tej chwili najpilniejszy wydatek wiązał się z przebudową i dekoracją biblioteki. Ross, mający w pamięci wnętrza wspaniałych rezydencji takich jak Trelissick, miał nadzieję zbudować coś znacznie ładniejszego niż pomieszczenie wzniesione przez ojca, a jednocześnie pasującego do reszty dworu. Pożyczył kilka książek i spędzili długie wieczory na ich studiowaniu i dyskusjach. Poprosił rysownika z Truro, mężczyznę o nazwisku Boase, by przygotował plan i szkic nowego skrzydła wraz ze wskazówkami dotyczącymi techniki budowy i sposobów wykończenia.

– Chyba będą musieli się gdzieś spotykać – powiedziała Demelza.

– Kto?

– Metodyści.

– Mogą korzystać z chaty w Reath.

– Jest bardzo mała. Zmieści się w niej najwyżej piętnastu ludzi. Chyba mają nadzieję coś zbudować w innym miejscu.

– W tej chwili powinni myśleć przede wszystkim o przeżyciu zimy. – Ross poruszył polano stopą, lecz w

dalszym ciągu nie chciało się palić. – Połowy sardynek od trzech lat są kiepskie. Najstarsi ludzie nie pamiętają takiego nieurodzaju. W Anglii większość zboża zgniła na polach, a nie możemy teraz liczyć na dostawy z Europy, więc prawdopodobnie czeka nas głód. Ceny też będą takie jak w czasie głodu.

– Sam i Drake zapytali... zapytali mnie, czy mogliby dostać kawałek naszego gruntu, by zbudować dom modlitwy.

Ross wybałuszył oczy.

– O nie... Demelzo, to już przesada! Dlaczego zwracają się do mnie?! Nie interesuje mnie ich sekta!

– Mnie też. Prawdopodobnie poprosili mnie dlatego, że jestem ich siostrą, a ty...

– Niech diabli porwą twoich braci!

– Tak, Ross. – Kołysała się powoli do przodu i do tyłu w fotelu. – Niestety, to nie tylko moi bracia, ale też wielu twoich starych przyjaciół. Will i Char Nanfanowie. Paul i Beth Danielowie. Zacky Martin...

– Nie Zacky. Nie jest taki głupi.

– Ale jego żona jest metodystką. Jud Paynter...

– Dużo zawdzięczamy temu plugawemu staremu łajdakowi.

– Poza tym Fred Pendarves, Jope Ishbel i bardzo wielu innych. Na swój sposób uważają cię za przyjaciela.

– I myślą, że w głębi duszy lubię metodystów bardziej niż George! Ta przeklęta sekta ciągle sprawia kłopoty. Nigdy nie wiadomo, co za chwilę wymyślą!

– Ach, wreszcie znalazłam sposób, by cię pogodzić z George'em. Kiedy znowu się z nim spotkasz i zaczniecie na siebie warczyć jak dwa buldogi, gotowe skoczyć sobie do gardeł, wspomnę o metodystach i okaże się, że wasze poglądy na ich temat niczym się nie różnią! Tak oto nasza dzisiejsza rozmowa będzie przynajmniej miała jakiś pozytywny skutek!

Ross popatrzył na Demelzę i oboje się roześmieli.

– Wszystko dobrze – rzekł, marszcząc brwi. – Wszystko dobrze, ale twoja prośba jest niezbyt zręczna.

– Ja o to nie proszę. Oni to zrobili, Ross. Szczerze mówiąc, nie miałam pojęcia, co powiedzieć i jak to przyjmiesz.

Rossowi zgasła fajka, więc ponownie ją zapalił. Była to czasochłonna czynność i milczeli, dopóki nie skończył.

– Sądzę, że tak naprawdę nie mam nic przeciwko metodystom – rzekł. – Wiem, że od czasu do czasu powinienem przemyśleć swoje uprzedzenia, by stwierdzić, czy nie powinienem się ich wyzbyć. Po prostu nie ufam ludziom, którzy nieustannie mówią o Bogu albo Chrystusie. Jeśli to nie bluźnierstwo, to przynajmniej pycha. Pachnie to zadufaniem, prawda?

– Może gdybyś...

– Och, przyznaję, metodyści zawsze mówią, że są pokorni, ale w ich poglądach nie widać pokory. Może zdają sobie sprawę z własnych grzechów, lecz zawsze bardziej interesują się cudzymi. We własnym mniemaniu odnaleźli zbawienie; sądzą, że jeśli inni nie podążą ich śladem, czeka ich potępienie. Pamiętam pyszną rozmowę Francisa z twoim ojcem na ten temat na chrzcinach Julii, choć dokładnie nie przypominam sobie słów.

Demelza odłożyła parę małych spodenek i wzięła skarpetkę.

– Jakie są właściwie twoje poglądy na religię, Ross? Masz jakieś? Jestem ciekawa.

– Prawie żadnych, kochanie. – Wbił wzrok w dogasający ogień. – Odziedziczyłem po ojcu sceptycyzm wobec wszelkich form religii. Uważał, że to głupie bajki, ale ja nie posuwam się tak daleko. Nie potrzebuję religii w takiej formie, w jakiej jest praktykowana, ani astrologii, wiary w magię czy pomyślnie albo niepomyślnie wróżby. Moim zdaniem wynikają one z niedostatków ludzkiego umysłu, może niezgody na samotność. Niekiedy jednak czuję, że poza światem materialnym istnieje coś jeszcze, czego się domyślamy, lecz nie potrafimy wytłumaczyć. Wizje religijne w jakiś sposób odzwierciedlają brutalną rzeczywistość naszego życia: wiemy, że musimy żyć i umrzeć, bo jesteśmy tylko zwierzętami. Ale czasem podejrzewam, że pod tą brutalną rzeczywistością kryje się głębsza prawda, bliższa prawdziwej rzeczywistości niż ta, którą znamy.

– Hm... – mruknęła Demelza, kołysząc się lekko. – Nie jestem pewna, czy wiem, co masz na myśli, ale chyba coś z tego rozumiem.

– Byłbym wdzięczny, gdybyś mi to wytłumaczyła, kiedy wreszcie zrozumiesz całkowicie – odparł Ross.

Roześmiała się.

– Moje poglądy polityczne są równie klarowne – ciągnął. – Wojna ujawnia wszystkie ich sprzeczności. Zawsze byłem zwolennikiem reform, do tego stopnia, że uważano mnie za zdrajcę własnej sfery. Widziałem wiele dobrego w rewolucji we Francji, ale obecnie chcę z nią walczyć i zniszczyć jak każdy Anglik. – Wydmuchał cienką smużkę dymu. – Może jestem z natury przekorny, zawsze staram się zrozumieć poglądy przeciwnej strony. Nie byłem zwolennikiem wojny z Amerykanami, a mimo to pojechałem z nimi walczyć!

Zapadło milczenie.

– Ale, niech to diabli, nie potrzebuję metodystów w Namparze! Do czego są mi potrzebni? To wina twoich przeklętych braci. Dopóki się nie pojawili, wszyscy żyli w spokoju i nie było żadnych problemów!

– To chyba prawda, Ross. Bardzo mi przykro. Samuel prosił, bym cię spytała, czy mogą zbudować dom modlitwy na wzgórzu obok Wheal Maiden, czyli na granicy naszego majątku, co pozwoliłoby im wykorzystać kamienie ze starej maszynowni. Wiele leży na ziemi; mówią, że je zbiorą i utwardzą drogę, by w czasie deszczów nie było tam błota.

Ross nie odpowiedział.

– Nie myśl, że usiłuję cię przekonać – ciągnęła Demelza. – Obiecałam powtórzyć ci, o co proszą, i już to zrobiłam. Mnie samej jest wszystko jedno. – Spojrzała na swój brzuch. – A może powinnam powiedzieć, że nam obojgu jest wszystko jedno?

– Jak się miewa nasze dziecko? Rzadko pytam, bo wiem, że tego nie lubisz.

– Doskonale, choć jest coraz większe. Byłabym szczęśliwsza, gdybyśmy wyjaśnili jeszcze jedną sprawę.

– Jaka?

– Czy w przyszłym tygodniu pojedziesz na wesele kuzyna i Joan Pascoe.

Popatrzył na żonę.

– Przecież się tam nie wybierasz, mówiłaś, że nie możesz. Co to za różnica, czy pojedę?

– Jeśli nie pojedziesz, wybierzesz się gdzieś indziej.

– Nic nie rozumiem – odparł. – Kto ci o tym powiedział?

– Och, Ross, mam w Namparze swoich szpiegów.

Poruszył się w fotelu.

– Decyzję podjęto dopiero wczoraj. Zamierzałem ci powiedzieć, ale okazałem się zbyt wielkim tchórzem.

– Więc kiedy płyniesz?

– W niedzielę, jeśli pogoda się utrzyma. To może być ich ostatni rejs tej zimy. Trencrom jest ostrożniejszy niż kilka lat temu: obawia się o kuter. Boże, pamiętam, jak było zimno na wyspach Scilly, gdy czekałem na spotkanie z Markiem Danielem!

– Wolalabym, żebyś znowu popłynął tylko na wyspy Scilly.

– Roscoff jest dość bezpieczne. Mogę tam spędzić tydzień i wrócić kutrem z Mevagissey albo Looe.

Powiedział Demelzie o Jacques'u Clissonie.

– Kiedy wyjedziesz, nie będę miała ani jednej spokojnej chwili, wiesz o tym. On albo ona także.

– Wiem. Nie zostanę tam ani godziny dłużej, niż potrzeba. Ale musisz być przygotowana, że wrócę dopiero za dziesięć dni.

Demelza odłożyła skarpetkę i zawinęła przybory do szycia w kawałek płótna.

– Chyba pójdę spać, Ross. Nasze dziecko zawsze budzi się skoro świt.

Niedziela była pogodna i prawie bezwietrzna. Ross wyszedł z domu tuż po dwunastej. Wziął trochę prowiantu, butelkę brandy, gruby płaszcz, krótki nóż w skórzanej pochwie i dwieście gwinei w dwóch skórzanych trzosach

przymocowanych do pasa. Zjadł obiad z Trencromem i przed zmrokiem dołączył do Willa Nanfana na pokładzie One and All. Znał Farrella, dowódcę, i wszystkich członków załogi.

Październik, miesiąc gwałtownych sztormów, nie jest najlepszą porą do żeglugi u północnych wybrzeży Kornwalii, lecz noc okazała się pogodna i bez przeszkód dopłynęli do Land's End, po czym podążyli wzdłuż południowego krańca przylądka do Newlyn. Wiatr był niespokojny i kapryśny, lecz nie ucichł całkowicie, i przed zmrokiem następnego dnia dotarli do Roscoff, napotkawszy tylko jeden kecz i grupę francuskich łodzi rybackich.

Ross spotkał się z Jacques'em Clissonem i Willem Nanfanem w tawernie Le Coq Rouge na stromej, wybrukowanej kocimi łbami uliczce prowadzącej do kościoła. Natychmiast się domyślił, że Clisson to donosiciel, choć nie potrafiłby powiedzieć, dlaczego tak uważa. Bretończyk był tęgim, jasnowłosym, niskim mężczyzną w wieku około czterdziestu lat. Nosił granatowy marynarski sweter i okrągłą czarną czapkę, miał długie bokobrody, zdrowe zęby, czarujący uśmiech i błękitne, szczerze oczy. Człowiek, któremu nie należy ufać. Jednak po dwudziestu minutach zrewidował swoją początkową ocenę. Niewykluczone, że można by mu bezpiecznie zlecić konkretną misję, pod warunkiem że otrzyma dobrą zapłatę i nikt nie zaproponuje mu wyższej ceny za zdradę. Tacy ludzie istnieją we wszystkich krajach i dobrze im się powodzi w czasie wojen – szczególnie często można ich spotkać w portach krajów neutralnych, gdzie przedstawiciele walczących stron spotykają się na stopie pokojowej. Mają swoją wartość i cenę, a także własny kodeks honorowy.

– Więzienie w Quimper mieści się w dawnym klasztorze żeńskim, monsieur – rzekł Clisson. – Naturalnie, rozumie pan, we Francji nie ma teraz czynnych klasztorów żeńskich... Chociaż większość więźniów to Anglicy, są tam także Portugalczycy, Hiszpanie, Holendrzy i Niemcy. Więźniów jest bardzo wielu, a jedzenia bardzo mało. Duża część to chorzy i ranni. – Clisson wzruszył ramionami. – Myślę, że w różnych więzieniach panują różne warunki. Komendant więzienia w Quimper to dawny rzeźnik z Puteaux, gorący zwolennik rewolucji... podobnie jak my wszyscy, monsieur, muszę dodać! – Obejrzał się za siebie. Wszyscy popieramy rewolucję, ale w różny sposób... Strażnicy pochodzą głównie z ubogich dzielnic Rouen i Brestu. Sytuacja nie jest dobra.

– Możesz dla mnie zdobyć nazwiska więźniów?

– To trudne. Łatwo ustalić listę jeńców obozu, gdzie przebywa czterdziestu ludzi. Ale więzienie, w którym jest cztery tysiące...

– Muszą być jakoś podzieleni, na przykład cywile są gdzie indziej niż wojskowi, a oficerowie gdzie indziej niż szeregowi. Pieniądze potrafią otworzyć ludziom usta.

– Jest jeszcze madame La Guillotine.

– Znasz jakichś strażników?

– Nie znam, po prostu rozmawiamy. Pogawędki przy kieliszku. Czasem wymieniają nazwiska więźniów.

– Jakie nazwiska?

– Och... Nie słyszałem o nikim z Travaila. Nigdy nie słyszałem o Travailu... Wśród więźniów jest kapitan Bligh z okrętu Alexander, kapitan – chyba Kiltie – z okrętu Espion, kapitan Robinson z okrętu Thames. I osoba cywilna, lady Ann Fitzroy, wzięta do niewoli, gdy płynęła statkiem do Lizbony. Mówi się o nich i o innych.

– Znasz jakiegoś strażnika lepiej od pozostałych?

Bretończyk uniósł beret i podrapał się zagiętym palcem wskazującym po jasnej czuprynie.

– Jest jeden, z którym mógłbym pogadać. Nie strażnik, tylko kancelista pracujący w więzieniu.

– Mógłby zdobyć potrzebne nam informacje?

– Być może. Ostatnim razem zagadnąłem go o ocalałych członków załogi fregaty Travail, która zatonała w kwietniu w zatoce Audierne. Był ostrożny, mówił niechętnie. Ale przyznał, że jego zdaniem w więzieniu są rozbitkowie z tego okrętu.

Ross wypił łyk koniaku.

– Myślisz, że dostarczy nam nazwiska za pięćdziesiąt gwinei?

– Dla kogo?

– Dla niego. Drugie pięćdziesiąt dla ciebie.

– Już mi tyle obiecano.

Ross zerknął na Willa Nanfana, który z roztargnieniem pocierał kciukiem krawędź kieliszka. Will nie podniósł wzroku. Ross zastanawiał się, czy nie powinien w tej chwili przerwać spotkania i zasugerować, by umówili się później.

Wyczuwał we Francuzie pewien opór, jakby był nieco urażony, że Ross zbyt mocno naciska. Jednak instynkt podpowiadał Rossowi, że nie należy dłużej zwlekać.

– A zatem sto dla ciebie i pięćdziesiąt dla niego.

Clisson uśmiechnął się uprzejmie.

– W tej chwili potrzebuję stu. Pięćdziesięciu dla mnie jako zaliczki i pięćdziesięciu dla niego, jeśli jest w stanie zdobyć informacje, na których wam zależy.

Ross skinął na szynkarza, by ponownie napełnił kieliszki.

– Zgadzam się. Ale zaczekam w Roscoff, dopóki nie zdobędziesz informacji.

– Ach, monsieur, nie mogę obiecać, że to nastąpi szybko. Mój przyjaciel nie jest cudotwórcą.

– Zaczekam.

Clisson popatrzył na Rossa.

– Przebywanie w Roscoff może być niebezpieczne. Jak pan rozumie, to, co się dzieje w tym porcie, jest tolerowane – władze przemykają na to oko – ale Komitet Bezpieczeństwa Powszechnego nie śpi. Pan, monsieur, jeśli wolno mi tak powiedzieć, nie wygląda jak rybak, a nawet przemytnik. Byłoby to ryzykowne.

– Tydzień?

– Ma pan tu jakieś interesy?

– Coś wymyślę.

Pojawił się szynkarz, dolał koniaku do trzech kieliszków i odszedł.

– Ta sprawa dla mnie także jest ryzykowna. Niedobrze, że ludzie widzą, jak rozmawiam z obcym Anglikiem, a potem tak szybko znów się z nim spotykam. Niech pan wraca do domu, monsieur, a ja na pewno znajdę jakiś sposób skomunikowania się z panem.

– Zaczekam tydzień. Dodatkowe dwadzieścia pięć gwinei, jeśli zdobędziesz dla mnie nazwiska.

Clisson uniósł kieliszek i znad krawędzi spojrzął na Rossa. W oczach Bretończyka malowała się absolutna szczerść i uczciwość.

– Pańskie zdrowie, monsieur. Oby nic pana nie spotkało.

Trencrom podał Rossowi nazwisko szkockiego kupca, Douglasa Craiga, właściciela sklepu w porcie, gdzie mógł codziennie spędzać godzinę, udając, że zajmuje się interesami. W środę, po odpłynięciu One and All, Ross zatrzymał się w gospodzie o nazwie Fleur de Lys i opuszczał ją w ciągu dnia tylko rankiem, by odwiedzić Craiga.

Roscoff przypominało kornwalijską wioskę Mousehole albo Mevagissey. Port o podobnym kształcie otaczały wzgórza, na których stały prawie identyczne granitowe domki z dachami krytymi łupkiem. Plusk fal, szum wiatru i wieczne piski mew również były podobne. Ale mieszkańcy wydawali się zamożniejsi.

Bretończycy, zarówno kobiety, jak i mężczyźni, nosili lepsze, bardziej kolorowe ubrania: szkarłatne, fioletowe lub jaskrawozielone kamizelki, surduty, suknie i chusty. Tłumy wypełniały ulice, zwłaszcza rankiem, gdy załatwiano większość interesów: ludzie sprzecali się i głośno targowali. Wieczorami po zapadnięciu zmroku w miasteczku jeszcze przez godzinę słychać było gwar głosów. Kiedy Ross wychodził na ulicę, miał wrażenie, że znajduje się w ciemnym ogrodzie pełnym pszczół.

W czasie pobytu Rossa w Roscoff dwa razy w tygodniu do portu zawijały angielskie statki, hałasy i krzątanina trwały wtedy aż do samego świtu. W miasteczku działały dwa oficjalne burdele, nie licząc nielegalnych spelunek, i nie narzekały na brak klientów. Wszyscy rozumieli język angielski i Ross miał niewiele okazji, by szlifować swoją francuszczyznę.

Douglas Craig miał czterdzieści lat i mówił, że przed dwunastu laty przeprowadził się do Roscoff z Guernsey. Wojna nie wpłynęła na jego życie, choć podobnie jak wszyscy inni cudzoziemcy raz na miesiąc musiał się meldować na miejscowym posterunku żandarmerii. Pewnego dnia oznajmił Rossowi:

– Muszę panu powiedzieć, kapitanie Poldark, że na początku, gdy dotarły do nas nowiny o krwawych zajściach w Paryżu, miałem wielką ochotę rzucić wszystko i wyjechać. Co noc czekałem, aż pod moimi drzwiami rozlegnie się tupot ciężkich butów, ale handel szedł tak dobrze, że zostałem, przeklinając własną odwagę. Niektórzy wyjechali, lecz po kilku miesiącach wrócili, spacerowali się po mieście, porozmawiali z przyjaciółmi i znowu osiedlili się w Roscoff. Żyjemy z dnia na dzień, można powiedzieć. Modłę się, by wojna jutro się skończyła, chociaż nikt nas nie niepokoi, a interesy nigdy nie szły równie dobrze. Jak zawsze w życiu trzeba wziąć pod uwagę zarówno ryzyko, jak i zyski. W tej chwili, odpukać, zyski są tak duże, że ryzyko wydaje się usprawiedliwione. Ale radzę, by postępował pan ostrożnie. Proszę zwracać na siebie jak najmniejszą uwagę.

Wszystko szło dobrze aż do soboty. Rankiem tego dnia, gdy Ross zamierzał wyjść z gospody, by spotkać się z Craigiem, nagle podeszło do niego trzech mężczyzn, w tym dwóch żandarmów uzbrojonych w muszkiety. Trzeci, w wieku około pięćdziesięciu lat, był niski i tęgi, a jego dziobatą twarz pokrywały ciemne plamy – albo brud, albo jakieś zmiany skórne. Nie miał na sobie munduru, lecz jego strój nie wydawał się normalnym cywilnym ubraniem. Nosił znajomy trójrożny kapelusz z rewolucyjną rozetą na podwiniętym rondzie, wysoki, sięgający pod brodę halsztuk poplamiony jedzeniem i tłuszczem, prążkowaną kamizelkę z wielkimi wyłogami, zielony surdut i obcisłe spodnie o brudnoszarej barwie.

Mężczyzna przemówił do Rossa, który zrozumiał pierwsze pytanie, wypowiedziane szczekliwym tonem, ale mądrze udał, że nie zna francuskiego. Po chwili padła seria pytań w gardłowej angielszczyźnie, którą Ross ledwo rozumiał.

Nazwisko, adres, wiek, zawód, cel pobytu?

Ross Poldark z Nampary w Kornwalii. Trzydzieści pięć lat. Importer win i trunków, przedstawiciel i wspólnik Huberta Trencroma z St Ann's.

Data przybycia, nazwa statku, którym przyplłynął, z kim prowadzi interesy, planowana data opuszczenia miasta, przyczyna przedłużenia pobytu?

Dwudziesty drugi Vendémiaire, kuter One and All należący do wspomnianego Huberta Trencroma, planowany wyjazd trzydziestego, zależy to od powrotu statku. Cel przedłużenia pobytu w Roscoff: wyjaśnienie różnych zaległych spraw z panem Craigiem, rozliczenie rachunków, omówienie kwestii nowej prowizji od trunków i dostaw baryłek z Guernsey, a także przedyskutowanie możliwości rozszerzenia współpracy handlowej.

Dokumenty mogące to potwierdzić? Ross sięgnął do torby i wyjął plik papierów otrzymanych od Trencroma i te, które dał mu Craig. Plik był gruby, a dziobaty agent policji wyciągnął lorgnon i zaczął je oglądać. Lorgnon, wykonane ze złota i wysadzone brylantami, niewątpliwie należało wcześniej do kogoś innego.

Po dwóch lub trzech długich minutach agent zwrócił Rossowi dokumenty. Miał oczy o bladozielonej barwie szkła butelkowego.

– Zostaniecie przeszukani.

Ross bez sprzeciwu pozwolił się zrewidować. Zostało mu jeszcze sto gwinei, lecz na szczęście miał przy sobie tylko dwadzieścia, bo pozostałe zdeponował u Craiga.

Po chwili zaczął się ubierać. Agent gapił się przez okno, a jeden z żandarmów przestępował z nogi na nogę.

– Cudzoziemcy, wrogowie Republiki, którzy przybywają na teren Francji i stąpają po jej świętej ziemi, podlegają natychmiastowemu aresztowaniu – rzekł agent. – Później stają przed trybunałem narodowym, a ten wydaje wyrok.

Ross zapinał mankiety koszuli.

– Nie jestem wrogiem Francji, tylko kupcem prowadzącym handel, który leży w interesie Francji.

– Francja nie potrzebuje, by w portach i wioskach mieszkali szpiecy, nawet się z tym nie kryjąc.

– Nie jestem szpiegiem, a Republika potrzebuje angielskiego złota. Ja i moi przyjaciele co tydzień przywozimy do Roscoff i do innych miejscowości dużo złota. Gdybym został aresztowany, bardzo zniechęciłoby to naszych kupców do handlu. Nie opuszczałem miasta ani nie zrobiłem niczego niezgodnego z moim statusem.

– Postępujecie wbrew prawu, przebywając na francuskiej ziemi i nie meldując o tym żandarmerii.

Ross włożył surdut i schował do kieszeni wyjęte z nich osobiste drobiazgi.

– Proszę mi wybaczyć, monsieur, jeśli popełniłem błąd. Mylnie przyjąłem, że ten port ma wyjątkowe przywileje, ponieważ umożliwia wolny handel między dwoma krajami. Sądziłem, że należy postępować zgodnie z duchem prawa, a nie jego literą.

Agent z irytacją uniósł podbródek nad brudnym halsztukiem.

– Za pierwsze przestępstwo tego rodzaju nawet obywatele krajów neutralnych są karani grzywną w wysokości dwudziestu gwinei. Za drugie przestępstwo grozi areszt.

– Czy nie mógłbym zostać potraktowany jako obywatel kraju neutralnego i zapłacić grzywny?

– Byłoby to możliwe pod warunkiem, że natychmiast opuścicie Roscoff. – Mężczyzna zerknął na sakiewkę Rossa.

– Czekam na powrót kutra. Ma przypląć w poniedziałek rano.

– Wykluczone. W porcie jest statek, May Queen. Odpływa jutro wieczorem. Musicie niezwłocznie wejść na pokład i odpłynąć. Jeśli dziś po północy zejdziecie na ląd, zostaniecie aresztowani.

– Zdaje mi się, że May Queen pochodzi z wyspy Wight – rzekł Ross. – To trzysta kilometrów od mojego domu.

Może następny...

– To wasza sprawa, monsieur. Ja mam dopilnować, byście wyjechali.

– Może dodatkowe dwadzieścia gwinei...

– Spraw, że zostaniecie aresztowani pod zarzutem próby przekupstwa urzędnika Republiki. A teraz, monsieur, proszę zapłacić grzywnę i wyjechać...

Rozdział dwunasty

Tego wieczoru tuż przed zmrokiem Ross wszedł na pokład May Queen. Kapitan, mężczyzna nazwiskiem Greenway, bez trudu zgodził się przewieźć Rossa, lecz nie chciał pozostać w Roscoff jeszcze jeden dzień. W dzisiejszych czasach Francuzi bywają nieprzewidywalni. Nigdy nie wiadomo, co zrobią. Tak czy inaczej, kapitan Poldark dla własnego dobra powinien znaleźć się na morzu w niedzielę wieczorem.

Kapitan Poldark nie był zadowolony z perspektywy znalezienia się na morzu w niedzielę wieczorem, więc Greenway wysunął inną propozycję. Jutro, przed odpłynięciem May Queen, do Roscoff prawie na pewno zawinie inny statek. Jeśli kapitan Poldark koniecznie chce zostać i narażać się na niebezpieczeństwo, mogą go przewieźć łodzią na nowy statek, który na pewno pozostanie w porcie dwadzieścia cztery godziny, by załadować towary.

W ten sposób w niedzielę tuż po zmroku Ross przeniósł się na pokład dwumasztowego lugra o nazwie Edward, płynącego z Cawsand. Przez cały wietrzny poniedziałek siedział w ciasnej kajucie pod przednim pokładem tylko w towarzystwie kota i papugi.

Nie uszło jego uwagi, że pojawienie się agenta i dwóch żandarmów mogło być skutkiem działań Jacques'a Clissona, który chciał zatrzymać sto gwinei i może zarobić coś jeszcze jako informator władz francuskich. Przerażony Ross natychmiast wróciłby do Anglii, a Clisson nie martwiłby się koniecznością rozliczenia z otrzymanych pieniędzy, bo miało to nastąpić znacznie później. Wszystko powinno się wyjaśnić dziś wieczorem, ponieważ o ósmej miał się spotkać z Clissonem w tej samej tawernie. Ciekawe, jak szybko w porcie rozchodzą się nowiny i czy Clisson się zjawi, jeśli uzna, że Ross opuścił miasto.

O wpół do ósmej, gdy zastanawiał się, czy zdoła dopłynąć do brzegu wpław, zgodnie z umową pojawił się niewielki korakl, po czym młody marynarz z hrabstwa Devon przewiózł Rossa na ląd. Kolejna gwinea sprawiła, że chłopak pozostał na łodzi na wypadek, gdyby należało pośpiesznie opuścić Roscoff.

Aby dotrzeć do Le Coq Rouge, Ross musiał przejść trzy słabo oświetlone ulice. Pożyczył chustę od szypra lugra, owinał nią głowę i zgarbił plecy w nadziei, że nikt nie pozna go w tłumie. Wejście do tawerny wydawało się dość ryzykowne, lecz odepchnął na bok człowieka żebrzącego koło drzwi i wślizgnął się do środka. Sala była w połowie pełna i panował półmrok, ale wkrótce spostrzegł, że wśród gości nie ma Clissona. Była za pięć ósma.

Usiadł w kącie, zamówił coś do picia i czekał. Przyszło mu do głowy, że stawia wszystko na jedną kartę, ryzykuje, że nie jest zbyt dokładnie obserwowany, że wierzy w swoją ocenę charakteru drugiego człowieka i uważa, że słusznie zmienił zdanie o Clissonie po podejrzeniach, które pojawiły się w czasie pierwszego spotkania. O wpół do dziewiątej zamówił następny kieliszek trunku i zaczął się zastanawiać, jak może się dowiedzieć, czy Clisson żyje. Pięć minut później Francuz wszedł do oberży.

Na jego drobnej, sympatycznej twarzy malował się grymas, gdy rozglądał się po ciemnej sali. Zauważył Rossa, przepchnął się przez tłum i usiadł obok niego.

– Mówiono, że pan wyjechał. Przyszedłem tylko, żeby się upewnić. Niedobrze, że tu się z panem spotykam.

Clissonowi, jeśli grał uczciwie, prawdopodobnie zależało na spotkaniu równie mocno jak Rossowi. Mógł dostać kolejne siedemdziesiąt pięć gwinei.

– Chętnie opuszczę Roscoff – odparł Ross.

– Doradzam to panu, skoro zainteresowały się panem władze. Ale najpierw... Cóż, udało mi się. Zdobyłem pełną listę. Ma pan pieniądze?

– Tak.

Clisson wyciągnął rękę. Ross się zawahał, po czym podał mu sakiewkę. Clisson zważył ją w dłoni, a następnie otworzył, by sprawdzić, czy rzeczywiście zawiera złoto.

– Wystarczy. Zakładam, że kwota się zgadza. Oto lista.

Brudny arkusz pergaminu. Mnóstwo nazwisk, siedemdziesiąt lub osiemdziesiąt, część tak niewyraźnie napisanych, że prawie nie do odczytania. Przesunął palcem w dół kolumny. „Porucznik Archer, HMS Travail”. Ross na początku źle odczytał nazwę okrętu, bo francuski kancelista pisał literę „t” w szczególny sposób. A zatem ktoś ocalał. Opanował zniecierpliwienie i powoli czytał dalej: „Williams, pełniący obowiązki dowódcy, HMS Travail. Armitage, porucznik, HMS Espion. Kapitan Kiltoe, HMS Espion. Kapitan Porter, dowódca, HMS Thames. Rudge, kadet, HMS Travail. Garfield, dowódca, HMS Alexander. Spade, porucznik, HMS Alexander. Enys, chirurg w randze porucznika, HMS Travail. Parks, kadet, HMS Travail...”.

W pierwszej chwili Ross przeoczył nazwisko przyjaciela. Przyjrzał mu się uważnie, by się upewnić, że nie ma żadnej pomyłki. Później wyjął z kapciucha na tytoń arkusz bibułki z listą oficerów Travaila. Były na niej wszystkie nazwiska: Archer, Williams, Rudge, Parks, kilka innych. I Enys. A zatem żył. Nie mogło być żadnej pomyłki. Francuz go nie oszukał. Ross nie stracił czasu ani pieniędzy na próżno.

– Dziękuję – rzekł.

– Monsieur.

– Teraz muszę iść.

– Jak najszybciej. Ale ja wyjdę pierwszy. Proszę mi wybaczyć, że nie odprowadzę pana do portu.

Kiedy Ross wyjechał, Demelzę odwiedziła w Namparze elegancka młoda dama posiadająca pięknego siwego huntera. Troski ostatnich miesięcy sprawiły, że jej olśniewająca uroda nieco przygasła. Demelza akurat piekła chleb. Zawsze robiła to sama i nigdy nie zostawiała tego Jane Gimlett, która nie miała talentu do pieczenia chleba. Ciasto właśnie zaczynało rosnać, gdy ktoś zastukał do frontowych drzwi. Jane wróciła do kuchni i powiedziała, że przyjechała panna Caroline Penvenen.

– O Boże! Zaproś ją do salonu i powiedz, żeby zaczekała, dobrze, Jane? Powiedz jej, co robię i że za chwilę przyjdę.

Służąca wyszła z kuchni, a Demelza wytarła ręcznikiem pokryte mąką dłonie i przedramiona, po czym podeszła do popękane lustro obok drzwi spiżarni, by poprawić włosy. Doprowadziła je do porządku, jak umiała, po czym rozwiązała fartuch i weszła do salonu.

Caroline stała przy oknie. Miała na sobie szary, wcięty w talii strój do jazdy konnej oraz niewielką futrzaną czapkę. Jej sylwetka była wyraźnie widoczna na tle jasnego nieba za oknem, lecz kiedy się odwróciła, twarz kryła się w cieniu.

– Demelzo, słynę z talentu do pojawiania się w nieodpowiednich momentach. Mam nadzieję, że jesteś w dobrym zdrowiu.

– Tak, naturalnie, ale właśnie w tej chwili... Zostań. Zostań na obiedzie. Jeśli poczekaś następny kwadrans...

Pocałowały się, lecz miały niepewne miny. Zanim Caroline puściła Demelzę, przyglądała jej się przez chwilę, trzymając ją za ramiona.

– Nawet teraz prawie bym się nie domyśliła. Kiedy się urodzi?

– Chyba za półtora miesiąca, jak sądzę. – Nagle Demelza poczuła lęk. – Masz wiadomości o Rossie?

– O nie. Jestem pewna, że ty dostaniesz je pierwsza, moja droga. Przyjechałam z tobą porozmawiać.

– Rozgość się i czuj jak u siebie w domu. Usiądź i odpocznij. Czy ktoś się zajął twoim koniem? Och, jaki piękny siwek! To twój?

– Mam go od dwóch lat, od dwudziestych pierwszych urodzin. Ale zaczekaj, czy muszę być karana jak niegrzeczna dziewczynka za przybycie o niewłaściwej porze? Dlaczego mam siedzieć w salonie? Czy nie mogłabym ci towarzyszyć?

– Cóż... wypiekanie chleba to nudne zajęcie. Kuchnia będzie dla ciebie za ciepła po jeździe na koniu, a poza tym...

– Czy uwierzysz, że nie widziałam pieczenia chleba od czasu, gdy zakradałam się do kuchni w domu matki?

Ale może czułabyś się zażenowana, gdybym cię obserwowała?

Demelza rzeczywiście czułaby się zażenowana, lecz musiała zaprzeczyć, toteż po chwili poszły razem do kuchni. Wyraźnie skonfundowało to Jane Gimlett, ponieważ uważała, że pani Poldark może robić w swoim domu, co jej się żywnie podoba, ale kuchnia z pewnością nie jest miejscem dla damy o urodzeniu i wychowaniu panny Penvenen. W końcu upuściła miednicę, a próbując ją podnieść, przewróciła stół. Demelza wysłała ją więc do spiżarni, by czymś się zajęła; obiecała, że ją zawoła, gdy trzeba będzie wyjąć chleb z pieca.

– Gdzie Jeremy? – spytała Caroline, usiadłszy na stołku, który znów postawiono. – Jest zdrow?

– Tak, dziękuję, chociaż często mu coś dolega. Jest zupełnie inny niż Julia, moje pierwsze dziecko. Nie chorowała nawet przez jeden dzień, aż nagle zmarła na krup. Zostaniesz na obiedzie?

– Chciałabym, ale nie mogę. Stryj Ray lubi, gdy jem obiad w jego pokoju. Chociaż sam prawie nic nie je, z przyjemnością patrzy na innych, kiedy robią to, czego on nie może.

– Coś się zmieniło?

– Nie na lepsze – odparła lekkim tonem Caroline. – Po prostu nie chce umrzeć. Nigdy wcześniej nie zdawałam sobie sprawy, że Penvenenowie są tacy uparci!

Demelza uniosła w dłoniach wielki kawał ciasta i położyła go na desce.

– Nic dziwnego, że jesteś taka chuda. Na pewno się nie pogniewa, jeśli raz zjesz obiad poza domem.

Caroline postukiwała w podłogę czubkiem buta.

– To bardzo dziwne... Znasz to stare przysłowie o sile więzów krwi? Cóż... Stryjowie musieli się mną zająć, gdy skończyłam dziesięć lat. Nie byłam posłuszną i wdzięczną bratanicą. Wcale bym się nie zdziwiła, gdyby opieka nade mną przysporzyła im kilku siwych włosów. Ale... kiedy jeden z nich jest śmiertelnie chory, z zaskoczeniem widzę, że chcę go bronić przed niesprawiedliwymi atakami. To jak kłótnia żony i męża: gdy atakuje ich ktoś obcy, zapominają o sporach i walczą ramię w ramię. A zatem... ja i stryj Ray walczymy ramię w ramię – co jest zresztą trudne fizycznie, bo w tej chwili już nie wstaje z łóżka.

– Twoi rodzice zmarli młodo? – spytała Demelza. – Ross nigdy mi o tym nie mówił.

– Ross nic o nich nie wie. Tak, mój ojciec był najmłodszym z braci, Ray był najstarszy. Kiedy ojciec miał dwadzieścia osiem lat, sfinansował ekspedycję do źródeł Nilu. Postanowił je odkryć. Nigdy nie wrócił. Matka wyszła ponownie za mąż, ale zmarła, gdy miałam dziesięć lat. Ojczym ciągle żyje i jest adwokatem, członkiem Middle Temple. Nie widziałam go od wielu lat i nigdy się mną nie interesował. W końcu adoptowało mnie dwóch poważnych starych kawalerów, którzy spełniali wszystkie moje zachcianki i obiecywali wielki spadek, co naraziło mnie na zaloty wielu łowców posagów takich jak Unwin Trevaunance.

Pierwszy raz rozmawiały sam na sam i w dalszym ciągu nie czuły się swobodnie. Demelza była świadoma, że ma na sobie domowe ubranie, że przed chwilą zajmowała się prozaicznymi pracami gospodarczymi, że wygląda niezgrabnie, a tymczasem ta elegancka rudowłosa dziewczyna siedzi na stołku, postukuje w podłogę noskiem buta do jazdy konnej i na nią patrzy. Obecnie Demelza rzadko pamiętała o swoim skromnym pochodzeniu – od siedmiu lat była panią Poldark, przyzwyczała się do tego. Jednak Caroline wydawała się kimś szczególnym. Demelza czuła do niej sympatię i wdzięczność, były prawie w tym samym wieku, lecz Caroline pochodziła z zupełnie innego świata: otrzymała staranne wychowanie, nigdy nie brudziła sobie rąk pracą i zawsze mówiła ironicznym tonem nawet o poważnych sprawach. Co więcej, Ross w tej chwili narażał dla niej wolność i życie.

– Dlaczego tak długo ugniatasz każdy bochenek? – spytała Caroline.

– Jeśli tego nie zrobię, w chlebie będą dziury. Jemy dużo chleba. Przygotowałam pięć bochenków i zostało jeszcze trochę ciasta. Może upiekłabym dla ciebie mniejszy? Wzięłabyś go do domu.

– Dziękuję. Dziś są moje urodziny i potraktuję go jako prezent.

– Och, to za mało jak na prezent urodzinowy! Wszystkiego najlepszego! Chciałabym...

– Czego byś chciała?

– Myślałam na głos. Przepraszam... Chciałabym, żeby Ross wrócił dziś z nowinami, na których tak bardzo

nam zależy.

– Nie przepraszaaj za to, że to mówisz.

– Nie przepraszam za to, czego bym chciała, ale mam wrażenie, że nie powinniśmy o tym mówić. Jestem przesądna.

– Cóż, może... Kiedy siedzę uwięziona w starym dworze w Killewarren, myślę czasem, że muszę z kimś o tym porozmawiać, bo inaczej zwariuję. Przepraszam, że przysporzyłam ci niepokoję.

Demelza zaczęła przenosić okrągłe, wyrobione bochny na dużą blachę.

– Ross mówi, że ryzyko jest niewielkie.

– Jego wyjazd do Francji musi budzić twój niepokój. Chyba powinnam ci powiedzieć, że nie pojechał tam na moją prośbę.

– Nigdy tak nie myślałam. Chociaż miałabyś prawo o to prosić.

– Nie... Nikt nie miałby takiego prawa.

Zakończywszy tę część pracy, Demelza cofnęła się, wytarła dłonie w fartuch i odgarnęła nadgarstkiem wilgotne włosy z czoła.

– Nie ma go już od dziesięciu dni. Jeśli wszystko poszło zgodnie z planem, powinien wkrótce wrócić do domu.

– Boję się jego powrotu.

– Usiądźmy w wygodniejszym miejscu. Przez dziesięć minut nie mam tu nic do roboty.

Przeniosły się pod okno i gawędziły dłuższą chwilę. Caroline koniecznie chciała z kimś porozmawiać, zwłaszcza o Dwighcie. Mówiła bezładnie, nienaturalnie nonszalanckim tonem, nieustannie przepraszając Demelzę, że zanudza ją nieciekawymi opowieściami. Wkrótce wróciły do kuchni, gdzie Demelza weszła pod sklepienie pieca, otworzyła żelazne drzwiczki i wygarnęła gorący popiół z kolcolistu. Caroline chwyciła drugi koniec ciężkiej blachy i wsunęły ją do pieca. W tym momencie przybiegł Jeremy, krzycząc, że jest głodny, i w końcu Caroline dała się przekonać do pozostania na obiedzie.

Demelza przyjęła to z zadowoleniem, bo po wyjeździe Rossa jadła posiłki w samotności. Cieszyła się także z hałaśliwej obecności Jeremy'ego, który jak zwykle bez przerwy mówił w trakcie posiłku. Dzięki temu rozmowa miała swobodny charakter i wyraźnie bawiła Caroline, nieprzyzwyczajoną do towarzystwa małych chłopców.

Po obiedzie Jeremy popędził na dwór, a Caroline wstała i zaczęła zbierać się do wyjścia.

– Nie, nie, dziękuję, moja droga, ale nie mogę zostać, bo jeśli stryj Ray będzie tak długo za mną tęsknił, jego stan może się pogorszyć. Nie wiem, ile czasu zajmie mi dojazd do domu. Muszę natychmiast uciekać.

– Każę Gimlettowi przyprowadzić twojego konia.

– Jestem pewna, że znudziłam cię swoją gadaniną. Ale w Killewarren nie mogę okazywać zaniepokojenia. Mogę się martwić tylko w swoim pokoju. Jeśli Dwight nie żyje, nie jestem nawet wdową. Jestem nikim. Może na to zasługuję...

Demelza pocałowała ją.

– Czekajmy i nie traćmy nadziei.

Kilka minut później Caroline odjechała na swoim siwku. Przekroczyła strumień i ruszyła w górę doliny. Zanim zniknęła wśród nielicznych drzew, odwróciła się i uniosła rękę. Demelza pomachała jej i weszła do dworu.

Betsy Maria Martin już posprzątała ze stołu. Demelza poszła do kuchni, by obejrzeć chleb i wysłuchać pretensji Jane, że sama wygarniała popiół z pieca. Później wróciła do salonu i przez kilka minut siedziała przy szpinecie. W dalszym ciągu brała lekcje u pani Kemp, lecz w tej chwili prawie nie robiła postępów. Na początku wszystko wydawało się bardzo proste: potrafiła grać melodie bez żadnego przygotowania, ale kiedy pani Kemp uczyła ją bardziej skomplikowanych utworów, wysiłek związany z nauką odbierał część przyjemności. Dlatego teraz, gdy chciała się odprężyć, bardzo często grała stare melodie, które nigdy się jej nie znudziły. Podobnie jak Rossowi. Czasem również trochę śpiewała.

Problem z muzyką polegał na tym, że wywoływała zbyt wiele nostalgii. Jeśli dla zabawy Demelza śpiewała

teraz: „Baba stara i dziad stary razem biedę klepali”, pojawiało się tyle prawie zapomnianych uczuć, że była bliska płaczu. Jeśli śpiewała: „Dla kochanego zerwę róży kwiat”, przywoływało to dawne wspomnienia dworu w Trenwith i spędzonego tam pierwszego Bożego Narodzenia. I tak dalej. Przychodziło jej do głowy, że muzyka, podobnie jak życie, mogłaby być nieustającym procesem, ciągłą zmianą, zrzucaniem starej skóry i zastępowaniem jej nową. Zamiast tego każda melodia trwale kojarzyła się z jakimś wydarzeniem, uczuciem lub okresem życia.

Dlatego należało zadać sobie trochę trudu, zapomnieć o starych melodiach i skupić się na nowych. W maju pani Kemp przyniosła utwór skomponowany przez jakiegoś Włocha, lecz Demelza jeszcze go nie opanowała. Miała trudności z graniem lewą ręką. Doszła do wniosku, że właśnie na tym polega problem – nie chodzi o brak pilności, tylko o brak talentu. Po prostu nie potrafi posługiwać się palcami.

Za jej plecami rozległy się kroki i Jane Gimlett powiedziała:

– Kapitan Poldark wrócił do domu, pani.

Demelza zerwała się ze stolka.

– Co takiego?! Gdzie?! Widziałas go?!

– Jeden ruch, a potem siup i trup! – rzekł Ross, stając w drzwiach.

– Ross, kochany, kochany! – Rzuciła mu się w ramiona i zaczęła go całować.

– Nie mówiłem ci, że nie ma niebezpieczeństwa?

– Och, wróciłeś! Cały i zdrowy! – Tuliła się do jego piersi.

– Znajdziesz dla mnie coś do jedzenia? Jestem wściekle głodny. – Pocałował ją jeszcze kilka razy w usta, policzki i oczy, jakby głód nie dotyczył tylko jedzenia. Jane Gimlett dyskretnie się wycofała.

– A Dwight? Jakie masz wiadomości? Dowiedziałeś się czegoś?

– Dwight żyje i jest w niewoli. To wszystko, co wiem...

Demelza wydała radosny okrzyk.

– Zawiadomiłeś Caroline?

– Nie. Wróciłem prosto do domu. Powiem jej...

– Wyszła stąd przed godziną! Którędy przyjechałeś?

– Z Truro. Była tutaj? Musieliśmy się minąć. We wtorek dopłynąłem do Cawsand, a stamtąd pojechałem z ładunkiem sardynek bezpośrednio do Truro. Pożyczyłem starego kulawego konia, który przypominał Czarnulkę, i powoli ruszyłem do Nampary. Zostawiłem go po drugiej stronie strumienia, by zrobić ci niespodziankę, a później w ostatniej chwili doszedłem do wniosku, że nie powinienem cię straszyć, więc zakradłem się do kuchni i kazałem Jane cię uprzedzić. Zdaje się, że mój powrót wytrącił cię z równowagi bardziej niż wyjazd.

– Na pewno nie zdenerwował mnie bardziej niż twój wyjazd. Dwight naprawdę żyje? Masz na to dowody, Ross?

– Wystarczające. Żadnych szczegółów. Tylko wiadomość, że jest jeńcem wojennym i że przebywa w więzieniu w miejscowości o nazwie Quimper. Sądzę, że panują tam niezbyt dobre warunki, ale żyje. Muszę jak najszybciej poinformować Caroline.

– Ross, zrób to teraz! Jeśli pojedziesz za nią, masz szansę ją dogonić, nim dotrze do Killewarren!

– Musisz wyrzucić mnie z mojego własnego domu natychmiast po powrocie? Kiszki mi marsza grają, jestem zmęczony i odparzyłem sobie tyłek od siodła, a ty prosisz...

– Każę Gimlettowi osiodłać Czarnulkę: ostatnio niewiele się ruszała. Dam ci plaster wieprzowiny, trochę świeżego chleba i masła, żebyś mógł coś zjeść przed odjazdem!

– Cóż za prawdziwie kobiece powitanie! Piękne i hojne! – rzekł Ross. – Wcale nie przytyłaś w czasie mojej nieobecności! Mam nadzieję, że nie głodzisz mojego dziecka!

– Tak, głodzę, i bardzo słusznie. Ciebie też zamierzam głodzić w słusznej sprawie. Och, Ross, tak się cieszę! Caroline naprawdę odżyje!

– Ja też się cieszę z powodu Dwighta, choć warunki w obozie są złe, więc za wcześnie na radość –

odpowiedział Ross.

– Mam przecucie, że wszystko dobrze się skończy. Każ Gimlettowi osiodłać konia, Ross, a ja przygotuję ci talerz jedzenia.

Przez dziesięć minut w domu panowały hałas i krzątanina. Do salonu wbiegł trajkocący Jeremy. Ross, nie przestając jeść, z roztargnieniem pogłaskał syna po głowie. Wkrótce przed drzwiami stała gotowa do drogi Czamulka. Ross zajął miejsce w siodle, Demelza klepnęła klacz i ruszył w górę doliny, podążając za Caroline. Wiatr rozwiewał ogon konia. Zapadał wczesny zmrok.

KSIĘGA DRUGA

Rozdział pierwszy

Dziecko Demelzy urodziło się dwudziestego listopada. Była to dziewczynka. Tym razem doktor Thomas Choake pojawił się na czas i przyjął poród, który przebiegł bez komplikacji. Poradziliby sobie bez niego. Na szczęście nie zabił Demelzy ani dziecka, nie okaleczył ich, stosując nowinki medyczne. Dziewczynka, która ważyła trzy i pół kilograma, była całkowicie zdrowa. Kiedy po pięciu dniach nie pojawiły się żadne oznaki budzącej powszechną trwogę gorączki połogowej, Ross odetchnął pełną piersią i cieszył się, że znowu został ojcem.

Nazwali córkę Clowance.

W następnym tygodniu Raymond Richard Eveleigh Penvenen, dżentelmen, właściciel dworu w Killewarren, w końcu skapitulował w nierównej walce z przeciwnikiem, który nie znał litości, nie dawał pardonu ani nadziei na zwycięstwo. Penvenen zmarł spokojnie we własnym łóżku, żegnany przez bratanicę Caroline. Pogrzeb odbył się pierwszego grudnia. Pojawiło się na nim wielu mieszkańców hrabstwa. Brat Raya, William, nie mógł przybyć na uroczystości pogrzebowe z Oksfordu, ponieważ leżał złożony podagrą, więc za trumną szli Ross i Caroline. W pogrzebie uczestniczył Nicholas Warleggan, lecz jego syn się nie pojawił.

W niedzielę po południu, siódmego grudnia, dwór w Trenwith odwiedził Drake Carne. Przyniósł bukiet kwiatów, został zaproszony do domu i spędził dwie godziny z Morwenną oraz Geoffreyem Charlesem.

Niedzielna wizyta młodego cieśli nie była niczym niezwykłym. Kiedy Drake po raz pierwszy przyszedł do Trenwith na polecenie Geoffreya Charlesa, był zdenerwowany i spodziewał się, że któryś z członków rodziny lub zarządca zaraz go wyrzuci. Nikt nic nie powiedział. Spotkał tylko dwóch służących. Później przyszedł po raz drugi na prośbę Geoffreya Charlesa. Wreszcie pojawiał się w Trenwith co niedziela w porze podwieczorku i wymykał się tuż przed kolacją. Szybko nawiązał przyjaźń z synem Elizabeth. Zwracali się teraz do siebie po imieniu, choć Drake ciągle nazywał Morwennę „panną Morwenną”. Geoffrey Charles nigdy wcześniej nie przyjaźnił się z kimś starszym od siebie. Uwielbiał być traktowany jak dorosły i uczyć się różnych rzeczy od Drake’a. Zaczął nawet naśladować jego akcent i Morwenna nieustannie go poprawiała. Jeśli chodzi o Drake’a, miał w sobie naturalne ciepło, a jako najmłodszy z pięciu braci nigdy nie miał nikogo młodszego do rozmowy. Połączyła ich szcera, wzajemna sympatia, choć oczywiście istniał pewien szczególny, sekretny motyw.

W czasie wizyt Drake’a Morwenna często uczestniczyła w grach, zabawach, rozmowach albo innych rozrywkach. Czasem odchodziła kilka kroków na bok i obserwowała ładnego chłopca o zmierzwionej czuprynie oraz ciemnowłosego, przystojnego młodego mężczyznę, jakby patrzyła na nich z wielkiej odległości. Kiedy indziej niespodziewanie znajdowała się tuż przy nich i Geoffrey Charles przestawał się liczyć – nie zdając sobie z tego sprawy – a ona i Drake wymieniali spojrzenia, w których pojawiały się dziwne uczucia, po czym ogarniał ją lęk. W głębi serca rozumiała, że Elizabeth zdecydowanie potępiłaby nawiązywanie stosunków towarzyskich z prostym cieślą i kołodziejem, a na dodatek bratem Demelzy Poldark. Ale przed zrobieniem decydującego kroku i zerwaniem przyjaźni z Drakiem powstrzymywało ją coś silniejszego od obawy przed naganą. Nie analizowała dokładnie swoich motywów ani uczuć: żyła od spotkania do spotkania, snując przyjemne wspomnienia i nie mogąc się doczekać następnej wizyty młodego człowieka.

Tej niedzieli musiała powiedzieć Drake’owi, że na pewien czas przestaną się widywać. Czternastego grudnia Morwenna i Geoffrey Charles wyjeżdżali wraz z państwem Chynoweth, by spędzić Boże Narodzenie w Truro i Cardew. Prawdopodobnie wrócą do Trenwith pod koniec stycznia.

– Och... – westchnął Drake, który nagle posmutniał. – To wielka szkoda. Będzie mi was brakowało. Naprawdę wielka szkoda. Dobre rzeczy nie mogą trwać wiecznie, ale...

– Wrócimy – przerwał Geoffrey Charles. – Wyjeżdżamy tylko na miesiąc.

– Ale myślę, że wtedy wrócą wszyscy. Nie będziemy mogli się spotykać.

Było ciemne popołudnie i wcześniej zapalono świece. Drake, Morwenna i Geoffrey Charles siedzieli w niewielkim pokoju na tyłach salonu zimowego, gdzie często się spotykali i gdzie zwykle nikt im nie przeszkadzał. Morwenna wzięła bukiet kwiatów i zaczęła je układać w płytkiej cynowej misie.

– Niezwykłe, że znalazłeś aż tyle. Rozkwitły po kilku ciepłych dniach, ale w ogrodzie nie ma ani jednego.

– Rosły w lesie, gdzie się po raz pierwszy spotkaliśmy. Zapamiętam ten dzień na całe życie, dzień, kiedy się spotkaliśmy. Nigdy nie przeżyłem czegoś takiego.

Morwenna uniosła wzrok znad kwiatów. W jej oczach odbijało się światło świec.

– Ja też go zapamiętam.

– Chodź! – zawołał Geoffrey Charles. – Pokażemy Drake'owi dwór. Nigdy nie widziałeś całego domu, prawda? Kiedyś będzie mój, więc to ja powinienem cię oprowadzić.

– Po prostu nie potrafię tego wyrazić, nie potrafię wyrazić, co to dla mnie znaczy, panno Morwenno... Jeszcze nigdy nie spotkałem nikogo... nikogo takiego jak pani. Oddałbym kilka lat życia, żeby...

– Dzisiejszy wieczór to świetna okazja, by ci pokazać Trenwith. Dziadek i babka chorują na reumatyzm i leżą w swoich pokojach, a poza nimi w domu nie ma nikogo – ciągnął Geoffrey Charles. – Nigdy nie widziałeś mojej sypialni, Drake. Mam tam obrazki, które chciałbym ci pokazać. Narysowałem je w zeszłym roku, gdy chorowałem na odrę. Mam kilka kamieni ze starej kopalni Grambler zamkniętej przed kilku laty...

– To źle, że się spotykamy, Drake – powiedziała Morwenna. – Może się to dla nas skończyć tylko... tylko cierpieniem.

– Mój pokój znajduje się w tylnej części dworu – ciągnął Geoffrey Charles. – O tam, w wieżyczce, którą widać od strony stawu. Przejdziemy przez sieni, a potem zaprowadzę cię spiralnymi schodami do galerii minstreli i do swojego pokoju.

– To, że się spotykamy, nie jest złe, Morwenno – odparł Drake. – Nigdy, przenigdy w to nie uwierzę. Oczywiście wiem, że nie mam prawa, żadnego prawa...

– Nie o to chodzi, Drake. Oczywiście nie jest to złe w normalnym sensie, ale wiesz, jaki jest świat...

– Musimy zwracać uwagę na świat?

– Tak, bo nie możemy przed nim uciec. Choćbyśmy nawet próbowali...

– Chodź, Drake! – rzekł Geoffrey Charles, ciągnąc go za rękę. – Chodź, Wenno, rozkazuję ci!

Skupili uwagę na rozentuzjzmowanym chłopcu i ruszyli za nim. Przy drzwiach Geoffrey Charles powiedział:

– Lepiej weźmy świecę, bo na górze jest ciemno. – Uniósł brązowy lichtarz z szeroką profitką.

Przeszli przez duży salon, gdzie w rogu stał kołowrotek Elizabeth, a na środku jej ulubiony fotel i harfa. Chociaż kołowrotek i harfę wyniesiono na jakiś czas, ponownie kazała je postawić w dawnych miejscach. Dotarli do sieni, gdzie paliło się kilka świec w kinkietach na ścianach, lecz wielka sala była pogrążona w półmroku. Ogień na kominku przygasł i tylko jedno polano żarzyło się niczym drzemiący wulkan. Morwenna okręciła się ciasniej szalem.

– To wszystko moi przodkowie – rzekł Geoffrey Charles. – Widzicie tę damę? To Anna-Maria Trenwith, która poślubiła pierwszego Poldarka. A to stryj Joshua jako chłopiec ze swoim ulubionym psem. A to moja babka, która umarła w wieku trzydziestu trzech lat. Ciocia Verity nosi jej imię. Szkoda, że nigdy nie zamówiono portretu cioci Verity. A to mój pradziadek, ojciec ciotki Agathy. Dwa lata temu było znacznie więcej portretów, ale gdy mama poślubiła wuja George'a, kazał wiele usunąć. Wuj George lubi porządek.

– I kazał oczyścić staw z ropuch – powiedział Drake.

Geoffrey Charles zachichotał.

– Ach, nienawidzi ropuch! Ale nie sądzę, by nienawidził moich przodków. Po prostu zostawił tylko najlepszych.

Okrążyli salę, oglądając portrety wskazywane przez chłopca. Później Geoffrey Charles otworzył wąskie drzwi w boazerii i wspięli się za nim kręconymi schodami z kamienia do galerii minstreli. Stali, opierając dłonie na kamiennej balustradzie, i patrzyli na mroczną salę.

– Od chwili moich narodzin nigdy nie grali tu muzykanci – rzekł Geoffrey Charles. – Ani wcześniej, przez wiele lat. Mój dziadek nie lubił muzyki. Kiedy dorosnę i będę bogaty, urządzę wielki bal i na galerii minstreli będą siedzieć muzycy przygrywający gościom do tańca.

– Napisze pani do mnie? – zwrócił się Drake do Morwenny.

– Wyjeżdżamy na krótko.

– Nie o to chodzi. To jakby koniec. Sama pani powiedziała...

– Wrócimy, nie martw się – przerwał Geoffrey Charles. – Chodźcie za mną.

Otworzył kolejne, ledwo widoczne drzwi. Przecisnęli się przez nie i znaleźli się w wąskim korytarzu.

– Geoffreyu – powiedziała Morwenna. – Myślę, że powinniśmy zejść na dół. Drake zagra z nami w tę grę...

– Możesz iść sama, jeśli chcesz. Ja chcę mu pokazać swoje rysunki wiszące na ścianach. Tędy. Teraz cicho, bo w pokoju obok śpi ciotka. Chociaż jest głucha, zawsze słyszy skrzypienie podłogi.

Do pokoju Geoffreya Charlesa wchodziło się po trzech stopniach na końcu korytarza. Elizabeth umieściła tam syna, gdy George się poskarżył, że pokój chłopca zbyt blisko sąsiaduje z ich sypialnią. Teraz pokój Geoffreya Charlesa mieścił się w wieżycy i miał podzielone pionowymi kamiennymi kolumnkami okna wychodzące na trzy strony świata, co bardzo ekscytowało chłopca. Znajdował się tam również największy kominek na pierwszym piętrze. Palono w nim bez przerwy od października do maja, toteż Geoffrey Charles nigdy nie marzył. Do ścian przypięto kilkanaście rysunków przedstawiających konie, psy i koty, wykonanych przez chłopca w ciągu ostatnich dwóch lat.

Kiedy weszli do środka, okazało się, że kominek wygaś, i Morwenna głośno zwróciła uwagę na lenistwo służących. George i Elizabeth zabrali ze sobą do Truro połowę służby, a ci, którzy zostali, wykorzystywali brak nadzoru. Dziewczyna pochyliła się nad kominkiem i poruszyła polanami, próbując rozniecić ogień, a tymczasem Geoffrey Charles pokazywał Drake'owi swoje rysunki. Nagle przewrócił świecę i w pokoju zapanowała ciemność.

– O Boże! – zawołał chłopiec. – Mamy kłopoty. *Mon Dieu*, Drake! Przepraszam, Wenno. Czy w kominku jest żar? Nie mam krzesiwa i hubki, bo zaniósłem je na dół.

Ukucnął obok Morwenny, lecz w palenisku nie było ani jednej iskry.

– Zaczekajcie tu – powiedział. – Pobiegnę do sieni i za chwilę wrócę.

– Geoffreyu, ja pójdę – rzekła Morwenna, wstając, lecz chłopiec już wypadł za drzwi i zbiegł z tupotem po schodach.

Drake i Morwenna stali w milczeniu, słuchając cichnących kroków Geoffreya Charlesa. Morwenna położyła dłoń na gzymsie kominka.

– Jest bardzo uparty. Próbowалам nauczyć go dyscypliny, ale zbyt długo go rozpieszczano.

– Ma silny charakter – odpowiedział Drake. – To lepsze, niż gdyby miał być lękliwy i nieśmiały. Dobry z niego chłopiec. Bardzo go lubię.

– Wiem.

– I nie tylko jego.

Morwenna nie odpowiedziała.

– Zimno ci, Morwenno?

– Nie.

– Myślałem, że drżysz.

Położył rękę na jej dłoni. Do tej pory była to jedyna forma ich kontaktu fizycznego, dość rzadka i z pozoru całkowicie przypadkowa. Drake nigdy wcześniej nie dotknął Morwenny celowo. Usiłowała cofnąć rękę, lecz trzymał ją mocno. W pokoju panował półmrok, a ciemność i desperacja dodały mu odwagi. Uniósł jej dłoń i pocałował. Jej

palce poruszyły się i znieruchomiły. Serce biło mu tak mocno, że miał wrażenie, że wyskoczy z piersi – obrócił jej rękę i całował po kolei każdy palec. Był to niezwykle gest jak na prostego młodego człowieka, ale półmrok, w którym widział tylko zarys twarzy i włosów dziewczyny, pozwolił mu przewyciężyć wstyd i zapomnieć o konwencjonalnych zakazach.

– Proszę, Drake – powiedziała.

Puścił jej dłoń, ona zaś pozwoliła ręce opaść, lecz się nie cofnęła. Patrzyli na siebie w absolutnej ciszy panującej w starym dworze, w którym oprócz nich znajdowało się dziesięć osób, ale równie dobrze mogłoby nie być nikogo. Morwenna, wysoka, smukła i spięta, stała prosto jak trzcina. I wydawało się, że jak trzcina powoli kołysze się w mroku.

Drake ośmielił się dotknąć Morwenny, położył jej ręce na ramionach. Nigdy wcześniej nie dotykał w ten sposób kobiety. Jego wzruszenie było zbyt czyste, by odczuwał pożądanie, darzył Morwennę zbyt wielkim szacunkiem, by pragnąć ją posiadać, lecz ten gest oznaczał, że w przyszłości może się to zmienić.

– Morwenna... – wyszeptał, prawie nie mogąc wydobyć z siebie głosu.

– Proszę, Drake... – odrzekła łamiącym się głosem. Miała wrażenie, że tonie. I w sensie uczuciowym tak było.

Pochylił głowę i pocałował ją w usta. Wargi miała chłodne i suche niczym płatki rozkwitającego kwiatu. Absolutna czystość połączona z absolutną zmysłowością.

Kiedy odsunęli się od siebie, mieli poczucie powrotu do świadomości po doznaniu, które wykracza poza świat rzeczywisty. Morwenna zrobiła krok do tyłu, chwyciła dłońmi gzyms kominka, opuściła głowę. Drake nie wykonał żadnego ruchu, stał jak skamieniały, przygwożdżony do ziemi przez własne emocje. Połączyła ich miłość, która nie miała prawa zaistnieć ani trwać. Milczeli, dopóki nie rozległ się tupot stóp Geoffreya Charlesa wracającego z zapaloną świecą.

Tak się złożyło, że w tej samej chwili w zupełnie innym miejscu dyskutowano o przyszłości Morwenny Chynoweth. W wielkiej rezydencji Warlegganów w Truro kolację jedzono później niż na wsi, między szóstą a dziewiątą, a w rzadkich przypadkach, gdy nie zapraszano gości na podwieczorek, karty albo *conversazione*, George i Elizabeth siedzieli w dużym salonie na piętrze i rozmawiali o banalnych sprawach. George załatwił już codzienne interesy, Elizabeth dawno uporała się z nielicznymi obowiązkami domowymi, a Valentine'em zajmowała się niania, Polly Odgers. Sprawy George'a toczyły się gładko, prowadzenie domu nie wymagało szczególnej uwagi, toteż oboje mieli znacznie mniej zajęć niż na wsi i więcej czasu na życie towarzyskie, którego bardziej potrzebowali.

Kiedy przebywali sam na sam i nie mieli niczego do omówienia, często zapadała długa cisza – pozbawiona wrogości, lecz mimo to napięta. Elizabeth odkryła, że George nie jest miłośnikiem książek, gdy tymczasem Francis zawsze czytał. Chociaż jej małżeństwo z Francisem nie było szczęśliwe – z pewnością nie tak dostatnie jak życie z George'em – czuła się wtedy swobodnej. Przebywając z Francisem w jednym pomieszczeniu, mogła zapomnieć o jego obecności. W przypadku George'a było to niemożliwe. Często ją obserwował, a kiedy podnosiła wzrok i nie napotykała jego spojrzenia, miała wrażenie, że chwilę przedtem patrzył na nią. Nie potrafiła się zorientować, czy w dalszym ciągu rozpira go duma z posiadania żony. Wydawało się, że tak, i gdyby była bardziej zarozumiała, mogłoby sprawiać jej to przyjemność. Ale czasami, gdy udawało jej się pochwycić jego spojrzenie, miała wrażenie, że dostrzega w nim cień podejrzliwości.

Była pewna, że nie podejrzewa jej o nic złego – raczej zastanawia się, czy jest szczęśliwa, zadowolona, a zwłaszcza zadowolona z małżeństwa z nim. Zdawał sobie sprawę, że mimo całej swojej skromności Elizabeth jest obdarzona pewnością siebie, której on sam nigdy nie zdoła osiągnąć, bo nabrała jej już w dzieciństwie. Gdyby spotkała księcia, natychmiast rozpoznałby w niej osobę z tej samej sfery i po chwili gawędziliby jak równy z równym. Czy zatem może być szczęśliwa z bogatym parweniuszem? Czy nie irytują jej interesy handlowe George'a, szczególnie że część parteru domu wykorzystywano jako biuro i kantor bankowy? Czy nie nudzi się w jego towarzystwie? Czy nie uważa, że mąż ma prostackie maniery, że nie umie prowadzić ciekawej konwersacji,

że źle nosi ubrania, że ma nieciekawych krewnych? Te myśli sprawiały, że stale był nieco sztywny, nie czuł się swobodnie, nie potrafił się całkowicie odprężyć. Wkrótce po ślubie Elizabeth zorientowała się, że jest bardzo zazdrosny – nie tylko o Rossa, ale wręcz o każdego przystojnego mężczyznę. Obserwował jej zachowanie w towarzystwie mężczyzn – którzy z natury rzeczy adorowali Elizabeth z powodu jej urody – ona zaś musiała się pilnować, by mimo woli nie urazić go jakimś słowem.

Tego wieczoru wyszedł na pewien czas, a po jego powrocie rozmawiali o uroczystym balu, który zamierzali wydać w sylwestra. Wielki Dom niezbyt się do tego nadawał, a nosił tę pretensjonalną nazwę tylko dlatego, że był większy od sąsiednich budynków. Oczywiście miejscem był gmach Assembly Rooms, w którym urządzano wszystkie bale w Truro, lecz George marzył o wydaniu przyjęcia w Cardew. Było tam dość miejsca, a przyjęcia odbywające się we własnej rezydencji – ściśle biorąc, w rezydencji ojca – dawały dodatkowy prestiż. Wiązało się z tym jednak spore ryzyko. W Kornwalii zima rzadko zaczyna się przed połową stycznia, jesienią nieustannie padają deszcze. Choć Cardew znajdowało się zaledwie osiem kilometrów od Falmouth i w niewielkiej odległości od gościńca, deszcz mógł zmienić nierówną drogę w trzęsawisko, które nocą byłoby trudne do przebycia, nawet dla największych śmiałków o silnych nogach i niezłomnych sercach.

Naturalnie większość lubiących tańce członków kornwalijskiej śmietanki towarzyskiej miała silne nogi i niezłomne serca, istniało jednak zagrożenie, że przyjęcie zakończy się fiaskiem. Bale na wsi z reguły odbywały się w środku lata, a zima była porą na przyjęcia w mieście. Elizabeth wolałaby Truro – choćby dlatego, że mogłaby zaprosić kilka starych przyjaciółek, z którymi straciła kontakt w okresie pierwszego małżeństwa i które znowu spotkała tej zimy po długiej przerwie. Nie dysponowały one karetami ani pieniędzmi na ich wynajęcie, więc część z nich z różnych powodów nie mogłaby przyjechać do Cardew nawet w pogodny dzień. Mimo to nie należała. Pozostawiała George'owi decyzję we wszystkich sprawach z wyjątkiem tych, na których jej naprawdę zależało. W końcu ustalono, że bal odbędzie się w Cardew, wynajęto orkiestrę i zaproszono kilku notabli, którzy nigdy wcześniej tam nie byli. George próbował wykorzystać pochodzenie Elizabeth i miał nadzieję, że przybędą Bassetowie i St Aubynowie – a także Boscawenowie – co prawda spotykali się z nim od czasu do czasu w związku z interesami albo w domach wspólnych przyjaciół, ale jak dotąd unikali składania mu wizyt.

Należało ustalić listę gości i ich wiek. George wolał zapraszać dystyngowane osoby w średnim wieku, by popisać się przed nimi okazałością rezydencji, lecz należało również zaprosić kawalerów i panny, nie tylko po to, by tańczyli, lecz również by nadali przyjęciu wigor, którego w innym przypadku mogłoby brakować. George był przeciwnikiem zapraszania wielu naprawdę młodych ludzi. On sam nigdy nie był naprawdę młody, to znaczy lekkomyślny, roztrzepany, pełen entuzjazmu lub radosny, toteż nie przepadał za tymi cechami u innych. Uważał, że pojawienie się w Cardew dużej ilości niefrasobliwej młodzieży obniżyłoby ton wieczoru. Młodzi ludzie robią dużo hałasu, z którego nic nie wynika: można ich tolerować tylko wtedy, gdy są utytułowani lub przybywają w towarzystwie rodziców. Poza tym starszych gości mogli witać starsi członkowie rodziny Warlegganów i Chynowethów, a w Cardew nie było nikogo w wieku około dwudziestu lat.

– Cóż, nie jesteśmy jeszcze tacy starzy – powiedziała Elizabeth. – Prawda, George? Prawda?

– Z pewnością nie starzy, ale...

– Poza tym będzie Morwenna. Mogłaby się opiekować dziewczętami.

Zapadła chwila milczenia. George i Elizabeth w zamyśleniu słuchali hałasów dobiegających z przeciwnej strony ulicy, gdzie rzemieślnicy montowali okiennice w zakładzie rymarskim. Elizabeth w dalszym ciągu nie była pewna, czy George aprobuje Morwennę. Był wobec niej uprzedzająco grzeczny, lecz Elizabeth, która potrafiła coraz lepiej odczytywać wyraz jego beznamietnej twarzy, spostrzegła, że szczególnie się pilnuje w obecności dziewczyny. Zachowywał się, jakby myślał: Oto kolejna młoda dama z rodu Chynowethów, arystokratka mimo skromnego wyglądu – spuszcza wzrok i uważnie słucha, czy nie popełnię jakiegoś błędu świadczącego o złym smaku, co zdemaskuje moje niskie pochodzenie. Wystarczy jedna – moja żona. Muszą być dwie?

– Od pewnego czasu myślę o Morwennie – rzekł George, wyciągając muskularne nogi w modnym, lecz

niezbyt wygodnym fotelu.

Kiedy stało się jasne, że nie zamierza powiedzieć nic więcej, Elizabeth spytała:

– Co o niej sądzisz? Nie jesteś z niej zadowolony?

– Uważasz, że eksperyment się powiódł? – Spojrzał żonie w oczy i dodał: – Uważasz, że jest dobrą guwernantką Geoffreya Charlesa?

– Tak, tak myślę. Z pewnością. A ty nie?

– Sądzę, że młoda panna bardziej nadawałaby się na guwernantkę dziewczynki. Chłopiec potrzebuje męskiej ręki.

– Cóż... może to prawda. W dalszej perspektywie chyba tak. Ale myślę, że Geoffrey Charles jest bardzo szczęśliwy z Morwenną. Czasem nawet jestem zazdrosna, bo jeszcze nigdy nie widziałam go tak radosnego jak minionego lata. W ogóle się nie sprzeciwiał, że zostanie w Trenwith.

– A jego nauka?

– Lato to niezbyt dobra pora na naukę. Dowiemy się więcej po jego powrocie w przyszłym tygodniu, ale moim zdaniem zrobił duże postępy. To nawet za mało powiedziane, bo wcześniej tylko ja go uczyłam!

– Żadna matka nie byłaby w stanie zrobić więcej. Niewiele potrafiłoby dokonać tego co ty. Uważam jednak, że jeśli ma iść do szkoły, potrzebuje opieki mężczyzny. Tak czy inaczej, uzgodniliśmy, że Morwenna zostanie u nas tylko rok, prawda?

– Jestem pewna, że byłaby niezwykle zasmucona, gdybyśmy odesłali ją w marcu do domu.

– Naturalnie nie ma pośpiechu. Nie to miałem na myśli. Niekoniecznie myślałem o odesłaniu jej do domu.

– Chcesz powiedzieć, że zostałaby u nas jako moja towarzyszka, a ty zaangażowałbyś guwernera dla Geoffreya Charlesa?

– Niewykluczone. Ale przychodzi mi również do głowy, że Morwenna to panna na wydaniu. Jest kulturalna, dobrze wychowana i wcale nie brzydka. Można by dla niej znaleźć dobrego męża.

Elizabeth szybko się nad tym zastanowiła. Słowa George'a były dla niej całkowitą niespodzianką: nie miała pojęcia, że w ogóle rozważa taką możliwość i że zawraca sobie tym głowę. Obrzuciła go nieco podejrzliwym spojrzeniem, lecz nie zareagował, w roztargnieniu stukał palcami w tabakierkę.

– Nie mam wątpliwości, że w odpowiednim momencie wyjdzie za męża, George. Jest... nie jest brzydka, jak powiedziałaś, i ma łagodne, miłe usposobienie. Ale chyba zapomniałeś o najważniejszej przeszkodzie: braku posagu.

– Nie, nie zapomniałem. Są mężczyźni, którzy byliby zadowoleni z młodej żony. Na przykład dżentelmeni w starszym wieku, wdowcy... Niektórzy młodzi ludzie chętnie skoligaciliby się z nami przez małżeństwo.

– Cóż... Niewątpliwie Morwenna kiedyś i tak wyjdzie za męża, bez naszej pomocy.

– Jednak nasza pomoc z pewnością by się przydała – rzekł George. Odłożył tabakierkę, nie zażywając tabaki. – Byłbym gotów dać jej niewielki posag, gdyby chciała poślubić kogoś, kogo wybierzemy.

Elizabeth się uśmiechnęła.

– Zaskakujesz mnie, mój drogi! Nie sądziłam, że jesteś zainteresowany aranżowaniem małżeństw, zwłaszcza małżeństwa mojej młodszej siostry stryjecznej! Za dwadzieścia lat możemy być zainteresowani ważniejszymi problemami tego rodzaju, na przykład małżeństwem Valentine'a, ale do tego czasu...

– Ach, to dopiero pieśń przyszłości. Nawiasem mówiąc, twoja siostra stryjeczna jest dość wysoka. We właściwym stroju przyciągnęłaby niejedno spojrzenie. Moim zdaniem odpowiednie małżeństwo przyniosłoby wszystkim korzyści.

Tok myślenia George'a przestał być dla Elizabeth zagadką i stał się całkowicie jasny.

– Masz na oku jakiegoś kandydata?

– Nie, o nie. Jeszcze nie zastanawiałem się nad tym szczegółowo.

– Ale coś ci przychodzi do głowy?

– Nie ma wielkiego wyboru, prawda? Możemy mówić o starszym mężczyźnie zainteresowanym małżeństwem z młodą kobietą albo o młodszym mężczyźnie z dobrej rodziny, lecz bez majątku.

– Z pewnością zastanawiałeś się nad jakimiś nazwiskami. Nie powinniśmy sporządzić listy?

– Nie, nie powinniśmy. Uważasz to za zabawne?

– Trochę. Myślę, że Morwenna powinna czuć się zaszczycona, że poświęcasz jej tyle uwagi. Nie możesz pozostawiać mnie w niepewności.

Spojrzał na Elizabeth, niezadowolony, że stał się przedmiotem żartów.

– Zastanawiałem się niezobowiązująco, to wszystko. Przyszedł mi do głowy John Trevaunance.

Elizabeth spojrzała ze zdumieniem na męża. Z jej oczu zniknęło rozbawienie.

– Sir John?! Ależ... skąd ta myśl?! Zatwardziały stary kawaler. Poza tym jest bardzo stary. Musi mieć sześćdziesiąt lat!

– Pięćdziesiąt osiem. Pytałem go we wrześniu.

– Chcesz powiedzieć, że rozmawiałeś z nim na ten temat?!

– W żadnym razie – odparł niespokojnie George. – Oczywiście, że nie. Pamiętasz, jak w czasie obiadu u nas wydawał się zwracać szczególną uwagę na Geoffreya Charlesa, gdy pozostali goście pili herbatę? Zacząłem się zastanawiać, czy rzeczywiście przygląda się twojemu synowi.

– Hm, coś sobie przypominam... Ale dlaczego nie miałyby się interesować Geoffreym Charlesem?

– Bo wcześniej widzieli się już kilka razy i sir John nie okazywał takiego zainteresowania. Tym razem po raz pierwszy widział twojego syna z guwernantką.

Elizabeth wstała i podeszła do okna, by zyskać czas do namysłu. Rozsunęła koronkowe firany i popatrzyła na dwukólkę farmera jadącą z turkotem po kocich łbach.

– Moim zdaniem Morwenna nigdy by się na to nie zgodziła.

– Zgodziłaby się, gdyby wiedziała, że to jej obowiązek. Zostałaby lady Trevaunance, co mogłoby być dla niej bardzo kuszące. Oczywiście nie mam pojęcia, co myśli o tym sir John, ale jeśli w czasie balu okaże jakieś zainteresowanie Morwenną, uważam, że powinniśmy złożyć mu propozycję. Na pewno nie ma ochoty pozostawić majątku swojemu rozrzutnemu bratu. Morwenna mogłaby urodzić mu syna. Poza tym to człowiek dobroduszny, lecz pazerny, a po bankructwie odlewni miedzi jego interesy nie idą zbyt dobrze. W przypadku takiego małżeństwa jestem gotów okazać wyjątkową hojność... Zresztą, naturalnie, osiemnastoletnia dziewczyna byłaby łakomym kąskiem dla starszego mężczyzny.

Elizabeth zadrżała.

– A inne możliwości?

– Myślałem też o sir Hugh Bodruganie, który jest rok młodszy od sir Johna, choć związek między naszymi rodzinami nie budzi we mnie zbyt wielkiego entuzjazmu. W dodatku to rozpustnik, więc chyba nie chciałabyś, by został twoim kuzynem.

– Naturalnie, że nie!

– Jest również jego bratanek, Robert Bodrugan, który prawdopodobnie odziedziczy kiedyś resztkę majątku. Tyle że w tej chwili nie ma grosza przy duszy i nie wiadomo, ile pieniędzy mu przypadnie. Constance Bodrugan to ciągle młoda kobieta.

Elizabeth opuściła firanę.

– Mów dalej.

– Mam wrażenie, że cię męczę.

– Wręcz przeciwnie. Cóż, nigdy nie wiadomo, co wyniknie z takich spekulacji... Jest jeszcze Frederick Treneglos. Ma dwadzieścia trzy lata i w trakcie przyjęcia spędził sporo czasu z twoją kuzynką. Pochodzi z dobrej rodziny – prawie tak starej jak twoja – ale to młodszy syn, a marynarka wojenna to wątpliwe źródło dochodów. Nieliczni oficerowie zdobywają wartościowe przyzy, większość klepie biedę.

– Myślę, że wolałabym Fredericka Treneglosa od innych, których jak dotąd wymieniłeś. Jest młody, hałaśliwy, pełen entuzjazmu.

– Zauważyłem, że w czasie przyjęcia poświęcił dużo czasu również tobie.

– Cóż... ma dobre manieri. Nie można tego powiedzieć o wszystkich młodych mężczyznach. Tak, lubię go.

Czy na twojej liście są jeszcze inni?

– Ciągle uważasz to za żart?

– Bynajmniej. Muszę myśleć o szczęściu Morwenny. To też jest ważne.

– Szczęście Morwenny to nasz najważniejszy cel. Dwaj ostatni, nad którymi się zastanawiałem, są wdowcami.

Pierwszy to Ephraim Hick...

– Masz na myśli Williama Hicka?

– Nie, Ephraima, ojca. William jest żonaty.

– Przecież Ephraim to pijak! Nigdy nie jest trzeźwy po dwunastej w południe!

– Ale to bogacz. Nie lubię Williama Hicka. Byłoby zabawnie, gdyby jego ojciec splodził nowe potomstwo i pozbawił Williama spadku. Poza tym Ephraim długo nie pożyje. Jako bogata wdowa Morwenna byłaby znacznie lepszą partią niż dziś.

Elizabeth spojrzała na George'a. Myślał i jak zwykle w takich chwilach siedział zupełnie nieruchomo, lekko zgarbiony, splótnięty ogromne dłonie. Zastanawiała się, dlaczego nie czuje przed nim większego lęku.

– A ostatni kandydat?

– Och, mogą być jeszcze inni. Możesz sama się zastanowić. Ostatni, o którym myślałem, to Osborne Whitworth. Jest młodym duchownym, co mogłoby się podobać twojej kuzynce...

– Ma żonę i dwoje małych dzieci!

– W zeszłym tygodniu jego żona zmarła w porożu. Zauważ, że dodałem go do naszej listy gości. Pod koniec miesiąca otrząśnie się z żałoby na tyle, by towarzyszyć matce. Zdaje się, że ma zaledwie trzydzieści lat i, jak wiesz, niedawno objął kościół pod wezwaniem Świętej Małgorzaty w Truro. Musi się opiekować dwójkiem dzieci i ma spore długi, więc wkrótce pomyśli o kolejnym ożenku. Córka dziekana i jednocześnie anulowanie długów mogłoby być dla niego bardzo atrakcyjną perspektywą.

– Widzisz w tym jakąś korzyść? – spytała ze zdziwieniem Elizabeth.

George uniósł się z miejsca i stał przez chwilę bez ruchu, machinalnie obracając monety w kieszonce na zegarek.

– Whitworthowie są nikim, a sir Augustus to wyjątkowo słaby sędzia. Ale lady Whitworth pochodzi z rodu Godolphinów.

Więc o to chodzi... Związek z podupadłym rodem arystokratycznym spokrewnionym z kilkunastoma wielkimi rodami angielskimi, zwłaszcza książętami Marlborough.

– Tak – rzekła po chwili Elizabeth. – Tak. – Odeszła od okna i lekko poklepała George'a po ramieniu. – To bardzo interesujące spekulacje, mój drogi, i jestem ciągle zdziwiona, że twoje myśli zaszły tak daleko. Jeśli chodzi o mnie, Morwenna jest jeszcze dzieckiem: moim zdaniem jest zbyt młoda, by poważnie myśleć o zamążpójściu. To przedwczesne. Jestem pewna, że jest z nami bardzo szczęśliwa i chciałaby w dalszym ciągu mieszkać w Trenwith. Śpieszmy się powoli, dobrze?

– Nie ma pośpiechu – odparł George. – Ale uważam, że nie powinniśmy rezygnować z tych planów.

Rozdział drugi

W Wigilię świat skuł wielki mróz. Wcześniej grudzień był dość ciepły, lecz bardzo wilgotny. Morze, pola i dymy z kominów kopalni przesłaniały strugi deszczu. Po polach spływały potoki wody, strumień Mellingey wezbrał, a gościńce i drogi zmieniły się w trzęsawiska. George wysłał karetę po starych Chynowethów, która w czasie jazdy do Cusgame pięć razy ugrzęzła w błocie i kolejne pięć razy w drodze powrotnej, więc trzeba było ją wyciągać. Ponieważ dzień był dość pogodny, Morwenna i Geoffrey Charles jechali wierzchem za kareta, by ulżyć koniom.

Ross i Demelza zamierzali wydać przyjęcie z okazji chrzcin Clowance na Boże Narodzenie, lecz zanosiło się, że goście nie dopiszą. Wysłali zaproszenie do Verity i Andrew Blameya, ale Verity odpowiedziała, że mały Andrew ząbkuje i że choć bardzo chciałaby ich zobaczyć, nie może ryzykować podróży do Nampary. Caroline obiecała przyjechać i spędzić z nimi kilka dni, ale nie mieli żadnych innych bliskich przyjaciół, których mogliby zaprosić. Oboje nie chcieli urządzać dla Clowance podwójnej uroczystości, jaką miała Julia. Był to zły omen.

Dwudziestego trzeciego grudnia deszcz przestał padać i Caroline przyjechała w jasnym popołudniowym słońcu. W jego świetle było jednak coś osobliwego, starczego i złowieszczonego, jakby należało do odchodzącego świata, jakby pozostawiało ludzi samych sobie. Pod koniec dnia straciło resztki ciepła. Słońce przypominało mosiężny dysk i nadawało powierzchni wody poblask taniego metalu, między klifami i na wydmach snuły się szaroniebieskie cienie. Od rana wiał wiatr, lecz teraz ucichł: konary, gałązki i źdźbła traw były nieruchome.

– Myślę, że pogoda wkrótce się zmieni – powiedziała Caroline, zsiadłszy z konia. Pocałowała Demelzę, po czym nadstawiła policzek Rossowi. – Najwyższy czas. Killewarren tonie w błocie od dnia pogrzebu stryja.

– Zmieni się, owszem – rzekł Ross, któremu spodobał się smak skóry Caroline. – Moim zdaniem idą mrozy.

– Jesteś bardzo szczupła, Demelzo! Myślałam, że po urodzeniu dziecka kobiety są zaokrąglone przez wiele miesięcy!

– Rzeczywiście, byłam dość gruba. Jeszcze nie wszystko zniknęło.

– Za bardzo schudłaś – wtrącił Ross. – Nie powinnaś wyglądać jak patyk, bo to do ciebie nie pasuje. – Zamierzał powiedzieć, że żadna chuda kobieta nie jest ładna, lecz w porę się powstrzymał.

Weszli do domu. W tym czasie masztalerz, który przyjechał z Caroline, odwiązał kufer przytroczony do swojego konia, a Gimlett wziął jej futro i szpicrutę. Wkrótce piła herbatę w salonie. Ross poprawił ogień, Demelza zawiązała Jeremy'emu śliniak, a Ena Daniel przyniosła gorące placuszki z mąki pszennej.

– Kiedy będę mogła zobaczyć swoją chrześniaczkę? Powinna wiedzieć, że tu jestem: nie wypada tego przed nią ukrywać. Upredziłście ją?

– Wkrótce ją zobaczysz – odpowiedziała Demelza. – Czekamy, aż się obudzi. Zwykle budzi się o siódmej. Jak zdrowo wyglądasz, Caroline!

– Dziękuję. Czuję się lepiej. Dzięki twojemu mężowi... Oczywiście budzę się w nocy i rozmyślam, co się dzieje z moim zbląkanym narzeczoną, na czym śpi w więzieniu, czy ma jakiegokolwiek wygody, czy o mnie myśli i kiedy wyjdzie na wolność... Ale nie jestem... nie jestem już sama na świecie... Wiesz? Wiesz, jak to jest? Nie jestem sama nawet teraz, po śmierci stryja.

– Wiemy, jak to jest – powiedziała Demelza.

– Od dnia śmierci stryja nie mam ani chwili, próbuję zaprowadzić w majątku porządek, ale zaraz po Bożym Narodzeniu pojedę do Londynu, pójdę do admiralicji i spytam, jakie są szanse na zapłacenie okupu. Skoro Francuzi już nie wymieniają jeńców, z pewnością zainteresują ich pieniądze.

Późno zjedli kolację. Demelza zagrała na szpincie, w salonie zrobiło się chłodno i poszli wcześniej spać. Nazajutrz rano panowała piękna pogoda, w dalszym ciągu było bezwietrznie, choć zimno. W nocy nie było

przymrozków, ale temperatura z każdą godziną się obniżała. W południe pod stopami zaczęła chrzęścić trawa, a z ust Drake'a i dwóch pozostałych robotników pracujących w bibliotece buchały kłęby pary, gdy chuchali w ręce. Ross odesłał ich do domu o trzeciej, po czym poszedł do kopalni. Z północy płynęły nocne chmury. Z maszynowni dochodził jedynie miarowy stukot tłoków pomp, szcęk zaworów, syk pary. Mimo chłodu na dworze w środku było ciepło. W ścianach wielkiego mosiężnego kotła odbijało się światło dwóch latarni, lśnił wypolerowany tłok. Przed wyjściem Ross zamienił kilka słów z młodszym z braci Curnow. Ciemne pomieszczenie wypełnił nagły blask, gdy dwaj palacze otworzyli żelazne drzwiczki kotła, by dorzucić węgla – na chwilę maszynownię zaalało intensywne pomarańczowe światło. Drzwiczki zamknięto i w pomieszczeniu znów zapanował półmrok. Na zewnątrz powoli się ściemniało.

W Namparze rozpalono wielki ogień, by we dworze nie zrobiło się zimno. Zgodnie ze zwyczajem tej nocy przychodzili kołędnicy z kościoła w Sawle. Demelza przypomniała sobie, jak pojawili się przed śmiercią Julii. Była wtedy sama, potem wrócił Ross i powiedział o bankructwie odlewni miedzi. W tym roku przygotowała babeczki z owocami i wino imbirowe, lecz kołędnicy nie przyszli. Około dziewiątej, gdy zazwyczaj stukali do drzwi, wyjrzała przez okno, by sprawdzić, czy gdzieś ich nie widać, po czym zawołała Rossa i Caroline. Ziemię pokrywał biały puch, który cicho spadł z nieba.

Śnieg padał do jedenastej, później przestał, lecz zanim położyli się do łóżek, znów zaczął padać. Rankiem na ziemi leżała ośmiocentymetrowa warstwa, świeciło słońce. Ogród zmienił się w olśniewający pierzasty las. Na parapetach i bramach wisały sopte. Dolinę i wszystkie budynki kopalni pokrywał sypki śnieg rozwiewany przez lodowaty wiatr. Ale się nie topił. Śnieg, rzadkość w pobliżu ciepłego morza, prawie zawsze znikał od razu lub zaczynał się topić jeszcze w dniu, w którym spadł. Teraz było inaczej. Kiedy Ross wyszedł z Johnem Gimlettem, by doglądnąć krów, zdał sobie sprawę, że to nie koniec opadów. Na północnym zachodzie znów zbierały się żółtoszare chmury.

Chrzcziny miały się odbyć o jedenastej. Ross sprawdził grunt. Okazało się, że ziemia nie jest bardzo śliska, więc postanowili jechać do kościoła. Namówiono Caroline, by pozwoliła masztalerzowi prowadzić jej wierzchowca za uzdę. Dalej szedł John Gimlett, trzymając za uzdę starą, spokojną, stąpającą pewnie Czarnulkę, na której siedziała Demelza z Clowance. Na płochliwej, narowistej Judycie jechał Ross z Jeremym, a za nimi podążała pieszo procesja służących i przyjaciół: Jane Gimlett, Jinny Scoble i Scoble Biała Głowa, liczni przedstawiciele rodzin Danielów i Martinów, a także – nie dało się tego uniknąć – Vigusów, którzy mieli nadzieję na poczęstunek. Po drodze dołączyli inni. Reszta gości czekała w kościele: nadsztygar Henshawe z żoną, bracia Carne, Nanfanowie, Choake'owie i, naturalnie, trochę spóźnieni i podpici Paynterowie. Brnęli w śniegu, smagani lodowatym wiatrem, by uczestniczyć w ceremonii. Nabożeństwo odprawił, jękając się, wielebny pastor Odgers, zziębnięty i pomarszczony jak jedno z jego warzyw, które leżało całą noc na dworze.

Rodzicami chrzestnymi byli Caroline i Verity, zastępowana przez Demelzę, oraz Sam Carne. Ten ostatni stał się przyczyną krótkiej sprzeczki między rodzicami.

– Niech mnie diabli! – zaprotestował Ross. – To niewątpliwie uczciwy młody człowiek, a jak twój brat tym bardziej powinien być chrzestnym, ale nie mam ochoty, by moja córka została metodystką!

– Ja też nie mam na to ochoty, Ross. Ale, jak sądzę, Verity wciąż będzie mieszkała daleko od Nampary, a Caroline, nawet jeśli poślubi Dwighta i zostanie w Killewarren, nie jest bardzo religijna, jak sama przyznaje. Samuel to pobożny człowiek.

– Na Boga, rzeczywiście pobożny! Nie pozwala nikomu nawet na chwilę o tym zapomnieć!

– Tak postępują metodyści, Ross. Moim zdaniem to dobry człowiek i ma wobec nas dług wdzięczności. Myślę, że gdyby coś nam się stało, poświęciłby się dla Clowance.

– Boże uchwaj! – odparł Ross. – Na jakie ryzyko rodzice czasem narażają swoje dzieci...

Mimo to ustąpił, podobnie jak ustąpił w kwestii wykorzystania kamienia z ruin części zabudowań Wheal Grace na budowę nowego domu modlitwy. Ścisłe biorąc, powiedział Demelzie, że metodyści mogą go wykorzystać, lecz

nie pozwolił jeszcze oznajmić tego jej braciom. Uważał, że można poczekać do wiosny, gdy głównym problemem przestanie być kwestia przeżycia zimy. Tymczasem na polecenie George'a zamknięto dawny dom modlitwy w wiosce Grambler, a resztki wyposażenia – ławki, niewielki pulpit, dwie Biblie, broszury z pieśniami i pobożne inskrypcje wiszące na ścianach – trafiły do obory Willa Nanfana, gdzie czekały na lepsze czasy wraz z krową, owcami i kurczętami.

Pod koniec mszy wielebny Odgers, który żeby zmoczyć palce, musiał przebić warstwę lodu pokrywającego chrzcielnicę, w milczeniu odłożył książeczkę do nabożeństwa i nagle zemdłał, pokonany przez chłód. Jego żona podniosła lament, że umarł, że jest nieszczęsną, osieroconą wdową, której zostało do wykarmienia siedmioro dzieci, lecz kilkuminutowe starania doktora Choake'a, a szczególnie flaszka brandy Rossa sprawiły, że niski duchowny ożył, w jego oczach pojawiły się łzy, po czym powoli odszedł, wspierany przez zawodzącą małżonkę.

Jud Paynter, który był akurat w zaczepnym nastroju, uznał to za zły znak i zaczął wygłaszać nieprzystojne uwagi, szczerząc dwa zęby, choć Prudie z całych sił próbowała go powstrzymać.

– To się nie godzi! – zawołał. – To naprzeciw naturze! Nadawać dziewczynce takie imię! Clarence to nie imię dla dziewczuchy, tylko dla otroka! To naprzeciw rozsądkowi. To nieludzkie. To zły znak, powiadam wam!

– Zamknij dziób, czarny smoku! – syknęła Prudie. – Clowance, nie Clarence! Umyj se uszy!

– Słyszysz tak dobrze jak ty! Wszystko nie tak! Nie tak, powiadam! Dowodem, że pastor padł jak ścięty! Clarence, dalibóg! Co te ludzie se myślo... Biduła na pewno nie dożyje nowego roku...

– Ty też nie dożyjesz nowego roku ani nawet końca starego, jak nie stulisz pyska! – syknęła Prudie, ciągnąc Juda w stronę drzwi kościoła.

– Clarence! – powtórzył Jud, idąc z ociąganiem. – Niech mnie diabli porwo, to straszne, co ludziska robio ze swoimi bachorami! Zostaw mnie, brudna stara krowo!... – Wymiana uprzejmości z Prudie stopniowo cichła.

Reszta uczestników ceremonii postanowiła zignorować niezbyt głośne hałasy. Demelza ciasniej owinęła ciepłym szalem swój nowy skarb, Caroline zastanawiała się, jak się pozbyć cuchnącego stęchlizną modlitewnika, który jej pożyczono, Zacky Martin chuchał na palce, a Polly Choake usiłowała się przejrzeć w mosiężnej tablicy pamiątkowej. Ross podszedł do Choake'a, który przed chwilą pożegnał się z Odgersem przy drzwiach prowadzących do zakrystii.

– Proszę mi powiedzieć, Choake: jak się miewa moja ciotka? Mam na myśli moją cioteczną babkę. Widział ją pan ostatnio?

Choake spojrzał podejrzliwie na Rossa spod krzaczastych brwi.

– Panna Poldark? Panna Agatha Poldark? Badaliśmy ją w połowie miesiąca.

Nie zauważyliśmy większych zmian. Oczywiście jej słabość jest wywołana wiekiem, a nie podagrą. Jałowa materia sieje zamęt w układzie krwionośnym i osłabia żywotne organy. Mało je, mało się porusza, lecz ciągle tli się w niej isierka życia.

– Kto się nią zajmuje? Nie jest teraz w Trenwith prawie zupełnie sama?

Choake wciągał szare wełniane rękawiczki.

– Nie potrafimy powiedzieć. Podczas naszej ostatniej wizyty Chynowethowie jeszcze byli. Ale panna Poldark ma wykwalifikowaną pokojówkę, która zna podstawy opieki nad starymi ludźmi. Gdyby stan panny Poldark się zmienił, posłano by po nas.

Ross stanął w drzwiach kościoła i spojrzał na niebo. Zachodzące słońce przykrył żalobny całun chmur. Kiedy przebywali w środku, świat stał się przerażająco zimny i przygńbiający. Zauważył pojedynczą śnieżynkę, która powoli leciała w dół; wydawało się, że za chwilę zacznie padać śnieg.

– Możesz zabrać dzieci do domu? – zwrócił się do Demelzy. – Jeśli będzie ślisko, niech Gimlett niesie Clowance. Martwię się o Agathę, która jest sama w Trenwith, i zamierzam tam pójść, skoro jestem tak blisko. Następną okazją może się nadarzyć dopiero za kilka dni.

– Chciałabym, żebyś ją odwiedził, ale wolałabym, żeby to nie było dziś – odpowiedziała Demelza. – Nie chcę

się zajmować twoimi siniakami ani połamanymi zębami w Boże Narodzenie, tak jak poprzednio.

– Och, ryzyko jest niewielkie. Nie miałem połamanych zębów, tylko obluzowane... George'a nie ma w domu, a służący nie mogą mnie powstrzymać.

– Zdaje się, że bracia Harry ciągle tam są. Znają cię: już się z tobą bili.

– Nie mogą mi zabronić odwiedzenia ciotki.

Demelza skrzywiła się, pełna wątpliwości.

– Sama nie wiem... – Nagle coś jej przyszło do głowy. – Dlaczego nie pojedziesz z Caroline? Jest w Trenwith mile widzianym gościem. Nie mogą cię nie wpuścić w jej obecności.

– Słyszysz, Caroline? – spytał Ross. – A może wolałabyś wrócić do ciepłego kominka?

– Skoro Demelza nie ma nic przeciwko temu, wolę być twoją opiekunką.

– Dobrze. – Ross dotknął ramienia Demelzy i delikatnie je uściśnął, po czym spojrzał na maleńką córeczkę, która zносиła przykrości bez najmniejszej skargi, i powiedział do żony: – Kiedy ci dobrzy ludzie przyjdą do Nampary, poczęstuj ich kapką mocnego rumu i swoim wspaniałym ciastem. Wrócimy do domu na obiad.

– Twój oddech wygląda jak dym z komina Wheal Grace – powiedziała Demelza. – Nie pamiętam takiego mrozu. Pomóż mi wsiąść na konia, Ross, i jedźcie.

Ross wszedł po trzech stopniach i pociągnął za sznur dzwonka. Dwór w Trenwith wydawał się pusty i martwy. Cała okolica miała jednolitą ołowianoszarą barwę. Z komina na tyłach domu unosiła się cienka smuga dymu, którą szybko rozwiewał wiatr. Na dachu przybudówki siedziały dwa wrończyki, a między chmurami leciała mewa, wypatrując jedzenia.

Drzwi otworzyła nieznana Rossowi pokojówka o czerwonej twarzy i z ociąganiem wpuściła ich do sieni, a następnie pobiegła poszukać kogoś stojącego wyżej w hierarchii służby. W sieni nie płonął ogień i panował w niej prawie taki sam lodowaty chłód jak na dworze; jedyna różnica polegała na tym, że nie wiał wiatr. Caroline otuliła się futrem i zadygotała.

– W czasie chrzcin syna Elizabeth wszystko wyglądało zupełnie inaczej.

Ross nie odpowiedział. Trenwith jak zawsze budziło w nim wiele wspomnień, które nakładały się na siebie, a jednak były odrębne i wyraziste – a teraz bezwartościowe.

Pojawiła się kobieta, która wycierała ręce w brudny fartuch. Była gruba i miała wyjątkowo krótkie nogi. Przypominała raczej wyrosniętą karlicę niż niską kobietę. Patrząc na Rossa i Caroline uniżonym, lecz niechętnym wzrokiem, przedstawiła się jako Lucy Pipe i wyjaśniła, że jest pokojówką panny Poldark. W czym mogłaby pomóc? Ross wyjaśnił.

– Rozumiem, rozumiem, ale panna Poldark śpi i nie wolno jej przeszkadzać. Ośmielam się zauważyć, że gdyby się teraz obudziła, bardzo by jej to zaszkodziło i...

– Możesz sobie gadać, co chcesz – przerwał Ross. – Zaprowadzisz nas na górę czy mamy iść sami?

– Nie mogę zabronić państwu wstępu, sir, ale...

Ross wszedł powoli po schodach. Po drodze oglądał portrety i zastanawiał się, co się stało z tymi, które uznano za niegodne powieszenia na ścianie. W Namparze nie było żadnych portretów przodków. Może Elizabeth rozstałaby się z kilkoma z nich...

Przy drzwiach sypialni Lucy Pipe wepchnęła się przed Rossa. Zionęła alkoholem, a z bliska widać było wypryski na skórze. W gęstych czarnych włosach zalegał łupież.

– Chwileczkę, sir. Zajrzę do środka, sir. Zobaczę, czy panna Poldark śpi. Wejść do środka, dobrze? Wejść do środka.

Zniknęła za drzwiami. Ross oparł się o ścianę i wymienił spojrzenie z Caroline, która uderzała szpicrutą w dłoń w rękawiczce.

– Znam ludzi tego pokroju – powiedziała po chwili. – Na pewno sprząta. Wejdzmy.

Kiedy wkroczyli do sypialni, służąca wsuwała pod łóżko nieopróżniony nocnik, a ciotka Agatha, w

przekrzywionym koronkowym czepku na przekrzywionej peruce, ścisnęła kotary łóżka i klęła słabym głosem. Na pościeli wyprężył grzbiet młody czarny kot. Mimo wieku Agatha miała wyjątkowo dobry wzrok i rozpoznała gościa.

– Ach, Ross, to ty? Do licha, chłopcze! – Popatrzyła z grymasem niezadowolenia na prostującą się służącą i lekko klepnęła ją w zadek. – Powinnaś mi była powiedzieć, kto przyszedł! Tak wszystko ukrywać! Niezłe z ciebie ziółko... Ach, Ross, przyszedłeś złożyć mi życzenia z okazji świąt, co? Niechaj cię Bóg błogosławi, chłopcze!

Ross dotknął policzkiem pokrytego drobnymi włoskami policzka staruszki. Miał wrażenie, że dotyka czegoś pochodzącego z minionej epoki, martwej dla wszystkich oprócz Agathy. W głębi duszy odznaczał się wrażliwością, lecz rzadko bywał sentymentalny, teraz jednak, całując tę śmierzącą starą kobietę, wzruszył się, ponieważ była ona jedynym śladem po jego utraconym dzieciństwie. Rodzice Rossa od dawna nie żyli, stryj i stryjenka również zmarli, Francis zginął, Verity mieszkała daleko. Tylko Ross i Agatha pamiętali czas stabilizacji, beztrudną młodość, dostatek, niezmiennie dziedzictwo rodowe i tradycję. Staruszka była ostatnią osobą łączącą Rossa z Trenwith i wszystkim, co niegdyś znaczyło dla niego ten dwór.

Ciotka Agatha odepchnęła go gwałtownie i powiedziała:

– Przecież to nie twoja żona, Ross. Gdzie mój kwiatusek? Gdzie mój mały pączuszek? Nie mów, że idziesz w ślady ojca! Joshua przynajmniej nie uganiał się za babami, gdy żyła Grace!

Ross przedstawił ciotce Caroline, krzycząc na całe gardło, i wyjaśnił jej obecność. Tymczasem w rogu sypialni Lucy Pipe zwinęła ręcznik i stuknęła brudnymi talerzami, kot spoglądał zazdrośnie na intruzów, a w klatce śpiewał oswojony kos. Ross rozejrzał się po sypialni i zauważył panujący w niej bałagan, ohydny smród, brud, kotarę z oderwanym kółkiem, wygasły ogień.

Ciotka Agatha rozumiała zaskakująco dużo, gdy krzyczało jej się prosto do ucha. Problem polegał na tym, że nikt nie chciał się do niej zbliżyć. Była to rzeczywiście udręka. Dowiedziała się, że Ross ma drugą córkę i że jego kopalnia świetnie prosperuje. Opowiedział o planach przebudowy Nampary, o tym, że Dwight jest w niewoli we Francji, o śmierci Raya Penvenena.

W połowie rozmowy zerknął na swoją wysoką towarzyszkę, która przysiadła na skraju fotela i z niesmakiem oglądała podejrzaną specyfikę stojące na stoliku.

– Przepraszam za to wszystko, Caroline. Jest tu bardzo duszno. Dlaczego nie poczekaś na dole?

Wzruszyła ramionami.

– Zapominasz, mój drogi, że jestem przyzwyczajona do przebywania w pokoju chorego. Twoja ciotka jest tylko trochę hałaśliwsza od mojego stryja.

Rozmawiali przez następne pięć minut. Agatha wyrzuciła z siebie potok skarg, a Ross podjął decyzję, która kielkowała w jego umyśle od chwili wejścia do zaniedbanego pokoju. Uciszył staruszkę, położywszy rękę na jej wychudzonym ramieniu. Uniosła wzrok, ciamkając bezzębny ustami, i obrzuciła go baczny spojrzeniem. Po pomarszczonym prawym policzku jak zwykle płynęła łza.

– Dobrze mnie słyszysz, Agatho? – krzyknął Ross.

– Tak, chłopcze. Kiedy ludzie mówią wyraźnie, słyszę prawie wszystko.

– Więc wyraźnie powiem, o co chodzi. Wrócisz z nami do Nampary. Nasz dwór nie jest tak wspaniały jak Trenwith, ale będziesz wśród rodziny. Zamieszkaś z nami. Mamy wygodny pokój. Jeśli chcesz, zabierz ze sobą tę pokojówkę, możemy znaleźć dla niej jakieś miejsce. Jesteś stara i nie powinnaś mieszkać z obcymi.

Lucy Pipe złożyła ostatni ręcznik i hałaśliwie naląła do miski wody z dzbana, chlapiąc na wytarty dywan. Później napełniła imbryk i umieściła go nad pelgającymi płomieniami.

Twarz Agathy zadrgała i staruszka przez chwilę poruszała bezzębny ustami. Później chwyciła Rossa za rękę.

– Nie, synu, nie mogę tego zrobić... Chcesz, żebym zamieszkała z tobą w Namparze? To powiedziałeś? O to ci chodzi?

– O to mi chodzi.

– Nie, drogi chłopcze. Do diabła, to bardzo szlachetnie z twojej strony, ale nie mogę tego zrobić. I nie zrobię.

Nie, Ross, chłopcze. Mieszkam w tym domu od czasu, gdy ssalam pierś matki, a było to dziewięćdziesiąt dziewięć lat temu. Nikt mnie stąd nie wyrzuci. Dziecko, dziewczynka, kobieta i stara baba... Żyję tu prawie sto lat i nie wyrzuci mnie żaden nadęty parweniusz z Truro! Co by na to powiedział mój ojciec?!

– Odwaga to piękna rzecz! – krzyknął Ross. – Ale warto rozumieć zmiany, które przynosi czas! Jesteś tu sama – ostatnia z rodu Poldarków – zależna od służących, którym nie można ufać. Popatrz na tę kobietę, na tego leniwego flejtucha! Zapewne zajmuje się tobą na swój sposób, ale nic jej nie obchodzisz, nie martwi się o ciebie...

– Za przeproszeniem, sir. Nie wypada mówić takich rzeczy...

– Stul pysk, kobieto, bo wyrwę ci język. Agatho, pomyśl, nim zdecydujesz. Nie mogę tu przyjeżdżać, gdy George jest w domu, bo jego zbiry pilnują dworu. Niewątpliwie Elizabeth troszczy się o ciebie, ale nikt poza nią. Jeśli nie chcesz zamieszkać z nami na stałe, spraw nam przyjemność i przyjedź na Boże Narodzenie – zostań aż do powrotu Elizabeth i George'a. Nie brakuje ci tu towarzystwa? Nie jesteś samotna?

– O tak. O tak, samotna... – Poklepała go po ramieniu sękatą dłonią. – Ale w moim wieku człowiek zawsze jest samotny, gdziekolwiek mieszka...

– Samotny, przyznaję. Ale czy musisz być także sama?

– Nie. To prawda. – Skinęła głową. – Od śmierci twojego stryja, a jeszcze bardziej po odejściu Francisa, jestem sama. Nie rozmawiają ze mną, Ross. Nikt ze mną nie rozmawia. Sama. Sama jak palec. Ale za rok lub dwa będzie jeszcze gorzej. – Chlipnęła, litując się nad sobą, po czym zaśmiała się ochryple. – Do tego czasu zamierzam zostać tam, gdzie jest moje miejsce. Panna Poldark z Trenwith. Chora, zmęczona i zziębnięta, pozostanę tu do swoich setnych urodzin w przyszłym roku. Będę dręczyć George'a, Ross. Naprawdę go dręcę. Śmiertelnie mnie nienawidzi i ja też go nienawidzę, a kiedy patrzę, jak się wścieka niczym zły pies, to dla mnie wyjątkowa przyjemność. Gdybym opuściła ten dom, nie przeżyłabym nawet miesiąca. Nawet gdybyś się mną opiekował ty i twój słodki mały pączuszek. Nie, niechaj cię Bóg błogosławi, chłopcze. I niechaj Bóg błogosławi cię, chudzino. Wracajcie do swoich dzieci i zostawcie mnie w spokoju!

Spędzili w sypialni Agaty jeszcze dziesięć minut. Staruszka kazała wyciągnąć szufladę i przynieść ją do łóżka, po czym wyjęła miniaturę, którą ofiarowała małej Clowance. Nie chciała jednak zmienić decyzji. Ross w duchu przyznawał jej rację, lecz zirytował go upór staruszki i wyładował złość na Lucy Pipe.

– Ty flejtuchu! – rzucił z wściekłością. – Dostajesz pieniądze, mieszkanie i wikt, więc wywiązuje się ze swoich obowiązków! Wystarczy, że powiem pani Warleggan jedno słowo, a wylecisz z tego domu na zbity pysk! Zrobię to – znów zamierzam tu przybyć bez uprzedzenia. Kiedy się tu pojawię, pokój panny Poldark ma być czysty, rozumiesz? Czysty! Napraw kotarę, wyczyść szkło i odkurz rzeczy panny Poldark! Na kominku ma się palić porządny ogień! Jeśli dalej będziesz się lenić, znikniesz z tego domu! Nie życzę sobie znaleźć pod łóżkiem brudnego nocnika! Masz uprać koszulę nocną panny Poldark i pościel! Całą pościel! Zrozumiałaś, co powiedziałem?!

– Tak, sir – odrzekła Lucy Pipe. Jej spojrzenie było uniżone, a zarazem pełne złości. – Mogę robić, co pan każe, ale często...

– Oszczędź sobie gadania. Rusz swój tłusty zad i weź się do roboty! – Ross popatrzył na Caroline. – Idziemy?

Po raz ostatni ucałowali ciotkę Agathę, życząc jej wesołych świąt, po czym wyszli na zimny korytarz, w którym hulały przeciągi. Wrócili drogą, którą przybyli. Oboje czuli ulgę, że opuścili pokój staruszki, że oddychają powietrzem nieskażonym wonią rozkładu. Milczeli, lecz w sieni Ross powiedział:

– Zaczekaj. Jest jeszcze jedna rzecz...

Caroline ruszyła za Rossem, który przeszedł przez dwoje drzwi i podążył wąskim korytarzem. Dotarł do kolejnych drzwi i otworzył je na oścież. Zobaczyli kuchnię. W wielkim, ciemnym pomieszczeniu płonęły dwie latarnie, w palenisku buzował ogień, a na ścianach wisiało kilka ozdób świątecznych. W kuchni znajdowało się pięcioro służących, którzy najwyraźniej urządzili sobie zabawę. Na widok Rossa przerwali w połowie śpiew, a trzy kobiety wstały z miejsc, nie wiedząc, kim jest nieznajomy mężczyzna, lecz domyślając się, że dysponuje pewną

władzą.

Ross zszedł po schodkach i się zatrzymał.

– Przyjechałem do Trenwith na prośbę kuzynki, by się upewnić, czy w czasie jej nieobecności wszystko jest w porządku – oświadczył. – Co powinienem jej powiedzieć, jak sądzicie?

Nikt się nie odezwał. Jeden ze służących odstawił kubek, a drugi czknął i wytarł nos rękawem.

– Mam powiedzieć, że wszyscy jesteście pijani i nie możecie wykonywać swoich obowiązków? Uważacie, że powinienem ją o tym poinformować? – Zerknął na stojącą z tyłu Caroline. – Sądzisz, że należy o tym donieść Elizabeth? Są święta. Może mógłbym przymknąć oko na nieszkodliwą zabawę, ale jak może być nieszkodliwa, kiedy na piętrze leży bez opieki chora dama? Hej, ty! – Ross spojrzął na jednego ze służących, który zerwał się z miejsca. – Odpowiedz!

– Ależ, sir... – Mężczyzna jękał się, przestępował z nogi na nogę i wycierał ręce o nogawki spodni. – Sir, przecież to nie nasz obowiązek zajmować się panną Poldark. Rozumie pan...

– Posłuchaj – przerwał Ross. – Nie obchodzi mnie, czy to wasz, czy nie wasz obowiązek. W domu jest dama, która powinna bez przerwy mieć właściwą opiekę. Kiedy reszta rodziny wyjeżdża, waszą panią jest panna Poldark. Jest stara i chora, ale wie, co się dzieje. A ja się od niej dowiem. Więc uważajcie, jak się zachowujecie. Nie obchodzi mnie, jak bardzo zaniedbujecie inne obowiązki, dopóki właściwie zajmujecie się panną Poldark. Kiedy dzwoni, dwóch z was ma pobiec do niej w podskokach o każdej porze dnia i nocy! Dwóch! Musicie gorliwie jej służyć i spełniać wszystkie jej rozkazy. Inaczej zostaniecie zwolnieni, zrozumiano?!

– Tak, sir. Tak, sir – odpowiadali jeden po drugim. Mruczeli, mamrotali, na ich twarzach malowała się złość, lecz również lęk.

Ross rozglądał się przez chwilę, po czym odwrócił się w stronę Caroline.

– Teraz możemy jechać – powiedział.

W tym momencie do kuchni wszedł jeszcze jeden mężczyzna. Był to Tom Harry.

– Ach, więc tu jesteś – rzekł Ross.

Harry zatrzymał się na progu. Niósł dzban rumu.

– Czego pan chce?

– Instruowałem służących na temat ich obowiązków. Muszą lepiej się opiekować panną Poldark albo zostaną zwolnieni.

– Powinien pan odejść. – Mężczyzna mówił wojowniczym tonem, lecz był mniej pewny siebie pod nieobecność George'a.

– Zakarbij sobie moje słowa, Harry. Dla własnego dobra.

– Nie ma pan prawa tu przychodzić i się wtrącać.

– Jest Boże Narodzenie i przyszedłem tylko was ostrzec, podobnie jak w zeszłym roku. Jeśli chcesz mi się sprzeciwić, powiedz to.

Harry zamrugał.

– Powinien pan odejść.

– Pamiętaj, co powiedziałem. Wrócę za tydzień ze szpicrutą i użyję jej, jak będzie trzeba. Chcę, żeby pannie Poldark usługiwano należycie. Dopilnuj tego, jeśli cenisz swoje zdrowie.

Wyszli. Judyta zarżała na widok pana. Ross pomógł Caroline zająć miejsce w siodle, następnie sam wsiadł na konia i ruszyli powoli podjazdem. Zaczął sypać gęsty śnieg, odjechali w samą porę.

Dotarli do bramy. Ross otworzył ją dla Caroline.

– Uwielbiam silnych mężczyzn! – powiedziała.

Ross odetchnął głęboko.

– Znakomity żart.

– Czasem żartem można powiedzieć prawdę.

– O tak, ale tylko przez przypadek.

– Nie tym razem.

Uśmiechnął się do niej.

– Nie mogę uwierzyć, że taka wykształcona i wyrafinowana kobieta jak ty może naprawdę cenić nasze brutalne wiejskie obyczaje.

– To dowodzi, jak słabo mnie znasz – odparła Caroline.

Odjechali w coraz gęstszym śniegu.

Rozdział trzeci

Do północy spadło piętnaście centymetrów śniegu. Gwiazdy znikły i świat skuł mróz. Wiał lodowaty wiatr; wydawało się, że nadleciał prosto z Golgoty.

Poszli późno spać, nie chcieli odchodzić od wielkiego ognia rozpalonego przez Rossa. W efekcie cała tylna część kominka żarzyła się na czerwono i musieli coraz bardziej się od niego odsuwać: czuli na twarzach nieznośne gorąco, lecz ich plecy wciąż owiewały chłodne podmuchy. Na górze w łóżkach leżały ogrzewacze, płonął ogień w kominkach, czekały wiadra pełne węgla, przygotowano na noc stosy polan, lecz oni ciągle siedzieli na parterze, korzystając z ciepła i miłej atmosfery panującej w salonie. Prowadzili przyjemną, spontaniczną rozmowę przy świetle świec.

W końcu Caroline wstała i przeciągnęła się.

– Muszę iść albo zasnąć. Nie przeszkadzajcie sobie. Wystarczy mi świeca. Przykryję się kocami i będę myśleć o ludziach, którzy mają mniej szczęścia. Chociaż, jak wiecie, nie jestem zbyt pobożna, może odmówię modlitwę za pewnego mężczyznę i poproszę, by we Francji nie było takiego mrozu. Dobranoc! Dobranoc!

– My też powinniśmy iść spać – powiedział Ross po jej wyjściu, po czym oboje usiedli wygodniej w fotelach i roześmieli się. – Naprawdę powinniśmy! – nalegał. – Clowance ciągle budzi nas wcześniej, nawet teraz, po swoim urodzeniu. I nie sądzę, aby odstraszał ją śnieg.

– Uważasz, że Caroline mówi poważnie? – spytała Demelza. – Że stworzy w swoim domu ośrodek dla emigrantów z Francji?

– Ona zawsze mówi poważnie, chociaż nie sądzę, żeby zapraszała każdego bez wyjątku. We Francji dużo się mówi o kontrrewolucji i Caroline wyraźnie zamierza ją wspierać na wszelkie możliwe sposoby.

– Jak?

– Emigrantom zwykle brakuje pieniędzy. Czasami Francuzi zbyt długo korzystają z czyjejś gościnności, aż zaczyna to irytować gospodarzy, choć mają najlepsze intencje. Spotkaliśmy dwóch takich ludzi w Trelissick, hrabiego de Maresi i madame Guise. Oboje mieszkają w Tehidy już od pięciu miesięcy i jestem pewien, że gospodarze chętnie by się ich pozbyli. Jest także wielu innych podobnych emigrantów.

– Są zaangażowani w tę kontr... kontrrewolucję? Tak to nazwałś, prawda?

– Jedna z głównych osób to de Sombreuil. Są także de Maresi, hrabia de Puisaye i niejaki generał d'Hervilly. Między Anglią a Bretanią bez przerwy krążą posłańcy.

– Co mają nadzieję osiągnąć?

– Połowa Francji, rozsądniejsza połowa, ma dość terroru i zbrodni. Wszyscy rozumni ludzie chcieliby powrotu stabilnych rządów i wielu uważa, że restauracja Burbonów to jedyna droga do osiągnięcia tego celu.

– Oni też są w Anglii?

– Kto?

– Ci... Burbonowie.

– Hrabia Prowansji. Nie, jest w tej chwili w Bremie, ale w odpowiednim czasie przyjedzie do Anglii. Pomysł polega na tym, by wylądował w Bretanii i ogłosił się królem. Wśród Bretończyków panuje wielkie niezadowolenie i zbrojnie go poprą.

– Myślisz, że to się może udać?

– Po raz pierwszy słyszałem o tym w lipcu w Trelissick. Wtedy uważałem te plany za zbyt niejasne. Ale z tego, co mówi Caroline, wynika, że od tamtego czasu poczynili praktyczne przygotowania.

– Dlaczego Caroline się tym interesuje? Ze względu na Dwighta?

– Dwight jest w Bretanii. Może uważa, że w ten sposób zdoła go uwolnić. Ale myślę, że Caroline nie jest w stanie znieść bezczynności w chwili, gdy Dwight siedzi w więzieniu. Naturalnie po Nowym Roku pojedzie do Londynu, by sprawdzić, czy zdoła załatwić jego zwolnienie, płacąc okup, ale myślę, że admiralicja spróbuje ją odwieść od tego zamiaru, bo po uzgodnieniu i zapłaceniu okupu nikt nie będzie mógł zagwarantować, że Francuzi dotrzymają umowy. Prawdopodobnie byłoby to kosztowne i bezużyteczne. Wiem, że Caroline sama tak podejrzewa. Z tego powodu wykorzystuje swoją energię i próbuje uśmierzyć lęki, pomagając w planowaniu powstania w Bretanii, by obalić rząd rewolucyjny.

Demelza milczała przez chwilę, spoglądając w zamyśleniu w żarzące się węgle w kominku.

– Wiesz, Ross, moim zdaniem Caroline trochę się w tobie podkochuje...

Ross dotknął włosów zasłaniających bliznę.

– Ja też trochę się podkochuję w Caroline, ale nie w taki sposób, jak sądzisz.

– A w jaki?

– Jest przyjaciółką, kompanem. Doskonale się rozumiemy. Ale to coś zupełnie innego niż to, co czuję do ciebie i co czułem, mogłem czuć...

– Do Elizabeth – dokończyła, stawiając sprawę otwarcie.

– Cóż, tak. Jednak w przypadku Caroline moje uczucia do niej nie rywalizują z uczuciami do ciebie. Ani przez chwilę nie przyszło mi do głowy, że jej sympatia do mnie i miłość do Dwighta mogą być podobne. To dość szczególna relacja.

– Takie relacje potrafią bardzo szybko dojrzeć. To także bywa zaskakujące.

– Z pewnością nie mogą zagrozić szczęśliwemu małżeństwu.

– Niebezpieczeństwo zawsze istnieje. Zwłaszcza gdy przez jakiś czas żona nie może być żoną ani nie wygląda jak żona.

– Czy dając mi kolejną córkę, nie jesteś idealną żoną?

– To bardzo szlachetna myśl, Ross.

– Szlachetna?! Wielki Boże, tak uważasz?! Ależ z ciebie przewrotna istota! Nie ma w tym nic szlachetnego. I obiecuję, że kiedy przestaniesz wyglądać jak żona, natychmiast ci o tym powiem.

Demelza zrzuciła pantofle i poruszyła palcami u nóg.

– Może żona to niewłaściwe słowo, może źle się wyraziłam. Widzisz, Ross, w każdym porządnym, dobrym małżeństwie żona spełnia trzy funkcje, prawda? Musi spełniać obowiązki żony i odpowiednio dbać o wygody męża. Musi rodzić dzieci, puchnąć jak dynia, a potem karmić dzieci, pachnieć dziećmi i opiekować się nimi, gdy raczkują... Ale musi także próbować być kochanką, kimś, kim mężczyzna jest zainteresowany, kimś, kogo pragnie, nie tylko przypadkową osobą, która jest pod ręką. Kimś trochę tajemniczym, jak nieznajoma, którą widział wczoraj jadącą na polowanie, kimś, kogo kolana albo... albo barku nie rozpoznałby natychmiast, gdyby zobaczył je obok siebie w łóżku. To... to po prostu niemożliwe.

Ross się roześmiał.

– Na pewno odnosi się to także do drugiej strony. Czego kobieta oczekuje od swojego męża...

– Nie tak wiele. Nie jest to zupełnie niemożliwe.

– Ale do pewnego stopnia jest. Nie zamierzam cię uspokajać, jeśli o to ci chodzi, bo jeżeli w tej chwili nie jesteś spokojna, żadne moje piękne słówka niczego nie zmienią.

– Nie, nie jestem spokojna...

– A dlaczego ja miałbym być spokojny? Wystarczy, że kiwniesz palcem, i natychmiast przybiegają mężczyźni. W przeszłości bez przerwy ci się naprzykrzali.

– Myślę, że masz poczucie winy, skoro oskarżasz mnie o coś, co się nigdy nie zdarzyło – odparła Demelza. – Kiedy czujesz się winny, zawsze zaczynasz mnie oskarżać.

– Pamiętasz, co się stało rok temu? – spytał sennie Ross. – Rozmawialiśmy o naszej miłości, o zasadach

wierności małżeńskiej i sam nie wiem, o czym jeszcze. W końcu postanowiłaś mnie opuścić. Pamiętasz? Osiodłałaś już konia i gdyby w tym momencie nie spieniła się baryłka piwa, moglibyśmy nie być już razem.

– Zawsze uważałam, że to piwo miało dziwny smak – odpowiedziała Demelza, jednak żartobliwe ostrzeżenie Rossa sprawiło, że umilkła. – Jestem wdzięczna Caroline, że pojechała dziś z tobą do Trenwith – rzekła po chwili. – Okazało się, że jej nieobecność ułatwiła mi sytuację. Ludzie, którzy przyszli na poczęstunek, nie czują się przy Caroline tak swobodnie jak z nami.

– Byłem zaskoczony, że wszyscy już sobie poszli.

– W taką złą pogodę woleli wrócić do domu, nim znowu zaczną padać śnieg. Sam urządził spotkanie dla części z nich.

– Ależ znalazłaś chrzestnego dla Clowance!

– To dobry człowiek, Ross, choć możesz z niego żartować. Wczoraj wieczorem zobaczyłem w wiosce Grambler starą wdowę Clegwidden, która wracała na czworakach do chaty, próbując dźwigać wiadro wody. Ma taki reumatyzm, że nie może stać, a pompa jest czterysta metrów od domu. Obiecał, że będzie przychodził do niej każdego wieczoru po szychcie i przynosił wodę.

– Jeśli ta pogoda się utrzyma, będzie miał mnóstwo okazji – odrzekł Ross. – W tym miesiącu węgiel podróżował do półtora szylinga za buszel. Kartofle podróżowały z czterech do pięciu szylingów za cetnar. Brakuje jęczmienia na chleb. Pięć jajek kosztuje dwa pensy, a masło szylinga za funt. Co może kupić parobek zarabiający osiem szylingów tygodniowo?

– Czy nie moglibyśmy jakoś pomóc miejscowym?

– Ludzie, którzy pracują w naszej kopalni, nie cierpią nędzy, ale to nie powód, byśmy żyli w świecie złudzeń. Zastanawiałem się, czy nie porozmawiać z innymi właścicielami ziemskimi i nie zaproponować, czy nie moglibyśmy razem wspomóc innych. Wiem, co odpowiedzą – że już wspomagają ubogich przez podatek na biednych. Poza tym pomagają rodzinom, które mieszkają w pobliżu dworów. Mówią, że nie chcą popierać nieróbstwa i lenistwa.

– Naprawdę zachęcaliby ludzi do nieróbstwa?

– Skądże. Walczyliby z głodem i chorobami. W normalnych czasach podatek na ubogich idzie na utrzymanie wdów, sierot, kalek i starców, ale teraz nędzę cierpią nawet zdrowi, przedsiębiorczy mężczyźni, którzy mają pracę.

– Może Caroline mogłaby namówić innych ziemian do pomocy? Jest teraz właścicielką majątku.

– Ale nie współczuje ubogim bardziej od innych. Szkoda, że nie ma Dwighta, który mógłby na nią wpłynąć.

– Porozmawiaj z nią, Ross. Wierzę, że mógłbyś ją przekonać.

Uniósł cynicznie brew.

– Zobaczmy. Przeceniasz mój wpływ na Caroline.

Demelza włożyła jeden z pantofli i trąciła stopą drugi.

– Zerknę jeszcze na zwierzęta – powiedział Ross. – Moses Vigus zostawił je przed czterema godzinami, a ja nie mam do niego zbyt dużego zaufania... Moglibyśmy najać więcej parobków. To jeden ze sposobów, praktycznych sposobów zapewnienia ludziom pracy.

– Ross, jest jedna rzecz, którą powinnam ci powiedzieć, zanim pójdziesz. Sam zdradził mi to w sekrecie i prosił, by ci o tym nie mówić, ale uprzedziłam go, że nie mamy przed sobą tajemnic...

Skinął głową.

– Ciekawy początek. Ciągłe się martwi o dom modlitwy?

– Zasugerowałam... po prostu zasugerowałam, że wiosną możesz przychylnie rozważyć ich prośbę. Nie... To drobna sprawa dotycząca Drake'a.

– Drake'a?

– Wygląda na to, że Drake często się spotyka z Geoffreyem Charlesem. Stali się wielkimi przyjaciółmi i Drake regularnie odwiedza Trenwith. A przynajmniej odwiedzał, przed wyjazdem Geoffreya Charlesa.

– Jak się poznali? I co w tym złego? Chyba że nie podoba się to...

– Zaprzyjaźnił się nie tylko z Geoffreyem Charlesem. Bardzo polubił także guwernantkę Geoffreya Charlesa, Morwennę Chynoweth.

Ross wstał i przeciągnął się. Świece migotały leniwie.

– Siostrę stryjeczną Elizabeth? Widziałem ją kiedyś?

– Była w kościele na świętego Michała, gdy pojechaliśmy na nabożeństwo. Jest wysoka, ciemnowłosa i czasem nosi okulary.

– Ale jak to się stało? Dziewczyna taka jak ona raczej nie powinna mieć kontaktów z Drakiem.

– Poznali się w czasie spacerów i nawiązali przyjaźń. Sam mówi, że chociaż Drake próbuje to ukrywać, jest bardzo zakochany. Nie sądzę, by Elizabeth albo ktoś inny o tym wiedział. Teraz oczywiście wszyscy pojechali do Truro na Boże Narodzenie, ale mają wrócić w przyszłym miesiącu. Sam się martwi, że ta znajomość zniechęci Drake'a do religii.

– To najmniejsze zmartwienie.

– Wiem.

W domu panowała absolutna cisza. Nawet morze nie szumiało. Po nieustannych wichurach cisza zwracała uwagę. Świat okrył całun śniegu.

– Ile lat ma ta dziewczyna?

– Siedemnaście lub osiemnaście.

– I czy... lubi Drake'a?

– Tak podejrzewam, sądząc z tego, co mówi Sam.

Ross z irytacją machnął ręką.

– Dlaczego ci przekłęci ludzie wreszcie się stąd nie wyprowadzą?! Ciągłe niesnaski, wrogość. Przypuszczam, że John Trevaunance albo Horace Treneglos również nie byliby zachwyceni, gdyby doszło do romansu między Drakiem a kuzynką jednego z nich, ale przynajmniej moglibyśmy się spotkać i porozmawiać rozsądnie na ten temat. Ale między George'em a nami – w tej chwili także między Elizabeth a nami – wszystko jest zatrute. Drake nie może mieć żadnej nadziei, że coś wyniknie z jego zalotów.

– Nie wiem, na co ma nadzieję.

– Zakochany człowiek czasem nie zastanawia się nad przyszłością.

– Sam mówi, że Drake nie chce słuchać jego rad. Spytał mnie, co powinien zrobić.

– Co możemy zrobić? Jeśli chcesz, mogę go zwolnić i odesłać do Illuggan, ale dlaczego miałbym go karać za coś, co tak naprawdę nie powinno nas obchodzić?

– Możemy zostać w to wplątani, właśnie tego się boję.

– Chcesz, żebym go zwolnił?

– Boże, nie! Ale trochę się martwię. Nie chciałabym, by doszło do awantury między Drakiem a George'em albo jego gajowymi.

– Wiesz, jaka jest ta dziewczyna? Czy potrafi mieć własne zdanie? Uważasz, że jeśli Elizabeth się dowie i zabroni jej przyjaźnić się z Drakiem, może jej nie posłuchać?

– Wiem tyle samo co ty.

– Niech diabli porwą twoich braci! – rzekł Ross. – Zachowują się, jakby przyszli do Nampary specjalnie po to, by sprawiać nam kłopoty. Już na samym początku powinniśmy byli mieć twarde serca i odesłać obu tam, gdzie jest ich miejsce.

Mróz nie ustąpił. W następnych dniach spadło niewiele śniegu, który nie stopniał. Cała Anglia, cała Europa tkwiły w okowach zimy. W sypialni Demelzy woda w misce, napelnianej każdego wieczoru, do rana całkowicie zamarzała. Trzeciego dnia miska pękła. Na parterze, w salonie, chociaż ogień płonął w kominku całą noc, szyby od wewnątrz pokrywał szron, który zniknął dopiero o drugiej po południu.

W hrabstwie Cumberland zamarzyły wszystkie wielkie jeziora, a zamglona Tamiza zaczęła pokrywać się lodem. W Nowy Rok kra przecinała cumy i uszkadzała statki, tydzień później w rejonie Shadwell i mostu w Battersea rzeka zamarzyła tak, że można było przejść po lodzie na drugi brzeg. Rozpoczęto przygotowania do jednego z wielkich jarmarków, lecz nigdy się nie odbył, ponieważ nagła odwilż sprawiła, że lód stał się niebezpieczny, choć nie stopniał do końca.

W Kornwalii drzewa były przez wiele dni pokryte szronem, a po krótkim słonecznym okresie pod koniec grudnia ziemię spowił półmrok przypominający blady świt. Nieustannie wiał przeszywający wschodni wiatr. W St Ann's zamarzyli na śmierć mężczyzna i kobieta – oboje upili się do nieprzytomności, by się rozgrzać. Żwirownię na terenie posiadłości Bodruganów pokryła warstwa lodu grubości pół metra; nawet nocnik Bodrugana zamarzył w ciągu nocy. Termometr sir Johna Trevaunance'a wiszący na ścianie jego dworu wskazywał dziewiętnaście stopni poniżej zera przez kilka nocy z rzędu. W końcu pękł z powodu mrozu i zirytowany sir John nie mógł mierzyć temperatury, gdy spadł deszcz. Ziemia, nawet gdy wiatr zwiął z niej śnieg, była twarda jak kamień. Pod koniec miesiąca sir John skarżył się z goryczą, że człowiek może umrzeć z powodu krwotoku z nosa, bo nigdzie nie da się znaleźć liści pokrzywy, by zatamować krwawienie.

We Flandrii armia francuska, wygłodzona, obdarta i pożerana przez robactwo, oskrzydliła i zaskoczyła oddziały angielskie i holenderskie, kiedy jej dowódca, generał Pichegru, otrzymał nagły rozkaz ataku po zamarznętej rzece Maas, po której zdołały nawet przejechać armaty. Przed nacierającymi Francuzami zamarzyły kolejne rzeki, a odwrót Anglików i Holendrów zmienił się w paniczną ucieczkę. W każdym mieście otwierającym bramy przed Francuzami witano ich jako przyjaciół i wyzwolicieli. Dwudziestego stycznia padł Amsterdam. Morze wypełniło się statkami z uciekinierami i ich dobytkiem, ale holenderska flota wojenna, zakotwiczona w pobliżu wyspy Texel, wypłynęła za późno i utknęła wśród lodu, po czym francuska kawaleria pogalopowała przez zamarznęte przestrzenie Zuiderzee, ciągnąc za sobą armaty. Mogłoby dojść do najbardziej niezwykłej bitwy w dziejach świata, w której po jednej stronie walczyliby huzarzy na koniach, a po drugiej skute lodem okręty wojenne przypominające ośnieżone fortece. Ale Holendrzy, rozumiejąc, że są w gorszej sytuacji, poddali się bez walki. Do końca miesiąca Francuzi opanowali całą Holandię.

Pogoda pomogła Francuzom podbić Niderlandy, lecz pokrzyżowała szyki George'owi Warlegganowi, którego wspaniały bal się nie udał. Trzydziestego pierwszego grudnia zaczęły się krótkotrwałe roztopy, padał grad i śnieg z deszczem. Nawet najbardziej niezłomni członkowie kornwalijskiego towarzystwa, przyzwyczajeni do wyrzeczeń w imię dobrej zabawy, nie mieli ochoty na kilkukilometrową jazdę drogami pokrytymi błotem o konsystencji rzadkiego puddingu, jak to określił jeden z zainteresowanych. Notable i arystokraci, których zaproszono do Cardew i którzy mieli spędzić tam noc, początkowo nie chcieli odmawiać ze względu na Elizabeth, lecz teraz skwapliwie skorzystali z pretekstu i wysłali do Warlegganów przemoczonych posłańców z przeprosinami.

Wieczór okazał się katastrofą. Orkiestra przybyła przed południem, ale jeden z muzyków poślizgnął się przed frontowymi drzwiami i tak boleśnie skręcił kostkę, że musiał położyć się do łóżka. Służba z Cardew przygotowała ogromne ilości jedzenia, lecz dodatkowi kucharze, których wynajęto, pojawili się dopiero po przybyciu gości, a części zamówionych potraw i trunków w ogóle nie dostarczono. Rezydencja, w opinii Elizabeth zwykle tak ciepła i wolna od przeciągów w porównaniu z Cusgame i Trenwith, tego wieczoru wydawała się ogromna i lodowato zimna. Podmuchy południowo-wschodniego wiatru z łatwością przenikały do wnętrza budynku. Mnóstwo mebli usunięto, by zrobić miejsce dla stu dwudziestu osób, i w pustych salach rozlegało się grobowe echo. Do północy pojawiło się zaledwie trzydziestu dwóch gości, więc tak wielkie przygotowania do przyjęcia okazały się zbędne. George zauważył ze skrywaną wściekłością, że ludzie ci, łącznie trzydzieści dwie osoby, są, co prawda, najmłodszy i najzdrowsi, lecz najmniej wpływowi wśród jego przyjaciół lub synów jego przyjaciół. Ich zachowanie nieznośnie działało mu na nerwy, choć hałas wypełniał pustkę wielkich sal.

Mimo to udawał zadowolonego. Od wielu lat pilnował się w miejscach publicznych, nie okazywał irytacji ani nie wygłaszał pochopnych sądów. Duma nie pozwoliła mu wyładować złości na Elizabeth czy służbie. Zamiast tego

postanowił jak najlepiej wykorzystać wieczór.

Tego wieczoru w Cardew pojawiło się kilku młodych mężczyzn, których nazwiska padły w rozmowach z Elizabeth, gdy dyskutowali o przyszłości Morwenny. Elizabeth stanowczo sprzeciwiała się starszym kandydatom. George zaakceptował jej weto w przypadku Ephraima Hicka i Hugh Bodrugana; sprzeciw wobec Johna Trevaunance'a był trudniejszy do zrozumienia, chyba że chodziło o wiek. Jednak w końcu George pojął, że, niezależnie od wad i zalet takiego małżeństwa, Elizabeth mogłaby się znaleźć w niezręcznej sytuacji, gdyby jej siostra stryjeczna została lady Trevaunance i zamieszkała w pobliżu jako sąsiadka. Na początku nie przyszło mu to do głowy, ale kiedy się zorientował, o co chodzi żonie, natychmiast zgodził się z jej zastrzeżeniami, choć wyrażała je niezwykle oględnie.

Tak czy inaczej, sir John nie pojawił się na balu i nawet nie przysłał przeprosin. Przyjechał za to Robert Bodrigan, a także John Treneglos i Osborne Whitworth. George, mający mniej obowiązków towarzyskich, niż się spodziewał, mógł obserwować, jak się odnoszą do Morwenny, a Morwenna do nich, i jak się zachowuje kilku młodych wilczków, którzy natychmiast przybiegli, zwabieni zapachem.

Zgodnie z sugestią George'a Elizabeth kazała uszyć dla Morwenny białą suknię i kuzynka wyglądała w niej doskonale. Biały jedwab podkreślał jej ciemnobrązowe włosy i śniadą karnację. Również figurę. George, który w normalnych okolicznościach nigdy nie miał fantazji seksualnych, mimo woli pożerał wzrokiem smukłą, posagową sylwetkę Morwenny i zastanawiał się, jak wyglądałaby nago.

Podobne myśli mogli snuć również niektórzy z młodszych mężczyzn obecnych w sali. Chociaż Morwenna była zbyt spokojna i nieśmiała, by znaleźć się w centrum zainteresowania, nie brakowało jej partnerów: budziła ciekawość wielu gości. George miał wrażenie, że nagle rozkwitła, i zastanawiał się, czy przypadkiem nie ocenił zbyt pesymistycznie jej perspektyw matrymonialnych. Gdyby ją odpowiednio ubrać i przygotować, mogłaby wpaść w oko komuś jeszcze wyżej postawionemu – na przykład jednemu z młodszych Boscawenów, a nawet Mountowi Edgcumbe'owi. Sama myśl o tym wywoływała zawroty głowy.

Prawdopodobnie nic by z tego nie wyszło. Nie miała posagu i nawet gdyby wszystko poszło dobrze, rodziny byłyby przeciwne. Boscawenowie, choć bardzo bogaci, byli znani z wydawania córek za ludzi posiadających wielkie fortuny. George chciał korzystnie wydać Morwennę za mąż i był gotów zapewnić jej niewielki posag, lecz nie mógł jej wyposażyć w naprawdę duży majątek.

A pozostali kandydaci? Robert Bodrigan nie okazywał żadnego zainteresowania i umizgał się do osławionej Betty Devoran, bratanicy lorda Devorana, dziewczyny o grubych nogach, ona zaś robiła do niego słodkie oczy. Frederick Treneglos po początkowym wypadzie przyłączył się do hałaśliwej grupy młodych mężczyzn, którzy stali przy drzwiach i domagali się zmiany programu tańców na mniej formalne. Do Morwenny, stojącej w kącie sali, stale podchodził tylko wielebny Osborne Whitworth. George doskonale zdawał sobie sprawę, że sympatia to nie wszystko. Małżeństwo z Morwenną można by zaproponować wszystkim kandydatom jako rodzaj transakcji handlowej, oni zaś spokojnie rozważyliby ofertę i uznali ją za korzystną bądź niekorzystną. Jednak wzajemna sympatia byłaby pomocna. Poza tym George w jakiś sposób uważał młodego Whitwortha za najlepszego kandydata. Po pierwsze, był duchownym, a któż nadawałby się lepiej na męża córki dziekana? Po drugie, jako wdowiec z dwojgiem dzieci pilnie potrzebował nowej żony. (George zauważył, że żaloba nie przeszkodziła mu przybyć w jasnozielonym wciętym surducie i cytrynowożółtych rękawiczkach). Po trzecie, brakowało mu pieniędzy. A po czwarte, jego matka – która tego wieczoru skapitulowała przed gradem i deszczem ze śniegiem – pochodziła z rodu Godolphinów.

Morwenna traktowała wysokiego, mówiącego donośnym głosem, afektowanego młodego duchownego jedynie jako partnera do tańca i do rozmowy. Zaproszenia i niespodziewane zainteresowanie ze strony kilku młodych mężczyzn sprawiały jej przyjemność. Ale była to powierzchowna przyjemność, w czasie tego Bożego Narodzenia całe jej życie w Truro miało w sobie coś powierzchownego. Jakby podzielono się na dwie części. Jedna część dotyczyła dość miłej codziennej rutyny: Morwenna wstawiała, jadła śniadanie, towarzyszyła Geoffreyowi

Charlesowi, brnęła w śniegu do kościoła pod wezwaniem Matki Boskiej, piła herbatę, haftowała serwetę, która miała być popisem jej umiejętności, pomagała Elizabeth podawać herbatę gościom grającym w wista, a później szła kręconymi schodami do maleńkiego, zimnego pokoiku na najwyższym piętrze domu i kładła się spać. Jednak w głębi krył się inny świat złożony z dziwnych, słodkich wspomnień – Morwenna wyobrażała sobie ciemne oczy i bladą twarz Drake'a, przypominała sobie jego odrobinę szorstkie dłonie, gdy dotykał jej ramion, myślała o nieśmiałym, pełnym obietnic pocałunku. Całymi dniami, całymi godzinami przeżywała na nowo spotkania z młodym cieślą, każdy gest, każde wypowiedziane słowo.

Były to niepokojące marzenia, bo rozumiała, że Drake nie jest jej przeznaczony. Chociaż wysławiał się lepiej niż niektórzy prości robotnicy, mówił językiem klas niższych: miał ciężki kornwalijski akcent i robił błędy gramatyczne. Prymitywny strój, prymitywny tryb życia, a nawet przynależność do ruchu metodystycznego sprawiały, że nie powinna się z nim widywać. Zdawała sobie sprawę, że matka, siostry i Elizabeth byłyby zaszokowane, gdyby się dowiedziały, że się z nim spotyka. Uznałyby, że nadużyła zaufania, pozwalając Drake'owi nawiązać przyjaźń z Geoffreyem Charlesem – jakkolwiek romans był nie do pomyślenia. Często odczuwała lodowaty dreszcz lęku, że wszystko wyjdzie na jaw. Ale w duchu wiedziała, że rzeczywiste jest tylko to, co dzieje się między nią a Drakiem. Rzeczywiste jak choroba, rzeczywiste jak zdrowie, rzeczywiste jak życie, rzeczywiste jak śmierć. Cała reszta to złudzenie. Jej miłość przypominała silny prąd płynący w głębinie, którego nic nie jest w stanie powstrzymać.

Spała, budziła się, spała, budziła się, wykonywała swoje obowiązki, prowadziła normalne życie. Kiedy przystojny młody człowiek zaprosił ją do gawota – którego kroków prawie nie знаła – w naiwnym oszołomieniu przyjęła wyciągniętą rękę i, prawie nic nie widząc, poszła wraz z nim na środek sali. Później, gdy wysoki młody mężczyzna w koloratce, lecz bez innych oznak świadczących o przynależności do stanu duchownego, stał przez dwadzieścia minut obok jej fotela i tubalnym głosem opowiadał o wojnie, pogodzie i edukacji dzieci, kiwała głową i w odpowiednich chwilach mówiła cicho: „Tak, naturalnie”, spoglądając na niego krótkowzrocznymi oczyma i nic nie rozumiejąc.

Uczczono nadejście Nowego Roku i znów rozpoczęły się tańce, które trwały do drugiej. Z powodu brzydkiej pogody George zaproponował nocleg wszystkim gościom, którzy mieli na to ochotę, i nikt nie odrzucił zaproszenia. Za oknami wiał porywisty wschodni wiatr i nawet najodważniejsi nie mieli ochoty brnąć nocą w głębokim błocie, mogąc w każdej chwili wpaść do przydrożnego rowu wypełnionego metrową warstwą wilgotnego śniegu. Perspektywa dzielenia sypialni i łóżek wydawała się ekscytująca, lecz w większości przypadków nadzieje się nie spełniły z powodu dużej liczby gości. Nikt jednak nie wiedział, co się stało z Robertem Bodruganem i Betty Devoran, a najmłodsza niezamężna córka państwa Teague'ów, Joan, która po raz pierwszy wybrała się na przyjęcie bez matki, zdołała wymknąć się swojej siostrze Ruth Treneglos i zdobyła nowe, ciekawe doświadczenia z Nicholasem, najstarszym synem państwa Cardew.

George starał się być szczególnie miły dla Ossiego Whitwortha i zaprosił duchownego na podwieczorek do domu w Truro. W trakcie niezobowiązującej rozmowy przypadkiem padło nazwisko panny Chynoweth, a wielebny Osborne natychmiast zrozumiał, o co chodzi – próżność nie pozbawiła go inteligencji. Był dostatecznie rozsądny, by w tym momencie nie rozwijać tematu, lecz ziarno zostało zasiane. Postanowił odwiedzić Warlegganów za kilka dni i wypić herbatę z damami. Później, zanim podejmie ostateczną decyzję, powinien odbyć rozmowę z panem Warlegganem. Delikatną rozmowę, gdy obaj mężczyźni będą poruszać sprawy, które nie nadają się dla wrażliwych niewieścich uszu.

Rozdział czwarty

Ross co tydzień włókł się przez śnieg i lód, by odwiedzić ciotkę Agathę. Caroline nie towarzyszyła mu już dla bezpieczeństwa – wróciła do domu dwudziestego dziewiątego. Mimo to dalej wyruszyła i wracał. Nie dochodziło przy tym do awantur. Podczas nieobecności George'a służący zdawali się obawiać Rossa, a Tom Harry schodził mu z drogi. (Harry Harry, niebezpieczniejszy z braci, pojechał ze swoim panem do Truro). Ross każdego tygodnia wdrapywał się po schodach do zagraconego, brzydkiego pokoju, spędzał pół godziny ze starą damą, słuchał jej skarg, próbował oddzielić prawdziwe od wymyślonych, głaskał Smolletta, karmił okruszkami kosa, przeklinał wraz ze starszą pogodę i przestrzegał Lucy Pipe przed utratą pracy, jeśli nie będzie się przykładała do swoich obowiązków. Kiedy pojawiał się w Trenwith, a przybywał w różnych porach, na kominku płonął ogień, pościel była uprana, pokój i ciotka Agatha wyglądały dość czysto. Nawet smród wydawał się mniej intensywny.

Zwykle mógł się porozumieć ze starszą, lecz jej samopoczucie często się zmieniało. Czasem wpadała w płaczliwy nastrój i pewnego dnia powiedziała ze łzami w oczach:

– Ross, nie rozumiem, dlaczego ciągle żyję. Myślę, że Bóg zupełnie o mnie zapomniał!

Jednak w czasie następnej wizyty była wściekła z powodu jakiegoś zaniedbania i wykrzyknęła:

– Niech diabli porwą tę babę! Mówię ci, zrobiła to celowo! Mogła mnie zabić!

W okręgu szalały choroby. Doszło do wielu zgonów, zwłaszcza wśród dzieci, które umierały na zapalenie płuc i z powodu niedożywienia. Jud Paynter, który niedawno przejął obowiązki grabarza, skarżył się, że ziemia jest tak twarda, iż „musi zakopywać je płytko jak kartofle”. Pewnego dnia pod koniec stycznia, gdy Ross przebywał w kopalni, Henshawe wszedł za nim do niewielkiej, podszytej wiatrem szopy, którą wzniesiono nieopodal maszynowni i przeniesiono do niej biuro, pierwotnie mieszczące się w bibliotece.

– Myślę, że powinienem panu coś powiedzieć, sir. Ostatnim razem skarżył się pan, że nic nie mówiłem.

– O czym?

– O Wheal Leisure. Wspomniał pan kiedyś, że w czasie pobytu w Truro słyszał pan pogłoski o wyczerpywaniu się żyły głównej. Nic o tym panu nie mówiłem, ponieważ...

– Tak, tak. Nie skarzę się. Rozumiem pańskie położenie i szanuję pana decyzję.

– Tak, sir, ale teraz sytuacja się zmieniła. Nowiny szybko się rozchodzą, a ja nie chcę, żeby je pan poznawał z drugiej ręki. Nie chcę mieć potem wyrzutów sumienia, że nic panu nie powiedziałem.

– Więc co chce mi pan teraz powiedzieć? Znowu znaleziono bogatą żyłę?

– Wczoraj odbyło się kwartalne zebranie udziałowców. Przeprowadzono je w Mingoose, bo pan Horace Treneglos jest niezdrów i nie może podróżować przy tej pogodzie. – Henshawe nerwowo przygryzł paznokieć kciuka. – Przybyło niewielu współników. Panią Trenwith reprezentował kancelista pana Pearce'a, a Warlegganowie wysłali swojego prawnika, pana Tankarda, by mówił w ich imieniu.

– Cóż, mam nadzieję, że kopalnia ciągle przynosi zyski.

– Tak, sir, chociaż bardzo niewielkie. Ale nie to chciałem panu powiedzieć. Podjęto decyzję o zamknięciu kopalni.

Ross zerwał się na równe nogi.

– Co takiego?!

Henshawe skinął głową. Oczy miał chłodne jak zimowe niebo.

– Na zebranie przyszedł przedstawiciel Warleggana z jego instrukcjami. Ogłosił, że należy zamknąć Wheal Grace, i podjęto taką decyzję.

– Ależ to potworne! W tym momencie, przy takiej... Przecież mówi pan, że kopalnia ciągle przynosi zyski?

– Symboliczne. Tankard powiedział, że pora ją zlikwidować. Czerwona miedz się skończyła i w tym roku z trudem zamykaliśmy bilans na plusie. Powiedział, że należy zakończyć działalność, zanim pojawią się straty, i postawił na swoim.

– Jak to się mogło stać? Warlegganowie kontrolują tylko połowę udziałów. Sam mi pan to mówił przed kilkoma miesiącami. Czy ktoś...

– Poparł ich Renfrew.

– Renfrew? Ale przecież...

– To dostawca wyposażenia górniczego, sir. Zaopatruje wszystkie kopalnie Warlegganów w St Ann's i jest od nich zależny. Trudno go winić, że zagłosował po ich myśli, jeśli dali mu do zrozumienia, czego od niego oczekują. Oczywiście nie twierdzę, że go do tego namówili, lecz dostawcy wyposażenia górniczego zwykle są ostatnimi ludźmi, którzy chcieliby zamykać kopalnie, bo zarabiają na dostawach.

– Boże miłosierny! – zawołał Ross. – Chętnie skrzyłbym Warlegganom karki! To oznacza, że parafia będzie musiała utrzymywać dodatkowo sześćdziesięciu lub siedemdziesięciu ludzi. Ucierpi trzydzieści pięć albo czterdzieści rodzin, w tym moi przyjaciele. Kiedy otworzyliśmy Wheal Leisure, zatrudniła się tam większość moich sąsiadów, a ja chętnie dałem im pracę. Jak pan wie, do Wheal Grace przyjmowaliśmy głównie ludzi z Sawle i wioski Grambler.

Nie mogę ich teraz wyrzucić, by zatrudnić górników zwolnionych z Leisure! Nie mogę też... nie mogę nagle podwoić liczby górników i wydobywania w Grace, by przyjąć nowych ludzi! Chyba któregoś dnia zabiję George'a!

– Niech pan tego nie mówi nawet w słusznym gniewie, sir – odparł Henshawe. – Wszyscy wiemy, że to najgorszy moment na zamknięcie kopalni. Ale... tak to już jest na świecie. Ludzie będą cierpieć jeszcze większą nędzę, ale jakoś to zniosą, tak jak zawsze. Każdy górnik wie, że jego kopalnia może zostać zlikwidowana. Kopalnie pojawiają się i znikają. Pamięta pan, jak blisko zamknięcia Wheal Grace byliśmy w zeszłym roku? Wszystko mogło się potoczyć inaczej.

Gniew Rossa był tak wielki, że wydawało się, iż rozsądzi niewielkie biuro. Chociaż jego głowa znajdowała się trzydzieści centymetrów od belek sufitu, odnosiło się wrażenie, że wypchnie je na zewnątrz.

– Mogło się potoczyć inaczej, ale się nie potoczyło! To niesłychane, bo Wheal Leisure ciągle przynosi zyski! Nikt nie stracił ani pensa! Moim zdaniem to próba uderzenia we mnie za pośrednictwem górników i wieśniaków! Wygląda to tak, jakby Warlegganowie chcieli powiedzieć: Jest teraz zamożny, więc niech otacza go głód, niech zaraza i niedostatek zabijają kobiety i dzieci wokół niego! Nie możemy zniszczyć jego kopalni, ale możemy zniszczyć jego sąsiadów!

Henshawe przygryzł kciuk.

– Musiałem to panu powiedzieć, sir, chociaż miałem świadomość, że to będzie dla pana przykre. Miałem jednak nadzieję, że nie weźmie pan tego do siebie, bo nie musi to być sprawa osobista. Pan Warleggan mieszka w tej chwili w okręgu i chyba chciałby zdobyć popularność. Odbieranie ludziom pracy nie przyniesie mu korzyści. Nie wierzę, że chciał w pana uderzyć. Moim zdaniem to po prostu interesy.

– Niech się udławi swoimi interesami!

– Amen. To nowa filozofia prowadzenia interesów, sir. Widywałem takie rzeczy już wcześniej i niewątpliwie zobaczą znowu. Nasze cenne akcje stały się nagle bezwartościowe, to samo dotyczy Warlegganów. W istocie najwięcej straci pan Cary Warleggan, który niedawno kupił udziały pana Pearce'a, a reszta współników dobrze zarobiła. Pan Treneglos, ja, pani Trenwith, pan Renfrew: każdy z nas zainwestował niespełna sto funtów, co przyniosło przeszło dwudziestokrotne zyski. Pan Pearce musi być w świetnym humorze, że zarobił tyle samo i tak niedawno sprzedał swoje udziały... Nie, sir. – Henshawe niepewnie dotknął dłonią rękawa Rossa. Jak na tak rosnącego mężczyznę jego ręce były zadziwiająco małe i delikatne. – Nie, sir, przyczyną są wyłącznie kwestie finansowe. Rozmawiałem później z Tankardem i moim zdaniem mówi prawdę. Dopóki wydobywaliśmy czerwoną miedz i Wheal Leisure przynosiła duże zyski, Warlegganowie zamierzali utrzymywać ją w ruchu. Kiedy czerwona

miedź się wyczerpała, Wheal Leisure stała się zwykłą kopalnią wykazującą niewielkie zyski i powiększającą podaż rudy miedzi, co szkodziło ich interesom. Konkurowała z pozostałymi trzema kopalniami Warlegganów i zbijała cenę wydobywanej w nich rudy!

– Chętnie zabrałbym George’a do kopalni – powiedział Ross. – Zastanawiam się, czy był kiedyś na dole. Mógłby pan to załatwić, jak pan sądzi?

– Bardzo pana proszę, sir, by nikomu pan o tym nie wspominał – odparł Henshawe. – Decyzja zostanie ogłoszona najwcześniej za miesiąc. Ale czułem, że muszę to panu powiedzieć. Chciałbym mieć pańskie słowo.

Minał styczeń i nadszedł luty, równie wietrzny i mroźny. Caroline mogłaby dotrzeć do Londynu tylko drogą morską, na co nawet ona nie chciała się zdecydować, toteż za namową Demelzy, a szczególnie Rossa, poświęciła się działalności na rzecz ubogich. W towarzystwie masztalerza jeździła od dworu do dworu na swoim siwku i posługując się pochlebstwami, groźbami oraz podstępami, namawiała właścicieli do udzielania pomocy finansowej biedakom i głodującym górnikom. Założyła fundusz, wpłacając dwadzieścia gwinei, a Ross dołożył drugie tyle. Uważała, że każdy z okolicznych ziemian powinien wpłacić co najmniej taką samą kwotę, lecz w niektórych dworach spotkała się z oporami. Sir John Trevaunance, który stracił do niej część sympatii, gdy odrzuciła zaloty Unwina, argumentował, że sprzedaje swoim robotnikom zboże po obniżonej cenie – dlaczego miałby ich wspomagać po raz drugi? Zaoferował dwa funty. Caroline odmówiła, lecz nie wyszła. Po trzech godzinach wstała i wyraziła nadzieję, że nazajutrz sir John będzie lepiej usposobiony, po czym obiecała znów go odwiedzić. Sir John zaproponował dziesięć funtów. Caroline przyjęła pieniądze, ale oznajmiła, że przyjedzie po drugą połowę w przyszłym miesiącu.

Stary Horace Treneglos wyraził chęć wpłaty, lecz jego syn John roześmiał się Caroline w twarz i powiedział, że nigdy w życiu nie miał takiej gotówki. Caroline odparła, że przyśle wóz i zabierze zawartość jednej ze stodół. W końcu znalazł piętnaście gwinei. Sir Hugh Bodrugan był akurat w dobrym humorze i bez oporu dał dwadzieścia. Trenwith było puste, więc napisała list do George’a i wysłała z pismem masztalerza. Wrócił z dwudziestoma pięcioma gwineami. Pięć gwinei więcej, by znaleźć się na pierwszym miejscu? – pomyślała Caroline. Później zwróciła się do płotek, od których oczekiwała mniejszych wpłat. Niczym irlandzki ksiądz znający możliwości finansowe każdego z parafian, przed każdą kolejną wizytą z góry ustalała wysokość kwot, które zamierzała uzyskać – korzystała przy tym z informacji udzielanych przez swojego rządcę Mynersa. Dzięki temu zdołała wydobyć dziesięć funtów od zaskoczonego Trencroma, nim zdążył wymyślić wiarygodną wymówkę.

Celem funduszu Caroline nie było rozdawnictwo zapomóg finansowych, lecz zakup ładunku zboża wiezionego przez statek, który powinien wkrótce zawinąć do St Ann’s. Zamierzano je sprzedać górnikom i ich rodzinom po obniżonej cenie. Zboże postanowiono rozdawać za darmo tylko w wyjątkowych przypadkach, ponieważ w teorii nikt nie powinien głodować, czemu służył podatek na rzecz ubogich.

Pod koniec stycznia Ross dowiedział się od ciotki Agathy, że Elizabeth nie zamierza jeszcze wracać do Trenwith, ponieważ Valentine jest chory – napisała, że nie mogą podróżować w czasie złej pogody. Geoffrey Charles, Morwenna i Chynowethowie również pozostali w Truro.

Szesnastego lutego Demelza, karmiąc ptaki w zamarznętym ogrodzie – te, które nie zginęły z powodu mrozu, oswoiły się tak, że jadły chleb z ręki – zauważyła pierwszy przebiśnieg, białą gwiazdę wystającą ze zlodowaciałej ziemi. Natychmiast pobiegła powiedzieć Rossowi, lecz była to jedyna oznaka zbliżającej się wiosny. Nieustannie wiał wschodni wiatr, niebo pokrywały szare chmury, zamarznęta ziemia była twarda jak kamień. Samuel, próbujący ocalić dusze wielu ludzi, uznał, że musi się również troszczyć o ich ciała. Wiedział, że wiara jest ważniejsza od przyziemnych spraw, lecz konieczność czasem zmuszała go do takich działań.

Jedną z niespodziewanych ofiar zimy był Nick Vigus. Zawsze z powodzeniem oszukiwał innych, więc należało się spodziewać, że oszuka również zapalenie płuc, na które nagle zachorował. Ale nie pomogły nawet zabiegi doktora Choake’a, który inkasował szylinga i sześć pensów za wizytę, i Vigus zmarł cicho w nocy. Kiedy przyszedł jego czas, nie okazał się sprytniejszy od sąsiadów. Jud miał ten przywilej, że mógł wykopać dół, w którym spoczął

jego stary przyjaciel i kompan w nieprawości. Vigus zostawił żonę, osierocił syna, trzy córki i dwie wnuczki, córki najstarszej z córek. Wkrótce przeszli na utrzymanie parafii.

Dwudziestego piątego lutego zamknięto Wheal Leisure. Nazajutrz Ross zatrudnił dodatkowych dwudziestu ludzi. Wyjaśnił Demelzie, że może sobie pozwolić na tego rodzaju wydatek w celach dobroczynnych. Nie po to, by wydobywać więcej rudy cyny z obecnych wyrobisk, lecz w celu drażenia chodników poszukiwawczych, głównie w kierunku Wheal Maiden.

– Jeśli zacznę wydobywać więcej rudy, będę działał przeciwko samemu sobie. Ale nasze zyski pozwalają na dodatkowe wydatki. Kto wie, może odkryjemy nową żyłę, którą będziemy mogli eksploatować w przyszłości? Oznacza to po prostu, że nasze koszty wzrosną proporcjonalnie do ilości wydobywanej rudy.

W tym samym tygodniu przyplłynął statek ze zbożem. Ładunek przewieziono na brzeg i sprzedawano w niedzielne ranki w klasie szkółki parafialnej w St Ann's. Cena pszenicy wynosiła czternaście szylingów za buszel, a jęczmienia siedem szylingów za buszel, czyli mniej więcej połowę tego, ile wynosiła na rynku w Truro. Dystrybucja przebiegała w absolutnym porządku: kolejka ustawiała się dwie godziny przed rozpoczęciem sprzedaży. Prowadzili ją pracownicy parafii, lecz Caroline lub jeden z głównych darczyńców co tydzień pojawiali się na miejscu na wypadek sporów dotyczących ceny lub jakości.

Zrealizowawszy swój plan, Caroline wreszcie pojechała do Londynu, ale najpierw spotkała się w swoim domu z emigrantami z Francji. Zaprosiła Rossa i Demelzę, lecz ta nie mogła przyjechać, bo Jeremy zachorował na influencję i miał wysoką gorączkę. Demelzie brakowało Dwighta prawie tak bardzo jak Caroline. Prymitywny, hałaśliwy doktor Choake ze skłonnością do puszczania krwi zawsze budził w niej lęk, zwłaszcza gdy miał leczyć jej dzieci. Jeremy nie znosił Choake'a, zwłaszcza po tym, jak doktor rozebrał go do naga i przywiązał za kostki do łóżka, by dokładnie mu się przyjrzeć. Zachowywał się zupełnie inaczej niż doktor Enys, który przychodził, siadał obok łóżka, mówił cichym głosem, ze współczuciem zadawał pytania, a później delikatnie przeprowadzał badanie, przez cały czas uważnie obserwował chorego, by postawić właściwą diagnozę.

Dwighta brakowało nie tylko Demelzie. Tyfus najpierw pojawił się w przytułkach dla ubogich położonych między wioskami Grambler a Sawle. Zbierał w nich śmiertelne żniwo przez miesiąc lub dłużej, lecz wszyscy zdawali sobie sprawę, że epidemia się rozprzestrzeni. Pojawiało się coraz więcej przypadków ospy. Choake był wstrząśnięty, że Jeremy'ego jeszcze nie zaszczepiono, i chciał to zrobić natychmiast, ale Demelza, pamiętając, że chirurg robi bardzo głębokie nacięcia, powiedziała, że jeszcze się zastanowi, i w głębi duszy modliła się o powrót Dwighta.

Drake otrzymał od Geoffreya Charlesa dwa dziecięce listy, w których nie było prawie żadnych wiadomości o Morwennie. Chłopiec opisywał swoje zajęcia, zapewniał Drake'a o dozogonnej przyjaźni i obiecywał szybki powrót. W drugim liście poinformował, że wyjazd z Truro opóźnia się z powodu choroby Valentine'a i że on oraz Morwenna z pewnością wrócą do Trenwith szóstego marca.

Piątego marca znów zaczął padać śnieg.

Choroba Valentine'a była poważna. Przed swoimi pierwszymi urodzinami stracił apetyt, wymiotował i miał biegunkę. Później bardzo pocił się we śnie i rozkopywał się w łóżku nawet w najzimniejsze noce. Polly Odgers stale go przykrywała i nie mogła zmrużyć oka. Kiedy doktor Behenna zauważył, że chłopiec ma bardzo miękkie kości oraz opuchnięte nadgarstki i kostki, rozpoznał początek powszechnej, groźnej choroby Dzieci często chorowały na krzywicę, lecz nigdy nie zdarzyła się ona w rodzie Poldarków. Ciotka Agatha, kiedy dowiedziała się z listu Elizabeth o kłopotach zdrowotnych chłopca, orzekła, że przyczyną jest „zła krew ojca i matki”. Warlegganowie bardzo się martwili, bo uważali Valentine'a za następcę tronu i byłoby dla nich wielkim upokorzeniem, gdyby dziecko mające odziedziczyć całą ich fortunę okazało się zdeformowane lub kalekie.

Daniel Behenna jeździł konno po wybrukowanych, niezdrowych ulicach Truro niczym półbóg i stawiał diagnozy z niezachwianą pewnością siebie, której ludzie potrzebowali. Codziennie odwiedzał małego pacjenta i bardzo szybko zdecydował, jaka kuracja będzie najlepsza – w istocie jedyna w przypadku krzywicy. Przyjeżdżał do Warlegganów o szóstej wieczorem, gdy Valentine'a zwykle kładziono spać, po czym nacinał płatki małżowin

usznym chłopca. Uzyskaną krew mieszał z dwukrotnie większą ilością *aqua vitae* – alchemiczna nazwa czystego spirytusu – i nacierał tą substancją szyję, boki i pierś chłopca. Następnie wyjmował przygotowaną przez siebie zieloną maść, rozgrzewał ją na łyżeczce i szybko wcierał parzącą substancję w nadgarstki i kostki wrzeszczącego dziecka, masując delikatne kości. Powtarzał te czynności przez dziesięć wieczorów. Valentine nie mógł w tym czasie opuszczać łóżka i nie zmieniano mu koszul nocnych. Później Behenna założył mu łupki na obie nogi i obie ręce.

Kuracja nie poprawiła stanu zdrowia Valentine'a. Miał wysoką gorączkę i chwilami wydawał się bliski śmierci. Wezwano innego lekarza, który uznał dotychczasowe leczenie za właściwe, ale zalecił puszczenie krwi i lewatywę. Kazał również regularnie przykładać do stóp chłopca flanelę nasączoną spirytusem. Tydzień później zaniepokojeni rodzice wezwali doktora Pryce'a z Redruth, który był bardziej lekarzem górniczym niż ogólnym, jednak miał duże doświadczenie w leczeniu krzywicy. Uznał, że chłopcu należy zdjąć łupki, zalecił pozostanie w łóżku, ciepło, spokój, czytanie bajek i podawanie tyle ciepłego mleka, ile Valentine zdoła wypić. Kilka dni później mały pacjent zaczął odzyskiwać zdrowie.

Chociaż oboje rodzice byli równie wytrąceni z równowagi chorobą syna, George nie przestał zajmować się prowadzeniem interesów i snuć planów na przyszłość.

Pod jednym względem całkowicie błędnie ocenił Ossiego Whitwortha. Ponieważ pochodził z prostej rodziny, uważał, że rozmowy z duchownym na temat posagu panny młodej powinny być prowadzone w sposób delikatny i zawołowany. Ich przebieg okazał się zupełnie inny. Nie po raz pierwszy i nie po raz ostatni George przekonał się, że im wyższy status społeczny danej osoby, tym chętniej nazywa ona rzeczy po imieniu.

George myślał o posagu w wysokości dwóch tysięcy funtów. Kiedy w końcu wymienił tę sumę, Ossie nie wyraził zgody. Oświadczył, że ma przeszło tysiąc funtów długów. Aby żyć na odpowiedniej stopie jako proboszcz kościoła Świętej Małgorzaty w Truro, potrzebuje kwoty, która po zainwestowaniu dałaby mu dodatkowe dochody w wysokości około trzystu funtów rocznie. Gdyby po ślubie z Morwenną otrzymał zaledwie tysiąc funtów, jego sytuacja prawie by się nie poprawiła. Kwota ta, mądrze zainwestowana, mogłaby przynieść siedemdziesiąt funtów rocznie, a to zaledwie podwoiłoby jego dochody.

Ponieważ mówiono otwarcie, George grzecznie spytał, o jakiej kwocie duchowny myśli. Ossie odparł, że o co najmniej sześciu tysiącach funtów. George powoli zaczynał czuć antypatię do zarozumiałego młodego pastora. Tylko koneksje matki Whitwortha kazały mu trzymać język na wodzy, lecz nie powstrzymały go od podsumowania podstawowych faktów, tak jak je postrzegał. Po pierwsze, Morwenna ma osiemnaście lat, jest córką dziekana i pochodzi z jednego z najstarszych rodów w kraju. Jest pobożna, zdrowa, posłuszna i wyjątkowo lubi dzieci osierocone przez matki – pan Whitworth niewątpliwie pamięta, że ma dwoje dzieci – ponadto potrafi zarządzać domem i jest bardzo urodziwa. Po drugie, on sam, George Warleggan, pomaga Morwennie *in loco parentis* i nie ma nic do zyskania: pragnie jedynie sprawić przyjemność żonie i czuje sympatię do naprawdę dobrej dziewczyny. Nie ma powodu, by wykladał jakiegokolwiek pieniądze, lecz jest gotów dać Morwennie posag w wysokości dwóch tysięcy funtów. Taka kwota, bardzo poważna w obecnych czasach, skusiłaby mnóstwo młodych ludzi. Jeśli pan Whitworth uważa, że bez trudu znajdzie ładną młodą pannę dysponującą sześcioma tysiącami funtów, która chciałaby połączyć swój los z tonącym w długach, pozbawionym jakiegokolwiek majątku duchownym, oczywiście nic nie stoi na przeszkodzie, by jej szukał.

Naturalnie nie należy się śpieszyć, dodał George. Może pan Whitworth powinien wrócić do domu i przemyśleć sprawę?

Działo się to pod koniec stycznia. Osborne wrócił do domu i omówił sprawę ze swoją matką; George wiedział, że to zrobi. Whitworth taktycznie odczekał dziesięć dni, po czym znów złożył George'owi wizytę. Stwierdził, że bardzo dokładnie rozważył propozycję George'a i wrócił tylko dlatego, że jego uczucia wobec Morwenny się nie zmieniły. Aby zdobyć taką śliczną i kochającą żonę, zgodziłby się na posag w wysokości czterech tysięcy funtów. Po spłacie długów dałoby mu to dwieście funtów rocznego dochodu. Czy pan Warleggan, a zwłaszcza pani

Warleggan, byliby zadowoleni, gdyby ich kuzynka, choćby szczęśliwa w małżeństwie, musiała żyć, dysponując mniejszą kwotą? George odpowiedział, że musi przemyśleć tę kwestię; oczywiście omówił ją z żoną już wcześniej. Jednak w aktualnej sytuacji, w okresie kryzysu, wojny, całkowitego załamania górnictwa, nie może zaoferować więcej niż dwa tysiące pięćset funtów. Obiecał jednak dodać kwotę dwustu pięćdziesięciu funtów na remont plebanii, gdyż dowiedział się, że jest on niezbędny.

Wielebny Osborne Whitworth odjechał i pojawił się pod koniec lutego. Po twardych, przykrych targach osiągnięto wreszcie porozumienie. Morwenna miała otrzymać posag w wysokości trzech tysięcy funtów. Zarówno George, jak i Whitworth byli zadowoleni. Ossie otrzymywał od matki sto funtów rocznie, o czym nie wspomniał w trakcie negocjacji. Wraz z dochodami z posagu miałby przeszło trzysta funtów rocznie i mógłby się pokazać w każdym towarzystwie. Jeśli chodzi o George'a, dodał kolejne cenne więzy pokrewieństwa do tkanej przez siebie sieci.

Osoba, o której dyskutowano, jak dotychczas nie miała o niczym pojęcia. Nie uważała za szczególnie ważne, że wielebny Osborne Whitworth odwiedził ich czterokrotnie po Bożym Narodzeniu i że dwa razy pił herbatę z nią i Elizabeth. Ta ostatnia otrzymała zadanie oświecenia siostry stryjecznej.

Nie był to szczególnie miły obowiązek. Elizabeth uważała, że skoro George wszystko zaaranżował i uzgodnił, mógłby sfinalizować sprawę. George miał inne zdanie. Tę część powinna wykonać kobieta. Trudne negocjacje się zakończyły: był to jego problem i jego odpowiedzialność. Pozostawało przekazać wybrance dobre wieści. Każda kobieta, a z pewnością dziewczyna bez grosza przy duszy powinna być zachwycona, że otrzyma duży posag i zostanie żoną młodego duchownego uważanego w Truro za doskonałą partię.

Elizabeth odłożyła rozmowę o dwa dni, tłumacząc się chorobą Valentine'a, ale gdy otrzymała list od Ossiego, który zapowiedział na następny dzień swoją wizytę, nie miała wyboru. Trudno było oczekiwać, że Whitworth spotka się ze swoją przyszłą żoną, a ta nie będzie wiedzieć, że ma nią zostać.

Odpowiednia sposobność nadarzyła się dopiero wieczorem w przeddzień wizyty Ossiego, lecz nawet wówczas Elizabeth musiała zaprowadzić Morwennę do maleńkiego pokoju muzycznego na pierwszym piętrze i zamknąć drzwi, jakby zamierzała zdradzić jakiś straszliwy sekret.

Twarz Morwenny, oświetlona pełgającym blaskiem świec, świadczyła, że wiadomość naprawdę nią wstrząsnęła. Wbrew temu, co przewidywał George, nie był to przyjemny wstrząs.

Wyższa od Elizabeth, stała w całkowitym bezruchu w ciemnoszarej aksamitnej sukience, jakby zmieniła się w słup soli. Słuchała, nie zdradzając swoich uczuć, tylko na jej twarzy zaczął nerwowo drgać mięsień. Elizabeth mówiła dalej. Morwenna słuchała i milczała. Po każdym wypowiedzianym zdaniu zapadała cisza i Elizabeth mimo woli mówiła więcej, niż było trzeba: podkreślała urodę przyszłego męża Morwenny, zalety małżeństwa, nagłą zmianę jej statusu – zamiast guwernantki stanie się jedną z najważniejszych dam w Truro. Mówiła o wyjątkowej dobroci i hojności George'a, które sprawiły, że Morwenna może tak dobrze wyjść za mąż. Przystała mówić dopiero wtedy, gdy z oczu kuzynki zaczęły kapać łzy. W końcu umilkła.

– Czy nasza troska o twoją przyszłość sprawia ci przykrość, moja droga?

Morwenna zakrzuszyła się i przyłożyła dłoń do oczu. Łzy nie przestały płynąć, kapały na jej rękę, przeciekały między palcami, spadały na suknię i dalej na podłogę. Elizabeth siedziała na stołku przy klawikordzie i z roztargnieniem przeglądała nuty, czekając, aż dziewczyna się uspokoi. Nie uspokoiła się. Stała i płakała, nie mówiąc ani słowa.

– Ależ, moja droga – odezwała się Elizabeth z nutką zniecierpliwienia w głosie. W istocie nie była zniecierpliwiona, tylko próbowała ukryć współczucie, którego nie powinna okazywać.

– Nic nie czuję do pana Whitwortha; jak on może czuć coś do mnie? – rzekła w końcu Morwenna. – Zamieniliśmy ledwie tyle słów, co dwaj gracze w wista w ciągu jednego popołudnia. Co on o mnie wie? Co ja o nim wiem?

– Wie wystarczająco dużo, by chcieć, żebyś została jego żoną.

– Ale ja nie chcę zostać jego żoną! Czy jesteś ze mnie niezadowolona, Elizabeth? Czy źle się wywiążuję ze swoich obowiązków jako guwernantka Geoffreya Charlesa?

– Wręcz przeciwnie. Sądzisz, że pan Warleggan wykonałby taki wspaniały gest, gdybyśmy byli z ciebie niezadowoleni?

Zapadło długie milczenie. Morwenna rozejrzała się przez łzy, szukając miejsca, gdzie mogłaby usiąść. Niemal po omacku odnalazła fotel i opadła na niego. Drżały jej ręce.

– Jesteś bardzo hojna, Elizabeth. Pan Warleggan również. Ale nic nie wiedziałam...

– Rozumiem, że to dla ciebie wstrząs. Mam jednak nadzieję, że przemyślisz sprawę i dojdiesz do wniosku, że nie jest to nieprzyjemne. Osborne jest duchownym. Prowadziłabyś podobne życie jak w domu swojego ojca, lecz twoja pozycja społeczna znacznie by się poprawiła. Poza tym będziemy...

– Czy moja matka wie? – spytała gwałtownie Morwenna. – Nie mogę przyjąć tej propozycji bez jej zgody! Jeśli matka...

– Wczoraj do niej napisałam, moja droga. Myślę, że powinna być zachwycona perspektywą takiego małżeństwa. Najstarsza córka z dobrej rodziny, ale bez posagu...

– Jestem pewna, że moja matka byłaby zachwycona perspektywą takiego małżeństwa, gdyby wiedziała, że pan Whitworth i ja się kochamy. Napisałaś jej, że się kochamy?

– Chyba nie użyłam tych słów, Morwenna, bo to coś, co sama musisz jej powiedzieć. Napisałam, że wkrótce zostaną ogłoszone twoje zaręczyny z wielbnym Whitworthem. Poinformowałam ją o wielkiej hojności pana Warleggana, a także o urodzeniu, wieku i dobrej prezencji pana Whitwortha oraz jego doskonałych perspektywach kariery w hierarchii kościelnej. Niewątpliwie sama wkrótce również do niej napiszesz. Wysyłasz listy co tydzień, prawda?

– A jeśli jej powiem, jeśli napiszę, że w ogóle nie znam pana Whitwortha, że na pewno go nie kocham i nawet ledwo lubię, co wtedy powie? Czy ciągle będzie zachwycona, Elizabeth? Czy będzie chciała, żebym za niego wyszła?

Elizabeth w zamyśleniu uderzyła kilka razy w klawiaturę klawikordu. Należało go nastroić. Nikt na nim nie grał. Został zakupiony przez Nicholasa Warleggana jako efektowny mebel, lecz nikt nigdy na nim nie grał.

– Moja droga, proszę, zastanów się, zanim powiesz coś więcej, a z pewnością przed napisaniem listu do matki. Myślę, że bardzo by się zdenerwowała, gdyby po moim liście mówiącym o perspektywach wspaniałego małżeństwa dowiedziała się od ciebie, że jesteś niezadowolona. Z pewnością byłaby gorzko rozczarowana, gdyby okazało się, że sprzeciwiasz się zaręczynom z powodu błędnych, romantycznych idei na temat małżeństwa.

– Czy to błąd mieć romantyczne idee na temat małżeństwa? Czy to źle sądzić, że małżeństwo powinno się opierać na miłości? Opowiedz mi, Elizabeth, opowiedz mi o swoim pierwszym małżeństwie. Czy nie kochałaś pana Poldarka? Czy nie wyznawaliście sobie miłości przed zaręczynami? Czy wszystko zaaranżowano tak jak teraz, bez twojego udziału?

Elizabeth odczekała, aż Morwenna wytrze nos i oczy.

– Może się mylimy, zakładając, że jesteś rozsądną dziewczyną. To naturalne, że kobieta spodziewa się romansu, ale udane małżeństwo nie opiera się na romansie. W tej sprawie powinnaś postępować zgodnie z radami ludzi, którzy...

– A ty? Nie wyszłaś za mąż z miłości?

Elizabeth uniosła dłoń.

– Bardzo dobrze. Powiem ci, skoro chcesz wiedzieć. Uważałam, że wychodzę za mąż z miłości, ale nie przetrwała ona nawet roku. Później po prostu tolerowaliśmy się nawzajem. Przypuszczam, że nasze małżeństwo było podobne do większości innych, ani lepsze, ani gorsze. Ale przekonanie, że się kochamy, w żadnym stopniu nie wpłynęło na końcowy efekt. Teraz jestem żoną pana Warleggana i chociaż tym razem rozsądek odegrał większą rolę niż miłość, nasz związek okazał się znacznie bardziej udany... Czy to chciałaś wiedzieć?

– Nie to chciałam usłyszeć – odpowiedziała Morwenna.

Elizabeth wstała i położyła rękę na ramieniu młodej kuzynki.

– Francuzi mają takie powiedzenie – czy rzeczywiście Francuzi? sama nie wiem, tak mi się zdaje – że nie stawia się na ogniu garnka z wrzącą wodą, wstawia się zimną wodę i powoli ją podgrzewa. Tak samo jest z małżeństwem. W trakcie małżeństwa ty i Osborne Whitworth możecie pokochać się bardziej, niż gdybyście się kochali na początku. Spodziewamy się mniej, a dostajemy więcej. Zamiast żądać doskonałości, nie żądamy niczego i często wiele otrzymujemy.

Morwenna otarła oczy i dłonie.

– Nie wiem, co powiedzieć, Elizabeth. To dla mnie ogromny wstrząs. Oczywiście rozumiem, co masz na myśli. Wiem, że ty i pan Warleggan dbacie tylko o moje dobro. Ale ja... nie wyobrażam sobie... Nie uważam tego za swój... Doprawdy, im dłużej o tym myślę...

Elizabeth pocałowała ją w czoło, chłodne i spocone wskutek szoku.

– Nie mów teraz nic więcej. Zastanów się nad tym do jutra. Rankiem wszystko będzie wyglądało inaczej. Perspektywy, jakie się przed tobą otwierają, mogą ci się nawet wydać dość ekscytujące. Jestem pewna, że wydadzą się takie twojej matce. W normalnych okolicznościach nie mogłabyś liczyć na tak dobre małżeństwo.

Zostawiła kuzynkę samą. W niewielkim, zimnym pokoju muzycznym paliła się jedna świeca. Elizabeth przez cały czas próbowała mówić spokojnym tonem, prowadzić rozmowę chłodno, bez emocji. Czuła, że jej się udało, lecz zapłaciła za to dość wysoką cenę. Wolałaby rozmawiać z Morwenną jej językiem, spytać, co naprawdę myśli o przyszłym mężu, próbować ją pocieszyć i zachęcić w zupełnie inny sposób, nie jako starsza kuzynka, lecz kobieta i przyjaciółka. Ale przez cały czas zdawała sobie sprawę, że jest żoną George'a. Miała zadanie do wykonania i posłusznie je wykonała. Gdyby w czasie rozmowy z kuzynką w jakikolwiek sposób zachęciła ją do nieposłuszeństwa, byłaby nielojalna wobec męża.

Poza tym czuła, że jeśli weszłaby w konfidencję z Morwenną, prędzej czy później mogłaby mu się sprzeciwić.

Śnieg, który spadł na początku marca, stopniał i zaczęła się odwilż. Było zimno. Później przyszły wichury, śnieg z deszczem i powódzie, jakich nie pamiętali najstarsi ludzie. W Shrewsbury wystąpiła z brzegów rzeka Severn, niszcząc mosty, a rzeka Lee zalała równinę Essex. Cały Fenland znalazł się pod wodą, która zniszczyła wiele tam. W Londynie Tamiza zatopiła kilka dzielnic: mieszkańcy Stratfordu i Bow chronili się na górnych piętrach domów i pływali po ulicach łodziami wiosłowymi. Na wybrzeżach tonęły statki, lecz tym razem – niestety! – sztormy nie przyniosły żadnego z nich w gościnne okolice wioski Gambler i Sawle.

W Holandii triumfowali Francuzi, a rząd brytyjski wysłał okręty transportowe, które wpłynęły na Wezerę, by ewakuować resztki armii. Zdradzona przez sojuszników, pozbawiona żywności, leków i oficerów, w ciągu tygodnia straciła sześć tysięcy żołnierzy, którzy zmarli na tyfus lub z zimna. Fryderyk Wilhelm, król Prus, zawarł pokój z przeciwnikami i było bardzo niewiele czasu na ewakuację sił ekspedycyjnych. Pozostałe kraje północnej i środkowej Europy przygotowywały się do zawarcia jak najkorzystniejszego pokoju z potężną Francją. Wojna praktycznie się skończyła, jednak Pitt powiedział: „Nie ma większego znaczenia, czy katastrofy, do których doszło, należy przypisać nieudolności generałów, intrygom frakcji czy rywalizacji członków gabinetu. Najważniejsze, że się wydarzyły i że musimy od nowa ratować Europę”.

Wśród owych katastrof jedna osoba była szczęśliwa – Caroline. Wróciła z Londynu dylizansem pocztowym, którego koła ślizgały się i grzęzły w błocie w czasie marcowych roztopów. Admiralicja otrzymała pierwszą listę jeńców, na której znajdowało się nazwisko Dwighta Enysa, chirurga okrętowego w randze porucznika. Co najważniejsze, w tej samej poczcie nadszedł trzystronicowy list od samego Dwighta. Jedenastego marca Demelza wyszła do ogrodu i z wyjątkową przyjemnością spoglądała na krokusa, który postanowił wystawić z ziemi kanarkowożółtą główkę przed ustąpieniem ostatnich przymrozków, gdy nagle zobaczyła nadjeżdżającą Caroline i natychmiast zorientowała się po jej minie, że przywiozła dobre wiadomości. Ross był w pobliżu, więc schronili się przed wiatrem w salonie i razem przeczytali list:

1 lutego 1794/5

Najukochańsza Caroline!

Piszę ten list, choć nie mam żadnej pewności, że do Ciebie dotrze. Wiem tylko, że teraz, gdy otrzymałem papier i pióro, muszę to zrobić w nadziei, że strażnicy dotrzymają słowa i go wyślą.

Od czego powinienem zacząć? Przez te wszystkie miesiące często układałem w duchu listy do Ciebie, ale teraz, kiedy wreszcie nadarza się sposobność, brakuje mi słów. Na początku chciałbym powiedzieć, że jestem bezpieczny i że nie choruję, choć sposób traktowania nas jest daleki od tego, jakiego można by oczekiwać od cywilizowanego narodu. Nie wiem nawet, jak długo musiałaś czekać na wiadomość, że jestem w niewoli. Jeśli pisałaś do mnie listy, nie dotarł do mnie ani jeden. Nie ma żadnej komunikacji z rządem w Paryżu i mam wrażenie, że obozami internowania oraz więzieniami zarządzają wyłącznie lokalni komendanci wedle swoich kaprysów.

Cóż, tak się zdarza na wojnie – a przynajmniej na tej wojnie. Powinniśmy się cieszyć, że kaprys fortuny pozwolił nam zachować życie, w jakimś sensie. Mam wrażenie, jakby minęło pięć lat od naszej bitwy z Francuzami: toczyła się całe popołudnie i całą noc w straszliwej wichurze i wśród ryku fal. Jestem pewien, że słyszałaś o naszej bitwie i możesz sobie wyobrazić mój w niej udział bez barwnych opisów. Większość czasu spędziłem, pracując pod pokładem wraz ze swoim pomocnikiem Jacklandem przy świetle kołyszącej się latarni. Mogłem pomagać rannym tylko w najprymitywniejszy sposób: koszar chirurg, który nie ma na nic czasu i musi robić wszystko byle jak. Często rzucało mną na pacjenta albo pacjent przewracał się na mnie, tak że mój ociekający krwią nóż stawał się zagrożeniem dla nas obu. O drugiej w nocy prowizoryczny lazaret zaczęła zalewać woda i wszyscy wyszliśmy na pokład, by czekać na koniec.

Osiedliśmy na mieliźnie dopiero po dwóch godzinach. Nie pamiętam, czy Ci mówiłem, że w skład naszej załogi, złożonej z trzystu dwudziestu ludzi, wchodziło mniej niż pięćdziesięciu ochotników. Połowa marynarzy pochodziła z branki, a część nie miała żadnego doświadczenia morskiego. Pięćdziesięciu dłużników i drobnych przestępców otrzymało możliwość wyboru: mogli odbyć karę więzienia lub zdecydować się na służbę w marynarce wojennej. Wśród załogi było około dwudziestu pięciu cudzoziemców – Holendrów, Hiszpanów i Skandynawów pochodzących z branki w Plymouth – a także podobna liczba chłopców: uliczników, sierot i temu podobnych. Załoga przez dziesięć godzin toczyła walkę z nieprzyjacielem w czasie sztormu i można by pomyśleć, że perspektywa katastrofy zmieni ich w przerażony motłoch. Ale kiedy osiedliśmy na mieliźnie, wszyscy byli wyjątkowo spokojni i zdyscyplinowani. Przez blisko cztery godziny marynarze budowali tratwy i przygotowywali okręt do ewakuacji; zaledwie sześciu próbowało zdezerterować i utonęło. W ciągu tych czterech godzin, pod dowództwem stanowczego, kompetentnego porucznika Williamsa, marynarze przewieźli na brzeg pierwszych rannych, a później stopniowo się ewakuowali, utrzymując wzorowy porządek. Oficerów przewieziono na ląd na samym końcu. Miałem to szczęście, że odpłynąłem z pierwszymi rannymi. Dwóch z nich zmarło na plaży. W morzu utonęło tylko trzech członków załogi, nie licząc sześciu dezertorów.

Wkrótce zostaliśmy otoczeni przez uzbrojoną żandarmerię francuską, która odprowadziła nas w głąb lądu. Umieszczono nas w szkole, a wieczorem następnego dnia pomaszzerowaliśmy pod eskortą do więzienia, w którym się teraz znajdujemy. Nie widziałem, jak Héros wpada na brzeg, ale na jego pokładzie było trzydziestu angielskich jeńców, których później spotkałem i leczyłem: powiedzieli mi, że francuski okręt znalazł się w znacznie gorszej sytuacji od nas, po czym wybuchła na nim panika. Doprowadzono go do brzegu dopiero po czterech dniach, a w tym czasie zmarło wielu marynarzy. Zginęło blisko czterystu członków załogi tego okrętu i w wodzie unosiło się mnóstwo trupów.

Od tamtej pory przebywamy w więzieniu, lecz ja mam przynajmniej to szczęście, że nie siedzę beczynn timer. Wśród tysięcy więźniów jest zaledwie trzech lekarzy i nie brak nam zajęć, bo jest mnóstwo przypadków dyzenterii i skrofutów wywołanych przez złe jedzenie i życie w zamknięciu. Jak dotychczas nie wspomniano o zwolnieniu na parol, repatriacji ani wymianie jeńców. Nie zwolniono za okupem ani nie wymieniono żadnego z wyższych

oficerów. W więzieniu przebywają również angielskie damy, przynajmniej jedna utytułowana. Wydaje się, że Francuzi nie mają żadnego powodu ich więzić, a mimo to wciąż są z nami.

Moja droga Caroline, jak widzisz, nie jest to list miłosny. Jeśli do Ciebie dotrze, dowiesz się, co się wydarzyło w czasie tego długiego roku. Mogę tylko powiedzieć, że wśród licznych trosk nigdy nie przestaję o Tobie myśleć i zawsze noszę na sercu medalion, który mi dałaś. Niezależnie od tego, jak długo potrwa nasze rozstanie, nie zmieni to mojej miłości ani oddania.

Dobranoc, ukochana Caroline.

Twój oddany Dwight

– Zawiadomiłam admiralicję, że jestem gotowa zapłacić okup – powiedziała Caroline. – Ale w chwili obecnej odradzają mi to. – Spojrzała na Rossa z ironicznie uniesioną brwią. – Próbują organizować wymiany jeńców, lecz w Bretanii jak dotąd to się nie udało.

– Teraz, gdy Francuzi odnoszą zwycięstwa nad innymi państwami, może się okazać, że zaczną się troszczyć o własnych ludzi – powiedział Ross.

Mimo to w głębi duszy nie cieszył się tak jak Caroline i Demelza. Spis jeńców i list Dwighta potwierdziły to, czego się dowiedział sześć miesięcy wcześniej od Clissona. A całkiem niedawno otrzymał wieści z Bretanii o warunkach panujących w więzieniu w Quiberon i innych miejscowościach na wybrzeżu. Nawet jeśli były przesadzone, brzmiały przerażająco. Dlatego, chociaż pokazywał obu kobietom zadowoloną twarz i rozmawiał z nimi o możliwości zwolnienia Dwighta, czuł, że prawdopodobieństwo powrotu młodego chirurga do domu żywego nie jest zbyt duże. Żadna z nich nie zdawała sobie sprawy, jak pilna stała się potrzeba zaaranżowania wymiany jeńców lub zapłacenia okupu.

Rozdział piąty

Ross do początku kwietnia odwiedzał co tydzień ciotkę Agathę. Gdy pojawił się pewnego dnia, staruszka powiedziała:

– Wrócili.

– Kto? George? – spytał Ross, mimo woli wytrącony z równowagi, bo nawet najodważniejsi ludzie lubią być przygotowani na złe wieści.

– Nie. Chynowethowie, te stare pryki. I Geoffrey Charles z guwernantką.

Przez chwilę podziwiał sposób, w jaki ciotka Agatha określiła rodziców Elizabeth.

– A George i Elizabeth?

– Podobno mają przyjechać w przyszłym tygodniu albo tydzień później. Ale mówiono już, że wrócą do domu na Wielkanoc, a Wielkanoc minęła.

Zbliżył głowę do pomarszczonej twarzy ciotki i krzyknął:

– Wiesz, że kiedy George wróci, będę musiał przestać cię odwiedzać?

– Tak. Niech go cholera! Do diabła z nim! Niech sześcinnie! – Agatha wypowiadała przekleństwa, głaszcząc czarnego kota. Ross pomyślał, że kiedyś ludzie musieli bardzo się jej bać. – Ross, chłopcze, chcę ci coś powiedzieć, zanim odejdziesz. Pamiętasz o dziesiątym sierpnia?

– Dziesiątym? Nie przypominam sobie. Och... to twoje urodziny...

Agatha uśmiechnęła się, ukazując różowe zębia.

– Setne. Właśnie po to żyję. Żaden członek rodu Poldarków nie dożył jeszcze stu lat. A nawet nie przekroczył dziewięćdziesiątki, o ile wiem. Rebecca, siostra Charlesa Viviana, zmarła na skręt kiszek na długo przed swoimi dziewięćdziesiątymi pierwszymi urodzinami. Była najstarsza z rodu. Aż do mnie. Teraz Agatha Poldark zbliża się do setki! Wystarczy, że przeżyję jeszcze cztery miesiące. Zastanów się nad tym!

Ross okazał stosowne oznaki podziwu. Podekscytowana staruszka poruszała nerwowo ustami, jakby miała dostać ataku konwulsji.

– A zatem... mój synu, dziesiątego sierpnia zamierzam wydać przyjęcie. Ha, co ty na to?! Przyjęcie! Nie będzie nic kosztować tego skąpego parcha, za którego wyszła Elizabeth. Mam pieniądze. Oczywiście nie bardzo dużo, ale na przyjęcie wystarczy aż nadto... Ojciec zostawił mi niewielki spadek w trzyprocentowych obligacjach, od tamtej pory sporo przybyło. Tydzień temu dałam część Francisowi, lecz ciągle trochę zostało. – Staruszka dyszała przez chwilę, odpoczywając przed następnym wysiłkiem i przypominając sobie kolejne pokolenia Poldarków. Nagle najeżyły jej się wąsiki. – George mnie nie powstrzyma. Gdyby mi zabronił urządzić przyjęcie, byłby to skandal na całe hrabstwo! Zaproszę wszystkich przyjaciół – nawet takich, których nie widziałam od wielu lat. Sąsiadów, wszystkich sąsiadów, i będzie wielki tort. Zaproszę ciebie i twojego pączuszka. I tę wysoką, chudą, rudowłosą dziewczuchę, którą tu przywozłeś na Boże Narodzenie. I twoje dzieci – chcę zobaczyć przed śmiercią twoje dzieci. Więc pamiętaj! Pamiętaj o dziesiątym sierpnia!

Ross pogładził staruszkę po głowie. Nie pamiętał równie długiej przemowy ciotki Agathy.

– Będę pamiętał. Przyjadę. Teraz odpocznij, bo się zmęczysz. Popatrz, mrozy wreszcie ustępują i za jakiś tydzień zrobi się na tyle ciepło, że będzie można wyjść do ogrodu.

Schodząc po schodach, spotkał dziewczynę, której wcześniej nie widział.

– Panna Chynoweth?

Morwenna stawiała krótkie, niepewne kroki, co prawdopodobnie było wynikiem krótkowzroczności. Popatrzyła na Rossa zmrużonymi oczyma.

- Pan Pol... Kapitan Poldark, prawda?
- Zdaje się, że niedawno przyjechała pani z Truro?
- Wróciliśmy we wtorek. Tuż po świętach.

Więc tak wygląda dziewczyna, która podoba się Drake'owi. Niezbyt ładna, poważna. Piękne oczy, lecz trochę podpuchnięte.

- W Truro wszyscy zdrowi?
- Kilka osób chorowało na influencję. A mój Valentine miał krzywicę, ale już czuje się lepiej. Dziękuję. Czy Morwenna niepokoi się o Drake'a?

– Przed chwilą odwiedziłem pannę Agathę Poldark. Jest w świetnej formie jak na swój wiek.

– Tak. Moim zdaniem wygląda lepiej niż wtedy, gdy wyjeżdżaliśmy. Wyjątkowo dobrze zniosła mrozy.

– Odwiedzałem ją co tydzień, gdy reszta domowników wyjechała – powiedział Ross. – Służący się rozleniwili i zaniedbywali swoje obowiązki. Musiałem ją odwiedzać, bo w Trenwith nie pozostał żaden członek jej rodziny.

Morwenna skinęła głową, lecz nie odpowiedziała.

– Teraz, kiedy wróciliście, muszę zaprzestać tych wizyt. Pan Warleggan nie uważa mnie za mile widzianego gościa. Dlatego to moja ostatnia wizyta. Czy mogę liczyć, że dopilnuje pani, by do powrotu państwa Warlegganów panna Poldark miała dobrą opiekę?

Bardzo łatwo się rumieniła.

– Naturalnie, sir. W Trenwith jest również pan Chynoweth. Dopilnujemy, by jej nie zaniedbywano.

– Ani nie zostawiano zupełnie samej.

– Ani nie zostawiano zupełnie samej.

– Dziękuję. – Ross ujął dłoń Morwenny. Była chłodna i lepka. Morwenna zupełnie nie przypominała Elizabeth. Żadnej wyniosłości. Ani odrobiny delikatnego, patrycjuszowskiego piękna.

– Dobranoc, panno Chynoweth.

Odpowiedziała bardzo cicho i patrzyła, jak odchodzi.

Były to dramatyczne dwa tygodnie. Morwenna po raz pierwszy odmówiła wyjścia za Whitwortha już nazajutrz rano po wieczornej rozmowie z Elizabeth, podczas której dowiedziała się o wszystkim. Nie płakała i próbowała przedstawiać racjonalne argumenty. Jest bardzo wdzięczna za troskę o swoją przyszłość... wie, że to wspaniała okazja... pozycja w społeczeństwie... ale nie jest jeszcze gotowa do zamążpójścia. Może za rok albo dwa, nawet jeśli nie znajdzie tak dobrego kandydata. Czuje się szczęśliwa w Trenwith; może nigdy nie wyjdzie za mąż; często zastanawiała się nad wstąpieniem do klasztoru. W tej chwili najbardziej pragnie pozostać z Geoffreyem Charlesem. Przede wszystkim chciałaby wywiązać się ze swoich zobowiązań jako guwernantka i dopiero później myśleć o innych sprawach.

Pierwszy raz zauważyła w oczach Elizabeth cień współczucia – jeśli był tam wcześniej, nie dawało się go dostrzec. Spotkanie zakończyło się impasem, ale pojawił się promyk nadziei.

Wieczorna rozmowa z George'em sprawiła, że Morwenna ją straciła. W ciągu ostatniego roku rzadko miała okazję zamienić z nim kilka słów, a teraz nagle stał się rozmowny. Elizabeth była obecna, lecz prawie się nie odzywała. George nie krzyczał, nawet nie wydawał się rozgniewany – Morwenna wołałaby, żeby się zżymał. Przemawiał grzecznym, ale stanowczym tonem, i po kolei zbijał wszystkie jej argumenty. Zachowywał się jak ojciec, który oznajmia córce, że znalazł dla niej odpowiednią szkołę: ma rozpocząć naukę w przyszłym miesiącu. Rozumiał, że wołałaby zostać w Trenwith i bawić się z Geoffreyem Charlesem, ale świat funkcjonuje inaczej. Powinna dorosnąć.

Morwenna czuła, że usiłuje podważyć decyzję, która już zapadła. Uzgodniono, że ma wyjść za mąż. Miejsce w szkole zostało zarezerwowane. Łzy, strach, odrobina cierpienia są czymś naturalnym. To minie. Wielebny Osborne Whitworth przyjedzie jutro o czwartej i wypije z Morwenną herbatę sam na sam.

Przeżona, o mało nie zaprotestowała, lecz w ostatniej chwili onieśmielona autorytetem George'a

zrezygnowała. Warleggan miał trzydzieści pięć lat, był bogaty, wpływowy i odznaczał się silną osobowością. Ona niedawno skończyła osiemnaście lat, budził w niej lęk, poza tym znajdowała się daleko od domu. Próbowła się wykręcać. Oświadczyła, że jeszcze nie wie, co powie jej matka, a to dla niej najważniejsza opinia. Zresztą niezależnie od tego, co usłyszy od matki, potrzebuje czasu. Miesiąca, dwóch miesięcy, może trzech. Czasu, by przyzwyczać się do myśli o małżeństwie. Czasu na różne sprawy: wymyślała fortele, niektóre rozsądne, inne pozbawione sensu.

George nie próbował z nią dyskutować. Był zadowolony, że pokonał pierwsze opory Morwenny, zmusił ją do ustępstw. Później wszystko potoczy się zgodnie z planem. Jedyne gest z jego strony polegał na tym, że po przybyciu wielebnego Whitwortha obiecał zaprosić go na pięć minut do swojego gabinetu i uprzedzić, że przyszła żona jest nieco zdenerwowana i potrzebuje czasu, by oswoić się z myślą o małżeństwie.

Ossie nie był zdenerwowany ani spięty. Był krępkim młodym człowiekiem o muskularnych nogach marynarza i doskonale zdawał sobie sprawę, że jest przystojny, dobrze urodzony, że ma piękny głos i gruntowną wiedzę o najnowszej modzie męskiej. Wstąpienie do stanu duchownego wcale go nie zmieniło, choć zmusiło do noszenia koloratki. Miał spore doświadczenie w relacjach z kobietami, lecz ograniczało się ono głównie do wizyt w domach publicznych Oksfordu i do stosunków z pierwszą żoną, którą zaszczycił swoimi względami dwa razy w tygodniu, aż zmarła w połogu. Ponieważ Truro było niewielkim miastem, a mieszkańcy znali Whitwortha z widzenia i wiedzieli, że należy do stanu duchownego, potrzebował drugiej żony z bardziej osobistych powodów niż konieczność opieki nad dwojgiem osieroconych dzieci.

Morwenna od samego początku wydawała się miłą dziewczyną. Tańczył z nią gawota i siedział w salonie, jedząc ciastka. Jej buzia nie robiła na nim wielkiego wrażenia, choć przyznawał, że skromna mina panny doskonale pasowałaby do żony duchownego. Za to ciało, owszem, robiło wielkie wrażenie. Od pewnego czasu bez przerwy myślał o wypukłościach rysujących się pod skromną bluzką z szarego muslinu, o wąskiej talii, długich, młodzieńczych nogach i zaskakująco małych stopach obutych w pantofelki. Miał szczególną słabość do kobiecych stóp. Fantazje o tym, że mógłby posiadać tę dziewczynę na własność, zaczęły od niedawna rozpraszać go w czasie modlitw. Ale oczywiście pozwolił sobie na takie myśli dopiero wtedy, gdy nabrał pewności, że dostanie trzy tysiące funtów.

W tej chwili uważał, że jak najszybsze małżeństwo z Morwenną jest konieczne, by oczyścić jego umysł z chorych fantazji.

Jednak rozmowa z przyszłą panną młodą nie poszła tak dobrze, jak się spodziewał. Kiedy został z nią sam na sam, co nastąpiło natychmiast po podwieczorku, nie przestawał mówić. Najpierw opowiadał o banalnych sprawach, opisując szczegółowo jedno z rozdań wista rozegrane poprzedniego wieczoru. Gdyby jego partner nie wyszedł w drugiej lewie w króla pik, nie można by się domyślić, kto go trzyma, ale później, po ściągnięciu atutów, udało im się wziąć dwanaście lew – choć przeciwnicy mieli asa i króla kier oraz asa karo. Wygrał w jeden wieczór osiemnaście funtów, a Willie Hick, który nie potrafi znieść przegranej, był ponury jak noc!

Ossie długo się zaśmiewał na wspomnienie miny Hicka, a Morwenna z uprzejmości również się zaśmiała. Czy panna Chynoweth gra w wista? – spytał Whitworth. Panna Chynoweth nie grała w wista. Na moment zasmuciło to duchownego, lecz zaraz, przypomniawszy sobie o celu swojej wizyty, podjął rozmowę cichszym, bardziej romantycznym tonem. Powiedział, że Morwenna nie powinna się dziwić, że zwrócił na nią uwagę. Odkąd ujrzał ją na balu w Cardew, postanowił ją poślubić. W odróżnieniu od Sama Carne'a rzadko wspominał o Bogu w codziennych rozmowach, lecz stwierdził, że to sam Bóg skłonił go do przyjęcia zaproszenia pana Warleggana, chociaż naturalny instynkt podpowiadał, że powinien odmówić jako mąż i ojciec od niedawna pogrążony w żałobie.

– Byłem wtedy w rozpacz – rzekł – i poczułem, że została pani zesłana przez Boga jako źródło pociechy i otuchy, towarzyszka życia i żona, matka, nowa matka dla Sarah i Anne. Kiedy okazało się, że odwzajemnia pani moje uczucia, ogarnęło mnie wielkie szczęście. Plebania jest ciepła i wygodna. Nieco zaniedbana – w dwóch pokojach spróchniały podłogi i jeden z kominów wymaga naprawy – lecz wkrótce doprowadzimy wszystko do

porządku.

Wypowiadał te słowa, stojąc plecami do ognia z rękami splecionymi z tyłu, z połami jedwabnego fraka wiszącymi na przedramionach. Obok na stoliku leżały fioletowe rękawiczki. Morwenna zastanawiała się, co odpowiedzieć. Instynktownie miała ochotę wybuchnąć płaczem i wybiec z pokoju, ale ponieważ w czasie rozmów z George'em i Elizabeth traktowano ją jak dziecko, więc teraz pod żadnym pozorem nie chciała się zachować niepoważnie. Nie uciekała, tylko, nie patrząc na Whitwortha, wymamrotała, że nie jest pewna, czy odwzajemnia jego uczucia. Nie potrafiła odrzucić jego zalotów bardziej zdecydowanie. Była skromną dziewczyną; zarówno ojciec, jak i matka starali się głęboko zaszczepić w niej skromność jako cnotę chrześcijańską. Mimo woli wzięła oświadczyzny Whitwortha za komplement i chociaż była im zdecydowanie przeciwna, gorączkowo zastanawiała się, jak przekonać Ossiego, nie raniąc jego uczuć, że nie nadaje się na jego żonę.

Nic z tego nie wyszło. Ossie nie przestawał odgrywać roli pana ich przyszłych losów, ujął jej rękę i złożył na niej pocałunek.

– To naturalne uczucie, panno Chynoweth... Morwenno. Zupełnie naturalne. Wszystkie kobiety – to znaczy wszystkie dobre kobiety – wstępują w związki małżeńskie z wahaniem, pełne nieśmiałości. Odwzajemnisz moje uczucia, zapewniam cię solennie. Jestem nie tylko duchownym, ale również wrażliwym człowiekiem. Nie musisz się niczego obawiać z mojej strony. Nasza miłość będzie coraz silniejsza. Będę ją pielęgnował i patrzył, jak zakwita.

Morwenna cofnęła rękę. Kiedy Whitworth składał tę deklarację, zerknęła na jego twarz i przez chwilę widziała w oczach duchownego dziwny wyraz, w którym bardziej doświadczona kobieta rozpoznałaby pożądanie. Pojawiło się tylko na moment jako coś zaskakującego i niemiłego. Morwenna znów zaczęła mówić, jękając się ze wstydu. Na poły z niechęcią, na poły przepraszająco, oznajmiła, że w ogóle nie odwzajemnia jego uczuć i obawia się, że może ich nigdy nie odwzajemnić. Później, widząc wyraz jego twarzy i zdając sobie sprawę, że znaczenie jej słów mogło częściowo dotrzeć do Ossiego przez gęstą mgłę zarozumiałości, z lękiem złagodziła ton. Oświadczyła, że przede wszystkim potrzebuje czasu. Już wcześniej użyła tego argumentu w rozmowie z George'em. Przede wszystkim zależało jej na czasie. Czuła, że jeśli zdoła odwlec całą sprawę, oświadczyzny Whitwortha mogą zakończyć się niczym. Rozumiała słabość swojego położenia: musiała odkładać decyzję na później, zwlekać.

Osborne odjechał, niezadowolony i nieco urażony. Oczywiście nie brał odmowy zbyt poważnie; obwinił George'a i Elizabeth o nienależyte przygotowanie gruntu. Wiedział, że ostatecznie wszystko skończy się dobrze, ale miał świadomość, że ta szczupła, nieśmiała dziewczyna coś sobie postanowiła i że przed wyznaczeniem daty ślubu trzeba taktownie przełamać te opory. Na razie musiał się zadowolić chorymi fantazjami.

Potem Morwenna przeżyła kolejny dramatyczny tydzień. Elizabeth otrzymała list od jej matki, w którym ta pisała, że jest zachwycona perspektywą zaręczyn córki. Starzy Chynowethowie, zawiadomieni wieczorem tego samego dnia, poparli projekt małżeństwa – z reguły aprobowali wszystkie plany George'a – i pogratulowali jego zaaranżowania. Jediną pociechą była wzmianka, że matka nie otrzymała cotygodniowego listu od córki i że na niego czeka.

Późnym wieczorem podjęto decyzję, by Morwenna wróciła do Trenwith z rodzicami Elizabeth i Geoffreyem Charlesem. Elizabeth powiedziała do George'a: „Dlaczego mamy ją tu trzymać? Mieszka w Truro od Bożego Narodzenia i być może czuje się jak w więzieniu. Kilkutygodniowa zwłoka na pewno nie wpłynie na małżeństwo. Poza tym Osborne jest wdowcem zaledwie od początku grudnia”. George wyraził zgodę. Nie chciał doprowadzać dziewczyny do desperacji; z dala od Whitwortha mogła poczuć do niego sympatię. W rzeczywistości częściej myślał o Osborne niż o Morwennie. Zauważył, że przynęta w wysokości trzech tysięcy funtów staje się coraz bardziej łakomym kąskiem, a poza tym spostrzegł, że Whitworth nieustannie wodzi za dziewczyną wzrokiem. Wśród sędziów wiele mówiono o Conanie Godolphinie, wuju Ossiego, i George'owi coraz bardziej zależało na małżeństwie Morwenny. Nie wolno pozwolić, by uczucia obu stron uległy ochłodzeniu – w przypadku Ossiego wydawało się to zresztą mało prawdopodobne.

Znalazłszy się z powrotem w Trenwith, z dala od męczącego towarzystwa George'a i Elizabeth, Morwenna

odżyła, a przynajmniej znów zaczęła prowadzić dawne życie. Mogła swobodnie oddychać, nie myśleć o Whitworcie, jeździć konno, spacerować, czytać i rozmawiać. Na pewien czas znikła groźba małżeństwa bez miłości, znikła konieczność podjęcia decyzji. Napisała długi list do matki, w którym wszystko – lub prawie wszystko – wyjaśniła i spytała, czy mogłaby przyjechać na tydzień do domu przed podjęciem ostatecznej decyzji.

Nigdy nie opuszczała posiadłości, aby uniknąć jakiegokolwiek kontaktu z Drakiem. Wiedziała, że nie powinna się z nim więcej spotykać. Decyzję w sprawie Osborne'a Whitwortha należało podjąć bez względu na przypadkową przyjaźń, która rozkwitła jesienią zeszłego roku – Morwenna zdawała sobie sprawę, że nigdy nie zostanie żoną młodego cieśli. Po powrocie do Trenwith Geoffrey Charles oczywiście natychmiast głośno zażądał, by pojechali poszukać Drake'a, ale wymyślała różne preteksty, by odłożyć to na później, aż wreszcie trzeciego dnia los przyszedł jej z pomocą, ponieważ chłopiec nieszczęśliwie zeskoczył z kucyka i głęboko skaleczył się w kostkę o kamień.

Z tego powodu przez pewien czas Morwenna spacerowała i jeździła konno sama. Zajmowała się codziennymi sprawami, uczyła Geoffreya Charlesa, czytała mu książki, odwiedzała ciotkę Agathę – nieco częściej wskutek rozmowy z Rossem – opiekowała się stryjem i stryjenką, a po ich udaniu się na spoczynek siedziała samotnie, zastanawiając się, co zrobić ze swoim życiem, i czując lęk, że za chwilę usłyszy stukanie do okna lub cichy gwizd w ciemności.

Drake pojawił się mniej więcej o zwykłej porze w niedzielę. Zobaczyła go idącego w biały dzień podjazdem. W ogóle się nie ukrywał, odziany w odświeżone ubranie, ciemne barchanowe spodnie, zieloną aksamitną marynarkę, z szycją owiniętą chustą w różowe paski. Szedł prosto do frontowych drzwi, jakby go zaproszono – wysoki, gibki i ubogi.

Morwenna pobiegła do drzwi. Walilo jej serce i zaschło w ustach. Bała się, że Drake pociągnie za sznur dzwonnka i pojawi się służąca. W tej chwili jeszcze bardziej pragnęła, by ta wizyta pozostała tajemnicą. W ciemne listopadowe i grudniowe popołudnia najczęściej wchodził bocznymi drzwiami. Przybywał na zaproszenie Geoffreya Charlesa. Był prostym, lecz uczciwym człowiekiem, a skoro Geoffrey Charles chciał go zapraszać, nie było powodu, by mu tego zabraniać. Pokrewieństwo z Demelzą Poldark sprawiło, że był jednocześnie persona grata i persona non grata. Gdyby ktoś miał pretensje do Morwenny, że pozwala im się przyjaźnić, mógłby to złożyć na karb jej niedoświadczenia.

Teraz sytuacja się zmieniła. Oświadczyzny Osborne'a Whitwortha wyrwały ją z dziewczęcych snów na jawie, które stanowiły usprawiedliwienie nieodpowiedzialności. W ciągu trzech miesięcy stała się dorosłą kobietą.

– Drake! – odezwała się i odchrząknęła. – Nie spodziewaliśmy się ciebie dziś wieczorem.

Popatrzył na nią uważnie. W jego oczach lśniła radość, lecz spoglądał na Morwennę z ciekawością, badawczo, jakby chciał przypomnieć sobie jej rysy. Mimo woli zauważył nieprzyjazny wyraz jej twarzy.

– Panno Morwenno...

– Przeszedłeś się zobaczyć z Geoffreyem Charlesem? – spytała. – Niestety, skaleczył się w kostkę. Nie sędzę...

– Wiem – odparł. – Powiedzieli mi. Właśnie dlatego przyszedłem.

Miała świadomość, że powinna zamknąć mu drzwi przed nosem, ale brakowało jej odwagi, by zrobić to bez kilku słów wyjaśnienia. Później hałas dochodzący od strony stajni sprawił, że zrozumiała, jak bardzo rzucają się w oczy w tym miejscu. Cofnęła się, wpuściła go do środka, zamknęła wielkie drzwi i stanęła oparta o nie plecami.

– Panno Morwenno, bardzo się cieszę, że panią widzę. Czy panicz leży w łóżku? Mogę iść na górę?

– Nie sędzę...

Znieruchomiał.

– Czego pani nie sędzi?

Jąkała się, nie patrząc mu w oczy.

– Oczywiście chciałby się z tobą zobaczyć, ale wiem, że jego matka by tego nie aprobowała... Odkąd

wyjechaliśmy...

Miał zawiedzioną minę. Ciągłe bacznie ją obserwował.

– Ale jeszcze nie wróciła.

– Nie... nie... Idź na górę.

Podążyła za nim po schodach i wąskim, ciemnym korytarzem do pokoju w wieżycze. Kiedy Geoffrey Charles zobaczył, kto przyszedł, wydał radosny okrzyk, objął Drake'a i mocno go uściskał. Siedzieli razem przez pół godziny, rozmawiali, śmiali się, zapominali o tym, czego nie dawało się zapomnieć, ignorowali to, czego nie dało się ignorować. W ich towarzystwie Morwenna nie mogła długo zachować wystudiowanego spokoju i obojętności. Wkrótce ona również śmiała się i rozmawiała z młodymi ludźmi. Opuściło ją napięcie, poczuła ulgę, miała wrażenie, że wreszcie oddycha świeżym powietrzem.

Geoffrey Charles pokazał Drake'owi swoje nowe rysunki, a Drake opowiedział, jak oczyszczają grunt na terenie kopalni Wheal Maiden, by zbudować nowy dom modlitwy. „Wiecie, koło komina na wzgórzu, gdzie schodzi się do Nampary”. W trakcie rozmowy najczęściej mówił do Geoffreya Charlesa, lecz bez przerwy spoglądał pytająco na Morwennę. Ona zaś nieustannie odwracała wzrok, ale od czasu do czasu zerknęła na niego i wtedy patrzyli na siebie. Patrzyli na siebie.

Rozmowa o przeszłości była miła, lecz na końcu wypowiedzianych zdań pojawiły się cienie, kiedy Geoffrey Charles mówił o planach na nadchodzące lato. Drake miał mu pokazać, gdzie w Marasanvose mieszkają ropuchy, by mógł zabrać kilka do Trenwith i trzymać w słojach w stajni. Drake musi znowu zaprowadzić ich oboje do jaskiń nad morzem podobnych do wnętrza katedry. Drake musi im pokazać swoją nową chatę i plany nowej biblioteki w Namparze. A on, Geoffrey Charles, pokaże Drake'owi gniazda wronczyków na skraju klifu, a także skały, na których rośnie koper morski. Zbierają go tam dzieci ze wsi; dwoje spadło i zginęło.

Drake wstał, szykując się do wyjścia. Doktor Choake dokładnie zabandażował ranę Geoffreya Charlesa i zabronił mu opuszczać pokój przez następny tydzień, więc nie mogli się umówić na wspólną wycieczkę, ale Drake obiecał, że przyjdzie w następną niedzielę o tej samej porze. Gdyby wcześniej wrócili państwo Warlegganowie, Geoffrey Charles i Morwenna prześlą mu wiadomość, by nie przychodził. Chłopiec zatrzymał go jeszcze przez dziesięć minut i kilka razy zawołał na pożegnanie, gdy Drake zamykał drzwi.

– Odprowadzę cię – powiedziała Morwenna.

Podążyli w milczeniu na dół. Wiatr niósł dzisiaj płatki śniegu, a niebo było tak szare jak ich myśli. Kiedy wyszli z pokoju, opuściła ich cała wesołość. W sieni Drake spytał:

– Mogłabyś chwilę ze mną porozmawiać?

Morwenna skinęła głową i zaprowadziła go przez wielki salon do mniejszego saloniku na tyłach. Podniszczone niewielkie pomieszczenie, w którym spotykali się przez całą zimę, stało się niemal prywatnym salonikiem Morwenny. George jeszcze nie zajął się jego renowacją. Zakurzone kotary z ciężkiego niebieskiego aksamitu wisiały na żelaznych kółkach zardzewiałych od soli znajdującej się w powietrzu. Stary turecki dywan był wytarty w pobliżu drzwi i koło kominka. Umeblowanie stanowiły rzeczy usunięte z innych pomieszczeń: stare stoły i krzesła. Jednak salonik był wygodny – na kominku płonął jasny ogień, na stole leżała otwarta gazeta i stał kałamarz z gęsim piórem, na oparciu krzesła wisiała para pończoch Geoffreya Charlesa czekających na zacerowanie, na gzymsie nad kominkiem stały miniatury przedstawiające rodziców Morwenny.

– Nie chcesz, żebym tu więcej przychodził? – spytał Drake.

Był zwrócony plecami do drzwi, jakby ich pilnował. Morwenna przeszła przez salonik i pochyliła się nad ogniem.

– Tak będzie lepiej dla nas obojga – odpowiedziała.

– Dlaczego? Co się zmieniło? Dlaczego się zmieniłaś, Morwenno?

Poprawiła ogień żelaznym pogrzebaczem zbyt wielkim jak na kominek w tym pokoju.

– Nic się nie zmieniło. Po prostu lepiej, żebyśmy się więcej nie spotykali.

– A Geoffrey Charles? Mam go nie widywać?

– Wytłumaczę... wytłumaczę mu, że tak będzie lepiej. Myślę, że wkrótce wyjedzie do szkoły i wtedy łatwo zapomni.

– Ja nie zapomnę tak łatwo.

– Tak. – Skinęła głową, ciągle pochylona, z plecami napiętymi jak łuk. – Nie będzie to dla ciebie łatwe.

– A dla ciebie, Morwenno? A dla ciebie?

– Och, ja łatwo zapomnę – odpowiedziała. – Wyjadę z Trenwith.

Drake podszedł powoli do kominka. Zatrzymał się przy nim niezgrabnie, nie wiedząc, co zrobić z rękami, a na jego beztroskiej, szczerzej chłopięcej twarzy pojawił się bolesny grymas.

– To nieprawda. Powiedz mi, że to nieprawda...

Morwenna wyprostowała się i odsunęła. Już raz stali zbyt blisko ognia.

– Oczywiście, że to prawda. Nigdy nie powinno dojść do tej... przypadkowej znajomości. Obawiam się, że nie potrafiłam utrzymać Geoffreya Charlesa w ryzach.

– Może mnie też... nie potrafiłaś utrzymać w ryzach.

– Tak – odpowiedziała niewyraźnie. – To prawda. Nie postąpiłam właściwie. Wybacz mi, że na to pozwoliłam, a teraz odejdz.

Zapadło długie milczenie. Morwenna pomyślała: Jeśli nie odejdzie, jeśli szybko nie odejdzie...

– Morwenno, odejdz, jeśli powiesz mi to, patrząc prosto w oczy. – Stanął za jej plecami.

Spojrzała na dziedziniec. Trawę skoszono, przystrzyżono żywopłoty, usunięto starą pompę i ustawiono na jej miejscu współczesną marmurową rzeźbę. Jednak Morwenna niczego nie widziała. Nie pozwalała jej na to nie tylko krótkowzroczność.

– Przez kilka miesięcy, przez kilka miesięcy nie myślałem o nikim innym – powiedział Drake. – Pracowałem, jadłem, modliłem się, spałem i bez przerwy myślałem tylko o tobie. Jesteś dla mnie wszystkim na tym świecie. Dniem i nocą. Słońcem i księżycem. Bez ciebie nie ma nic, nic...

– Myślę, że powinieneś odejść – rzekła Morwenna.

– Więc mi to powiedz. Popatrz mi w oczy i każ odejść.

– Już ci powiedziałam.

– Ale nie patrzyłaś na mnie, więc nie widzę prawdy w twoich oczach.

– Prawdy... och, czym jest prawda? Mówię po prostu, że powinieneś odejść.

– Nie uwierzę w twoje słowa, dopóki się nie przekonam, że pochodzą z serca.

Omam się nie zakrzusila.

– Serca, Drake?! Myślisz, że ma coś wspólnego z sercem?! Świat nie kieruje się sercem. Jesteśmy częścią świata, musimy przestrzegać jego zasad i praw. Jeśli jeszcze tego nie wiesz, powinieneś się tego nauczyć.

– Nie chcę się tego uczyć.

– To wszystko, co mogę ci powiedzieć.

– Nie... To nie wszystko, Morwenno. Po prostu... po prostu popatrz na mnie. Ukaż mi swoje serce i powiedz, żebym odszedł.

Zawahała się. Po chwili się odwróciła z oczami pełnymi łez.

– Nie odchodź, Drake... Przynajmniej jeszcze nie teraz. Och, Drake... proszę, nie odchodź!...

Rozdział szósty

Wiosną większość bogatych właścicieli ziemskich rozdawała zboże wieśniakom, lecz zapasy ledwo wystarczały na własne potrzeby dworów. Zboża nie można było kupić nawet za dobre pieniądze, gdyż angielskie statki nie mogły wpływać do portów na kontynencie i import ustał. Od czasu wielkiej zarazy sto trzydzieści lat wcześniej w Londynie nigdy nie umierało codziennie tylu ludzi. Wielu mieszkańców Sawle i wioski Gambler cierpiało na dziwną chorobę układu pokarmowego, której przyczyną była dieta złożona wyłącznie z niedopieczonego chleba jęczmiennego i słabej herbaty. Tyfus ciągle się rozprzestrzeniał, chociaż coś zdawało się go powstrzymywać, jakby czekał na lepszą pogodę.

Samuel i Drake Carne'owie oraz kilkunastu innych mężczyzn oczyszczało teren kopalni Wheal Maiden, wykorzystując krótkie dni i nie zważając na przeciwności, mimo innych zajęć, które ich absorbowały. Ross codziennie żałował, że ich do tego zachęcił, lecz każdego dnia mimo woli podziwiał ich determinację. Przygotowano plan pracy i każdy z mężczyzn spędzał w kopalni wyznaczoną liczbę godzin. Czasami, mijając ich, słyszał, jak śpiewają pieśni. Niekiedy pracowały również kobiety. Samowi udało się namówić do pomocy kilku bezrobotnych górników z Wheal Leisure. Zapłatę mieli otrzymać w niebie, a na ziemi dostawali niekiedy kubek herbaty.

Pewnego dnia Ross odwiedził Caroline. Gościła w Killewarren sześciu emigrantów z Francji. Tymczasem Demelza próbowała zasiać trochę prawoślazów na miejsce tych, które nie przetrzymały zimy. Sir John Trevaunance radził najpierw przygotować sadzonki w skrzynkach wypełnionych ziemią z dodatkiem piasku, później zaś przenieść je do ogrodu. Demelza stała w pobliżu krzaku bzu koło frontowych drzwi dworu, gdy zauważyła mężczyznę zjeżdżającego w dolinę. Siedział na niewielkim kucu, który wydawał się dla niego stanowczo za mały. Gdy przejeżdżał ze stukotem przez mostek na strumieniu, pozdrowił Demelzę, unosząc pognieciony kapelusz. Zauważyła, że jego lewa ręka – ta, którą trzymał wodze – jest zakończona żelaznym hakiem.

– Dzień dobry, pani, dzień dobry! – Nie był pewny, jaki jest status Demelzy. – Czy pani Poldark?

– Tak.

– Żona kapitana?

Skinęła głową. Uśmiechnął się szeroko, ukazując poczerńiałe zęby, i zsiadł z konia. Znajdował się zaledwie o krok od Demelzy. Był bardzo wysokim mężczyzną w średnim wieku, miał orłą twarz mimo spłaszczonoego nosa. Kiedyś, zanim oszpeciała go blizna, prawdopodobnie był przystojny.

– Młody kapitan w domu?

– Masz na myśli kapitana Rossa Poldarka? Nie, nie ma go.

– Ach... Miło mi, że panią poznałem. Nazywam się Bartholomew Tregirls. Kapitan mógł o mnie opowiadać.

Demelza potwierdziła. Tak, tak, wspominał o Tregirlsie, lecz w gruncie rzeczy niewiele pamiętała. Dawny kompan, który sprzedał Rossowi Judytę...

Tholly szybko ją oświecił. Był bliskim przyjacielem starego kapitana, kapitana Joshui, druhem i kompanem kapitana Rossa jeszcze jako młodzika. Przeżyli razem wiele zwariowanych przygód: łowili ryby, uprawiali zapasy, przemycali rum, uganiali się za dziewczętami, oddawali się hazardowi. Wszystko to było całkiem niewinne, ale szalone, w jakiś sposób szalone. Tholly, wyższy o głowę od Demelzy – a nie była niskiego wzrostu – opowiadał o dawnych czasach, lecz jednocześnie taksował ją jasnoszarymi, bystrymi oczami, trochę z szacunkiem, trochę bezczelnie. Prawdopodobnie słyszał o jej pochodzeniu i próbował się zorientować, czy Ross poślubił zuchwałą trzpiotkę lubiącą szalone przygody, czy ambitną dziewczuchę z ludu pragnącą osiągnąć pozycję damy, niechętnie słuchającą jego wspomnień.

Demelza kiwała głową, uśmiechała się, potakiwała, zaprzeczała, wyrażała zainteresowanie lub zdziwienie i sama próbowała ocenić Tholly'ego. Później zaprosiła go na herbatę. Nie był to jego ulubiony napój, lecz wydawał się zadowolony. Wszedł za Demelzą do dworu i siedział w salonie jak niedźwiedź, obrzucony niechętnym spojrzeniem przez Jane Gimlett, która przyniosła herbatę. Ciągłe jednak nie był pewien, jak się zachowywać, bo gospodyni nie pasowała do żadnego oczekiwanego wzorca.

Demelza uznała Tholly'ego za niebezpiecznego człowieka – prawo, własność i cudze życie wydawały się nie mieć dla niego żadnego znaczenia. Wyglądał jak pirat.

Tregirls podciągnął zielone bryczesy, wziął filiżankę i spodeczek, po czym popatrzył na nie jak na dziwadła z innego świata. Miał taki wyraz twarzy, jakby się zastanawiał, czy nie należy ich ugryźć. Następnie wypił łyk herbaty.

– Mówiłem kapitanowi Rossowi, że mogę kiedyś wrócić w rodzinne strony. Urodziłem się i dorastałem w St Ann's, mam w okolicy dwoje dzieci. Pomyślałem sobie, że teraz, gdy już nie pływam po morzach, warto je zobaczyć. Lobb jest starszy, a Emma młodsza. Co nie znaczy, że w okolicy nie ma innych moich dzieci, ale się do nich nie przyznaję. – Odstawił z brzękiem filiżankę.

– Ross będzie żałował, że się z tobą nie spotkał – powiedziała Demelza.

– Och, przyjadę znowu, jeśli pani pozwoli. Mieszkam niedaleko, raczej na stałe, jak sądzę. U Sally-Na-Rozgrzewkę.

– U kogo?

– Wie pani, prowadzi szynk w Sawle. Niech pani nie mówi, że nie zna pani wdowy Tregothnan!

– O tak... Kiedyś mieliśmy... Pamiętasz Juda Payntera?

– Juda? Pamiętam. Wygląda jak wykastrowany buldog.

– Gdy ma pieniądze, spędza w szynku każdy wieczór. Zastanawiam się, czy go nie spotkałeś.

– Mieszkam tam dopiero od trzech dni, pani. Jud! – Tholly odchylił się i wyciągnął przed siebie jedną nogę. – Przypominają mi się dawne czasy. Jakbym spotkał ducha własnego dziadka! I Prudie! Wielka, tłusta krowa. Gruba jak bela. Służyli staremu kapitanowi. Mieliśmy dobrą zabawę, powiadam pani! Prudie ciągle dycha?

– Tak, dycha – odpowiedziała Demelza i wypita łyk herbaty.

– Nie mam pojęcia, gdzie Jud ją znalazł. Pewnego dnia przyjechał z nią na kucu. Stary kapitan wziął ją do domu. Ja bym się nad tym zastanowił. Kupa łaju. – W głosie Tregirlsa zabrzmiała nuta dawnej niechęci.

– Nie schudła – rzekła Demelza.

Tregirls zgarbił plecy i zakasłał.

– Mam kaszel – powiedział. – Nagle przychodzi i odchodzi. – Poruszył się w fotelu, a cienki woreczek wiszący u jego pasa zagrzechotał. Tregirls skrzywił się i wyszczerzył zęby. – Wie pani, co to jest? Kości mojej ręki. Nigdy się z nimi nie rozstaję, nawet w łóżku. Przez osiem lat pływałem po morzach, dwa lata byłem jeńcem we Francji, walczyłem tu i tam. Nie potrafię nawet zliczyć ludzi, których zabiłem. I żadnego draśnięcia, żadnego skaleczenia. A widzi pani to? – Wskazał pomarszczoną bliznę. – To robota wściekłego ojca, zaraz za wzgórzem. A rękę... – uniósł żelazny hak – zmiażdżył mi trap w porcie. Przybijaliśmy do brzegu, wysunęli trap i trafili prosto w moją rękę. Kiedy ją uwolnili, dyndała na skórze. Chirurg natychmiast ją obciął, szast-prast i po krzyku, a potem kikut do beczki ze smołą. Nie miałem czasu nawet się upić. Nawet teraz robi mi się od tego niedobrze.

– Mnie też robi się niedobrze – zauważyła uprzejmie Demelza.

Tregirls odchylił głowę i wybuchnął śmiechem.

– Dziękuję pani za miłe słowo! Dlaczego noszę ze sobą te kości? Nie pyta mnie pani o to, o co pyta mnie większość ludzi. Dlaczego je nosisz?

– Dlaczego je nosisz?

– Teraz już za późno na to pytanie! Ale tak czy inaczej pani powiem. – Zgarbił się i znów zakasłał. – Nie jestem religijny, w żadnym razie. Mówię „W imię Ojca i Syna”, gdy się budzę, i „Amen”, gdy idę spać, to wszystko. Ale

uważam, że w religii coś jest, wierzę w Sąd Ostateczny. Będę leżał w grobie, wyciągną mnie stamtąd jak rybę z wody i co zrobię bez wszystkich kości? Myśli pani, że chciałbym iść do nieba, a nawet do piekła, z hakiem zamiast ręki? Nie, proszę pani, w żadnym razie, więc noszę ze sobą te kości i mam nadzieję, że zostaną pochowane ze mną. Kiedy kapitan Ross wróci do domu?

– Dopiero po obiedzie.

Tregirls wstał powoli, pochylając głowę jak człowiek przyzwyczajony do niskich pomieszczeń.

– Dziękuję pani. Niech pani powie młodemu kapitanowi, że wrócę, może jutro, może za kilka dni.

– Powtórzę.

Podążyła za nim do drzwi, a Tregirls spojrział zmrużonymi oczyma na rozmyte słońce. Zagrzechotał woreczkiem.

– To się stało ledwo dwa lata temu, ale kości są jak nowe. Na początku trochę śmierdziały, teraz już nie. Chce pani je zobaczyć?

– Następnym razem – odpowiedziała.

Uśmiechnął się do niej szeroko, ukazując zniszczone zęby.

– Sprzedałem wam pięknego konia.

– Kuca.

– Może go pani nazywać, jak pani chce, kapitan Poldark dostał go prawie za darmo. Ma pani ochotę kupić młodego buldoga? Najlepszy rodowód. Doskonały do walki. Ma trzy miesiące. Albo łasicę? Przydałaby się pani.

– Spytałem kapitana Poldarka – odrzekła.

Wsiadł na małego, źle utrzymanego kuca i włożył kapelusz. Uchylił go przed Demelzą, szturchnął zwierzę piętą i ruszył powoli w górę doliny.

Demelza obserwowała go, aż zniknął z pola widzenia. Później weszła do domu. Jane Gimlett sprzątała naczynia po podwieczorku.

– Kto to był, pani? – odezwała się. – Oczywiście, jeśli wolno spytać.

– Coś w rodzaju widma – odparła Demelza. – Chyba... coś w rodzaju widma.

Ross powiedział: „Wciornaści!”. Wcześniej tylko Prudie posługiwała się tym określeniem.

– Czego chciał?

– Porozmawiać z tobą. Przede wszystkim. Poza tym spotkać się ze mną, jak przypuszczam.

– Z tobą?

– Tak. Zobaczyć, kogo poślubił młody kapitan.

Ross się roześmiał.

– Dość prawdopodobne. Domyślam się, że odniósł dobre wrażenie.

– Tak naprawdę nie wiem, co masz na myśli, Ross.

– Czy w ogóle możesz robić złe wrażenie?

– Trochę tak się dziś czułam.

– Podobał ci się?

– Przyjaciele mojego męża są moimi przyjaciółmi – odpowiedziała cicho.

– Nie o to pytałem.

– Widzisz? Robię złe wrażenie.

– Ani trochę. Wykręcasz się, a to zupełnie coś innego.

Demelza zastanawiała się przez chwilę.

– Ross, w zeszłym roku przyszło do nas dwóch moich braci. Jeśli w tym roku pojawia się twój dawny kompan...

– Miejmy nadzieję, że nie sprawi nam tyle kłopotu co Sam i Drake! Nie dziwię się, że znalazł przystań u Sally-Na-Rozgrzewkę. Kiedy ostatnio go widziałem, powiedział, że chce wrócić do domu, i zastanawiałem się... Ciepła

wdówka, która już za długo jest wdową, a do tego prowadzi szynk, to idealne rozwiązanie! Tregirls może być podwójnie użyteczny...

– Hoduje młode buldogi, łasice i Bóg jeden wie, co jeszcze.

– Zdaje się, że mimo wszystko go nie lubisz – rzekł Ross, drażniąc się z Demelzą.

– Chyba nie bardzo lubię, gdy ktoś grzechocze mi przed nosem starymi kośćmi, by zobaczyć, czy się przestraszę.

– Taki już jest.

– Wobec kobiet?

– Może. Miał ich wiele, a to dość często sprawia, że kobiety nie robią na mężczyznę wrażenia, nawet szczególne kobiety, wyjątkowa kobieta też. O czym rozmawialiście, kiedy skończyliście żartować?

– O jego dzieciach. Nie widział ich od wielu lat, nie wiem, jak długo.

– Ja wiem. Od trzynastu. Wychowały się w przytułku.

– Wspomniał, że jego córka pracuje u lekarza.

– Tak, jest kuchenną u Choake'a. Podobna do Tholly'ego, wysoka, odważna i ładna. Krążą plotki, że miała wielu kochanków, ale przypuszczam, że utrzymuje to w sekrecie, bo Polly Choake na pewno by ją zwolniła, gdyby odbywało się to zbyt jawnie. Syn przypomina matkę: jest niski i cichy, żonaty, ma gromadę dzieci i pracuje w warsztacie kruszenia rudy cyny w kotlinie Sawle. Po opuszczeniu przytułku dla sierot został parobkiem w gospodarstwie Josego, ale w wieku siedemnastu lat przyłapano go wraz z innym chłopcem na kradzieży jabłek z sadu Trenroma, a później skazano na miesiąc ciężkich robót w Bodmin. Dostał przepukliny od obracania kieratu i od tamtej pory nie nadaje się do ciężkiej pracy...

– Przepukliny?

– Tak. W kieracie trzeba robić pięćdziesiąt kroków na minutę przez trzy godziny dziennie, co jest wielkim wysiłkiem. Więźniowie często dostają przepukliny. Od tamtego czasu Lobb Tregirls wygląda, jakby miał pretensje do życia, i nie wyobrażam sobie, by radośnie powitał ojca, który zaniedbywał go przez tyle lat.

W wieczornym deszczu nad strumieniem pohukiwał puszczyk.

– Czy Tregirls wspomniał, że był jeńcem we Francji? Zastanawiam się, czy mówi po francusku.

– Rozmawiał ze mną tylko po angielsku. Całkowicie mi to wystarczyło, Ross. Dlaczego pytasz?

– Myślę o wyprawie.

– Ach... Co zdecydowano?

– Skąd wiesz, że coś zdecydowano?

– Domyśliłam się, bo spędziłeś tam dużo czasu. I po twojej minie.

Ross zaśmiał się krótko.

– Przypuszczam, że bardziej po minie. Długie rozmowy do niczego nie prowadzą, w ciągu ostatnich miesięcy zajmowaliśmy się głównie gadaniem.

– Ale teraz wreszcie coś postanowiono?

– Tak się wydaje. Rząd zgodził się sfinansować wyprawę, zapewnić transport i osłonę brytyjskich okrętów wojennych. Jak się spodziewaliśmy, po wylądowaniu Francuzami będzie dowodził hrabia Joseph de Puisaye. Nie znamy jeszcze dokładnej daty, ale wyruszą przy dobrej pogodzie, gdy będzie największa szansa na spokojne morze.

– Dlaczego pytasz o Tregirlsa?

– Cóż, jeśli desant się uda, kilku Anglików może zejść na ląd.

– Mam nadzieję, że nie zamierzasz uczestniczyć w tej wyprawie.

– Szczerze mówiąc, kochanie, w ogóle nie myślałem, by się w to włączyć. Nie osobiście. Z pewnością nie na początku...

– Masz żonę i dwoje dzieci.

– Tak, o tak. Pamiętam o tym. Ale powtarzam: nie jest to operacja armii brytyjskiej, nikt nie ma zamiaru wysłać naszych żołnierzy do Bretanii. Na brzegu wylądować pięć lub sześć tysięcy Francuzów wspieranych przez angielską marynarkę wojenną, a poza tym niewielki oddział brytyjskiej piechoty morskiej, by wzmocnić desant w początkowej fazie. Później zostaną przetransportowane wielkie ilości broni i amunicji dla tłumów rojalistów, którzy przyłączą się do sił ekspedycyjnych. Jeśli lądowanie się uda, niektórzy Anglicy będą mogli pomóc w transporcie zapasów, obsługiwać magazyny na brzegu lub utrzymywać łączność z Anglią. Jednak dla mnie ważne jest coś innego. Quimper, gdzie Dwight przebywa w więzieniu, znajduje się niespełna trzydzieści pięć kilometrów od miejsca lądowania. Kiedy oddziały rojalistów zdobędą Quimper, Dwight odzyska wolność. Może wtedy potrzebować – nawet bardzo – pomocy Anglików.

Demelza wsunęła do ognia kawałek zwiniętego papieru i zaczęła zapalać świece. W kuchni płakał Jeremy, lecz tym razem nie pobiegła do niego.

– A jeśli operacja zakończy się fiaskiem?

– Może to nastąpić, ale raczej dopiero po zajęciu Quimper. Wierz mi, opanowanie tego miasta ma kluczowe znaczenie.

– Uważasz, że więźniowie nie zostaną... jak ty to nazwałeś?

– Repatriowani. Tak, to możliwe. Ci, którzy przeżyją.

W salonie powoli robiło się coraz jaśniej. Demelza podeszła do okna i zaciągnęła zasłony. Ross jej pomógł. Tego roku nawet ptaki rzadko śpiewały. Światła maszynowni w górze doliny wydawały się odległe i nierealne w wilgotnym, chłodnym powietrzu. Demelza zaciągnęła ostatnią zasłonę.

– Ostrzegłaś Drake'a przed przyjaźnią z panną Chynoweth? – spytał Ross.

– Nie. Ostrzeżenia nie powstrzymają miłości, Ross.

– Wiem. Ale zdaje się, że w tym tygodniu wracają George i Elizabeth. Zależy mi, by znowu nie doszło do kłótni.

– Zapytam Sama – odpowiedziała. – W tym tygodniu zapytam go, czy ciągle się spotykają.

Do salonu weszła Betsy Maria Martin, by zapalić świece, lecz kiedy zobaczyła, że już ją wyręczono, zamierzała wyjść.

– Co się dzieje z paniczem Jeremym? – spytała Demelza.

– Przepraszam, pani. Nie chciał jeść chleba ani pić mleka. Pani Gimlett próbowała go namawiać, ale nie dał się przekonać, a potem wsadził łyżkę do miski i chlapał mlekiem po całej kuchni, więc pani Gimlett pacnęła go ręką, co mu się nie spodobało.

– Na pewno – rzekła Demelza. – Dziękuję, Betsy.

Drobna dziewczyna wyszła.

– Co miałeś na myśli, Ross, gdy mówiłeś o jeńcach, którzy przeżyją? – spytała Demelza.

– Słucham? Och, w więzieniu... Cóż, już ci powiedziałem.

– Może nie powiedziałeś wszystkiego.

– Słyszałem dwa razy tyle, nie chciałem cię jednak dręczyć szczegółami. Ani Caroline.

– Powiedz mi teraz.

Popatrzył na nią.

– W lutym zwolniono pewnego Holendra. Chyba dlatego, że Francja i Niderlandy nie są już w stanie wojny. Spędził w Quimper pół roku i widział Anglików, których tam przywieziono. Jednego z marynarzy zastrzelono za próbę zerknięcia przez dziurę w bramie. Jego zwłoki leżały przez dwa dni pod murem. Więźniowie dostają tylko czarny chleb i wodę. Chociaż w studni jest mnóstwo wody, mogą po nią chodzić tylko dwa razy dziennie. Długo nie mieli żadnych naczyń, by ją przechowywać. Wielu przyprowadzono prawie nagich z miejsca, gdzie przedostali się na brzeg; odebrano im wszystkie rzeczy, a potem ich pobito. Każde poważniejsze wykroczenie jest karane śmiercią, a jakiegokolwiek zamieszki oznaczają, że nikt nie otrzyma żywności i wody przez trzydzieści godzin. Oczywiście nie ma żadnych lekarstw ani środków medycznych; jeńcom nie wydano koców. Oficerowie są

traktowani gorzej od prostych marynarzy, bo należą w Anglii do klasy panującej. Jeden ze strażników dźgnął bagnietem w brzuch brzemienną francuską wieśniaczkę, gdy usiłowała podać kilku więźniom miskę zupy. Później dowódca pochwalił strażnika. To długa historia, jest o wiele więcej takich opowieści. Wśród więźniów szerzy się tyfus, influenza, szkorbut i mnóstwo innych chorób. Jeśli Dwight ciągle żyje, ma pełne ręce roboty.

Demelza uklękła na kanapie obitej zielonym aksamitem i odgarnęła włosy, by spojrzeć na męża.

– W lutym jeszcze żył.

– Tak. W lutym jeszcze żył.

Wiatr przybierał na sile i w szyby uderzały strugi deszczu. W jednej z nowych rynien pluskała woda.

– Nic z tego nie rozumiem, Ross. Co właściwie wstępuje w ludzi? Czy Francuzi są jakimiś wyjątkowymi barbarzyńcami?

– Nie, chociaż Francja ma długą historię wojen domowych i konfliktów wewnętrznych, czego nam na szczęście udało się uniknąć.

– Tak, ale... Jeśli patrzy się na ludzi, naturalnie również na kobiety, większość nie wydaje się zła. Okoliczni mieszkańcy mają trudne życie, ciężko pracują, są szorstcy. Tylko nieliczni szczęśliwcy mogą cieszyć się życiem. Mimo to miejscowi wieśniacy nie wydają się źli. Nie wychowywałam się w ciepłarni, ale widziałam niewiele zła. Prawie...

– Na przykład gdy twój pijany ojciec lał cię co wieczór pasem.

Demelza umilkła, ponieważ Ross przerwał jej wątek.

– Tak, ale robił to po pijanemu...

– Albo patrzyłaś, jak chłopcy dla zabawy przywiązują ogon Garricka do ogona kota.

– Tak, ale byli młodzi, zasługiwali po prostu na lanie. Ciągle nie wiem, skąd się bierze zło, które zmienia ludzi w bestie, jak to opisałeś. Do tego niszczą własny naród! Nigdy tego nie zrozumie, Ross.

Uniósł dłoń do jej szyi i dotknął palcami kosmyków ciemnych włosów.

– Może dlatego, że sama masz w sobie tak mało zła?

– Nie, nie, nie sądzę. Wcale nie to miałam na myśli. Nie wierzę, że zwykli ludzie mają w sobie takie zło. To coś jak zaraźliwa choroba, febra, cholera, dżuma. Unosi się w powietrzu i atakuje ludzi, miasta i narody, i wszyscy lub prawie wszyscy padają jej ofiarami.

Pocałował ją.

– Równie dobre wyjaśnienie jak wszystkie, które znam.

Cofnęła głowę o kilka centymetrów, by zobaczyć wyraz twarzy męża.

– Nie wyśmiewaj się ze mnie, Ross.

– Nie wyśmiewam się w takim sensie, jak myślisz. Nie czuję się mądrzejszy od ciebie. Teraz często muszę walczyć z podejrzeniem, że to ty jesteś mądrzejsza w swojej ocenie ludzi.

– Nikogo nie oceniam, nie jestem dumna ze swoich sądów. Może jestem po prostu bardziej praktyczna od ciebie. Podobnie jak Garrick umiem poznać przyjaciela po zapachu.

– A wroga?

– Czasami.

– Co sądzisz o Thollym Tregirlsie?

– Och, to nie wróg. – Zmarszczyła brwi. – Raczej niebezpieczny przyjaciel.

– W jaki sposób niebezpieczny? Może mnie skłonić do powrotu do dawnych złych przyzwyczajzeń?

– Gdybyś, jak to nazywasz, wrócił do dawnych złych przyzwyczajzeń, to ty byś nim kierował, a nie on tobą. Nie, chciałam powiedzieć... Masz bardzo silne poczucie lojalności – może zbyt silne. Kiedy uważasz kogoś za swojego przyjaciela, prawie nie wolno go krytykować.

– Może to jakaś forma egoizmu?

– Chyba nie wiem, co znaczy to słowo...

– Egoizm to myślenie tylko o sobie i przekonanie, że jest się nieomylnym. Egoista uważa, że żadna jego opinia nie podlega dyskusji, czy dotyczy polityki, religii, czy po prostu przyjaciela.

Demelza wyprostowała nogi i usiadła obok Rossa.

– Robisz mi mętlik w głowie, Ross. Chciałam tylko powiedzieć, że przyjaźnie przysparzały ci już kiedyś kłopotów. Tholly Tregirls mógłby się stać niebezpieczny, gdyby wpadł w tarapaty, a ty zostałbyś wciągnięty w tę sprawę.

– Jak w przypadku Jima Cartera, co? Potem był Mark Daniel, a teraz Dwight Enys?

Demelza skinęła głową.

– Tyle że, moim zdaniem, wszyscy byli więcej warci niż Tholly Tregirls.

– Masz na bluzce ładną różową kokardę. Jest nowa?

– Bluzka jest nowa. Uszyła ją pani Trelask.

– Dobrze. Dobrze... W każdym razie jesteś odpowiednią osobą, by mówić o przyjaźni! Jeśli chodzi o Tholly'ego, cóż, poczekajmy, co się stanie, zamiast martwić się zawczasu.

– Och, wcale się nie martwię o Tholly'ego.

– Niepokoi cię ta wyprawa i Dwight?

– Tak.

– Chciałabyś, żebym dał temu spokój?

– Wszystkie świece palą się krzywo – odpowiedziała. – W pokoju cały czas jest przeciąg.

– Potrzebujemy kotar w drzwiach.

Zapadło milczenie.

– Masz dwa listy z Quimper? Co było w drugim? – spytała.

– Przyszedł zaledwie w zeszłym tygodniu. Młody kadet z fregaty Castor napisał do matki w St Austel. List dotarł do niej niedawno, jest datowany miesiąc później niż list Dwighta do Caroline.

– Złe wiadomości?

– Napisał, że jest jedynym żywym kadetem spośród czterech wziętych do niewoli. Przypomina szkielet i zupełnie wyłysiał z powodu choroby. Twierdzi – nie pamiętam dokładnie słów, ale nigdy nie zapomnę sensu – że serce się kraje na widok naszych ludzi, bez pieniędzy, obdartych, schorowanych i straszliwie wychudzonych, gdy biją się o ścierwo psa, które czasem uda im się znaleźć, po czym łapczywie je pożerają. Łeb i wnętrzności zdechłego psa kosztują wśród głodujących Anglików trzydzieści sou.

Demelza wstała.

– Myślę, że Clowance się obudziła – powiedziała. – Chyba ją słyszę.

Ross siedział bez ruchu, gdy obeszła kanapę i się zatrzymała. Oparła podbródek na jego głowie.

– Kiedy ma się odbyć ta wyprawa?

– Chyba w czerwcu. Tak przypuszczamy.

– Módlmy się, żeby się udała.

Rozdział siódmy

George Warleggan nie był człowiekiem niecierpliwym ani nie okazywał złości, jeśli coś nie szło po jego myśli, toteż wrócił do Trenwith w dość dobrym nastroju. Bal noworoczny zakończył się fiaskiem i niektórzy prawdopodobnie ukradkiem się z niego śmiali. Małżeństwo panny Chynoweth z Whitworthem odłożono z powodu dziwnego uporu dziewczyny, a ojciec George'a był zirytowany – dlatego George również był zirytowany – kolejnym afrontem ze strony Boscawenów. Ale George czuł zadowolenie z wielu powodów. Co najważniejsze, heroiczna walka doktora Behenny o zdrowie Valentine'a i mniej heroiczna, ale bardziej owocna doktora Pryce'a odniosły skutek i chłopiec dochodził do siebie. Behenna była najzupełniej pewna, że jeśli nawet kości nieco się zdeformują, będzie to praktycznie niezauważalne.

Osborne i jego matka przyjęli zaproszenie George'a i na początku czerwca mieli spędzić tydzień w Trenwith. George był pewny, że po tygodniu w towarzystwie Osborne'a Morwenna nie zdoła się oprzeć łagodnemu, lecz zdecydowanemu naciskowi ze wszystkich stron. Interesy Warlegganów, wspomagane przez zamówienia wojenne, szły tak dobrze jak nigdy przedtem. W zeszłym tygodniu George zawarł nową, ważną znajomość na obiedzie w Pendarves. Jego wiejska rezydencja, gdy do niej wrócił, wyglądała wspaniale. W przyszły piątek miał po raz pierwszy wystąpić w roli sędziego pokoju.

To prawda, podróż była bardzo męcząca. Deszcz, stały stałym element kornwalijskiej wiosny (a także lata, jesieni i zimy), padał bez przerwy przez cały dzień, a kiedy opuścili gościniec, jazda stała się taką mordęgą, że George dwukrotnie proponował Elizabeth, by przesiedli się na konie. Jednak Elizabeth, chociaż kołysanie i podskoki karety przyprawiały ją o mdłości, nie chciała pozostawiać Valentine'a pod wyłączną opieką Polly Odgers. W końcu udało im się dotrzeć do celu.

Zapadł już zmrok i, jak zwykle w czasie kornwalijskiej wiosny (a także lata, jesieni i zimy), pogoda nagle się poprawiła, więc kiedy przyjechali do Trenwith, niebo było bezchmurne i pojawił się piękny księżyc w pełni. Wiatr ucichł, pohukiwała sowa, lśnił staw krajobrazowy, a spiczaste dachy dworu rzucały długie cienie na podjazd, trawniki i krzewy. W oknach lśniły świece, zapraszając do wejścia.

Elizabeth poszła spać, George zaś zjadł kolację ze starymi Chynowethami, którzy okazali się mniej męczący niż zwykle, a następnie przyjął Toma Harry'ego i dwóch innych najwyższych rangą służących, którzy zdali mu relację o tym, co wydarzyło się w zimie. Udał się na spoczynek przed dziesiątą i spał, nie śniąc, do szóstej.

Obudził się świeży, pełen energii i wypoczęty. Elizabeth ciągle spała, jej piękne ramiona niedbale spoczywające na pikowanej kołdrze z białego jedwabiu sprawiały wrażenie niezwykle delikatnych, kruchych. George postanowił wymknąć się cicho z sypialni, nie budząc żony, a później kazać osiodłać konia, by się przejechać po majątku. Leżał jeszcze przez kilka minut, sennie podziwiając błękitne niebo widoczne między częściowo zasuniętymi zasłonami, po czym opuścił sypialnię. Włożył zielony szlafrok zapinany na pętelki, wszedł do garderoby i skorzystał z zainstalowanego przez siebie *chaise-percée*, po czym wezwał dzwonkiem kamerdynera. Był naprawdę piękny poranek, choć do wieczora mógł spaść deszcz. Idealna pogoda na przejażdżkę konną, po dusznym chłodzie Truro powietrze w Trenwith wydawało się cudownie orzeźwiające.

Nagle usłyszał pewien charakterystyczny odgłos, którego wyjątkowo nie lubił i którego nie spodziewał się znowu usłyszeć w swojej posiadłości. Był on wyjątkowo irytujący po wszystkim, co zrobiono w poprzednim roku: przed wyjazdem służba otrzymała wyraźne instrukcje. Dlatego kiedy pojawił się kamerdyner, George nie poprosił o wodę do mycia, tylko warknął:

– Wezwij Toma Harry'ego!

Słyszając ostry ton swojego pana, służący szybko wyszedł. Po około trzech minutach rozległo się pukanie i do

pokoju wszedł Tom Harry.

– Sir? – spytał, otarłszy usta wierzchem dłoni.

– Zbliź się.

Harry podszedł i stanął obok Warleggana.

– Sir?

– Posłuchaj. Co słyszysz?

Gajowy wyteżył słuch.

– Nie bardzo...

– Cicho! Słuchaj! Tam!

– Ropuchy?! W stawie?! Na Boga, nie mogę w to uwierzyć! Przecież...

– Staw oczyszczono w zeszłym roku. Skąd się znowu wzięły?

– Nie mam pojęcia, sir! Słowo daję, sir, to dla mnie ogromna niespodzianka! Łapaliśmy je w marcu. Wie pan, jak się zachowują, sir.

– Mówiłeś w zeszłym roku. Odchodzą.

– Tak, sir. Najpierw się parzą i zostawiają skrzek, a potem odchodzą i żyją na polach, zwłaszcza nad strumieniem. Kiedy w zeszłym roku czyściliśmy staw, było lato i mogliśmy usunąć tylko skrzek, kijanki oraz młode żaby i ropuchy. To wszystko. Nie da się wyłapać wszystkich starych...

– A zatem? Co się stało w marcu?

– Sir, pilnowaliśmy stawu. Jak tylko się pojawiły, jak tylko usłyszeliśmy choćby jedną ropuchę, zaraz ją łapaliśmy. Złowiliśmy dwadzieścia albo więcej. Trzy razy w marcu. A potem już nie kumkały. Siedziałem tam prawie co wieczór, ale żadnej nie słyszałem, sir. Przysięgam, że przez cały miesiąc nie było ani śladu ropuch!

– Mam nadzieję, że z pozostałych zadań, które wam zleciłem, wywiązaliście się lepiej niż z tego – rzekł George. – Weź Paula Bilco i natychmiast oczyśćcie staw!

– Tak jest, sir! Już się robi, sir! Bardzo przepraszam, sir! Po prostu nie wiem, jak to się stało!

Kiedy Geoffrey Charles usłyszał o inwazji ropuch, wybuchnął dzikim śmiechem i pokuśtykał nad staw, by obserwować Toma Harry'ego i Paula Bilco, którzy z ponurymi minami brodzili w wodzie i próbowali wyłapywać płazy. Przyprawdzili teriery, ale żaden terier nie chciał brać ropuch do pyska, gdy poznał ich smak – natychmiast je puszczał, ponieważ nie był w stanie wytrzymać pieczenia jadu zawartego w skórze. Geoffrey Charles, po krótkiej, gniewnej reprimendzie George'a, śmiał się już tylko w domu, a próba przekonania Morwenny, że ktoś zrobił świetny kawał, zakończyła się niepowodzeniem: spłoniona dziewczyna nie podzielała opinii podopiecznego.

Przez cały dzień od strony stawu dobiegały krzyki, tupot nóg i świst kijów. Ciotka Agatha, która rankiem na kilka minut wstała z łóżka, w jakiś sposób wyczuła, że toczy się wojna z ropuchami, po czym chwiejnie podeszła do okna, skąd przeklinała gajowych i zagrzewała zwierzęta do walki. Przez większą część dnia George miał zepsuty humor, a służący starali się schodzić mu z drogi. George Charles chętnie przeklinałby gajowych razem z ciotką Agathą, lecz nie miał odwagi. Co chwila zanosił się śmiechem: wydawało się, że w brzuchu bulgocze mu podziemne źródło.

Kostka chłopca nie chciała się goić. Rana częściowo się zablizniła, lecz pojawiło się ognisko zapalne, a maści i balsamy doktora Choake'a nie pozwoliły działać naturze. Pacjentowi puszczano krew, aplikowano lewatywy i przez dwa tygodnie trzymano go w łóżku. Kiedy stan chorego się nie poprawił, kazano mu wstać i chodzić o lasce, ile tylko wytrzyma. Geoffrey Charles przyjął to z zadowoleniem, bo kostka bolała jedynie wtedy, gdy się jej dotykało, po czym zaczął kuśtykać po całej posiadłości. Bez przerwy gadał, zachowywał się niesfornie w czasie lekcji z Morwenną i trudno było nad nim zapanować.

George beznamiętnie obserwował sytuację. Kiedy Morwenna nieśmiało odrzuciła zaloty Osborne'a Whitwortha, jego stosunek do niej się nie zmienił. Odnosił się do niej uprzejmie, nieco chłodno – podobnie jak wobec wszystkich – jednak nie zachowywał się nieprzyjaźnie. Zwykle stawiał na swoim, ale nie chciał uchodzić za tyrana, zwłaszcza

w oczach Elizabeth. Dlatego na razie nie rozmawiano o małżeństwie z Whitworthem. Ale nie zdawał sobie sprawy, że po powrocie Morwenny do Trenwith wiele się wydarzyło. W ciągu trzech tygodni trzy razy spotkała się z Drake'em, który co niedziela odwiedzał Geoffreya Charlesa.

Ponieważ chłopiec leżał w łóżku, w każdy niedzielny wieczór Morwenna spędzała pół godziny z młodym cieślą w swoim saloniku.

Były to nerwowe, pełne emocji spotkania, które sprawiły, że ich uczucie dojrzało niczym roślina w szklarni. Morwenna nie wspominała Drake'owi o rywalu, częściowo dlatego, że trudno było nazywać Whitwortha i brata Demelzy rywalami: obaj należeli do zupełnie różnych światów. Czy Drake mógłby się ubiegać o jej rękę? Czy Osborne mógłby liczyć na jej miłość? W czasie tych spotkań, mając świadomość, że wkrótce mogą się zakończyć, lecz nie potrafiąc się oprzeć odkrywającym w sobie uczuciom, ulegała własnym impulsom i zachowywała się swobodniej niż kiedykolwiek wcześniej. Gdyby Drake był młodym człowiekiem z jej sfery zalecającym się do niej w konwencjonalny sposób, nigdy by tak nie postępowała – nie przyszłoby jej to nawet do głowy. Już samo przyjmowanie prostego robotnika, który absolutnie nie nadawał się na męża, i spędzanie czasu w jego towarzystwie w tajemnicy przed starszymi było kompromitujące, rzucało cień na jej honor. W trakcie tych spotkań przeżywała silne emocje i prawie nie mogła nad nimi zapanować. Czy rzeczywiście powinna wyjść za człowieka, którego nie lubi, czy powinna ofiarować mu swoje ciało w sposób, którego jeszcze w pełni nie rozumie, czy powinna nawiązać z nim niewyobrażalnie intymną relację tylko ze względu na to, że uzyskałaby dzięki temu pieniądze i status, bo tak zaplanowali dorośli? Czy małżeństwo z czystym, prawym, prowadzącym uczciwe życie cieślą – a przynajmniej miłość do niego – jest czymś złym z powodu braku pieniędzy lub różnic w pozycji społecznej i wykształceniu? Czy miłość to coś złego? Czy należy na zawsze zniszczyć taką miłość, głęboką, słodką, wywołującą zawroty głowy?

W czasie drugiego spotkania siedzieli obok siebie na podniszczonej kanapie i przez jakieś pięć minut w ogóle się nie odzywali. W końcu Drake pocałował dłoń Morwenny, a potem pocałował ją w usta. Pocałunki w dalszym ciągu były niewinne, lecz niewinność utonęła w wywołanych przez nie emocjach. Siedzieli na kanapie – zdyszani, zamroczeni, pijani, szczęśliwi i smutni, a także zagubieni.

Po odejściu Drake'a Morwenna zdała sobie sprawę, że niechęć do małżeństwa z wielebnyim Whitworthem nie jest usprawiedliwieniem, by pozwalać komukolwiek na taką swobodę. Nie na próżno wychowała się w domu duchownego. W Truro dużo się modliła. Głównie o siłę, by przeciwstawić się naciskom rodziny. Teraz zastanawiała się, czy naprawdę modliła się, by Bóg pomógł jej wyjść z kłopotów. A może prosiła o wsparcie decyzji podjętej bez pomocy Boga? Potrzebowała siły innego rodzaju, siły, by oprzeć się pokusom ciała – prawdopodobnie je odczuwała – siły, by zachować równowagę, siły, by oprzeć się niechcianemu małżeństwu, lecz nie popełnić mezaliansu, który musiał doprowadzić do katastrofy.

W końcu otrzymała list od matki. Był długi, mądry, rzeczowy, lecz wcale jej nie pocieszył. Naturalnie nie powinna wychodzić za mąż za kogoś, kogo nie chce poślubić. Z pewnością nie powinna zawierać małżeństwa w pośpiechu. Ale... później następowało wiele „ale”. Po śmierci ojca rodzina została prawie bez grosza. Dobroć brata sprawia, że pani Chynoweth nie jest pozbawiona środków do życia, ale wychowuje jeszcze trzy córki. Żadna z nich nie otrzyma majątku. Będą musiały szukać pracy jako guwernantki lub nauczycielki. Będą miały szczęście, jeśli zdołają zdobyć równie dobrą posadę jak Morwenna. Bez posagów nie mają dużych szans na poślubienie kogoś zamożnego. Matka Morwenny nie chciała, by jej córki były przez całe życie guwernantkami. Ale w przypadku Morwenny sytuacja wygląda zupełnie inaczej. Dzięki hojności pana Warleggana może otrzymać znaczny posag i poślubić młodego duchownego, który robi karierę w hierarchii Kościoła anglikańskiego. Nie jest on pozbawiony środków finansowych i odziedziczy kolejny majątek po śmierci matki, a poza tym pochodzi z dobrej rodziny. Małżeństwo z wielebnyim Whitworthem zapewniłoby Morwennie życie w ładnej plebanii w najmodniejszym mieście hrabstwa, wysoki status społeczny, dom, dzieci, wszystko, czego może pragnąć młoda kobieta. Dziećmi Morwenny mogłaby w końcu zająć się jedna z jej własnych sióstr. Powinna głęboko się zastanowić, nim odrzuci

taką wspaniałą propozycję, a przede wszystkim modlić się, by Bóg pozwolił jej podjąć słuszną decyzję.

Na koniec pani Chynoweth oświadczyła, że napisała do Elizabeth list z prośbą o łagodne traktowanie córki. Zasugerowała dwumiesięczną zwłokę przed podjęciem przez Morwennę ostatecznej decyzji.

Z tego powodu w czasie trzeciego spotkania z Drakiem Morwenna starała się zachować większą powściągliwość. Na początku z powodzeniem, toteż Drake był urażony i zdziwiony. Lecz nie trwało to długo. Morwenna usłyszała w głębi serca głos: „Skoro muszę go stracić, dlaczego nie miałabym jeszcze przez chwilę cieszyć się miłością?”.

George wrócił we wtorek, a ropuchy wyłapano w środę. Tom Harry wielokrotnie powtarzał swojemu pracodawcy i każdemu, kto chciał słuchać, że nie rozumie, skąd wzięło się ich tak wiele. George chrząkał i milczał, ale gdy budził się w czwartek, piątek i sobotę rano, staw był cichy. W niedzielę ropuchy znów się pojawiły.

Wpadł w wyjątkową wściekłość i kazałby złoić skórę Tomowi Harry'emu i Paulowi Bilco, gdyby starszy brat Toma nie przyszedł do niego ze specjalną prośbą i nie zasugerował możliwego wyjaśnienia.

– To nie ropuchy, których pozbyliśmy się w zeszłym roku, sir. To zwykłe ropuchy, takie, jakie żyją w stawach w Marasanvose.

– I co z tego? – rzucił niecierpliwie George.

– Mogły przejść przez pola. Żaby i ropuchy to dziwne stworzenia. Żyją tu od pół wieku. Albo... Albo ktoś je wrzucił do stawu ze złości.

Warleggan spojrzał na służącego, który z niepokojem unikał jego wzroku.

– Kto mógłby zrobić coś takiego?

Harry nie miał pojęcia. Nie do niego należało wyjaśnianie takich spraw. Ale George bez trudu odpowiedział na własne pytanie. Metodyści wyrzuceni z domu modlitwy, który zmieniono w magazyn. Likwidacja kopalni skazująca wiele rodzin na korzystanie z jałmużny parafii. Zamknięcie ścieżek biegnących przez posiadłość, budowa ogrodzeń. Każda z tych rzeczy mogła wywołać dziecinne pragnienie odwetu.

– Jak daleko jest stąd do Marasanvose?

– Przeszło pięć kilometrów do najbliższego stawu.

– Ropuchy mogłyby przejść taki kawał drogi?

– Myślę, że mogłyby, sir, ale moim zdaniem tego nie zrobiły.

George obserwował rozpaczliwe wysiłki służących próbujących oczyścić staw.

– Chcę, żeby nocą pilnowano tego stawu, Harry – rozkazał. – Od zmierzchu do świtu. Niech się tym zajmą Tom i Bilco. To ich obowiązek.

– Tak jest, sir. Bardzo przepraszam, sir, ale jeśli winni są jacyś bezczelni chuligani, prawdopodobnie wrócą dopiero we wtorek albo środę. Przez dzień lub dwa raczej się nie pojawią. Tak to zwykle bywa.

– Staw ma być pilnowany każdej nocy, dopóki nie przyjdą. Twojemu bratu nie zaszkodzi, jeśli będzie spał mniej, niż to ma w zwyczaju.

– Tak jest, sir. Bardzo dobrze, sir.

Minał kolejny dzień. Była słoneczna, rześka, wiosenna pogoda, lecz we dworze panowała nieprzyjemna atmosfera. Geoffrey Charles dostał burę, gdyż nieustannie opuszczał swoją sypialnię, i wracał do niej, kuśtykając. Twierdził, że boli go brzuch, co zaalarmowało matkę, lecz w istocie jedyną przyczyną bólu brzucha był tłumiony śmiech. Morwenna nie chciała rozmawiać z chłopcem o jego podejrzeniach, dlatego chętnie podzieliłby się nimi z ciotką Agathą. Zrezygnował jednak z tego pomysłu, gdy zdał sobie sprawę, że będzie musiał wykrzykiwać je do ucha starszki w obecności Lucy Pipe kręcącej się w pobliżu.

Na nieszczęście tego samego dnia George dowiedział się o cotygodniowych wizytach Rossa w Trenwith. Elizabeth powiedziano o nich już pierwszego dnia po powrocie, lecz dyskretnie zataiła tę informację przed mężem. Po powrocie z Truro George nie widział ciotki Agathy, ale w tę słoneczną niedzielę zeszła na dół, wsparta na ramieniu Lucy Pipe, i siedziała sama w głównej sali dworu, kiedy George wrócił znad stawu, gdzie sprawdzał, ile

ropuch wyłowili gajowi.

Rozpoczęła się konwersacja, a raczej monolog, po czym George przybiegł do żony z twarzą pobladałą z wściekłości.

– Wiesz, że w czasie naszej nieobecności przychodził tu regularnie Ross Poldark?!

Elizabeth oblała się rumieńcem.

– Wspominała mi o tym Lucy. Uznałam, że nie ma sensu robić z tego sprawy.

– Chcesz powiedzieć, że wolałaś mi o tym nie mówić?!

– Tak. Co się stało, to się nie odstanie. Nie możemy nic w tej sprawie zrobić.

– Ten bezczelny, arogancki... Przychodzi tutaj, choć wie, że nikt nie życzy sobie jego obecności! Wdziera się do dworu, depta moją ziemię, włóczy się po domu, robi, co chce, rozkazuje służącym i próbuje ich straszyć, patrzy, co wyremontowano, niewątpliwie zagląda do szuflad, siedzi na naszych fotelach i... i... Zachowuje się jak u siebie w domu! Na Boga, to nie do zniesienia!

Elizabeth pochyliła się nad śpiącym synem i udawała, że przygląda się jego twarzy.

– Mój drogi...

– Tak?

– Podzielam twoją irytację i dobrze ją rozumiem, choć może nie odczuwam jej z taką siłą. Nie miał prawa wchodzić do domu bez twojego pozwolenia. Ale, niestety, daliśmy mu pretekst – nic więcej, lecz był to pretekst – pozostawiając ciotkę Agathę bez opieki.

– W domu są służący! Ma własną pokojówkę!

– Pozwól mi skończyć. Chciałam powiedzieć, że zostawiliśmy ją bez opieki krewnego lub przyjaciela. Oczywiście miała służących i własną pokojówkę. To powinno wystarczyć, nie rozumiesz jednak, że Ross znalazł pretekst, by okazać typową dla siebie arogancję? Poza tym bezprawnie uważa Trenwith za swój dom rodzinny, bo dwór należał do jego dziadka i spędzał tu dużo czasu jako chłopiec. Doskonale zna to miejsce – moim zdaniem lepiej ode mnie – i nie wątpię, że gdyby go nie wpuszczono frontowymi drzwiami, zdołałby się wkraść innym wejściem. Pamiętasz, jak kiedyś nas zaskoczył.

– Chcesz powiedzieć, że nawet teraz, kiedy tu mieszkamy, nie mogę go powstrzymać przed nachodzeniem nas we własnym domu?!

– Nie przypuszczam, by próbował przychodzić. Jeśli jest mądry i zamierza dotrzymać słowa danego w zeszłym roku. Jeśli Agatha przeżyje kolejny rok, moim zdaniem będziemy musieli coś wymyślić. Nie wolno dawać mu kolejnego pretekstu.

George spojrział na syna. Chory Valentine przybrał na wadze i we śnie wyglądał bardzo pięknie. Przypominał anioła, którego George widział na plafonie dworu w Greenwich. Zaciskał pulchne rączki i złożył usta w dzióbek, jakby zamierzał zadać w niebiańską trąbkę. Miał ciemne włosy, podobnie jak ojciec, i bardzo ładną twarzyczkę, okoloną kędziorami opadającymi na szyję. Jego widok zawsze sprawiał George'owi przyjemność i napawał go dumą. Złagodził gniew wywołany ostatnimi wydarzeniami, lecz nie mógł go całkowicie uśmierzyć.

Warleggan jeszcze nigdy nie zaatakował Rossa z taką gwałtownością i, chociaż nie kwestionował argumentów żony, nie podobał mu się jej chłód.

– Jeśli Agatha przeżyje kolejny rok... Niewątpliwie zdajesz sobie sprawę, co planuje na sierpień!

Śpiący chłopiec się poruszył, a Elizabeth otuliła go kocem.

– Wspomniała mi o tym. Myślę, że chęć uczczenia takiej rocznicy to coś zupełnie naturalnego.

– W naszym domu! Z udziałem naszych służących!

– To również jej dom, George. Mieszkała w Trenwith, gdy nie było mnie, ciebie, Rossa. Mówi, że pokryje wszystkie koszty...

– Och, koszty! To najmniej istotna sprawa! Powinnaś wiedzieć, że odkąd pierwszy raz przyjechałem do Trenwith, na długo przed naszym małżeństwem, prowadzi ze mną prywatną wojnę. Nienawidzi mnie i mojej

rodziny. Jest wściekła, że mieszkam w domu, który uważa za własność Poldarków. A teraz myśli, że może urządzić w Trenwith przyjęcie z okazji swoich setnych urodzin. Chce korzystać z dworu, jakby należał do niej, i zaprosić wszystkich swoich śmierdzących, zniedołężniałych przyjaciół!

Elizabeth się uśmiechnęła.

– Mój drogi, jej śmierdzący, zniedołężniały przyjaciele już dawno nie żyją. Prawdopodobnie zaprosi kilku starszych mieszkańców hrabstwa, których my również znamy.

– I Rossa Poldarka?!

– Rossa Poldarka?

– Powiedziała mi przed chwilą, że zamierza go zaprosić!

Elizabeth zacisnęła dłonie na poręczach łóżeczka syna.

– O Boże...

– I jego żonę! Oraz dwoje dzieci!

Valentine poruszył się i obudził. Głosy dorosłych wyrwały go ze snu. Właściwie powinien już wstać, bo była to jego pora posiłku, ale doktor Behenna doradził, by chłopiec spał tak długo, jak chce, a żeby rada była skuteczniejsza, dodał do podawanego wieczorem lekarstwa trochę rozcieńczonej nalewki z opium.

– Nie sądzę, by przyjechał – powiedziała Elizabeth.

– Nie doceniasz go.

Pokręciła głową.

– Nie, nie sądzę, aby przyjechał i przywiózł Demelzę.

– Dlaczego nie? Da mu to okazję, by znów nas obrazić.

Westchnęła.

– Może powinniśmy raczej uznać to za okazję, by zakończyć stare waśnie?

George przyglądał się uważnie żonie.

– Chciałabyś tego? – Zadał bardzo ważne dla siebie pytanie.

Valentine otworzył oczy, zauważył patrzących na siebie rodziców i nagle się uśmiechnął. Iluzja anielskiej niewinności zniknęła. George wziął go natychmiast na ręce, a chłopiec chwycił pulchną rączką jeden z jego palców.

– Wolalabym nigdy więcej nie oglądać Rossa ani jego żony – rzekła Elizabeth. – Byłabym szczęśliwsza, gdybyśmy nie mieszkali tak blisko. Ale skoro Agatha tego chce, z pewnością trzeba będzie ich zaprosić. A jeśli przyjadą, powinniśmy ukrywać niechęć i postarać się, by wieczór upłynął w miłej atmosferze. Dwa lata temu całe hrabstwo mówiło o waszych kłótniach. Gdybyście się pogodzili, uciszyłoby to ostatnie plotki.

– Czy tego pragniesz?

– Nie mówię, że pragnę. Jednak Agatha ma prawo wydać przyjęcie urodzinowe: nie możemy jej tego zabronić. Gdybyśmy się nie zgodzili, wszyscy by to komentowali i wyrządziłoby to nam większe szkody niż pół tuzina kłótni.

Później George wybrał się na poranną przejażdżkę w towarzystwie Tankarda. Odwiedził kilka odległych wiosek i rozdał niewielkie datki jako jałmużnę. Po powrocie zobaczył czterech mężczyzn, którzy w dalszym ciągu przeszukiwali staw za pomocą sieci. Przyszła mu do głowy pewna myśl. W zimie Ross Poldark często odwiedzał dwór, rozmawiał ze starą ciotką w jej pokoju. Kiedy staw po raz pierwszy oczyszczano z ropuch, Agatha żaliła się, że to specjalny gatunek sprowadzony przez jej ojca z Hampshire i że to hańba je zabijać. Mogła o tym powiedzieć Rossowi w czasie spotkań w zimie. A może to Ross ponosi odpowiedzialność za ten głupi, dziecinny kawał?

Nie pasowało to do Rossa, ale im dłużej George zastanawiał się nad całą sprawą, tym bardziej wydarzenia układały się w logiczną całość. Kto jeszcze wie o jego awersji do ropuch? Czy wieśniacy wiedzieliby o oczyszczeniu stawu, czy mogłoby ich to obchodzić? Któż inny mógłby zaplanować takie bezeceństwo, wrzucić ropuchy do stawu specjalnie po to, by powitały George'a rechem po jego powrocie z Truro? Chociaż był to absurdalnie dziecinny kawał, świadczył o pomysłowości i sprycie. I złościwości.

Znalazłszy się w pobliżu stajni, George posłał po Harry'ego Harry'ego.

– Sir?

– Posłuchaj. Chcę, by stawu pilnowało w nocy więcej ludzi. Nie dwóch, tylko pięciu. I masz być jednym z nich.

– Ja, sir? Tak jest, sir.

– Rozumiesz? Pięciu. Każdej nocy przez następny tydzień. Od zmroku do świtu. W dzień macie wolne. Chcę, żebyście byli w nocy wypoczęci i czujni.

– Tak jest, sir.

– Jeszcze jedno, Harry. Jeśli kogoś schwytnie i będzie się bronił, nie traktujcie go łagodnie. Pamiętaj, że wdzierając się bez pozwolenia na cudzy teren, kłusuje i stawia opór w chwili zatrzymania. Rozbita głowa i kilka połamanych kości nikogo nie zdziwi.

– Tak jest, sir. Może pan na mnie polegać.

– Ale... starajcie się nie budzić mieszkańców dworu. Nie chcemy denerwować dam.

Rozdział ósmy

W zeszłym tygodniu świecił księżyc, ale wschodził zbyt późno, by oświetlać drogę w początkowej fazie nocy. Na lekko zachmurzonym niebie lśniły nieliczne gwiazdy. Ich światło wystarczało, a poruszanie się przy nim było bezpieczniejsze niż wśród długich cieni rzucanych przez księżyc.

Drake poszedł spać wcześniej i obudził się około dziesiątej, gdy jego brat mocno zasnął. Nie sposób było kłócić się z Samem i rzeczywiście od początku znajomości Drake'a z Morwenną między braćmi nie dochodziło do sporów. Samuel czuł tylko żal. Tylko smutek. Tylko przygnębienie, że rodzony brat, którego wiara w Chrystusa wydawała się taka żarliwa, tak głęboko zakorzeniona w duszy i sercu, pozwolił jej osłabnąć i znalazł się w dolinie mroku.

Przez pewien czas Samuel modlił się i dyskutował z Drakiem, tłumaczył mu, że jego serce jest jak ogród. Drzewo zła wycięto, ale pozostał pień, który, choć lekko przysypany ziemią skruchy, może znowu zakiełkować i najwyraźniej rzeczywiście zakiełkował, puszczając silne, groźne pędy. Mogą one zadusić i zabić kwiaty ducha, toteż Drake powinien się strzec. Niechaj jak najszybciej wyrwie pędy zła, by jego umysłu nie opanowały żądze, bo wówczas na zawsze znajdzie się w mocy Szatana i Piekła.

Drake argumentował, że we własnym przekonaniu nie popełnia grzechu. To, że spotyka się z młodą panną o nieco innych poglądach religijnych, jest może niefortunne, ale gdyby się lepiej poznali, może z czasem by się nawróciła? Małżeństwo to nie grzech. Węzeł małżeński nie jest grzechem. Miłość nie jest grzechem. Jeszcze bardziej niefortunne jest to, że spotyka się z panną z zupełnie innej klasy społecznej, co powoduje, że małżeństwo prawie nie wchodzi w rachubę. Ale to, co robią, jest niewinne (lub prawie niewinne). Drake był gotów przyznać, że sympatia do tej dziewczyny skupia jego uwagę na sprawach doczesnych. Lecz nie zgadzał się z tezą Sama, że życie doczesne jest jedynie przygotowaniem do życia wiecznego. Drake kochał życie doczesne i wszystko, co się z nim wiązało: zachody słońca, wschody księżyca, złocistą barwę dojrzałego zboża, atramentowoczarne połysk skrzydeł muchy, smak wody źródlanej, wylegiwanie się w chwili zmęczenia, wstawanie z łóżka o świcie, gdy ma się przed sobą cały nowy dzień, smak świeżo wypieczonego chleba, plusk chłodnej wody morskiej obmywającej stopy, pieczenie kartofla w gorącym popiele ogniska, a potem jedzenie go, kiedy jest ciągle tak gorący, że prawie nie można go utrzymać, spacer po klifie, wylegiwanie się na słońcu, obrabianie kawałka drewna na tokarce, iskry tryskające z kutego żelaza. Mógłby wymienić jeszcze pięćdziesiąt podobnych przyjemności.

Jedną z nich była miłość do Morwenny, najsilniejsza ze wszystkiego. Wiele aspektów ich znajomości było niefortunnych, jednak nie czuł, że to grzech. Raj mógłby być wspanialszy, lecz nie potrafił go sobie wyobrazić.

Sam i Drake zgodzili się, że mają różne zdania. Przebywając w domu, Drake w dalszym ciągu uczestniczył w życiu wspólnoty, w dalszym ciągu na ochotnika wznosił fundamenty nowego domu modlitwy na wzgórzu, w dalszym ciągu co wieczór modlił się z Samem. Jednak brat zrezygnował z prób kontrolowania, dokąd chodzi Drake, i milczał, kiedy ten wstawał o świcie i opuszczał chatę. Nie wierzył, że może zrobić coś naprawdę złego; patrząc rankiem na twarz młodszego brata, dochodził do wniosku, że diabeł nie trzyma go w zbyt silnym uścisku.

Tym razem Drake wyszedł po raz trzeci. Podrzucanie ropuch do stawu sprawiało mu wielką przyjemność. Nigdy nie rozmawiał z George'em Warlegganem i widział go tylko w kościele, ale stał się on dla Drake'a kimś w rodzaju groźnego smoka. Podrzucanie ropuch było jedynym sposobem, by zabić bestię.

Na początku Drake zamierzał podrzucić ropuchy tylko raz. Pożyczył dwa kosze na ryby od Betsy Triggs i sieć rybacką od jednego z mieszkańców Sawle, po czym zmajstrował coś na kształt prymitywnego podbieraka z draga i dwóch kawałków drewna. Reszta okazała się łatwa. W tym roku żaby i ropuchy rozmnażały się późno i trzy połączone ze sobą stawy pod Marasanvose roily się od nich. Drake wyłowił ponad dwadzieścia płazów, wrzucił je

do koszy i zasłonił otwory płótnem workowym. Następnie ruszył w drogę powrotną. Po niespełna dwóch godzinach leżał w łóżku w swojej chacie.

Uważał żart za zabawny i miał nadzieję, że się uda. Ropuchy mogły do rana wrócić do Marasanvose. Ale staw w Trenwith był ich naturalnym środowiskiem i Drake uznawał za prawdopodobne, że w nim pozostaną. Oczywiście zdawał sobie sprawę, że naraża się na ryzyko, które było nieproporcjonalnie duże w porównaniu z zadowoleniem z udanego żartu. Wdzieranie się na teren cudzej posiadłości było poważnym przestępstwem, zwłaszcza jeśli popełniano je w nocy. Jednak w czasie niedzielnych wizyt we dworze dobrze poznał topografię Trenwith. Chociaż był wysoki, potrafił poruszać się szybko i cicho – był pewien, że wyprowadzi w pole każdego niezgrabnego gajowego, na jakiego mógłby się natknąć. Ryzyko napotkania psów wydawało się niewielkie; George nie znosił psów. W Trenwith znajdowały się tylko dwa teriery należące do braci Harry, najczęściej zamknięte.

W środę Drake zastanawiał się, czy jego wizyta dała jakieś efekty, a w piątek po powrocie do chaty zastał list od Geoffreya Charlesa. Prawdopodobnie przyniósł go jeden ze służących.

Najdroższy Drake'u!

Byłem taki podekscytowany w środę! W stawie roito się od ropuch i wuj George dostał furii! To Twoja sprawka? Tak się śmiałem, że wysłali mnie do mojego pokoju! Tom i Paul dostali straszną burę za złe oczyszczenie stawu. Siedzieli w nim cały dzień, łapiąc ropuchy. Chyba wyłapali wszystkie. Najdroższy Drake'u, kiedy możemy się spotkać i iść do Marasanvose?

Z wyrazami miłości Geoffrey Charles Pod spodem dopisano pośpiesznie inną ręką: „Jeśli to Twoja sprawka, nie powinieneś być tego robić. M.”.

W sobotnią noc Drake znów podrzucił ropuchy do stawu w Trenwith. Geoffrey Charles miał świetną zabawę, a ryzyko wydawało się niewielkie, bo o wszystko obwiniono gajowych. Tym razem, chociaż początkowo było ciemniej niż we wtorek, przed dotarciem Drake'a do stawu na niebie pojawił się księżyc i młody człowiek musiał zachowywać wielkie środki ostrożności w pobliżu dworu. Ale nikt go nie zauważył i w stawie znalazła się druga partia ropuch, wywołując rozbawienie Geoffreya Charlesa.

Na tym mogłoby się skończyć, ponieważ syn Francisa nie wysłał nowego listu z zachętą ani ostrzeżeniem. Jednak wieści o ropuchach rozeszły się po okolicy, bo mieszkańcy wsi pracujący we dworze zaczęli o nich plotkować. Polly Odgers rozmawiała ze swoim ojcem, Lucy Pipe z bratem. Char Nanfan dowiedziała się o ropuchach od Beth Bate, której mąż pracował w Trenwith jako ogrodnik. Szeptano i snuto przypuszczenia. Wieśniacy nie wierzyli, że ropuchy przyszły z pól. Były to ropuchy z Marasanvose i nie pojawiły się w Trenwith same z siebie. Ktoś zrobił kawał, i to dobry kawał, a co najciekawsze, nikt nie miał pojęcia kto. Śmiano się, że w Trenwith ropuchy spadają z bezchmurnego nieba i że pan Warleggan powinien je mieć w jednym ze swoich młynów i dodawać do gulaszu przygotowywanego w kuchni dworu. I tak dalej.

W tej sytuacji Drake poczuł, że warto powtórzyć kawał. Po raz ostatni.

Żaby i ropuchy kumkały tej nocy wyjątkowo głośno. Wilgotna, zimna pogoda najwyraźniej im służyła. Drake postawił na ziemi dwa kosze i zabrał się do pracy. Prawie nie musiał moczyć nóg. Wokół słyszał donośny rechot, kumkanie i bulgot. Kiedy się zbliżał, zwierzęta cichły, lecz z łatwością łapał je w półmroku, gdy usiłowały uciekać. Podobnie jak poprzednio, starał się zbierać nie tylko te najhałaśliwsze, inaczej zebrałyby dwa kosze samców, które, pozbawione samic, nie miałyby powodu wyśpiewywać pieśni miłosnych.

Napełniwszy kosze, przykrył je płótnem, po czym schował się w rozwidleniu drzewa i ruszył w drogę. Schwyte płazy chwilowo milczały.

Trenwith znajdowało się w odległości blisko pięciu kilometrów. Drake przeszedł przez furtkę w pobliżu zagajnika, w którym po raz pierwszy rozmawiał z Morwenną i Geoffreym Charlesem. Później szedł ostrożniej, unikając suchych gałązek i wypatrując dziwnych cieni. Uważał za prawdopodobne, że ktoś będzie dziś pilnował posiadłości, lecz przypuszczał, że służący pana Warleggana mogą czuwać w pobliżu stawu.

Po obu stronach rozciągały się trawiaste pola, a z trzeciej strony staw sąsiadował z łąką, wykorzystywaną

dawniej jako pastwisko, za którą stały budynki gospodarcze. Czwarta strona, gdzie staw był największy i gdzie wpadał do niego niewielki strumyk płynący przez wąski, kamienisty jar, była porośnięta głogami, kolcolistami i nielicznymi sosnami. Drake zbliżył się do stawu w tym miejscu, by wrzucić płazy do wody, zwracając im wolność. Tym razem, dla bezpieczeństwa, najpierw zostawił kosze około trzydziestu metrów od porośniętego wysoką trawą brzegu, oparte o ścianę stojącej samotnie szopy, po czym wyruszył na rekonesans.

Minęła północ. Dwór był ciemny, z wyjątkiem światła w jednym z górnych okien, w którym, jak pamiętał, nigdy wcześniej się nie paliło. Skręcił w lewo i zauważył, że boczna część dworu i pomieszczenia nad stajniami, gdzie spali służący, również są ciemne. Szumiała trawa, owiewana lekkim, suchym, nocnym wiatrem, który wciąż nie zapowiadał wiosny. Wczorajszy deszcz sprawił, że ziemia rozmiękła, więc prawdopodobieństwo nastąpienia na kruchą gałązkę było mniejsze. W oddali szumiała morze.

Drake niemal natychmiast zauważył pierwszego mężczyznę, który stał oparty o bramę najbliższej stajni. Był zbyt daleko, by zainterweniować; prawdopodobnie schronił się przed chłodnym wiatrem. Nie byłoby trudno wrzucić żaby do wody, nie alarmując go. Ale czy gajowi pełnią straż samotnie? Zwykle, jak gołębie, chodzą parami.

Drugi mógł lepiej przykładać się do swoich obowiązków. Może zmieniali się w pobliżu stawu? Skoro jeden znajduje się przy bramie stajni, drugi powinien być w zasięgu wzroku, by zauważyć umówiony znak... Drake uważnie przyjrzał się nielicznym miejscom, gdzie można by się ukryć. Drzewo, murek, krzak, kamienny filar, drzewo, drzewo, wóz, mur, szopa, krzak, ach... Spostrzegł mężczyznę. Drugi gajowy siedział w pobliżu stawu, całkowicie zasłonięty przez krzak. Był zupełnie nieruchomy i zdradził go tylko lekki ruch głowy.

Sytuacja się komplikowała. Drake nie mógł niepostrzeżenie wrzucić ropuch do stawu. Pozostało jedno rozwiązanie: powinien podpełznąć do strumienia pod osłoną krzaków, a następnie po cichu włożyć zwierzęta do wody w nadziei, że popłyną w dół i dotrą do stawu.

Obrócił się gwałtownie i ujrzał przed sobą mężczyznę.

– Mam cię! – rozległ się triumfalny głos i nieznajomy chwycił go za rękę.

Drake instynktownie wykonał gwałtowny ruch, co uratowało go przed natychmiastowym schwytem. Wyrwał się, rozdierając rękaw; w tej samej chwili koło jego ucha świsnęła pałka, odbiła się od przedramienia i uderzyła w mur. Uchylił się, upadł, wstał na czworaki i pobiegł w stronę dworu. Zauważył przed sobą następnego mężczyznę, lecz w ostatniej chwili zdołał go ominąć. Wokół roilo się od gajowych. Drake ponieważ nie rozumiał, że nie zawsze polują parami.

Znajdował się teraz na głównym podjeździe, gdzie był dobrze widoczny. Mężczyźni zbliżali się do niego z różnych stron. Skręcił najpierw w prawo, a potem w lewo, po czym popędził w stronę niskiego murku znajdującego się za rabatami kwiatów. Dwóch gajowych próbowało zabiec mu drogę, lecz strach i długie nogi sprawiły, że dotarli do murku przed nimi. Przeskoczył na drugą stronę, znalazł się na otwartej przestrzeni i pobiegł przez jedno z dwóch pól dzielących go od zagajnika, gdzie po raz pierwszy spotkał Morwennę. Dziękował Bogu, że gajowi nie mają psów.

Ale niebezpieczeństwo jeszcze nie minęło, ponieważ w dalszym ciągu był daleko od lasu, a na polu pojawił się jeździec zamierzający odciąć mu drogę ucieczki. Drake skręcił w stronę krańca pola, gdzie grunt gwałtownie opadał. Znajdowały się tu ruiny starego wiatraka, dawno zniszczonego i częściowo spalonego. Dalej zaczynała się otwarta przestrzeń, jednak na razie Drake mógł się ukryć za niskim kamiennym murkiem. Ruiny wiatraka wydawały się oczywistą kryjówką, lecz za nimi ciągnęły się pola dochodzące do St Ann's – po raz pierwszy, odkąd sięga ludzka pamięć, ogrodzone, zaorane i obsiane jarą pszenicą.

Stary kamienny murek miał niespełna metr wysokości i biegł w stronę zabudowań gospodarczych. Drake przedostał się na drugą stronę, skręcił w prawo i posuwał się do przodu na czworakach, raniąc dłonie i kolana na kamieniach i ostrych kikutach wyciętego kolcolistu. Straszliwie się śpieszył, ale musiał zachowywać się jak najciszej. Gdyby jeździec przeskoczył przez mur, wysiłki Drake'a poszłyby na marne. Mężczyzna najwyraźniej jednak nie miał ochoty zmuszać kuca do skoków w ciemności; zsiadł z niego i przeszedł przez mur. Po chwili to

samo zrobili dwaj zdyszani gajowi, którzy przybiegli jego śladem.

Kiedy znaleźli się po drugiej stronie murku, Drake leżał płasko wśród kolcolistów i kamieni, starając się prawie nie oddychać. Dopiero teraz zdał sobie sprawę z bólu w przedramieniu, gdzie trafiła go pałka.

– Chyba tam...

– Sukinsyn jest w wiatraku. Nie dziwię się...

– Najlepiej się rozdzielimy.

– A jak ma nóż? Szczury zapędzone do kąta mogą gryźć.

– Tom i ty, Jack, zajmijcie się wiatrakiem. Ja pojedę w dół, sprawdzę, czy czegoś nie widać...

Podziellili się, ale tylko na dwie grupy. Nie mieli ochoty na walkę w ruinach jeden na jednego. Chwila wytchnienia, lecz bardzo krótka.

Kiedy rozległ się odgłos ich kroków, Drake poczołgał się wzdłuż murku. Wszystko zależało od szczęścia: nie widział, w którą stronę patrzą gajowi, ale nie usłyszał okrzyku.

Ruszył naprzód, zgięty wpół. Zastanawiał się, ilu ludzi go ściga. Przynajmniej pięciu lub sześciu. Wiedział, gdzie są trzej. Kiedy jeździec nie znajdzie go w okolicy zagajnika, nabierze pewności, że Drake poszedł w inną stronę, i wróci. Gdzie są pozostali? Ciągłe koło dworu?

Chwilowo panowała cisza. Oddech Drake'a się uspokoił, lecz coraz bardziej bolało go przedramię. Dotarł do końca murku. Gdyby udało mu się dobiec do stajni, za dworem znajdowały się dwa sady, a dalej pola ciągnące się do wrzosowiska, które dochodziło do klifu.

Popatrzył na ciemne stajnie. Z wnętrza dobiegło rzenie, a z dachu jednego z zabudowań wzbiła się sowa, poza tym było cicho. Niech się dzieje, co chce – jeśli tam są, to są. Obejrzał się za siebie. Jeździec jeszcze nie wrócił. Popatrzył na dwór. Z tego miejsca nie mógł dostrzec, gdzie pali się jedyne światło. Gdzie znajduje się pokój Morweny? Nigdy tam nie był, nie miał pojęcia, gdzie śpi. Pokój Geoffreya Charlesa wychodził na tyły dworu. Dziwne, że zaprzyjaźnił się z tym chłopcem. Naprawdę go lubił – nie był to tylko pretekst, by spotykać się z Morwenną.

Ponownie ruszył naprzód, lecz nie w stronę stajni. Latarnia, która paliła się przed dworem, zgasła. Podążył w stronę stawu, narażając się na strzał z muszkietu lub spotkanie innych gajowych. Ale byli daleko, zmiierzali w innym kierunku.

Minął staw i dotarł do strumienia. Dwa kosze znajdowały się tam, gdzie je położył. W środku coś się poruszało. Ropuchy przestały się bać i zaczęły się niecierpliwic. Chwycił kosze, zaniósł je na brzeg stawu, zdjął płótno i wrzucił zwierzęta do płytkiej wody. Kiedy jedna z ropuch odzyskała wolność, natychmiast zarechotała.

Drake zarzucił kosze na ramiona i ostrożnie okrążył dwór. Później ruszył w stronę klifu.

Rankiem przedramię poczerniało, ale Drake jak co dzień poszedł do biblioteki i udało mu się normalnie pracować. Nie miał w tej chwili dużo roboty, gdyż czekał na decyzję Rossa. Kiedy zdemontowano dach, okazało się, wbrew wszelkim przewidywaniom, że ścian biblioteki nie zbudowano z litego granitu, lecz jedynie oblicowano granitem, w środku zaś znajdował się gruz. Była to dość prymitywna technika. Wznoszono dwie cienkie ściany w odległości kilkudziesięciu centymetrów, a pustą przestrzeń między nimi wypełniano byle czym: odłamkami kamieni, gliną, ziemią i płoną skałą z hałd pobliskiej kopalni. Ściana wydawała się dość solidna, ale nie można było przewidzieć, czy zdoła utrzymać dodatkowe piętro. Ku irytacji Rossa okazało się, że maszynownię Wheal Maiden zbudowano z litego granitu.

Drake zabrał się do pracy i nikt niczego by nie zauważył, gdyby nie lekcja czytania i pisanie z Demelzą odbywająca się raz w tygodniu. Chociaż na początku udało mu się ukryć wielki siniak, później wszystko się wydało.

– Trzymasz rękę zbyt sztywno – powiedziała Demelza. – Zdrętwiało ci ramię? Co się stało?

– Poślizgnąłem się i upadłem – odparł. – To tylko siniak, ale trudno mi pisać.

– Pozwól mi go obejrzeć. – Zignorowała jego protesty i kazała zdjąć bluzę. – Ach... Cóż, wyjątkowo duży siniak jak na upadek. Zaraz... kość nie jest złamana?

– Auu... Nie, to tylko siniak. Nabiłem go sobie niedawno, dlatego jest taki czarny.

– Powinieneś obandażować rękę. Inaczej obetrzesz skórę, a jeśli pęknie, będziesz miał ranę. Znajdę kawałek płótna i trochę maści z bazylii.

Demelza opatrzyła rękę i powiedziała:

– Nie możesz dziś pisać. Musimy jeszcze trochę poczytać.

Co tydzień uczyli się przez godzinę w salonie i po pewnym czasie obojgu zaczęło to sprawiać przyjemność. W zimie brat i siostra zbliżyli się do siebie. Często mieli te same poglądy na różne sprawy. Chociaż mężczyźni z wybrzeża Kornwalii szybko dojrzewali, Drake pod wieloma względami był jeszcze bardzo młody. Demelzie podobała się jego świeża, beztroska witalność. Nie mogła znieść myśli, że wdał się w bezowocną, nierówną walkę z Warlegganami, lecz nigdy nie powiedziała na ten temat ani słowa, ponieważ uznała to za bezsensowne. Teraz, pod wpływem nagłego impulsu, przerwała milczenie. Ale było za późno. Zawsze jest za późno.

– Ciągłe się spotykasz z Morwenną Chynoweth?

Spojrzał na nią z zaskoczeniem.

– Kto ci powiedział?

– Samuel.

– Och... Samuel. – Westchnął z ulgą, po czym jego twarz przybrała nieprzenikniony wyraz. – Tak.

Czekała w milczeniu. Wziął książkę, którą wcześniej czytał, i zaczął przewracać stronicę.

– Szkoda, że tak się stało – odezwała się.

– Może... Tak powiedziałyby większość ludzi.

– Drake, moim zdaniem nie wyniknie z tego nic dobrego.

– Dobrego? – spytał. – Czasem się zastanawiam, co jest dobre.

– Dobrego dla was obojga. Morwenna też cię lubi?

– O tak.

– Często miałam ochotę coś powiedzieć – rzekła. – Jednak chociaż jestem twoją siostrą, chyba nie powinnam się wtrącać.

– To nie twoja sprawa. Ani Sama.

– Nie gniewaj się.

– Nie gniewam się. Dobrze mi życzysz.

– Dobrze ci życzę. Wolałabym, żeby to był ktoś z innego dworu. Może dałoby się dojść do porozumienia, kto wie? Z Warlegganami to niemożliwe.

– Morwenna nie jest z rodziny Warlegganów. A ja nie jestem Poldarkiem.

– Jesteś spokrewniony z Poldarkami, na tym polega nieszczęście.

– Waśnie są złe, siostró. Nie wiem, kto ma rację w tym sporze, ale w życiu człowieka, który poświęcił się Chrystusowi, nie ma na to miejsca.

– A jednak nawet Samuel sądzi, że twoja przyjaźń z Morwenną jest niefortunna.

– Uważa ją za żądzę cielesną i myśli, że oddała mnie od Boga. Poza tym Morwenna nie należy do wspólnoty, nie jest zbawiona i mogłaby mnie odciągnąć od wiary.

– A mogłaby?

Drake pokręcił głową.

– W ogóle się nad tym nie zastanawiamy. Ale istnieją różne sposoby służenia Bogu. Wierzę, że jeśli dwoje ludzi, mężczyzna i kobieta, żyje w harmonii, mogą dać światu i Bogu więcej niż wtedy, gdy są sami.

Demelza spojrzała ciepło na brata. To, co powiedział, do tego stopnia zgadzało się z jej poglądami i doświadczeniami, że nie zamierzała nic dodawać.

– Morwenna Chynoweth to córka dziekana. Czy chciałaby... Czy zgodziłaby się na życie...

– Och, nie pytaj mnie, siostró. Nic o tym nie wiem. Wiem, że nie mam jej nic do zaoferowania – nic. To dla

mnie trudne, gorzkie. Jak dotąd nie myślimy o przyszłości, tylko o kolejnych spotkaniach. Niczego nie planujemy. Dlaczego to, co jest między nami – co, jak wierzę, pochodzi od Boga – ma być skażone myślami i zakazami tego świata...

Wstał, wciąż trzymając książkę, i podszedł do okna.

– Jeszcze jedno, Drake – powiedziała Demelza. – Jeśli się spotykacie, nie możemy was powstrzymać. To wasza sprawa, nikogo więcej. Ale miejsce waszych spotkań to zupełnie inna rzecz. Po powrocie pana Warleggana nie powinniście się spotykać w Trenwith. Ma wielu służących, podczas wizyt kapitana Poldarka w Trenwith dwukrotnie dochodziło do bójek. Jeśli pan Warleggan się dowie, że przychodzisz się spotykać z jego kuzynką, możesz mieć większe siniaki niż ten na ramieniu.

Drake obrócił głowę w stronę siostry.

– Co się przytrafiło kapitanowi Poldarkowi?

– Zaatakowano go i stoczył walkę. Chyba nikt nie zwyciężył, choć polała się krew.

– Założę się, że...

Demelza podeszła do Drake'a od tyłu i ujęła go za zdrowe ramię.

– Nie chcę, żeby spotykało to mojego męża, i to samo odnosi się do brata. Trudniej byłoby ci stawiać opór niż Rossowi... Więc uważaj, ze względu na mnie... i może ze względu na Morwennę. Do której strony doszliśmy? Dwudziestej drugiej, prawda? Przed chwilą ją zaczęliśmy.

Okolo czwartej Drake wrócił do chaty w Reath. Demelza powiedziała, że nie może pracować jedną ręką; powinien iść do domu i odpocząć. Ale Drake nie miał ochoty odpoczywać i pomyślał, że zaparzy imbryk herbaty, a potem pójdzie na długi spacer po plaży. Od listopada zeszłego roku był tak zajęty różnymi rzeczami, że ani razu nie zmoczył stóp w morzu. Samuel miał wrócić z kopalni dopiero późnym wieczorem.

Rozniecił ogień i zapalił chrust leżący w palenisku. Mark Daniel nie potrafił dobrze zaprojektować chaty, którą zbudował, a może nawet o to nie dbał, toteż gdy w zimie rozpalano ogień w palenisku, ciepło uchodziło różnymi otworami: drzwiami, oknami, dachem. Próby zatykania dziur sprawiały, że temperatura w chacie nagle wzrastała, po czym palenisko zaczynało dymić.

W chacie stał dzban do połowy wypełniony wodą przyniesioną tego ranka przez Drake'a ze studni w Mellin. Ostrożnie wlał dwa kubki do garnka i postawił go na trzaskającym ogniu. W tej samej chwili ktoś zapukał w otwarte drzwi. Drake się obrócił i zobaczył na progu Geoffreya Charlesa.

Chłopiec rzucił mu się w ramiona. Drake wybuchnął śmiechem, starając się nie skrzywić z powodu siły uderzenia w ramię, i również go uściskał, po czym spojrzął w stronę drzwi w nadziei, że zobaczy tam postać dziewczyny.

– Zaskoczyłem cię, prawda, Drake? Udało mi się cię zaskoczyć? Wykradłem się z domu. Nikt o tym nie wie. *Mon cher*, mam prawie jedenaście lat. Czy nie pora, żebym sam jeździł konno po okolicy?

– A panna Morwenna?

– Pomaga mamie robić wino z pierwsnków. Kazalem osiedlać Santę, a Keigwin spytał, dokąd jadę. Chciał mi towarzyszyć, ale powiedziałem, że pojedę tylko do zagajnika przy bramie. Wskoczyłem na konia i przejechałem przez bramę!

– Skąd wiedziałeś, gdzie mnie znaleźć? Pracuję... normalnie wracam do domu dopiero o szóstej...

– Spytałem. Uznałem, że jest szansa, że tu jesteś. Miałem szczęście, rozumiesz. To mój szczęśliwy dzień.

– Mój też – odparł Drake. – Cieszę się, że jestem w domu i mogę cię powitać. Robię herbatę. Napijesz się ze mną?

Chłopiec chętnie się zgodził i gawędzili o różnych sprawach, aż woda w garnku się zagotowała. Drake chciał ukryć rozczarowanie, że Geoffrey Charles przyjechał sam, i opowiedział mu o kłopotach z przeciągami i podtrzymywaniem ognia. Śmiał się, że w zimie próbują nie marznąć, a jednocześnie normalnie oddychać. Geoffrey Charles rozejrzał się po chacie.

– To miejsce przypomina kaplicę, Drake. Zupełnie nie wygląda jak dom. Nie chciałbym tu mieszkać. A jeśli chodzi o palenisko: dlaczego nie zrobicie przekopu?

Drake wsypał do każdego kubka kilka listków herbaty i zalał je wrzątkiem.

– I co potem?

– Za frontowymi drzwiami zaczyna się zbocze, więc mógłbyś wkopać w ziemię rurę biegnącą do paleniska. Zasypałbyś ją i udeptał. Trzeba by też umieścić żelazną kratę w miejscu, gdzie rozpalasz ogień. Dobrą kratę. Wtedy w kominie powstałby silny ciąg. Drake, byłeś wczoraj w nocy w Trenwith?

– W Trenwith? Nie mam mleka, Geoffrey. Napijesz się herbaty bez mleka?

– W stawie było jeszcze więcej ropuch! Dziś rano pojawiło się ich mnóstwo! Rechotały jak szalone! Wuj George przeszedł samego siebie!

– Pomysł z paleniskiem jest naprawdę świetny. Chcesz zostać konstruktorem, chłopcze? Tylko że popiół spadałby na dół przez kratę i zatykał rurę. Jak sobie z tym poradzić?

– Czyścić od czasu do czasu, jak się czyści komin z sadzy. Chodziłeś nad staw?

– Moim zdaniem wczoraj w nocy było dużo chmur. Pomyślałem sobie: przed świtem z nieba zaczną spadać ropuchy i co wtedy powie panicz Geoffrey?

Zachwycony chłopiec zachichotał, wziął kubek i zamieszał.

– Drażnisz się ze mną! To twoja robota, prawda? Dziś rano w majątku było wielkie zamieszanie: wszędzie biegali służący, czekały teriery, gajowi taplali się w stawie! Och, trwało to wiele godzin! Wuj George był taki zły! Poszedłem do swojego pokoju i wtuliłem twarz w poduszkę, bo miałem *un accçs de fou rire*! Drogi Drake'u, jak to zrobiłeś, że cię nie złapano? Słyszałem, że pilnowali stawu przez całą noc, by schwytać intruza – i nie potrafili! Jak udało ci się ich ominąć? Leciałeś w chmurach? Masz czarodziejskie skrzydła?!

Drake nie dał się sprowokować. Nie wiedział, czy Geoffrey Charles umie dochować tajemnicy, i chociaż z radością pozwalał chłopcu snuć przypuszczenia, niczego nie zdradził.

– A co z twoją kostką? Czy rana już się zagoiła?

– Nie całkiem, ale jest lepiej niż wtedy, gdy musiałem leżeć. Skoro już mówimy o lataniu, pamiętasz łuk, który zrobiłeś dla mnie w listopadzie? Obiecałeś zrobić jeszcze lepszy, jak będziesz miał czas, a ja chciałem, by wyglądał jak prawdziwy łuk bojowy używany w bitwie pod Azincourt. Cóż, teraz już wiem, jak wyglądał. Znalazłem ilustrację w książce, którą kupił wuj Georg, i przerysowałem na kartkę, żebyś mógł zobaczyć.

Popijali gorącą słabą herbatę. Geoffrey Charles rozłożył papier na nierównym stole. Popatrzyli na rysunek.

– Zanotowałem wszystkie wymiary i inne szczegóły, widzisz? – odezwał się chłopiec. – Najpierw musimy znaleźć cis. Książka mówi, że to najlepszy gatunek drewna.

– Ale ten łuk... Przecież on ma naciąg sześćdziesiąt funtów, prawda? To za dużo, synu. Nie mógłbyś z niego strzelać. Może...

– Dorosnę. Chciałbym zabrać ten łuk ze sobą, kiedy pojedę do szkoły. Na pewno będą tam ćwiczenia z łucznictwa i byłoby wspaniale, gdybym przyjechał z dobrym łukiem bojowym. Założę się, że nikt inny nie będzie miał takiego...

– Lepiej jednak byłoby zrobić mniejszy. Czterdzieści funtów całkowicie wystarczy. Powiedziałeś, że wyjedziesz do szkoły?

Geoffrey Charles skinął głową.

– Wuj George już to załatwia. Będę za tobą tęsknił, Drake, ale nie wyjadę na zawsze. Kiedy wrócę na wakacje...

– Będziesz zbyt wielkim panem, by rozmawiać z kimś takim jak ja. A co się stanie z panną Morwenną po twoim wyjeździe?

– Och, myślę, że wyjadę dopiero po ślubie Morwenny. Nigdy nie będę dla ciebie zbyt wielkim panem, Drake, bo jesteś moim najlepszym przyjacielem. Pierwszym przyjacielem, pierwszym prawdziwym przyjacielem, jakiego

kiedykolwiek miałem. Kiedy dorosnę, będę decydować o sobie i nie będę musiał prosić o wszystko mamy ani wuja George'a. Wtedy będę mógł się z tobą spotykać znacznie częściej niż teraz!

Drake złożył rysunek przyniesiony przez Geoffreya Charlesa.

– Panna Morwenna wychodzi za mąż?! Nic z tego nie rozumiem. Co masz na myśli?

– W czasie pobytu w Truro poznaliśmy pastora Ossiego Whitwortha. Nie bardzo go lubię: trochę przypomina gołębia. Mama i wuj George zaaranżowali wszystko przed naszym wyjazdem.

– A... co na to Morwenna?

– Chyba nie ma nic przeciwko temu. Dziewczęta zawsze w końcu wychodzą za mąż. Oczywiście zamieszkają w Truro, więc będę ją widywał od czasu do czasu. Drake, widziałeś gdzieś jakiś cis? Gdybym mógł zdobyć pień cisa...

– Zrobię dla ciebie ten łuk... któregoś dnia... Kiedy... kiedy...

– Możesz zatrzymać ten rysunek. Właśnie po to go skopiowałem.

– Geoffrey, kiedy mają wziąć ślub?

– Morwenna? Chyba nie wyznaczono daty. Zdaje się, że doszło do jakichś sporów. Morwenna jeszcze się nie zgodziła. Zresztą jestem z tego zadowolony, bo nie chcę się z nią rozstawać, dopóki mieszkam w Trenwith. – Chłopiec odstawił kubek na stół. Gałązki w kominku prawie się wypaliły i w głębi paleniska skrzyło się tylko kilka iskiei. – Poproszę wuja George'a o pień cisa. Wuj George potrafi zdobyć wszystko.

Wyszli na zewnątrz i rozmawiali w promieniach słońca, które kryło się czasem za chmurami. Geoffrey Charles nie zauważył, że jego przyjaciel jest dziwnie milczący. W końcu Drake powiedział:

– Musisz już iść, chłopcze, bo inaczej zaczną cię szukać i powiedzą, że cię porwałem. Ale zrobiłbyś coś dla mnie? Coś specjalnego?

– Oczywiście! *Certainement!* Co takiego?

– Chciałbym, żebyś przekazał ode mnie wiadomość pannie Morwennie. Zapomniałem o czymś, gdy spotkaliśmy się ostatnio w twoim pokoju, a teraz, po powrocie pana Warleggana, nie ośmielałem się przychodzić do dworu. Po prostu zapomniałem jej coś powiedzieć, gdy spotkaliśmy się ostatnio w twoim pokoju.

Chłopiec czekał na zewnątrz, rzucając kamieniami w stronę gawronów daleko w dolinie, a Drake wszedł do środka i ołówkiem pożyczonym od gościa zaczął drżącymi rękami kreślić litery, których nauczył się od Demelzy. Prawie nie czuł bólu ramienia.

„M. Szy spodkasz mnie w koscele w niedziele o piątej. Bede czekał. D.”

Nie mógł zapieczętować listu, więc związał go paskiem materiału ze starej koszuli Rossa, którą dała mu Demelza. Nie obawiał się, że Geoffrey Charles przeczyta list. Wszedł, trzymając w ręce ołówek i zwitek papieru, i poprosił Geoffreya Charlesa o przekazanie listu Morwennie, gdy będzie sama, a chłopiec obiecał to zrobić.

Geoffrey Charles wszedł na swojego kucyka, a Drake uściśnął małą, miękką dłoń i patrzył na chłopca kłusującego w stronę drogi biegnącej przy stróżówce. Następnie wszedł z powrotem do chaty, uklęknął przed paleniskiem i próbował rozniecić ogień. Przyniósł trochę trocin i kawałków drewna zabranych z biblioteki, położył je na żarzących się gałązkach i dmuchał, aż płomienie zaczęły lizać świeże drewno. Nie było zimno, ale czuł chłód. O tej porze roku nie było potrzeby palić ognia i gdyby Sam zobaczył, że Drake to robi, nazwałby to marnotrawstwem. Od kwietnia drewnem paliło się tylko podczas gotowania; nawet wtedy często chodzono do piekarni, by oszczędzać cenny opał. Ale Drake'owi było zimno. Zaczął dygotać. Czuł, że potrzebuje ognia. Potrzebował jego towarzystwa i ciepła. Miał wrażenie, że świat stygnie.

KSIĘGA TRZECIA

Rozdział pierwszy

Tholly Tregirls ponownie odwiedził Namparę dopiero w trzecim tygodniu maja. Krótco po jego wizycie u Demelzy w szynku Sally-Na-Rozgrzewkę doszło do awantury, za którą był częściowo odpowiedzialny. W normalnych czasach Sally potrafiła utrzymać porządek, a jej wdowieństwo zawsze pomagało. Mężczyźni często wlekli się do domów pijani, lecz była to pokojowa procesja, a jeśli któryś stawał się agresywny i próbował sprowokować awanturę, kilku bardziej odpowiedzialnych powalało go na ziemię lub wrzucało do rowu.

Pojawienie się Tholly'ego wszystko zmieniło. W teorii obecność mężczyzny w domu – potężnego i silnego – powinna zapewniać spokój i porządek. Ostatecznie zwolniła klientów od niepisanego zobowiązania, by dbać o bezpieczeństwo wdowy. Poza tym mieszkańcy wsi mają dobrą pamięć i niektórzy nie darzyli Tregirlsa sympatią ani szacunkiem.

Później nikt nie pamiętał, jak zaczęły się kłopoty, lecz awanturę wywołał nie kto inny, tylko Jud Paynter. Pod wpływem nauk Sama nagle stał się gorliwym metodystą, choć wcześniej przez wiele lat nie przywiązywał większej wagi do religii. Mimo że nie wyrzekł się mocnych trunków, czuł się zobowiązany co tydzień uczestniczyć w spotkaniach modlitewnych i czerpać z krynicy mądrości.

Problem z Judem polegał na tym, że zawsze pragnął przekazywać innym to, czego się nauczył. Zawsze gadał najgłośniej i słyhać go było nawet w najbardziej hałaśliwym towarzystwie. Tego wieczoru, rozgrzany piwem zaprawionym rumem, zajął miejsce w rogu szynku, gdzie siedzieli również Jacka Hoblyn, Sid Bunt, Joe Nanfan i dwóch wieśniaków z St Ann's, Kemp i Collins, i zapoznawał ich z naukami Sama z poprzedniego dnia, tak jak je zapamiętał.

– Był se raz król – lichu wi, jak dawno temu – ale prawi o tym Biblia, a ja gadam szczerzo prawdę. Nebranezzar. I zrobił bałwana złotego – wielkiego, większego od chałupy, większego do komina kopalni – i powiada, że kiedy usłyszysz głos cytry, fletni, harfy i symfonała, wszystkie majo się pokłonić bałwanowi złotemu i czołgać jako te ślimaki⁴. A jak się nie pokłonio i nie bedo czcić złotego bałwana, jak usłyszysz głos cytry, fletni, harfy i symfonała, pójdą do pieca gorejącego. Siup i trup, rozumiecie? A późni...

– Pomyliłeś imię – przerwał z niezadowoleniem Kemp. – Zupełnie pomyliłeś. Opowiadali mi tę historię, gdy chodziłem do szkółki niedzielnej. Nebranezzar, rzeczywiście!

– Jak długo chodziłeś do szkółki niedzielnej, Tom? – spytał Tholly, napełniając szklaneczkę. – Dostatecznie długo, by zagać parol na córeczkę nauczycielki.

Miał to być żart, ale nie rozbawił Kempa, który był człowiekiem pamiętliwym.

– A późni – ciągnął Jud, ukazując dwa zęby – późni wstaje trzech chłopca. Jak ty, ja i Jacka. Wstajo i mówio: „Królu, ach, królu, żyj wiecznie! Jeno nie myśl, że będziem się czołgać jako te ślimaki, jak usłyszysz głos cytry, fletni, harfy i symfonała. Bo nie chcem, rozumisz?”.

– I przy wszelakiej muzyce – przerwał Kemp. – To też mówiły. I przy wszelakiej muzyce...

– Właściem tak gadał! Cytrze, fletni, harfie i reszcie. To muzyka, rozumiecie? Pewnie nie wicie, ale to je muzyka... – Jud pociągnął wielki łyk wzmocnionego piwa. Po chwili jego pokryte pianą usta ukazały się nad krawędzią kufła i kontynuował opowieść: – A jak król to usłyszał... jak król to usłyszał...

– Do licha, plujesz na mnie! – zawołał Collins i otarł twarz rękawem. – Bryzgasz, jakby szkapę machała mokrym ogonem!

– Król powiada do tych trzech – niech mnie diabli porwo, jeśli pamiętam ich imiona – powiada: pokłońta się albo pójdzietą do pieca. Pokłońta się, jak usłyszycą głos cytry, fletni, harfy i symfonała, albo zginieta w piecu! Bedzieta się smażyć, aż zdechnieta!

– To tylko stara żydowska bajka, nic więcej – wtrącił Jacka. – Nie ma to z nami nic wspólnego.

– Tak mówi Biblia! – zawołał dziko Jud, omal nie przewracając kufła. – Wszystko jest w Biblii! W Księdze Joba! Powtarzam słowo w słowo! Kto gada inaczy, ten nieuk i szelma!

– Biblia jest o Żydach – odparł Jacka. – Nie wierzę nawet w połowę tego, co tam pisze.

– Jezus Chrystus był Żydem – rzekł Tholly, który wrócił z kolejnymi trunkami i włączył się do rozmowy, jakby w ogóle nie odchodził. – Możemy wszyscy Żydy, co, chłopcy? Ty, Tom Kemp, ja, każdy. Skoro Bóg to Żyd, kto nie chciałby być Żydem?

– Nie! Jezus był chrześcijaninem! – zaoponowało kilku.

– Jak chceta znać prawdę, jako prawi Biblia, szczerą prawdę... – odezwał się Jud. Wstał i opróżnił kufel. – Po prawdzie, powiadam wam, Jezus Chrystus był Kornwalijczyk! To szczerą prawdą jak słowa Ewangelii i niech nikt nie gada, że było inaczy!

Zebrani ryknęli śmiechem, a gdy Jud próbował usiąść, Collins oparł but na ławie i Jud zerwał się jak oparzony.

– Dalej! Dajcie mu gadać! – wrzasnął Kemp. – Będziem mieć niezły ubaw!

– Jasne, że Kornwalijczyk! – krzyknął Jud. Jego łysa głowa lśniła od potu. – Pochodził z St Austell, właśnie tak, nie ma gadania, powiadam wam! Urodził się w Bethel w pobliżu St Austell. Powiadam wam! Wszystko się działo w tej okolicy. Kazanie na Górze. Góra dalej stoi tam, gdzie stała, koło Market Jew. Mieszkają tam teraz St Aubyny czy inne pany. Ale za dawnych czasów było inaczy! Zupełnie inaczy!

– Ach, nie pierdol! – rzucił Collins. – Stara glista z ciebie. Nie odróżniasz dupy od ryja. Gdybym...

– Jud! – zawołał Kemp i zachichotał. – Jud! Naprawdę dobre imię! Właściwie dlaczego nazywasz się Jud? A może na początku nazywałeś się Judasz, co? – Ryknął śmiechem. – Judasz Paynter, dobre, nie? Judasz Paynter!

Jud grzmotnął kufłem w głowę Kempa – był to czysty przypadek, choć wydawało się to celowym działaniem. Później się odwrócił i walnął łokciem w piwo Joego Nanfana, wylewając je na nogi Collinsa. Następnie przewrócił się na Hoblyna, rozlewając również jego trunek. Jacka, rozżalony, że zmarnowano mu piwo, wstał i uderzył Juda, który natychmiast zniknął wśród nóg walczących mężczyzn. Tom Kemp, mający stare porachunki z Thollym, rozwścieczony, że nazwano go Żydem, chlusnął resztkami piwa w twarz Tregirlsa. Jacka uderzył Kempa w twarz wierzchem dłoni, po czym rozpętało się pandemonium. Wydawało się, że nagle eksplodowały złe emocje, przez cały wieczór ukryte pod powierzchnią.

W ciągu kwadransa połowa szynku była zrujnowana. Większość pijanych mężczyzn wytoczyła się na zewnątrz i kontynuowała bójkę. Rankiem dwunastu albo czternastu z nich w dalszym ciągu leżało na drodze lub w rowie obok gospody. Spali lub byli półprzytomni, niektórzy półnagzi, inni ubabrani własnymi rzygowinami. Ostatni wstali dopiero w południe i ruszyli do domów. Jud wrócił, kulejąc, w środku nocy, a rankiem opatrzył sobie rozbitą nos. Był głęboko rozżalony. W ciągu dnia często mamrotał, na tyle głośno, że Prudie mogła go słyszeć: „Ten szelma był z St Austell!”.

Później wdowa Tregothnan powiedziała:

– To nie twoja wina, Tholly, ale będą winić ciebie, bo w ciągu dziesięciu lat nie było tak wielkiej awantury. Nie mam ochoty słuchać skarg.

– Przecież wyrzuciłem własnymi rękami tylko czterech albo pięciu – odparł Tholly. – Reszta wyszła dość spokojnie.

– Spokojnie? Chyba tak. Rękami, mówisz? Chyba masz na myśli rękę. Hak to nie ręka, a kilku z nich go poczuło. Nie mam ochoty, żeby czepiali się mnie sędziowie. Najlepiej by było, gdybyś się wyprowadził, dopóki wszystko się nie uspokoi.

– Wyprowadził? Dopiero co się wprowadziłem! Na jak długo mam się wyprowadzić, moja droga? Nie

wytrzymam bez ciebie.

– Dajże spokój. Miesiąc wystarczy. Ale uważaj... Mówię poważnie. Nie rób tego więcej po powrocie, bo inaczej będę musiała cię wyrzucić.

Tholly wyjechał na miesiąc. Wziął małego, niedożywionego kuca i sześć młodych buldogów, po czym podążył do Penzance, gdzie organizował walki psów i inne rozrywki budzące dezaprobatę szacownych obywateli. Zdołał przez ten czas sprzedać wszystkie buldogi za dobrą cenę i wydać pieniądze na ulubione przyjemności. Mimo to wrócił do Sawle w nowym ubraniu i z dziesięcioma gwineami w kieszeni, choć nie zaspokoił ciekawości Sally, skąd je wziął.

W ciągu ostatnich tygodni Ross również często wyjeżdżał. Pewnego dnia, gdy wracał do Nampary, z pewną konsternacją zauważył obok krzyża w Bargus, gdzie stała stara, nieużywana szubienica, wysokiego, przygarbionego mężczyznę w pogniecionym kapeluszu i czarnym wełnianym kaftanie. Tholly siedział na kucu, prawie dotykając nogami ziemi, i wyglądał jak Sancho Pansa czekający na Don Kichota. Ross ukrył uśmiech, który pojawił się na jego twarzy, gdy przyszło mu do głowy to porównanie, i zbliżył się do starego przyjaciela. W przyływie krytycyzmu wobec samego siebie zastanawiał się przez chwilę, czy nie poświęcił części swego życia na walkę z wiatrakami.

– Zauważyłem, że pan nadjeżdża – rzekł Tregirls. – Co u pana słyhać, młody kapitanie? Mogę dotrzymać panu towarzystwa przez parę kilometrów?

– Oddalasz się od domu.

– Wręcz przeciwnie. Zamierzałem pana odwiedzić, ale pojechałem do Penzance i długo mnie nie było.

– Zyskowna wyprawa?

– Znośna. Sprzedałem wszystkie buldogi, więc jeśli chce pan kupić jednego, trzeba poczekać na następny miot.

– Raczej nie jestem zainteresowany. Widziałeś Garricka, gdy odwiedziłeś Namparę?

– Garricka?

– Naszego psa. Nie przepada za innymi psami.

Przez chwilę jechali w milczeniu.

– Widziałem pana żonę – rzekł Tholly.

– Wspominała o twojej wizycie.

– Wypiliśmy razem herbatę.

– Dziwię się, że poznałeś smak.

– Czego?

– Herbaty.

– Rzeczywiście, przyznaję, smak był dziwny.

– Musiałeś przeżyć wstrząs.

Przez chwilę panowało milczenie.

– Zrobiłem duże wrażenie na pańskiej żonie.

– Powiedziała mi to.

– Mówiła, że mój kuc to wspaniałe zwierzę. Najlepsze, jakie kiedykolwiek pan kupił.

– Tak, najlepsze – odparł Ross.

– Och... wygląda nieźle, prawda? A ta? Niech pan spojrzy na jej pysk. I na szyję. Siwieje. Wkrótce może pan potrzebować nowego konia.

– Niewykluczone.

– Niech pan da mi znać.

– Podobno znalazłeś sobie wygodne miejsce u wdowy Tregothnan.

– Dogadujemy się. Potrzebowała chłopca.

– Niewątpliwie po to, by utrzymywał porządek w szynku.

– Ach, ma pan na myśli tę awanturę? Drobne nieporozumienie. Nic się nie stało. Teraz jest tam spokojnie jak w gołębniku.

Gołębniku? Ross zerknął na swojego kompana. Tholly przypominał kruka, a nie gołębia.

– Jak się miewają twoje dzieci?

– W zeszłym tygodniu widziałem się z nimi po raz pierwszy. Nie chcą mnie przyjąć, kapitanie.

– Dziwisz się?

– Odszedłem dawno temu. Przebac i zapomnij, to moja zasada. A oni nie chcą zapomnieć... Bardzo się od siebie różnią! Emma wdała się we mnie. Silna, zdrowa dziewczucha! A do tego niebrzydka. – Tholly oblizał wargi. – Tak, niebrzydka. Gdyby nie była moją córką... Ale Lobb! Biedny szczurek. Całkiem jak matka. Zdechłak bez ikry. Zgarbiony jak staruszek. Jakby miał pięćdziesiąt lat. A te jego bachory! Najstarszy to półgłówek, ledwo mówi, ma konwulsje. Reszta wygląda jak małe nędzne robaki, gnieźdzą się koło paleniska, z wzdętymi brzuchami i nogami jak u pajaków. Wszystkie zahukane, przerażone.

Wjechali na wzgórze. W dali widać było morze, które ukazywało się i znikowało między pagórkami, a także drzewa wokół Trenwith i Fernmore, posiadłości Choake'ów, pochyloną wieżę kościoła w Sawle i odległą smugę dymu z jedynej kopalni pracującej w okolicy.

– Mają własne życie i żadnych zobowiązań wobec ciebie – rzekł Ross. – Nie możesz tego od nich oczekiwać.

Tholly cmoknął na kuca i szturchnął go piętami.

– Pomyślałem, że mógłbym pomóc Lobbowi i jego rodzinie.

– Jesteś w stanie?

– Byłbym w stanie, gdyby inni ludzie pomogli mnie.

Ach, pułapka, pomyślał Ross. Należało się tego spodziewać.

– Lepiej, by jałmużna trafiła do niego bezpośrednio.

Tregirls wyprostował się, by łatwiej oddychać.

– Nie mam na myśli jałmużny. Może pracę, jeśli ma pan pracę. Kiedy będzie pan potrzebował nowej kobyły, kiedy ta stara biedna klacz, na której pan jedzie, wreszcie zdechnie, kto będzie umiał szybciej znaleźć nową? Potrafię kupować i sprzedawać. Wiem wszystko o kobietach i zwierzętach. Więc kiedy postanowi pan kupić konia, młody kapitanie, niech pan zostawi to Tholly'emu, dobrze? Co pan na to?

Ross pochwycił zamyślony wzrok jadącego obok mężczyzny i się roześmiał.

– Zastanowię się.

Przez pewien czas podróżowali w milczeniu, aż wreszcie dotarli do rozstajów, skąd Ross miał pojechać prosto, a Tregirls skrócić do Sawle.

– Może miałbym coś dla ciebie, ale nie wiem, czy ci się spodoba – rzekł Ross, gdy ściągnęli wodze. – Mówisz po francusku?

– Tak. Całkiem niezłe, jak rodowity Francuz, można powiedzieć.

– To, o czym myślę, mogłoby się okazać trochę niebezpieczne, choć jeszcze nie jestem tego pewny.

Tholly zagrzechotał kośćmi w woreczku.

– Jakbym znowu słyszał młodego kapitana. I starego też.

– Nie o to chodzi, Tholly. Nie mam na myśli takich przygód jak dawniej. Za kilka tygodni płynę do Francji z oddziałami francuskimi, które mają wylądować... cóż, gdzieś na wybrzeżu Francji. Będzie tam bardzo niewielu Anglików z wyjątkiem załóg okrętów i żołnierzy piechoty morskiej. Chciałbym zabrać kilku ludzi, którzy byliby pod moimi rozkazami. Sam będę podlegał angielskiemu dowódcy albo bezpośrednio Francuzom.

– Płynę z panem.

– Zaczekaj. Zanim się zbyt chętnie zgodzisz, pozwól mi przedstawić warunki. Żadnej grabieży, plądrowania, kradzieży własności Francuzów ani gwałtów na francuskich kobietach. Każdy winny takich przestępstw zostanie rozstrzelany.

- Wszyscy mają się grzecznie zachowywać, kapitanie? Przecież jesteśmy w stanie wojny z Francją!
- Nie gdy uczestniczymy we francuskim desancie. A zatem... nie możesz liczyć na żadne łupy, Tholly. Gdybym je przy tobie znalazł, musiałbym natychmiast cię zastrzelić.
- Więc co bym na tym zyskał?
- Pieniądze. Każdy, kto ze mną popłynie, otrzyma ustaloną kwotę. Będzie to jedyne wynagrodzenie.

Bartholomew Tregirls zakasłał przeraźliwie w zimnym wiosennym powietrzu.

- Ile?
- Dwadzieścia gwinei.
- Tholly znów się rozkasłał, a kiedy odzyskał głos, Ross nie zrozumiał wymamrotanego zdania.
- Co takiego?
- Może być piętnaście, kapitanie. Popłynę za piętnaście.

Tego dnia, po spotkaniach w Killewarren, Tehidy i Falmouth w poprzednim miesiącu, Ross ostatecznie zdecydował, że weźmie udział w wyprawie. Przygotowania były bardzo zaawansowane i ekspedycja miała wyruszyć za trzy tygodnie. Główne siły zgromadzono w Southampton: trzy i pół tysiąca Francuzów na czterdziestu transportowcach. Kolejny tysiąc miał się zebrać w portach na wybrzeżu. W Falmouth czekały cztery niewielkie jednostki z dwustoma ludźmi na pokładzie. Eskortę miała stanowić eskadra pod dowództwem admirała sir Johna Borlase'a Warrena, złożona z czterdziestodziałowej fregaty Pomone, będącej okrętem flagowym, i pięciu innych okrętów wojennych. Do chwili dotarcia do celu Francuzom miała towarzyszyć cała Flota Kanału, dowodzona przez lorda Bridporta, co świadczyło o całkowitym wsparciu rządu brytyjskiego. Transportowce wiozły wyposażenie dla żołnierzy uczestniczących w wyprawie, a ponadto dużą ilość broni, amunicji, umundurowania i innych zapasów dla rojalistów we Francji.

Dowódcą został hrabia de Puisaye, ogromny Bretończyk, ponieważ to jego zapał doprowadził do realizacji planu. Książęta z rodu Burbonów, zbyt gnuśni lub ostrożni, by zaangażować się osobiście, mianowali go generałem porucznikiem i głównodowodzącym wojsk rojalistycznych we Francji.

Ross nie spotkał się ani z de Puisaye'em, ani z hrabią d'Hervillym, dawnym komendantem jednego z doborowych regimentów francuskich, który miał pełnić funkcję zastępcy głównodowodzącego, ponieważ obaj pozostali w Londynie; ale za pośrednictwem Caroline utrzymywał kontakt z przystojnym młodym wicehrabią de Sombreilem, z mademoiselle de la Blache, jego narzeczoną, z energicznym, lecz nieco kapryśnym de Maresim, z madame Guise, spędzającą czas w łóżkach licznych kornwalijskich dżentelmenów. Ponadto spotkał się z kilkoma innymi emigrantami. Najbardziej lubił de Sombreila, który mimo inteligencji i witalności często wydawał się nieco posępny. Może był to cień gilotyny, która zabiła prawie całą jego rodzinę. Powiedział Rossowi, że po zakończeniu wojny musi przyjechać wraz z żoną do jego wielkiego château w pobliżu Limoges. Połączyła ich autentyczna przyjaźń i Ross bardzo ją sobie cenił, może dlatego, że miał w Kornwalii niewielu bliskich przyjaciół.

Kiedy przebywał w towarzystwie francuskich emigrantów, porywała go ich determinacja, entuzjazm i rzucająca się w oczy odwaga. Członkom ekspedycji nie powinno zabraknąć tych cech. Pojawiało się coraz więcej doniesień – zbyt licznych, by mogły być fałszywe – o głębokim rozczarowaniu narodu francuskiego obecnymi rządami terroru. Anglia cierpiała wskutek wojny i złej pogody, lecz los Francji był znacznie gorszy. W praktyce panowała nad całą Europą, jednak w każdym z francuskich miast ustawiały się długie kolejki po chleb. Pieniądze straciły wartość, toteż chłopcy nie chcieli sprzedawać zboża. Rząd w Paryżu tracił kontrolę nad sytuacją w kraju: w stolicy grasowały bandy młodych ludzi, bez przeszkód mordując i rabując, a kilka miast ośmieliło się nawet wybrać burmistrzów o poglądach rojalistycznych. Zwyczajni, przyzwoici Francuzi nie marzyli już o wolności, równości, braterstwie, a przynajmniej nie kosztem sprawiedliwości, porządku i jedzenia. Wszystko to było prawdą i Ross miał nadzieję, że ekspedycja zakończy się sukcesem.

Tylko od czasu do czasu ogarniały go wątpliwości, czy straszliwa energia rewolucji rzeczywiście się wyczerpała. Pragnął, by społeczeństwo stało się lepsze i sprawiedliwsze, i pamiętał przyspieszone bicie własnego serca, gdy

czytał wczesne proklamacje rewolucjonistów. Teraz był tak rozczarowany anarchią i tyranią, które później zapanowały, że chciał bezwzględnie walczyć z tymi samymi rewolucjonistami. Ale pamiętał, jak kilka miesięcy wcześniej holenderskie miasta radośnie witały oddziały republikańskie. Hasła rewolucji straciły blask i nabrały złowrogich znaczeń, lecz zachowały część swojej magii. Holendrzy mogli gorzko żałować entuzjazmu dla wspaniałego ideału, gdy zrozumieli, jak wygląda w praktyce, a Francuzi od sześciu lat znosili terror i zbrodnie rewolucji, ale mimo to powrót dawnego reżimu nie wydawał się miłą perspektywą. De Sombreuil był wyjątkiem, jednak wielu emigrantów poznanych przez Rossa uważało chłopów za coś niewiele lepszego od bydła i sądziło, że należy ich tak traktować. Odnosili się bez śladu ludzkich uczuć nawet do służących swoich angielskich gospodarzy, co w szczególny sposób obrazowało relacje panów i sług we Francji.

Mimo entuzjazmu i nadziei Ross miał wątpliwości. Właśnie dlatego postanowił wziąć udział w ekspedycji wraz z kilkoma przyjaciółmi. Ludzie, których zaprosił do uczestnictwa, korzystali niegdyś z pomocy doktora Dwighta Enysa, leczącego ich lub ich rodziny. Wyjątek stanowił Tholly, zwerbowany jako ostatni. Jacka Hoblyn, Joe Nanfan, John Bone, Tom Ellery, Wilf Jonas, syn młynarza. Ross nie zaprosił Willa Nanfana, mającego małe dzieci z małżeństwa z drugą żoną, Zacky'ego Martina, bo ten przez całą zimę chorował, i Paula Daniela ze względu na dawną tragedię – jego brat Mark Daniel zabił żonę Keren z powodu Dwighta. Wraz z Tregirlsem było ich sześciu, co powinno wystarczyć. W gruncie rzeczy mogli się okazać niepotrzebni.

Pożegnawszy się z Thollym, Ross pojechał truchtem w stronę swojego majątku. Nie miał specjalnej ochoty na spotkanie z Demelzą, ponieważ musiałby ją poinformować o podjętej decyzji. Wiedział, że żona ją zaakceptuje i przyjmie bez sprzeciwu, lecz rozumiał, że przysporzy jej trosk. Zdawał sobie również sprawę, że jeśli desant zakończy się fiaskiem, będzie musiał zrealizować plan awaryjny, co narazi go na niebezpieczeństwo. Nie zamierzał jej o tym mówić.

Pamiętał jednak o swoich planach i zjeżdżając w dolinę, zmagał się z własnymi skomplikowanymi uczuciami. Niedaleko pluskał i szemrał strumień Mellingey. Dzisiejsze słońce przyniosło prawdziwą zapowiedź lata. Olśniewająco czyste niebo pulsowało życiem i światłem, wydawało się nieskończone. W taki dzień człowiek cieszy się, że żyje.

Po co w ogóle ryzykować?

Przede wszystkim Ross miał wielki dług wdzięczności wobec Dwighta. Był to główny powód jego decyzji. Poza tym tkwiło w nim ledwo uświadomione pragnienie przygody, niebezpieczeństwa, przeżycia czegoś niezwykłego wśród grupy towarzyszy. W domu, do którego teraz się zbliżał, miał żonę, której uroda, dowcip i zdrowy rozsądek w dalszym ciągu go zachwycaly, ładnego, inteligentnego syna ujawniającego wspaniałe cechy charakteru już w wieku czterech lat, a także siedmiomiesięczną córkę o ciemnych oczach i włosach matki, pulchną, roześmianą i zadowoloną, pełną radości. Narażał rodzinę na niebezpieczeństwo. Przypadkowy strzał z muszkietu mógł sprawić, że żona zostanie załamaną wdową z dwojgiem osieroconych dzieci, a on sam zniknie ze świata, nie będzie w stanie oddychać ani cieszyć się życiem.

A jednak, chociaż nie potrafił tego sformułować w prosty sposób, czuł, że życie smakuje lepiej, jeśli nie jest zbyt łatwe. Może miało to coś wspólnego z filozofią epoki, w której się urodził. Gdyby człowiek był nieśmiertelny, czy mógłby marzyć o jutrze? Czy potrafiłby kochać słońce, gdyby nie istniał mrok? Ciepło po zimnie, jedzenie po głodzie, łyk wody po pragnieniu, miłość fizyczna po braku miłości fizycznej, powitanie ojca powracającego z podróży, wygodny, suchy dom po jeździe konnej w deszczu, ciepło, spokój i bezpieczeństwo przy kominku po chwilach spędzonych wśród wrogów. Smak życia czuje się dzięki kontrastom.

Ross nie uważał, że to oryginalne myśli, lecz wpłynęły na decyzję uczestnictwa w wyprawie. Wiedział, że gdyby przedstawił te argumenty Demelzie, nie zostawiłaby na nich suchej nitki. Niewątpliwie zgodziłaby się z pierwszą tezą, lecz później dowiodłaby, że reszta jest błędna. Miłość trwa krótko, słońce świeci krótko, ciepło, spokój, szczęście rodzicielskie i życie seksualne trwają zaledwie kilka lat. Niewielu ludzi ma to, co zdobyliśmy. Więc cieszymy się życiem, dopóki możemy. Życie mija bardzo szybko, nawet jeśli nie narażamy się na kulę z

francuskiego muszkietu, by poprawić jego smak.

Były to argumenty praktyczne i gdyby doszło do dyskusji, Ross przyznałby Demelzie rację. Ale nigdy nie dojdzie do dyskusji na ten temat, bo on nigdy nie zdradzi żonie pobocznych motywów swojej decyzji. Najważniejsza jest lojalność wobec Dwighta: na to Demelza nie znajdzie odpowiedzi.

Rozdział drugi

Kiedy Warlegganowie przebywali w Trenwith, wielebny Clarence Odgers miał zwyczaj odwiedzać dwór w każdą sobotę. Stracił już wszelką nadzieję, że będzie zapraszany na niedzielne obiady. Chociaż najstarsza córka pastora pracowała jako niania Valentine'a, George prawie nie zauważał pani Odgers ani pozostałych członków rodziny pastora. Ale w sobotę wikary często otrzymywał bezcenne datki w formie gotówki i mógł omawiać z dziedzicem sprawy dotyczące parafii. Udzielano mu również instrukcji na następny dzień: dowiadywał się, czy państwo Warlegganowie będą obecni na nabożeństwie i czy mają jakieś życzenia co do wyboru cytatów z Biblii albo pieśni.

Tego dnia, szóstego czerwca, George przyjął go w swoim gabinecie, pokoju, który niegdyś szczególnie upodobał sobie stary Joshua. George miał na sobie kremowy aksamitny halsztuk, długi jedwabny szlafrok w kwiaty i czerwone poranne pantofle. Był w wyjątkowo dobrym nastroju. Ktoś mógłby nawet popełnić błąd i wziąć jego jowialność za oznakę przyjacielskich uczuć. Zadanie wielebnego Odgersa stało się dzięki temu łatwiejsze i trudniejsze jednocześnie. Temat można było poruszyć łatwiej, lecz nieunikniona zmiana zachowania gospodarza budziła większy lęk.

– Szanowny panie, proszę mi wybaczyć, jeśli pan uzna, że wtrącam się w prywatne sprawy pańskiej rodziny – zaczął. – Nigdy nie miałem zamiaru ingerować w sprawy domowe ani żaden aspekt życia dworu w Trenwith, który nie ma bezpośredniego związku z życiem religijnym wioski Grambler i całej parafii. Jednak czuję się zobligowany o czymś pana poinformować. Jeśli już pan o tym wie i aprobeje pan tę sytuację, ufam, że przyjmie pan moje najpokorniejsze przeprosiny i zapomni o całej sprawie.

Twarz George'a lekko się zachmurzyła.

– Trudno mi panu odpowiedzieć, dopóki nie wiem, o co chodzi.

– Szanowny panie Warleggan, chodzi o... chodzi o pana młodą kuzynkę. Proszę mi wybaczyć, kuzynkę pana czcigodnej małżonki. Mam na myśli pannę Morwennę Chynoweth. Zawsze uważałem ją za młodą damę godną najwyższego szacunku. Córka dziekana, głęboko wierząca chrześcijanka pomagająca w kościele... Również ozdoba, szanowny panie, jeśli wolno mi tak powiedzieć. Ozdoba...

George skinął głową na znak zgody.

– Ostatnio pomagała mi w pracy z chórem i wyhaftowała piękną serwetę na pulpit. Bardzo chwalebne. Ale... ale, ach, mój Boże, szanowny panie, spotyka się... wie pan o tym? spotyka się z młodym człowiekiem... młodym człowiekiem... należącym do sekty metodystów i wykorzystuje kościół jako miejsce schadzek. Nie wierzę, że mógłby się pan na to zgodzić! Zwłaszcza że ten młody człowiek to jeden z przywódców awanturników, których na pana polecenie udało się usunąć z kościoła. A przynajmniej za pańską radą, szanowny panie, za pańską radą. Pamięta pan moją wizytę w zeszłym roku – było to pod koniec lata – gdy zgodziliśmy się, że tak będzie lepiej w interesie całej parafii...

George uniósł dłoń, by przerwać potok słów. Wielebny Odgers posłusznie umilkł. George zastanawiał się przez długą minutę, zanim się odezwał.

– Jak wyglądają te spotkania i kiedy się odbywają?

– W kościele w niedzielę po południu i może w inne dni, nie wiem. – Wielebny Odgers zacisnął nieliczne zęby. – Ponieważ pomaga w kościele, wie, gdzie jest schowany klucz, i może wejść o każdej porze. Zauważyłem ich przypadkiem dwie niedziele temu, gdy wszedłem do kościoła od strony zakrystii: nie zauważyli mnie i zdołałem w porę się wycofać. Widziałem ich dwa razy w ciągu ostatnich dwóch tygodni.

– Jest pastor pewien, że to panna Chynoweth?

– O tak, najzupełniej, szanowny panie. Bardzo mi przykro. I ten sam młody człowiek.

– Tan sam młody człowiek?

– W czasie pana nieobecności, szanowny panie, odwiedzałem od czasu do czasu pannę Agatę Poldark. Gorliwie uczęszczała na nabożeństwa w naszym kościele, choć było to jeszcze przed objęciem przeze mnie posługi w Sawle. W czasie wizyt w Trenwith, raz wchodząc, a raz wychodząc, dwukrotnie widziałem tego samego młodego człowieka, gdy szedł w stronę dworu, jakby zamierzał kogoś odwiedzić. Uznałem... moim zdaniem na tej podstawie można logicznie przyjąć, że...

– Działo się to przed Bożym Narodzeniem czy później?

– Och, wcześniej. Później panowały takie mrozy, że prawie nie opuszczałem plebanii.

George wstał i podszedł do okna, które nie wychodziło na staw, co było kolejną przyczyną irytacji. Widać z niego było maleńki dziedziniec na tyłach dworu.

– Nie miałem wiedzy o tych spotkaniach i postąpił pan słusznie, informując mnie o tym fakcie. Może są zupełnie niewinne; mam nadzieję, że tak jest. Ale nawet jeśli nie kryje się w tym nic złego, muszą się skończyć.

– Dziękuję, szanowny panie. Staralem się działać w najlepszym interesie panny Chynoweth i całej rodziny...

Drapiąc się pod peruką z końskiego włosia, Odgers zaczął opowiadać tę samą historię od początku, lecz innymi słowami. Aprobata George'a sprawiła mu taką przyjemność, że postanowił podkreślać czystość własnych motywów, licząc na nową pochwałę. Nie doczekał się jej. George głęboko zastanawiał się nad tym, co usłyszał, i nie miał czasu na dalszą rozmowę z duchownym. Wypowiedział kilka zdawkowych słów, kiwnął parokrotnie głową i udało mu się go pozbyć.

George poszedł prosto do Elizabeth, która również nic nie wiedziała o całej sprawie. Ich niewiedza świadczyła o samotności, izolacji, w której żyli, otoczeni przez służących i pozostałych mieszkańców dworu. Drake i Morwenna nie zdawali sobie z tego sprawy, lecz wielu ludzi wiedziało o ich spacerach po plaży, o wizytach młodego cieśli w Trenwith, o późniejszych spotkaniach w kościele. Utrzymanie romansu w tajemnicy byłoby możliwe w mieście, lecz nie na wsi, gdzie obserwacja sąsiadów to jedna z nielicznych rozrywek, którym mogą się oddawać wszyscy. Gdyby we dworze mieszkała Verity, a nawet Francis, ktoś w końcu szepnąłby im słówko. Ludzie obawiali się powiedzieć George'owi, bo się go bali, a Elizabeth, choć miła, zawsze zachowywała się trochę wyniosłe.

Wezwano kilku służących, przesłuchano ich i odesłano do codziennych zajęć. Później przyszła kolej na Geoffreya Charlesa, który najpierw radośnie do wszystkiego się przyznał, potem stał się nieposłuszny, rozplakał się, aż w końcu znów stał się nieposłuszny. Następnie wezwano Morwennę.

W trakcie straszliwej rozmowy z George'em i Elizabeth waliło jej serce i czuła gulę w gardle, lecz z początku wydawała się spokojna. Tak, Geoffrey Charles od czasu do czasu spotykał się z młodym cieślą w jej towarzystwie od zeszłego lata. Ponieważ jest on spowinowacony z Poldarkami, uznała to za nieszkodliwe, choć nie ma wykształcenia i jest rzemieślnikiem. Geoffrey Charles, jak na pewno sam opowiedział, bardzo go polubił. Drake – Drake Carne – nauczył Geoffreya Charlesa wielu praktycznych umiejętności, których sama nie mogła mu przekazać. Uzupełniała jego edukację szkolną, ale nie potrafiła go nauczyć, jak wiązać węzły, rozpalić ognisko i strzelać z łuku. W końcu Geoffrey Charles i młody cieśla stali się przyjaciółmi.

– A pani przyjaźń, panno Chynoweth? – spytał George. – Jak ją pani wyjaśni?

Morwenna spojrzała przestraszonym wzrokiem na George'a, po czym spuściła wzrok i wbiła go w swoje ręce.

Jej przyjaźń była skutkiem wspólnego spędzania czasu w miłej atmosferze. Cieszyła się, że Geoffrey Charles jest szczęśliwy, i udzielił jej się nastrój chłopca. Pozwoliła, by młody człowiek ją polubił, i mimo woli sama go polubiła.

– Mówi nam pani to wszystko tak spokojnie? – spytał cicho George.

– Bardzo mi przykro. Wiem, że postąpiłam niemądrze. Ale tak właśnie było! Mówię szczerą prawdę, proszę pana! Tak to właśnie przebiegało! Nigdy nie zamierzaliśmy zrobić nic złego, ani on, ani ja!

– Zostawmy na chwilę zamiary tego człowieka i zastanówmy się nad pani zamiarami. Przyjechała tu pani jako guwernantka mojego pasierba. Przyjmując tę funkcję, zobowiązała się pani nim opiekować i uczyć go zasad

dobrego wychowania. Zamiast tego, pod pretekstem poznawania przez niego wiejskich umiejętności – muszę powiedzieć, że uważam to wyłącznie za pretekst – zadaje się pani z bezrobotnym górnikiem, metodystą. Kompromituje się pani, staje się tematem wiejskich plotek i przedmiotem szyderstw, a Geoffrey Charles wraz z panią!

Morwenna spojrzała błagalnie na Elizabeth, licząc na pomoc siostry stryjecznej, lecz Elizabeth na nią nie patrzyła.

– W tej chwili doskonale rozumiem – ciągnął George, nadal nie podnosząc głosu – dlaczego odrzuciła pani propozycję małżeństwa z uczciwym, szlachetnym duchownym, które dla pani zaaranżowaliśmy. Oddała się pani temu górnikowi i czuła, że nie może stanąć na ślubnym kobiercu z czystym sercem i czystym ciałem.

– Nie oddałam się temu górnikowi, jak pan go nazywa! – zawołała Morwenna. Wstała, a po jej policzkach płynęły łzy. – Rozmawialiśmy i... i się polubiliśmy...

– Polubiliście się – przerwał George. – Już po raz drugi używa pani tego zwrotu. Cóż... to jasna deklaracja, prawda? Nie wstydzi się pani ani nie zamierza przeprosić...

– Próbowałam już...

– Proszę pozwolić mi skończyć. Zastanawiam się, co powiedziałby pani ojciec, gdyby żył. I co powie na to wszystko pani matka, bo niewątpliwie musimy ją zawiadomić. Albo pani młodsze siostry, które, jak sądzę, traktują panią jako wzór do naśladowania. Intryga, do której doszło pod naszym dachem, jest tak nikczemnej natury, że należy się zastanawiać, co jeszcze wyjdzie na jaw!

Mówił dalej. Elizabeth, chociaż podzielała poglądy męża, czuła, że jest zbyt wzburzony, zbyt surowy. Mimo woli zastanawiała się, czy – uważając się za kogoś stojącego niżej od Chynowethów – nie stara się teraz wykorzystać okazji, by bezlitośnie uderzyć w kuzynkę żony, ponieważ złamała zasady dobrego wychowania. Oto wreszcie mógł słuszenie kogoś potępić. Naturalnie występki Morwenny były tym większy, że Carne okazał się szwagrem Rossa Poldarka. Elizabeth nie rozumiała jeszcze całkowicie swojego męża i nie przyszło jej do głowy, że Morwenna skrycie podoba się George'owi, on zaś częściowo tłumi to w sobie i znajduje jakąś perwersyjną przyjemność w traktowaniu jej szczególnie brutalnie, ponieważ go zawiodła.

Morwenna wyglądała, jakby miała za chwilę zemdleć, i Elizabeth szybko skinęła dłonią w stronę George'a, nakazując mu milczenie.

– Jedna rzecz jest pewna – zwrócił się do Elizabeth. – Małżeństwo z wielebnym Whitworthem nie wchodzi w rachubę. Napiszę do niego, szczegółowo wyjaśniając przyczyny, i poproszę o odłożenie wizyty w Trenwith do wyjazdu panny Chynoweth, która wróci do matki pod koniec miesiąca. Geoffrey Charles zostanie wysłany do szkoły, zajmę się tym osobiście. Tymczasem wszelkie kontakty z Carne'em muszą się skończyć. Wiem, że tego dopilnujesz, moja droga. Pozostawiam sprawę w twoich rękach. Jestem pewien, że postąpisz słuszenie.

Wyszedł z salonu i siostry stryjeczne zostały same.

Elizabeth mogła zrobić tylko jedno. Podobnie jak George nie aprobowwała postępowania Morwenny, ale kuzynka nasłuchiwała się już zbyt wielu mocnych słów. Objęła ją ramieniem i pocałowała w mokre policzki.

– Spokojnie, spokojnie. Usiądźmy i porozmawiajmy. Nie łam sobie serca.

Zbiory opóźniły się o miesiąc i w większości były słabe. Kornwalijscy rolnicy nie zdążyli zebrać wczesnych kartofli, ponieważ zniszczyły je przymrozki na początku maja, podobnie jak wiele innych nowalijek. Trawa nie chciała rosnąć i Ross uważał, że będzie można ją skosić dopiero pod koniec lipca.

Kiedy pojawia się głód, zaczynają się zamieszki i rozruchy. Dochodziło do nich w całym kraju. Po drugiej stronie kanału La Manche, w odległości zaledwie kilkunastu kilometrów, powstało rewolucyjne państwo, co przysparzało kłopotów zarówno stróżom prawa, jak i tym, którzy je łamią. Anglicy się buntowali i nie chcieli umierać z głodu. Mimo to w większości przypadków zachowywali zdumiewającą powściągliwość. Jeśli w miastach dochodziło do rozruchów, nie rabowano sklepów, tylko organizowano sprzedaż towarów po cenach uznawanych za sprawiedliwe. W Bath wielki tłum kobiet opanował statek ze zbożem stojący na rzece. Kiedy sędziowie zagrozili im surowymi

karami, oświadczyły, że to nie rozruchy, lecz słuszną próbą powstrzymania eksportu zboża, po czym odśpiewały *Boże, chroń Króla*.

Jednak władze musiały zastosować represje i ukarać prowodyrów.

W Kornwalii doszło do poważnych zamieszek w czterech miastach. Górnicy zachowywali się w sposób zdyscyplinowany: opanowali młyny i spichlerze, po czym zmusili młynarzy i kupców do sprzedaży zboża po niskich cenach. Nie stosowali przemocy i gdy dostali to, po co przyszli, dość spokojnie się rozeszli. Mimo to wielu kornwalijskich ziemian czuło głęboki niepokój. Rozeszły się pogłoski, że część żołnierzy, którym kazano strzelać w Truro do uczestniczących w zamieszkach górników z kopalni cyny, odmówiła wykonania rozkazu. Wydawało się, że Anglia stacza się w stronę francuskiego piekła.

W rejonie wsi Grambler i St Ann's panowało napięcie, ale jak dotąd nie doszło do wybuchu. Przyczyniła się do tego dobra pogoda. Dni były długie i jasne, nawet krótkie noce miały w sobie coś świetlistego: odnosiło się wrażenie, że słońce kryje się za horyzontem, lecz nie znika. Wysoko na niebie śpiewały skowronki, a czajki, które ucierpiały w zimie, kwiliły i pojękiwały, latając nad polami owsa i pszenicy. Żywopłaty, przez wiele tygodni pokryte zlodowaciałym śniegiem, nagle się zazieleniły. Kwitły dzwonki, lepnice i rzeżucha – na łąkach trwały patriotyczne rozruchy kwiatów. Po nadejściu cieplejszej pogody tyfus wydostał się na wolność z przytułków dla ubogich i zaatakował osiedla górnicze. Najwyższa pora, by wreszcie wrócił doktor Enys.

Mimo wszystko kontynuowano budowę nowego domu modlitwy. Ross uważał za znamienne, że Samuel postanowił wznieść znacznie większy budynek od poprzedniego. Jeśli chodzi o bibliotekę, po konsultacjach z kilkoma majstrami i Horace'em Treneglosem, który znał się na budownictwie, Ross postanowił zachować istniejące ściany. Treneglos twierdził, że granitowe mury Mongoose są wewnątrz wypełnione gruzem i że w ogóle nie pękają. Poza tym Ross kazał zamurować dwa małe okna na końcu pomieszczenia, wychodzące na południowy zachód, i zastąpić je nowym, większym, w innym miejscu. Po tej przebudowie całkowicie się uspokoił, ponieważ zmiana lokalizacji otworów w ścianach usunęła wszelkie wątpliwości, czy mury wytrzymają ciężar nowego piętra.

W czerwcu w Gwennap doszło do fali nawróceń. Zaczęło się w Redruth, gdzie ośmiu ludzi prawie jednocześnie odnalazło spokój w Panu. Następnego wieczoru wielu innych zrozumiało ohydę swoich grzechów: po długich modlitwach i zmaganiach wewnętrznych spłynęła na nich łaska. Jeden pochodził z Gwennap i zaniósł te radosne nowiny w rodzinne strony, czym zapoczątkował jeszcze większą falę nawróceń. Dochodziło do nich głównie w rejonie kotliny Gwennap, gdzie wcześniej często wygłaszał kazania pastor Wesley, założyciel ruchu metodystycznego. Wielkie zapadlisko, uważane niekiedy za relikwiarz czasów rzymskich, w rzeczywistości powstało wskutek zawału płytkich wyrobisk starych kopalni, tworząc coś w rodzaju naturalnego amfiteatru, który podobałby się starożytnym Grekom i który John Wesley wykorzystał w pracy duszpasterskiej.

W okolicach Gwennap, na przestrzeni kilku kilometrów kwadratowych, znajdował się jeden z największych ośrodków górniczych Kornwalii. Znajdujące się tam kopalnie – Wheal Unity, Treskerby, Wheal Damsel i Tresavean – były teraz nieczynne, toteż wszędzie panowały bezrobocie i nędza. Ale mieszkańcy Gwennap, zamiast wszczynać rozruchy, zwrócili się ku Bogu. Ładna pogoda i jasne noce sprzyjały ekstazie religijnej i nawrócenia trwały przez cały tydzień. W tym czasie przeszło pięć tysięcy nieoświeconych wyznało swoje grzechy i przystąpiło do ruchu religijnego, który nie dbał o troski i nędzę tego świata, znajdując pocieszenie w Chrystusie i obietnicy życia wiecznego. Sam, dowiedziawszy się o tym na drugi dzień, poszedł do nadsztygara Henshaw'e'a i poprosił o wolne, by iść do Gwennap, leżącego w odległości dwudziestu kilometrów, i wziąć udział w zbiorowym nawróceniu. Z całych sił starał się namówić Drake'a, by mu towarzyszył, lecz młodszy brat był tak roztrzęsiony i wytrącony z równowagi, że chwilowo nie miał ochoty na przeżycia duchowe. Sam wyruszył w drogę, wychwalając Boga i Jego dobroć. Dziękował Panu, że otwiera ludzkie serca, lecz czuł smutek, że własny brat, pełen goryczy, nie może mu towarzyszyć w tej wspaniałej chwili.

W Trenwith George przestał nalegać, by Morwennę natychmiast odesłano do domu, ale rozumiano, że wróci do Bodmin na początku września, gdy Geoffrey Charles pojedzie do szkoły. George od roku zbierał informacje o

różnych szkołach na terenie Anglii, a teraz, jak zwykle przekuwając kłeskę w zwycięstwo, wykorzystał niedawną przykrą sytuację, by skłonić Elizabeth do zaakceptowania jego planów. Było oczywiste, że Geoffrey Charles wymyka się spod kontroli. „Przypomnij sobie histeryczną reakcję, gdy powiedzieliśmy, że nie może się więcej widywać z tym młodym górnikiem Drakiem Carne'em. W tej chwili nie zdołałby nad nim zapanować nawet guwerner. Jedyne rozsądne wyjście to szkoła z internatem”.

– Najlepsza szkoła dla Geoffreya Charlesa to Harrow – przekonywał. – Wiem, że podróż będzie kosztowna i męcząca, ale niedawno ogłoszona polityka dyrekcji zgadza się z tym, na czym nam obojgu zależy. W wydrukowanym prospekcie stwierdzają: „Niezależnie od intencji założycieli szkoły w tej chwili nasz zakład nie jest przeznaczony dla osób o niskiej kondycji społecznej, lecz dla dzieci klas wyższych”. Właśnie o to nam chodzi. Chcemy, by Geoffrey Charles obracał się w towarzystwie ludzi należących do swojej sfery lub wyższej. Polityka wszystkich pozostałych szkół, nad którymi się ostatnio zastanawialiśmy – Eton, Westminster, Winchester – w dalszym ciągu dopuszcza przyjmowanie dzieci kupców.

– Podróże do Harrow i z powrotem pozbawią go blisko dwóch tygodni wakacji – oponowała Elizabeth. – Będzie to bardzo kosztowne.

– Wiesz, że już dawno temu zobowiązałem się sfinansować edukację Geoffreya Charlesa. Z moich informacji wynika, że wyżywienie, książki i chesne będą kosztować około trzydziestu funtów rocznie, a ubrania kolejne dwadzieścia pięć. Do tego dojdą wydatki na podróże, ale Geoffrey Charles to dziedzic dworu w Trenwith i całej posiadłości. Zasluguje na wszystko, co najlepsze. Również jako twój syn.

Elizabeth się uśmiechnęła, a George poklepał ją po dłoni. Zdawała sobie sprawę, że mąż celowo stara się być miły, bo zależy mu na osłabieniu jej więzów z synem.

Jeszcze nie rozumiała – może brak dystansu miał sprawić, że nigdy to nie nastąpi – że Geoffrey Charles bardzo wydorósł, odkąd pozwoliła mu na większą swobodę. Chwilami czuła ukłucie zazdrości, widząc go szczęśliwego w towarzystwie Morwenny, lecz gotowa była to zaakceptować. Woląa przyjaźń Geoffreya Charlesa z siostrą stryjeczną od całkowitej utraty syna, czego spodziewała się po jego wyjeździe do szkoły. Czuła, że brutalny męski świat, w którym chłopiec się znajdzie, ukształtuje jego charakter, po czym Geoffrey Charles wróci do domu jako zupełnie inny człowiek.

Szczęśliwe dzieciństwo odchodziło w przeszłość.

Ponieważ George był w lepszym nastroju niż zwykle w ostatnich czasach, poruszyła temat, o którym chciała porozmawiać już od kilku dni, ale wiedziała, że zirytuje męża.

– Ciotka Agatha przygotowała listę gości. – Podała George'owi arkusz papieru pokryty bazgrołami przypominającymi ślady ostatnich podrygów muchy umoczonej w atramencie. – Część nazwisk napisała sama, a inne zanotował Geoffrey Charles na jej prośbę. Przyznaję, że nie znam połowy tych ludzi.

– Nawet nie warto się zastanawiać, kto to. – George ostrożnie ujął papier kciukiem i palcem wskazującym, jakby dotykała go osoba chora na febrę. – Zupełnie nie rozumiem, dlaczego musimy w tym uczestniczyć. Im bliżej tego koszmarnego dnia, tym bardziej robi mi się niedobrze.

– Nie jesteśmy zobowiązani formalnie, tylko moralnie, prawda?

– Nie mam takiego wrażenia. Na Boga, naprawdę. Co oznaczają skreślone nazwiska?

– Ci ludzie zmarli. Konsultowałam się już z wielebnym Odgersem i starą Agnes w Sawle, która wiele lat temu pracowała u Poldarków. Ciotka Agatha niewątpliwie uważa, że ciągle żyją.

George oddał żonie papier.

– Nie lepiej urządzić przyjęcie urodzinowe na cmentarzu? Pokroimy tort i z grobów wyskoczą umarlaki.

Elizabeth zadrżała.

– Oczywiście dobrze znamy niektóre z tych osób i powinny być u nas mile widzianymi gośćmi. Trenglosowie, Bodruganowie, Trevaunance'owie. Część jest na pewno zbyt stara, by przybyć, lub mieszka zbyt daleko. Nie sądzę, by było to wielkie przyjęcie. Może dwudziestu, trzydziestu gości.

– Jest tu ze sto nazwisk!

– Tak, ale większość nie przyjedzie.

– Nie zamierzam... Elizabeth, jeśli muszę znosić w swoim domu – naszym domu – najazd tłumu starców, by zaspokoić resztki egoizmu tej kobiety, nie zamierzam... nie zgadzam się, by tu nocowali! Nie pozwolę, by nasz dom wypełnił się tłumem dziecięcych żywych trupów, z których część z pewnością nie potrafi utrzymać moczu, a inni nie rozumieją, co się z nimi dzieje! Nie chcę, by nocowali w naszym domu, nawet dla utrzymywania pozorów, że aprobujemy tę upiorną uroczystość. Nie, Elizabeth, wyjaśnijmy to na samym początku: powiedz tej starej kobiecie, jeśli potrafisz się z nią porozumieć, że tego nie zrobimy i że nigdy nas do tego nie zmusi!

– Moim zdaniem Agatha planuje zakończenie przyjęcia o godzinie szóstej – odparła uspokajająco Elizabeth. – Większość gości będzie miała mnóstwo czasu, by wrócić do domów. To znaczy ci, którym wystarczy sił i zdrowia na przyjazd do Trenwith.

George zastanawiał się przez chwilę, obracając monety w kieszonce na zegarek.

– A zatem ta stara kobieta ma własne pomysły na przyjęcie, które powinniśmy jej wyprawić?

– Płaci za wszystko, mój drogi. Pamiętaj o tym. Urodziła się w tym domu. Wybacz, że ci o tym przypominam, oczywiście wiesz, ale... Uważa, że ma do tego prawo. Podobnie jak, powiedzmy, twój ojciec, gdyby był czterdzieści lat starszy i ciągle mieszkał w Cardew. Dlatego robi plany i chce, byśmy zorganizowali wszystko zgodnie z jej życzeniami, pod warunkiem że są rozsądne.

– A są?

– Moim zdaniem tak. Spędziłam trochę czasu w jej pokoju...

– Niechaj Bóg ma cię w swojej opiece!

– I rozmawialiśmy na ten temat. Chciałaby urządzić śniadanie o drugiej. Ma nadzieję zejść na dół, by powitać gości. Posiłek ma zostać podany w wielkim salonie i jadalni zimowej. Nic szczególnie wyszukanego: gorąca czekolada lub brandy do picia, a do tego ciasteczka, ciasto piernikowe i podobne słodczy. Doszliśmy do wniosku, że jeśli będzie ładna pogoda, towarzystwo mogłoby spędzić następną godzinę w ogrodzie. Niektórzy niewątpliwie zostaną w domu na pogawędkę z Agathą, a reszta mogłaby podziwiać to, co zrobiliśmy, by upiększyć dwór i posiadłość.

Umilkła, George mógł rozważyć jej słowa. Gdyby zdołała skłonić męża do poparcia planu, a przynajmniej złagodzić jego sprzeciw, wszystko byłoby znacznie prostsze.

– Później myślałyśmy o kolacji w jadalni. Agatha była za podaniem gościom obiadu, ale udało mi się to jej wyperswadować. Będzie siedzieć u szczytu stołu, a pozostali goście mogą zająć miejsca wedle własnego uznania. Naturalnie gorące zupy, poza tym potrawy łatwe do przygotowania: pieczone ozory, baranina na zimno, zapiekanka z kurczęciami, gołąbki. Szparagi, jeśli zdołamy je dostać, marynowane jaja. Syllabuby i szarlotki. Później tort. Po kolacji pokroimy tort i wypijemy toast za jej zdrowie. Czuję, że będzie bardzo miło.

George obliznął wargi.

– A potem?

– Potem, jak sądzę, ciotka Agatha uzna, że urodziny się skończyły. Mówi, że pozostanie z gośćmi do szóstej, ale jeszcze zobaczymy. Tak czy inaczej, około szóstej podamy herbatę i mam nadzieję, że przed siódmą wszyscy rozjadą się do domów.

– Amen – powiedział George. – Ale dlaczego musimy czynić przygotowania w lipcu, skoro ta godna pożalowania rocznica przypada dopiero w sierpniu?

– Pomyślałam, że ci o tym wspomnę, mój drogi, żebyś był zorientowany. Wiem, że nie lubisz przygotowań prowadzonych bez twojej wiedzy i zgody. Ciotka Agatha chce, by jak najszybciej wysłać zaproszenia. Żyje tym dniem i naturalnie tylko o nim myśli.

Małżeństwo z kobietą spokrewnioną z rodem Poldarków wiązało się dla George'a z wieloma przykrościami: on także musiał dźwigać swój krzyż. Czuł, że dłużej tego nie znieśie. Wymamrotał kilka słów na znak ponurej zgody i

odszedł.

Rozdział trzeci

Samuel spędził w Gwennap wspaniały tydzień i wrócił do domu dopiero, gdy entuzjazm przygasł. Był piękny dzień na spacer, a Sam odczuwał taką radość i szczęście z powodu tego, czego Pan Bóg dokonał w tak krótkim czasie, że w trakcie marszu kilka razy wznosił radosne okrzyki. Ludzie pracujący na dalekich polach unosili głowy i patrzyli na niego: starcy powykręceni przez reumatyzm, dziewczęta w słomkowych kapeluszach, dzieci szukające ziaren na rzysku. Uważali go za wariata.

Ale nie było w nim szaleństwa, tylko słodka radość z powodu zjednoczenia z Chrystusem. Widział w Gwennap cuda, które mogły się zdarzyć tylko pod warunkiem, że na ziemię zstąpił Duch Święty. I na tym się nie skończy. Samuel był o tym przekonany. W Gwennap zapanował spokój, może chwilowo, może na długo, lecz potęga i łaska Jezusa są jak niepowstrzymany pożar. Tli się i może się wydawać, że zgaśnie, lecz nagle wybucha w innym miejscu. Tym razem źródłem odrodzenia duchowego było Redruth, po kilku dniach ogarnęło Gwennap, skąd może się przenieść do St Austell lub Penzance. Może nawet dotrze do niewielkich nadmorskich wiosek, jak Grambler albo Sawle, kto wie? Kto wie, czego może dokonać niegodny grzesznik taki jak on sam, jeśli przepelnia go wiara i poczucie więzi z Niebiańskim Oblubieńcem?

Kiedy zbliżał się do domu, rozumiał, że przez cały czas jego wiara była zbyt słaba, że powinien nie tylko żarliwiej się modlić, ale też przekonać swoją małą trzódkę, by poszła za jego przykładem. Gdyby tylko Drake uwolnił się od grzesznych podszeptów diabła i znów poczuł prawdziwe piękno łaski, nikt nie wie – lub tylko Bóg – co mogliby razem osiągnąć. Samuel postanowił przede wszystkim zajrzeć w głąb własnego serca i sprawdzić, jakie ziemskie słabości mogą się tam kryć i przeszkadzać w wywarceniu uzdrawiającego wpływu na Drake'a, by odzyskał wrażliwość na życie duchowe. Mimo wszystko zło może tkwić w nim samym. Tylko modlitwa – tylko długie godziny spędzone na kolanach przed Stwórcą – otworzą drzwi do zrozumienia siebie. Oby zdołał przekonać Drake'a, by podążył tą samą drogą. Kto wie, ilu ludzi zdołaliby razem nawrócić? Wiara może czynić cuda. Patrzył na to zdumionymi oczyma przez cały tydzień.

Niekiedy jednak sprawy doczesne chwytają człowieka w tak okrutny uścisk, że nawet ktoś taki jak Sam nie może ich zlekceważyć. Chociaż miał serce pełne świętości, tego dnia zetknął się ze złem, materialnym i duchowym, które zaprzętnęło jego umysł i sprawiło, że zapomniał, przynajmniej na jakiś czas, o planach odrodzenia duchowego wiosek Grambler i Sawle. Dotarł do domu po siódmej. Uwierał go but, był spragniony, głodny i zmęczony. Marzył o przełamaniu się chlebem z Drakiem i przekazaniu mu dobrej nowiny o zbawieniu tylu ludzkich dusz, ale brata nie było w domu. Wcześniej utrzymywała się piękna pogoda, lecz teraz nad morzem i wydmami zebrały się chmury, z których padał dziwny białawy deszcz. Wydawało się, że wkrótce pojawią się również nad lądem. Wrzosowiska i pola zalewało złociste światło słońca częściowo zasłoniętego przez obłoki.

Sam wypił duży łąk wody, po czym ukroił sobie kromkę chleba i plaster sera, gdy rozległo się pukanie do drzwi. Ujrzał w nich Boba Baragwanatha. Bob był ojcem Charliego i Sam modlił się z nimi po śmierci chłopca. Bob nie był na tyle rozgarnięty, by rozumieć to, co Sam robi i mówi, lecz doceniał jego gest.

– Twój brat – rzekł.

– Tak? Drake? O co chodzi? Zostawił wiadomość?

– Nie, nie chodzi o wiadomość. Zabrali go. Zabrali. Godzinę temu. Zabrali go godzinę temu.

Sam odłożył chleb.

– Co się stało, Bob? Zabrali Drake'a? Gdzie?

– Konstabl... konstabl Vage. Zabrał go godzinę temu. Zabrali go do więzienia. Do więzienia w St Ann's.

– Drake'a?! Do więzienia?! Za co? Konstabl Vage? Ja... Widziałeś to?

– Tak, na własne oczy. Zabrali go za kradzież! Tak mówił konstabl. Kradzież! Zabrali go godzinę temu.

W chwili przybycia Sama Ross i Demelza kończyli kolację. W tych jasnych, promiennych dniach jedli lepsze obiady niż zimą, wieczorny posiłek był więc ważniejszy. Spożywali kolację w milczeniu, jak zwykle w ostatnim czasie, gdy zbliżała się pora wyjazdu Rossa do Francji. Demelza nie miała żalu do męża, ale myśl o wyprawie psuła jej nastrój. Nie paplała jak zwykle o ogrodzie ani nie zastanawiała się na głos, co czuł Garrick, gdy odebrała mu małego królika; nie opisywała również zachowania gila, kiedy dziobał nasiona mleczka. Straciła ochotę do rozmowy, a ponieważ Ross nie był z natury gadatliwy, jedli w ciszy.

I w tym momencie pojawił się brat Demelzy z wiadomością, że Drake'a aresztowano za kradzież.

Demelza wstała i popatrzyła na niego.

– Za kradzież?! Drake'a?! Niemożliwe, Sam!

– Tak, siostrze, niemożliwe, by coś ukradł, ale ktoś go o to oskarżył.

– Co miał ukraść?

– Cóż, trudno ustalić prawdę. Rozmawiałem z Artem Curnowem, który widział, jak go zabierali. Konstabl powiedział, że Drake jest oskarżony o kradzież Biblii ze srebrną klamrą z dworu w Trenwith.

– Z dworu w Trenwith? Kiedy? Nie był w pobliżu Trenwith od wielu tygodni, odkąd George... odkąd pan Warleggan wrócił do domu.

– Nie wiem, czy to prawda, siostrze. Wiem tylko, że Drake'a wtrącono jak przestępcę do więzienia w St Ann's.

Ross również wstał, lecz odwrócił się od Demelzy i Sama, by ukryć wyraz irytacji na swojej twarzy.

– Wiesz, kto go oskarżył?

– Myślę, że pan Warleggan.

Otóż to. Pan Warleggan. A ponieważ chłopiec jest bratem Demelzy, George'owi sprawiło to tym większą przyjemność. Czy Ross może nie dać się wpłatać w tę sprawę? I czy może spowodować, by nie wpłatała się w nią Demelza, skoro on sam wkrótce wyjedzie? Niech to diabli... Bardziej niż kiedykolwiek żałował, że nie potraktował obu mężczyzn surowo, gdy przybyli do Nampary, i nie odesłał ich do Illuggan. W tamtym czasie ostrzegał Demelzę, że w przyszłości bracia mogą poślubić miejscowe dziewczęta i stać się dla niej kłopotliwi, utrudniając jej spełnienie ambicji towarzyskich. W najgorszych snach nie przypuszczał, że jeden z nich może nawiązać romans z kuzynką Elizabeth! A teraz został aresztowany za kradzież – i do tego kradzież Biblii!

Jednak na tym etapie nie powinien okazywać irytacji. Demelza i tak musi znosić jego kaprysy i dziwactwa, tolerować przyjaźnię z obcymi ludźmi, godzić się na awanturnicze skłonności, które teraz kazały mu płynąć do Francji. Nie mógł oczekiwać od niej wyrozumiałości, samemu jej nie okazując.

– Państwo Warlegganowie wyjechali na dwa dni – powiedział. – Myślisz, że Drake odwiedził wtedy Trenwith?

– Nie wiem, kapitanie Poldark. Wyjeżdżałem w sprawach wspólnoty. Wróciłem dopiero dziś wieczorem.

– Wiesz, czy Drake widywał się z panną Chynoweth w ciągu ostatnich tygodni?

– Spotykał się z nią dwa lub trzy razy w kościele w Sawle w niedzielne popołudnia. Ale później to odkryto i na początku tego miesiąca w Trenwith doszło do wielkiej awantury. Później Drake jej nie widział. Jak słyszałem, panna Chynoweth ma zostać odesłana do domu.

– Zdaje się, że George zamierza wydać pannę Chynoweth za niejakiego Whitwortha z Truro – powiedziała Demelza. – Wielebnego Whitwortha.

– Co takiego?! Osborne'a Whitwortha, syna sędziego Whitwortha?!

– Tak sądzę. Miało to być dla niej korzystne małżeństwo. Dlatego doszło do afery, gdy odkryto jej przyjaźnię z Drakiem.

– Whitworth to pretensjonalny dandys. Oczywiście go pamiętasz. Kilka razy się do ciebie zalecał, ale zwykle przepędzał go Hugh Bodrugan albo John Treneglos.

– Przypominam go sobie – odparła Demelza.

– Kto ci o tym powiedział?

– Drake. W zeszłym tygodniu. Kiedy przyszedł na lekcję pisania.

Ross popatrzył na talerz z niedojedzoną tartą z malinami.

– Oskarżenie nie wydaje się prawdopodobne?

– Och, na pewno nie! – zawołała Demelza. – Drake nie jest złodziejem.

– W żadnym razie! – wtrącił Sam.

– Tak, cóż... Wszystko bardzo dobrze, ale postawiono mu zarzut. Muszą być jakieś podstawy, choćby wątle.

Nieprzyjemne jest to, że jeśli w sprawę zaangażowali się Warlegganowie, może być trudno przekonać ich, by się wycofali. Wszyscy inni byłiby otwarci na rozsądne argumenty, ale nie oni. Możesz jeszcze pożałować, Sam, że jesteś powiązany z Poldarkami.

– Może powinienem sam z nimi porozmawiać? – zasugerował brat Demelzy.

– W żadnym wypadku. Zostałbyś źle potraktowany i miałbyś kłopoty. Nie, przede wszystkim należy pomówić z Drakiem i dowiedzieć się, jaka jest jego wersja wydarzeń. Dopóki tego nie ustalimy, nie możemy nic zrobić.

Zapadło milczenie.

– Na pewno dziś w nocy nie zasnę – powiedział Sam. – Ale nie ma sensu chodzić do St Ann's przed świtem. Odwiedzę brata jutro rano.

– Nie – zaproponował Ross. – Trzymaj się od tej sprawy z daleka. Nie chcemy, żebyś trafił do więzienia pod innym zarzutem. Zajmę się tym osobiście.

– Dziękuję – powiedziała Demelza.

– Do tego czasu nie ma co się tym przejmować. Oskarżenie może zostać wycofane. Nie jesteśmy w stanie się dowiedzieć niczego więcej, dlatego najlepiej w ogóle o tym nie rozmawiać. Pojadę tam skoro świt.

– Niechaj pana Bóg błogosławi – rzekł Sam. – Nie zasnę dziś w nocy.

Więzienie w St Ann's w istocie nie było więzieniem, lecz aresztem, w którym od czasu do czasu zamykano przestępców czekających na rozprawę przed lokalnym sądem. Areszt, mieszczący się w domu pana Renfrew, kupca handlującego wyposażeniem górniczym, składał się z dwóch pomieszczeń, jednego na piętrze i drugiego na parterze. Powinny one stać puste, by można było umieszczać w nich przestępców, jednak Renfrew wykorzystywał je częściowo jako magazyny. W rezultacie górne pomieszczenie było pełne zwojów lin, latarni, bloczków i wielokrążków, świec konopnych, oskardów, zapalników i innych akcesoriów górniczych. Dolne pomieszczenie służyło jako właściwy areszt, choć Renfrew również składował tam różne rzeczy, jeśli uznał, że więźniowie ich nie uszkodzą ani nie wykorzystają do ucieczki.

W drodze do aresztu Ross zastanawiał się nad stojącym przed nim problemem. Myślał o ostatnich radach Demelzy, która, choć głęboko niepokoiła się o brata, jeszcze bardziej obawiała się, że mąż powtórzy swoją eskapadę sprzed sześciu lat, gdy wdarł się do więzienia w Launceston. Ross zastanawiał się nad taktyką, jaką powinien zastosować, gdyby Drake przedstawił wiarygodne wyjaśnienie świadczące o tym, że jest niewinny. Kiedy przed niemal siedmiu laty Jima Cartera aresztowano za kłusownictwo, Ross pojechał do Truro, pojawił się na sali sądowej i publicznie zaapelował o łagodny wyrok. Jego prośbę brutalnie odrzucono, co stało się dla niego przykrą nauką. Nie należy prosić publicznie o litość, tylko zwracać się do sędziów prywatnie i zabiegać o przyjacielski gest, o danie przestępcy jeszcze jednej szansy. Jak postąpić tym razem? Nie mógł prosić o przysługę George'a Warleggana. Gdyby sam był sędzią, miałby ułatwione zadanie, lecz odrzucił propozycję objęcia tej funkcji. Kto mógł przewidzieć, że dojdzie do takiej sytuacji?

Renfrew był w domu i powitał go wylewnie, uśmiechając się i mrużąc krótkowzroczne oczy. (Jego klientami byli zarówno Ross, jak i George). Więzień? Tak, pan Poldark może go zobaczyć. Oczywiście. Naturalnie. Areszt nie jest może tak czysty, jak należy, ale w ciągu ostatniego tygodnia Renfrew miał wiele zajęć. W tej chwili przebywa w nim dwóch innych więźniów, którzy czekają na następne spotkanie sędziów. Zamknięto ich wczoraj za różne sprawki i nie było czasu na sprzątanie. Zarzuty? Och, jeden rzucił się na pana Irby'ego w jego sklepie. Drugi po pijanemu wybił kilka szyb w gospodzie Pod Górniczym Gmerkiem. Prawdopodobnie jutro staną przed sądem. Czy

pan Poldark zechciałby pójść tym korytarzem? Pan Poldark poszedł.

Dotarli do niewielkiego pomieszczenia ze słupem pośrodku, sięgającym od podłogi do sufitu; przykuwano do niego niesfornych więźniów. W jednym z rogów leżały worki i stos drewna wyrzuconego przez morze; poza tym znajdowali się w nim tylko trzej więźniowie. Panował ohydny smród, ponieważ nie było latryny, a worków nie zmieniano od tygodni. Jeden z mężczyzn spał we własnych rzygowinach, pozostali dwaj patrzyli na otwierane drzwi.

Ross przyłożył chusteczkę do nosa.

– Mógłby pan pozwolić mi porozmawiać z nim przez pięć minut na dziedzińcu? Obiecuję, że nie ucieknie.

– Cóż, sir... Chyba tak, skoro pan obiecuje...

– Może pan nas obserwować z pewnej odległości.

Drake'a wyprowadzono na zewnątrz. Mrużył oczy, oślepiiony światłem dnia, i był blady po nocy spędzonej w zamknięciu. Ross znów spostrzegł jego podobieństwo do Demelzy i poczuł przyływ irytacji.

– Cóż, chłopcze, masz kłopoty. Jak to się stało?

– Och, kapitanie Poldark, dobrze, że pan przyszedł. Co z Samem? Nie było go w domu i...

– Wrócił wczoraj wieczorem. Powiedział nam, że cię uwięziono, usłyszał o tym. O co właściwie chodzi?

– Cóż, sam nie wiem, od czego zacząć. Chyba pan wie, że zaprzyjaźniłem się z młodą damą z dworu w Trenwith. Siostra o tym wie...

– Tak, wspominała mi.

– Kiedy Warlegganowie się dowiedzieli, że widuję się z nią w kościele, zabronili jej się ze mną spotykać. Od tamtej pory jej nie widziałem. Ale Geoffrey – panicz Geoffrey Charles – zbuntował się przeciwko temu zakazowi i kilka razy się ze mną spotkał. Rozumie pan... rozumie pan... nie chodzi tylko o pannę Morwennę, bo z nim... bo z nim też się zaprzyjaźniłem...

– Tak, rozumiem.

Drake potarł dłonią zarośnięty policzek.

– W tym tygodniu państwo Warlegganowie udali się z wizytą do znajomych, więc panicz Geoffrey Charles wysłał mi list, że nie będzie ich w domu i że mogę go po raz ostatni odwiedzić w Trenwith, zanim wyjedzie do szkoły.

– Młody głupiec – powiedział Ross. – Wpakował cię w kłopoty.

– Cóż, możliwe. Ale myślałem, że dam sobie radę, i poszedłem do Trenwith. Przekradłem się przez pola, potem do bocznych drzwi. Morwenna i Drake już na mnie czekali. – Na policzku Drake'a zadrgał mięsień. – Morwenna oświadczyła, że jej też kazali wyjechać, więc już się więcej nie zobaczymy. Siedzieliśmy i rozmawialiśmy przez pół godziny, a potem powiedziałem, że muszę iść. Wtedy Morwenna dała mi szalik – żebym o niej pamiętał – jakbym mógł kiedykolwiek zapomnieć! – a Geoffrey Charles powiedział, że on też musi mi coś dać, i wręczył mi Biblię, którą dostał na chrzciny. Ja na to, że nie mogę jej wziąć, że to jego własność, że na okładce są jego inicjały i że ma klamrę. Ale zaczął mnie prosić: „Drake, Drake, proszę” – panicz Geoffrey Charles potrafi być bardzo miły – więc w końcu ją wziąłem. Potem opuściłem dwór i wróciłem do domu. Nie wiem, czy ktoś mnie widział, bo nie zwracałem na to uwagi. Szedłem jak ślepiec, w domu schowałem prezenty pod siennikiem, a potem się na nim położyłem... Cóż, nie zachowywałem się jak dorosły...

Na pobliskim polu dwóch mężczyzn próbowało oddzielić cielę od krowy. Żałosne ryki zwierząt rozlegały się w chłodnym porannym powietrzu.

– Kiedy to było?

– We wtorek wieczorem.

– I przyszli po ciebie wczoraj. W ciągu doby prawdopodobnie wrócili Warlegganowie, ktoś powiedział im o twojej wizycie i odkryto brak Biblii. Kto przyszedł do twojej chaty?

– Konstabl Vage i wysoki, chudy człowiek z oczami osadzonymi blisko siebie. Widziałem go w Trenwith...

– To chyba Tankard. Oskarżyli cię o coś?

– Powiedzieli, że mają powody, by przypuszczać, że ukradłem Biblię i inne rzeczy, i że przeszukają chatę.

Znaleźli Biblię tam, gdzie ją schowałem. Od czasu gdy włożyłem ją pod siennik, nawet jej nie wyjmowałem. Nie byłem w stanie na nią patrzeć.

Ross spojrział zamyślonym wzrokiem na młodego człowieka.

– Tak, cóż...

– To nie pana sprawa, kapitanie Poldark – powiedział Drake. – Ani siostry. Nie chcę sprawiać wam kłopotów. Jak stanę przed sędziami, powiem szczerą prawdę. To pomyłka i na pewno mnie wypuszczą. Nie zrobiłem nic, czego mógłbym się wstydzić.

– Myślę, że powinieneś przyjąć pomoc, jakiej możemy ci udzielić, chłopcze. Kiedy dowody są sprzeczne, nie zawsze wierzy się oskarżonemu. Zwłaszcza gdy jeden z sędziów ma do załatwienia własne porachunki. Jakiej wielkości była ta Biblia?

– Och... niezbyt duża. Ładna, z literami G.C.P. na okładce i srebrną klamrą.

– Byłeś głupcem, że ją wziąłeś.

– Tak, wiem. Ale tak mnie wtedy prosił... Miałem mętlik w głowie: prawie nie wiedziałem, co się ze mną dzieje.

– Straciłeś swoją dziewczynę, co? Tak, to boli. Za wysoko mierzyłeś, Drake.

– Kiedy ją spotkałem, o niczym nie myślałem, niech mi pan wierzy. To się po prostu stało.

– Tak... – Ross spojrział na Renfrew, który udawał, że liczy łopaty. – Tak. Pora, żebyś wrócił do środka. Czy panna Chynoweth była w pokoju, gdy Drake dawał ci Biblię?

Drake zastanawiał się przez chwilę.

– Nie. Poszła sprawdzić, czy mogę bezpiecznie wyjść, ale kiedy wróciła, musiała widzieć, że ją niosę. Nie robiłem z tego tajemnicy.

– Hm. Czy na Geoffreju Charlesie można polegać?

– O tak! Dałbym za to głowę.

– Może będziesz musiał – odparł sucho Ross. – Teraz już idź. Renfrew! Pański więzień jest gotów do powrotu do celi.

Zanim Ross opuścił areszt, Renfrew powiedział mu, że miejscowi sędziowie pokoju mają się spotkać nazajutrz, w piątek, w gospodzie Pod Górniczym Gmerkiem w St Ann's. Oczywiście, gdyby uważali, że to coś pilnego, jeden z nich mógłby rozpatrzyć wszystkie trzy sprawy już dziś, po czym skazać więźniów lub odesłać do Truro, ale ponieważ sędziowie mają się zebrać już jutro, jest prawie pewne, że osądzą wtedy oskarżonych.

Ross skinął głową, podziękował kupcowi, wsiadł na konia i odjechał. Jedyńm sędzią, który mógłby zepsuć sobie dzień, by poza kolejnością załatwić jedną ze spraw, był George, lecz Ross uważał, że Warleggan, świeżo upieczony sędzia pokoju, nie zechce manifestować nadgorliwości, zwłaszcza że sprawa dotyczy oskarżenia o kradzież na terenie jego majątku. Chociaż może bardzo pragnąć skazać Drake'a albo odesłać do Truro, nie zrobi niczego, co mogłoby obrazić innych sędziów albo stworzyć wrażenie, że zbyt swobodnie wykorzystuje swoją władzę.

Oznacza to, że został cały dzień. Sędziowie spotkają się o jedenastej, toteż Ross ma przeszło dwadzieścia cztery godziny. Jak je wykorzystać? Bardzo łatwo powiedzieć: poprzednio postąpiłem głupio, teraz trzeba rozegrać wszystko inaczej. Tylko jak? Zwrócić się po kolei prywatnie do każdego z sędziów? Ale kto przyjedzie jutro na spotkanie w St Ann's? Kto się pojawi? Trevaunance, Bodrugan, Treneglos? Z pewnością Warleggan. Jak powiedzieć pozostałym? Kradzież Biblii ze srebrną klamrą to poważne przestępstwo. Nie należy się spodziewać, że potraktują je lekko. Mogą uznać, że sprawa jest dla nich zbyt poważna, i odesłać chłopca, by stanął na najbliższej sesji przed sądem okręgowym. Jeśli wartość Biblii przekracza czterdzieści szylingów, za jej kradzież, gdy zostanie udowodniona, grozi kara śmierci. Ross nie był pewien, jaki jest status osób niepełnoletnich w postępowaniu sądowym – czy mogą być wzywani na świadków i jakie znaczenie mają ich zeznania. Nie mógł

wykluczyć, że George, jeśli ma ochotę się zemścić, może wesprzeć oskarżenie zeznaniami jednego ze służących, które zanegują słowa Geoffreya Charlesa.

Nieprzyjemny dylemat. Początkowo zamierzał opisać wszystko Demelzie, by się dowiedzieć, co sądzi o sprawie i co radzi. Ale w pobliżu Nampary zmienił zdanie i kierunek jazdy. Demelza, choć obdarzona zdrowym rozsądkiem i umiejętnością trzeźwej oceny sytuacji, nie może pomóc. Osobiście zależy jej na zwolnieniu Drake'a, nie ma pojęcia o prawie ani taktykach, które należy zastosować, by odeprzeć oskarżenie. Kto się na tym zna? Najbliżej jest Harris Pascoe w Truro – albo stary notariusz Pearce. A ich rady? Prawnicze, beznamiętne, pełne konformizmu. Ross doskonale wiedział, co powiedzą. Najlepiej przekazać sprawę sądowi okręgowemu. Większe szanse na uczciwy proces. Więcej czasu na przygotowanie obrony i analizę materiału dowodowego. Ale kiedy odbędzie się rozprawa? Ross miał wyjechać do Falmouth w niedzielę, najpóźniej w poniedziałek. Mógł być nieobecny przez cały miesiąc. Jeśli nie pojawi się na rozprawie, to, co zrobi przed poniedziałkiem, straci wszelkie znaczenie.

Opuściwszy wioskę Grambler, zmienił kierunek jazdy. Minał kłusem stróżówkę, w której mieszkał kiedyś Dwight, okrążył własną posiadłość, przejechał przez wydmy i dotarł do brzegu morza prawie w tym samym miejscu, gdzie często spacerowali Geoffrey Charles i Morwenna. Przynajmniej raz nie wiał wiatr. Zrzucił wodze Judyty na pierwszy lepszy słupek, zostawił klacz i ruszył po plaży.

Poranek był bezwietrzny, lecz, jak czasem się zdarza w podobne dni, morze było dość wzburzone. W stronę lądu nieustannie napływały spienione fale, uderzając w piaszczysty brzeg. Przypominały ciągnące się aż po horyzont zastępy kawalerzystów atakujących niemożliwą do zdobycia pozycję przeciwnika: kiedy jedni jeźdźcy składali w ofierze swoje życie, natychmiast zastępowali ich kolejni. Tu i tam, w miejscach, gdzie z morza wychodziły skały, w niebo wystrzelały fontanny pyłu wodnego mieniącego się tęczowo w słońcu, po czym stopniowo rozplywały się, tworząc obłoki świetlistej mgiełki.

A zatem, z czysto taktycznego punktu widzenia, lepiej się postarać, by Drake'a osądzono jutro. Ale jak Ross może wpłynąć na wynik? Tak czy inaczej, najważniejszy jest George.

Gdyby sprawa dotyczyła Johna Trevaunance'a, wszystko dałoby się załatwić w ciągu godziny. Nie tylko z nim, także z innymi. Nawet z Hugh Bodruganem. Kulturalna dyskusja, obie strony zgadzają się, że odmiennie interpretują fakty, przeprosiny i propozycja zapłaty kwoty równej wartości Biblii. Chłopak sprawia kłopoty, najlepiej go gdzieś odesłać, wtedy wycofam oskarżenie. To wszystko.

Ale co powiedzieć George'owi? Musi się to zakończyć niepowodzeniem. George mógł sobie wmówić, że Drake jest złodziejem, i szczerze w to wierzyć, tym bardziej że pozwalało mu to uderzyć w Demelzę, a zatem również Rossa. Zwrócenie się do niego z jakąkolwiek prośbą byłoby upokarzające. Elizabeth? Ross nie mógł jej o nic prosić, nawet by ratować Drake'a. Zresztą i tak postąpiłaby zgodnie z życzeniem męża.

Spojrzał na niskie zabudowania Wheal Leisure na szczycie klifu, widoczne w chłodnym powietrzu. Nie chodził na plażę po zamknięciu kopalni. Pogoda była koszmarna i nie chciał patrzeć na martwą Wheal Leisure. Jego pierwsze przedsięwzięcie górnicze, które rozpoczął osiem lat temu. Wszystko układało się dobrze, dopóki nie zaczęli się wtrącać Warlegganowie. Wtrącali się do wszystkiego. Teraz nie podobało im się nawet to, że Ross chce spokojnie żyć na własnej ziemi. Był wściekły, zastanawiał się, czy słusznie postąpił, proponując George'owi zawieszenie broni. Wyprawa do Francji, w której miał niebawem wziąć udział, mogła być wentylem bezpieczeństwa, sposobem na wyładowanie własnych skłonności do przemocy. Lepiej walczyć z Francuzami niż z sąsiadem.

Co jednak zrobić, jeśli sąsiad uporczywie prowokuje do wojny? Czy należy ciągle nadstawiać drugi policzek? Przed dwoma laty, w Boże Narodzenie, Ross dał George'owi możliwość wyboru i kazał mu przemyśleć swoją propozycję. Od tamtej pory widywali się tylko przelotnie, w kościele lub w czasie oficjalnych spotkań. Nie zamienili ani słowa. W tej chwili rozmowa może się okazać niezbędna. Jak inaczej rozwiązać tę sprawę?

Ale jak nawiązać kontakt z George'em, nie wszczynając wojny? Nie było czasu na listy, zresztą nic by to nie

dało. Ross musi pojechać i spotkać się z Warlegganem. Powinien się z nim zobaczyć i porozmawiać – podobnie jak porozmawiałby z Trevaunance'em lub innym sędzią. Trzeba zadbać, by odbyło się to spokojnie. Musi istnieć sposób rozwiązania problemu w przyzwoity sposób. Jeśli George okaże się agresywny, Ross będzie musiał zrewidować swoje stanowisko.

Nagle, prawie nieświadomie, zawrócił w stronę miejsca, gdzie czekał przywiązany kuc. Szedł po miękkim piasku. Judyta uniosła łeb i zarżała. Kiedy zajął miejsce w siodle, zauważył zbliżającego się Sama.

– Zobaczyłem pańskiego konia, kapitanie Poldark. Widziałem, że jedzie pan w stronę plaży. Pomyślałem, że to pana kuc. Zastanawiałem się... czekałem... Widział pan mojego brata?

Ross stłumił chęć warknięcia na młodego człowieka i zrelacjonował rozmowę z Drakiem.

– Niechaj Bogu będą dzięki! – zawołał Sam. – Więc to wszystko pomyłka i jutro brat będzie wolny! Bóg jest łaskawy i sprawiedliwy.

– Módl się do niego, bo może się to okazać potrzebne – odparł Ross. – Idź i powtórz siostrze, co ci powiedziałem, i wyjaśnij, że musiałem się zastanowić, co robić. Podjąłem już decyzję. Skonsultuję się z prawnikiem. Może mi to zająć godzinę lub dwie, ale powinienem wrócić na obiad. Powiedz jej to, dobrze?

– Z radością w sercu – odrzekł Sam. – Szczerze wierzę, że Drake wkrótce znajdzie się na wolności. I modłę się, żeby była to nie tylko wolność ciała, ale i ducha.

– Zajmijmy się najpierw ciałem – rzucił kwaśno Ross i odjechał.

Nie lekcewał trudności związanych ze swoim planem. George ma prawo wyrzucić nieproszonego gościa z własnej posiadłości. Może odmówić spotkania i sprawa nie posunie się do przodu.

Kiedy Ross coś postanowił, niełatwo było go od tego odwieść, lecz zdrowy rozsądek podpowiadał, że należy podjąć jakieś środki ostrożności. Najoczywistsze wydawało się zabranie kompana.

Naturalnym wyborem był Zacky Martin, lecz pięćdziesięcioletni górnik chorował. Następny był Paul Daniel, którego Ross przyjął do pracy jako robotnika akordowego po zamknięciu Wheal Leisure, i Daniel miał w tej chwili szczytę w Wheal Grace. Samuel do niczego by się nie przydał. Próby nawrócenia Toma Harry'ego skończyłyby się fiaskiem.

Ross minął stróżówkę, przejechał przez Grambler, dotarł do kościoła w Sawle i skręcił w drogę prowadzącą do wioski. Po lewej stronie znajdował się szynk wdowy Tregothnan. Zza rogu chaty, tocząc przed sobą beczkę, wyszedł człowiek, którego Ross postanowił odnaleźć.

– Ach, młody kapitan! Witam! I do tego na najpiękniejszym kucu w Anglii! Czy to nie wspaniały zakup? Jeśli chciałby pan go sprzedać, kapitanie, zapłacę tyle samo, ile pan zapłacił mnie. Jest nieprzyzwoicie tani.

– Uważaj, bo mogę zażądać, żebyś dotrzymał słowa – odparł Ross. – Jestem pewien, że nie byłbyś zadowolony, Tholly.

– Tak?

– Masz czas, żeby ze mną pojechać? Potrzebuję spokojnego człowieka jako obstawy.

– Kiedy? Teraz? Tak, chętnie. Niech mi pan pozwoli przetoczyć beczkę tam, gdzie wdowa Sally kazała ją przetoczyć, a potem jestem do pańskich usług.

– Masz strzelbę? – spytał Ross. – Nie żeby strzelać, ale na pokaz. Chcę, by wszystko odbyło się spokojnie.

Tholly wyszczerzył zęby.

– Mam. Niech pan chwilkę zaczeka, to ją przyniosę.

Rozdział czwarty

Dojechali do drzwi dworu w Trenwith. Wyglądali jak orszak obdartusów, dziwna, lecz pasująca do siebie para wysokich mężczyzn na niewielkich kucach, z nogami zwisającymi do ziemi: błędny rycerz i jego nędznie odziany giermek. Prawdziwy Don Kichot miał przynajmniej konia.

Drzwi otworzył jeden ze służących, którym Ross udzielił reprimendy w kuchni na Boże Narodzenie. Wydawał się wstrząśnięty widokiem gościa stojącego na schodach. Ross polecił mu przekazać dziedzicowi, że przybył i chce z nim odbyć pięciominutową rozmowę. Służący zamknął mu drzwi przed nosem i zniknął na prawie pięć minut, o które prosił Ross. Później uchylił drzwi i powiedział, że jego pan nie przyjmie gości.

– Idź donieść swojemu panu, że przyjechałem w pokojowych zamiarach – rzekł Ross. – Nie zamierzam wyrządzić żadnej szkody ani jemu, ani nikomu innemu w tym domu, ale chciałbym porozmawiać w pilnej sprawie. Nawet jeśli odmówi spotkania ze mną, nie odejdę.

Służący stał z otwartymi ustami i wahał się.

– Nikt mnie nie zmusi, bym stąd odszedł – dodał Ross, zerkając do tyłu na Tholly'ego.

Tholly, który nie zsiadł jak dotąd z kuca, podciągnął na ramieniu stary muszkiet i zagwizdał przez przednie zęby.

Służący znów zamknął drzwi.

Czekali. Tholly spoglądał jasnymi oczyma na majestatyczny fronton starego dworu, wypielegnowany ogród, dobrze utrzymane budynki gospodarcze, trawniki, kwiaty, staw krajobrazowy.

– Ładna posiadłość – zauważył.

– Tak – potwierdził Ross.

– Pamiętam, kiedy należała do pańskiego stryja – dodał Tholly. – Ogrody były wtedy okropnie zapuszczone.

Nie zamienili ani słowa na temat celu wizyty w Trenwith. Przez jedno z pobliskich pól przebiegł brązowy zając z białym ogonem. Niedaleko na drzewie siedziały kuropatwy.

– Sporo ładnej zwierzyny – powiedział Tholly, oblizując wargi.

Drzwi znowu się otworzyły.

– Pan przyjmie pana. Samego.

– Zaczekaj tu, Tholly. W razie potrzeby zawołam cię z okna.

Tholly uśmiechnął się szeroko i uniósł hak.

– Przyjdę, jeśli będzie mnie pan potrzebował.

Rossa wprowadzono do niewielkiego pokoju na pierwszym piętrze, gdzie dawniej mieścił się gabinet stryja Charlesa. Niewiele się zmieniło. George siedział przy biurku i pisał. Obok biurka stał Tankard, wysoki, ze zmrużonymi oczami. George miał na sobie długi, sięgający kostek domowy szlafrok zapięty pod szyją na pętelki i guziki. Nie popatrzył na Rossa, gdy wprowadzano go do pomieszczenia, ani nie przerwał pisania. Tankard spojrzał czujnie na gościa. Kiedy ostatnim razem widzieli się w Trenwith, adwokat schował się pod stołem, gdy tymczasem George i Ross z wściekłością walczyli nad jego głową.

Tankard oblizwał wargi.

– Chciał pan rozmawiać z panem Warlegganem?

Ross zignorował pytanie prawnika. Uniósł ręce nad głowę.

– Przybywam w pokojowych zamiarach, George. Nie zamierzam cię atakować, chyba że zostanę zaatakowany jako pierwszy. Proszę o dziesięć minut rozmowy.

– Spytaj tego człowieka, o co mu chodzi – zwrócił się Warleggan do Tankarda.

Ross skinął ręką, nakazując adwokatowi milczenie, po czym usiadł i założył nogę na nogę.

– Chcę mówić z tobą, George, a nie z twoim prawnikiem. Wolałbym rozmawiać na osobności, ale skoro wolisz mieć przy sobie doradcę prawnego, nie mogę ci tego zabronić.

– Powiedz to, co masz do powiedzenia.

– Kiedy skończysz pisać.

Szelest gęsiego pióra sunącego po papierze nie ustał. Ross wziął książkę ze stolika pod ścianą i w roztargnieniu zaczął ją wertować.

Pióro ucichło.

– A zatem?

– Młody człowiek o nazwisku Drake Carne został oskarżony o kradzież Biblii z dworu w Trenwith. W tej chwili przebywa w śmierzdzącej celi w St Ann's, czekając na zebranie sędziów, które, jak rozumiem, ma się odbyć jutro.

George po raz pierwszy uniósł wzrok i spojrzał beznamiętnie na podniszczony strój jeździecki Rossa.

– Owszem.

– Możesz tego nie wiedzieć, ale Biblię podarował Drake'owi Carne'owi twój pasierb, Geoffrey Charles. Zrobił to z własnej woli. Długo się przyjaźnili wbrew twojemu zakazowi. Mieli się rozstać i Geoffrey Charles pragnął, by Carne miał po nim jakąś pamiątkę. Zmusił Carne'a do przyjęcia książki, a chłopiec z ociąganiem wziął prezent i zabrał do domu.

– Nie zgadza się to z tym, co słyszałem.

– Tak się składa, że to prawda.

– Niewątpliwie Carne ma nadzieję, że sędziowie uwierzą w tę bajkę.

– Rozmawiałeś o tej sprawie z Geoffreyem Charlesem?

– Mój pasierb jest niepełnoletni. Łatwo grać na jego uczuciach. Powie wszystko, by ratować robotnika, z którym się zaprzyjaźnił. Fakty są niezaprzeczalne. Carne zakradł się do Trenwith we wtorek, gdy wyjechałem – wbrew mojemu wyraźnemu zakazowi. Innymi słowy, popełnił rażące wykroczenie – wtargnął na teren prywatny, za co grozi surowa kara. Kiedy się tu znalazł, grał na uczuciach Geoffreya Charlesa, by go przekonać do podtrzymywania tak zwanej przyjaźni mimo mojego zakazu. – George musnął kciukiem gęsie pióro. – Jednak poniósł porażkę, ponieważ Geoffrey Charles całkowicie się zgadza, że ta przyjaźń musi się skończyć. W tej sytuacji przed wyjściem z domu Carne ukradł Biblię, by przy pierwszej okazji ją spieniężyć. Przez przypadek zauważono jej zniknięcie. Moja żona, która ofiarowała Biblię synowi z okazji chrzcina, spostrzegła, że nie ma jej obok łóżka, i spytała, co się z nią stało. Chłopca poddano surowemu przesłuchaniu i cała ta wstrętna historia wyszła na jaw. W żadnym wypadku nie chodziło o podarunek. Była to bezczelna kradzież. Kiedy dowiedzieliśmy się, co nastąpiło, Tankard poszedł z konstabłem Vage'em do chaty Carne'a, znajdującej się na terenie twojej posiadłości, gdzie znaleziono Biblię ukrytą pod łóżkiem. Carne'a przyłapano na posiadaniu dóbr pochodzących z kradzieży i wiem, że pozostali sędziowie podzielą tę opinię.

Ross skłaniał się do tego samego poglądu. Wersja George'a wydawała się dostatecznie dobra. Mógł łatwo zatuszować oczywiste nieścisłości. Tankard przestąpił z nogi na nogę, a Ross zastanawiał się, jak może utrzymać równowagę na takich chudych piszczelach.

– Przypuszczam, że Geoffrey Charles zostanie wezwany jako świadek oskarżenia?

– Jest niepełnoletni i skłonny do hysterii. Nie pomogłoby to twojemu... przyjacielowi.

– Szwagrowi.

– Tak, skoro się do tego przyznajesz. Szwagrowi. Nie znam tego człowieka, ale może on także ma skłonność do hysterii: to częsta przypadłość metodystów. Może ukradł Biblię, by się zemścić na mieszkańcach Trenwith sprzeciwiających się jego przyjaźni z moim pasierbem. Podejrzewam teraz, że ponosi odpowiedzialność za inne złośliwości, do których dochodziło latem. Ale nie mówmy o tym. To nie wpłynie na wynik sprawy.

– Wydaje się, że młody Carne i Geoffrey Charles są do siebie głęboko przywiązani.

– Carne usiłował wpłynąć na wrażliwego chłopca. Było to wyjątkowo bezczelne.

– Masz na myśli różnicę ich statusu społecznego?

– Tak.

– Ludzie czasem próbują awansować społecznie. Tobie się udało.

Ross natychmiast pożałował swoich słów, bo sprawiały, że kompromis stawał się wykluczony. Ale czy George nie zasugerował, że nie ma żadnej nadziei na kompromis?

Warleggan pobrał.

– Wyprowadź tego dżentelmena, Tankard.

– Jeszcze minuta. Nie skończyłem...

– Ja skończyłem. Obiecałeś, że nie będziesz nikogo atakował. Spodziewam się, że dotrzymasz danego słowa i opuścisz ten dom, nie stawiając oporu.

– Przyjechałem szukać porozumienia – odparł Ross. – To, co przed chwilą powiedziałem, pozostaje w sprzeczności z moimi intencjami. Z tego powodu cofam swoje słowa i proszę cię o wybaczenie. Nie lubię cię, George, i ty mnie też nie lubisz, ale – wbrew naszym intencjom – jesteśmy ze sobą spowinowaceni. Nie ja doprowadziłem do powstania tego powinowactwa i niewątpliwie ty również niechętnie je zaakceptowałeś. Tak czy inaczej, ono istnieje. Główną rolę w tych wydarzeniach odgrywa twój pasierb, syn mojego brata stryjecznego. Byłbym gotów przysiąc, że każde dwie rodziny w hrabstwie rozwiązałyby ten problem polubownie; co najwyżej padłoby kilka nieprzyjemnych słów. Miałem więc nadzieję, że nawet my – jeśli nie ze względu na siebie, to na nasze żony – możemy załatwić tę sprawę poza salą sądową, by uniknąć nieprzyjemnego rozgłosu.

– Obawiam się, że nie obchodzą mnie uczucia twojej żony. Powinieneś to wiedzieć.

Ross starał się panować nad sobą.

– A Elizabeth? Jej uczucia również cię nie obchodzą?

– Elizabeth nie jest zainteresowana tą sprawą.

– Powinna być zainteresowana, ponieważ jest w nią zaangażowana jej kuzynka, panna Chynoweth.

George pogładził się po podbródku.

– Tankard, proszę, zejdź na dół i powiedz mojej małżonce, że przyjdę za pięć minut. I wezwij braci Harry, by mieli oko na kompana tego człowieka. Nie chcę, żeby się kręcił po posiadłości.

– Skoro chcesz wplątać w tę sprawę pannę Chynoweth, muszę cię poinformować, że nie przyniesie to żadnej korzyści ani tobie, ani twojemu szwagrowi – rzekł George po wyjściu adwokata. – Będę się starał chronić jej reputację, ale nie za cenę wycofania oskarżenia. Nie uda ci się mnie szantażować. Zapomnij o tym.

Siedzieli przez chwilę w milczeniu.

– Chciałbyś, by panna Chynoweth dobrze wyszła za mąż, prawda? – odezwał się w końcu Ross. – Whitworth to dobry kandydat, choć za nim nie przepadam. Czy warto niszczyć to małżeństwo i może rujnować jej życie, by ukarać chłopca, który nie zrobił ci nic złego; po prostu nie zważał na swoją niską kondycję?

– Panna Chynoweth nie jest już zaręczona z wielebny Whitworthem. Uważałem za swój obowiązek napisać do niego i powiadomić, że panna Chynoweth nawiązała kompromitujące stosunki z innym mężczyzną. Naturalnie to poufna wiadomość, którą wielebny Whitworth utrzyma w tajemnicy. Pod koniec lata panna Chynoweth zostanie odesłana do swojej matki w Bodmin. Nie jestem zainteresowany jej przyszłością. Ani moja żona. Twój niedżentelmeński brak dyskrecji w niczym by nam nie zaszkodził. Jediną ofiarą byłaby panna Chynoweth.

Ross spojrział na swoje buty. Na spłóviały turecki dywan spadła grudka zaschniętego błota. Przypomniał sobie Charlesa Poldarka. Stryj często siadywał za biurkiem, przy którym pracował teraz George, dyszał chrapliwie, cicho pierdział i przeglądał proste rachunki majątku. Ross i Francis, dwa niezgrabne wyrostki, czasem przychodzili do gabinetu, by go o coś prosić, i zastawali go pogrążonego w drzemce. Na podłodze leżał pies, a na biurku stała karafka porto.

– Pamiętasz moją wizytę w Boże Narodzenie dziewięćdziesiątego trzeciego roku? – spytał Ross. – Pewnego wieczoru jadłeś z Elizabeth kolację, a ja zakradłem się do dworu i rozmawialiśmy o zawarciu pokoju. Pamiętasz, że

zapropnowałem ci zawieszenie broni, ale wskazałem również możliwe konsekwencje jego zerwania.

– Nie interesują mnie twoje groźby.

– To nie groźby, tylko obietnice.

Znów zapadło milczenie. Ross i George już dawno nie rozmawiali ze sobą w cztery oczy. Ich spory, czy w formie słów, czy ciosów, najczęściej odbywały się przy świadkach. Ross przypomniał sobie, jak kiedyś wyszli razem z aukcji rudy i szli ulicą w Truro, lecz było to dawno temu. Teraz, chociaż pełni wrogości, czuli się mniej swobodnie. Wrogość łatwiej było wyrażać w obecności innych. Nie chodziło o to, czego oczekują inni, lecz czego oni sami oczekują od siebie. W tej chwili brakowało im publiczności. Mogli serdecznie się nienawidzić, jednak ich niechęć nie mogła się ujawnić w konwencjonalny sposób.

– Wypuść go, George – rzekł w końcu Ross.

Warleggan pokręcił głową, tylko raz, z chłodnym wyrazem twarzy. Cesarz rzymski odmawiający uchylecia wyroku.

– Spójrz prawdzie w oczy: to burza w szklance wody. Jeśli zmieni się w prawdziwą awanturę, masz do stracenia tyle samo co ja.

– Chłopak stanie przed sądem. Marnujesz czas.

– Szanuję twoją inteligencję – powiedział Ross. – Z pewnością nie popełnisz błędu polegającego na tym, by przyjąć, że w razie walki powstrzymają mnie zasady dobrego wychowania. Możesz gardzić moją klasą, ale ja zawsze byłem renegatem.

– A zatem? Co chcesz powiedzieć?

– Sugeruję, byś wycofał oskarżenie. Jako sędzia nie będziesz miał z tym trudności. Wypuść go jutro i zapomnij o całej sprawie. Nie będzie to zwycięstwo żadnego z nas, tylko zdrowego rozsądku.

George znów pokręcił głową.

– Groźby są dobre dla tchórzy, wiem, że się przed nimi nie ugniesz. Ale jeśli jutro sprawa pojawi się w sądzie, dopilnuję, by Carne'a bronił porządny adwokat, który zrobi wszystko, by go oczyścić z oskarżeń. Wezwie na świadka Geoffreya Charlesa.

– Geoffrey Charles jest w Cardew. Wysłaliśmy go tam w środę. Opiekują się nim moi rodzice; jest wyczerpany i chory. Jego zeznania nie byłyby wiarygodne.

– Świadkiem będzie również panna Chynoweth. Elizabeth może się nią nie interesować, ale z pewnością nie będzie zachwycona, gdy reputacja tej dziewczyny legnie w gruzach na oczach sąsiadów i sędziów.

– Nie będzie za to wdzięczna również tobie, Ross, jednak nie mogę cię powstrzymać, jeśli chcesz się do tego posunąć.

Ross odetchnął głęboko.

– Więc niech tak się stanie. Jak wiesz, osobiście ta sprawa nie ma dla mnie większego znaczenia...

– Więc przestań się nią zajmować i pozwól działać wymiarowi sprawiedliwości.

– Ale ma znaczenie dla Demelzy i dlatego bardzo mnie obchodzi, choć zajmuję się nią niechętnie. Rozmawiałem z Drakiem Carne'em i jestem przekonany, że mówi prawdę. Geoffrey Charles dał mu Biblię w prezencie. Jeśli zostanie skazany, uznam to za nadużycie prawa spowodowane twoimi machinacjami, a zatem akt wypowiedzenia wojny, której starałem się uniknąć.

George przewrócił stronicę pisanego przez siebie listu i rozprostował papier. Milczał.

– Jeśli chłopak zostanie uznany za winnego i skazany, zmusisz mnie do cofnięcia obietnicy udzielonej dwa lata temu, gdyż dalsze zawieszenie broni nie będzie możliwe. – Ross umilkł, zastanawiając się, jak najogólniej wyrazić to, co chciał powiedzieć. Instynkt podpowiadał mu, by mówić dyplomatycznie. – Wśród miejscowych górników panuje wielkie niezadowolenie – rzekł krótko.

– Podobnie jak wszędzie.

– Jak dotąd w naszej okolicy jest spokojnie. Myślę – wierzę – że moja działalność pomaga utrzymać spokój

wśród górników. Ale nie twoja, George. Z pewnością nie twoja. Po zamknięciu Wheal Leisure stałeś się najbardziej niepopularnym człowiekiem w okręgu.

George wstał.

– Och, wynoś się z mojego domu! Nikomu nie pomożesz tym dramatyzowaniem!

– Nie, zaczekaj. Prawie skończyłem. Nie zamierzam dramatyzować.

Chciałbym powtórzyć to, co już raz ci powiedziałem. Kiedy zamieszkałeś w Trenwith, ofiarowałeś fortunie zakładników. Wszystkie twoje działania: zamykanie starych ścieżek, ogradzanie gminnych pastwisk, zniszczenie domu modlitwy i likwidacja Wheal Leisure, gdy ciągle przynosiła zyski, uczyniły cię wśród górników człowiekiem wyjątkowo niepopularnym. Oczywiście nie wśród ziemiaństwa, któremu bardzo starasz się przypodobać. Wśród reszty ludności. Obecnie nie istnieje punkt zapalny, który mógłby zmienić niechęć górników w nienawiść. Lecz jeśli ten chłopiec pójdzie do więzienia, stanie się to takim punktem.

George podszedł do okna i poprawił zasłony.

– Nie oszukuj samego siebie. Brutalne ekscesy motłochu już się w Anglii skończyły.

Ross strzepnął na dywan kilka grudek błota.

– Rzadko dochodziło do brutalnych ekscesów, George, bardzo rzadko. Rozruchy, jeśli można je tak nazwać, miały jak dotąd wyjątkowo spokojny przebieg. Ludzie zwykle wracali do domów, gdy dostali to, po co przyszli. Ale, jak dobrze wiesz, nad motłochem bardzo trudno zapanować. Ten motłoch składał się ze zdesperowanych, głodnych ludzi, a nie wściekłych, pijanych mężczyzn. Widziałeś kiedyś dzień wypłaty w małej kopalni? Trudno powstrzymać górników z pieniędzmi w kieszeni przed pójściem do gospody. Zwykle upijają się spokojnie, awantury szybko się kończą. Ale jeśli znalazłby się ktoś, kto by ich podburzył, łatwo zmieniliby się w pijaną tłuszcę. Wtedy rozruchy, gdyby do nich doszło i gdyby zostały skierowane przeciwko znieawidzonej osobie, mogłyby się zmienić w brutalne ekscesy.

– Grozisz mi? – spytał George. – A może nazywasz to obietnicami? To jawne groźby najohydniejszego gatunku i nie ośmieliłbyś się ich zrealizować. Z twoją reputacją, przy obecnym stanie zaniepokojenia dotyczącym prawa i porządku, poszedłbyś za to na szubienicę!

– Cóż... – Ross wzruszył ramionami. – Tak, to groźba, ale nie masz żadnego świadka, George. Zbyt wcześnie odesłałeś swojego adwokata. W czasie ewentualnych rozruchów postaram się trzymać w cieniu.

– A inni będą wisieć za ciebie? Oto słowa wielkiego orędownika ubogich!

– W tej kwestii nie jestem orędownikiem ubogich. Już ci mówiłem. Nie zamierzam postępować jak dżentelmen. Walczę z tobą o wolność głupiego chłopca, który ma to nieszczęście, że jest moim szwagrem. To wszystko.

George odwrócił się i skulił ramiona.

– Usiłujesz mnie zastraszyć próżnymi przechwałkami. Nigdy nie ośmieliłbyś się tego zrobić. Ani przez chwilę! Wracaj do domu do swojej niepiśmiennej żony, zajmij się swoją nędzną kopalnią i zapomnij o tych iluzjach!

Ross wstał. Dwaj mężczyźni spoglądali na siebie z przeciwległych stron gabinetu.

– Nie mogę ci powiedzieć, George, czy to próżne przechwałki, dopóki nie spróbuję ich zrealizować. Ostatnio podburzałem motłoch sześć lat temu. Wtedy mi się udało. Dziś mogę ponieść klęskę. Gdybym poniósł klęskę, twoja intryga się uda: ukarzesz młodego Carne'a za cenę kilku przewróconych płotów i złamanych drzew. Ale gdyby mi się powiodło, kilku mieszkańców tego dworu i kilku górników może zginąć. A do rana, kto wie? Z tego wspaniałego dworu mogą zostać tylko wypalone ruiny.

Spoglądali na siebie.

– Nie mówisz poważnie.

– Nie przyszedłem żartować.

– Więc to zrób – rzekł poblady George. – To wszystko. Po prostu to zrób.

– Mam nadzieję, że nie zmusisz mnie, bym próbował.

Rozległo się pukanie do drzwi.

– Zaczekaj! – zawołał Warleggan.

Ross przeszedł przez pokój i oparł się rękami o biurko.

– Nie spodziewam się, że moje... obietnice cię przestraszą. Nie to jest ich celem. Zastanów się jednak nad wyborem, przed którym stoisz. Czy warto podejmować takie ryzyko dla małej zemsty? Sądzę, że obaj jesteście ludźmi obdarzonymi odwagą, niełatwo nas zastraszyć. Ale jest między nami jedna różnica. Twoje sądy są bardziej wyważone, ty patrzysz na życie spokojniej. Ja jestem hazardzistą. Jeśli sądzisz, że rzucam puste groźby, zignoruj je. Ich lekceważenie to hazard, a nie działanie zrównoważonego człowieka, za którego cię uważam. Ja, jako hazardzista, będę zmuszony dotrzymać obietnicy.

– Skończyłeś?

– Tak, skończyłem.

– Więc odejdz.

– Ze względu na dobro nas obu mam nadzieję, że dokonasz rozsądnego wyboru.

Za drzwiami stał Tankard. Ross minął go bez słowa, ruszył korytarzem i zszedł po schodach. Służąca uciekła przed nim do jednego z pokoi; w pobliżu nie było nikogo innego.

Tregirls uśmiechnęła się do Rossa, ukazując poczerwiałe zęby.

– Jest pan cały i zdrowy, młody kapitanie?

W odpowiedzi Ross mruknął coś niezrozumiałego. Kiedy odjeżdżali żwirowanym podjazdem, z pobliskiego pola zerwało się stado mew. Ich białe skrzydła lśniły na niebie.

Rossa opuszczało napięcie. Był mokry od potu. Zastanawiał się, czy George czuje się tak samo. Nie wiedział, czy jego interwencja przyniosła jakieś korzyści. Równie dobrze mogła wyrządzić wiele szkód. Gdyby George przyjął wyzwanie, Ross musiałby spełnić obietnicę, a skutki byłyby nieprzewidywalne. Miał świadomość, że Demelza nigdy nie zdecydowałaby się na ryzyko, które teraz podjął, chociaż bardzo chciała uratować Drake'a. Gdyby o tym wiedziała, gdyby Drake został skazany, a Ross próbował podburzyć miejscowych górników, z pewnością byłaby temu przeciwna.

Wypowiadając swoje groźby, mógł działać na korzyść George'a. Gdyby rozszalały tłum uszkodził lub zniszczył dwór w Trenwith, Warleggan mógłby uznać, że jest to godziwa cena za ponowne posadzenie Rossa Poldarka na ławie oskarżonych. Jak wywołać zamieszki, nie zdradzając swego udziału? Niektórzy ludzie, choćby ten chudy strach na wróble jadący teraz obok, chętnie ruszyliby do boju na jego skinienie, ale czy Ross, mimo wszystkich zastrzeżeń, mógłby spokojnie patrzeć, jak oskarża się ich o rozruchy, zamiast niego? Poza tym uprzedził George'a, co pozwoli mu się przygotować. Gdyby Drake'a skazano i George spodziewał się odwetu, mógłby liczyć na pracowników majątku. Kilku gajowych i służących, zdeterminowanych i uzbrojonych w strzelby, miałyby szansę odeprzeć atak tłuszczy.

Sytuacja była rozpaczliwie skomplikowana, a interwencja Rossa jeszcze ją pogorszyła. W tej chwili wszystko w gruncie rzeczy zależało od tego, czy dobrze pojmuje charakter George'a. Warleggan był ostrożnym, chłodnym człowiekiem, bogatym i stającym się coraz bogatszym, miał ambicję zdobycia władzy w hrabstwie, chciał być popularny wśród arystokracji i eleganckiego towarzystwa, potrafił korzystać z pieniędzy dla realizacji swoich celów, sprawiać, by dla niego pracowały, i załatwiać za ich pomocą stare porachunki. Nie był jednak skłonny do przemocy. Uważał przemoc za coś przestarzałego, średniowiecznego, godnego pogardy. We współczesnym świecie można realizować swoje cele zupełnie innymi środkami. Nie był tchórzem, lecz miał wiele do stracenia, angażując się w takie ordynarne, niebezpieczne waśnie. Należało mieć nadzieję, że jest dostatecznie pewny siebie, by nie czuć się zobowiązanym do lekceważenia groźby z obawy, że zostanie uznany za tchórza. Należało mieć nadzieję.

Wszystko rozstrzygnie się jutro. Tymczasem trzeba się starannie przygotować. Jeśli oskarżenie nie zostanie wycofane, istnieje szansa – choćby niewielka – że zostanie odrzucone. Wszystko zależy od tego, którzy sędziowie pojawią się jutro na spotkaniu i czy zechcą uwzględnić argumenty dobrego obrońcy.

Udział adwokata w sprawie prostego człowieka oskarżonego o kradzież byłby niemal bezprecedensowy. Po

nieudanym wystąpieniu w obronie Jima Cartera Ross nie wierzył, że potrafi przekonać sędziów. Dlatego trzeba zaangażować prawnika. Najbliższe miejsce, gdzie można znaleźć odpowiednią osobę, to Truro. Stary Nat Pearce zbyt się posunął, by z niego skorzystać, ale Harris Pascoe powinien wiedzieć, czy w mieście jest jakiś dobry młody adwokat. Należy się tym zająć już dziś.

– Tholly, muszę natychmiast jechać do Truro – rzekł Ross. – Zapłacę ci podczas następnego spotkania.

– W niedzielę?

– Co?

– Mówił pan o niedzieli.

– Ach tak. Zapomniałem. To już niedługo...

Tregirls spojrzał uważnie na Rossa.

– Plan się nie zmienił?

– Może trzeba będzie przenieść nasz wyjazd na poniedziałek. To zależy. Tak czy inaczej, wypłyniemy nie wcześniej niż we wtorek rano, gdy zacznie się odpływ.

– Tak jest. – Tholly ściągnął wodze. – Tak pan mówił, młody kapitanie. Inni przyleżą pieszo? Ja nie mam na to ochoty. Nigdy nie przepadałem za łażeniem. Cztery nogi są lepsze niż dwie. Ale cieszę się, że znów poczuję pod stopami pokład statku. Dwa lata to kawał czasu.

Rozdział piąty

W Trenwith była jedna osoba, której nie wytrąciły z równowagi wydarzenia ostatniego tygodnia, nie obchodziły kłótnie w domu ani napięta sytuacja w okolicy. Znajdując się w oku cyklonu, snuła skomplikowane plany, formułowała życzenia, złościła się z powodu drobnych przykrości, kompletowała stroje i przygotowywała się na wielki dzień. Ciotka Agatha nigdy nie wyszła za mąż i teraz z wielką starannością szykowała się na spotkanie widmowego narzeczonego, który miał przybyć dziesiątego sierpnia i włożyć jej na głowę wieniec laurowy. Aby godnie się zaprezentować w czasie swoich setnych urodzin, potrzebowała takich samych starań jak młodzianka panna młoda. I oczywiście nie mogła liczyć na odpowiednią pomoc.

Lucy Pipe była bezużyteczna – prawie nie potrafiła czytać, a pisała jeszcze gorzej; ponadto nie miała we dworze żadnego autorytetu. Była służącą i przekazywane przez nią wiadomości lekceważono. Przez pewien czas pomocna była panna Chynoweth, lecz od dwóch dni się nie pojawiała.

Starzy Chynowethowie interesowali się tylko sobą, a poza tym stosunki Agathy i pani Chynoweth nigdy nie układały się najlepiej nawet dwadzieścia lat wcześniej.

Z konieczności pozostawała tylko Elizabeth, ale zawsze była zajęta, zawsze gdzieś uciekała, zawsze obiecywała wrócić.

– Jeśli tkaniny szybko tu nie dotrą, nie będzie czasu niczego uszyć – powiedziała Agatha. – Kiedy przyślą następną partię materiałów? Podejrzewam, że pani Trelask uważa, że może przebierać w klientach. Modne towarzystwo... Nie ma czasu dla nas, starych. Pamiętam, jak przychodziła cerować pończochy za pensa lub dwa, gdy była młodą szwaczką. Nie zdążymy. Nic z tego nie wyjdzie.

– Posłałam po materiały w zeszłym tygodniu! – krzyknęła Elizabeth. – W zeszłym tygodniu! Obiecali, że będą w poniedziałek. Przyjedzie z nimi córka pani Trelask!

– Co? Dlaczego?

– Przyjedzie z nimi! Zostanie, dopóki czegoś nie wybierzesz! Uszyje suknię w Trenwith! Przygotuje ją do pierwszej przymiarki!

– Ach... – westchnęła Agatha. – Ach, tak. Ale kiedy?

– Później wróci do Truro i wykończą suknię. Ciągłe jest mnóstwo czasu!

– Czas. Z tym cały kłopot. Zabraknie czasu. Przyjdzie sierpień i nic nie będzie gotowe. Gdzie jest twoja... Jak ona się nazywa? Wenna?

– Morwenna – źle – się – czuje! – krzyknęła Elizabeth.

– Co jej dolega? Gdzie jest mój pierścień z topazem?

– Tutaj. W tej szufladzie! Tam, gdzie go schowałaś!

– Tak? Dobrze. Nie mogę go wsunąć na palec, mówiłam ci. Mam opuchnięte stawy. Trzeba poszerzyć pierścień.

– Zrobimy to. George się tym zajmie.

– George niczym się nie zajmie, jeśli tylko będzie mógł – rzekła Agatha z nagłą energią. Zakasłała i otarła z ust ślinę koronkowym mankietem koszuli nocnej. – Poproś Francisa, żeby tego dopilnował, dziewczyno. On się tym zajmie. Dostaniesz ten pierścień po mojej śmierci.

– Nie chcę twojego pierścienia – odrzekła Elizabeth, lecz wypowiedziała te słowa słabym głosem. Czuli się dziś bardzo źle. Kłopoty z Morwenną, a zwłaszcza z Geoffreyem Charlesem, rozstroiły ją. Kiedy żegnała wczoraj syna wyjeżdżającego do Cardew, miał bladą, gniewną twarz, która po raz pierwszy żywo przypominała jej twarz Francisa. Geoffrey Charles i George zawsze doskonale się ze sobą zgadzali – w pierwszych dniach małżeństwa

George szczególnie starał się zaprzyjaźnić z chłopcem – i kłótnia o młodego górnika stała się pierwszym poważnym rozdzwiekiem między nimi. Naturalnie niespełna jedenastoletni Geoffrey Charles w dalszym ciągu znajdował się pod głębokim wpływem George'a i Elizabeth i wykonywał ich polecenia, lecz z przerażeniem patrzyła na gniew i bunt widoczne w jego oczach. Źle to wróżyło na przyszłość. Elizabeth czuła niemily lęk, że historia może się powtórzyć: George i Francis najpierw byli bliskimi przyjaciółmi, a potem zaciekłymi wrogami – to samo mogło nastąpić w przypadku syna Francisa. Głęboko się tym niepokoiła, ponieważ uważała, że konflikty między synem a mężem mogą w końcu pozbawić ją towarzystwa syna, a nawet jego miłości.

Nienawidziła człowieka, który podstępnie zdobył sympatię Geoffreya Charlesa, nienawidziła Morwenny, że przymykała na to oko.

– ...i potrzebuję nowego naszyjnika z dżetów – mówiła ciotka Agatha. – Stary się porwał i muszę mieć nowy. Poślij po niego do Truro... Dokąd idziesz?

– Muszę już iść! Muszę się zobaczyć z George'em! Muszę sprawdzić, jak się czuje Morwenna! Wróć! – Elizabeth nie znośiła krzyczeń do staruszki. W niewłaściwy sposób podkreślało to znaczenie wypowiedzianych zdań.

– Daj jej polikrest i rabarbar. Mnie też zawsze je dawano. Człowiek natychmiast czuje się lepiej. W dzisiejszych czasach dziewczęta są delikatne jak francuskie pieski...

Nie przestawała gadać. Elizabeth wyslizgnęła się z pokoju i z ulgą odetchnęła świeższym powietrzem na korytarzu. Teraz następna wizyta. Znów obowiązek. Żadnej przyjemności. Chociaż Morwenna postąpiła wyjątkowo nierozważnie, Elizabeth w dalszym ciągu czuła się odpowiedzialna za jej zdrowie.

Zapukała, lecz nie było żadnej odpowiedzi, więc weszła do pokoju. Morwenna zerwała się z fotela, na którym drzemała. Spędziła bezsenną noc i ciepły dzień sprawił, że zasnęła.

– Proszę, usiądź – powiedziała Elizabeth. – Czujesz się trochę lepiej?

– Dziękuję, Elizabeth. Sama... sama nie wiem. Myślę, że... gorączka ustąpiła. – Sięgnęła po okulary. Na jej policzkach ciągle widać było ślady zaschniętych łez.

Elizabeth usiadła i dotknęła kluczy wiszących na pasku.

– Napiszę dziś do twojej matki i poproszę, by przyjechała.

– Sama do niej napisałam. Szkoda, że musi podróżować tak daleko. Moglibyście odesłać mnie do domu kareta.

– Uznaliśmy, że będzie lepiej, jeśli z nią porozmawiamy i wszystko wyjaśnimy. W końcu w jakimś stopniu my również ponosimy winę za to, co się stało. Geoffrey Charles znajdował się pod twoją opieką, a ty pod naszą, na prośbę twojej matki. Spróbujemy wytłumaczyć, dlaczego wszyscy ponieśliśmy porażkę.

– Nie da się wytłumaczyć, dlaczego ktoś został oskarżony o przestępstwo, którego nie popełnił! – odpowiedziała Morwenna.

W jej głosie rzadko pojawiała się taka pasja. Elizabeth zastanawiała się, jak to się stało, że zarówno Geoffrey Charles, jak i Morwenna są tak lojalni wobec młodego cieśli, choć w różny sposób. (Przyjaźń i miłość w jakimś sensie niewiele się różnią: oboje przeżywali je po raz pierwszy).

– Nie powinnaś się denerwować – odrzekła. – Drake Carne nie został jeszcze ukarany.

– Ale go aresztowano! Czy to nie kara?! Jest oskarżony o kradzież! Siedzi w więzieniu i czeka na wyrok!

– Kto ci to powiedział?

– Ja... – Morwenna urwała. – Usłyszałam to od jednego z domowników. Powiedz mi, że to nieprawda!

Elizabeth dotknęła dłonią czoła. Bolała ją głowa.

– Za dzień lub dwa wszystko się rozstrzygnie. Musisz przyznać, że ten młody człowiek popełnił wielki błąd, przychodząc do Trenwith. Rozmyślnie wtargnął na teren cudzej posiadłości...

– Zaprosił go Geoffrey Charles! Napisał do niego! Jak mógł nie przyjść?!

– Och, jak? Mógł odmówić, dobrze wiedział, że zabroniono mu tu bywać. A jeśli chodzi o Biblię...

– Nie ukradł jej, kuzynko. Geoffrey Charles zmusił go, żeby ją przyjął!

– Widziałaś to?

– Nie. Wysłałam na chwilę, ale przedtem dałam mu szalik na pamiątkę. Kiedy wróciłam, Drake trzymał szalik i Biblię. Nic nie mówił... nie tłumaczył, skąd ma księgę... Nie byliśmy w stanie rozmawiać. Nie mogliśmy wykrztusić słowa! Zupełnie zaschło mi w gardle. Ja... skinęłam głową na znak, że może iść, a on... on mnie pocałował i poszedł.

Na dworze świeciło popołudniowe słońce. Za oknem kołowały i świergotały jaskółki oknówki gniezdzące się pod okapami dworu. Ich cienie padały na szyby.

– Bardzo mi przykro, moja droga – rzekła Elizabeth. – Wiem, że jesteś bardzo nieszczęśliwa...

– Elizabeth, dlaczego, dlaczego nie wierzysz przysiędze własnego syna?! – spytała Morwenna, która znów niemal straciła głos. – Czy to nie wystarczy?!

– Oczywiście w odpowiednim czasie zostanie wzięta pod uwagę. Geoffrey Charles popełnił w tej kwestii wiele błędów.

– Ale nie przyjdzie do sądu! Odesłaliście go do Cardew!

– Został dokładnie wypytany przed odjazdem. Zapisano każde jego słowo. Nie obawiaj się. Sędziowie wnikliwie zbadają całą sprawę.

Wkrótce potem Elizabeth odeszła i spędziła pół godziny na zabawie z Valentine'em, który całkowicie wrócił do zdrowia, choć jedna z nóg w dalszym ciągu była nieco krzywa.

Elizabeth miała silny instynkt macierzyński, lecz z różnych powodów jej uczucia do młodszego syna dojrzewały wolniej niż w przypadku starszego. Geoffrey Charles zawsze był dla niej kimś tak bliskim, że na początku rozstanie z nim stanowiło udrękę; teraz, po dwóch latach, niewiele się zmieniło. Valentine zajął jego miejsce niczym uzurpator, ale nie zyskał jej miłości. Jednak z czasem urósł, zaczął mówić, w jego ciemnych oczach migotały psotne błyski, ciągnął ją za suknię i włosy, ona zaś czuła zadowolenie z kontaktu z drobnym ciałkiem własnego dziecka.

Dziś na pewien czas zapomniała o troskach, bawiąc się z synem. Kiedy zabrała go Polly, Elizabeth była nieco zgrzana i zarumieniona, lecz się uspokoiła. Spędziła kilka minut w swoim pokoju, posmarowała wargi balsamem i nałożyła na policzki trochę pachnącego pudru, po czym zeszła na dół, by wypić herbatę z George'em.

Samuel znów miał nocną szychtę. Pracował, kopał, kuł skały w lekkim oszołomieniu, myśląc o rzeczach, o których – sam zdawał sobie z tego sprawę – nie powinien myśleć.

Przed zejściem do kopalni, w czasie spotkania modlitwonego z kilkoma członkami zgromadzenia, odmówił modlitwę za bezpieczeństwo Drake'a – bezpieczeństwo w sensie fizycznym. Zrobił to prawie wbrew własnej woli. Zjednoczenie z Bogiem było dla Sama kwestią duchową, nie materialną. Pracował, by żyć, i nakłaniał innych, by postępowali tak samo, ale nie interesował się życiem doczesnym. Główne niebezpieczeństwa życia doczesnego wiązały się z pokusami podsuwanymi przez diabła, nie zaś pracą w kopalni, ryzykiem zachorowania albo prześladowaniami ze strony chciwych właścicieli ziemskich. Najważniejsze, by w duszy zawsze było źródło wody życia. Wiara i nadzieja dostarczają radości, której nie mogą skazić żadne nieszczęścia związane z życiem doczesnym.

Niespełna dwudziestoletniemu bratu Sama groziło śmiertelne niebezpieczeństwo. Ludzi wieszano za drobniejsze przestępstwa. Wydawało się, że tym razem należy zrobić wyjątek i błagać nieskończenie miłosiernego Boga, by pozwolił Drake'owi jeszcze przez jakiś czas żyć w świecie doczesnym. Prośba była tym pilniejsza – tym bardziej uzasadniona – że Drake zaniedbał własną duszę. Gdyby teraz umarł, pozbawiony Bożej łaski, miałby niewielkie szanse na pełne zjednoczenie z Bogiem i duszami błogosławionych w życiu wiecznym.

Samuel modlił się, zszedł do kopalni i pracował przez osiem godzin nocy. Wraz ze swoim towarzyszem stemplował w tej chwili jeden z chodników poszukiwawczych na głębokości sześćdziesięciu sążni, odchodzących od głównej żyły, które czterech innych górników drażyło w kierunku południowym w nadziei odkrycia nowych złóż rudy, jakie można by eksploatować w przyszłości. Była to jedna z tak zwanych inwestycji Rossa, pretekst, by

zatrudnić więcej ludzi. Dotychczas, podobnie jak inne tego typu przedsięwzięcia, nie przyniosła żadnych zysków. Jack Greet, towarzysz Sama, żartobliwie zauważył, że niedługo znajdą się pod nowym domem modlitwy obok kopalni Wheal Maiden.

Kiedy o szóstej zabrzmiały dzwony, Sam rozprostował plecy, zarzucił na ramię worek z narzędziami, zgarbił się i podążył w stronę głównego szybu. Wyszedł na powierzchnię, wspiawszy się drabinami po przeszło trzystu szczeblach, i zmrużył oczy w świetle mglistego poranka. Pozostał na terenie kopalni jeszcze przez chwilę, by umówić się na popołudniowe spotkanie modlitewne, po czym ruszył do chaty za wzgórzem. Była zimna i wilgotna. Rozpalił ogień, zaparzył herbatę, ukroił pajdę chleba, zjadł ją powoli i wszedł do łóżka. Leżał przez chwilę z otwartymi oczami, myśląc o Drake'u i ostatniej fali nawróceń, których błogosławione zarzewie chciał przynieść z Gwennap.

Zapał religijny Sama nieco przygaśł. Aresztowanie Drake'a skaziło jego umysł, pozbawiło duszę czystości i łaski. Musi znowu wejrzeć we własne serce, by zrozumieć, jakie grzechy do tego doprowadziły. Ogarniała go senność, lecz nie chciał jeszcze spać. Wstał z łóżka, padł na kolana i trwał w tej pozycji pół godziny, większość czasu pogrążony w milczącej kontemplacji, niekiedy modląc się na głos. W końcu, odzyskawszy spokój ducha, położył się i zapadł w głęboki sen.

Spał trzy godziny. Tuż przed jedenastą obudziły go kroki człowieka chodzącego po chacie. Usiadł na łóżku, przetarł oczy w jasnym świetle poranka i przez chwilę zastanawiał się, czy nie śni.

– Drake! To ty?!

– Tak, bracie. Nie chciałem cię budzić.

Sam zsunął nogi na podłogę i wstał.

– Drake! Wypuścili cię?!

– Tak, bracie. Wypuścili.

– Niechaj Bogu będą dzięki! Więc sędziowie uznali prawdę! Zaiste, Bóg jest miłosierny i sprawiedliwy!

– Amen. Nie stanąłem przed sędziami. Oskarżenia zostały wycofane. Dziedzic Trenwith wycofał oskarżenie.

Już po wszystkim.

– Zaparzę herbatę – powiedział Sam. – Usiądź i odpocznij. Przeżyłeś ciężkie chwile. – Pomyślał, że Drake nie wydaje się zadowolony z cudownego ocalenia; nie podbudowało ono jego wiary. Był zamknięty w sobie, miał podkrążone oczy. Zwykle golił się dwa razy na tydzień i jeszcze nigdy nie miał na twarzy tak gęstego zarostu.

– Jak to się stało? Wypuścił cię strażnik więzienny, tak po prostu? Nikt z tobą nie rozmawiał?

– Nikt. Strażnik wspomniał, że ktoś przychodził. Wcześniej rozmawiałem tylko z kapitanem Poldarkiem. Ma z tym coś wspólnego. Nie wiem co, ale przekonał sędziów, by mnie wypuścili.

– Tak, bracie?

– Kiedy zrobisz herbatę, idź znowu spać. Żałuję, że cię obudziłem. Najpierw coś zjem, a potem pójdę do Nampary porozmawiać z kapitanem Poldarkiem.

– Sprawa jest zakończona – powiedział Ross. – Zapomnij o tym. Nie dziękuj mi, bo to strata czasu. Po prostu nie rób takich błędów w przyszłości.

– Mówiłem prawdę – odparł Drake. – Biblia to naprawdę podarunek. Muszę panu podziękować za to, co pan dla mnie zrobił. Mówię z serca.

Stali na długim polu. O dziewiątej Ross pojechał do St Ann's na spotkanie z adwokatem, niemiłym, lecz inteligentnym młodym człowiekiem o nazwisku Kingsley, który współpracował teraz z Natem Pearce'em. Dowiedział się od niego, że wycofano oskarżenie przeciwko Drake'owi. Zapłacił Kingsleyowi, obserwował z oddali, jak Drake wychodzi ze śmierzącego aresztu, po czym pojechał na Judycie w stronę Nampary, niezauważony przez chłopca. Ross nie spał tej nocy dobrze. Usiłując zastraszyć George'a, naraził na niebezpieczeństwo szczęście, dobrobyt i przyszłość swojej rodziny. Uważał, że to zbyt wysoka cena – nawet jeśli tylko hipotetyczna – za próbę ratowania bezmyślnego, bezczelnego smarkacza, który w dużej mierze sam ponosił winę za kłopoty, w

jakich się znalazł.

Ross nie miał ochoty tak wiele ryzykować i był wściekły, że musiał pojechać do George'a. Ich spotkanie doprowadziło do ponownego wybuchu wzajemnej nienawiści, otworzyło starą ranę. Pojechał do Trenwith, ponieważ czuł się zobowiązany pomóc bratu żony, rozmawiał z George'em ze względu na nią, toteż część niezadowolenia i złości skupiła się na Demelzie. Osiągnąwszy cel, nie odczuwając jeszcze ulgi z tego powodu, pojechał prosto do domu, szorstko oznajmił, że brat jest wolny, i równie szorstko uciął entuzjastyczne, pełne zachwyty podziękowania. Później pojechał na długie pole, by obejrzeć trawę i zdecydować, czy kosić ją w tym tygodniu, czy jeszcze poczekać. Tam znalazł go Drake, blady, szczupły, przystojny. Ross zerkał na niego z niechęcią jak na sprawcę ostatniej awantury, a chłopiec z wahaniem zbliżył się do niego i chodził za nim po polu.

– Czuję, że źle postąpiłem – rzekł. – Doprowadziłem do kłótni między panem a dziedzicem z Trenwith. Nie miałem takiego zamiaru.

Najwyraźniej przed przyjsciem na pole rozmawiał z Demelzą.

– Klócił się, zanim tu przybyłeś. Twój jedyny błąd polega na tym, że nawiązałeś romans z młodą kobietą z wyższej klasy społecznej. Zresztą jej wina była większa od twojej.

– O nie, to nie jej wina. Za przeproszeniem, panie kapitanie, zawsze zachowywała się jak prawdziwa dama.

– Mam inne zdanie na ten temat – odparł Ross.

– Nie, panie kapitanie, nie. Nie powinna cierpieć z tego powodu.

Jest połowa czerwca, pomyślał Ross. Trawa późno dojrzewa w tym roku. Ale tydzień lekkiego deszczu i słoneczna pogoda sprawią, że podrośnie jeszcze dwadzieścia centymetrów. W tej chwili jest żałośnie niska. Choć równie dobrze mogą nastąpić trzy tygodnie ulew i wichur. Wtedy legnie na ziemi, zmierzwiona jak włosy niedawno obudzonego pijaka.

– Cóż, teraz znów będziesz mógł poświęcić wszystkie myśli religii – rzekł kwaśno. – Twój brat martwi się o ciebie. Uważa, że zapominasz o Bogu. Dom modlitwy ciągle nie ma dachu.

– Odchodzę – odparł Drake.

– Tak? Dokąd?

– Jeszcze nie wiem. Zastanawiam się. Narobiłem kłopotów w Namparze, źle się zachowałem.

– Wrócisz do Illuggan?

– Nie...

– Myślę, że twój brat będzie rozczarowany. Nie wspominając o siostrze.

Drake kopnął kamień leżący w trawie.

– Muszę odejść na pewien czas, panie kapitanie. Odzyskać spokój.

– Dobrze się zastanów, dokąd pójdziesz. Nawet doświadczeni rzemieślnicy nie mogą znaleźć pracy, a żadna parafia ci nie pomoże, chyba że twoja własna.

– Tak, wiem.

– Jeśli zostaniesz włóczęgą, zmarnujesz sobie życie. Niedawno widziałem grupę włóczęgów gnanych główną ulicą Redruth. Nie zrobili nic złego, po prostu nie byli mieszkańcami miasta, więc przegoniono ich batami, a potem poszli do następnego miasta. Można się domyślać, że tam potraktują ich podobnie.

– Szczerze mówiąc, nie martwię się tym, co się stanie – odparł Drake. – Chcę po prostu zapomnieć.

Ross spojrział na chłopca. Błazenada? Cielęca miłość, zawód, cierpienie. Za kilka miesięcy zapomniałby o Morwennie i wywołanej przez siebie awanturze, biegałby, pogwizdując, po Namparze, jakby nic się nie stało.

Możliwe. Ale pierwsza miłość nie zawsze jest płytka. Ross kochał Elizabeth przez wiele lat. Pierwsza miłość Demelzy nigdy się nie zmieniła. Ten chłopiec jest podobny do siostry.

– Uważasz, że trawę trzeba skosić teraz czy odczekać kilka tygodni?

– Słucham?

– Powinniśmy skosić to pole teraz?

Drake długo spoglądał na trawę, aż Ross pomyślał, że nie zamierza odpowiedzieć.

– Co pan zrobi potem?

– Z polem? Będę wypasał na nim bydło.

– Więc nie ma pośpiechu, prawda? Trawie nic się nie stanie, jeśli poczeka. Zboże trzeba by kosić.

Ruszyli powoli w stronę dworu.

– Lepiej już pójść – powiedział Drake, gdy zbliżyli się do furtki. – Nie chcę przeszkadzać.

– Popłyniesz ze mną do Francji? – spytał Ross.

– Słucham?

– Płynę do Francji. Chciałbyś mi towarzyszyć?

– Do... do Francji?

– Tak. Zabieram ze sobą siedmiu lub ośmiu ludzi z okolicy. Weźmiemy udział w desancie na wybrzeżu Francji.

– Ja... Kiedy wyruszacie?

– W niedzielę albo poniedziałek. Wypływamy z Falmouth.

Drake szedł obok Rossa i milczał.

– Tak sobie tylko pomyślałem – rzekł Ross i poczuł ulgę. – Zapomnij o tym.

– Tak... – powiedział Drake. – Chciałbym popłynąć.

– To nie będzie przeżycie religijne, muszę cię ostrzec. Francuzów nie da się nawracać. Podobnie jak większości naszych towarzyszy.

– Tak, popłynę do Francji – powtórzył Drake.

Rozdział szósty

Opuścili Falmouth we wtorek, korzystając z porannego odpływu. Płynęli trzema jednostkami: kutrem admiralicji, dwumasztowym żaglowcem i trójmasztowym lugrem. Na statkach znajdowało się około dwustu ludzi, w tym stu czterdziestu Francuzów, resztę stanowili marynarze oraz Anglicy tacy jak Ross, którzy przyłączyli się do ekspedycji ze względów ideowych, chcąc pomóc przyjaciółom lub przeżyć niezwykłą przygodę. W środę wieczorem spotkali się z główną flotą w pobliżu półwyspu Lizard i podążyli na południe w szyku torowym. De Maresi i de Sombreuil przenieśli się z kutra na fregatę Pomone, okręt flagowy eskadry, a Ross podążył za nimi ze względu na łączącą ich przyjaźń. Jego towarzysze zostali na pokładzie Energetic.

Pożegnanie było dziwne. Demelza niemal cały czas milczała – jej niepokój był szczery, lecz nie okazywała go tak otwarcie jak rok wcześniej w październiku z kilku powodów. Przede wszystkim nie była w ciąży i potrafiła lepiej ukrywać strach. Poza tym na stan jej emocji wpłynął fakt, że Ross ocalił Drake'a przed więzieniem. Chociaż nigdy nie zdradził, co zrobił lub powiedział w czasie wizyty u George'a, zdawała sobie sprawę, że mógł osiągnąć cel, jedynie uciekając się do gróźb albo proponując coś w zamian, co byłoby ryzykowne dla całej rodziny. Wydawało się, że igranie z niebezpieczeństwem ze względu na Demelzę pozwoliło Rossowi łatwiej igrac z innymi niebezpieczeństwami. Sprawilo również, że nie mogła tak łatwo protestować. Miała fatalistyczne poczucie, że poślubiła człowieka o temperamencie awanturnika. Nie była tym zachwycona, lecz uważała to za nieuniknione.

Ross nie mówił nic konkretnego o terminie powrotu, bo było jasne, że nie ma na to wpływu. Mógł wyjechać zarówno na dwa tygodnie, jak i na sześć. Pocałował ją w chłodne wargi, pogładził po twarzy i obiecał napisać, jeśli nie będzie go dłużej niż miesiąc.

– Bardzo dobrze, Ross – rzekła, spoglądając mu w oczy. – Będę czekać. A Clowance wyrosną dwa nowe ząbki.

– Dbaj o dzieci i o siebie, kochana. Przywiozę ci kupon pięknego jedwabiu.

– Po prostu wróć.

Odjechał. Demelza niemal nie sprzeciwiała się udziałowi Drake'a w wyprawie. W innym wypadku opuściłby przyjaciół. Czuła jednak, że chociaż uratowali go przed jednym niebezpieczeństwem, teraz narażają go na kolejne.

Odwiedzili Killewarren, by pożegnać się z Caroline.

– Kobiety spełniają w tych czasach wyjątkowo niewdzięczną rolę – powiedziała. – Oddają do dyspozycji swoje domy, pieniądze i czas na planowanie awanturniczych wypraw, a kiedy dochodzą one do skutku, są odsuwane na bok jak zakurzone zabawki i pozostaje im czekać, aż przygoda się skończy.

– Nie wyobrażam sobie, żebyś miała ochotę pływać przez dwa tygodnie na niewielkich statkach w towarzystwie czterech tysięcy mężczyzn cierpiących na chorobę morską. Podejrzewam, że przygody będą trwały dość krótko, reszta zaś okaże się nudnym rejsem po morzu albo marszem na lądzie.

– Dość głupio się tłumaczysz jak na rozsądnego człowieka, Ross.

Uśmiechnął się i wypił łyk sherry, gdyż Caroline zmusiła go do przyjęcia kieliszka.

– Cóż... Nie mogę niczego zmienić; i nie zrobiłbym tego, nawet gdyby było to możliwe. To paskudna, brutalna i wyniszczająca wojna, choćby starano się to ukrywać. Wolę, by kobiety, na których mi zależy, nie miały z nią nic wspólnego.

– Ja też wolę, by mężczyźni, na których mi zależy, nie mieli nic wspólnego z wojną, ale tak się składa, że zawsze się w nią wplątują. Mam nadzieję, że to ostatni raz.

– Amen.

Zbierał się do wyjścia, gdy powiedziała:

– Ross...

– Tak?

– Mam przykre poczucie, że to ja ponoszę winę.

– Za co?

– Za twój wyjazd. Za to, że Dwight jest w niewoli. Na pewno się do tego przyczyniłam. Więc proszę, uważaj nie tylko na siebie, ale też na moje sumienie.

– Będę się specjalnie troszczyć o twoje sumienie.

– Dziękuję. – Poglądziła go dłonią po policzkach i pocałowała w usta. Trwało to kilka sekund. – Cóż... – powiedziała, puszczając Rossa. – Od dawna chciałam to zrobić.

– Nie należy rezygnować z przyjemności – odparł. – Nie wolno ryzykować, że zostaniemy uznani za purytanów.

Uśmiechnęli się do siebie i Ross wyszedł.

Przed wypłynięciem z Falmouth spotkał się również z Verity. Zjedli razem dwa posiłki, wspominając przeszłość.

W czasie pierwszego tygodnia na pokładzie Pomone Ross myślał o niedawnych pożegnaniach i wielu innych rzeczach. Zastanawiał się nad kapitulacją George'a, która sprawiła mu wielką ulgę, lecz przede wszystkim go zaskoczyła. Dowodziła, że Ross właściwie ocenił charakter Warleggana i że George jest rozsądnym człowiekiem. Niewątpliwie ugiął się przed brutalną groźbą, lecz ten fakt czynił go osobą łatwiejszą do zniesienia w roli sąsiada. Może szybciej, niż ktokolwiek się spodziewa, uda się osiągnąć jakieś porozumienie, by wszyscy mogli spokojnie żyć.

W tym tygodniu pogoda była ładna, wiał słaby wschodni wiatr. Czerwonawe, zamglone brzaski wyglądały przepięknie. Na południe od Pomone płynęły okręty Floty Kanału – przypominały wielkie ptaki morskie siedzące na wodzie z rozpostartymi skrzydłami. Royal George i Queen Charlotte miały po sto dział. Queen, London, Prince of Wales, Prince, Barfleur oraz Prince George niosły po dziewięćdziesiąt osiem dział. Sans Pareil był uzbrojony w osiemdziesiąt dział, a Valiant, Orion, Irresistible, Russel i Colossus miały po siedemdziesiąt cztery działa. Wokół Pomone żeglowała reszta eskadry sir Johna Borlase'a Warrena: trzy okręty liniowe, pięć fregat i czterdzieści lub pięćdziesiąt transportowców wiozących oddziały francuskie i ich wyposażenie. Była to wielka flota, której widok mógł dodać otuchy nawet największym sceptykom.

Ale na początku wyprawy żaden z uczestników nie był pesymistą i w czasie wieczornych posiłków w mesie rufowej Pomone panował wesoły, optymistyczny nastrój. Hałaśliwie rozmawiano w dwóch językach, czasem jednocześnie po francusku i po angielsku. Wśród towarzyszy Rossa szczególnie korzystnie wyróżniał się de Sombreuil, zarówno jako strateg, jak i człowiek obdarzony wybitnym talentem konwersacyjnym. Ross szybko przeszedł z nim na ty.

Już po paru dniach Ross zdawał sobie sprawę ze sporów między francuskimi dowódcami. Wydawało się, że hrabia Joseph de Puisaye nigdy wcześniej nie widział hrabiego d'Hervilly'ego, swojego zastępcy. Próby zaaranżowania ich spotkania w Londynie zakończyły się fiaskiem, gdyż d'Hervilly ciągle zajmował się swoim regimentem. Widząc ich przy jednym stole, łatwo było odgadnąć przyczynę niezgody. De Puisaye był wielkim, tęgim, potężnym Bretończykiem, niegdyś przywódcą szuanów, bretońskich chłopów, którzy po ścięciu króla rozpoczęli walkę partyzancką z rewolucjonistami. Chociaż nosił tytuł hrabiowski, pochodził z prowincji i miał prowincjonalny akcent. Wielu ludzi zarzucało mu, że na początku rewolucji był żyrondistą, po czym przeszedł na stronę rojalistów. D'Hervilly dowodził Royal-Louis, jednym z najlepszych regimentów armii francuskiej, należał do starej arystokracji francuskiej, miał bliskie związki z wygnanymi Burbonami i nie ukrywał pogardy do de Puisaye'a oraz jego chłopskich zwolenników. Ich animozje źle wróżyły wyprawie.

Podziały istniały również wśród żołnierzy. Główną siłę uderzeniową stanowiło kilka doborowych regimentów francuskich, które zdołano sformować w Anglii. Składały się ze znakomitych żołnierzy, doskonale wyszkolonych i zdyscyplinowanych, lecz z oczywistych powodów było ich niewielu, reszta Francuzów zaś była przypadkową

zbieraniną zwerbowaną byle gdzie i byle jak.

Co więcej, gdy flota zbliżała się do wybrzeży Francji, stało się jasne, że żaden z przywódców nie ma konkretnego planu, jak wykorzystać początkowe sukcesy, na które można było liczyć. De Puisaye machał ręką i tłumaczył, że cała Bretania powstanie na widok oddziałów rojalistycznych, po czym rozpocznie się triumfalny marsz i wyzwalamie jednego miasta po drugim. Dwaj oficerowie szuanów niedawno przybyli z Francji twierdzili, że w górach otaczających Quiberon i Carnac czeka dziesięć tysięcy uzbrojonych ludzi, którzy natychmiast po wylądowaniu przyłączą się do sił ekspedycyjnych. D'Hervilly, odpowiedzialny za wyznaczenie marszruty wojsk, wyjmował mapy, stukał w nie długim, chudym palcem wskazującym i pytał: „Gdzie? Gdzie? Gdzie?”. Kiedy w odpowiedzi padały ogólniki, wzruszał ramionami, zażywał szczyptę tabaki i spoglądał chłodno na swoich towarzyszy.

W pobliżu wybrzeży Francji fregata płynąca z przodu zauważyła francuskie okręty wojenne i cała Flota Kanału zmieniła hals, by wydać im bitwę. Pogoda się zmieniała, zamglone morze wydawało się niespokojne, lecz wiatr ustał. Ross skorzystał z okazji i powiosłował na okręt Energetic, by zobaczyć, jak się miewają jego towarzysze. Każdy zajmował się tym, czego można było oczekiwać. Drake pożyczył Biblię i czytał ją, siedząc na zwoju liny i wodząc po stronach palcem wskazującym. Bone cerował koszulę, Ellery i Jonas pomagali splatać linę na rufie, a Hoblyn i Tregirls grali w tryktraka, czemu przyglądało się kilku Francuzów.

Ross nie mógł zostać na Energeticu, bo gdyby wiatr przybrał na sile, utknąłby na pokładzie tego okrętu, ale zamienił kilka słów z każdym z Anglików. Najdłużej rozmawiał z Drakiem, któremu tydzień spędzony na morzu wyraźnie dodał rumieńców. Kiedy zamierzał już zejść do łodzi, zbliżył się do niego Tholly i powiedział:

– Wie pan, co myślę, młody kapitanie?

– Nie. Co myślisz?

– Czekają nas kłopoty z tym desantem.

– Dlaczego tak uważasz?

– Słyszę, co gadają żabojady. Myślą, że nie rozumiem. Część z nich to jeńcy wojenni. Byli jeńcami wojennymi i teraz zostali wypuszczeni.

– Chcesz powiedzieć... wypuszczeni, żeby przyłączyli się do ekspedycji?

– Właśnie tak myślę. Ktoś jeździł w Anglii po obozach jenieckich i szukał ochotników. Rozumie pan, kapitanie? „Jesteś rojalistą? Chcesz walczyć dla nowego króla? Chcesz obalić Republikę? Jeśli tak, dołącz do ekspedycji”.

– I...?

Tholly zakasłał głośno, ukazując koszmarnie zepsute zęby.

– Czego się pan kapitan spodziewa? To niezły sposób na powrót do domu. Tak gadają. Słyszałem, jak szepczą, szepczą w ciemności.

Ross popatrzył na fregatę, która stała się jego domem. Wciągano jeden z żagli.

– Myślisz, że jak zejdą na ląd...

– Niektórzy będą walczyć. Inni nie. Część rzuci muszkiety i da nogę.

– Może to jacyś wariaci? Słyszałeś dużo takich rozmów?

– Wystarczająco dużo.

– Ach... Cóż, trzeba o tym pamiętać.

– Za przeproszeniem, sir – odezwał się marynarz, który przypłynął z Rossem. – Myślę, że powinniśmy iść.

– Tak. – Ross poklepał Tholly'ego po zdrowym ramieniu. – Uważaj, żebyś nie wygrał za dużo pieniędzy od Hoblyna. Bywa okropny, gdy się wścieknie.

Nie widzieli więcej żadnych jednostek należących do Floty Kanału, lecz dotarły do nich nowiny o gwałtownej bitwie, która zakończyła się zdobyciem trzech francuskich okrętów liniowych. Płynęli w stronę Francji i w czwartek wieczorem stanęli na kotwicy na zawietrznej przylądka Quiberon.

Ross nigdy wcześniej nie był w tej części wybrzeża. Zatoka Quiberon znajdowała się na wschodzie i wrzynała

się w przylądek prowadzący w stronę dużej wyspy zwanej Belle-Île. Przylądek ten, jak mu powiedziano, miał dziesięć kilometrów długości i szerokość od półtora do pięciu kilometrów. Oślaniał zatokę przed wiatrami, z wyjątkiem wiejących z południowego wschodu, i sprawiał, że ta część wybrzeża była idealnym miejscem, by dokonać desantu żołnierzy lub wylądować zaopatrzenie.

Tego wieczoru okolica wydawała się bardzo spokojna. Zachodzące słońce oświetlało dwie lub trzy senne wioski, niemal zupełnie puste. Długa piaszczysta plaża przypominała Rossowi plażę Hendrawna, choć nie było przyboju, a klify wyglądały mniej dziko. Stał na pokładzie z de Sombreuilem i kilkoma innymi Francuzami, patrząc na dwie francuskie łodzie z pilotami zbliżające się do konwoju. Powiewały na nich białe flagi, a kiedy łodzie się zbliżyły, rozległy się na nich okrzyki: *Vive le Roi! Vive le Roi!*

– Zaczyna się walka – rzekł de Sombreuil. Mówił cichym głosem, entuzjazm został zastąpiony spokojem. – Oto moja ojczyzna. Pozdrawiam ją. Wszyscy myślą tak samo, prawda? Dla Amerykanina albo innego obcokrajowca to po prostu ląd, lądowanie. Dla mnie to Francja, moja ojczyzna i moje życie.

– Gdzie wysadzimy ludzi na ląd?

– W tamtym miejscu, jak najdalej od Quiberon. We wsi Carnac. Otrzymaliśmy wiadomość, że wszystko będzie gotowe na nasze przybycie. Dwa dni temu wysłaliśmy pinasę dwóch oficerów i wszystko zależy od ich meldunku.

Ross zauważył znajomą postać na pokładzie okrętu Energetic: transportowiec przygotowywał się do rzucenia kotwicy obok Pomone. Pomachał ręką i zobaczył uniesiony w odpowiedzi żelazny hak. Francuscy piloci przez dłuższy czas porozumiewali się krzykiem z zakotwiczoną eskadrą, po czym na Pomone przybyło dwóch mężczyzn, którzy znikli w kabinie pod pokładem. Spędzili w niej pół godziny, a następnie wyszli w towarzystwie szczupłego, surowego pułkownika d'Hervilly'ego.

– Zamierza osobiście sprawdzić sytuację na lądzie – wyjaśnił de Sombreuil.

– Moim zdaniem nie powinien prowadzić rekonesansu w towarzystwie takiej zbieraniny, ale nie można mu odmówić odwagi.

Obserwowali hrabiego płynącego szalupą do jednej z łodzi pilotów, które następnie skierowały się w stronę brzegu. Pojawiło się kilka innych jednostek, najwyraźniej kutrów rybackich – zaczęły płynąć wokół floty. Zaszło słońce. Kiedy mijali Brest, morze było spokojne; później przez dwa dni szalał sztorm, a teraz znów się wypogodziło. Ross zastanawiał się, czy w Namparze zwieziono już trawę skoszoną na długim polu.

Po zmroku wrócił pułkownik d'Hervilly i w kajucie dowódcy Pomone odbyła się narada wojenna. Rossa nie zaproszono, lecz de Sombreuil wszystko dokładnie mu zrelacjonował. Podczas spotkania padło wiele górnolotnych słów. D'Hervilly zastał w wiosce Carnac kilku oficerów szuanów i grupkę przyjaznych chłopów gotowych udzielić pomocy, ale nie było ani śladu obiecanych dziesięciu tysięcy ludzi – jedynie zapewnienia, że przybędą, że gdy tylko oddziały rojalistów wylądują na brzegu, ze wzgórz zejną tłumy uzbrojonych bojowników. Wszystkie problemy miał rozwiązać desant, jednak na podstawie osobiście przeprowadzonego rekonesansu d'Hervilly postanowił go odwołać.

Przez pewien czas nie robiły na nim wrażenia żadne argumenty. Utrzymywał, że przerzucanie na ląd słabych oddziałów prawie pozbawionych artylerii, ciężkiego sprzętu i koni jest całkowicie sprzeczne z zasadami sztuki wojennej, a także instrukcjami władz brytyjskich. Na brzegu należy się spodziewać dobrze zorganizowanego oporu wojsk republikańskich. Wszystkie obietnice szuanów, tak uporczywie powtarzane w Londynie, zostały złamane. Siły ekspedycyjne muszą pozostać na okrętach lub wrócić do Anglii. D'Hervilly oświadczył, że nie wyśle ich na ląd, gdzie zostaną zniszczone.

Hrabia de Puisaye i pozostali Bretończycy na próżno przekonywali głównodowodzącego. Przysięgali, że połowę terytorium Bretanii ogarnęło powstanie: wystarczy iskra w zatoce Quiberon, by rebelia objęła całą prowincję. Pytali, czy d'Hervilly napotkał opór, gdy wylądował na brzegu. Powitano go jak przyjaciela. Później na rozgniewanego Francuza usiłował wpłynąć sir John Borlase Warren, który poprzednio nie zabierał głosu. Spytał, czy powrót do Anglii bez podjęcia przynajmniej próby desantu nie wydałby się mało chwalebny. Zgromadzono duże siły

inwazyjne, uzbrojenie i zapasy żywności. Nawet gdyby po wylądowaniu sytuacja okazała się niekorzystna, oddziały francuskie zawsze będą miały możliwość ewakuacji. Flota pozostanie na miejscu i będzie pilnować drogi odwrotu. Okręty francuskie zostały poważnie uszkodzone i schroniły się w Breście. Morze jest kontrolowane przez flotę angielską. Żołnierze zawsze mogą wrócić na statki.

Później ktoś wspomniał o odwadze i tylko interwencja Anglików zapobiegła pojedynkowi. Nagle d'Hervilly ustąpił. Zgodził się, by wojska przewieziono na brzeg. Został przegłosowany. Wylądują jutro rano o świcie. Ponosi odpowiedzialność za przebieg desantu, lecz nie za decyzję, by go przeprowadzono. Należy to zaprotokołować. Wyraża zgodę pod tym warunkiem.

De Sombreuil natychmiast wyszedł z kabiny i poinformował Rossa o decyzji.

– Za chwilę zaczniemy opuszczać szalupy. Każdy żołnierz otrzyma trzydzieści ładunków, dwie skałki i prowiant na cztery dni mieszczący się w plecaku. W nocy oddziały zajmą miejsca w łodziach, a lądowanie rozpocznie się o świcie. *Hélas!* Zaczęło się!

– Zgadzasz się z de Puisaye'em?

– Moim zdaniem de Puisaye za dużo gada, ale to słuszna decyzja. Ogólnie rzecz biorąc, ma rację. W kraju wybuchnie powstanie, jeśli najpierw nas nie zniszczą!

Ross powiosłował na okręt Energetic, gdzie opuszczano już na wodę szalupy. Znalazł między nimi miejsce w ciemności, wszedł na pokład i zamienił kilka słów z każdym ze swoich przyjaciół. Ani oni, ani inni Anglicy znajdujący się na transportowcu nie przygotowywali się do zejścia na ląd. Na końcu zamienił kilka słów z Drakiem, mówiąc mu, że w desancie powinni wziąć udział wyłącznie Francuzi.

– Jeszcze ci nie wyjaśniłem, dlaczego zabrałem tu ciebie i pozostałych – dodał.

– To dla mnie bez znaczenia – odparł Drake. – Przynajmniej przestałem myśleć o Morwennie.

– To, co zamierzam zrobić, zależy od sukcesu desantu. Nie mam przygotowanego planu. Może się zdarzyć, że odpłyniemy z niczym.

– To dla mnie bez znaczenia – powtórzył Drake. – Dzięki tej wyprawie przestałem myśleć o przeszłości.

Lądowanie odbyło się o świcie w mglisty, deszczowy dzień.

Okolo trzech tysięcy Francuzów spędziło większość nocy w szalupach, drzemiąc i kuląc się przed zimnym wiatrem, po czym wylądowało na brzegu w pobliżu wioski Carnac. Desant nie był niespodzianką i powitały ich salwy z muszkietów oddziału republikańskiego, pośpiesznie ściągniętego w nocy. Kilku rojalistów poległo, lecz d'Hervilly rozkazał jednemu ze swoich najlepszych regimentów wylądować w zatoczce za nieprzyjacielem, wspiąć się na kamieniste wzgórze i zaatakować wroga od tyłu. Rojaliści wykonali zadanie z ogromnym zapalem, wielu żołnierzy nie czekało, aż łodzie dotrą do brzegu, tylko skakało do morza i płynęło w pław. Po zaledwie godzinnej walce republikanie, dziesięciokrotnie mniej liczni od nacierających, cisnęli broń na ziemię i rzucili się do ucieczki drogą prowadzącą do miasta Auray. Kiedy na zamglonym niebie wzeszło słońce, rojaliści triumfalnie wkroczyli do wioski Carnac. Otoczyły ich tłumy wieśniaków wznoszących okrzyki *Vive le Roi!* i wywijających flagami. D'Hervilly'ego prawie poturbowano. Siły rojalistyczne wylądowały na terytorium Francji i z okolicznych wiosek przybywało wielu uradowanych ludzi. Wydawało się, że de Puisaye miał mimo wszystko rację. On sam był pewien, że ma rację.

Bretoński hrabia wylądował o dziesiątej z większością swojej świty i powitano go jak anioła niosącego wolność. De Sombreuil od rana przebywał na łodzi wraz ze swoim regimentem, a teraz pozwolono popłynąć na brzeg Rossowi, de Maresiemu i kilku oficerom brytyjskiej marynarki wojennej.

Na plaży panował kompletny chaos, ponieważ chłopcy przynosili wino i jedzenie, by częstować wybawicieli. Wielu mniej zdyscyplinowanych żołnierzy francuskich w ogóle nie opuściło brzegu: porzucili broń i siedzieli na skrzynkach, otoczeni przez rozentuzjzmowanych szuanów, pijąc wino z litrowych gąsiorów i jedząc ser oraz ciasta przyniesione przez wdzięcznych wieśniaków. Inni hulali po miasteczku, krzycząc i hałasując. Ross pomyślał, że byłby to idealny moment do kontrataku.

Na szczęście inni doszli do tego samego wniosku. Hrabiego de Puisaye'a przyjęto w merostwie, jakby był wskrzeszonym Ludwikiem XVI, a tymczasem d'Hervilly rozkazał swoim najlepszym regimentom dokonać rekonesansu, by sprawdzić, czy w okolicy nie ma wojsk nieprzyjaciela. Osobiście poprowadził kompanię grenadierów, de Sombreuil drugą. Ross żałował, że nie może im towarzyszyć, bo nie czuł się dobrze wśród powszechnej radości.

Zszedł na plażę i obserwował transport zapasów na brzeg. Rozentuzjasmowany de Puisaye kazał przewieźć na brzeg ekwipunek wojskowy i rozdać go szuanom, którym bardzo brakowało broni, lecz nikt nie sprawował ogólnego dowództwa nad całą operacją i nie wydano instrukcji, co rozdawać ani komu. W konsekwencji zapanował chaos. Na plażę przewożono wielkie skrzynie, które następnie rozbijano. W niektórych znajdowały się muszkiety, w innych pociski, mundury, wyposażenie medyczne. Trzech oficerów szuanów usiłowało zaprowadzić porządek, ale chłopci, z natury rzeczy niechętni do czekania na swoją kolej, tłoczyli się wokół skrzyń i brali wszystko, co popadnie. Ross widział kobiety dźwigające angielskie muszkiety lub obładowane mundurami przeznaczonymi dla oddziałów liniowych. Czasem wybuchały kłótnie i Francuzi walczyli między sobą. Spostrzegł sześciu szuanów z trudem ciągnących pod górę lekką armatkę, która grzęzła w miękkim piasku. Zauważył mężczyznę usiłującego odejść z sześcioma muszkietami. Nie był w stanie ich nieść i włókł je prawie na kolanach.

Na początku Ross próbował interweniować, ale bez rezultatu. Naraził się tylko na krzyki.

Porucznik McArthur, jeden z oficerów brytyjskich, powiedział:

- Nic nie da się zrobić. Dajmy im spokój.
- Ktoś musi poinformować de Puisaye'a, nim będzie za późno.
- Myśli pan, że zdołałby ich powstrzymać?
- Przynajmniej może wstrzymać transport zapasów na brzeg.

Wrócili obaj do miasteczka i z trudem zdołali się dostać do generała. Panował powszechny entuzjazm. D'Hervilly przysłał wiadomość, że ważny fort znajdujący się na prawym skrzydle, fort St Michel, skapitulował bez jednego wystrzału. Zostawił w nim załogę złożoną z pięćdziesięciu szuanów i nacierał na południe. De Sombreuil doniósł o zdobyciu wioski o nazwie Plouharnel; uciekający republikanie pozostawili ogromne zapasy żywności i amunicji. Zgodnie z przewidywaniami w okolicy wybuchło powstanie. Czy w tej sytuacji nieprawidłowa dystrybucja zapasów transportowanych na brzeg ma jakiegokolwiek znaczenie? Wkrótce będzie mnóstwo zapasów dla wszystkich.

Minał dzień i zapadła noc. Do miasteczka wrócili wszyscy dowódcy rekonesansu i złożyli meldunki w trakcie narady w merostwie. Mimo chaosu, który panował podczas lądowania, okazały się one lepsze, niż można się było spodziewać. Oddziały rojalistyczne opanowały półkolistą przyczółek o szerokości ośmiu kilometrów, sięgający osiem kilometrów w głąb lądu. Zajmowały dobre pozycje obronne; za sobą miały morze, skąd mogły otrzymywać zaopatrzenie i gdzie mogły w razie potrzeby się wycofać. W kilku miejscach republikanie stawili zbrojny opór, lecz nie był on długotrwały ani fanatyczny. Zawsze się wycofywali.

– Kto dowodzi wojskami republikańskimi w tym rejonie? – spytał Ross de Sombreuila, nim udali się na noc do swoich kwater.

Francuz się skrzywił.

- Lazare Hoche.
- Pierwszy raz słyszę to nazwisko.
- Obawiam się, że jeszcze je usłyszysz, chyba że szybko go pokonamy.
- Zdolny wojskowy?
- Jeden z najlepszych, jakich mają. Ale jest jeszcze młody, mniej więcej w moim wieku. Ma dwadzieścia sześć lub dwadzieścia siedem lat. Przebiegły, sprytny, bezwzględny. Zobaczymy.
- Jakie są plany na jutro?
- Na razie żadnych. Narady, dyskusje, może kłótnie.

– Nie powinniśmy najpierw zająć przylądka Quiberon? Potrzebujemy portu. Nie otrzymamy z Anglii następnych partii broni i amunicji?

– O tak. Ale fort Penthièvre, który strzeże największej części przylądka, nie będzie łatwy do zdobycia. Przesmyk ma zaledwie półtora kilometra szerokości i znajduje się pod ostrzałem dział fortu. Atakujący żołnierze nie mają żadnej osłony i zdobycie fortu pochłonie wiele ofiar. Jeśli chodzi o resztę, sam widzisz, że wśród dowódców panuje wielka podejrzliwość, wzajemna niechęć. Kto wie, co się stanie? Ale przynajmniej początek okazał się niezły. Zobaczymy.

Rozdział siódmy

Wstał dzień i wszystko potoczyło się zgodnie z przewidywaniami de Sombreuila. Spory, niesnaski, kłótnie. Francuscy arystokraci nie ufali partyzantom mającym strzec skrzydeł armii rojalistycznej i uważali szuanów za chłopski motłoch, który ucieknie po pierwszym wystrzale. Z kolei szuani uważali aroganckich, wyniosłych arystokratów za maminsynków i dandysów, a ponadto mieli pretensje, że są oni we wszystkim faworyzowani – na pogardę odpowiadali pogardą. Gdziegdzie dochodziło do awantur, kiedy szlachetnie urodzeni Francuzi usiłovali parodiować mowę i zachowania Bretończyków, z którymi powinni współpracować.

Tymczasem transportowano na brzeg zapasy i rozdawano ludziom, którzy się po nie zgłaszali. Muszkiety i kule otrzymywali nawet ludzie, którzy nie deklarowali, że sympatyzują z rojalistami. Trzeciego dnia przewieziono na brzeg osiemdziesiąt tysięcy muszkietów, czyli wszystkie znajdujące się na okrętach.

Nieprzyjaciel nie podejmował prawie żadnych akcji i opuścił bez walki kilka ważnych pozycji obronnych. Budziło to duże nadzieje. Dywizja szuanów zaatakowała ważne miasto Auray kilkanaście kilometrów od wybrzeża. Przepływała przez nie żeglowna rzeka i mogło służyć za port dla niewielkich jednostek, lecz nie były w stanie tam dotrzeć okręty wojenne ani transportowce. Oddział grenadierów posunął się jeszcze dalej, by odciąć połączenie z Vannes, znacznie ważniejszym ośrodkiem. Padły Landévant i Locol-Mendon.

De Puisaye stanowczo opowiadał się za natarciem, nie zastanawiając się nad kwestiami strategicznymi. Chociaż przed przybyciem do Londynu przez jakiś czas dowodził szuanami, miał mętne pojęcie o prowadzeniu działań wojennych i uważał, że o wszystkim decyduje brawura. Pesymistycznie nastawiony d'Hervilly był całkowitym przeciwieństwem optymisty de Puisaye'a. Nie wierzył, że Vannes natychmiast padnie. Podkreślał słabość swoich oddziałów, którym brakowało koni, armat i ciężkiego sprzętu niezbędnego do stawiania czoła oddziałom republikańskim, gdyby zmusiły wojska rojalistyczne do bitwy.

W końcu postanowiono zaatakować fort Penthièvre. Ross przekonał się, że de Sombreuil nie przesadzał, gdy zwracał uwagę na jego ogromne walory obronne, jednak zdobycie tej twierdzy było niezbędne przed podjęciem jakichkolwiek innych działań. Opracowano plan. Dwa najlepsze francuskie pułki, regiment Hector i regiment Loyal-Émigrant, dowodzone przez samego de Puisaye'a, miały dokonać desantu na krańcu przylądka wspierane przez okręty angielskie ostrzeliwujące fort z bliskiej odległości. W tym samym czasie d'Hervilly powinien poprowadzić atak od strony lądu na czele regimentu Royal-Louis i regimentu Dudresnay. Oba ataki miały wspierać duże grupy szuanów. Szturm rozpoczął się o świcie, lecz ku ogólnemu zdumieniu opór okazał się słaby, a dowódca fortu prawie natychmiast zaproponował negocjacje. D'Hervilly osobiście udał się do fortu jako parlamentariusz, narażając się na poważne niebezpieczeństwo, i po wielu godzinach rozmów przekonał komendanta do kapitulacji. Był to wielki triumf, gdyż w tej chwili cały przylądek Quiberon znajdował się w rękach rojalistów. D'Hervilly, witany jak bohater, pozwolił sobie nawet na uśmiech.

Lecz później nastąpił okres bierności, zamętu i kłótni. Nie działały nawet służby kwatermistrzowskie. Żołnierze stacjonujący kilka kilometrów od sztabu dowództwa ekspedycji skarżyli się, że otrzymują racje żywnościowe dopiero o szóstej wieczorem. Nikt nie próbował rozwiązać najprostszych problemów administracyjnych; nie podjęto żadnej próby wyznaczenia ludzi, którzy mieliby za to odpowiadać. Nikt nie myślał o przyszłości.

Ross zaczął się niecierpliwic. Prywatnie uważał, że ostrożność d'Hervilly'ego jest uzasadniona w sensie czysto wojskowym. Francuski arystokrata chciał przed bitwą otrzymać z Anglii więcej ciężkich dział. W trakcie niewielkich potyczek kilkakrotnie okazało się, że nie można polegać na niewyszkolonych Bretończykach. Ross przypuszczał, że atak na Quimper w najlepszym razie nastąpi dopiero za kilka tygodni. W okolicy nie wybuchło powszechne powstanie, nie doszło do potężnej rewolty. Gdyby mieli posuwać się do przodu kilometr po kilometr i walczyć o

każdą piędź ziemi, kto wie, ile to potrwa? Przebywał poza domem już od blisko trzech tygodni i wczoraj wysłał list do Demelzy: zabrała go pinasa na jeden z okrętów. Jak dotąd spędzał czas beczynnie. Nie pozwolono mu nawet walczyć. Kornwalijszykom, którzy mu towarzyszyli, pozwolono zejść na ląd tylko dwa razy.

Później nadeszły meldunki, że generał Hoche wreszcie przystąpił do działania. W kilku miejscach słabe pozycje obronne zajęte przez rojalistów zostały przełamane nagłymi atakami republikanów. Natarcie wyprowadzone ze środkowej części pozycji Hoche'a rozbiło korpus szuanów liczący dwa lub trzy tysiące ludzi. Następnie Francuzi odbili Auray, tak niedawno opanowane przez rojalistów: obrońcy porzucili broń i uciekli, nie stawiając oporu. Szuanami dowodził arystokrata o nazwisku de Vauban, który w końcu zdołał ich zatrzymać i zebrać. Nie potrafił jednak zmusić bretońskich chłopów do kontrataku i wysyłał do sztabu zjadliwe meldunki na temat swoich podkomendnych. W oddziałach rojalistycznych zapanowała nieufność. Przepowiednie Bartholomew Tregirlsa sprawdziły się już przynajmniej dwukrotnie – żołnierze walczący za króla nagle przeszli na drugą stronę i oświadczyli, że są wiernymi stronnikami Republiki.

Trzy dni później, podczas jednej z najburzliwszych narad wojennych, d'Hervilly ogłosił, że postanowił wycofać swoje najlepsze oddziały z zewnętrznej linii obrony i skoncentrować je na terenie przylądka Quiberon na obszarze niespełna czterdziestu kilometrów kwadratowych. Zewnętrzne pozycje obronne miały obsadzić oddziały partyzanckie złożone z szuanów, dowodzone przez nielicznych arystokratów takich jak de Vauban i de Maresi. Z punktu widzenia logiki wojskowej nie dawało się zakwestionować tej decyzji. Wojska regulame, chronione z trzech stron przez morze, które patrolowały okręty brytyjskie, a z czwartej przez fort Penthièvre, stanowiły potężną siłę obronną. Jednak Ross uważał, że takie posunięcie miałyby katastrofalne skutki polityczne. Tysiące niezdecydowanych mieszkańców prowincji uznałoby to za sygnał, że powinni siedzieć cicho i nie wszczynać powstania, dopóki wojska rojalistyczne nie przejdą do ofensywy.

Bardzo szybko okazało się, że mieszkańcy wiosek takich jak Carnac, którzy powitali wojska ekspedycyjne jako wyzwolicieli i udzielili im wszelkiej możliwej pomocy, uznali wycofanie elitarnych regimentów za zdradę i pozostawienie miejscowej ludności na łasce losu. Nie wierono, że partyzanci zdołają długo odpierać ataki doświadczonych żołnierzy Hoche'a, a po odbiciu wiosek ich mieszkańcy mogli się spodziewać bezlitosnych represji. Kiedy oddziały rojalistów w ponurym nastroju zgromadziły się na drodze i rozpoczęły odwrót, podążyły za nimi setki chłopów z dziećmi dźwigających swój dobytek. Biadający ludzie zmierzali w stronę klifów, gdzie miała powstać nowa linia obrony.

Ross spędził większość dnia na pokładzie okrętu Energetic i nic o tym nie wiedział, ale kiedy wieczorem wylądował na brzegu w pobliżu Penthièvre wraz z Bone'em i Ellerym, zauważył maszerujących żołnierzy i usłyszał lamenty podążających za nimi wieśniaków, więc spytał, co się dzieje. Później przez dwie godziny chodził po przylądku – przyplynał na brzeg w konkretnym celu. Po kapitulacji fortu wielu żołnierzy zakwaterowano w wioskach znajdujących się na brzegu, lecz byli to głównie szuani, a doborowe regimenty przerzucono w inne miejsca. Teraz znów ściągano dobre pułki, szuani zaś powinni odejść i zrobić dla nich miejsce. Wszędzie wybuchały spory, kłótnie, wydawano sprzeczne rozkazy, zapanował całkowity chaos. Nawet żołnierze stacjonujący w pobliżu sztabu nie mieli od rana nic w ustach.

Po pewnym czasie trzech Anglicy wrócili do fortu i Ross próbował znaleźć jakiegoś oficera. W końcu udało mu się wejść do dużego pomieszczenia w forcie, gdzie dostrzegł masywną postać hrabiego de Puisaye'a otoczonego przez tłum protestujących szuanów. Ross miał niewielką nadzieję na zamienienie z nim kilku słów, toteż wrócił do Bone'a i Ellery'ego.

– Dziś wieczorem niczego nie osiągniemy – powiedział. – Wracajmy. Będziemy bezpieczniejsi na okręcie.

Był lipcowy wieczór, na niebie nie świeciły gwiazdy, wokół rozlegał się tupot maszerujących żołnierzy, turkot wozów i trajkotanie podeksytowanych Francuzów. Ross nie obawiał się o własne bezpieczeństwo – gdyby go zaczepiono, potrafił się porozumieć po francusku i był dostatecznie pewny siebie, by dać sobie radę – ale Bone i Ellery, którzy nie znali ani jednego francuskiego słowa, mogliby zostać uznani za szpiegów, bo wszyscy

podejrzewali wszystkich.

Prawie dotarli do łodzi, gdy minął ich samotny jeździec. Jego sylwetkę łatwo było rozpoznać nawet w ciemności i Ross zawołał:

– De Sombreuil!

Jeździec ściągnął wodze.

– Kto tam? Och... to ty, Poldark. Dlaczego opuściłeś swój statek?

– Przypląnąłem z dwoma przyjaciółmi, by rozprostowali nogi. Masz pięć minut?

– Nawet godzinę, jeśli chcesz. Nie jestem nigdzie potrzebny. Nikt nie potrafi podjąć decyzji. Sytuacja zmienia się w *cauchemar*.

– Idź z Ellerym do łodzi – zwrócił się Ross do Bone'a. – Przyjdę do was za kilka minut.

De Sombreuil zsiadł z konia i klepał zdenerwowane zwierzę po chrapach. Chociaż był to koń z jednego z gospodarstw chłopskich, udzielił mu się ogólny niepokój.

– Jakie to będzie miało skutki, Charles? – spytał Ross, wskazując kołyszące się światła, maszerujące kolumny.

Francuz wzruszył ramionami.

– Och, wiem, wiem. Kto decyduje? Nie ja. Czasem biorę udział w naradach, czasem nie. Nie było mnie, gdy d'Hervilly wymusił tę decyzję. Naturalnie czeka nas bitwa, wiem o tym, nieprzyjaciel jest niedaleko. Kto zaatakuje pierwszy? Ale bitwa nie rozstrzygnie wszystkiego.

Stali przez chwilę w milczeniu.

– Charles?

– Tak, mój przyjacielu?

– Nie mogę ci w niczym pomóc, wiesz o tym.

– Możesz bardzo pomóc. Możemy zjeść razem posiłek, wypić kieliszek wina.

– Tak, tak, ale zdajesz sobie sprawę, że nic nie mogę zrobić, bo nie należę do regularnej armii angielskiej. Poza tym my, Anglicy, musimy być bardzo ostrożni, aby nie stwarzać wrażenia, że napadliśmy na Francję.

– Gdybyś napadł na Francję, nie byłbyś moim przyjacielem.

– Uzgodniliśmy reguły postępowania, zanim postanowiłem wziąć udział w wyprawie. Ale znasz główny cel mojego przybycia do Bretanii. Nie mogę go zrealizować w najbliższej przyszłości.

– Cóż... czeka nas bitwa. Szkoda, że Hoche nie jest po naszej stronie.

– Wybacz, że to powiem. Chociaż nasza ekspedycja może jeszcze zakończyć się sukcesem, pierwotne oczekiwania się nie spełniły. Pamiętasz, jak de Maresi rozwinął dywan w Killewarren? Mówił, że armia rojalistów właśnie tak przetoczy się przez Francję.

– Louis lubi efektowne gesty.

– A zatem... – Ross ujął ramię Francuza. – Czy mogę zrezygnować z wielkich ambicji i próbować osiągnąć swój cel w inny sposób?

– Nie, Ross. To nie tak. To my mieliśmy wielkie ambicje, a nie ty. Akceptuję to i wiele innych rzeczy. Chciałbym mieć cię obok siebie w swoim regimencie w czasie nadchodzącej bitwy, ale jeśli to niemożliwe, masz prawo wrócić do domu.

– Nie do domu.

– Nie do domu?

– Nie do domu.

– Ach... rozumiem.

Gdzieś daleko od strony Sainte-Barbe rozległ się pojedynczy strzał armatni, lecz później zapadła cisza.

– Potrzebuję statku – powiedział Ross.

– Macie ich dużo.

– Francuskiego statku. Statku rybackiego. Kecza, niewielkiego lugra.

– Cóż... jest ich dużo na wybrzeżu.

– Nie mogę zarekwirować statku, ale ty tak.

W mroku rozległ się cichy brzęk ostróg de Sombreuila.

– Na jakiej podstawie? Wolałbym tego uniknąć. Stosunki między nami a tymi niepiśmiennymi chłopami i tak nie są najlepsze.

– Więc nie zdobędę statku?

– Nie mogę ci niczego zabronić, prawda, przyjacielu? Na całym wybrzeżu jest wiele takich statków, w Quiberon i innych wioskach. W tej chwili panuje wielki zamęt. Oczywiście ktoś zauważy zniknięcie jednego z nich, ale jeśli zachowasz ostrożność, nikt się nigdy nie dowie, co się z nim stało.

– Dziękuję... Skoro to nie rzuci cienia na nasz sojusz...

– Nie sądzę, nie sądzę. Ale nie będzie to łatwe. Dobrze rozpoznaj teren i działaj w nocy.

Przeszli kilka kroków i de Sombreuil położył dłoń na łęku siodła.

– Bądź ostrożny, realizując swoje przedsięwzięcie. To trudna sprawa.

– Może nawet niemożliwa. Nie wiem, dopóki się nie przekonam. A tymczasem, mój przyjacielu... Jeśli cię więcej nie zobaczę...

– Więcej? Nigdy więcej?! – De Sombreuil się roześmiał. – Za rok lub dwa pojedziemy do mojego château w Limousin, pijemy się wina, jakiego tu nie spróbujesz! Moje winnice, chociaż małe, należą do najlepszych we Francji.

– Nie miałem na myśli, że nigdy więcej się nie zobaczymy – odparł Ross. – Jeśli nie spotkamy się więcej w czasie tej wyprawy...

– Tak, tak. Ale oczywiście możemy się już nigdy nie zobaczyć. Przed nami krwawa bitwa. Człowiek, który stracił rodzinę – wymordowaną przez sankiulotów

– własny kraj, dobra, zamek odziedziczony po przodkach, czuje się trochę dziwnie. Przystaje dbać o własne życie, jest samotny.

– Dbaj o swoje życie. To wszystko, co mamy – odpowiedział Ross.

– To wszystko, co mamy, ale życie musi być coś warte. Ta wyprawa zdecyduje, czy moje życie jest coś warte.

– A mademoiselle de la Blache?

– Oczywiście, tak. Gdy to wszystko się skończy, natychmiast weźmiemy ślub. Zabiorę ją do swojego domu i wychowamy w spokoju nasze dzieci.

Właśnie tym się zajmowałem, lecz mimo to opuściłem dom, pomyślał Ross.

– Gdybyś spotkał mademoiselle de la Blache przede mną, co wydaje się prawdopodobne, czy mógłbyś jej przekazać ten pierścionek? Należał do mojej matki. Znalazłem go w jej pugilaresie tuż przed wyjazdem. Nie jest bardzo cenny.

Ross wziął pierścionek, otworzył sakiewkę i wrzucił go do środka.

– Z wyrazami miłości – dodał de Sombreuil.

– Z wyrazami miłości.

– To tylko świecidełko. Nie wiem, po co go trzymam.

– Nie mogę obiecać, że go przekażę.

– Któż może dziś coś obiecać? Ani ty, ani ja. Zobaczymy... Kiedy wyruszasz?

– Och, dopiero jutro albo pojutrze. Jak powiedziałaś, jest wiele statków. Są także ich właściciele. Tak czy inaczej, jeśli przed moim wyjazdem dojdzie do bitwy, nie odpłynę. Zaczekam na jej wynik.

W półmroku błysnęły zęby de Sombreuila.

– Dopóki dowodzi d'Hervilly, nie dojdzie do żadnej bitwy, ani jutro, ani pojutrze. My i *bleus* będziemy stać i patrzeć na siebie jeszcze przez kilka dni, czekając, by to przeciwnik wykonał pierwszy ruch.

Ross czekał dwa dni. W tym czasie republikanie, którzy zauważyli odwrót rojalistów, szybko zajęli Carnac i

pozostałe wioski. Broniący ich szuani wycofali się na przylądek Quiberon lub uciekli łodziami, po czym wzięły ich na pokład okręty angielskie. Towarzyszyły im kobiety i dzieci niosące dobytek, który dawało się udźwignąć. Nie był to widok dodający otuchy. W pewnym momencie republikanie zbliżyli się nawet na odległość strzału z muszkietu do fortu Penthièvre, lecz wycofali się niczym fala, która na jakiś czas traci impet. Zajęli stanowiska na wzgórzach Sainte-Barbe i rozpalili ogniska wzdłuż całego wybrzeża.

Dwie wrogie armie stały naprzeciwko siebie. Hrabia d'Hervilly w końcu przedstawił plan ataku. Szpiedzy donieśli, że przeciwnik ma dwukrotną przewagę liczebną, lecz Hoche nie zdawał sobie sprawy, że na jego tyłach znajdują się oddziały szuanów. D'Hervilly uważał, że jeśli wojska rojalistyczne jednocześnie zaatakują Hoche'a, mogą odnieść przyniatające zwycięstwo. Było to z pewnością możliwe, ale nikt nie wiedział, kiedy rozpocznie się natarcie. Ross nie mógł dłużej czekać. W końcu się wymknął.

Był to typowy bretoński statek rybacki, dwumasztowy lugier o nazwie Sarzeau, bardzo podobny do kornwalijskich łodzi tego samego rodzaju. Miał niespełna czternaście metrów długości, przeszło cztery metry szerokości, niósł żagle o powierzchni około stu dwudziestu metrów kwadratowych i dobrze nadawał się do żeglugi wzdłuż wybrzeży Bretanii i do połowu ryb w tym rejonie. Wymagał jednak silniejszego wiatru niż lekkie podmuchy w letnią noc.

Na szczęście w dniu, w którym Ross i jego towarzysze porwali statek, wiała dość silna zachodnia bryza. Tregirls zauważył lugier dwa wieczory wcześniej i obserwował go przez dwie noce. Rybacy co wieczór wyruszali na połów w porze odpływu, ale lugier stał przy nabrzeżu. Tregirls spędził pół dnia w wiosce i dowiedział się, że właściciel zmarł trzy tygodnie wcześniej i czekano na przybycie jego brata z Vannes, który miał przejąć statek.

Nielatwo było niepostrzeżenie dotrzeć w ciemności do morza. Wokół kręciło się wielu żołnierzy, wiele chat zmieniono na kwatery dla wojska, toteż w małym porcie nigdy nie było zupełnie spokojnie jak w normalnych czasach. Jednak panujący ruch miał swoje zalety. Gdyby ich spostrzeżono, istniało mniejsze prawdopodobieństwo, że zostaną zatrzymani. Kto może wiedzieć, jakie rozkazy i kontrozkazy wydaje wyższe dowództwo?

Skradali się po wybrukowanych kocimi łbami uliczkach, starając się trzymać w cieniu. Parę razy zaszczekał pies. Na nabrzeżu leżało kilku pijanych w sztok mężczyzn. Na pokład lugra wszedł najpierw Tregirls, później Drake, następnie reszta Anglików i na końcu Ross. Jak dotychczas nikt nie wszczął alarmu, ale mieli jeszcze przed sobą chwile napięcia. Rzucono cumy i Sarzeau cicho popłynął w stronę wyjścia z portu, popychany drągami. Ukazał się koniec kamiennego falochronu, postawiono jeden żagiel, później drugi. W dalszym ciągu żadnych krzyków. Kiedy lugier zaczął reagować na ster, Ross odetchnął z ulgą.

Na morzu od czasu do czasu snuła się lekka mgiełka, gdzieś widać było chmury. Na pokładzie Sarzeau wypłynęło tej nocy ośmiu Anglików, lecz tylko pięciu miało doświadczenie żeglarskie: Ross, Tregirls, Bone, Ellery i Nanfan. Dobrze znali ten rodzaj statku rybackiego, gdyż od dzieciństwa pływali na podobnych jednostkach. Zabrali żywność na dziesięć dni, ciepłe rybackie kurtki i kilka jaskrawych bretońskich chust, by z daleka wyglądać na miejscowych rybaków. Mieli również trzy pistolety, cztery muszkiety i kilka noży.

O brzasku wiatr ucichł i nie przybrał na sile wraz ze wschodem słońca, więc spędzili część dnia na drzemce, płynąc powoli w stronę Groix oraz wysp Glénan. Nie musieli się śpieszyć. Nie mogli nic zrobić przed zmrokiem. Ross spędził godzinę z Tholym, studiując mapę okolic Quimper, a później wyjął plan klasztoru żeńskiego narysowany w Falmouth przez byłego więźnia, Holendra. Był to duży budynek, a raczej zespół budynków na wielkim terenie otoczonym murem.

Kiedy Ross opuszczał Anglię, nie wyobrażał sobie takiego rozwoju sytuacji. Sądził, że w najgorszym razie desant wojsk rojalistycznych doprowadzi do takiego zamieszania w Bretanii, że przed dotarciem Anglików do Quimper więźniowie zaczną sami uciekać. Zamiast tego rojaliści, zablokowani na przylądku w odległości osiemdziesięciu kilometrów od Quimper, znaleźli się w defensywie. W tej chwili mógł tylko mieć nadzieję, że oddziały republikańskie stacjonujące w pobliżu Quimper przerzucono na południe, by pomogły Hoche'owi powstrzymać inwazję. Ale nie miał pojęcia, czy strażnicy więzienni są niedbali, czy czujni i w jaki sposób nadzorują

więźniów. Holender podał mu dokładne informacje o liczbie strażników i miejscach, w których przebywają. Na pewno wszyscy byli uzbrojeni i Ross zastanawiał się, czy nie prowadzi siedmiu nieświadomych Kornwalijszczyków na pewną śmierć. Jedyna sprzyjająca okoliczność – lub jedna z nielicznych – polegała na tym, że strażnicy więzienni mogli się spodziewać buntu więźniów, lecz nie ataku z zewnątrz. Ross uważał, że gdyby takie więzienie istniało w Truro, strażnicy nigdy nie podejrzewaliby pojawienia się Francuzów w okolicy. Trafne porównanie, ponieważ Quimper także znajdowało się nad rzeką w odległości kilkunastu kilometrów od morza.

Ross był z natury człowiekiem czynu, ale miał również skłonność do przemyśleń. Zawsze odnosił się krytycznie wobec władzy, co niekiedy obracało się przeciwko niemu. Kwestionował działania wymiaru sprawiedliwości i obowiązujące prawa, lecz równie krytycznie analizował własne postęпки. Z jednej strony była to zaleta, z drugiej wada, bo czasem potrafił się zadrećcać. Dlatego nie czuł się tak dobrze jak towarzysze, którzy śmiali się i żartowali, szczęśliwi, że po długiej beczynności wreszcie coś robią.

Obserwował ich i słuchał – nawet Drake włączał się niekiedy do rozmowy – i wątpił, czy podjął słuszną decyzję. Bardzo wiele od niej zależało. Niecierpliwość, intuicja, że nadszedł właściwy moment, a także poczucie beznadziejności – wszystko to skłoniło Rossa do opuszczenia wojsk rojalistycznych, które miały stoczyć decydującą bitwę. Chociaż uczestnicy desantu starali się być optymistami, w głębi duszy obawiali się klęski, przeczuwali nadchodzącą katastrofę. Wcześniej, gdy panował powszechny entuzjazm, Ross ukrywał swoje wątpiwości, lecz kiedy entuzjazm przygasł, wątpiwości powróciły. Podejrzewał, że nawet de Sombreuil i de Maresi nie wierzą już w zwycięstwo. W dalszym ciągu wykonywali swoje obowiązki, bo przebywali na francuskiej ziemi, byli rojalistami i odważnymi ludźmi.

Czy Ross i towarzyszący mu Anglicy powinni ich naśladować, przynajmniej do chwili ostatecznego rozstrzygnięcia? Czy on sam jest tchórzem, a przynajmniej kimś, komu brakuje odwagi, skoro opuszcza sojuszników, gdy wszystko wisi na włosku? W ciągu dnia kilka razy miał ochotę oświadczyć swoim towarzyszom, że zmienił zdanie i że zamiast krążyć wzdłuż wybrzeży Francji, popłyną prosto do Kornwalii, wrócą do bezpiecznych, wygodnych domów i znów będą prowadzić normalne życie. Chętnie by tak zrobił, gdyby rozwiązało to jego problemy. Przedsięwzięcie, którego się podjął, przystoi dwudziestojednoletniemu młodzikowi marzącemu o chwale albo śmierci, ale nie blisko trzydziestosześcioletniemu właścicielowi dochodowej kopalni, który ma żonę i dwoje dzieci, człowiekowi sukcesu, ważnej osobie w hrabstwie. George śmiałyby się do rozpuku. Albo – co bardziej prawdopodobne – skrzywiłby się ironicznie. I miałby rację!

Przepłynęli zatokę i około szóstej po południu dotarli do brzegu. Później przez dłuższy czas ślęczeli nad mapą, by sprawdzić, gdzie znajduje się ujście rzeki, której szukają. Kiedy Tregirls pływał po morzu, dwa razy znalazł się na tych wodach i dzięki jego doświadczeniu podążyli w stronę wsi Bénodet przy ujściu rzeki Odet. Po godzinie przepłynęli przez wąski przesmyk i znaleźli się na dość szerokiej rzece. W dalszym ciągu było jasno, ale ponieważ płynęli francuskim statkiem rybackim, posterunki republikanów nie zwracały na nich uwagi. Dwukrotnie krzyczano do nich z innych statków, na co Tholly odpowiadał potokiem przekleństw, co wydawało się odpowiednie.

Między zalesionymi wzgórzami podmuchy wiatru osłabły, a gdy koryto rzeki zrobiło się wąskie, prawie ustały. Mimo to posuwali się do przodu. Zbliżali się do stromego brzegu porośniętego drzewami. Trudno było zdecydować, jak długo powinni płynąć, nie zwijając żagli. Według mapy za wąskim przesmykiem powinno się znajdować rozlewisko o szerokości ponad ośmiuset metrów. Lecz ktoś mógł ich lada chwila zatrzymać, a do zmroku pozostało dużo czasu. Tholly wzruszył ramionami i powiedział:

– Pan decyduje, kapitanie.

– Zaryzykujemy.

Dotarli do zatoki, jak nazwano to miejsce na mapie. Zachodzące słońce rzucało osobiwe cienie i otaczało wierzchołki drzew płomienistymi aureolami. W wieczornym świetle widać było kilka chat. Znajdowały się głównie na wschodnim brzegu, toteż Ross i jego towarzysze skierowali lugier na zachód, gdzie brzeg był zarośnięty, bardziej dziki – na wzgórzach między drzewami stało kilka murowanych dworów. Dotarli do wąskiego kanału, który skręcał

w lewo. Ocieniały go korony drzew, lecz wydawał się wystarczająco głęboki, żeby można nim było przepłynąć. Ross skinął dłonią w stronę Tholly'ego, który przełożył rumpel. Powoli wpłynęli do kanału i jak najciszej zwinęli żagle.

Kanał miał zaledwie sto metrów długości, przy brzegu woda była mulista. Nad jej powierzchnią przeleciały dwa kuliki, wydając melancholijne dźwięki. Tholly skierował lugier w stronę lewego brzegu, a na płyciźnie Nanfan przywiązał cumę do pochylonego drzewa.

– Jest przyływ czy odpływ? – spytał ponuro Jacka Hoblyn, wyglądając za burtę.

– Przyływ, ale woda jeszcze się podnosi.

– Może uda nam się opuścić zatokę w czasie odpływu.

– Zależy, kiedy wrócimy – rzekł Ross. – Musimy zaryzykować.

Zjedli kolację złożoną z chleba, sera i wina. Na niebie śpiewały ptaki, zachodziło słońce. Kiedy w końcu zapadł zmrok, Ross poprowadził swoich towarzyszy w stronę Quiberon.

Rozdział ósmy

Znaleźli klasztor na wzgórzu na północ od miasta. Jak dotąd ich nie zatrzymano. Najbardziej niebezpieczne byłoby napotkanie patrolu. Gdyby zaczęto ich wypytywać, byliby zgubieni, bo tylko Tregirls mówił po francusku na tyle swobodnie, żeby nie budzić podejrzeń. I znowu, porównując sytuację z Anglią, Ross zastanawiał się, jakie patrole chodziłyby ulicami kornwalijskiego miasta.

Kiedy zobaczyli wysoki mur otaczający klasztor, przykucnęli, a Ross szeptem opisał teren leżący po drugiej stronie.

– Za tym wysokim murem znajduje się spora posiadłość. Jeden duży budynek i cztery mniejsze rozrzucone na obszarze równie wielkim jak kopalnia Grambler. Wokół jest park porośnięty drzewami, pola pszenicy, ogród warzywny, pastwiska i jezioro. Klasztor był samowystarczalny. Teraz nie ma tu zakonnic, lecz prawie nic się nie zmieniło. Nie mamy pewności, w którym budynku jest więziony doktor Enys, ale powiedziano mi, że jako lekarz prawdopodobnie w największym. Główny budynek klasztoru stoi po lewej stronie bramy, drzwi wejściowe znajdują się po lewej stronie. W furcie w murze jest zakratowane okienko; przed otwarciem furty można przez nie obejrzeć odwiedzających. Tuż przy bramie, po wewnętrznej stronie, stoi budka wartownicza, w której dzień i noc czuwa dwóch strażników...

Umilkł. Z krzaków dobiegało cykanie świerszcza.

– Niech pan im nic więcej nie mówi, bo tylko pan ich zniechęci – odezwał się Tregirls.

– Gadaj za siebie! – zaperzył się Jacka Hoblyn, jak zwykle skłonny do kłótni. Ross potrafił go kontrolować, jednak nie przewidział skutków długiego przymusowego pobytu Hoblyna z Tregirlsem na pokładzie okrętu Energetic.

– Kiedy wejdziemy do budynku przez główne drzwi, znajdziemy się w przedsionku, skąd przechodzi się do kaplicy. Ta kaplica, oczywiście pozbawiona teraz wszelkich symboli religijnych, to największe pomieszczenie klasztoru i każdej nocy śpi w niej pięćuset więźniów. W prawej części przedsionka są inne drzwi, prowadzące do kapitulacza, który zamieniono w wartownię. W nocy przebywa tam reszta strażników – zwykle sześciu. Rzadko obchodzą wnętrze budynku, ponieważ trudno się przecisnąć między śpiącymi więźniami. Za kaplicą znajduje się rząd cel, sala wypoczynkowa i refektarz. Oczywiście nie są wykorzystywane zgodnie z pierwotnym przeznaczeniem i mieszkają tam więźniowie.

– To wszyscy strażnicy, sir? – spytał Ellery.

– Nie. Kilkunastu śpi w pralni położonej około trzystu metrów od głównego budynku. Nie pełnią służby i mogą zostać wezwani w razie potrzeby. Chociaż podobno zwykle jest ich tam tylko połowa, ponieważ wielu woli w sekrecie wymykać się na noc do swoich domów.

– Albo cudzych – wtrącił Tholly.

– Sześciu, dwunastu... czyli w razie alarmu pojawi się co najmniej czteremastu – powiedział Drake. – Ale mamy zamiar wejść do klasztoru, nie wszczynając alarmu?

– Spróbujemy – odparł Ross.

Ruszyli dopiero o jedenastej, gdy srebrny sierp księżycy skrył się za drzewami. Holender sądził, że strażnicy przy bramie zmieniają się o dziesiątej wieczór, szóstej rano i drugiej po południu. Mur otaczający klasztor miał około trzech metrów wysokości, a na jego szczycie sterczały stalowe kolce mające zniechęcić intruzów. W murze znajdowała się dębowa furta nabijana żelaznymi ćwiekami z okrągłym otworem zasłoniętym metalową klapką na wysokości stu sześćdziesięciu centymetrów nad ziemią. Kiedy zastukali, strażnik odsunął klapkę, by sprawdzić, kto chce wejść do więzienia o tej porze.

– *Quels poissons pêche-t-on ici?* – warknął grubym głosem Tholly. – *Eh? Eh? Voici mon prisonnier! Un Anglais qui s'échappe de votre petite crèche! Je l'ai attrapé pres de chez moi!* – Chwycił Bone'a za kołnierz i potrząsnął nim.

– Puść mnie! – jęknął Bone. – Puszczaj! Udusisz mnie!

Po dłuższej chwili szczęknęły odsuwane rygle. Strażnik otworzył drzwi i wyrzwał na zewnątrz.

– *Qu'y a-t-il? De quoi s'agit-il? Qu' voulez-vous? Je ne sais pas de...* – Tholly wbił od dołu sztylet w brzuch strażnika.

Mężczyzna krzyknął, po czym natychmiast zakrzuszył się krwią wypełniającą mu gardło. Bone podtrzymał go, kiedy padał. Tholly ruszył naprzód w stronę drugiego strażnika, który właśnie wychodził z niewielkiej chaty. Ross znajdował się tuż za Thollym, lecz ten dobiegł do Francuza pierwszy i uderzył go hakiem. Strażnik runął bezwładnie na ziemię z głośnym trzaskiem muszkietu i szabli wiszącej u pasa, z głowy spadł mu kapelusz. Po chwili ośmiu intruzów znalazło się w klasztorze. Zamknęli za sobą furtę, przyczaili się i zaczęli nasłuchiwać.

Po strasliwym hałasie zapadła cisza. U stóp muru grały świerszcze, dając wirtuozerskie popisy. W wielkim gmachu po lewej stronie paliło się sześć świec. Czekali, aż zapalą się następne. Po prawej znajdował się drugi budynek, niski i przysadzisty. Może pralnia? Wszędzie panował mrok. W pobliżu przeleciała sowa.

Ross pochylił się nad drugim Francuzem.

– Jego też zabiłeś – rzekł do Tholly'ego.

Tregirls zgarbił plecy i zakasłał. Wysiłek wywołał nawrót astmy.

– Nie mam już tak delikatnej ręki jak dawnej. Nie z tym. – Uniósł hak.

Ross zmusił towarzyszy do długiego oczekiwania, które w końcu im się znudziło. Ruszyli zatem w stronę wejścia do głównego budynku klasztoru.

Najpierw szli po trawie, potem żwirze i znowu po trawie.

Dotarli do niewielkich łukowatych, solidnych, dębowych drzwi, które nie miały zakratowanego okienka. Wisiała nad nimi na ścianie ciemna latarnia. Ross zapukał zdecydowanie i czekał. Żadnej reakcji. Nacisnął klamkę. Drzwi były zamknięte. Znowu zapukał.

Odgłos kroków. Strażnik mamroczący pod nosem po francusku był wyraźnie niezadowolony. Raczej nie spodziewał się oficera, przypuszczał, że wrywa go ze snu jeden z kolegów. Szczęk klucza. Zgrzyt zawiasów. Mężczyzna w koszuli, z latarnią w ręce. Ross przyłożył mu pistolet do piersi. Francuz otworzył usta, by krzyknąć, lecz powstrzymała go uniesiona dłoń Rossa. Cofnął się o krok, a Tholly chwycił latarnię, która już miała upaść na ziemię. Po chwili znaleźli się w budynku. Nanfan chwycił strażnika za rękę, a Bone go zakneblował.

Uchylone drzwi na końcu przedsionka, smuga światła padającego na boazerię na ścianie i płyty posadzki. Ross zaczął się skradać w stronę drzwi, Tholly i Drake szli za nim. Kiedy zbliżyli się do drzwi, na korytarz wyszedł mężczyzna. Ross wepchnął go do pokoju i Anglicy wbiegli do środka. Ujrzeni czterech innych strażników: trzech grało w karty przy stole, puste krzesło, na blacie pieniądze, kieliszki, dzban. Czwarty mężczyzna stał przy wąskim oknie przypominającym strzelnicę i wkładał kurtkę mundurową.

– Stać! – odezwał się Tholly. – Nie ruszać się! Jeden ruch, a wszyscy zginiecie!

Jacka Hoblyn miał drugi pistolet, a Ellery trzeci. Do dużego pomieszczenia weszli wszyscy Anglicy. Nanfan i Bone trzymali mężczyznę, którego obezwładnili na początku. Jonas rozwinął linę okręconą wokół pasa i zaczął wiązać sześciu Francuzów. Prawie się nie odzywano. Mężczyzna przy oknie usiłował się sprzeciwić, szarpać. Obezwładniono go. Związanie i zakneblowanie strażników zajęło dość dużo czasu. Anglicy byli coraz bardziej zdenerwowani. Dopiero po piętnastu minutach Ross uznał, że wszystko wykonano porządnie. Gdyby któryś z Francuzów zdołał się uwolnić, oznaczałoby to fiasko całego planu.

– Idziemy – powiedział i wziął kółko z ośmioma dużymi kluczami wiszące przy drzwiach.

Zabrali z pomieszczenia dwie latarnie. Zapadła w nim ciemność. Wyszli do przedsionka i ruszyli w stronę odległych drzwi prowadzących do kościoła. Były zamknięte, ale jeden z kluczy pasował do zamka. Ostrożnie

otworzyli drzwi. Na tym etapie pod żadnym pozorem nie powinni stwarzać wrażenia, że zamierzają uwolnić więźniów. Gdyby ci doszli do takiego wniosku, mogliby się rzucić w stronę wyjść i wszczęto by alarm.

Ohydny smród niemytych ciał, wymiocin, potu. Kościół miał około sześćdziesięciu metrów długości i dwanaście metrów szerokości; transept był dwukrotnie szerszy, a w górze majaczyły strzeliste gotyckie łuki. Weszli przez zachodnie drzwi. Wszystkie ławki i zwyczajowe wyposażenie usunięto: posadzkę pokrywały nieruchome ludzkie ciała, stłoczone tak ciasno, że przypominały dywan. Gdzieś ktoś się poruszał i jęczał, niektórzy więźniowie chrapali, lecz zdecydowana większość leżała całkowicie bez ruchu, śpiąc lub czuwając, jakby zdawali sobie sprawę, że przeżyją tylko wtedy, kiedy będą oszczędzać siły. Boże, czy znowu jestem w więzieniu Launceston i ratuję Jima Cartera? – pomyślał Ross. Czy w życiu wszystko musi się powtarzać?

Spojrzał pod nogi. W promieniu kilku kroków leżało dwudziestu ludzi. Ale którego wybrać? Dostrzegł w świetle latarni błysk czyjegoś oka. Przeszedł nad dwoma więźniami.

– Hej, ty, obudź się! Jesteśmy tu nowi. Chodź z nami. Poprowadzisz nas, dobrze?

– Boże, daj spokój, człowieku! Gdzie tu można kogoś prowadzić?! Nie da się przejść. Więcej miejsca jest koło ołtarza.

– Kazano mi znaleźć doktora Enysa. Wiesz, gdzie jest?

– Kogo? Nigdy o nim nie słyszałem. Idź precz i daj mi spać!

Mężczyzna opuścił głowę, lecz Ross chwycił jego wychudzone ramię i pociągnął.

– Posłuchaj: musimy znaleźć doktora Enysa!

– Odczep się, psie! – Więzień wyrwał rękę. – Nie pozwolę, żeby mnie ktoś dotykał! Jeśli jeszcze raz...

Ross mocniej chwycił rękę mężczyzny i potrząsnął nim. Więzień wierzgnął i obudził dwóch innych leżących w pobliżu.

– Ktoś zachorował! Jesteście Anglikami, prawda? Nie możecie nam pomóc?! Muszę się dowiedzieć, gdzie jest doktor Enys! Wszyscy musicie znać doktora Enysa!

– Enys? – odezwał się jeden z obudzonych i usiadł. Był nagi i przypominał szkielet, lecz jakimś cudem ciągle żył. – Niech cię diabli, Carter, za szybko się złościsz. Kto to? Co to za ludzie? Nowi? Niechaj Bóg ma was w swojej opiece! Enys? Tak, wszyscy znamy Enysa.

– Więc gdzie jest? Gdzie śpi?

– Nie tutaj, człowieku.

– W tym budynku czy w innym?

– Och, w tym, jeśli uda ci się go znaleźć. Powinien być blisko izby chorych. Nigdy stamtąd nie odchodzi, trzeba mu to przyznać. Ale w niej nie śpi. Zajrzyjcie do cel po tej stronie refektarza.

– Jak tam dojść?

– Och, niech was diabli! Idźcie w stronę ołtarza. W południowej części transeptu są drzwi do zakrystii. Dalej jest izba chorych i rząd cel. Pewnie tam śpi.

– Dziękujemy, przyjacielu.

Ross uniósł wysoko latarnię i ruszył między innymi szkieletami leżącymi na posadzce. Bone zamykał pochód z drugą latarnią. Procesja Anglików posuwała się w stronę ołtarza. Nie dawało się przejść przez kościół, nie budząc części stłoczonych jeńców, bo nie było gdzie stawiać stóp. Kilkakrotnie Anglicy idący w środku pochodu potykali się w półmroku, po czym rozlegały się przekleństwa. Ross zdawał sobie sprawę, że muszą wzbudzać ciekawość więźniów. Był pewien, że nowi jeńcy nie pojawiają się w środku nocy bez strażników, niosąc latarnie.

Drzwi do zakrystii nie można było otworzyć, gdyż blokowali je śpiący ludzie. Dwóch postawiono na nogi, a kiedy się rozbudzili, zaczęli zadawać pytania. Jeden z nich – bardzo młody i inteligentny, prawdopodobnie kadet – domyślił się, że Anglicy wdarli się podstępem do klasztoru. Podniósłszy się, chwycił Drake'a za ramię, ale ten stracił jego dłoń, uśmiechnął się i podążył za towarzyszami. Młody człowiek ruszył za nimi. Przypominał stracha na wróble i wydawał się niewiele starszy od Geoffreya Charlesa.

Weszli do izby chorych. Panował w niej jeszcze gorszy smród, lecz chorzy mieli trochę więcej miejsca i mogli się przekręcać z boku na bok. Leżeli rzędami jak trupy w lazarecie po bitwie. Przynajmniej paliło się tu światło: pojedyncza świeca w latarni wiszącej tak wysoko, że nikt nie mógł jej dosięgnąć. Jej blask wydobywał z mroku okropne twarze niektórych chorych; inne pozostawały w cieniu. Ubrany w łachmany stary człowiek z czarną brodą zajmował się majaczącym pacjentem. Wstał na ich widok.

– Kim jesteście? Nie ma tu więcej miejsca.

– Nazywam się kapitan Poldark. Szukamy doktora Enysa.

– Jestem porucznik Armitage z Espion. Nie możecie go teraz budzić. Skończył dyżur zaledwie godzinę temu.

Znam się trochę na medycynie.

– Nie chodzi nam o pomoc medyczną. Gdzie śpi?

Armitage spojrział na nich z powątpiewaniem.

– Po co tu przyszliście? – spytał ostro młody kadet. – Myślę, że oni nie mają prawa tu być, panie poruczniku!

– Nie mamy do was żadnej sprawy – odparł Ross. – Szukamy doktora Enysa i chodzi nam tylko o jego dobro.

Zapewniam pana o tym, poruczniku. Ma pan moje słowo oficerskie.

– Niech pan spojrzy, sir – rzekł kadet. – Ten człowiek ma sztylet! Po co tu przyszliście?

– Żeby poderżnąć ci gardło, jeśli nie zamkniesz gęby – odezwał się Tholly, stając za jego plecami.

Armitage spoglądał na Rossa.

– Wdarliście się do więzienia?

– Proszę iść z nami do doktora Enysa, to wszystko wyjaśnię.

– Nie mogę stąd odejść – odparł oficer. – Enwright, zaprowadź ich do porucznika Enysa.

– Tak jest, sir.

Kiedy wyszli, jeden z chorych zaczął wołać o wodę i Armitage podszedł do niego. Kadet poprowadził ich kamiennym korytarzem z rzędem cel po lewej stronie. Ich drzwi nie były zamknięte. Enwright zatrzymał się przy trzeciej celi.

– Myślę, że jest tutaj.

Ross wszedł do środka. W celi leżało ośmiu wynędzniałych mężczyzn. Uniósł latarnię i rozejrzał się, wypatrując przyjaciela. Wszyscy mieli brody i pomyślał, że nie ma wśród nich Enysa. Po chwili człowiek leżący na końcu poruszył się i usiadł.

– Jestem potrzebny? Szukacie mnie?

Była to reakcja lekarza, którego obudzono, by poszedł do pacjenta.

– Tak, Dwigth – powiedział Ross. – Szukamy cię.

Ross z początku nie poznał Dwigtha z gęstą brodą przetykaną siwizną i z kościstą twarzą. Z pewnością nie ważył więcej niż czterdzieści pięć kilogramów. Skórę miał pokrytą wrzodami. Głęboko zapadnięte oczy sugerowały, że długo nie przeżyje.

Enys z początku okazał niedowierzanie, później zwątpienie, wreszcie niechęć.

Ross raczej się tego spodziewał.

– Posłuchaj, Dwigth, ośmiu ludzi naraziło życie, by cię odnaleźć – rzekł nagłym tonem. – Wykonałeś już swoje zadanie w tym więzieniu. Masz teraz obowiązki wobec innych. Jeśli nie pójdziesz z własnej woli, zabierzemy cię siłą!

– Och, głęboko doceniam to, co zrobiliście, ale część tych ludzi jest bliska śmierci, a ja się nimi opiekuję...

– A ty? Nie jesteś bliski śmierci?

Dwigth machnął lekceważąco ręką.

– Wszyscy mamy równe szanse. W ciągu ostatniego roku nauczyłem ludzi, którzy śpią ze mną w tej celi, podstaw opieki medycznej, ale nie potrafiliby mnie zastąpić...

– Nie ma innych lekarzy? Chirurgów?

– O tak, czterech. Nie radzimy sobie z pracą...

– Więc mamy wracać do Anglii bez ciebie?

– Och, Ross, nie o to chodzi. Nie, nie. Nie potrafię wyrazić swojej wdzięczności...

– Wierz mi, jeszcze nie jesteśmy bezpieczni. Nie sprzeczasz się z nami, każda chwila jest cenna, zaraz mogą się tu pojawić strażnicy. Kiedy odejdziemy, reszta więźniów może uciec, jeśli zechce. Dotarliśmy tu w sekrecie, by nie wywoływać paniki.

– Ilu więźniów ma szansę dotrzeć do Anglii, jeśli wyrwą się na wolność? Ilu nie zostanie ponownie schwytanych, ilu zginie w trakcie próby ucieczki?

– Sami powinni zdecydować. Nikt ich nie zmusza. Ale jeśli mają możliwość wyboru, czy nie lepiej zginąć na wolności, niż umrzeć w tym śmierdzącym piekle?

– Tak! – potwierdził jeden z obudzonych mężczyzn. – Idź, Enys! Nie bądź głupcem. Sam chętnie bym uciek!

– Ucieczka! – zawołał od drzwi młody Enwright. – Ucieczka! – Jego krzyki ucichły, gdyż Ellery zatkał mu szorstką dłonią usta.

Dwight spojrzał na stojących nad nim mężczyzn, a później na Rossa. Obliznął spierzchnięte wargi.

– Caroline... jest zdrowa?

– Nie będzie zdrowa, jeśli tu zostaniesz.

– Jestem gotów. Thompson, przekazuję panu dowództwo.

– Tak jest, sir. Niech się pan nie przejmuj. Pójdę za panem, jeśli pojawi się cień szansy.

– Proszę trzymać tu tego młodego głupca – powiedział Ross, wskazując szamocącego się Enwrighta. – Inaczej zaalarmuje całą Francję.

Przekazał mężczyznom młodego kadeta i wyszli z celi. Ross spostrzegł, że Dwight idzie niepewnym krokiem.

– Którędy? – spytał młody lekarz.

– Czy do głównych drzwi można dojść inną drogą niż przez kościół?

– Przez krużganki. Ale w nocy są zamknięte.

– Mam klucze. – Ross pokazał je Enysowi.

– Ach... – Dwight uśmiechnął się boleśnie. – W takim razie poprowadzę.

Podszedł do innych drzwi i się zatrzymał. Kornwalijszczyki zebrali się za nim. Bone niósł drugą latarnię, by oświetlać drogę. Dwight stał nieruchomo. Słuchał.

– Chyba się spóźniliśmy – powiedział.

– Co to takiego?

Ktoś krzyknął, słychać było narastający gwar ludzkich głosów. Później rozległ się strzał z muszkietu. Ledwo ucichł, zaczął bić dzwon na wieży kościoła.

Holender, który opisał Rossowi topografię więzienia, był wyjątkowo dokładny, lecz pomylił godziny zmiany straży. Wartę przy głównej bramie zmieniano nie o dziesiątej, lecz o północy.

Rozdział dziewiąty

– Cóż, może mimo wszystko zostaniemy w tym klasztorze razem z tobą – rzekł cicho Ross. – Jest inne wyjście?

– Nie, nie ma – odparł Dwight. – W kuchni są drzwi na dziedziniec, ale na pewno zaryglowane. Zresztą drzwi do kuchni też są zamknięte.

– Mamy klucze. Prawdopodobnie uda się je otworzyć.

– Tak... Szanse są małe...

Wokół słychać było pomruki budzących się mężczyzn, a na zewnątrz rozlegały się krzyki. Pośpiesznie przeszli przez kolejne pomieszczenie pełne ludzi wyrwanych ze snu. W tej chwili nie mogli iść powoli i ostrożnie: deptali po więźniach, którzy krzyczeli i klęli. Ross, podążający na końcu, pomyślał, że jego uwaga o pozostaniu w klasztorze to spory optymizm. Ktoś będzie musiał ponieść karę za śmierć dwóch strażników...

Drzwi kuchni znajdowały się u stóp schodów. Pośpiesznie wybrane trzy klucze nie pasowały, lecz czwarty obrócił się w zamku i znaleźli się w wielkim pomieszczeniu o łukowatym sklepieniu. W kuchni było niewiele przyborów do gotowania i żadnych zapasów żywności, a pod ścianą na końcu znajdowała się studnia z wiszącym nad nią wiadrem. W palenisku ciągle tlił się żar. Wokół leżały brudne garnki i czuć było zapach przypalonej zupy. Czterech lub pięciu Anglików podbiegło do drzwi, by próbować je wyważyć. Tregirls wzięła od Rossa klucze i wkładała je do zamka. Drugi pasował. Zazgrzytały ciężkie zapadki, ale drzwi ani drgnęły.

– Są zaryglowane od zewnątrz – powiedział Dwight.

– Niech to diabli porwą! Jeśli je wyważymy, będzie huk w całym klasztorze!

– Jacka, weź klucze i zamknij drzwi, którymi weszliśmy – rozkazał Ross. – Na jakiś czas zabezpiecz nam to tyły.

Hoblyn pobiegł wykonać polecenie, a pozostali rozglądali się za czymś, czym dałoby się podważyć drzwi na dziedziniec. Koło paleniska leżał wielki pogrzebacz. Ellery i Tholly podeszli z nim do drzwi, lecz nie znaleźli miejsca, gdzie można by go wsunąć. Zawiasy znajdowały się od strony kuchni, Ross uważał, że są słabsze od grubych dębowych desek. Ale jeśli uwolniono sześciu strażników uwięzionych w wartowni, Francuzi mogli patrolować teren więzienia. Łomot spowodowany wyważeniem drzwi sprawdziłby ich na dziedziniec i czekali by z bronią gotową do strzału, aż Ross i jego towarzysze wyjdą z kuchni. Wyważanie drzwi nie miało sensu.

Dostrzegł dwa małe, wysoko umiejscowione okna. Po wybiciu szyby można by wyrwać kratę. Dotknął dłońmi szkła i nacisnął je, po czym zdjął z szyi chustę i przyłożył do okna, by się nie skaleczyć. Już miał rozbić szybę, gdy Drake chwycił go za rękę.

– Kapitanie Poldark, niech pan patrzy!

– O co chodzi?

– Komin. Zajrzałem do niego. Widać niebo.

Ross zmarszczył brwi.

– I co z tego?

– Mogę tam wejść.

– Jak?

– Jest dostatecznie szeroki, a Jonasowi zostało trochę liny. Obwiążę się nią w pasie i spuszczę na dół, gdy wyjdę na dach.

Podszedł do nich Dwight.

– W palenisku ciągle jest żar, cegły są gorące. Poparzysz się.

– Nie, nic mi nie będzie. Już odgarnąłem żar.

– Jeśli wyjdziemy przez komin, co potem? – spytał Ross. – Znajdziemy się na dachu.

– To lepsze niż siedzieć jak szczury w pułapce – odpowiedział Tregirls. – Wiem, co zrobią żabojady, kiedy znajdą tych, których zabiliśmy.

Ross przestał naciskać szybę.

– Myślisz, że dasz radę wyjść przez komin?

– Tak.

– Bardzo dobrze. Zatem próbuj. – Przez chwilę miał niemiłe wrażenie, że patrzy na Demelzę wspinającą się na drzewa w Namparze. Drake zdjął buty i owinał się w pasie liną, a tymczasem Ross podszedł do drzwi kuchni i nasłuchiwał. Z głównej części klasztoru dobiegały hałasy i krzyki. Kiedy więźniowie się obudzili, prawdopodobnie wszczęli zamieszki i usiłowali się uwolnić, przeszkadzając strażnikom w poszukiwaniach. W tej chwili o wszystkim decydowały minuty.

– Zabarykadujcie drzwi, czym się da – zwrócił się do Hoblyna. – Podeprzyjcie je stołem.

Z paleniska wygarnięto żar i zalano go wodą; kuchnię wypełnił dym zmieszany z parą. Drake położył drewnianą stolnicę w miejscu, gdzie poprzednio płonął ogień. Stał na niej i uniósł latarnię, by obejrzeć komin. Zauważył kilka występów, których mógł się chwycić, jednak nie było szczebli dla kominiarzy jak w angielskich kominach. Zaczerpnął tchu i ruszył do góry.

Po przebyciu kilkudziesięciu centymetrów miał pęcherze na dłoniach i przepalone pończochy. Później komin zaczął się zwężać i temperatura ścian była nieco niższa. Drake zapierał się plecami i nogami o przeciwległe ściany: nierówne cegły pozwalały powoli się wspinać.

Na szczycie komin jeszcze bardziej się zwęził. Drake przebył około sześciu metrów i zostały mu jeszcze dwa. Miał sadzę w oczach, w nosie i we włosach, ale kiedy spojrzał w górę, dostrzegł gwiazdy. Zamrugnął, zakasłał i wyciągnął rękę, szukając następnego chwytu. Nie mógł go znaleźć.

Z dołu ktoś krzyknął i Drake odpowiedział, że wszystko w porządku. Chociaż nie wszystko było jeszcze w porządku. Wyginając plecy i opierając się o ścianę głową i pośladkami, zdołał się podciągnąć jeszcze kilkadziesiąt centymetrów, później dziesięć, później znów dziesięć. Szczyt komina był bardzo blisko. Wyciągnął rękę i wymacał krawędź ostatniej cegły. Usiłował chwycić ją palcami. Najpierw się ześlizgnęły, lecz po chwili zdołał się zaczepić. Wyrzucił do góry drugą rękę i przez sekundę wisiał na szczycie komina, machając nogami. Jedna ze stóp znalazła płytkie wgłębienie, gdzie odpadł cement. Wierzgnął kilka razy i znalazł się na dachu.

Po kolei wyszli przez komin. Dwight był przedostatni, musieli obwiązać go liną w pasie i wyciągnąć. Ross wydostał się na dach na końcu. Kiedy opuszczał kuchnię, Francuzi głośno walili w drzwi. Mogły wytrzymać trzy lub cztery minuty.

Ceglany komin miał wysokość około stu dwudziestu centymetrów i stał na szczycie stromego dwuspadowego dachu. Ross i jego towarzysze byli niewidoczni z ziemi, ponieważ zasłaniały ich sąsiednie dachy. Ross widział pralnię, znajdującą się na północy, gdzie błyskało teraz wiele świateł, i dwa inne budynki budzące się do życia.

– Jeśli przedostaniemy się na dach refektarza, będziemy mogli stamtąd zeskoczyć na ziemię – powiedział Dwight. – Dachy łączą się ze sobą, są coraz niższe, na końcu mają tylko dwa i pół metra.

– Gdzie się znajdziemy?

– Na tyłach głównego budynku klasztoru. Dalej jest obora, to osobny budynek, a za nią pastwisko dla krów i stok prowadzący do muru.

– Poprowadzisz? Bone pomoże ci iść.

– Poprowadzę.

– Zdejmijcie buty – zwrócił się Ross do swoich towarzyszy. – I, na litość boską, nie róbcie hałasu. Jeśli nas usłyszą, już po nas.

Posuwali się wzdłuż stromego dachu, Dwight i Bone na początku, a Ross i Drake na końcu.

Kiedy dotarli do dachu refektarza, pojawił się problem, ponieważ parterowy budynek znajdował się prawie trzy metry niżej. Bone zszedł na dół jako pierwszy z pomocą towarzyszy, po czym delikatnie opuszczono Dwighta. Reszta kolejno podążyła za nimi. Usłyszeli krzyki na terenie więzienia, a następnie strzał z muszkietu.

Dwight poprowadził ich gzymsem, dobrze widocznym z dołu. Po niebie płynęło kilka chmur, zasłaniając gwiazdy, lecz było zbyt jasno, by czuli się bezpiecznie. Dach ozdabiały w tym miejscu gargulce i kamienne posągi. Skradali się i przemykali między nimi, po czym zeskoczyli na kolejny dach, znajdujący się dość nisko nad ziemią.

– Możesz biegać? – spytał Enysa Ross.

– Na niewielką odległość.

– Dokąd teraz?

– Widzisz oborę? Musimy się do niej dostać, a potem przejść przez otwarte pole i skręcić na południe przy bramie. Jest tam stary sad. Wiosną jeden z więźniów uciekł, wdrapując się na jabłoń rosnącą przy murze: jej gałęzie przechodzą na drugą stronę.

– Nie ma innych furt oprócz tej od frontu?

– Są. Ale stale zamknięte na kłódki. Strażnicy najpierw je sprawdzają.

Ross obrócił się w stronę towarzyszy, którzy w milczeniu otoczyli jego i młodego lekarza.

– Słyszeliście?

Skinęli głowami.

– Bone i doktor Enys pójdą przodem, a ja i Tregirls na końcu. Jeśli nas odkryją, nie siedźcie w jednym miejscu: rozproście się i spróbujcie przejść przez mur. Nasza największa nadzieja to sad. Ci z nas, którym uda się przejść przez mur, niech nie czekają, tylko biegają w stronę statku, ukryją się w pobliskim lesie i czekają. Jeżeli reszta nie pojawi się do jutra do południa, trzeba przyjąć, że zostali schwytani, i odpłynąć, gdy poziom wody dostatecznie się podniesie. Ruszajcie.

Bone zeskoczył na ziemię i złapał spadającego Dwighta. Obaj potoczyli się po gęstej trawie. Kiedy wstali, reszta podążyła za nimi. Biegli przez pole w stronę obory, by schronić się w jej cieniu. Nagle zza rogu głównego budynku wypadło kilka postaci i rozległ się strzał z muszkietu.

Bone i Dwight znajdowali się już blisko obory. Opuścili zacienione miejsce i pobiegli w stronę pola. Przy rogu obory Ross chwycił Tholly'ego za zdrową rękę.

– Musimy im dać trochę czasu.

Kryli się w cieniu. Nadbiegło dwóch mężczyzn, jeden z muszkietem w ręce. Ross uderzył go kolbą pistoletu. Drugi w porę zauważył Tregirlsa, uchylił się i usiłował zdzielić Tholly'ego szablą w głowę. Tholly odparował cios żelaznym hakiem, krzesząc fontannę iskier. Ross po raz drugi uderzył tego, który próbował wstać. Ruszył w stronę Tregirlsa i drugiego Francuza, którzy upadli na trawę. Wyciągnął rękę, chwycił Francuza za but i przewrócił go twarzą do ziemi, a Tholly przebił go hakiem. Strażnik jeszcze sięgał po sztylet, ale Ross w porę zainterweniował.

Podążyli za pozostałymi. Nagle obok przeleciała kula z muszkietu. Wydawało się to dziwne, bo Ross nie usłyszał strzału, tylko odgłos pocisku uderzającego w ziemię. Znaleźli się wśród stada krów i na razie byli bezpieczni. Później znów wyszli na otwartą przestrzeń – minęli bramę i skręcili w prawo. Tholly musiał się zatrzymać i pochylić, by złapać oddech.

– Krowy! Wziąłem tę z białym pyskiem za Francuza!

Ross wyteżył wzrok.

– Nie widzę naszych.

Tholly wyprostował się, oddychając chrapliwie. Ruszył za Rossem, który szedł kilka kroków przed nim. Dotarli, zgarbieni, do kępy drzew. Nagle wyrosła przed nimi jakaś postać.

– Wróciłem – rzekł Drake. – Zastanawiałem się...

– Posłuchaj, chłopcze – przerwał Tholly. – Myślałem, że jesteś Francuzem. Mój nóż nie rozróżnia narodowości...

– Gdzie oni są? – spytał Ross.

– Tam, przy drzewie. Łatwo się na nie wdrapać i wejść na mur. Sid i doktor są prawie po drugiej stronie.

Przedzierał się przez jeżyny i pokrzywy. Jeśli po wygnaniu zakonnicy ktoś utrzymywał porządek na terenie klasztoru, z pewnością nie zajmował się sadem. Ciemne postacie zbiły się w grupkę.

– Idźcie! – rzucił z irytacją Ross. – Nie ma na co czekać!

Następny wspiął się na drzewo Hoblyn. Na tle nocnego nieba ukazała się na moment jego sylwetka, po czym precyzyjnie przesunął się między metalowymi kolcami i zeskoczył z muru. Później Jonas i Ellery. Kiedy Ellery wyprostował się, by skoczyć, gdzieś bardzo blisko rozległ się strzał z muszkietu. Następny był Tregirls, a ponieważ nie miał jednej ręki, wdrapał się na drzewo z pomocą Joego Nanfana. Dotarł do muru i podniósł się, by skoczyć, gdy znowu rozległ się strzał. Nie był to przypadek. Ktoś ich widział.

– Skacz, głupcze! – syknął Ross, ale Nanfan spostrzegł, że strzały padają z bardzo bliska, i cofnął się między liście. Strzelec był prawdopodobnie jeden, a zwłoka pozwalała mu ponownie nabić broń.

– Nie! – syknął Drake. – Skacz!

Nanfan stał gotowy do skoku. Rozległ się następny strzał. Nanfan się zachwiał, zrobił krok i zniknął między kolcami na szczycie muru.

– Szybko! – szepnął Ross. – Teraz, szybko!

Drake wspiął się jak kot i przedostał na mur. Powinien natychmiast zeskoczyć po drugiej stronie, ale tego nie zrobił: stał przez kilka długich sekund, kołysząc się do przodu i do tyłu, jakby się wahał. Ross, który znajdował się w połowie wysokości drzewa, zaklął i kazał mu skakać. Po chwili padł czwarty strzał z muszkietu, Drake pochylił się do przodu i skoczył. Ross bez trudu przedostał się przez mur.

Znaleźli się w kolejnym sadzie, w którym rosły niewielkie jabłonie; prawdopodobnie uprawiano tam owoce na cydr. Anglicy zebrali się wokół leżącej postaci. Ross myślał, że to Drake, lecz młody człowiek zbliżył się nagle w wysokiej trawie.

– To Joe. Jest ciężko ranny.

Koło Nanfana klęczał Dwight. Było ciągle zbyt ciemno, by dobrze widzieć, ale dało się dostrzec, że kula trafiła Nanfana w bok głowy i urwała część ucha. W dalszym ciągu tkwiła w czaszce. Jeszcze żył. Drgały mu powieki.

– Nic nie mogę zrobić – rzekł Dwight. – Nikt nie może nic zrobić.

– Boże, potrzebujemy światła! – szepnął Ross.

– Musimy go zostawić! – powiedział Tregirls. – Inaczej wszyscy skończymy tak jak on.

– Ja zostanę – wtrącił Drake. – Idźcie. Dogonię was, jeśli będę mógł.

– Nie bądź głupcem, chłopcze! – warknął Ross. – Wiedzą, którzy uciekliśmy. Kiedy ten strzelec powie reszcie...

– Chcę zostać! – przerwał Drake. – Nie obchodzi mnie to!

– Przyjechałeś tu pod moim dowództwem! – rzucił Ross. – Wszyscy odpłyniecie, jak uzgodniliśmy. Zostanę z Nanfanem aż do...

– Nie – przerwał Ellery. – To mój towarzysz. Pracowaliśmy razem prawie trzy lata i...

– Nie ma potrzeby przy nim czuwać – rzekł cicho Dwight i wstał. – Nie żyje.

Przeszli przez sad, później jeszcze jeden i jeszcze jeden: we wszystkich rosły jabłonie, z których owoców wyrabiano cydr. Oddalali się od klasztoru, lecz również od rzeki, gdyż skręcali na północ. Przeszli słyszeć odgłosy pościgu i starali się obejść niebezpieczny rejon. Jednak Dwight nie był w stanie utrzymać się na nogach, a niesienie go znacznie spowalniało marsz. Później z tyłu zaczął zostawać Drake. Na początku myśleli, że bolą go nogi, ale o brzasku Ross zauważył, że chłopak trzyma się za bark. Podszedł do szwagra i zobaczył, że ten ma rękaw przesiąknięty krwią. Drugi strzał okazał się celny. Francuski strzelec wyborowy oddał cztery strzały w nocy, tylko przy świetle gwiazd, i dwa razy trafił. Wiele mówiło to o jego umiejętnościach i wzroku.

W dalszym ciągu nie było wiadomo, czy Anglicy mają jakieś szanse na dotarcie do statku. O świcie okrążyli

Quiberon i znaleźli się na wzgórzu, skąd mogli obserwować miasto. Podążali we właściwą stronę w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara. Ich lugier był zacumowany po tej stronie rzeki. Kiedy odkryli, że Drake jest ranny, Dwight założył mu tymczasowy opatrunek, by powstrzymać krwawienie. Wkrótce zrobiło się zupełnie jasno – na szczęście dzień był nieco mglisty. Weszli do lasu, który sprawiał wrażenie nietkniętego ludzką stopą. Dwight zmobilizował resztki sił i dokładnie obejrzał ranę Drake'a. Rana wlotowa znajdowała się nad pachą, a wylotowa pod łopatką. Wielkość i umiejscowienie rany wylotowej sugerowały, że kula strzaskała część kości, a odłamki wyszły z ciała wraz z pociskiem.

Dwight niewiele mógł zrobić. Nie miał wody potrzebnej do przemycia rany ani czystych szarpi. Ponownie założył tymczasowy opatrunek i przywiązał Drake'owi ramię do piersi bandażami wykonanymi z podartych koszul, by powstrzymać krwawienie. Chłopak stracił dużo krwi. Wszystko zależy od szczęścia, pomyślał Ross. Wielu ludzi wylizało się z gorszych ran. Wielu zmarło wskutek mniejszych.

W świetle dnia wyglądali żałośnie. Byli podrapani, posiniaczeni i umorusani sadzą z komina. Ręce Dwighta, pokryte brązowymi plamami, przypominały dłonie starca, a skóra na twarzy miała niebieskawy odcień chudego mleka, który podkreślał czerwone plamy charakterystyczne dla szkorbutu. Młody lekarz mówił słabym, ochrypłym głosem. Gdyby natychmiast zabrano go do wygodnego domu, pojono ciepłym mlekiem, rosółem z kury i winem, niewątpliwie zacząłby dochodzić do zdrowia. Ale dzień spędzony na otwartym powietrzu, bez jedzenia, a następnie trudy tygodniowej podróży morskiej mogły go zabić. Ross przeklinał samego siebie. Miał wyrzuty sumienia z powodu śmierci Nanfana. Jeśli teraz wróci do Anglii z nieżyjącymi Drakiem i Dwightem, czy kiedykolwiek będzie w stanie sobie wybaczyć?

W tej chwili musiał w dalszym ciągu pełnić funkcję przywódcy tej zuchwałej, absurdalnej eskapady. W pewnym sensie odniósł sukces, uwolnił Dwighta, a w przypadku tak trudnego przedsięwzięcia śmierć jednego uczestnika wyprawy nie jest zbyt wygórowaną ceną. Dowódca plutonu uznałby, że jego oddział poniósł niewielkie straty. Ale Ross, mimo doświadczenia wojskowego, nie był normalnym dowódcą, a jego towarzysze nie tworzyli normalnego plutonu. W tej chwili pilnie potrzebowali żywności i wody. Na pokładzie lugra – jeśli go nie skradziono – znajdowały się wystarczające zapasy. Ale nie mogli maszerować na otwartej przestrzeni, schronić się na statku i wypłynąć w ciągu dnia, ponieważ musieli pokonać rzeką piętnaście kilometrów dzielące ich od morza. Na razie wydawało się, że są względnie bezpieczni, prawdopodobnie z powodu dramatycznej sytuacji na południu. W całym Quimper mogło pozostać co najwyżej dwudziestu strażników – a po wydarzeniach zeszłej nocy przynajmniej kilkunastu pełniło ciągłą wartę.

Niewątpliwie mieli przeciwko sobie wszystkich okolicznych wieśniaków, ale uzbrojonych w najlepszym razie w widły. Ellery zgubił gdzieś pistolet, lecz pozostały jeszcze dwa.

W dole, na południu, w kępie buków dymił komin. Widzieli w oddali miasto i lśniąca rzekę; na zachodzie znajdowała się farma.

– Tam jest woda – powiedział Tholly, wyciągając rękę. – Można poznać po wierzbach.

– Nie możemy się tam dostać. Musielibyśmy iść na otwartej przestrzeni.

– Woda spływa z góry. Jeśli odkryję, jak biegnie strumień, może uda mi się do niego dotrzeć, nie schodząc na otwarty teren. Poza tym są krowy. Można je wydoić.

– Wobec tego weź Jonasa. Sprawdźcie, co uda się wam znaleźć. Ale nie ryzykujcie. Lepiej pościć przez jeden dzień, niż mieć na głowie stu żołnierzy.

Tregirls i Jonas wyruszyli o szóstej i wrócili dopiero o ósmej. Przynieśli wodę w kapeluszu Jonasa i mleko w kapeluszu Tholly'ego. Rozdzielili je wśród towarzyszy. Dwight dostał trochę więcej mleka.

– W Anglii poszlibyśmy za to do więzienia – zauważył Ellery. – W osiemdziesiątym ósmym mój kuzyn dostał dwa miesiące więzienia za wydojenie krowy sąsiada. Sędziowie powiedzieli, że to się za często zdarza.

Przez długi poranek jedni drzemali, inni obserwowali okolicę. Drake zgubił buty w czasie ucieczki i obwiązał sobie poranione stopy szmatami. Około południa Jonas znów wybrał się na poszukiwanie żywności, tym razem z

Ellerym, i po godzinie wrócili z dwoma jajami kokoszki wodnej. Jedno zjadł Dwight, drugie zaproponowano Drake'owi. Chłopak powiedział, że nie jest głodny, więc zachowano je dla Dwighta na później.

Dzień niemiłosiernie się dłużył. Zauważyli kobietę, która przysłała po krowy, i wieśniaka stawiającego stóg. Wokół biegał szczekający pies, ale na szczęście znajdowali się za daleko, by wyczuł ich zapach. Widzieli błotnisty brzeg rzeki, a później kilka płynących łodzi żaglowych, gdy zaczął się przyływ. Dzień był bezwietrzny i nad miastem unosiła się delikatna mgiełka dymu z kominów. Słońce zasłonił podłużny obłok. Ross z niepokojem obserwował niebo. Burza byłaby katastrofą, podobnie jak martwa cisza.

Kiedy dotarli do klasztoru, myślał, że w razie sukcesu nie będą musieli wracać do lugra, tylko pójść pieszo do morza i porwą inny statek rybacki nadający się do żeglugi przybrzeżnej. Powrót na Sarzeau był ryzykowny. Mogło się okazać, że lugier skradziono lub że na pokładzie czekają na nich żołnierze. Jednak w tej chwili nie mieli wyboru. Dwight ani Drake nie mogli przejść dwudziestu kilometrów.

Ross usiadł obok Drake'a, który leżał w pobliżu krzaka i oglądał swoje poobcierane stopy, starając się nie ruszać zranioną ręką. Ross miał wrażenie, że twarz chłopca lekko się zaróżowiła, i nie podobało mu się to.

– Jak się czujesz?

– Dobrze, sir, dziękuję.

– Myślisz, że będziesz w stanie iść, gdy przyjdzie pora?

– O tak. Te szmaty nie są tak dobre jak buty, ale mogę chodzić, jeśli omijam ostre kamienie.

– A twój bark?

– Trochę zeszywniał.

Zapadło milczenie. Jeśli pojawi się tu ten przeklęty pies... – pomyślał Ross.

– Dlaczego wczoraj w nocy tak długo wahałeś się na murze? – spytał.

– Wahałem się?

– Wiesz, że tak było. Obracałeś się w obie strony.

– Nie byłem pewien, gdzie skoczyć.

– Chyba kłamiesz.

Drake poruszył się, lecz milczał.

– Chciałeś, żeby cię zastrzelono? – spytał Ross.

– Nie! Nie jestem taki głupi!

– W takim razie próbowałeś ściągnąć na siebie następny strzał, czy tak? Żebym mógł przejść bezpiecznie, gdy Francuz będzie ładował muszkiet?

– Chce mi się pić – powiedział Drake. – Zostało coś jeszcze w tym kapeluszu?

Ross przyniósł mu trochę wody.

– Posłuchaj, chłopcze. Jeśli będę chciał, by ktoś dokonywał bohaterских czynów ze względu na mnie, poproszę o to.

Drake uniósł zabandażowaną rękę i otarł wargi.

– Nie wiedziałem, gdzie skoczyć.

Rozdział dziesiąty

Wyruszyli, gdy na niebie znikły resztki łuny zachodzącego słońca. Marsz w dół był długi i męczący, ponieważ musieli omijać ludzkie siedziby, nawet zabudowania gospodarcze i szalasy. Wszędzie mógł się pojawić parobek wracający z pola i chociaż w ciągu dnia nie zauważyli żadnych oznak pościgu, wszyscy mieszkający w promieniu trzydziestu kilometrów musieli już słyszeć o napadzie na klasztor. Wiele zależało od tego, czy w pobliżu stacjonuje oddział kawalerii. Jeśli tak, żołnierze mogą tu dotrzeć do rana. Nie wspominając o agentach z Brestu albo Concarneau.

Grupę prowadzili Ross i Tregirls. Obaj mieli doświadczenie wojskowe i przed opuszczeniem pokładu Sarzeau dokładnie zapamiętali, gdzie zacumowano lugier. W mroku oświetlonym słabym światłem księżyca trudno odnaleźć miejsce na brzegu obcej rzeki.

Szli przez dwie godziny. Maszerowali dwójkami. Bone pomagał Dwightowi, a Ellery Drake'owi. Pochód zamykali Jonas i Hoblyn. Znajdowali się teraz kilkaset metrów od rzeki, nieco poniżej punktu, gdzie pozostawili lugier. Ross skierował grupę z powrotem w stronę miasta, gdy nagle Tholly uniósł hak. Wszyscy znieruchomieli. Słysząc tylko oddech Tholly'ego, przypominający bulgotanie czajnika.

Ross cofnął się o krok i stanął obok Tregirlsa, który uniósł zdrową rękę i coś wskazał. Wokół rozlegały się naturalne wieczorne dźwięki: świergot ptaków, plusk wody, szelest liści, skrzeczenie mewy w oddali. Ale nie było wiatru, więc szelest musiał mieć inne źródło. Czekali.

Kroki. Bardzo ostrożne, coraz bliższe. Las był w tym miejscu dość gęsty i mieli szczęście, że to oni w porę usłyszeli zbliżających się ludzi, a nie odwrotnie – zawdzięczali to dobremu słuchowi Tholly'ego. W czasie marszu odsuwali liście paproci, łodygi jeżyn i niskie gałęzie drzew. Podążali ścieżką, lecz bardzo zarosniętą, prawie nieużywaną w tym roku. Po kolei ukryli się w krzakach z obu stron. Kroki ucichły. Tholly wyjął nóż. Przytłumione głosy. Nieznajomi mijali ich tak blisko, że prawie można było ich dotknąć. Ktoś musnął ramię Rossa, który obejrzał się gniewnie za siebie. Był to Dwight.

– To Anglicy. Dwóch. Chyba widziałem ich w więzieniu.

Kroki ponownie ucichły. Nieznajomi musieli usłyszeć szept Dwighta.

Ross uniósł rękę, by powstrzymać młodego lekarza, lecz jeden z nieznajomych rzucił się nagle do ucieczki, i Dwight powiedział głośno:

– To ja, Enys. Jesteście z klasztoru?

Drugi mężczyzna jeszcze nie uciekł. Skradał się w krzakach w ich stronę. Tholly uniósł nóż.

– Enys? – spytał czyjś głos. – Nazywam się Spade, porucznik Spade. Gdzie pan jest? Niech pan się odezwie.

– Tutaj. Daj spokój, Tregirls, to przyjaciele.

Ten, który uciekał, zatrzymał się. Przepisnęli się przez krzaki i popatrzyli na siebie w ciemności. Dwaj obszarpani mężczyźni wyglądający jak uliczni żebracy.

– Armitage – przedstawił się drugi. – Chyba już się spotkaliśmy.

Ross skinął głową.

– Jesteście sami? Ktoś wam towarzyszy?

– Sami. Uciekło nas może dwunastu, ale dla bezpieczeństwa podzieliliśmy się na dwójki.

Mówili ściszymi głosami. Ross uniósł rękę. Wszyscy umilkli i nasłuchiwali, lecz nie pojawiły się żadne niepokojące szelesty.

– Co się wydarzyło w klasztorze? – spytał Ross.

– Uwięziliście strażników? Wartownicy przy bramie zorientowali się, że ich koledzy zniknęli, po czym uwolnili

związanych. Następnie weszli do więzienia z latarniami i zaczęli was szukać. Ten przeklęty młody Enwright wszczął panikę. Wpadł do kościoła, krzycząc: „Ucieczka! Ucieczka!”. Chociaż może to pomogło, bo więźniowie rzucili się do drzwi i nawet strażnicy nie byli w stanie ich zatrzymać. Nie wiem, ilu ludzi stratowano, ale przeszło dwudziestu dobiegło do murów i zaczęło przechodzić na drugą stronę. Obawiam się, że opuściłem swoje stanowisko w izbie chorych, Enys, ale bardzo zależało mi na wolności – zakończył Armitage.

– Wszystkim zależało na wolności – zauważył Dwight.

– Przez cały dzień nic nie jedliśmy – rzekł Spade. – Macie coś do jedzenia albo picia?

– Nic. Ale przy płynęliśmy tu statkiem. Jeśli go nie ukradziono, są tam zapasy żywności i wody.

Grupa Anglików, powiększona o dwie osoby, znów ruszyła naprzód. Ross zdawał sobie sprawę, że obecność Spade'a i Armitage'a nie zwiększa szans na wydostanie się z Francji. Lecz uratowanie trzech więźniów zamiast jednego sprawiało, że cała wyprawa wydawała się bardziej uzasadniona.

Dotarli w pobliże miejsca, gdzie rzeka zmieniała się w rozlewisko. Woda lśniła i odbijał się w niej zachodzący sierp księżyca. Ross z ulgą poczuł na twarzy lekki wietrzyk.

– Zniknął! – szepnął Ellery. – Zostawiliśmy statek przy tamtym drzewie!

– Nie, zaczekaj – odpowiedział Tholly. – Drzewo nie było takie pochyle. Tak, to następne!

Szli po trawiastym brzegu i rozglądali się w ciemności. Nic nie widzieli, żadnych masztów, żadnych... Nagle Tholly pobiegł do przodu i uniósł wysoko hak. Lugier w dalszym ciągu stał przy brzegu z pochylonymi masztami, osiadły głęboko w błocie.

Ross odczekał chwilę, powstrzymując Dwighta, Drake'a i Bone'a, gdyż obawiał się zasadzki. Ale spokoju śpiącego lasu nie zmaćcił strzał i w końcu ruszyli naprzód, pogodzeni z losem. Jeśli na pokładzie kryją się żołnierze, wszyscy uczestnicy wyprawy są zgubieni. Jeśli nie, jeśli nie pojawi się pościg, muszą przeczekać kilka godzin, aż zacznie się przypływ.

Pod pokładem Sarzeau mieściła się spora ładownia. Za grotmasztem znajdował się schowek na zapasowe żagle, a dalej duży magazyn na ryby. Jeszcze dalej schowek na sieci, a za nim kajuta zbudowana wokół bezanmasztu, który stał w środku pomieszczenia. Kajuta miała około trzech metrów długości i dwa i pół metra szerokości. Umieszczono w niej Dwighta i Drake'a.

Przynajmniej mieli w tej chwili wodę i chleb z lekko zjełczalym masłem. Wszyscy coś zjedli. Ross, prawie nie mogąc uwierzyć, że udało im się odnaleźć lugier, nie pozwolił nikomu chodzić po pokładzie ani rozmawiać. Muszą czekać na przypływ, leżąc jak martwi.

Wreszcie poziom wody zaczął się podnosić, na początku tak powoli, że prawie niezauważalnie. Trudno było uwierzyć, że wielki statek rybacki wyprostuje się i uwolni z błota. W czasie długiego oczekiwania mieli wrażenie, że noc staje się coraz ciemniejsza i że za każdym z okolicznych drzew kryje się żołnierz. W połowie przypływu dwukrotnie minęły ich łodzie wiosłowe: jedna płynęła w dół rzeki, a druga w górę. Patrol strażników czy ktoś wracający późno do domu po schadzce miłosnej? Nad strumieniem stale rozlegał się skrzekliwy głos lelka.

Przypływ zaczął się dwie godziny później niż w dniu, gdy dotarli do Quiberon. Może woda nigdy nie osiągnie tego samego poziomu? Może poziom rozlewiska wzrasta do poprzedniej granicy tylko wiosną w czasie nowiu lub pełni? Są tak blisko, a zarazem tak daleko od morza. Czy mimo wszystko nie powinni ruszyć pieszo w stronę wybrzeża, niosąc Dwighta i Drake'a?

Lugier zaczął się prostować. Nieskończenie powoli, podobnie jak przypływ, powoli jak ciasto rosnące w czasie pieczenia chleba, powoli jak śmierć. Wreszcie uwolnił się z błota i zakołysał na wodzie.

Minimalna załoga: Tregirls przy rumplu, Bone i Ellery stawiający żagle, reszta pod pokładem. Bogu dzięki, że tej nocy wieje lekki wiatr.

Wciągnęli cumy. Lugier zaczynał reagować na ster. Ellery odepchnął statek żerdzią od brzegu i wypłynęli na rzekę.

Wiatr był słaby, zmienny. W dolinie rzeki chwilami zamierał; później nabierał siły, wiejąc z innego kierunku, po

czym znów zamierał. Żagle wypełniały się, łopotały. Wypełniały się, łopotały. Płynęli powoli przez rozlewisko.

Po jakimś czasie Ross ku swojemu przerażeniu spostrzegł, że nie zbliżają się do początku rozlewiska, lecz od niego oddalają. Przyływ znosił lugier w stronę miasta.

Ross zbliżył się do Tregirlsa.

– Potrafisz wyprowadzić stąd statek? Znosi nas do tyłu.

– Spróbuję, kapitanie. Ale ten po trzykroć przeklęty wiatr prawie zdechł.

– Myślisz, że jest dość płytko, by Ellery popychał lugier żerdzią?

– Nie pod prąd.

Ross ukrył twarz w dłoniach.

– Mój Boże! Niech się smażyć w piekle!

– Nie, nie mógł pan tego przewidzieć. Może uda się stanąć na kotwicy?

– Na środku rozlewiska, zaledwie trzy kilometry od miasta? Ktoś wkrótce nas zobaczy, jeśli już nas nie zauważono. Później wyślą posłańca i zamkną przesmyk Vire-Court.

– Może zdołamy wykonać zwrot i wrócić tam, skąd przy płynęliśmy. Za kilka godzin zacznie się odpływ.

– Nie, płynmy naprzód. Powinniśmy skrócić w stronę drugiego brzegu. W ciemności wydają się prawie takie same, ale mam wrażenie, że woda jest tam głębsza.

Sunęli powoli po wodzie, przez cały czas się cofając. Kiedy zbliżyli się do przeciwnego brzegu, Tholly ledwo zdołał wyrównać kurs. Bone rzucił kotwicę i zwinęli żagle. Jacka Hoblyn ostrożnie wystawił głowę z luku.

– Co się dzieje?

– Odbiliśmy za wcześnie. Powiedz reszcie. Musimy poczekać, aż prąd się odwróci.

Zapadło milczenie. Wokół dziobu cicho pluskała woda.

– Nie jest tu gorzej niż w tamtym miejscu, kapitanie – rzekł Tholly. – Kto wolałby czekać?

– Żeglarz by poczekał – odparł Ross. – Albo człowiek mający choć odrobinę rozumu. Zasługuję na przegraną.

– Nikt nie zasługuje na przegraną – odparł Tholly i kilka razy odetchnął chrapliwie. – Światem rządzą inne zasady. Ludzi nie spotyka to, na co zasługują. Miałem szczęście, prawda, kapitanie?

– Modlisz się czasami, Tholly? – spytał Ross.

– Nie bardzo. Dobrze pan o tym wie.

– Więc teraz się pomódl.

Kilka godzin później – a może dni – wiatr znowu się wzmógł i zaryzykowali wypłynięcie na środek rzeki. Było jeszcze ciemno, wiatr stał się bardziej przewidywalny i poziom wody przestał wzrastać. Płynęli w ciszy na południe, w stronę przesmyku, gdzie zaczynało się rozlewisko.

W okolicach Quiberon rzeka nieustannie zmieniała kierunek: czasem płynęła w głąb lądu, czasem ku morzu i nieruchomiała tylko na moment przed końcem przyływu. W środek dotarli tu tylko dzięki wyjątkowemu szczęściu, choć nie zdawali sobie z tego sprawy. Przy wietrze takim jak dziś nie mieli żadnej szansy płynąć pod prąd. Teraz posuwali się do przodu prawdopodobnie nieco szybciej niż łódź wiosłowa. Mijali zalesione wzgórza i z każdą chwilą niebezpieczeństwo było coraz mniejsze. Niebo się rozjaśniło, a później pociemniało, gdy przepłynęły po nim chmury. Zbliżał się świt.

Zostawili za sobą wawóz i płynęli rzeką, która stawała się szersza. Między pochylonymi drzewami mignęły zarysy wielkiego dworu. Nie znajdowali się daleko od morza, lecz musieli jeszcze przepłynąć przez wąski przesmyk obok Bénodet, w rejonie ujścia. Mogły tam czekać na nich łodzie pełne żołnierzy. Rossowi nie przyszło do głowy, by zmienić ludzi na pokładzie; podobnie jak nie przyszło mu do głowy, by zejść pod pokład. Nadeszła decydująca chwila, a Bone i Ellery byli najlepsi.

Tregirls oddychał chrapliwie przez czarne, zniszczone zęby. Ross popatrzył na niego i uznał, że wygląda jak prawdziwy pirat. Tygodniowy zarost, wielka blizna od noża na pomarszczonym policzku, posiwiałe włosy rozwiewane przez wiatr, wyszczerzone zęby, ręka trzymająca rumpel i żelazny hak wbity w drewnianą burtę, by

utrzymać równowagę. Zeszedł nocy bez mrugnięcia okiem zabił dwóch Francuzów, jakby rozgniał muchy.

Tholly spojrzął na Rossa i skinął głową.

– Świta, kapitanie.

Ross uświadomił to sobie w tym samym momencie. Twarz towarzysza stała się lepiej widoczna.

– Jak daleko jeszcze? Trzy kilometry?

– Och, mniej. Tylko kawałek. Widzi pan kościół na wzgórzu? Mijaliśmy go na samym początku.

Ross spojrzął na kościół, a później zerknął do tyłu. W świetle poranka widać było zakole rzeki, które niedawno przepłynęli. Zauważył trzy łodzie, potem czwartą.

– Ten kawałek może się okazać za długi.

– Co pan ma na myśli, kapitanie? – Tholly obejrzał się za siebie i odruchowo szarpnął rumpel, aż lugier zmienił kurs. – Matko Boska! Jesteśmy załatwieni! Płyną za nami przez cały czas!

Pojawiły się dwie następne łodzie, później jeszcze jedna. Znajdowały się dość daleko za Sarzeau, poza zasięgiem strzału z muszkietu, lecz szybko się zbliżały.

– Trzeba wywołać wszystkich na pokład! – zawołał Tholly. – Siedmiu zdrowych mężczyzn, a pod pokładem mamy cztery *fusils*. Nie pójdzie im z nami łatwo! John! Jim! Spróbujcie postawić kliwer. Niech wam pomoże Jacka i jeszcze ktoś! Musimy spróbować przyśpieszyć.

Ross pociągnął go za rękaw.

– Chwileczkę, Tholly! Czekaj! Czekaj!

Dwaj wezwani mężczyźni przeszli na rufę, a Jacka obrócił głowę, słysząc podniesione głosy.

– Co się dzieje, kapitanie? – spytał Tholly.

– Popatrz jeszcze raz, popatrz uważnie – odparł Ross. – Myślisz, że te łodzie nas ścigają? Nie sądzę. To po prostu rybacy z Quimper, którzy wychodzą w morze, korzystając z porannego przypyływu.

Płynęli dalej. W sumie podążało za nimi jedenaście łodzi. Ponieważ rybacy lepiej znali wiatry i prądy, zaczęli ich doganiać. Jeśli Ross się nie pomylił, ich obecność była korzystna, a nie niebezpieczna. W przesmyku koło Bénodet stały przy brzegu dwa statki ze zwiniętymi żaglami, a na ich pokładach znajdowali się żołnierze, którzy wyglądali na zaniepokojonych. Bez trudu schwytałiby każdy lugier. Nie próbowali zatrzymać Sarzeau. Wchodził w skład flotylii łodzi rybackich wyruszających na poranny połów.

Dotarli do ujścia rzeki Odet i wypłynęli na wzburzone morze. W tej chwili istniało niebezpieczeństwo, że rybacy, którzy musieli się zorientować, że jest wśród nich obcy statek, spróbują go opanować. Sarzeau znajdował się w dalszym ciągu około czterystu metrów przed Francuzami. Anglicy zrefowali żagle i popłynęli na południowy zachód, by okrążyć przylądek Penmarch. Obserwowali z niepokojem kutry rybackie, lecz jeden po drugim skrzyły na południowy wschód. Ich kadłuby skryły się za horyzontem, aż wreszcie zupełnie zniknęły.

Długie oczekiwanie na przypyływ nie tylko nie udaremniło ucieczki, lecz stało się wręcz przyczyną sukcesu.

Przez cały dzień oddalali się od wybrzeża Francji, stale nabierając otuchy. Wydawało się mało prawdopodobne, że ktoś mógłby uniemożliwić im dotarcie do Anglii, bo żaden francuski okręt wojenny nie ścigałby francuskiego lugra. Gdyby natknęli się na angielskie okręty wojenne, nic by im nie groziło.

Przygotowali kromki chleba polane gorącą wodą, posmarowane masłem i posypane odrobiną soli. Mieli żywności na kilka dni i przy odrobinie szczęścia powinni dotrzeć do Anglii, zanim zapasy się wyczerpią. Dwight dochodził do siebie dzięki posiłkom. Siedział na dziobie lugra z włosami rozwianymi przez ciepły wiatr i jego blade policzki nieco się zaróżowiły. Ściął sobie brodę ostrym nożem Tholly'ego i zgolił z twarzy resztki zarostu.

Drake natomiast miał wysoką gorączkę. Drugiego dnia był ledwo przytomny. Dwight chciał czuwać przy nim w kajucie, lecz przekonano go, by pozostał na pokładzie ze względu na własne zdrowie. Dlatego przy Drake'u siedział ciepły Bone, zmieniany od czasu do czasu przez Ellery'ego, który bardzo polubił chłopca.

Kiedy znaleźli się w połowie kanału La Manche, wiatr zmienił kierunek i stał się porywisty. Wysokie fale od strony dziobu sprawiały, że prawie się nie posuwali.

Ross na pewien czas przykucnął obok Dwighta, który w dalszym ciągu siedział na pokładzie, teraz pod osłoną głównego luku.

– Przez ten wiatr spędzimy na morzu dodatkowy dzień – powiedział Ross. – Nie mogę się już doczekać powrotu do domu.

– Ja też – odparł Dwight.

– To oczywiste.

– Ross, chyba jeszcze nie podziękowałem ci za to, co zrobiłeś, za narażenie własnego życia. Mógłbym gadać przez cały dzień, a i tak...

– Nawet nie próbuj. Sprawa skończona.

– Muszę jakoś ci podziękować, choć trudno wyrazić, co czuję... Kiedy przyszedłeś, kiedy pojawiłeś się w środku nocy jak duch, trzymając latarnię i pistolet, otoczony uzbrojonymi ludźmi, nie mogłem uwierzyć w swoje szczęście.

– Nic dziwnego.

– Wręcz przeciwnie, to dziwne. Musisz zrozumieć, że pobyt w więzieniu jest straszliwie monotony, a po przeszło roku człowiek popada w otępienie, godzi się na wszystko, nie przeszkadza mu głód, brud, chorzy i umierający ludzie, smród, ropiejące rany, febra i brak jakiegokolwiek pomocy medycznej. Stałem się trybikiem w maszynerii więzienia, ważnym trybikiem, bo nawet powierzchowna znajomość medycyny okazała się bezcenna. Nasza grupa w rzeczywistości rządziła klasztorem, niektórzy mieli więcej szczęścia od innych. Nielicznym więźniom, cywilom, pozwolono zachować trochę pieniędzy – w odróżnieniu od reszty, bo odebrano nam ubrania i ograbiono ze wszystkiego, gdy tylko znaleźliśmy się w Quiberon. Lady Ann Fitzroy, którą niedawno zwolniono, udzielała nam bezcennej pomocy w drobnych sprawach, zwłaszcza w czasie ostatniej straszliwej zimy. Przez cały czas wokół mnie umierali ludzie, ale inni, pełni cudownej determinacji, ciągle żyli mimo chorób i nędzy. Ludzka wola życia mnie zdumiewa, nawet gdy nie ma niczego, dla czego warto żyć... Cóż... – Otarł ściereczką spierzchnięte usta i popatrzył na wzburzone morze. – Tak, nasza grupa rządziła więzieniem, było nas kilkunastu. W pewnym sensie wszyscy jeńcy znajdowali się pod naszą opieką: w jednym bloku cywile, w drugim żołnierze i marynarze, w trzecim kobiety. Urządzaliśmy spotkania, próbowaliśmy organizować rozrywki, dostarczać ludziom zajęć – na przykład wyrób cegieł ze słomy – robiliśmy wszystko, co w naszej mocy. Kiedy się pojawiliście, w pierwszej chwili byłem tak zaskoczony, że wydawało mi się, że nie mogę odejść.

– Rozumiem.

– Ale nie myśl, że w dalszym ciągu jestem w tym hipnotycznym stanie. Żałuję – tak, żałuję – że ci ludzie, prawie wszyscy, w dalszym ciągu są jeńcami i że nie mogę już im pomagać. Naprawdę szczęśliwy byłbym wtedy, gdyby uwolniono nas razem.

– Nie było to możliwe.

– Och, wiem. Potrzebowalibyśmy okrętu liniowego, by wrócić do Anglii. Teraz jestem wolny – naprawdę wolny – i nie potrafię wyrazić tego, co czuję. Oddycham świeżym powietrzem, patrzę na słońce, wiem, że nie wrócę do tego... piekła. Wiem, że jestem wśród przyjaciół i że wkrótce zobaczę wszystkich swoich starych znajomych. W końcu zobaczę Caroline... Chce mi się płakać.

– Tak, cóż... – Ross był również nieco wzruszony. Spojrzał zmrużonymi oczyma na rozkołysany horyzont.

– Jak się miewa Caroline?

– Dość dobrze, odkąd dowiedziała się, że żyjesz. Przedtem przypominała kwiat bez wody.

– Chyba nie chcę się jej tak pokazać. Najpierw spróbuję się doprowadzić do normalnego stanu. Może to zająć jakiś miesiąc.

– Podejrzewam, że Caroline sama spróbuje cię doprowadzić do normalnego stanu.

– Tak... tak. Sam nie wiem. Wyglądam jak strach na wróble.

Umilkli. Przy rumplu stał porucznik Spade z HMS Alexander i skręcił jeden rumb do wiatru.

– Oprócz ciebie uratowaliśmy przynajmniej dwóch jeńców – powiedział Ross. – To dodatkowa korzyść. Poza

tym z klasztoru mogło uciec kilku innych. Przykro mi tylko z powodu Nanfana. Boję się chwili, gdy będę musiał powiedzieć jego ojcu.

– Och, muszę ci coś wyznać – powiedział Dwight. – Nanfan ciągle żył, gdy go zostawiliśmy.

– Żył?! Ale przecież...

– Tak, umierał. Miał uszkodzony mózg. Nie przeżyłby godziny. Gdyby ktoś spędził z nim tę godzinę z poczuciem lojalności, prawdopodobnie również by zginął. Domyślam się, że byłbyś to ty.

Ross milczał, zastanawiając się nad całą sprawą. A jeśli Nanfan odzyskał przytomność? Został sam wśród wrogów, by umrzeć. Kiedyś, w czasie zawału w kopalni, wyzdrowiał, choć lekarze nie dawali mu żadnych szans.

– Tym razem nie było żadnej nadziei, zapewniam cię – powiedział Dwight, czytając w myślach Rossa. – W przypadku obrażeń wewnętrznych nikt nigdy nie może być pewny. Teraz sprawa była oczywista.

Ross skinął głową.

– A drugi ranny?

– Młody Came? Jeszcze nie wiem. Nie mam żadnych narzędzi medycznych, zgłębników. Rany postrzałowe zwykle nie wywołują zakażenia, ale nie wiadomo, czy w ciele nie utkwiły nitki z koszuli albo kurtki. Nie wiadomo również, jak bardzo uszkodzona jest kość. Chociaż to będzie miało mniejszy wpływ na szanse przeżycia.

– Wyjdzie z tego?

– Dowiemy się wkrótce po wylądowaniu. Nie podoba mi się ta wysoka gorączka, ale może być wywołana jedynie szokiem. Jeśli wywiąże się gangrena, nie będzie nadziei. Nie można amputować barku.

W dalszym ciągu musieli płynąć pod wiatr i przez cały dzień prawie nie posunęli się do przodu. Na morzu nie było ani jednego statku, jakby znajdowali się na środku oceanu. Porucznik Armitage, mający największe doświadczenie nawigacyjne, ocenił, że znajdują się około stu kilometrów na północny zachód od Brestu i prawdopodobnie w podobnej odległości na południowy zachód od przylądka Lizard. Wiatr wiejący z północnego wschodu zmuszał ich do nieustannego halsowania, by dotrzeć do Anglii w zaplanowanym miejscu. By w ogóle dotrzeć do Anglii, ponieważ mogli z łatwością minąć wyspy Scilly i znaleźć się na Atlantyku. Przez całą noc na pokładzie pełniło wachtę trzech członków załogi, a reszta siedziała w śmierdzącej kajucie, która nieustannie się trzęsła i podskakiwała. Brakowało świec. Tej nocy w latarni zapalono ostatnią. Niektórzy uczestnicy wyprawy cierpieli na chorobę morską, inni próbowali zasnąć. Dwight czuwał przy Drake'u, który wydawał się stracony. Młody lekarz oświadczył, że jest przyzwyczajony do braku snu i że odzyskał nieco siły po dwóch dniach spędzonych na pokładzie, toteż może siedzieć przy chorym.

Ross przez jakiś czas oponował, lecz w końcu ustąpił. Odkąd opuścili Quiberon, spał zaledwie kilka godzin. Zapadł w niespokojną drzemkę i przyśniło mu się, że opisuje Demelzie okoliczności śmierci jej brata. „Był prawie martwy, więc go zostawiliśmy, mówił. Każdy troszczył się tylko o siebie i nie mogliśmy nic zrobić”. Demelza popatrzyła na niego i jej twarz zmieniła się w twarz Caroline. „Przywiozłem ci Dwighta, to przynajmniej jakaś korzyść. Straciłem Joego Nanfana i zabiłem dwóch francuskich strażników. Zginęło kilku angielskich jeńców. Drake, brat Demelzy, naturalnie też musiał umrzeć. Ale przynajmniej przywiozłem ci Dwighta”. Odwrócił się, by jej go pokazać, i wtedy weszło dwóch sanitariuszy z noszami, na których leżał Enys, również martwy. „Będziesz mogła go pochować na cmentarzu w rodzinnej miejscowości, zakończył Ross. Dlatego warto było zorganizować tę wyprawę”.

Przed świtem ocknął się z koszmarów i wdrapał po rozkołysanej drabinie na pokład. Po zachodzie księżyca przez dwie godziny panował taki mrok, że nie widać było nawet spienionych szczytów fal, lecz teraz na wschodzie pojawił się ledwo dostrzegalny brzask. Ross odetchnął głęboko. Czuł się znacznie gorzej niż przed zaśnięciem. Bolały go ręce i nogi, czuł na języku posmak siarki, drapało go w gardle i dolegały mu mdłości wywołane chorobą morską. Podszedł powoli do porucznika Spade'a, który pełnił wachtę przy rumplu.

– Jakież oznaki zmiany pogody?

– Jeszcze nie, ale nie tracę nadziei. Północno-wschodni wiatr bardzo rzadko wieje dłużej niż dwa dni. Naturalnie

o tej porze roku.

O świcie zauważyli na horyzoncie trójmasztowy bark, ale oddalał się i wkrótce zniknął. Na pokład wyszedł Dwight.

– No i co? – spytał Ross.

Młody lekarz wzruszył ramionami.

– Nie jestem pewien. Wydaje się znacznie spokojniejszy. Może to normalny sen, a może śpiączka. Ale co godzinę wącham bandażę i jak dotąd nie ma oznak gangreny. W południe będziemy wiedzieć więcej.

Około dziesiątej wiatr ucichł. Lugier kołysał się ciężko na falach jak postrzelony ptak. Później pojawiła się lekka bryza z zachodu, niebo się zachmurzyło i zaczęła padać drobna mżawka. Żagle załopotwały, po czym wypełniły się wiatrem i statek wziął nowy kurs. Zmagania się skończyły: płynęli w stronę Anglii.

W południe, w czasie ulewnego ciepłego deszczu Dwight podszedł do Rossa, który stał przy sterze.

– Moim zdaniem będziesz miał na sumieniu jednego człowieka mniej, Ross. Chyba wyzdrowieje.

Rozdział jedenasty

Dopłynęli do Falmouth tego samego dnia około siódmej wieczorem. Lało jak z cebra i wiał silny wiatr. Chociaż na obu masztach lugra powiewały białe koszule, z zamku oddano dwa strzały armatnie, drugi z pewnością celny. Później do burty podpłynęła pinasa marynarki wojennej, by sprawdzić, kim są przybysze.

O zmroku Verity otworzyła frontowe drzwi swojego domu i ujrzała wysokiego, kościstego mężczyznę. Stał za nim człowiek chudy jak szkielet, wspierany przez barczystego sierżanta.

– Ross! – zawołała. – Ach, wróciłeś?! Niechaj Bogu będą dzięki! Tak się o ciebie martwiłam! Wejź! Proszę, wejź! Chodźmy na górę! Jesteś głodny? Mam dużo wędlin i jest wino...

– Pamiętasz doktora Enysa, moja droga?

– Och... och, tak! – Verity przełknęła ślinę. – Więc wam się udało! Jestem taka szczęśliwa! Proszę, wejście!

Zaprowadzili Dwighta na górę. Musieli go podpierać. Kiedy usiedli, młody lekarz powiedział:

– Przepraszam, że jestem taki chudy, pani Blamey... W Quimper nie dawali nam co dzień kurczaków... Pani brat stryjeczny przyjechał i wyciągnął mnie z więzienia, chyba w samą porę, bym zachował urodę. Po kilku dniach domowe jedzenie wszystko zmieni...

Verity spoglądała na młodego lekarza w świetle lampy, po czym odezwała się szybko, by ukryć konsternację:

– Kurczaki! Coś mi się przypomniało. Ugotowaliśmy rosół na kościach kurczaków. Poproszę Marthę, by go podgrzała. Niedługo będzie gotowy.

Ruszyła w stronę drzwi, lecz Ross zatrzymał ją na chwilę.

– Ile macie sypialni w domu, Verity?

– Trzy oprócz naszej. Wystarczy, by przenocować ciebie, doktora Enysa i twojego człowieka.

– To nie wszyscy, moja droga. Mamy jeszcze jednego chorego, Drake'a Came'a, brata Demelzy. Jest ranny i nawet teraz grozi mu niebezpieczeństwo. Gdybyś mogła go przyjąć choćby na jedną noc, może jutro...

– Natychmiast go przyprowadź. Może zostać, jak długo zechce. Nie znajdzie w Falmouth innego miejsca, gdzie ktoś by się nim zaopiekował. Gdzie jest? Na dole?

– Ciagle na pokładzie statku. Najpierw musiałem się zobaczyć z tobą.

– Powinieneś się wstydzić! Możesz po niego posłać? Gdzie zacamowaliście? Pani Stevens pójdzie, gdy ją obudzę.

– Jeśli się zgodzisz, może iść Bone. Ale ostrzegam cię: Came jest poważnie ranny i jeśli chcesz się nim opiekować, może to trwać wiele dni, a nawet tygodni.

Verity uśmiechnęła się do tęgiego mężczyzny.

– Proszę, idź, Bone. Nie zwracaj więcej uwagi na swojego pana.

Ross, Drake, Dwight i Bone spali w domu Blameyów, Armitage i Spade znaleźli pokój w gospodzie Pod Królewskim Herbem, a Tregirls, Ellery, Jonas i Hoblyn pozostali na pokładzie Sarzeau.

Rankiem Drake był przytomny, choć miał lekką gorączkę. Dwight z niepokojem obwąchał bandażę, lecz w dalszym ciągu nie czuł zapachu gangreny. Nie zdejmował prowizorycznego opatrunku przez pięć dni i postanowił go nie ruszać jeszcze przez jakiś czas. Jeśli rana dobrze się goi, dotykanie jej może przynieść więcej szkody niż pożytku.

Dwight nadal nie był w stanie podróżować i nie miał na to ochoty. Gdyby pani Blamey łaskawie zechciała gościć go jeszcze przez dzień lub dwa, chętnie skorzysta i odpocznie.

– Nie powinieneś się bać spotkania z Caroline – powiedział Ross. – Nie doceniasz jej, jeśli sądzisz, że odstręczy ją twoje wychudzenie.

– Nie chodzi o wychudzenie. Wyglądam, jakbym niedawno chorował na dżumę.

– Caroline chce cię zobaczyć niezależnie od twojego wyglądu.

– Daj mi jeszcze dwa dni. Trudno mi będzie jechać konno w tym stanie.

– Zapomnij o koniu, wynajmiemy karetę. Chociaż bardzo ci współczuję: część drogi jest straszliwie wąska i wyboista. Daję ci dwa dni. Tymczasem muszę wysłać wiadomość.

Poszedł na statek. Spodziewał się, że Tholly chętnie wsiądzie na czekającego kuca i pojedzie powiedzieć Demelzie, że jej mąż wrócił bezpiecznie do Anglii, ale musi spędzić jeszcze kilka dni w Falmouth. Jednak Tregirls nie miał na to ochoty. Ponieważ pomógł sprowadzić do Anglii francuski statek rybacki, należało mu się przyzwołe i nie zamierzał ruszyć się z Falmouth, dopóki nie otrzyma swojego udziału. Był natomiast skłonny pożyczyć kuca Ellery'emu, który rankiem wyruszył do domu z nowinami. Po drodze Ellery miał odwiedzić Killewarren i powiedzieć Caroline, że może oczekiwać Dwighta w środę. Ross upoważnił Tholly'ego do odbioru swojego udziału w przyzwoym z zastrzeżeniem, że należna mu część pieniędzy powinna zostać podzielona równo między członków wyprawy. Gdyby tymczasem należało załatwić jakieś formalności, podpisać papiery, Rossa można znaleźć w domu kapitana Blameya.

Hoblyn i Jonas, ku zaskoczeniu Rossa, również chcieli pozostać na pokładzie. Jacka Hoblyn, którego w trakcie wyprawy najbardziej dręczyła choroba morska i który sprawiał największe kłopoty, stał się teraz sławny w wąskim kręgu ludzi i nie śpieszył się z powrotem do rodziny w Sawle. Wcześniej nie myślał o niczym innym, lecz teraz, gdy mógł zaistnieć, wydawało się to mniej kuszące.

Początkowo Ross był zaskoczony, że wyprawa wywołała tyle rozgłosu, ale po chwili namysłu przestał się temu dziwić. Dwaj porucznicy udzielili wywiadów gazetom „Exeter Chronicle” i „Sherborne Mercury”. Jeden z dziennikarzy pojawił się u Rossa i wypytywał go o szczegóły, lecz spotkał się z chłodnym przyjęciem.

W poniedziałek rano, gdy wciąż lało jak z cebra, Ross odwiedził Drake'a. Chłopak siedział w łóżku i choć miał zabandażowany bark i palce w gipsie, wyglądał znacznie lepiej od Dwighta. Może nie było to wcale zaskakujące. Jeśli dziewiętnastolatek nie umiera wskutek rany, szybko dochodzi do zdrowia.

– Już myślałem, że będę musiał przekazać twojej siostrze złe wiadomości – powiedział Ross.

Drake się uśmiechnął. Cała ta przeklęta rodzina ma ten sam uroczy uśmiech, pomyślał Ross. Z pewnością nie odziedziczyli go po ojcu.

– Nie, sir. Zjadłem dziś rano dwa jajka, a przedtem owsiankę. Nikt nigdy tak o mnie nie dbał.

– Pani Blamey to moja ukochana siostra stryjeczna. Będzie się tobą opiekować jak matka. Doktor Enys uważa, że powinieneś odpoczywać jeszcze tydzień.

– Jestem pewien, że nie musi to trwać tak długo, choć dobrze się tu czuję. Moim zdaniem za trzy, cztery dni...

– Przekonamy się. A raczej przekona się pani Blamey. Doktor Enys nie ma ochoty oddawać cię w ręce jakiegoś aptekarza z Falmouth, bo uważa, że mógłby ci zaszkodzić. Więc kiedy w środę wyjedzie, a ja razem z nim, pani Blamey zdecyduje, czy jesteś dostatecznie zdrowy. Musisz jej słuchać.

– Co pan rozkaże, kapitanie.

Ross podszedł do okna. To smutna prawda, że gdy mężczyzna zakochuje się w dziewczynie, nie oznacza to jednocześnie, że polubi jej braci lub siostry, a nawet rodziców. W rzeczywistości człowiek ma taką naturę, że im mocniej, im bardziej zaborczo kocha żonę, tym mniej szanuje łono, które wydało ją na świat, i inne owoce tego łona. Ross nie był człowiekiem zazdrosnym ani zaborczym, ale po przybyciu braci Carne do Nampary uważał ich za utrapienie: po pierwsze dlatego, że w ogóle się pojawili i liczyli na specjalne względy z powodu pokrewieństwa z Demelzą. Po drugie, z powodu ich przynależności do ruchu metodystycznego, a po trzecie, wskutek niebezpiecznego romansu Drake'a z Morwenną Chynoweth. Wiele zaryzykował, by ocalić chłopca przed więzieniem – ze względu na Demelzę – i tak bardzo nie znosił tego ryzyka, że niemal poczuł niechęć do Drake'a.

Znał obu braci od półtora roku, jednak nie miał z nimi prawie żadnych kontaktów, prawie z nimi nie rozmawiał. Demelza stanowiła nie tylko łącznik, lecz również barierę. Rozmawiał z Drakiem normalnie tylko w czasie wyprawy

do Francji. Powoli, z oporami, zmienił zdanie na jego temat.

– Jest jeszcze jedna sprawa...

– Sir?

– Zanim popłynąłeś ze mną do Francji, mówiłeś, że zamierzasz odejść. Jeszcze nie wiedziałeś dokąd. Chciałbym, żebyś przed moim odjazdem zapewnił mnie, że przyjedziesz do Nampary na dwa tygodnie, byśmy się razem zastanowili nad sytuacją.

– Dobrze, obiecuję, kapitanie.

– Jeśli nie masz ochoty mieszkać z Samem, spędź te dwa tygodnie z nami. Dobrze ci to zrobi i pomoże odzyskać równowagę.

– Dziękuję, kapitanie Poldark. Nie przeszkadza mi mieszkanie z Samem, ale może zatrzymanie się u pana byłoby dobrą odmianą.

– Poza tym nie nazywaj mnie kapitanem Poldarkiem – rzekł niespokojnie Ross. – To był pomysł Demelzy. Możesz nazywać mnie Rossem, jeśli masz ochotę.

Drake spoglądał na plecy szwagra.

– Będę pana nazywał Rossem, gdy skończę dwadzieścia jeden lat, jeśli mi to pisane, kapitanie. Tak będzie lepiej.

– Dla kogo?

– Dla wszystkich.

– To jeszcze trochę czasu.

– Dwa lata.

Ross spoglądał przez okno na tłum gapiów obserwujący dwóch ludzi walczących w rynsztoku.

– W każdym razie nawet jeśli zostanę przez pewien czas w Namparze, chyba później powinienem odejść – dodał Drake. – Myślę, że nie mógłbym znów tam zamieszkać. Jak już mówiłem, tak będzie lepiej po tych wszystkich kłopotach, które sprawiłem. Jeśli mam kiedyś zapomnieć... albo próbować zapomnieć...

– O Morwennie Chynoweth?

– Tak. Chociaż wątpię, czy zapomnę. To znacznie gorsze niż rana barku – i nie może się zagoić.

– Z czasem będzie lepiej.

– Wszyscy tak mówią.

– Ona też cię kochała, Drake?

– Tak... na pewno.

– Może to pogarsza sytuację, sam nie wiem. Raz przeżyłem coś podobnego. Nie ma gorszego piekła.

– I wykaraskał się pan z tego?

Ross się uśmiechnął.

– Zakochałem się w twojej siostrze.

Przed domem w dalszym ciągu trwała bójka. Gapie zagrzewali walczących.

– Dobrze, że tak się stało. – Drake przekreślił się z bólem na łóżku. – Dobrze, jeśli to panu pomogło.

– Bardzo pomogło. Ale minęło dużo czasu, zanim zrozumiałem, że Demelza nie jest tylko namiastką.

– Boję się, że w całym moim życiu mogą być teraz tylko namiastki.

– Przed tobą długie życie, zwłaszcza teraz, gdy przestałeś szukać śmierci.

– Nigdy naprawdę nie szukałem śmierci. Chociaż może nie troszczyłem się o własne życie tak bardzo, jak powinienem.

– Nigdy nie byłem takim ryzykantem jak ty. Próbowałem pić, ale alkohol nie pomagał mi zapomnieć, więc dałem spokój.

– Chciałbym czuć, że mogę coś zrobić ze swoim życiem – rzekł po chwili Drake. – Nie pomaga mi już nawet Samuel ani myślenie o Bogu.

– Tym bardziej powinniśmy razem o tym porozmawiać. Twoja siostra, ja i Sam, jeśli chcesz. Moim zdaniem w tym przypadku cztery głowy będą lepsze niż jedna.

– Dziękuję panu... kapitanie Poldark.

Ku rozczarowaniu gapiów walczący mężczyźni w końcu się rozdzielili. Jeden trzymał się za nos, z którego kapłała krew, a drugi kulał i dyszał ciężko. Rozległ się stukot kopyt na kocich łbach: przez rozpraszający się tłum przejechała konno dama w towarzystwie masztalera i zatrzymała się przed portykiem domu Verity.

– Moim zdaniem nigdy nie będziesz taki jak Samuel, dla którego Chrystus i religia są wszystkim – powiedział Ross. – Jego sposób życia wydaje mi się nienaturalny, mimo to go podziwiam, choć niechętnie.

– Chciałbym być taki jak Sam. Wtedy bez trudu porzuciłbym swoje myśli...

– Chwileczkę – przerwał Ross. – Obawiam się, że muszę cię opuścić. – Dostrzegł rude włosy opadające na ramiona damy, która zsiadła z konia. – Zdaje się, że odwiedziła nas panna Penvenen.

Caroline weszła do domu i strząsnęła z siebie krople deszczu jak wielki motyl skąpany w rosie. Twarz miała spokojną. Tego ranka wyglądała bardzo pięknie.

– A zatem widzę, że wróciłeś, kapitanie. – Dotknęła twarzy Rossa i pocałowała go w usta jak przed jego wyjazdem, co wzbudziło dezaprobatę pani Stevens, która wpuściła ją do domu. – Dotrzymałeś słowa. Przywiozłeś mojego zbłąkanego doktora? Jest bezpieczny? Cały i zdrowy? Nietknięty? I chce dotrzymać obietnic złożonych przed wyjazdem?

– Caroline... Miałas go zobaczyć w środe! Zamierzaliśmy przyjechać i cię odwiedzić...

– Myślałeś, że będę siedzieć w Killewarren, haftując serwetki, gdy tymczasem bawicie się w Falmouth? Nie znasz mojego charakteru. Gdzie on jest? Na piętrze?

– Chyba w salonie. Ale dopiero co wstał. Musiałaś wcześniej wyjechać...

– O świecie.

– Powinienem cię ostrzec. W liście napomknąłem, że jest ciągle bardzo słaby.

– Jakże się cieszę, że cię widzę, Verity! – rzekła Caroline w połowie schodów, gdy siostra stryjeczna Rossa znalazła się obok niej. – I w szczęśliwszych okolicznościach niż poprzednim razem.

– Caroline! Nie spodziewaliśmy się cię...

– Tak mówi Ross. Ale ty powinnaś się domyślić. Zbyt długo czekałam w domu jak wędnaça stara panna...

– Caroline... Uprzedziłam go dopiero przed chwilą! Niedawno wstał z łóżka i moim zdaniem nie jest jeszcze na tyle silny, żeby...

– Na tyle silny, żeby się ze mną spotkać? Czy trzeba być silnym, by stawić mi czoło? Czy jestem smokiem pokrytym łuską, przed którym trzeba uciekać? – Caroline pocałowała Verity i uśmiechnęła się do niej. Z jej długich włosów kapłały na dywan krople wody. – Chodźmy na górę, dobrze?

Nie można było jej powstrzymać, więc ruszyły schodami. Dwight stał z niepewną miną przy kominku, na którym płonął niewielki ogień, ponieważ dzień był wilgotny. Odwrócił się i spojrzał na Caroline; wynędzniała, blada karykatura dawnego doktora Dwighta Enysa. Miał na sobie zbyt szeroki tabaczkowy surdut Andrew Blameya. Kabat wisiał na nim jak na wieszaku. Był ogolony, a w ostrzyżonych włosach srebrzyły się pasma siwizny. Twarz miał mniej upiorną niż wtedy, gdy Ross zobaczył go po raz pierwszy, lecz w dalszym ciągu był śmiertelnie blady. Jego pokryta wrzodami głowa przypominała trupią czaszkę.

Caroline stała przez chwilę, uśmiechając się łagodnie. Wyraz jej twarzy się nie zmienił.

– A zatem, Dwight, wyciągnęli cię w końcu z więzienia i przywieźli do Anglii, byś dotrzymał swoich obietnic! – Zdjęła kapelusz, otrząsnęła go z wody i rzuciła na fotel. Później podeszła do młodego lekarza i pocałowała go w owrzodzone wargi.

– Caroline! – Próbował odwrócić głowę.

– Wielkie nieba, znowu muszę się do ciebie zalecać! – odezwała się. – Mój drogi, nigdy nie mogę zachować dziewiczej skromności, bo stale muszę cię tropić, ścigać, a nawet całować, ty zaś nie chcesz mnie nawet objąć!

Dwight spoglądał na Caroline, jakby nie wierzył, że ją widzi, że się nie zmieniła, nie postarzała, nie straciła młodzieńczej świeżości.

– Caroline! – powtórzył.

– Przez cały czas, gdy ukrywałeś się w tym więzieniu dla jeńców, zastanawiałam się, czy kiedykolwiek zdołam cię zmusić do dotrzymania obietnicy – ciągnęła. – Chwilami myślałam, że nie, że nigdy tego nie zrobisz. Teraz, gdy wreszcie jesteś w Anglii, muszę jechać przez cały ranek w ulewnym deszczu, by cię złapać, nim znowu się wymkniesz. Popatrz na mój strój jeździecki: wymaga wysuszenia, wyprasowania i być może się zbiegnie. A moje włosy... – Nawinęła kosmyk na palec i na podłogę spadło kilka kropli, lecz tym razem nie były to tylko krople wody.

– Caroline, ukochana, najdroższa...

– Ach, słyszysz, Ross?! Wreszcie się zdeklarował! Zdaje się, że mimo wszystko czeka nas wesele. Jeśli do niego dojdzie, będzie to największe wesele w dziejach Kornwalii. Trzeba zaangażować orkiestrę admiralicji, trębaczy wojskowych i chóry z trzech kościołów, by uczcić wielki dzień, bo komuś wreszcie udało się zaciągnąć doktora Enysa do ołtarza! Płacę z ulgi, widzisz? Oszczędzono mi koszmarów życia starej panny! Ale, jak widzicie, doktor Enys też płacze i wiem, że to z powodu utraconej wolności...

– Caroline, proszę – rzekł Ross, ocierając dłonią oczy.

– Nie opuszczę cię, Dwight – powiedziała Caroline, dotykając jego ramienia. – Pozostanę w pobliżu tego domu, aż będziesz w stanie podróżować, i dopilnuję, żebyś znowu nie uciekł i nie zaciągnął się na statek. A kiedy będziesz w stanie podróżować, usiądę obok ciebie w karecie i wezmę cię pod rękę, żebyś nie mógł wyskoczyć. Kiedy weźmiemy ślub? Możesz podać datę i wreszcie uspokoić moje serce?

– Nie mogę... w tym stanie... – odparł niewyraźnie. – Sama widzisz, że wyglądam nie najlepiej, kochana.

– Owszem, zauważyłam, więc musimy przywrócić cię do zdrowia, prawda? Barani rosół, wątróbki cielęce, surowe jajka i madera: właśnie tego ci teraz potrzeba. Później nabierzesz odwagi, by pojąć mnie za żonę, jak się umówiliśmy w dawnych, dobrych czasach...

Verity dotknęła ramienia brata stryjecznego.

– Chodź, Ross, zostawmy ich samych. Jestem pewna, że się nie pokłóca.

– Caroline... – powtórzył Dwight głosem łamiącym się ze wzruszenia. – Jeśli ciągle mnie chcesz... Potrzebuję czasu...

Po wyjściu Rossa Caroline, słabym głosem, w dalszym ciągu mówiła do Dwighta. Było to dla niego najlepsze lekarstwo.

– Moim zdaniem powinniśmy się pobrać w październiku, nie sądzisz? Po setnych urodzinach Agathy Poldark trzeba dać hrabstwu chwilę odpoczynku przed kolejnymi szaleństwami! Najpierw musisz wrócić ze mną do Killewarren, nawet jeśli wywoła to skandal w sąsiedztwie. Natychmiast zaczniemy cię karmić najlepszymi rzeczami, jakie uda się zdobyć. Będziesz odpoczywał, dochodził do zdrowia, zapewnimy ci doskonałą opiekę. Jeśli za tydzień lub dwa nie poczujesz się lepiej, pošlemy po doktora...

We wtorek Dwight wreszcie zdjął stary opatrunek z ramienia Drake'a. Pojawiło się lekkie krwawienie, zwłaszcza z większej rany na plecach, lecz było niegroźne. Obie rany się goiły. Ale w środę Dwight dostał gorączki, więc planowany wyjazd kareta przełożono na następny dzień.

Jak się okazało, dzięki opóźnieniu otrzymali wiadomości o desancie w Bretanii. W czwartek rano do Falmouth przypłynął kuter marynarki wojennej. Przywiózł ponure wieści.

Powracająca flotylla admirała Warrena napotkała transportowce z żołnierzami i wyposażeniem wysłane do Francji pod dowództwem lorda Moiry. Zaledwie dzień po odpłynięciu Sarzeau d'Hervilly rozpoczął natarcie przeciwko republikanom skoncentrowanym w Sainte-Barbe. Ale silne wsparcie szuanów, którzy mieli zaatakować Hoche'a i wziąć go w dwa ognie, spowodowało się do kilku nieskutecznych wypadów. Rojaliści atakowali dwukrotnie liczniejszą armię zajmującą dobre pozycje obronne i mającą znacznie więcej dział. Dobre regimenty uczestniczące w natarciu zdziesiątkował ogień krzyżowy ukrytych baterii. Połowa żołnierzy zginęła lub odniosła

rany, sam d'Hervilly został trafiony i zniesiono go nieprzytomnego z pola bitwy. Nie wyznaczył zastępcy, lecz francuski arystokrata o nazwisku de Sombreuil zdołał wycofać część armii do fortu Penthièvre.

Wkrótce, wspomagani przez zdrajców wewnątrz murów, którzy ujawnili hasła, republikanie zaatakowali fort i błyskawicznie go opanowali, zadając rojalistom ciężkie straty. De Sombreuil wycofał się półwyspem z resztkami swoich sił, przez cały czas tocząc walki z przeciwnikiem, a tymczasem liczebność jego wojsk stale się zmniejszała: żołnierze przechodzili na stronę nieprzyjaciela, poddawali się lub odplywali niewielkimi łodziami w stronę okrętów angielskich. Poważnie ranny d'Hervilly znajdował się na pokładzie okrętu Anson. Poprzedniego dnia hrabia de Puisaye udał się na Pomone pod pretekstem konsultacji z admirałem Warrenem i nie wrócił. De Maresi i dziesięciu innych dotarli szalupą na okręt Energetic. Prawie wszyscy pozostali oficerowie dostali się do niewoli lub zginęli. Tysiąc stu żołnierzy dowodzonych przez de Sombreuila broniło się w młynie o nazwie St Julien na najdalszym krańcu półwyspu. Z trzech stron otaczało ich morze – zbyt wzburzone, by mogli uciec – a z czwartej nieprzyjaciel prowadził ogień. De Sombreuil stawiał opór, dopóki nie skończyła mu się amunicja, po czym rozpoczął rozmowy w sprawie kapitulacji. Uzyskał obietnicę, że jego ludzie zostaną oszczędzeni, i złożył broń na honorowych warunkach.

Później jednak do Anglii dotarła wiadomość, że Konwent pod przewodnictwem Talliena nie uznał obietnicy Hoche'a w sprawie darowania życia jeńcom. Na polu pod Auray doszło do masakry: rozstrzelano przeszło siedmuset ludzi, kwiat francuskiej arystokracji. Inni – szczególnie ważni – zginęli w czasie egzekucji na bulwarze Garenne w Vannes. Był wśród nich przystojny i odważny wicehrabia Charles-Eugene-Gabriel de Sombreuil. Jeden ze skazanych na śmierć, biskup Vol, stojący obok de Sombreuila, poprosił oprawców o zdjęcie mitry, by mógł odmówić modlitwę przed śmiercią. Strażnik miał zamiar to zrobić, ale de Sombreuil, mający związane ręce, chwycił mitrę zębami i oświadczył, że zbrodniarze nie są godni dotykać szat duchownego.

Tak oto, wykonawszy charakterystyczny dla siebie wspaniały gest, zginął jedyny Francuz, do którego Ross poczuł głęboką, nieprzemijającą sympatię. Ross miał w sakiewce pierścień de Sombreuila. Któregoś dnia musi go przekazać mademoiselle de la Blache, która nigdy nie zamieszka w wielkim château i nie pomoże odtworzyć rodu startego z powierzchni ziemi przez rewolucję.

Całkowita klęska, jaką zakończyła się ekspedycja, wydawała się Rossowi czymś haniebnym – nie mógł przestać o niej myśleć. Droga do piekła jest często wybrukowana dobrymi chęciami, lecz powinny one być przynajmniej właściwie skoordynowane i nadzorowane przez przywódcę z prawdziwego zdarzenia. Chępliwe zapowiedzi z poprzednich miesięcy, odwaga, przygotowania, nadzieje – w rzeczywistości Francuzi nie mieli żadnej szansy. Rząd brytyjski ponosił taką samą winę jak francuscy rojaliści. Półśrodk, jeszcze raz półśrodk. Cztery tysiące brytyjskich żołnierzy wysłanych, by wesprzeć desant – choć sam desant zakończył się klęską.

Mały sukces Rossa przyćmiła większa tragedia, większa klęska. Gdyby został we Francji, nie mógłby wpłynąć na rozwój wypadków, lecz czuł się winny, że opuścił towarzyszy. Wiedział teraz, podobnie jak wszyscy, że wojna będzie długa i krwawa. Klęska w Bretanii sprawiła, że zgasła ostatnia nadzieja restauracji monarchii i wynegocjowania rozsądnego pokoju. Nie istniała możliwość honorowego pokoju z republikanami. Anglia zwycięży albo zginie.

Niemniej jego własny sukces był rzeczywisty. Przewyciężył przeciwności, z których dopiero teraz w pełni zdawał sobie sprawę, i zrealizował główny cel wyjazdu z de Maresim i de Sombreuilem. Stracił Joego Nanfana, który nigdy się nie ożenił i któremu w pewnym sensie Dwight zawdzięczał życie. Nanfan pomógł przyjacielowi wrócić do domu. Mimo ponurych myśli Ross czuł dumę ze swojego osiągnięcia.

Zostawił Dwighta i Caroline przy bramie Killewarren, nie chciał wchodzić do dworu. Czuł, że powinni zostać sami w swoim przyszłym domu, miejscu, gdzie będą szczęśliwi. Był to dla nich początek nowego życia. Nie potrzebowali towarzysza. Caroline, która aktywnie uczestniczyła w przygotowaniach do desantu w Bretanii, mogła czuć żal z powodu klęski, podobnie jak Ross, ale w tej chwili najważniejsze było dla niej osobiste szczęście. Dwight i Caroline kilkakrotnie próbowali dziękować Rossowi, lecz zawsze przerywał i mówił, by dali spokój.

Powiedział im, że chce jak najszybciej wrócić do domu, choć była to tylko część prawdy. Wyjechał na pięć

tygodni, a miał wrażenie, że minął rok. Cóż, teraz już znał smak przygód, które pozwalają docenić życie rodzinne. Eskapada do Quimper powinna mu wystarczyć na długo.

Teraz uczucia Rossa oscylowały między poczuciem sukcesu a poczuciem klęski. W ostatnim czasie dużo myślał o Drake'u i doszedł do wniosku, że powinien coś dla niego zrobić. Spędził w Falmouth wiele bezczynnych godzin, lecz jego umysł nie był wcale bezczynny. Należy poprawić status społeczny Drake'a, a przynajmniej dać mu szansę na awans. Kłopot polega na tym, że jest taki młody. Co można zrobić dla dziewiętnastoletniego chłopca? Cóż, Ross miał teraz pieniądze. Można je wykorzystać. George oznajmił, że ślub Morwenny z dandysowatym Whitworthem został odwołany. A zatem dziewczyna wróci do matki w Bodmin. Czy ktoś natychmiast zacznie się ubiegać o jej rękę? Wydawało się to mało prawdopodobne.

Jeśli Morwenna jest zakochana w Drake'u równie mocno jak on w niej, może być mu wierna przez rok lub dwa. Czy da się zatem coś zaaranżować? Drake może i jest kołodziejem, ale także szwagrem jednego z Poldarków. To się liczy. Pozycja społeczna, urodzenie i pieniądze nie są w tej chwili tak ściśle związane jak dawniej. Obecny arcybiskup Canterbury to syn szklarza. Właśnie możliwość awansu społecznego sprawiła, że Anglii jak dotąd nie spotkał los Francji. Każdy człowiek, który awansował z nizin i stał się kimś ważnym, był także jakby wentylem bezpieczeństwa, pozwalał zmniejszyć ciśnienie sprężonej pary.

Małżeństwa zawierano nie tylko z osobami z tej samej sfery. Thomas Coutts poślubił służącą brata i w tej chwili przyjmował ją księżę Henryk Pruski. Jedna z ich córek wyszła za sir Francisa Burdetta, a druga była zaręczona z hrabią Guildford. W pewnych okolicznościach bariery mogą pęknąć. Czy zubożała córka zmarłego dziekana Bodmin nie może poślubić uzdolnionego rzemieślnika spowinowaczonego z bogatymi ziemianami? Jediną prawdziwą przeszkodą są związki Morwenny z Warlegganami. Powinna po prostu opuścić Trenwith, a Drake Namparę – i nie ma żadnego rozsądnego powodu, by za rok lub dwa się nie pobrali.

Snując te przyjemne myśli, Ross przejechał przez wioskę Grambler i minął ostatnią chałupę, gdzie mieszkali Jud i Prudie Paynterowie. Kiedy przebył w bród strumień Mellingey, zauważył, że od strony starej kopalni Wheal Maiden pędzi ku niemu mały chłopiec. Przez chwilę nie poznał swojego czteroletniego syna, aż spostrzegł biegnącą za nim kobietę. Wyszła spomiędzy krzywych sosen, stale walczących z wichurami, i również podążała w jego kierunku.

Zeskoczył z konia, a zdyszany Jeremy rzucił mu się w ramiona, piszcząc z radości. Później to samo zrobiła Demelza z najbardziej promiennym ze swoich uśmiechów. Ross wreszcie poczuł, że jest w domu.

Śmiali się i paplali, wspinając się na wzgórze, na którym stał nowy dom modlitwy ze szkieletem dachu, po czym zeszli w dolinę Nampary do domu. Piętro nad biblioteką było prawie gotowe. Przy drzwiach powitali ich Gimlettowie, Cobbledickowie, Betsy Maria Martin i Ena Daniel. Wszyscy witali Rossa jak bohatera wracającego ze zwycięskiej wojny. (Kolejna korzyść z niebezpieczeństwa? – zastanawiał się. Znowu to samo. Życie składa się z kontrastów: światło wydaje się jaśniejsze, bo istnieje mrok. Był zadowolony. Wiedział, że będzie zadowolony przez długi czas, byle tylko światło świeciło).

Demelza powiedziała, że Jeremy niemal przez cały wczorajszy dzień bawił się koło Wheal Maiden. Pilnowała go z Jane, więc nie zrobiły nic w domu, a wieczorem znowu nie doczekały się Rossa. Przeprosił i wszystko wyjaśnił. W czasie obiadu bez przerwy opowiadał i prawie nie mógł jeść, choć miał wielki apetyt. Demelza nieustannie zadawała pytania; stwierdziła, że strasznie schudł i że wygląda, jakby sam był w więzieniu dla jeńców. Kiedy mogą zobaczyć Dwighta i Caroline? Kiedy wesele? (Boże, pomyślał Ross, jestem szczęśliwy, choć na to nie zasłużyłem... Pragnę Demelzy, nie żadnej innej kobiety. Nie potrzebuję najpiękniejszej osiemnastoletniej dziewczyny zrodzonej z morskiej muszli ani najbardziej uwodzicielskiej hurysy z haremu sułtana. Pragnę właśnie Demelzy, z jej znajomymi gestami, promiennym uśmiechem i podrapanymi kolanami. Wiem, że ona pragnie mnie tak samo, a jeżeli istnieje większe szczęście, nie znam go i nie jestem nawet pewien, czy go chcę. Wyjechałeś i narażałeś własne życie, przeklęty głupcze, i oto nagroda, na którą nie zasługujesz).

Demelza знаła to spojrzenie, ale wróciła do rozmowy. Chciała rozmawiać jeszcze przynajmniej przez godzinę.

Spytała, czy Ross wie, że cała rodzina – wszyscy czworo – otrzymali zaproszenie do Trenwith na przyjęcie z okazji setnych urodzin ciotki Agathy, które ma się odbyć w przyszłym tygodniu. Czy zechce tam pojechać?

– Naturalnie, że pojedziemy – odparł Ross. – Verity też jest zaproszona, a ponieważ Andrew będzie wtedy w domu, przyjadą oboje razem z małym Andrew. Zaproponowałem, by później u nas przenocowali.

– Jestem zaskoczona, że ciotce pozwolono nas zaprosić, ale może George nie mógł jej tego odmówić.

– Pojedziemy – odparł Ross. – Może, kto wie, będzie to początek lepszych relacji między naszymi domami? Odbyłem wyjątkowo nieprzyjemną rozmowę z George'em w sprawie aresztowania Drake'a. Ostatecznie go zwolnił, choć nie wiem, czy ugiął się pod moimi groźbami, czy posłuchał głosu rozsądku. Tak czy inaczej, wszystko dobrze się skończyło. Może wreszcie nauczymy się żyć obok siebie i przestaniemy być śmiertelnymi wrogami. Na pewno nie zostaniemy przyjaciółmi, ale to śmiechu warte, że nie możemy się czasem spotkać jak cywilizowani ludzie, nie warcząc na siebie jak dzikie zwierzęta.

– Możliwe – odparła Demelza, chociaż w jej głosie zabrzmiało lekkie powątpiewanie. – A Drake? Mówisz, że jest już zdrowy?

– Po postrzale z muszkietu? Niezupełnie. Ale Dwight uważa, że niebezpieczeństwo minęło, i miał dobry apetyt, kiedy wyjeżdżałem. Jeszcze nie wiemy, czy ten wypadek wpłynie na zdolność poruszania ramieniem... Demelzo...

– Tak?

Ross słuchał skarg Jeremy'ego, którego przed chwilą od nich zabrano. Clowance cały czas spokojnie spała.

– Myślałem o Drake'u.

– Tak?

– Wiesz, moja droga, chyba go nie doceniałem. W czasie tej ekspedycji okazał się odważny. Opowiem ci o tym później. Wydaje mi się, że powinniśmy zapewnić mu jakieś źródło utrzymania. Jest bardzo młody, to duża niedogodność, ale z czasem wydorosłeje. Nie wiem, czy lepiej byłoby sfinansować niewielki warsztat, który mógłby samodzielnie prowadzić – może zajmować się drobnymi naprawami maszyn albo wyrabiać narzędzia – czy wysłać go do Looe, gdzie pracowałby z Blewettem w zakładzie szkutniczym i mógłby zostać współnikiem. Za dwa lata skończy dwadzieścia jeden lat i będzie mógł przejąć moje udziały.

Demelza przyglądała się bacznie Rossowi.

– Całkowicie zmieniasz front. Myślałam, że uważasz moich braci za dopust boży.

Ross się roześmiał.

– Drake... Drake jest tak podobny do ciebie, że zaczęło mnie to irytować. Mimo tego niefortunnego romansu w Trenwith czuję się za niego odpowiedzialny. W drodze powrotnej myślałem również o Drake'u i Morwennie.

– Mój kochany... – zaczęła Demelza.

– Jeśli udałoby się nam znaleźć dla Drake'a jakąś posadę, która umożliwiłaby mu utrzymanie rodziny na przyzwoitym poziomie, i jeśli Morwenna pozostałaby mu wierna przez kilka lat, dlaczego nie mielibyśmy ich skojarzyć bez udziału Warlegganów? Dziewczyna zamieszka w Bodmin, Drake w Looe...

– Mój kochany, chcę ci powiedzieć, że to nie będzie możliwe – przerwała Demelza.

– Dlaczego?

– Tydzień temu Morwenna wyszła za mąż za Osborne'a Whitwortha w kościele w Sawle.

Rozdział dwunasty

Wszystko potoczyło się bardzo szybko. Przynajmniej tak się Morwennie zdawało. Naciski, emocje, panika i świadomość własnych obowiązków mogą oddziaływać na człowieka powoli, jednak zainteresowana osoba często ma wrażenie, że porwała ją lawina.

Wiadomość o zwolnieniu Drake'a z więzienia przyniosła jej taką ulgę, że przez jakiś czas nic innego nie miało znaczenia. Pogodziła się z myślą, że wróci do domu, i ze wszystkim, co się z tym wiązało. Rozczarowana matka, ciekawskie siostry stale zadające pytania, próba ponownego przystosowania się do rutyny, z której już wyrosła. Geoffrey Charles w dalszym ciągu przebywał w Cardew i nie spodziewała się, że znów go zobaczy przed wyjazdem z Trenwith. Ale Drake odzyskał wolność, nic mu się nie stało, i to było w tej chwili najważniejsze. Można zapomnieć o innych sprawach i z czasem wszyscy o nich zapomną – wszyscy oprócz Morwenny. Półtora roku spędzone we dworze Warlegganów stanie się krótkim epizodem w życiu młodej kobiety. Bodmin jest daleko. Plotki o nieroztropnej przyjaźni Morwenny mogą tam dotrzeć – niewątpliwie znacznie wyolbrzymione – jednak zdoła to wytrzymać. Nie miała ochoty wracać do domu rodzinnego: życie z Geoffreyem Charlesem było zbyt przyjemne, by nie zdawała sobie sprawy, że wróci do miejsca, gdzie jej egzystencja stanie się uboższa, skromniejsza. Jednak pogodziła się z tym i czekała na matkę, by zabrała ją do domu. Wydawało się, że delikatna, obciążona obowiązkami dama nie powinna odbywać niepotrzebnej podróży do Trenwith, lecz George i Elizabeth nalegali, by przyjechała.

Czekając na matkę, Morwenna spędzała więcej czasu z Agathą, która w miarę zbliżania się terminu urodzin stawała się coraz bardziej wymagająca. Było to dziwne w przypadku tak starej kobiety, lecz teraz, gdy miała dużo zajęć i musiała podejmować wiele decyzji, ujawniły się w niej nowe pokłady energii, była żywotna i wszystkim zainteresowana. Tak zwane zajęcia oznaczały, że Agatha prosi innych, by coś dla niej zrobili, a ponieważ Morwenna nie opiekowała się już Geoffreyem Charlesem i unikała pozostałych domowników, spędzała ze staruszką po kilka godzin dziennie, głównie w jej sypialni, a czasem również towarzysząc jej w wyprawach na parter. W obecności Agathy nie była narażona na rozmowy o własnej przyszłości. Poza tym troska o Agathę miała w sobie element pokuty. Straszliwy smród panujący w pokoju staruszki był czymś w rodzaju włosienicy, której klucie pozwala odsunąć przykre myśli.

Pewnej niedzieli Morwenna wróciła do domu po porannym nabożeństwie i zastała w salonie Agathę i rodziców Elizabeth. Wiedziała, że George stara się ich unikać, toteż wypila herbatę z trojgiem starych ludzi i usiłowała słuchać ich bezładnej konwersacji.

Nagle do salonu weszła Elizabeth, chłodno i uprzejmie uśmiechnęła się do obecnych, odrzuciła propozycję wypicia filiżanki herbaty, po czym oświadczyła, że chciałaby zamienić kilka słów z Morwenną. Dziewczyna wstała i wyszła z nią. Kiedy zostały same, Elizabeth poprosiła kuzynkę, by po obiedzie zmieniła suknię, ponieważ około siódmej mają przyjechać Whitworthowie.

Morwenna poczuła ściskanie w sercu.

– Ale... Po co przyjeżdżają, Elizabeth? Powinnaś mi była powiedzieć... Mogłabym odjechać przed ich przybyciem!

– Nie... Chcą się z tobą zobaczyć. Wielebny Whitworth okazał ci bardzo wiele dobroci i cierpliwości. Osborne Whitworth nic nie wie o naszych kłopotach.

– Przecież... pan Warleggan powiedział, że napisał list!

– To prawda. Jednak kiedy zwolnił z więzienia tego człowieka – tego młodego człowieka – postanowił nie wysłać listu. Lady Whitworth i wielebny Osborne Whitworth i tak mieli do nas przyjechać, więc nie przekazaliśmy

im żadnych wiadomości, które mogłyby ich zniechęcić.

– Ale... Jak mam się zachowywać? Jak możesz...

– Jakby nic się nie stało.

– Tyle się wydarzyło, tak wiele! Nie można udawać...

– Nie ma potrzeby niczego udawać. Zachowuj się normalnie, naturalnie. Czego mogłabyś się obawiać?

– Elizabeth... Jak to możliwe?

Elizabeth się uśmiechnęła.

– Jak to możliwe? Po prostu ja i pan Warleggan rozmawialiśmy na ten temat i doszliśmy do wniosku, że twoje chwilowe zauroczenie tym młodym człowiekiem jest zbyt trywialną sprawą, by rujnować ci życie. Nie powinniśmy nigdy więcej o tym wspominać. W końcu kto o tym wie?

– Wielu, wielu ludzi. Nawet tutaj, w tym domu! Twój rodzice i... i...

– Moi rodzice zdają sobie sprawę, że coś się stało, lecz tak naprawdę niespecjalnie ich to interesuje. Wystarczy na nich spojrzeć, by się o tym przekonać. Ciotka Agatha nie ma o niczym pojęcia. Geoffrey Charles spędzi resztę lata z daleka od Trenwith. Jeśli chodzi o resztę – kilku wieśniaków, na których można nie zwracać uwagi. – Elizabeth zatrzymała się koło drzwi i wyjrzała na zewnątrz. – Piękna dziś pogoda i mam nadzieję, że nasi goście będą mieli lekką podróż. Lady Whitworth posuwa się w latach, a wielbny Whitworth chciał wyruszyć w drogę dopiero po modlitwie i wygłoszeniu kazania.

– Elizabeth! To dla mnie wielki wstrząs! Nie wiem, czy będę w stanie z nimi rozmawiać. Uprzedzasz mnie tak późno!

– Jest dość czasu. Uznaliśmy, że lepiej zaaranżować to właśnie tak. Wiem, że ta wiadomość wytrąciła cię z równowagi, ale to minie. Wierzę, że kiedy przez chwilę się zastanowisz i zrozumiesz, że nie straciłaś niczego, co mogłaś stracić, powitasz ich z wielką radością.

– Przecież to niemożliwe!

Twarz Elizabeth stwardniała. Delikatne, piękne linie jej policzków i podbródka rzadko stawały się surowe, ale gdy tak się działo, zmiana była bardzo wyraźna.

– Proszę cię, Morwenno, proszę, zastanów się nad tym, jakie dobrodziejstwa cię spotkały. Temu młodemu człowiekowi oszczędzono oskarżenia i kary, które zrujnowałyby mu życie. Kiedy pan Warleggan postanowił wycofać oskarżenie, postąpił miłosiernie i szlachetnie. Jestem pewna, że to doceniasz.

– Och, tak, doceniam! Wszystko, co kiedykolwiek...

– Cóż, stąd właśnie nasza decyzja. Skoro ten młody człowiek nie poniesie kary za swoje błędy, dlaczego ty miałabyś cierpieć? Powinnaś być wdzięczna, a nie ponownie okazywać upór.

Zeszły po schodkach do ogrodu. Ogrodnik pozdrowił je, unosząc rękę do czapki. Elizabeth podjęła z nim rozmowę o różach. Kiedy wróciła do Morweny, powiedziała:

– Jestem pewna, że matka udzieli ci dobrej rady, moja droga.

– Tak, wiem, że to zrobi! Kiedy przyjedzie?

– Spędzi dzisiejszą noc w Truro, a jeśli ładna pogoda się utrzyma, powinna dotrzeć do Trenwith jutro w porze obiadu. Wiem, jak bardzo pragniesz znów ją zobaczyć.

– Elizabeth, czy nie można spowodować, bym nie spotkała pastora Whitwortha przed rozmową z matką? Tak bardzo potrzebuję jej pomocy i rady.

– To raczej wykluczone. Nie możesz zniknąć na cały dzień. Ale pierwszego dnia nie musimy podejmować żadnych decyzji. Powinnaś być po prostu miła, grzeczna. Doskonale to potrafisz.

– A jeśli... Jak można utrzymać w sekrecie to, co się stało? Powiedziałam o wszystkim matce, a ona na pewno wspomniała siostrze. Innym może również...

– Twoja matka jeszcze o niczym nie wie.

– W zeszłym tygodniu napisałam do niej długi na sześć stron list! Na pewno już do niej dotarł i...

– Nie nadałam go – odparła Elizabeth. – Jest na górze. I nie otworzyłam. Nikt nie czytał tego, co napisałaś. Och, możesz uważać, że pozwoliłam sobie na zbyt wiele, ale zrobiłam to w najlepszej intencji.

Morwenna przygryzła wargę, powstrzymując protest.

– Mając na względzie nasze... nowe plany rozwiązania tej sytuacji, uznaliśmy, że lepiej będzie, jeśli twoja matka dowie się o twojej znajomości z tym młodym górnikiem dopiero w chwili, gdy się spotkacie. Możesz jej wtedy powiedzieć, co chcesz, własnymi słowami. Nie powstrzymamy cię, moja droga, i nie będziemy nawet próbować! Kiedy ją zobaczysz, będziesz spokojniejsza, nastrojona bardziej refleksyjnie. Przyjedzie jutro, wiedząc tylko o wcześniejszych oświadczeniach wielbnego Osborne'a Whitwortha. Zna jedynie treść listów, które wcześniej do niej pisałaś.

Lady Whitworth nie wydała się Morwennie eteryczną starszą damą, jak sugerował opis Elizabeth. Była wysoką, atletycznie zbudowaną kobietą o pomarszczonych, obwisłych policzkach, męskim głosem i małych, przenikliwych oczach. Ani przez chwilę nie sądziła, że ta skromna, cicha panna jest odpowiednią kandydatką na żonę Osborne'a, lecz posąg ufundowany przez Warleggana sprawiał, że uważała małżeństwo z Morwenną za pożądane z praktycznego punktu widzenia. Nie rozstawała się z wachlarzem, zarówno w domu, jak i na dworze, i odkładała go tylko na czas posiłków. Jej surowy, mocny, arystokratyczny głos wypełniał każde pomieszczenie.

Syn był od niej wyższy o kilka centymetrów i również odznaczał się donośnym głosem, toteż oboje zdominowali konwersację. Ciotka Agatha, która знаła matkę lady Whitworth i uważała jej córkę za idiotkę, nie zaprosiła Whitworthów na swoje urodziny.

Ossie odnosił się do Morwenny z rezerwą i jeszcze bardziej wyniośle niż poprzednio. Pamiętał, że dostał kosza w Truro, i chociaż zupełnie się tym nie przejmował – wiele dziewcząt uważało za swój obowiązek kilkakrotnie odrzucać prośby o rękę, traktując to jako część gry – to jednak odczuwał irytację. Potrzebował posagu Morwenny, bo nie mógł liczyć na nic lepszego, potrzebował też jej ciała, którego nie zniekształcała nawet niemodna suknia. Złościło go, że Morwenna, z pozoru nieśmiała dziewczyna o sennych, brązowych oczach, okazała się tak knąbna. Był gotów o tym zapomnieć ze względu na korzyści z małżeństwa, lecz czuł się nieco skrępowany i zachowywał się oficjalnie.

Pierwszego wieczoru spędził z nią kilka minut sam na sam, ale nie wspominał o małżeństwie. Zamiast tego opowiedział o kazaniu wygłoszonym tego ranka i wrażeniu, jakie wywarło na uczestnikach nabożeństwa. Napomknął, że wyjazd z parafii, by odwiedzić Trenwith, to dla niego wyjątkowa niedogodność. Zachowywał się bardzo chłodno i sztywno. Ale przez cały czas patrzył na Morwennę dziwnym wzrokiem, ona zaś miała tego świadomość.

Następnego dnia tuż przed obiadem przyjechała matka Morwenny – naprawdę wyczerpana podróżą, w przeciwieństwie do lady Whitworth, która zawsze miała ochotę na mocny rum i karty. Pani Chynoweth była tak zmęczona, że posiłek przeniesiono na trzecią.

Amelia Chynoweth zawsze odznaczała się wybitną urodą i zachowała ją również w dojrzałym wieku. Była córką Trelawneya Tregellasa, którego bankructwo odbiło się w Anglii głośnym echem. Kiedy, skazany za długi, zmarł w londyńskim więzieniu Fleet, rodzina uznała, że jego jedyna córka – jedyna z prawego łoża – powinna wyjść za mąż za wielbnego Huberta Chynowetha, człowieka o nieskazitelnym rodowodzie i kaznodziei o pięknym tenorze, wschodzącą gwiazdę Kościoła anglikańskiego.

Hubert Chynoweth awansował w hierarchii kościelnej i splodził liczne potomstwo, lecz przedwcześnie odszedł z tego świata, pozostawiając bez środków do życia czterdziestodwuletnią małżonkę z gromadką dzieci. Amelia Chynoweth zawsze zachowywała się nienagannie, może dlatego, że była córką człowieka mającego przez całe życie opinię czarnej owcy – najpierw w Kornwalii, gdzie się urodził, a później w Londynie, który postanowił podbić. Jej sposób mówienia, maniery, gust i poglądy były konwencjonalne, zgodne z tym, czego od niej oczekiwano. Z biegiem lat doskonale wcieliła się w swoją rolę, stała się ona jej drugą naturą. Nic zatem dziwnego, że szczerze aprobowwała plan małżeństwa najstarszej, pozbawionej posagu córki z duchownym z dobrej rodziny, kolejną

wschodzącą gwiazdą Kościoła anglikańskiego, choć nie wygłaszał kazań tak pięknym tenorem jak zmarły ojciec Morwenny.

Następnego dnia rano Morwenna rozmawiała z matką przez dwie godziny w wyłożonej ciemną boazerią sypialni z epoki Tudorów – jedynym pokoju, w którym można było ulokować panią Chynoweth. Morwenna nie powiedziała matce wszystkiego – przewidywania Elizabeth się sprawdziły i nie chciała szczegółowo opisywać historii swojej znajomości z Drakiem, jak to zrobiła w liście. Mówiła, że Drake to młody cieśla z okolicy spowinowacony z Poldarkami dzięki małżeństwu siostry, uczciwy, pracowity chrześcijanin, którego głęboko pokochała i którego będzie kochać aż do kresu swojego życia.

Matka okazała trochę współczucia i zrozumienia. Wiedziała, że córka jest szczerą, szlachetną i lojalną. Po śmierci Huberta była największą pociechą matki. Jednak Amelii Chynoweth brakowało empatii, nie potrafiła się postawić na miejscu Morwenny i patrzeć na świat jej oczami. W ciągu ostatnich dwudziestu lat prowadziła raczej powierzchowne życie i straciła zdolność głębokiego rozumienia uczuć innych. Słuchała opowieści córki, przypominała sobie koleje własnego życia i zastanawiała się, czy kochała Huberta w chwili ślubu. Nie pamiętała. Zawsze podejmowała słuszne decyzje, a małżeństwo z nim stanowiło zwieńczenie szeregu takich decyzji. Po ślubie to, co słuszne, zostało jasno zdefiniowane przez jej status społeczny i obowiązki. Kiedy została żoną dziekana, jej reakcje stały się mechaniczne.

Co zatem począc z córką, która ma kłopoty sercowe, bo zakochała się w zupełnie nieodpowiednim człowieku?

– Morwenno, moja droga, doskonale rozumiem, co czujesz, ale musisz pamiętać, że jesteś jeszcze bardzo młoda.

Morwennę ogarnęła rozpacz, bo natychmiast zrozumiała, że poniosła klęskę. Kiedy ktoś mówił, że jest młoda... Matka perorowała przez kilka minut, lecz córka prawie jej nie słuchała, wyobrażając sobie przyszłość, która wydawała się niemożliwa do zniesienia. Głos matki przebił się przez mrok, gorycz i strach dopiero po dłuższym czasie.

– Naturalnie można powiedzieć, że wcale nie musisz wychodzić za mąż – przynajmniej jeszcze nie. Ten młody człowiek, z którym na swoje nieszczęście nieroztropnie się spotykałaś – małżeństwo z nim jest trudne do wyobrażenia, prawda? Nawet tego nie sugerujesz. Wiem, że sama to rozumiesz. Drugi kandydat to wielebny Whitworth. Myślę, że powinnaś głęboko się zastanowić, zanim zrobisz coś, co mogłoby go zniechęcić. Wiem, że twoje uczucie do młodego górnika sprawi, że trudno ci będzie darzyć tym samym lub podobnym uczuciem innego mężczyznę, ale sądzę, że powinnaś starać się przezwyciężyć te opory.

– A jeśli mi się nie uda, mam?

Pani Chynoweth pocałowała córkę.

– Postaraj się. Dla własnego dobra. I dla dobra nas wszystkich.

– Chcesz, żebym to zrobiła dla ciebie?

– Nie, nie dla mnie. Choć byłabym bardzo szczęśliwa, nie z powodów egoistycznych, zapewniam cię. Spróbuj spojrzeć na to z jak najszerzej perspektywy. Och, jakże chciałabym przekazać ci mądrość życiową, która sprawiłaby, żebyś rozważyła wszystko rozsądnie i starannie, na podstawie doświadczenia życiowego, którego jeszcze nie możesz mieć. Proszę cię, żebyś rozważyła propozycję wielebnego Whitwortha ze względu na swoje własne dobro: nie możesz mieć nadziei na lepsze małżeństwo, zapewni ci ono odpowiednią pozycję społeczną, pieniądze, zdobędziesz przystojnego męża o wielkich perspektywach kariery w stanie duchownym, będziesz zabezpieczona do końca życia i będziesz prowadzić dobre, religijne życie. Każda dziewczyna z radością skorzystałaby z takiej okazji. Wiem, że twój ojciec byłby bardzo zadowolony, gdybyś poślubiła duchownego. Poza tym zastanów się nad wielką hojnością pana Warleggana, który sprawia, że to małżeństwo jest możliwe. Czy w tej sytuacji w ogóle wypada odrzucać oświadczyzny? Wreszcie – mówię to na samym końcu, weź pod uwagę – że takie małżeństwo sprawiłoby mi wielką radość. I ulgę, moja droga – muszę to przyznać. Ulgę. Nie chcę cię stracić i powitałabym cię w domu z otwartymi ramionami, ale, jak doskonale wiesz, masz trzy młodsze siostry, a nasze

Środki finansowe są skromne. Wiesz, jaka jestem delikatna i jak zmagamy się z losem po śmierci ojca. Niech cię to zanadto nie martwi...

– Och, bardzo mnie martwi, mamo!

– Niech nie będzie twoim głównym zmartwieniem, dziecko. Przede wszystkim musisz myśleć o swojej przyszłości. Mam nadzieję, że podejmiesz mądrą decyzję ze względu na własną przyszłość, i modłę się o to. Jestem pewna, że wielebny Whitworth porozmawia z tobą dziś lub jutro. Proszę, dobrze zastanów się nad odpowiedzią, jakiej mu udzielisz.

Wielebny Whitworth odbył rozmowę z Morwenną. Późnym popołudniem odnalazł ją w ogrodzie, gdzie celowo pozostawiono ją samą. Morwenna wybrała się na spacer z matką aż do klifu, lecz skwapliwie unikały tematu małżeństwa i rozmawiały o życiu parafialnym w Bodmin. Po powrocie pani Chynoweth musiała wejść do dworu, by odpocząć po długim spacerze, a Elizabeth, która wyszła im na spotkanie, z niewiadomych przyczyn musiała odejść. Widząc, że Morwenna jest sama, wielebny Whitworth zbliżył się do niej i poszli razem na spacer wokół ogrodu.

Jak już wspomniano, relacje Ossiego z kobietami przybierały dwie formy: powierzchownych kontaktów towarzyskich lub godziny spędzonej w pokoiku na piętrze w zamian za kilka srebrnych monet. Zaloty do pierwszej żony były krótkie i proste, ponieważ przed ślubem go uwielbiała, co uważał za najzupełniej naturalną reakcję kobiety na swoją osobę i co sprawiało, że oficjalne deklaracje stawały się niepotrzebne. Oświadczył się Morwennie, lecz odrzuciła jego propozycję, okazując mu lekką niechęć. Było to frustrujące i nie miał ochoty powtarzać wszystkiego jeszcze raz, zwłaszcza bez absolutnej pewności sukcesu.

Ogród nie był miejscem, które by wybrał, jednak brakowało czasu i poczucie *amour-propre* nie pozwoliło mu zrezygnować z okazji.

Dokończył uwagę na temat słabych zbiorów tego lata i rzekł sztywno:

– Panno Chynoweth... Morwenno... Wiesz o następnych dyskusjach, które odbyły się między twoim kuzynem panem Warlegganem a mną na temat naszego małżeństwa, moich oświadczeń, prośby o twoją rękę. Możesz czuć, że za dużo rozmawiałem o tym z twoim opiekunem, a za mało z tobą. Ale w czasie ostatniego spotkania zapoznałem cię ze swoimi uczuciami, a ty dałaś mi do zrozumienia, że potrzebujesz czasu, by zastanowić się nad propozycją, czasu, by przygotować się do tak ważnego kroku. Dlatego uznałem, że nie powinienem zwracać się do ciebie osobiście, lecz pytać od czasu do czasu twojego opiekuna, jakie jest twoje zdanie w tej materii i twoje uczucia.

Umilkł, uniósł dłoń do halsztuka, poprawił go, po czym splótł ręce za plecami. Pogratulował sobie, że nie jękał się ani nie zaciął.

– Tak – odpowiedziała Morwenna.

– Wczoraj wieczorem znów rozmawiałem z panem Warlegganem, a dziś przed obiadem zamieniłem kilka słów z twoją uroczą matką. Oboje powiedzieli mi to, co chciałem usłyszeć.

– Doprawdy?

– Tak. Ale... aby moje szczęście było całkowite, muszę usłyszeć tę samą nowinę z twoich ust.

Morwenna spojrzała na rabatę dzwonek ogrodowych, których kwiaty chwiały się łagodnie na wietrze. Później popatrzyła nad trawnikiem na stary dwór z szarego kamienia. Nieco po lewej znajdował się staw krajobrazowy, do którego Drake dla żartu podrzucał ropuchy. Dalej, również po lewej stronie, rósł zagajnik, gdzie ona i Drake po raz pierwszy się spotkali. Z okna na pierwszym piętrze dworu wypatrywała niekiedy jego nadejścia; widziała stamtąd, jak odchodzi po raz ostatni, idzie powoli podjazdem, aż jego sylwetka zniknęła za bramą. Tak pożegnała swoją miłość i swoje życie.

– Panie Whitworth – powiedziała. – Ja...

– Osborne.

– Osborne. Nie wiem, co powiedzieć.

– Wiesz, co chcę usłyszeć.

– Tak, tak, ale... Proszę wybaczyć... Jeśli pan chce, żebym powiedziała, że pana kocham, nie mogę tego zrobić. Jeśli... jeśli panu na tym zależy, aby pana szczęście było całkowite, ja... nie mogę tego zadeklarować. Jestem tego zupełnie pewna.

Osborne popatrzył na dziewczynę, przełknął ślinę, po czym odwrócił wzrok.

– Mówiono mi, że... – zaczęła i urwała.

– Proszę, mów dalej. Proszę, mów otwarcie.

– Nie wiem, co się stanie, jeśli weźmiemy ślub. Mówiono mi, że takie uczucia rodzą się z czasem...

– Mówiono prawdę.

– Ale, panie Whitworth, nie byłabym z panem szczerą, gdybym udawała, że odczuwam emocje, których we mnie nie ma. Mówi pan, że chciałby mnie pan poślubić. Jeśli w dalszym ciągu chce pan to zrobić, wiedząc to, co panu przed chwilą powiedziałam, w takim razie wyjdę za pana. Chociaż...

– Właśnie to chciałem usłyszeć! To wszystko, co chciałem usłyszeć!

– Wszystko...

– Na dziś. W małżeństwie wiele się zmieni. Pojawią się uczucia, z których istnienia nie zdajesz sobie sprawy. Jesteś zbyt młoda, by to rozumieć. Musisz mi wierzyć. Będę twoim przewodnikiem. – Ujął jej dłoń, która była zimna. Zawsze miała zimne ręce. Nie znosił tego. – Nie mam żadnych wątpliwości. Będiesz nową matką moich córek i w odpowiednim czasie urodzisz własne dzieci. Plebania jest gotowa. W lecie zakończono niezbędne prace remontowe, bo poprzedni proboszcz nie dbał o dom. Przebudowano komin i usunięto spróchniałe deski. Mogłabyś od razu w niej zamieszkać.

– Nie o to chodzi... – wymamrotała Morwenna. – Jestem pewna, że dom...

– Chciałbym wrócić do Truro w niedzielę, bo nie mam zastępcy, który mógłby odprawić za mnie nabożeństwo. Objąłem swoje stanowisko niedawno, a w parafii mieszka wiele wybitnych osobistości, które zwykle uczestniczą w niedzielnych nabożeństwach, więc nie chciałbym go odwoływać. Możemy wziąć ślub w piątek i wrócić tego samego dnia...

Morwennę ścisnęło w gardle.

– W piątek?! W ten piątek?! Przecież to niemożliwe! Jak to? To niemożliwe, mówię panu! – Urwała, zdając sobie sprawę, że jeśli ma rzeczywiście wyjść za Whitwortha i próbować rozpocząć nowe życie, jak jej narzucono, nie może okazywać duchownemu niechęci. – Bardzo mi przykro, ale to przecież niemożliwe, prawda? W takim czasie nie da się niczego przygotować!

– Ośmieliłem się poczynić pewne przygotowania, opierając się na informacjach, które wcześniej uzyskałem – rzekł Ossie. – Wierzyłem, że czas złagodzi twoje wahania. W zeszłym tygodniu uzyskałem zgodę biskupa Exeter na zawarcie małżeństwa w miejscowym kościele przed naszym powrotem do Truro.

Morwenna poczuła, że traci resztki nadziei. Miała wrażenie, że zatraskują się przed nią ostatnie drzwi, którymi mogłaby uciec.

– Panie Whitworth, proszę...

– Osborne...

– Osborne... Nie mam stroju, wyprawy panny młodej! Nic nie jest przygotowane! Proszę dać mi czas, trochę więcej czasu...

Twarz Whitwortha stężała. Był teraz znacznie bardziej pewny siebie.

– Moja droga, miałaś sześć miesięcy, by się nad tym zastanowić. To z pewnością dość czasu. A co do stroju... kogo to obchodzi? Twoja matka już mi powiedziała, że nie stać jej na wyprawę panny młodej – dodał z nutą pogardy. – Ale przecież masz białą suknię, a u pani Warleggan na pewno znajdzie się woalka: nie będzie trudno coś zaimprovizować. Później, gdy weźmiemy ślub, otrzymasz środki na stroje dzienne i wieczorowe. Jako moja żona będziesz przyzwoicie, stosownie ubrana. Ślub powinien być ceremonią religijną, a nie pretekstem do

wulganej ostentacji.

– Ale piątek jest już za trzy dni! Czy nie można by wyznaczyć terminu we wrześniu? Obiecałam uczestniczyć w urodzinach starej panny Poldark. Odbędą się za dwa tygodnie. Niewielka zwłoka...

Ossie nie puścił dłoni Morwenny. W jego głosie pojawiło się napięcie, jakby dotknięcie wywołało w nim gorączkę.

– Nie... To musi być teraz. Morwenno, popatrz na mnie.

Zerknęła na niego ze łzami w oczach, po czym odwróciła wzrok.

– To musi być teraz – powtórzył i po raz pierwszy się zająknął. – Musimy wziąć ślub w tym tygodniu. Potrzebuję cię. Moje... moje córki cię potrzebują. Poza tym, kiedy twoja i moja matka znajdą się znowu pod jednym dachem? Jakież kościół może być lepszy na tę uroczystość niż kościół rodziny Warlegganów, która darzy cię tak wielką przyjaźnią?

W czasie gdy Drake Carne starał się nie poruszać rannym ramieniem w lesie w pobliżu Quimper i nie prosił o wodę, gdyż wiedział, że jej poszukiwanie narazi przyjaciół na niebezpieczeństwo, Morwenna Chynoweth przygotowywała się do ceremonii ślubu w gotyckim kościele pod wezwaniem Świętego Sawle. Elizabeth nie tylko pożyczyła jej starą koronkową woalkę, lecz także znalazła suknię ślubną, w której dwanaście lat wcześniej zawarła pierwsze małżeństwo i której nigdy więcej już nie nosiła. Była za krótka i za ciasna dla Morwenny, ale Elizabeth i Amelia Chynoweth robiły poprawki przez trzy dni i dokonały cudów, toteż w dniu ślubu suknia była dopasowana i nikt niewtajemniczony nie domyśliłby się, jakiej sztuki to wymagało.

Do kościoła przybyło zaledwie kilkunastu gości. Później zjedzono skromne śniadanie weselne w Trenwith. Uczestniczyli w nim tylko członkowie rodziny. Ossie i Morwenna siedzieli na honorowych miejscach. Ossie miał na sobie nowy strój kupiony specjalnie na tę okazję: surdut z prążkowanego pomarańczowego aksamitu z podwójnymi wyłogami – wewnętrzne były w zielone prążki – i bladoliłowy halsztuk. Morwenna przywodziła na myśl nieśmiałą madonnę, a biel sukni podkreślała jej śniadą, aksamitną skórę. Uśmiechała się, gdy tego od niej oczekiwano, lecz miała nieobecne spojrzenie – powłoka, z której próbował ulecieć duch, ale skrępowano go łańcuchami.

George obserwował wszystko ze spokojną, cichą satysfakcją. Porażka nie oznaczała dla niego tego samego co dla większości ludzi: była jedynie okazją do przegrupowania sił i zmiany strategii. Ustąpił przed groźbami Rossa po starannym namyśle, rozważywszy niebezpieczeństwa związane z konfrontacją i oszacowawszy korzyści płynące z cywilizowanego, taktycznego odwrotu. Nie pozwolił, by na jego decyzję wpłynęły emocje. Zauważył, że wycofując oskarżenie, może wrócić do pozycji wyjściowej i mimo wszystko zaaranżować małżeństwo Osborne'a Whitwortha z Morwenną. Była to spora korzyść okupiona niewielką utratą twarzy. Ogólnie rzecz biorąc, był zadowolony z takiego obrotu sprawy.

Po śniadaniu nastąpiło pośpieszne pożegnanie. Agatha protestowała jak zraniony nietoperz, reszta rodziny zaś wyszła przed drzwi, by pożegnać nowożeńców, którzy wsiedli do karety pożyczonej przez George'a i odjechali. Przez trzy godziny podskakiwali na wybojach, a Osborne ani na sekundę nie przestał dotykać Morwenny: ręki, kolana, barku, dłoni lub twarzy. W końcu ruszyli stromą, porytą koleinami drogą do Truro. Później jechali przez miasto po kocich łbach do kościoła Świętej Małgorzaty, przez bramę i krótkim błotnistym podjazdem. Weszli do domu. Ujrzeni dwie dygające służące i dwie malutkie dziewczynki pod opieką bony. Patrzyły na Morwennę, trzymając palec w buzi, ona zaś poszła do sypialni pachnącej starym drewnem i świeżą farbą. Przed kolacją miała godzinę dla siebie. Zjedli ją we dwoje, obsługiwani przez służącego. Morwenna skubnęła trochę smacznych potraw i napiła się madery, by powstrzymać ogarniające ją dreszcze.

Osborne nie przestawał mówić donośnym głosem – bardzo podobnym do głosu matki. Przez cały dzień był wesoły, ale wydawało się, że ta wesołość służy maskowaniu prawdziwych uczuć. W czasie kolacji kilka razy wstawał od stołu i całował Morwennę w dłoń, a raz pocałował ją w szyję. Nie zrobił tego ponownie, bo zachnęła się lekko, choć starała się to ukryć. Nieustannie spoglądał na nią ciężkim wzrokiem. Szukała w jego oczach miłości,

lecz widziała jedynie żądzę i odrobinę niezadowolenia. Zachowywał się, jakby ciągle miał pretensje o to, że o mało mu się nie wymknęła i że w ogóle próbowała to zrobić.

Po skończonej kolacji Morwennę ogarnęła panika. Poskarżyła się na mdłości po jeździe kareta i spytała, czy tego wieczoru może iść wcześniej spać. Ale czas zwłoki dobiegł końca: Whitworth czekał już za długo. Wspiął się za nią po schodach i wszedł do sypialni pachnącej starym drewnem i świeżą farbą, po czym po kilku niedbałych karesach zaczął ją rozbierać, oglądając z wielkim zainteresowaniem każdą sztukę odzieży. Raz zaprotestowała i raz ją uderzył; później już nie stawiała oporu. W końcu leżała naga na łóżku, zwinięta niczym przerażony ślimak.

Whitworth uklęknął obok łóżka, odmówił krótką modlitwę, a następnie wstał i zaczął łaskotać Morwennę w gołe stopy. Później ją zgwałcił.

Rozdział trzynasty

W lecie tysiąc siedemset dziewięćdziesiątego piątego roku często panował chłód, lecz środa piątego sierpnia okazała się wyjątkowym dniem. Na niebie pokrytym smugami obłoków świeciło słońce, wiatr ucichł i pojawił się pierwszy prawdziwy upał.

Ciotka Agatha, której urodziny przypadały za pięć dni, obudziła się wczesnym rankiem. Miała ochotę wstać z łóżka, skuszona ciepłymi podmuchami powietrza wpadającymi przez okno i sennym świergotem ptaków. Zdawała sobie jednak sprawę, że powinna oszczędzać siły, i postanowiła jak zwykle spędzić rano w pościeli, zjeść o drugiej lekki obiad, a później, w porze podwieczorku, zejść na dwie lub trzy godziny na parter.

Wyjazd Morweny, która opuściła Trenwith niespełna dwa tygodnie wcześniej, był ciężkim ciosem dla starej damy, bo panna Chynoweth stała się niezwykle przydatna. Teraz Agatha musiała znów polegać na Lucy Pipe oraz Elizabeth, która pojawiała się nieregularnie. Ale prawie wszystko było gotowe. Pani Trelask uszyła suknię z czarnej flamandzkiej koronki z dwoma białymi satynowymi kwiatami na piersi i pelerynką z czarnej satyny opadającą do talii. Nie przypadła ona starej damie do gustu, lecz pozostałe kobiety zgodnie uważały, że jest wyjątkowo elegancka i że idealnie pasuje na urodziny. Przynajmniej była nowa, niepognieciona i kosztowała pokaźną sumkę, toteż w końcu Agatha z ociąganiem zgodziła się ją włożyć.

Kazała poszerzyć obrączkę pierścienia z topazem, by wsunąć go na palec, i drżącą ręką napisała na odwrocie starego rachunku, że po jej śmierci pierścień ma otrzymać Clowance Poldark. Kazała przygotować i dopasować nową perukę, wykonaną z wyjątkowo dobrych włosów, prawie białych, z kilkoma pasmami stosownej siwizny; poza tym zakupiła nowy czepek z czarnej koronki. Zamówiła nowy naszyjnik z dżetów, który przysłano dopiero wczoraj. Była zła, bo okazał się za duży i wisiał na jej chudej szyi, lecz miała nadzieję, że Elizabeth zdoła go skrócić.

Brakowało tylko nowych klamerek do pantofli. Miała tak poskręcane i gruzłowate stopy, że nie można było zamówić nowych butów. Wystarczyłyby najlepsze pantofle Agathy, gdyby dodać do nich dwie srebrne sprzączki. Nie przysłano ich. Elizabeth przysięgała, że dwukrotnie ponaglała złotnika z Truro, i solennie obiecano dostarczyć klamerki do poniedziałku – zostało już bardzo mało czasu. Po długim, wielomiesięcznym oczekiwaniu, po licznych przygotowaniach zostało bardzo mało czasu. Zaledwie pięć dni. Pięć dni.

Smollett poruszył się na łóżku i wyprężył grzbiet. Agatha wzięła ze stolika miseczkę mleka i podsunęła mu ją pod pyszczek, on zaś leniwie liznął je dwa razy.

Zaproszenia przyjęło trzydziestu ośmiu gości. A może czterdzieścioro ośmioro? Nie pamiętała. Kilka razy zastanawiała się, dlaczego George Venables nie odpowiedział. Był chyba najsympatyczniejszym mężczyzną, jakiego знаła. Mówili, że jest dla niej za stary, lecz nie mógł mieć wtedy więcej niż czterdzieści lat (czterdzieści lat – dzieciak, prawdziwy dzieciak!). Ale stracił cały majątek na spekulacjach akcjami Kompanii Mórz Południowych, wyjechał za granicę z księciem Portland (czy tak?) i Agatha nigdy więcej nie miała od niego żadnych wiadomości. (Jednak zachowała adres George'a i kazała wysłać mu zaproszenie. W tym domu nie można nikomu ufać. Mogli zgubić list albo zapomnieć go wysłać).

Był także Laurence Trevemper. Wesoły i przystojny. Kapitan (a może porucznik?) w jednym z elitarnych regimentów. Jak dobrze im się tańczyło! Powiedział: „Na Boga, panno Poldark, kiedy z panią tańczę, dodaje mi pani skrzydeł!”. Poległ w jakiejś szaleńczej, odważnej i bezsensownej szarży kawaleryjskiej w miejscowości o nazwie Pontenoy. Chyba w trzydziestym piątym (a może czterdziestym piątym?). Jego żona była nie do zniesienia.

Wcześniej był jeszcze Randolph Pentire. Trochę szelma, zawsze manipulował palcami przy bluzce. W końcu

poślubił Kitty Jakaŝtam – Kitty Hawes – i w ogóle nie miał dzieci. Taki ogier... Agatha nie wysłała im zaproszenia.

Poza tym, ach, pięciu lub sześciu innych. Nie brakowało jej adoratorów, ale, z różnych powodów, żaden nie okazał się tym właściwym. Albo wyjechali jak kochany George. Jeśli słucha się dziś gadaniny młodych ludzi, można pomyśleć, że w dawnych czasach nikt się nie ekscytował, nie było zawodów miłosnych, problemów, frustracji lub ekstazy. Dzisiejsza młodzież jest trochę nudna: pompatyczna, zainteresowana tylko sobą, przekonana, że jej problemy są najważniejsze. Młodym ludziom brakuje perspektywy, poczucia proporcji. Może trzeba być starym, by nabrać prawdziwego poczucia proporcji? Niewielka pociecha, lecz i tak więcej niż nic.

Snując te spokojne, senne refleksje, między jedną drzemką a drugą, Agatha zobaczyła innego George'a, nie tego, o którym myślała – tego, którego bardzo nie lubiła.

Patrzyła na Lucy Pipe składającą nocny szal, a później otworzyła oczy i ujrzała George'a Warleggana i Lucy Pipe zamykającą za sobą drzwi.

Wizyta Georga'a była rzadkim, wyjątkowo rzadkim wydarzeniem. Nie przypomniała sobie jego odwiedzin w tym pokoju. Nie podobało jej się to: wytrąciło ją z równowagi. Zakopała się w pościeli i otuliła dziennym szalem, jakby George był chłodnym przeciągiem, którego należy się wystrzegać. Smollett, również zaniepokojony, wyprężył grzbiet i prychnął. Agatha czuła ogromną satysfakcję, że Smollett prycha tylko na George'a.

Warleggan był ubrany w strój wizytowy. Miał na sobie obcisły, wcięty w talii surdut z wysokim kołnierzem, obcisłe bryczesy i krótką dwurzędową kamizelkę z czerwonego jedwabiu zapinaną na mosiężne guziki. Uważne, krytyczne spojrzenie Agathy dostrzegło lekko zaokrąglony brzuch, pucułowate policzki i barki, które z każdym rokiem stawały się coraz masywniejsze. Później spostrzegła, że George się uśmiecha. Niesłychane. Uśmiechał się do niej. Nie był to miły uśmiech, lecz żaden ruch mięśni jego twarzy nie wydałby jej się miły – chyba że wyrażałby ból. Coś mówił. Położył na stoliku obok łóżka jakąś księgę i mówił cichym głosem, doskonale zdając sobie sprawę, że nie może go usłyszeć. Szare, wilgotne wargi Agathy wykrzywiły się ze złości.

– Mów głośniej! Czego chcesz?

Podszedł bliżej i z niesmakiem uniósł chusteczkę do nosa. Był to celowy afront.

– Mów głośniej, George! – powtórzyła. – Wiesz, że jestem przygłucha. Czemu zawdzięczam ten zaszczyt, co? Co? Moje urodziny są dopiero w poniedziałek.

Smollett wylał trochę mleka ze spodeczka i na kołdrze pojawiły się dwie białe krople przypominające białka oczu. Agatha strzepnęła je ręką.

George jeszcze nigdy nie podszedł do niej tak blisko. Mówił głośno, zbliżył wargi do ucha pokrytego siwymi włoskami.

– Słyszysz mnie teraz, starucho?

– Tak, słyszę. Nie obrażaj mnie, bo inaczej dowie się o tym Elizabeth.

– Mam dla ciebie złe nowiny, starucho.

– Co? Jakie złe nowiny? Złe nowiny? Wiedziała, że mogłeś przyjść tylko ze złymi nowinami. Masz to wypisane na twarzy, wyglądasz jak kruk obżarty padliną, z dziobem umazanym krwią. Mów!

George spojrział na Agathę i pokręcił głową. Przestał się uśmiechać. Był spokojny, poważny i stanowczy.

– Poniedziałkowe przyjęcie się nie odbędzie.

Agatha poczuła falę krwi wzbierającą w starczym ciele. Musi być ostrożna. Jeśli George przyszedł, by drwinami doprowadzić ją do choroby, nie powinna dać się sprowokować.

– Bzdury. Nie możesz odwołać przyjęcia, George, choć niewątpliwie sprawiłoby ci to wielką przyjemność.

– Muszę je odwołać, stara kobieto. Inaczej wyjdiesz na kłamczuchę.

Agatha obejrzała go od stóp do głów. Stary wróg. Strzeż się podstępów.

– Zostaw mnie. Zostaw mnie w spokoju.

– Słyszysz mnie? Ważne, żebyś mnie słyszała! Kiedy Morwenna brała ślub z wielebnyim Osborne'em Whitworthem, wziąłem do ręki księgę parafialną i zauważyłem, że zapisy sięgają sto pięćdziesiąt lat wstecz.

Wczoraj przejeżdżałem obok plebanii, odwiedziłem wielbnego Odgersa i przez pół godziny studiowałem księgę. Interesująca lektura, są w niej spisane dzieje Poldarków i Trenwithów. Zasznięty inkaust sprzed wielu lat jest prawie tak stary i spłowiły jak ty, starucho.

Agatha milczała. Obserwowała George'a małymi, złośliwymi oczkami.

– Przejrzałem rejestr chrztów, starucho. Szukałem zapisu o twoim chrzcie w tysiąc sześćset dziewięćdziesiątym piątym roku. Nie znalazłem go. Słyszysz mnie?! Nie ma go pod tą datą! Znalazłem zapis, z którego wynika, że zostałaś ochrzczona we wrześniu tysiąc sześćset dziewięćdziesiątego siódmego roku. Co ty na to?

Serce Agathy biło bardzo mocno. Czują w głowie pulsowanie krwi. Spokojnie, tylko spokojnie... Nie pozwól mu triumfować.

– To kłamstwo! Parszywe kłamstwo! Nie ma takiego...

– Posłuchaj, starucho. Ciągłe mnie słyszysz? Nie uznałem tego za wystarczający dowód, bo chrzty nie zawsze odbywają się natychmiast po urodzeniu. Dlatego wczoraj po południu i wieczorem, a także dziś rano kazałem służącym wynieść stare graty z pokoju nad kuchnią, gdzie wrzucono je po odnowieniu i remoncie dworu. Słyszysz? Pozwól mi się zbliżyć. Będę mówił prosto do twojego ucha. Znaleźliśmy starą rodzinną Biblię, która niegdyś, za życia ojca Francisa, leżała na parterze w wielkiej sali. Znalazłem w niej wpis. Pozwól mi go przeczytać. A może wolisz zrobić to sama? Tutaj!

Wziął ze stolika księgę i otworzył. Podsunął ją staruszce pod nos, lecz się cofnęła.

– A zatem ja przeczytałem. Ośmielałem się przypuszczać, że to pismo twojego ojca. Inkaust bardzo spłowił, ale pismo jest czytelne, starucho. O tak, czytelne. Zapis brzmi: „Dnia dziesiątego sierpnia roku Pańskiego tysiąc sześćset dziewięćdziesiątego siódmego, w deszczowy letni poranek, na godzinę przed południem, narodziło się nasze pierwsze dziecko, córka, Agatha Mary. Chwała Panu w niebiosach!”. Słyszysz mnie czy mam przeczytać jeszcze raz?

– Słyszę.

– Obok, na marginesie, dopisano inną ręką: „Ochrzczona trzeciego września”. A zatem, starucho, w poniedziałek będziesz miała zaledwie dziewięćdziesiąt osiem lat.

Agatha zupełnie zeszywniała. Czarny kot, nie zdając sobie sprawy z jej zdenerwowania, spojrzał na nią, ziewnął i wygodnie ułożył się na łożku. George się odwrócił, odniósł Biblię na stół koło okna, po czym stanął na środku pokoju i spojrzał na swoją ofiarę. Od lat toczył z tą staruchą zacieklą wojnę. Trwała zbyt długo, by pamiętać, kto zaczął – czy już na samym początku poczuli do siebie antypatię, czy przyczyną był jakiś afront. Było za późno, by załagodzić spór, za późno na półśrodki lub opuszczenie noża uniesionego do zadania ciosu.

– Słyszysz mnie? Zejdę na dół i każę rozesłać listy do wszystkich gości, którzy przyjęli twoje zaproszenie. Poinformuję ich, że pomyliłaś się co do swojego wieku i że nowe zaproszenia zostaną rozesłane za dwa lata.

– Nie ośmielisz się. Elizabeth nigdy... nigdy na to nie pozwoli! Nigdy! Nigdy!

– Nie może mnie powstrzymać. Jestem panem tego domu i chociaż pozwoliłem wydać to przyjęcie, nie będę uczestniczył w bezczelnym oszustwie. Masz dziewięćdziesiąt siedem lat, starucho. W poniedziałek będziesz mieć dziewięćdziesiąt osiem. Przeżyj jeszcze dwa lata i możesz znowu zaprosić swoich przyjaciół. Usiłowałaś panować nad sobą. Żelazna dyscyplina i determinacja sprawiły, że wiedziałaś, jak reagować – zamknąć oczy, głęboko oddychać, zapomnieć o gniewnych myślach, pamiętać tylko o przetrwaniu. Ćwiczyłaś to już w czasie wielu codziennych awantur. Rzekoma złość, pozornie wściekłe tyrady to tylko burze szalejące na powierzchni, nie są prawdziwymi wstrząsami, serce pozostaje spokojne. Nauczyłaś się tego... Ale czasem nie udaje się zachować dyscypliny. Furia i udręka narastają, aż nie możesz nad nimi zapanować i nie potrafisz się bronić przed niszczącymi emocjami, które przenikają całe twoje ciało, podnoszą ciśnienie krwi i w końcu cię zabijają. Pan w niebiosach w niczym ci nie pomoże.

George ruszył w stronę drzwi.

– Zaczekaj! – wychrypiała Agatha. Warleggan uprzejmie obrócił się w jej stronę. Nie spostrzegła żadnych

zewnątrznych oznak triumfu, który mógł odczuwać. Czy powinna go błagać? Czy jest w stanie poniżyć się do tego stopnia, by błagać tego człowieka? – Wszystko gotowe – wychrypiała. – Mój strój... Kuchnia... Jedzenie zamówione... przygotowane... – urwała i usiłowała nabrać powietrza w płuca. Nie mogła. Straciła oddech.

– Szkoda – rzekł George. – Wydamy przyjęcie jeszcze raz.

Agatha zakrtusiła się, przełknęła ślinę, w ostatniej chwili wciągnęła powietrze.

– Przyślij Elizabeth... Każ przyjsć Elizabeth... I tak mam urodziny w poniedziałek... Zasluguję na przyjęcie... Dziewięćdziesiąt osiem lat, piękny wiek... Będę miała sto lat, wiem, wiem na pewno, liczyłam. Jak mogłabym się pomylić?

– Pomyliłaś się, starucho, i nie będzie przyjęcia. Bez trudu je odwołamy. Otwieraj okno, gdy jest ładna pogoda. W tym pokoju śmierdzi.

– Stój! – krzyknęła. Warleggan znów ruszył w stronę drzwi. – Nie przeżyję dwóch lat. Wiesz o tym. Kto się dowie, jeśli będziesz milczał? Nie przeżyję następnych dwóch lat. Nie będę ci więcej dopiekać, George. Tak długo na to czekam. Co? Co? Nie będę ci więcej dopiekać, George. W niczym ci to nie zaszkodzi, w niczym. Sporządzę nowy testament, zapiszę ci wszystkie pieniądze, które trzymam w papierach rządowych. Nikt się nigdy nie dowie.

– Nie chcę twoich pieniędzy, starucho! – George znów zbliżył się do łóżka, trzymając Biblię pod pachą. – Nie chcę twojej przyjaźni! Żal mi cię, ale prędzej zgnijesz w tym pokoju, niż namówisz mnie, bym kłamał razem z tobą!

Było jasne, że George i Agatha śmiertelnie się nienawidzą. Zazwyczaj chłodny, zrównoważony, dystyngowany mężczyzna i stara kobieta, szkielet szarpiący pazurami pościel i ciężko dyszący na łóżku. Po policzkach Agathy spływały łzy i tym razem nie był to skutek ciągłego łzawienia oczu.

– Jeśli mi to zrobisz... – wycharczała, zakrtusiła się i splunęła, by odzyskać głos. – Obyś zgnił, wiem, że na pewno zgnijesz! Tak, ty i twój niezdarny ojciec, stryj podobny do sępa, twoja głupia matka, oślizgła jak glista, i kulawy synek. Mały Valentine! Urodzony pod czarnym księżycem, kuternoga! Niedługo stoczą go wszystkie czerwce świata, przekonasz się! Wiem! Jestem pewna! Urodzony pod czarnym księżycem! Ostatni z Warlegganów!...

Chociaż Agatha ledwo dyszała, zauważyła, że ostatnie bezsilne przekleństwo zabolowało George'a. Staruszka przypominała okręt, który tonie w czasie bitwy morskiej, lecz nie chce się poddać: zamierzała prowadzić kanonadę do samego końca. Ten pocisk trafił w cel. Pozostał ostatni strzał.

– Ostatni z Warlegganów, George! Tylko czy to w ogóle Warleggan?!

George podszedł do drzwi, odwrócił się i spojrzał na Agathę. Mała, śmierzcząca, pomarszczona stara kobieta wyglądała żałośnie, dygotała, krztusiła się, zsiniały jej wargi, policzki lekko poczerwieniały, oczy przypominały szparki. Rozchyliła bezzębne usta, próbując krzyczeć, gryźć, wstrzyknąć George'owi ostatnią porcję jadu.

– To nie był wcześniak urodzony w siódmym miesiącu ciąży, George! – wyrzuciła z siebie. – Ani w ósmym. Wiele razy w życiu widywałam wcześniaki urodzone w siódmym albo ósmym miesiącu. Nie mają paznokci, skóra jest pomarszczona jak na jabłku, które za długo leżało w spiżarni. – Zakrtusiła się i splunęła na koldrę. – Nie płacz... kwilą słabo i są łyse! On się urodził w terminie! Twój kochany kuternoga Valentine urodził się w dziewiątym miesiącu ciąży, przysięgam! Zatem...

George patrzył na staruszkę i wydawało się, że również splunie, lecz tego nie zrobił. Stał i słuchał, a tymczasem Agatha szykowała się do oddania ostatniego strzału, chcąc go zranić po raz ostatni.

– Może ty i Elizabeth nie czekaliście na ślub, co? Może o to chodzi. Tak było? – Rozdziawiła z wściekłością usta, ukazując bezzębne dziąsła. – A może ktoś inny ujeżdżał ją przed waszym ślubem?! Co? Co? Twój kochany Valentine!...

George wyszedł z pokoju i murami starego dworu wstrząsnął łomot zatrząskiwanych drzwi. Agatha Poldark opadła na poduszki. W klatce zagwizdał przerażony kos. Kotary uniosły się pod wpływem łagodnego podmuchu powietrza, który po chwili zamarł.

Sześć kilometrów dalej Ross siedział na trawie z Demelzą i dwójkiem dzieci przed dworem w Namparze.

Jedynym nieprzyjemnym dźwiękiem był daleki huk i grzechot dobiegający z szopy, w której kruszono rudę cyny, lecz nikt nie zwracał uwagi na hałasy, nawet ich nie słyszał. W górze doliny z komina Wheal Grace płynęła w niebo strużka białawego dymu, a między budynkami kancelarii kopalni poruszało się kilka postaci.

Rodzina Poldarków rzadko siadywała razem na trawie, ale skwarny dzień sprawił, że wszyscy zmienili plany. Ross trzymał Clowance na kolanach, u jego stóp gryzł kość Garrick. Jeremy leżał na brzuchu i splatał wianek ze stokrotek; obok leżała na brzuchu Demelza i pomagała synowi. Wszyscy byli zadowoleni. Dowiedziawszy się, że starannie przemyślany plan udzielenia pomocy Drake'owi może spalić na panewce, Ross na początku przeżył szok, jednak później postanowił, że nie będzie o tym myślał. Od czasu do czasu budził się w nocy i przypominał sobie George'a oraz jego niezwykłą, przykrą umiejętność przekuwania kłęski w zwycięstwo, po czym opuszczała go radość z powrotu do domu. Jednak dobrze rozumiał, że nie powinien pozwolić, by ciągle problemy związane z Warlegganem mąciły mu codzienne szczęście. Należy coś zrobić dla Drake'a, a tymczasem trzeba zapomnieć o całej sprawie. Zapomnieć o George'u, zapomnieć o Elizabeth i myśleć tylko o tym, co się ma. Świeciło słońce, Clowance drzemała na kolanach Rossa, jej mała główka stała się nagle ciężka, a na trawie obok Demelza i Jeremy splatali wianek ze stokrotek.

Dwadzieścia kilometrów dalej Caroline Penvenen patrzyła, jak masztalerz pomaga Dwightowi po raz pierwszy wsiąść na konia. Młody lekarz zachowywał się jak starzec: musiał próbować dwa razy, a gdy zajął miejsce w siodle, wydawało się, że za chwilę spadnie. Kiedy odzyskał równowagę, uśmiechnął się triumfalnie. W dalszym ciągu miał śmiertelnie bladą twarz, która nie nabrała jeszcze kolorów, choć od tygodnia dobrze się odżywił. Caroline uśmiechała się do Dwighta, zadowolona, że wybrali najstarszą i najspokojniejszą klacz. Postanowili wziąć ślub w październiku. Jeszcze nie zdecydowali, czy ma być uroczysty, jak chciała Caroline, czy skromny, za czym opowiadał się Dwight. Podejrzewała, że wiele zależy od tego, jak szybko dojdzie do siebie pod względem fizycznym.

W Truro wielebny Osborne Whitworth, odzyskawszy całkowity spokój ducha, sprzeczał się głośno z administratorem swojego kościoła na temat wysokości datków rodzin dysponujących własnymi ławkami, a tymczasem Morwenna Chynoweth trzymała jedną ze swoich pasierbic za pulchną rączkę i spoglądała na rzekę płynącą za ogrodem. Zastanawiała się, czy lepiej utopić się w błocie, prawdziwym błocie, czy udusić się błotem odraży fizycznej...

W Falmouth Drake Carne kuśtykał główną ulicą obok Verity Blamey. Szli na spotkanie z jej mężem, którego statek pocztowy, noszący nazwę Caroline, godzinę wcześniej rzucił kotwicę na redzie. Drake nadal nosił rękę na temblaku, lecz bark przestał boleć, a stopy całkowicie się zagoiły. Miał wilczy apetyt, dobrze się czuł i znów potrafił się cieszyć niektórymi przyjemnościami. Częściowo dlatego, że Ross przed wyjazdem wspomniał, że Morwenna mimo wszystko nie wyjdzie za mąż za pastora z Truro. Nawet jeśli nie jest przeznaczona dla Drake'a, odzyskał dobry humor, bo wiedział, że panna Chynoweth nie lubi Whitwortha. Przestał się zadreć. Myślał, że Morwenna jest teraz w Bodmin. Może pójdzie kiedyś do Bodmin i zobaczy się z nią, kto wie? Pragnął tylko widzieć ją od czasu do czasu. Nie myślał o niczym więcej. Nie prosił o nic więcej...

W Trenwith George spacerował powoli po domu. Twarz miał pozbawioną wyrazu, lecz coś w jego postawie sprawiało, że służący schodzili mu z drogi. Dzień był tak piękny, że wszyscy członkowie rodziny przebywali na dworze, nawet starzy państwo Chynowethowie.

Zabił żmiję. Wiedział, że zadał jej śmiertelny cios. Ale kiedy zdjął z niej stopę, obróciła łeb i ukaśiła go w piętę. Trucizna zaczęła działać. George dwa razy okrążył dwór, po czym powoli wspiał się po schodach i wszedł do swojego gabinetu. Zamknął drzwi i usiadł w ulubionym fotelu. Po raz pierwszy w życiu czuł się chory i niepewny. Trucizna rozprzestrzeniała się powoli, ale nieustannie. Nie wiedział, czy przeżyje.

Może umrzeć. Mogą umrzeć inni. Nie miał pojęcia, co się stanie. Siłę działania trucizny mógł ujawnić tylko czas...

W drugim końcu dworu ciotka Agatha walczyła o życie. Lucy Pipe siedziała w ciepłej kuchni i tylko dźwięk

dzwonnka zmusiłby ją do jej opuszczenia. W klatce gwizdał kos, a Smollett, zaniepokojony niedawną awanturą, zeskoczył na ziemię i lizał tylną łapkę koło drzwi sypialni.

Mimo wielu lat spędzonych na lekturze Biblii Agatha niezbyt mocno wierzyła w świat pozagrobowy, toteż wyjątkowo kurczowo trzymała się życia i próbowała zebrać resztkę słabnących sił, by doczekać choćby następnego dnia. Starzy ludzie nie snują odległych planów. Niezmierzone horyzonty młodości kurczą się, ograniczone przez bariery wieku. Jeśli zdoła dożyć jutra, postawi przed sobą kolejny cel. Najważniejsze to zapanować nad własnym ciałem – sprawić, by serce biło wolniej, równomiernie oddychać, uspokoić umysł. Zapomnij o gniewie, nie przejmuj się rozczarowaniem, skup się tylko na jednym: na konieczności ponownego zaczerpnięcia tchu, na przeżyciu.

Ale tym razem sprawy zaszły za daleko. Wstrząs wywołany rozmową, straszliwa wściekłość, która ogarnęła Agathę, w ciągu kilku minut całkowicie wyczerpały ostatnie zasoby starego ciała. Wiedziała, że to nie słabość, tylko coś gorszego. Nie powinna teraz chorować, bo za kilka minut przyjdzie ojciec i zabierze ją na przyjęcie. Później będą tańce i wist grany na kilku stolikach. Musi panować nad dolegliwościami żołądkowymi; matka mówiła, że w siedemnastym roku życia pora wreszcie z tego wyrosnąć. Powinna wstać. Usiłowała poruszyć nogami. Nie mogła. Straciła czucie w nogach. Jęknęła ze strachu i poruszyła dłonią. Panowała przynajmniej nad rękami.

W pokoju stała trumna. Słodki, mdlący zapach zgnilizny i kwiatów. Widywała to wiele razy. Kto teraz? W chwili śmierci, przed przybiciem wieka, wszyscy wydawali się bardzo spokojni, ale tacy mali. Przez tyle lat umierali po kolei wokół Agathy.

Uniosła rękę do oczu i starła mgłę wraz z trumną. Do sypialni wpadały ciepłe promienie słońca, życiodajne światło, które nie mogło zwrócić jej życia. Dawniej mógłby jej pomóc łagodny, wonny wiatr, cienie poruszających się liści, trzepot ptasich skrzydeł. Za pięć dni skończy dwadzieścia jeden lat, wszyscy są rozczarowani, że nie wyrosła na ładniejszą dziewczynę. Jedna z ciotek powiedziała, że za rzadko się śmieje. Ale George Venables mówił coś innego. George Venables mówił wiele pięknych rzeczy, tylko dlaczego nie chce się zgodzić, żeby wydała przyjęcie urodzinowe?

Śmierć przypominała przyływ morza, wodę wznoszącą się centymetr po centymetrze. Ciało Agathy zapadało w sen. Wkrótce przestała czuć żołądek, nie była w stanie oddychać. Nie próbowała zaczerpnąć tchu, bo nie potrzebowała powietrza. Po raz ostatni, czując nadchodzący kres, odzyskała jasność umysłu. Czy coś mówiła? Czy sprawiła komuś kłopot? Nie chciała zranić Elizabeth. Co właściwie powiedziała?

Łóżko zadrżało, gdy wskoczył na nie Smollett. Głowa Agathy opadła na poduszkę. Z wielkim wysiłkiem ją wyprostowała. Przez chwilę czuła się lepiej. I wtedy zaczęło znikać światło. Ciepłe, żółtawe światło słonecznego dnia. Belki sufitu rozmazały się, zamglily. Agatha nie mogła zamknąć ust. Próbowała to zrobić i nie była w stanie. Jej język znieruchomiał. Ale jedna ręka w dalszym ciągu powoli się poruszała. Smollett podpełzł do niej i polizał ją szorstkim językiem. To doznanie dotarło do umysłu Agathy. Było jej ostatnim wrażeniem zmysłowym. Palce staruszki drgnęły i musnęły kocią sierść. „Trzymaj mnie, trzymaj” – mówiły. Wreszcie, uspokojona, potulna, pokonana przez wolę silniejszą od własnej, zamknęła oczy i opuściła ten świat.

Przypisy końcowe

Biblia, to jest księgi Starego i Nowego Testamentu, przeł. Jakub Wujek, Brytyjskie i Zagraniczne Towarzystwo Biblijne, Warszawa (bez roku wydania; przedruk edycji krakowskiej z 1599 roku), Pierwsze Księgi Samuelowe, XXVIII, 13–14, s. 295 (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza). [wróć]

Por. *Biblia, to jest księgi Starego i Nowego Testamentu*, *op.cit.*, Dzieje Apostolskie, VIII, 23, s. 140. [wróć]

Biblia, to jest księgi Starego i Nowego Testamentu, *op.cit.*, Księgi Ruth, I, 16, s. 260. [wróć]

Por. *Biblia, to jest księgi Starego i Nowego Testamentu*, *op.cit.*, Proroctwo Danielowe, III, s. 804–806. [wróć]